

III

MARCIN MORTKA



WOJNA RUNÓW



Marcin Mortka

WOJNA RUNÓW
III

Copyright © by Marcin Morka, MMXV. Wydanie II Warszawa

Spis treści

Dedykacja

Czas bohaterów

Wojna runów

Część pierwsza Prolog I 1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

Część druga

Prolog II

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

Część trzecia

Prolog III

16.

17.

18.

19.

20.

Cześć czwarta

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

Epilog

Komentarz historyczny

Bibliografia

Przypisy

Mojej Żonie Marcie

Czas bohaterów

Martin Hartmann zawsze marzył o napisaniu wielkiej powieści.

Był pewien, że opowie w niej o prawdziwych bohaterach i ich wielkich czynach. Starczyło, by zamknął oczy, a natychmiast widział walecznych spadkobierców Zygryda czy Henryka Barbarossy, którzy kładą trupem setki wrogów, chroniąc świat przed chaosem i niesprawiedliwością. Czasem jedynie zmieniała się ich broń i zamiast wspaniałych świetlistych mieczy w dłoniach bohaterów pojawiały się plujące ogniem pistolety maszynowe. Zmieniali się też wrogowie: od ciosów wyśnionych herosów raz ginęli komuniści o czarnych twarzach, innym razem byli to opici krwią Żydzi, a czasem nawet potwory z Otchłani. Zależy, o czym akurat opowiadał nauczyciel w małej, cuchnącej wilgocią szkółce w wiosce tyrolskiej, w której Martin mieszkał wraz z rodziną.

Gdy spiker radiowy skrzeczącym głosem oznajmił światu o losie, który przypadł Austrii, a kilka miesięcy później z tryumfem wrzeszczał o wydarzeniach w Czechosłowacji, chłopak niespodziewanie zrozumiał, że czasy bohaterów wcale się nie skończyły. Wręcz przeciwnie - ich era rozpoczynała się na nowo. Herosi nie wędrowali już samotnie przez mrok, lecz równali krok w szeregu, ale ich misją wciąż było szerzenie nowego porządku. Gdy trzeszczące radio wypluwało tryumfalne wieści o postępie ojczystych zagonów w Polsce, Martin sam zapragnął zostać bohaterem.

O tym, że bycie bohaterem to całkiem przesrana sprawa, dowiedział się o świcie 11 kwietnia 1940 roku w wilgotnym norweskim lesie niedaleko Narwiku.

Choć słabo fosforyzujące wskazówki zegarka wskazywały dopiero trzecią nad ranem, mrok ustępował już miejsca bladej, nieprzyjemnej szarości świtu. Martin klęczał w śniegu i bez skutku walczył z torsjami. Zamglony, półprzytomny wzrok żołnierza zwiadu 2. kompanii 139. pułku strzelców górskich przesuwiał się po wciąż odległych, niewyraźnych zabudowaniach

małej wioski.

Dowódca plutonu, porucznik Erich Borst, głośnym szeptem tłumaczył coś reszcie oddziału, ale Martin nie słuchał.

To tu, szeptał bezgłośnie. To tu ma się rozegrać moja pierwsza bitwa.

Powtarzał te słowa od dłuższej chwili, ale święty zapał do walki, który zawsze przypisywał swoim herosom, nie nadchodził. Zmarznięty chłopak czuł, że zamiast tego ogarnia go łajdackie i całkiem prozaiczne przerażenie.

- Hartmann, słyszałeś? - Warknięcie dowódcy rozległo się tuż przy jego uchu.

Martin odwrócił się niepewnie. Borst, potężny mężczyzna o brzydkiej, nalanej twarzy, słyszał z brutalnej siły i złośliwości, przez co bali się go wszyscy o randze poniżej sierżanta. Starsi żołnierze i instruktorzy z lubością karmili młodszych kolegów mrocznymi opowieściami o czynach bojowych Borsta, gdy ten służył jako najemnik w Hiszpanii.

- Niestety nie, *Herr Leutnant*... - wyjąkał Martin z przerażeniem. - Patrzyłem...

- Hartmann, to nie pieprzony piknik! - Borst był rozwścieczony. - Jesteśmy na wojnie, dziecko drogie! To przed nami to Vassdalen, wioska pełna cholernych Norwegów, którą musimy opanować, zanim którykolwiek zdąży z pierzyny wyskoczyć!

- *Jawohl, Herr Leutnant!*

Martin chciał się poderwać i zsalutować jak należy, ale zeszywniałe kolana odmówiły posłuszeństwa i strzelec z trudem złapał równowagę. Rozległ się stłumiony chichot kolegów z oddziału.

- Beznadziejne. - Borst się skrzywił. W bladym blasku świtu jego szeroka twarz wydawała się ziemista niczym u trupa. - Zakładać narty. Hartmann, poprowadzisz oddział.

- Ja? Dlaczego?

- Bo jak cię kropną, będzie mała strata - syknął ktoś za jego plecami.

Martin się nie odwrócił. Zamiast tego sięgnął po narty, a jego ciało zadziałało automatycznie, posłuszne wieloletnim nawykom. W jego ojczystych stronach dzieci uczyły się zjeżdżać kilka miesięcy po tym, jak zaczęły chodzić. Szybko poprawił plecak i już trzymał bambusowe kijki gotów do zjazdu, jak zwykle pierwszy z drużyny. Kumple z oddziału mogli

sobie drwić z niego jako żołnierza, ale w całym pułku nie było lepszego narciarza od niego.

- *Vorwärts!* - rzucił cicho Borst, a Hartmann odepchnął się kijkami.

Zamglony, wilgotny las natychmiast został daleko, a w twarz uderzyła go ściana zimnego powietrza. Na moment strach i wahanie zostały daleko. Martin szusował lekko, z wprawą balansując ciężarem ciała. Kijków prawie nie używał. Reszta oddziału została daleko za nim, a ciemne kontury zabudowań rosły w oczach. Szybko, o wiele za szybko.

Wyhamował w samym środku wioski, tuż obok przysypanego śniegiem, obłego kamienia. Przez długą chwilę jedynym słyszalnym odgłosem było przyspieszone bicie własnego serca. Wokół czerniały niskie, przykryte śniegowymi czapami chatynki, dostrzegał także kilka szop, gdzie gospodarze trzymali bydło. Z niewielkiej skrzynki wysunął głowę mały piesek, ziewnął szeroko, po czym spojrzał na Martina błyszczącymi oczkami.

- Cii.

Martin położył palec na ustach i spojrzał w kierunku lasu. Jego towarzysze nadjeżdżali właśnie zygzakami, a pęd wydymał ich peleryny na podobieństwo skrzydeł drapieżnych ptaków.

Piesek szczeknął ostrzegawczo raz i drugi, w jednej z chat zapaliło się światło, ale dla Norwegów było już za późno. Borst wyhamował tuż przy Hartmannie i płynnym ruchem zrzucił z ramienia pistolet maszynowy.

- Pfeiger, Sonnermann, pierwsza chata! - warknął. - Hencke, Mayer, druga! Krammer, przedpole. Gdzie, do cholery, są kaemy?

- Będą za moment - rzucił sierżant Velstier, zatrzymując się obok dowódcy. - Rott wywrócił pierwszą i.

Reszta odpowiedzi utonęła wśród hałasu. Strzelcy górscy bez namysłu zaczęli wyważać drzwi i wywlekać na zewnątrz wyrwanych ze snu wieśniaków. Przerażeni, oszołomieni Norwegowie nawet nie próbowali stawiać oporu. Ponaglani szturchańcami i kopniakami, zbili się w drżącą grupkę pośrodku wioski.

- Nasi dzielni, aryjscy kuzyni - mruknął porucznik, który przyglądał się widowisku ze wzdrgliwym uśmiechem.

Naraz z ostatniej chaty dobiegły odgłosy szamotaniny, na co mały piesek zareagował piskliwym szczekaniem. Norwescy wieśniacy patrzyli z trwogą, gdzieś zakwiliło niemowlę. Uśmiech na szerokiej, brutalnej twarzy

Borsta pogłębił się.

- Jakoś nie wierzę, że wciąż płynie w was krew wikingów - powiedział, po czym niespodziewanie wyszarpnął parabellum i wystrzelił.

Pies zastygł w kałuży krwi.

Powietrzem wstrząsnął długi, przenikliwy wrzask. Od grupy wieśniaków oderwała się mała zapłakana dziewczynka i rzuciła się w stronę psiej budy, ale drogę zastąpił jej wysoki, czarnowłosy Hencke, drugi po dowódcy brutal w drużynie. Żołnierz uniósł mauzera do ciosu kolbą.

- Sola! - krzyknęła z rozpaczą matka, pobladła kobieta o rozsypujących się rudych lokach.

Wystrzeliła naprzód i pochwyciła dziewczynkę za chude ramionka, po czym przytuliła ją mocno do siebie. Na twarzach Norwegów malowało się skrajne przerażenie.

- Mein Gott... - Borst splunął z niechęcią. - Ciekawe, jak zareagują na martwego człowieka. Tałatajstwo. Dobra, Velstier. Rób swoje.

Chudy sierżant otworzył mapnik i wyjął tekst odezwy do poddających się Norwegów, w którą zaopatrzono ich jeszcze w Szczecinie. Spece od propagandy przetłumaczyli ją co prawda na norweski, ale zapomniano dołączyć zapis fonetyczny. Nikt się jednak tym szczegółem nie przejął, tym bardziej że wedle zapewnień ekspertów z SS Norwegowie rozumieją niemiecki, o ile mówi się do nich wolno i wyraźnie. Velstier odchrząknął i zaczął czytać.

„Oni nie rozumieją ani słowa, uświadomił sobie nagle Martin, widząc całkowite oszołomienie na twarzach jeńców. Nie tak słucha się słów o braterstwie i przyjaźni,

O opiece przed drapieżnymi zakusami Wielkiej Brytanii i konieczności wspólnej walki przeciwko.”.

Nie, Martin nie mógł zebrać myśli. Patrzył na kałużę czarnej krwi, w której spoczywało nieruchome truchło psa, patrzył na zalaną łzami twarz dziecka

1 wywleczonych z łóżek, marznących wieśniaków. Nie w takiej wojnie chciał zostać bohaterem. Nie w takim.

- *Scheisse!* - Rozległ się stłumiony wrzask.

Drzwi ostatniej chaty z trzaskiem stanęły otworem i plecami naprzód wypadł strzelec Pfeiger. Zatoczył się, charcząc, i padł na śnieg, a wtedy

wszyscy dostrzegli jego twarz zalaną krwią.

- *Was ist...* - zaczął Borst, lecz w tej samej chwili z chaty wypadła młoda czarnowłosa dziewczyna.

Upadła na śnieg tuż obok wijącego się z bólu, klnącego Pfleigera, ale natychmiast zerwała się do ucieczki.

- *Halt!*

W drzwiach pojawił się Sonnermann z mauzerem gotowym do strzału. Dziewczyna znieruchomiała na kolanach niczym zdyszane, zagonione w pułapkę zwierzę. W jej ciemnych oczach gotowała się bezgraniczna wściekłość.

- Co to, Sonnermann?! - zawołał pogardliwie Borst. - Igraszki w ramach wypełniania rozkazów?

- Ta suka wydrapała Pfleigerowi oko, *Henr Leutnant!* - odpowiedział zdenerwowany Sonnermann.

Dłonie trzymające mauzera drżały.

- Zastrzel ją.

- Nie wolno nam - odezwał się spokojnym, flegmatycznym głosem sierżant Velstier. - Rozkazy zabraniają wszczynania wrogich działań wobec rdzennej ludności norweskiej.

- Dobrze więc. - Dowódca zgodził się nadspodziewanie łatwo. - Zwiążcie ją i przytroczone do jakiejś ławy czy stołu. Może i zostało im trochę krwi wikingów, ale stanowczo trzeba poprawić jej jakość.

Gdzieś na północy opary świtu przebiła czerwona rakietka. Drużyna sierżanta Lorentza, której zadaniem było zajęcie pozostałych zabudowań Vassdalen, meldowała o wypełnieniu zadania.

Nie pomagało nic. Ani modlitwa, ani myśli o domu, ani tym bardziej fantazje

O bohaterach. Krzyki gwałconej dziewczyny wbiły się w umysł Martina i niczym groty strzał drażyły coraz głębiej, przyprawiając go o fizyczny wręcz ból. Niewidzącymi oczyma przyglądał się okalającym Vassdalen górcom oraz białej, nienakładanej w oddali tafli zamrożonego jeziora. Kiedyś zachwyciłby się ich pięknem i skłonił wyobraźnię do stworzenia kolejnej

bohaterskiej opowieści, ale nie dzisiaj. Nie po tym, co ujrzał
1 usłyszał.

- *Scheissewetter* - burknął plutonowy Gustav Norlitz, radiotelegrafista. Wyszedł właśnie zza załomu chaty, zapinając rozporek. - Nie ma łączności ani z kompanią, ani tym bardziej z kwaterą w Narwiku, szlag by to...

Norlitz, choć wyższy stopniem, traktował go przyjaźnie, być może dlatego, że przydzielono go do plutonu na chwilę przed wyruszeniem na zwiad. Przyniósł nowiuteńką radiostację, co wywołało mnóstwo zaciekawionych spojrzeń i kilka pytań. Tak małym oddziałom jak pluton nie przydzielano zazwyczaj radia, ale zarówno Norlitz, jak i Borst milczeli.

- Ty też? - wyjąkał Martin, a w spojrzeniu, jakim obrzucił radiotelegrafistę, była nieufność i obrzydzenie.

- Co ja? - Nie zrozumiał Norlitz, po czym powiódł za wzrokiem kolegi. - Aha, czy byłem u tej dziewczyny? Nie, na razie nie.

Wyciągnął papierosa z pozłacanej papierošnicy, zapalił i poczęstował Hartmanna. Ten odmówił, kręcąc głową.

- Borst chce, bym najpierw nawiązał kontakt z dowódcą kompanii. - Radiotelegrafista wydmuchnął kłęb, który w świeżym, zimnym powietrzu wydał się Hartmannowi szczególnie gryzący. - Ta dziura to ważne miejsce, psiakrew.

- Ważne miejsce?

- Nie słuchałeś porucznika, tam w lesie? - Norlitz spojrzał na niego z niedowierzaniem. - Chodzi o to bajoro. - Dłoń trzymająca tłącego się papierosa wskazała skute lodem jezioro. - Po tym jak zajęliśmy Narwik, okazało się, że w rejonie nie ma ani jednego lotniska, na którym mogłyby lądować junkersy z zaopatrzeniem, czego lada dzień możemy potrzebować jak jasna cholera. Generał Dietl wpadł na pomysł, by pierwsze transportowce wylądowały tu, na jeziorze Hartvig, póki jeszcze trzyma lód. Borst najpierw pukał się w czoło, ale okazało się, że szef miał rację. To wykonalne. Junkersy dadzą radę wylądować, teren jest łatwy do obrony, transport saniami też nie będzie problemem. Tylko że sami całego terenu nie zajmiemy. Trzeba ściągnąć resztę kompanii, a z tym, jak na razie, same kłopoty.

Hartmann spojrzał do góry. Chmury sunęły niemalże tuż nad ich głowami, ciężkie, gniewnie wzburzone. W wiosce panowała niemalże

absolutna cisza.

- Przy tej pogodzie nasza radiostacja to tylko kosztowny mebel. - Norlitz zdeptał niedopałek. - Jak się zaraz nie poprawi, porucznik będzie musiał wysłać gońców. Chyba przejdę się do tej suki, co innego mi pozostało. Tobie też radzę, klucz jest w kłódce.

- Co? - Hartmann poczuł, jak na jego gardle zaciskają się stalowe palce przerażenia.

- Lepiej posłuchaj dobrej rady. - Norlitz nachylił się ku Hartmannowi, aż ten poczuł jego cuchnący nikotyną oddech. - Chyba nie chcesz, by nasz dowódca uznał cię za pedała?

W powietrzu zawirowały pierwsze śnieżynki.

Martin wziął głęboki oddech i pchnął drzwi chaty.

Serce waliło mu jak oszałałe, gdy przestępował przez próg. Niespodziewanie ogarnął go mrok i owionęły zapachy potu, krwi, strachu i spermy. Coś poruszyło się w ciemnościach.

- *Er du den neste?* - rozległ się ochryply, zły szept. - *Den neste almodige helt'n, som...*

- Nie mówię po norwesku - wyjąkał Martin. - Ja.

Postąpił krok. Teraz wyraźnie widział już drewnianą ławę, do której przywiązano brankę. Dziewczyna unosiła się na tyle, na ile pozwalały jej sznury, a w jej oczach jaśniała czysta, nieskażona nienawiść. Na jej policzku pęczniały krwawe pręgi, a na obnażonych piersiach widział niewielkie, czerwone punkciki. Do jednego przyklejony był jeszcze niedopałek.

- Ja.

Norweżka parsknęła dzikim śmiechem i odrzuciła skołtunione, posklejane włosy do tyłu.

- *Kom her!* - wrzasnęła, rozchylając uda. - *Kom, din tyske drittsekk!*

Martin zamknął oczy, z całej siły walcząc z pragnieniem natychmiastowej ucieczki. W tej samej chwili wyobraził sobie jednak potężną, zwalistą sylwetkę porucznika Borsta i złośliwy uśmiech na jego brutalnej gębie. Zdawało mu się, że słyszy jego rechot: „Co to, Hartmann?”

Nie masz ochoty na zdrową wikińską dziewczynę? A może chłopca ci podstawić, co? Albo owieczkę?”.

Drżącymi rękoma sięgnął do rozporoka, lecz natychmiast zalały go mdłości. Świat wirował coraz szybciej. Dziewczyna śmiała się pogardliwie, uderzając piętami o blat ławy.

„Nie, nie mogę, przeszło mu przez głowę. Nie zrobię tego”.

- Boże, pomóż mi... - wyszeptał. - Wybaw mnie z niedoli!

Wiatr przyniósł stłumione, odległe echa wystrzałów. Hartmann wypadł na zewnątrz, w pośpiechu zatrzaskując drzwi i zamykając je na kłódkę.

- To Lorentz! - Borst wynurzył się ze śnieżycy. W pośpiechu nie zauważył dwóch przysypanych śniegiem akii, płtykich sanek w kształcie łódek używanych do transportu zimowego, i potknął się, omal nie tracąc równowagi. W jego oczach zamigotały iskierki wściekłości. - Na co się, kurwa, gapiacie! - ryknął w kierunku strzelców, którzy odwrócili się w jego kierunku. - Na stanowiska i niech który weźmie te akie, bo jak mnie zaraz. Krammer, Hencke, zakładać narty! W try miga sprawdźcie, co tam się dzieje!

Hartmann oddychał szybko, wciąż w szoku. Półprzytomnym, nierozumiejącym wzrokiem patrzył na znikające w śnieżycy plecy swych kolegów. Gdy Krammer i Hencke wrócili, by złożyć meldunek, żołądkiem Martina wciąż wstrząsały torsje.

- Lorentz nie radzi sobie z własnymi ludźmi. - Usłyszał pogardliwy głos dowódcy. - Ponoć zobaczyli coś między drzewami i od razu otworzyli ogień. Banda baranów. Trzeba było.

- *Henr Leutnant!* - wrzasnął strzelec Sonnermann. Hartmann odwrócił się i ujrzał całkiem bladą twarz kolegi. - *Henr Leutnant*, jeden z więźniów uciekł!

- Banda baranów! - Borst zazgrzytał zębami. - Kto taki?

- Ta mała dziewczynka, ta ruda od psa.

- To ty jej pilnowałeś?

Oczy dowódcy nagle stały się wąskie i bardzo złe.

- Tak, ale.

- To teraz ją znajdź. Hartmann, pójdziesz z nim. - Chłodny wzrok Borsta zmierzył Martina od stóp do głów. - Do wojaczki nadajesz się jak kozia pyta do pucowania czołgu. Może chociaż dziećmi potrafisz się zająć.

Sonnermann nie odezwał się ani słowem. Jego czerwona od zimna twarz była zacięta, a oczy błyskały nieprzyjaźnie. Usta żołnierza poruszały się, jakby przez cały czas mówił jakieś słowa. Martin był pewien, że nie przestaje złorzeczyć na dowódcę i swój pieski los.

W istocie, nie było czego zazdrościć. Poszukiwania uciekającego dziecka w gęstej śnieżycy to nie zadanie, o którym marzy dumny, świetnie wyszkolony strzelec górski. Tym bardziej że na jedyne go towarzysza przydano mu ofermę pułkową.

Hartmann niemalże roześmiał się na tę myśl. On, który chciał zostać bohaterem, a był tylko ofermą pułkową! Wyobrażenia, jakie snuł niedawno, raptem parę dni temu, wydawały się teraz blade i niezrozumiałe. „Naiwniaku, szydził sam z siebie w myślach. Głupcze, który wierzy w historyjki wyczytane w szkolnej biblioteczel!”

Nie czuł zimna, które z wolna przenikało przez sweter, białą wiatrówkę i impregnowane, wełniane spodnie górskie. Śnieg, wiatr i zimno wydawały mu się niczym w porównaniu z dwoma demonami, od których właśnie uciekał. Zacisnął oczy, próbując wypędzić ze swych myśli przenikliwy śmiech dziewczyny oraz wykrzywioną nienawistnie gębę dowódcy. Oni byli daleko, dalej z każdym pociągnięciem narty. Dalej, coraz dalej...

- Hartmann! - rozległ się ostry krzyk Sonnermanna. Odwrócił się i ujrzał swego towarzysza, który opierał się o kijki i rozglądał wokół. - Ślady znikły!

„Rzeczywiście”, oprzytomniał Martin. Starczyła chwila nieuwagi, by zgubili trop dziecka. Nic zresztą dziwnego. Ślady były płytkie, a przy tak ostrym śniegu.

- Musimy znaleźć tego przekłętego bachora! - krzyczał Sonnermann. - Borst rozwali nam łby, jak wrócimy z pustymi rękami!

„Borst!”. Starczyła myśl o dowódcy, by Martin oblał się gorącym potem. Rozejrzał się i naraz wydało mu się, że widzi szereg płytkich,

ledwie widocznych śladów biegnących w stronę grupki skał.

- Chyba tam! - zawołał i wskazał kierunek kijkiem.

Sonnermann skinął głową i zawrócił narty. Tym razem droga wypadła pod wiatr, który z każdą chwilą przybierał na sile. Łzy, wyciekające spod niemalże zaciśniętych powiek, natychmiast zamieniały się w perełki lodu. Dłonie, zgrabiałe mimo rękawiczek, ledwie trzymały kijki. Skuleni narciarze parli jednak naprzód, aż ślady doprowadziły ich do wąskiego, osłoniętego od wiatru wąwozu. Przez moment były głębsze i wyraźniejsze, po czym po prostu znikły.

Na twarzy Sonnermanna malowało się całkowite osłupienie.

- Co to ma, kurwa, znaczyć? - wrzasnął, zrywając z głowy kaptur. - Pod ziemię się zapadła czy co?

Z wściekłością wbił kijek tuż za ostatnim z nich.

- Pewnie potrafi latać - mruknął Hartmann.

- Nie za dowcipny się stajesz? - Sonnermann spojrzał na niego z niechęcią.

- Dalej, ruszajmy. Trzeba ją znaleźć.

Martin wsunął rzemienne pętle kijków na nadgarstki i wbił je w śnieg, gotów do dalszej drogi.

- Pieprzę tego bachora! - Sonnermann splunął na śnieg. - Nigdzie nie idę.

- Borst dał nam rozkaz. A poza tym to przecież tylko głupi dzieciak! Nie możemy go zostawić w tej śnieżycy!

- Patrzcie, niańka się znalazła! - Wybuchnął pogardliwym śmiechem towarzysz Hartmanna. - Nie mam najmniejszej ochoty brnąć przez ten pieprzony śnieg ani chwili dłużej. Wracamy, i to zaraz.

- A Borst? - Martin spróbował ostatniego argumentu.

- Borst? - Sonnermann już zawracał narty. - Powie mu się, że bachor wleciał w skalną szczelinę i roztrzaskał sobie głowę. Albo nie, poprawka. Ty mu to powiesz.

- Ja?

- Tak, ty. Inaczej zwrócę mu uwagę, że jako jedyny nie skorzystałeś z wdzięków naszego dziewczątka. Bo ponoć wolisz chłopaków.

Przekleństwa radiotelegrafisty usłyszeli jeszcze na zewnątrz pomimo wyjącego wichru i grubych ścian chaty.

- *Scheissewetter!*

Norlitz z pasją cisnął słuchawkami, z których dobiegł jedynie szum.

- Co tam?

Borst, trzymający w dłoni blaszany kubek z kawą, wychylił się w kierunku radiostacji. Na jego spotniałej twarzy widać było skupienie.

- Nic, cholerny świat. - Norlitz zapalił papierosa trzęsącymi się dłońmi. - Nie słyhać radiostacji kompanijnej. Nie da rady, i już.

- Dość tego! - Borst odstawił z trzaskiem kubek. Krople kawy strzeliły naokoło. - Już dawno trzeba było wysłać gońca do pułkownika Hannermanna. Pewnie już by tu dotarli na miejsce, cholera jasna!

Martin czuł napięcie. Postacie Borsta i Norlitzza zastygły w półmroku chaty niczym drewniane rzeźby w okopconej szopce. Jedynymi odgłosami były szum z radiostacji i wycie wiatru na zewnątrz. Przemógł się, zrobił krok naprzód i zasalutował:

- Herr *Leutnant*, melduję, że wraz ze strzelcem Sonnermannem...

- Cisza! - ryknął niespodziewanie Borst i zerwał się z zydlu.

Martin nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji. Odskoczył przestraszony, a w tej samej chwili za jego plecami wyrósł sierżant Velstier z mauzerem gotowym do strzału.

- Słyhać silny ogień z pozycji. - odezwał się głosem tak beznamiętnym, jakby oznajmiał ruch w rozgrywce szachowej.

- Głuchy nie jestem, Velstier! - Borst pochwycił pistolet maszynowy, rękawiczki i czapkę strzelców górskich. - Ludzie Lorentza znów do kogoś prują! Jeśli i tym razem ktoś ma przywidzenia, to osobiście.

Teraz i Martin usłyszał. Do suchej palby wystrzałów z mauzerów, które przebijały się przez wycie wichru, dołączył grzechot karabinu maszynowego.

- Nie, to nie przywidzenia. - Porucznik zacisnął zęby. - Zostali zaatakowani!

- Wedle danych wywiadu, Herr *Leutnant*, w tych okolicach nie ma żadnych norweskich oddziałów. - Velstier beznamiętnie śledził gorączkowe ruchy swego dowódcy. - Zorganizowanie zaś zbrojnego oporu w warunkach.

- Nie pieprz, Velstier! - warknął Borst i z głośnym trzaskiem

odbezpieczył MP-38. - Nie wierzę w nieomylność Abwehry i nigdy nie uwierzę! Nie ma tu oddziałów wojskowych? Chętnie wypytam o to miejscowych!

Z tymi słowami wyskoczył na zewnątrz, prosto w szalejącą śnieżycę. Na twarzy Velstiera nie pojawił się najdrobniejszy nawet grymas. Poprawił czapkę, kiwnął na Hartmanna i wybiegł na zewnątrz, zostawiając pochylonego nad radiostacją Norlitzą.

- Hencke, Krammer! - Tubalny głos dowódcy unosił się nad świstem wiatru. - Przyprowadźcie no tu pierwszą rodzinę!

Obaj strzelcy sprawnie wywlekli na śnieg czwórkę pochlipujących ludzi i zmusili ich do ukłęknięcia. Dumnie wyprostowany Borst stanął przed nimi z pistoletem maszynowym, uniesionym lufą ku górze. Martinowi przyszło nagle do głowy, że gdyby go nie znał, urzekłaby go godność i siła, jakie zeń były. Niestety, znał go dobrze. Klęczący przed nim ludzie - barczysty, wąsaty chłop, jego płacząca żona i dwóch nastoletnich jeszcze synów - chyba wiedzieli, na co się zanoszą, gdyż na ich twarzach pojawiło się skrajne przerażenie.

Na rozkaz obaj żołnierze przyłożyli lufy mauzerów do potylic dzieci. Borst opuścił swą broń, by mierzyła prosto w biust kobiety. Mężczyzna zaszlochał bezgłośnie i chciał coś powiedzieć, ale głos zamarł mu w gardle.

- No, Velstier - odezwał się dowódca. - Zapytaj ich o te oddziały.

- Przecież ja nie znam norweskiego. - Sierżant uniósł nieco brwi. - Ja im tylko tę odezwę...

- O kurwa, to spytaj po niemiecku! - Borst syknął ze zniecierpliwieniem. - I to już, bo zimno, a tam Lorentz ma kłopoty!

- In *Ordnung* - wzruszył ramionami Velstier. - *Gibt es einige norwegische Truppen hier? In diesem Gebiet, meine ich?*

- *Vi... Vi forstar ikke!* - Chłop błagalnie rozłożył ręce. - *Vi prater ikke tysk, vi!*

- Velstier, mów powoli, jak panowie z SS kazali!

Palec Borsta zbiegał na spuście.

- *Gibt es...* - zaczął sierżant, ale natychmiast przerwał, bo daleko wśród śnieżycy, na pozycjach Lorentza, wystrzelił język ognia, a po nim kolejny.

- Miotacze ognia? No nieźle. A nie mówiłem, że Abwehra to partacze? -

parsknął Borst. - Rott, Krammer, Hencke, Mayer, ruszamy na zwiad. Pieszko, bez nart. Podwójny zapas granatów i środki opatrunkowe. Norlitz!

- Tak? - Radiotelegrafista wysunął głowę z chaty i spojrzał ze zdziwieniem na klęczących w śniegu Norwegów. - Dalej.

- Puszczaj sygnał: „Starcie z nieprzyjacielem o nieznaną siłę”. Velstier, zostawiam ci Sonnermanna, Gorza i Hartmanna. - Gdy Borst odwrócił się w stronę sierżanta, w jego oczach zagrały niebezpieczne ogniki. - Przygotuj obronę. Mysz nie ma prawa tu się prześlizgnąć!

- *Jawohl!* - Velstier żywo skinął głową, po raz pierwszy porzucając niewzruszoną maskę obojętności. - A pan?

- Ja idę zrobić z tym porządek.

Przez moment stali i patrzyli w kotłującą się śnieżycę, która przed chwilą pochłonęła maskującą biel wiatrówek ludzi Borsta. Wystrzały grupy Lorentza ucichły w tej samej chwili i mogli jedynie zgadywać, czy ich koledzy uporali się z niebezpieczeństwem, czy może leżeli wszyscy martwi, zgładzeni przez tajemniczego przeciwnika. W końcu Velstier poprawił czapkę i odezwał się swoim zwykłym, wypranym z emocji głosem:

- No, do roboty. Ja z Sonnermannem bierzemy na siebie rozstawienie kaemu, Gorz czuwasz na północnym krańcu wioski, Hartmann na południowym. Norlitz, do radiostacji.

Martin śledził odejście Borsta z ulgą, ale gdy tylko zwiad zniknął w śnieżnej kurzawie, poczuł irracjonalny lęk. Nienawidził swego dowódcy i bał się go, ale w skrytości ducha podziwiał jego dziką siłę i wierzył, że poradzi sobie z każdym napotkanym niebezpieczeństwem, obojętnie, czy znanym, czy nie. A tego, że wokół Vassdalen działo się coś niezrozumiałego, był całkowicie pewien.

„Najwidoczniej nastały czasy dla innych bohaterów, pomyślał. Skorych do mordowania bezbronych i poniżania podwładnych, skorych do gwałtów...”.

Ostatnia myśl sprawiła, że przeszył go dreszcz lęku i obrzydzenia. Podświadomie zerknął ku drzwiom chaty, w której trzymano Norweżkę.

Drzwi były otwarte.

Hartmann zeszywniał. Obronnym gestem uniósł karabin i rozejrzał się wokół, oblizując nagle spierzchnięte wargi. Nic, jedynie roztańczone śnieżne tumany. I drzwi poruszające się lekko na wietrze, jakby wabiły strzelca, by podszedł bliżej.

- Przecież. - wyjąkał. - Przecież je zamykałem! *Henr Feldfebel!* - zawołał.

Po chwili ze śnieżycy wyłoniła się przygarbiona sylwetka Sonnermanna. Idący pod wiatr strzelec na próżno próbował osłonić zmarzniętą twarz, stawiając kołnierz wiatrówki.

- Velstier jest zajęty! - wrzasnął. - Coś ważnego?

Hartmann bez słowa wskazał mu otwarte drzwi.

- *Scheisse!* - warknął Sonnermann i podbiegł do drzwi, po czym zanurkował we wnętrzu.

Martin podświadomie zrobił kilka kroków za nim, ale wtedy owionął go bijący ze środka smród, wciąż ciężki i duszący mimo ostrego wiatru. Wiedział, że za żadne skarby nie wjedzie do środka.

Sonnermann wyszedł z chaty. W zgrabiąłych dłoniach trzymał kawałki sznura, którym skrupowano dziewczynę.

- Kto tu był ostatni? - spytał, patrząc dziwnie na Hartmanna.

- Ja, ale. Ja jej nie odwiązywałem! I kłódkę zamknąłem, jak.

- Przestań skamleć! - Sonnermann zamachał mu przed oczyma ostro ściętymi końcówkami sznura. - Nikt jej nie odwiązywał! Patrz tu.

Pochwyił kołyszące się drzwi i pchnął je tak, by Martin mógł spojrzeć na skobel. Wyglądał na rozłupany ostrym narzędziem.

- To od ciosu siekiery - wyjaśnił Sonnermann. - I to sporej. Wierz mi, byłem drwalem pod Salzburgiem.

- Mein Gott... - jęknął Hartmann. - Chcesz powiedzieć, że po okolicy włóczy się uzbrojony w siekiere facet, zuchwały na tyle, by odbijać jeńców z opanowanej wioski?

- Chcę powiedzieć, że skamlesz jak baba, Hartmann. - Sonnermann skrzywił się z niesmakiem. - Idę zameldować o tym Velstierowi, a ty obejdź chatę i poszukaj jakichś śladów. Trza nauczyć tego sukinsyna szacunku do ostrych przedmiotów.

„Dalej chcesz zostać bohaterem?”, zawył jakiś głos w umyśle Martina, rozganiając tłum spłoszonych myśli. „To do dzieła! Odnajdź trop i zabij szaleńca, który kpi z ciebie i twoich kolegów!”.

Strzelec przełknął ślinę, wciąż zapatrzony w szalejące śnieżne tumany, po czym uniósł karabin i ruszył naprzód. Pierwsze ślady znalazł niemalże od razu. Biegły przy zawietrznej ścianie chaty, przez co zachowały się prawie nietknięte. Przyklęknął i zbadał palcami ich krawędzie oraz

głębokość. Nie znał się na tropieniu, ale wyglądało na to, że przebiegały tędy dwie osoby. Jedną z nich z pewnością była uwolniona dziewczyna - nikt inny nie mógł biec po śniegu boso. Natomiast widok śladów drugiej sprawił, że serce zaczęło mu bić szybciej. Były głębsze od bosych, a na ich powierzchni wyczuwał delikatne zazębienia, co wskazywało, że zostawił je człowiek w ciężkich, górskich butach. Tylko dlaczego były mniejsze od śladów, które zostawiła dziewczyna?

„Dziecko? - przemknęło mu przez myśl. - Ta ruda dziewczynka, której szukali w śnieżycy?”

„To od ciosu siekiery. I to sporej”, odezwał się w jego głowie głos Sonnermanna.

„Czy dziecko potrafiłoby unieść siekiere?”

Hartmann wyprostował się. Ślady biegły wzdłuż ściany chaty, po czym rozdzielały się - obuty trop biegł naprzód, prosto w śnieżycę, a bosy zawracał ku wiosce.

„Ku wiosce?”

Hartmann odbezpieczył karabin i przygarbiony ruszył za śladami dziewczyny, z wolna zasypywanymi przez wiatr. Napięcie podsylało mu coraz to potworniejsze obrazy. Pamiętał dziką furie, która ogarnęła Norweżkę na widok kolejnego gwałciciela, a teraz widział w jej dłoniach ciężką siekiere, którą spuszcza na plecy jego kolegów, zaskoczonych, bezbronnych. Po chwili już biegł, nie zdając sobie z tego sprawy, biegł jak szalony przez wicherę ku zabudowaniom.

Drzwi do chaty, w której złożono rannego Pfliegera, stały otworem niczym paszcza śnieżnej bestii.

Hartmann wpadł z dzikim rykiem do wnętrza i zatrzymał się, skuty lodowatym przerażeniem. Instynktownie zrobił krok do tyłu i usiadł, potknąwszy się o próg.

W ostatniej sekundzie swego życia Pflieger zdołał podnieść się na łokciach, przez co odsłonił szyję przed ciosem na odlew. Strumienie czerwonej, wciąż parującej krwi wnikały w wełnę swetra i tworzyły szybko znikające jeziora w zagłębieniach szarego koca. Opatrunek, który Krammer założył na lewe oko strzelca, nadal lśnił bielą, ale w prawym oczodole ziała świeża, krwawa jama.

- *Hartmann, was ist los?!* - Krzyki Gorza i Sonnermanna dobiegły

stłumione jak z podziemi.

Martin wstał niezgrabnie i wyciągnął dłoń w kierunku chaty. Obaj strzelcy zajrzeli do środka.

- *Oh, Gott!*

Nagle Gorz odwrócił się na pięcie i chlusnął strugą wymiocin. Poblądły Sonnermann okazał więcej hartu ducha. Mocnym szarpnięciem postawił Martina na nogi i pchnął go w kierunku stanowiska radiostacji.

- Leć do Norlitz! - wykrzyknął, zagłuszając na chwilę wiatr. - Ostrzeż go, niech barykaduje się w chacie! Gorz, Gorz, ty stara babo, skończ rzygać, musimy znaleźć sierżanta!

Reszty Martin już nie usłyszał. Zataczając się, biegł w stronę radiostacji. Przed oczyma migotały mu czarne plamy. Z głośnym jękiem wpadł przez otwarte drzwi do chaty, którą zajęli Borst i Norlitz.

Otwarte drzwi?

Cios, który rozpołowił czaszkę radiotelegrafisty, musiał nadejść z tyłu. Norlitz leżał na swej aparaturze, a jego prawa ręka zastygła na prądnicy: jak gdyby nie poddając się śmierci, żołnierz próbował oprzeć się i wstać. Zamroczony Hartmann z trudem łapał powietrze. Powoli cofał się ku drzwiom na ugiętych kolanach niczym przerażony kot. Gdy tylko poczuł ukłucie zimna na policzkach, odwrócił się i ruszył biegiem. Kątem oka zdążył jeszcze zarejestrować kilka śladów koło drzwi. Niedużych, przypominających te, które towarzyszyły bosej dziewczynie.

Odnalazł Gorza i Sonnermanna przy obłym, pokrytym śniegiem kamieniu, tym samym, przy którym wyhamował zeszłej nocy.

- A ty gdzie?! - wykrzyknął Sonnermann. - Miałeś być z...

- Norlitz nie żyje! - wycharczał Hartmann, ciężko dysząc. - Ktoś. Ktoś rozwalił mu głowę. Siekierą.

- Kuuurwa...

Poblądły Gorz przyklęknął na śniegu. Sonnermann pochwycił Martina za poły munduru i przyciągnął brutalnie do siebie.

- Słuchaj, wokół chaty Pfliegera jest pełno małych śladów! - wrzasnął. - Ten cholerny bachor.

- Spierdalajmy stąd! - wyjęczał Gorz, trzymając się za żołądek.

- Chcesz uciekać przed jakąś zgwałconą suką i małym dzieckiem? - Splunął wściekły Sonnermann. - Gorz, nie bądź śmieszny! Znajdźmy Velstiera i.

- Cicho! - Znieruchomiał nagle Gorz.

Nagle wiatr przyniósł kilka wystrzałów, które przecięło staccato serii pistoletów maszynowych. Przez moment zastygli w bezruchu, chciwie chłonąc każdy odgłos.

- To porucznik Borst! - szepnął Gorz.

W tej samej chwili w śnieżycy zajaśniały płomienie, krótkie, urwane niczym kaszlnięcie smoka. Odgłosy strzelaniny ucichły niemalże natychmiast. Przez chwilę czekali jeszcze, ale bez nadziei. Choć przeczyło to jakiegokolwiek logice, cała trójka wiedziała, że oddział Borsta właśnie przestał istnieć.

- Przecież to, kurwa, niemożli... - zaczął Sonnermann.

- Uważaj! - wrzasnął Hartmann i pchnął go z całej siły.

Huczący słup ognia wystrzelił spośród śnieżnej kurzawy niczym rozpędzony pociąg, ogarniając ich i głaz, przy którym stali. Hartmann zatoczył się do tyłu, odrzucony żarem, który palił mu rzęsy, włosy i skórę. Padając, zdążył ujrzeć Sonnermanna pełzającego wśród błota z płomieniami szalejącymi na plecach. Gorz, ogarnięty językami ognia, przeskoczył nad nim i wyjąc, popędził między zabudowania.

Słup ognia zniknął tak szybko, jak się pojawił. Jedyłą pamiątką po nim był pas stopniałego, zamienionego w błoto śniegu oraz jęczący przeraźliwie Sonnermann, który jakoś zdołał przewrócić się na plecy i ugasić płomienie.

Hartmann z trudem dźwignął się na nogi. Wydawało mu się, że wśród śnieżycy przemknęły jakieś niskie, przygarbione postacie, ale nie zwrócił na to uwagi. Wolnym krokiem podszedł do zwijającego się z bólu Sonnermanna i omal nie zwymiotował, gdy w jego nozdrza wgryzł się smród palonego ciała.

- Pomóż mi, Hartmann! - jęczał Sonnermann. - Pomóż mi...

- Pomogę ci - odpowiedział Martin.

Wreszcie poczuł spokój. Strach, śnieg i płomienie ograniczyły jego postrzeganie świata do najprostszych wartości. Naraz wszystko stało się proste i znów wiedział, co robić. Na powrót stał się tym Martinem, który zapragnął zostać bohaterem.

- Pomogę ci - powiedział raz jeszcze, ciągnąc omdlałego kolegę do chaty, w której zginął Norlitz.

Dostrzegł jeszcze, że na obłym głazie, z którego spłynął stopniały śnieg,

załśnił srebrem rząd znaczków, chyba runów, o ile dobrze zapamiętał wiadomości z kursu tożsamości narodowej. Nie miało to jednak już najmniejszego znaczenia.

Ułożony na łóżku Sonnermann oddychał szybko, chrapliwie. Powietrze w chacie było ciężkie od zapachu krwi i palonego mięsa, ale Martin nie zwracał na to uwagi. Na stole obok szczątków radiostacji ułożył starannie dwa granaty, swego mauzera oparł o zydę, na którym wieki temu siedział Borst, a w dłoni trzymał broń Norlitz. Stał i czekał, spokojny, opanowany.

Wcale się nie zdziwił, gdy drzwi niespodziewanie stanęły otworem. Zdziwiło go tylko to, że stanął w nich sierżant Velstier.

- Ach, jesteś - powiedział swym zwykłym, wypranym z emocji głosem. - Gdzie jest Gorz i co to były za. - Nagle zamrugął, krztusząc się ciężkim smrodem. - Co to. - Spojrzał na Hartmanna załzawionymi oczyma, w których rosło przerażenie. - Czy to Sonnermann? A gdzie jest.

Hartmann wzruszył ramionami. Nie interesowały go pytania Velstiera, bo nie umiał na nie odpowiedzieć. Zdażył już bowiem oczyścić swój umysł ze wszystkich myśli poza jedną. Być może w istocie nastały czasy dla innych bohaterów, okrutnych i bezwzględnych, czasy nie dla niego. On jednak odejdzie tak, jak sobie to wymarzył. Godnie wyprostowany, z dumą na twarzy, broniąc ранnego towarzysza.

O tym, że Sonnermann nie dałby za niego złamanego grosza, zapomniał już dawno.

Za plecami sierżanta naraz śmignęła zimna stal. Zaskoczony Velstier stęknął krótko i zwałił się na podłogę, plując krwią. Na progu za nim pojawił się niski, skośnooki stwór w dziwacznym hełmie i kolczudze wyzierającej tu i ówdzie spod futer. Lekko skośne, czarne oczy przybysza emanowały czymś prastarym, niepojętym. Topór w jego łapskach ociekał krwią.

„A zatem zginę w walce z potworami z Otchłani”, pomyślał Martin, unosząc mauzera do strzału. I otworzył ogień.

Ogromny samolot z czarnymi krzyżami na skrzydłach i kadłubie opadał coraz niżej, wyraźnie kierując się na zamarznąta tafle jeziora Hartvig.

- Sądysz, że to rozwiąże nasze problemy, córo ludzi? - spytał Eythor, gładząc siwą, zaplecioną w warkocze brodę.

- Nie wiem - odpowiedziała czarnowłosa dziewczyna i przymknęła oczy, jakby walczyła z wielkim bólem. Mimo grubych futer wciąż przeszywały ją dreszcze. - Wiem tylko tyle, że ja tego tak nie pozostawię.

- Hmm... - Z chrzęstem kolczugi Eythor założył ramiona na piersi. - Prawo do zemsty liczy sobie tysiące lat, córo ludzi, i nikt ci go nie broni. Ale ja i moje plemię nie będziemy ci wiecznie pomagać. Poprzysięgliśmy chronić twój lud, ale nie pójdziemy za tobą na prawdziwą wojnę.

- Oczywiście! - parsknęła z gniewem dziewczyna. - O ile miłsze wam grzebanie tuneli i wydłubywanie mdłych, świecących kamyków! Ludzie są potrzebni tylko po to, by dawać wam jeść, tak? Gdyby mała Sola nie pobiegła po pomoc, nigdy byście się nie pofatygowali do wioski z odsieczą!

- Hmm. - mruknął znów Eythor i zmarszczył gęste brwi. - Nasze dni minęły. Nie ma już magii i smoków, czas bohaterów minął. Po co mamy wylazić na ziemię?

- Czas bohaterów nigdy nie minie, Eythor! Nigdy! Jeśli zabraknie bohaterów, to. - Głos dziewczyny zadrżał. - To będą działały się takie rzeczy jak. Jak.

Eythor spojrzał na towarzyszkę ze współczuciem, ale nie powiedział już ani słowa. Oboje w milczeniu patrzyli, jak podchodząca do lądowania maszyna wysuwa płozy i powoli wytraca prędkość, po czym płynnie osiada na zamarznętej tafli. Siłą rozpędu samolot przetoczył się jeszcze kilkaset metrów i znieruchomiał. Natychmiast wysypali się z niego żołnierze.

Dziewczyna spojrzała pytająco na Eythora, ale karzeł pokręcił głową.

- Lecą jeszcze inne. - Wskazał kolejne punkciki na niebie.

Dopiero gdy na lodzie znieruchomiał czwarty samolot z czarnymi krzyżami, Eythor ujął krótki, zdobiony srebrem róg i zadał krótko. Wśród drzew pojawiły się niskie, krępe postacie, które wbiegały na lód i wbijały weń miecze i topory.

Nawet z tej odległości widać było, jak ich broń płonie żywym ogniem. Niespodziewanie brzegi jeziora spowiła gęsta para, z której z trzaskiem wybiegły poszerzające się szczeliny. Przybysze dostrzegli je, gdy było już o

wiele za późno.

W oczach dziewczyny śledzącej tonące samoloty malowała się zimna nienawiść. Eythor uśmiechał się pobłaźliwie.

- Bohaterowie... - chichotał karzeł. - Tak, teraz to jestem prawdziwym bohaterem!

Wojna runów

Część pierwsza

Prolog I

Kłęcząca na śniegu Kriss drżała.

Świat wokół niej milczał. Koronami ośnieżonych świerków nie poruszał najłżejszy powiew wiatru, a jedynym słyszalnym odgłosem był szloch dziewczyny. Mimo rozpacz i przerażenia nie płakała głośno, by nie naruszyć pradawnej ciszy Bezimiennej Doliny. Kriss bała się gniewu wielkiego jesionu.

Góry szybko zlewały się z mrokiem nadchodzącego wieczoru. Zapłakana Kriss uniosła wzrok na jesion, teraz nieruchomy, milczący, ciemniejący wraz z resztą lasu. Odeszła gdzieś światłość, którą promieniował jeszcze chwilę temu. Bezimienna Dolina znów stawała się zwykłym miejscem wśród gór.

Kriss wiedziała jednak, że długo nie zapomni tego, co widziała przed chwilą.

Nie usłyszała kroków za swymi plecami, mimo że mężczyzna wcale nie starał się iść cicho. Gdy tylko dostrzegł skuloną dziewczynę, puścił się biegiem. U jego boku sadził susami wielki muskularny wilk.

- Kriss! - krzyknął biegnący. Pęd stracił kaptur z jego głowy, ukazując poważną twarz bez zarostu i oczy pełne przerażenia. - Kriss... - wyszeptał, pomagając dziewczynie usiąść.

Ta uniosła głowę i spojrzała na przybysza z półprzytomnym, gorzkim uśmiechem.

Wilk polizał jej policzek i położył łeb na jej kolanach.

- Wiedziałam, że za mną idziesz. - wyszeptała. - Sverre, ja znów widziałam.

Mężczyzna zacisnął zęby. Wściekłość walczyła w nim o lepsze z ulgą.

- Kriss, jesteś szalona! - wycedził. - Dlaczego przychodzisz tu sama? Przecież wiesz, że przez te swoje wizje tracisz siły, a w górach.

- Dlaczego jestem tu sama? - Kriss uśmiechnęła się blado, nie otwierając oczu. - Sverre, rozejrzyj się! Przecież nie pozostał już nikt!

- Jestem ja, jest Skygge! - Dłoń mężczyzny zmierzwiła sierść na wilczym łbie. - Jest Gunnar, są inni! Kriss, nie możesz.

- Gdzie są ci inni? - zapytała sennie dziewczyna. - Gdzie? Wyrzekli się swego dziedzictwa, zapomnieli o swych korzeniach, porzucili nas. Żyją z

dala od świata legend. Są teraz zwykłymi ludźmi, mają zwyczajne problemy. To dobry wybór, lepiej zrobili od tych, którzy poszli za Czarnym Złem.

- Jak Ragnar. - Sverre zacisnął zęby. - Wciąż nie mogę uwierzyć w to, że nas zdradził!

Wilk targnął łbem, a w jego żółtych oczach błysnęła nienawiść. Chrapliwe, złowrogie szczeknięcie poniosło się nad koronami drzew.

- Wierzysz w to, że ci, którzy nas zdradzili, powrócą wraz z Czarnym Złem? - zapytał mężczyzna.

- Wiara nie ma z tym nic wspólnego. Ja to widziałam, Sverre. Oni tu wróca, silni, zjednoczeni. Wybiją nas, zabiorą Bezimienną Dolinę. Okiełznają Króla Gór.

Spojrzenie Sverre'a mimowolnie skierowało się ku czarnemu, rozłożystemu drzewu na środku polany. Zapadał już zmrok i konary nikły stopniowo w ciemnościach, lecz ogrom jesionu wciąż budził nabożny szacunek. Mężczyzna podświadomie pochylił głowę.

- Jest nas tylko garstka - szepnęła Kriss.

- Co... - Sverre się zawahał. - Co tym razem powiedział ci Król Gór?

- Nie wiem. - Kriss znów zamknęła oczy. Zapomniana łza sunęła po jej brudnym policzku. - Nie rozumiem wszystkiego. Powiedział mi, że niedługo nasze ziemie zaroją się od ludzi, których jedynym zadaniem będzie zabijanie. Wśród nich będzie trzech, których przeznaczenie skieruje ku Bezimiennej Dolinie. Jednego wieść będzie chciwość, drugiego nienawiść, a trzeciego. Serce trzeciego nie zostanie skażone złem, choć będzie on usynowiony przez śmierć. On bowiem poznał dobrze jej tajemnice i kaprysy, lepiej od kogokolwiek z żyjących. Położy kres naszym wahaniom i cierpieniom, Sverre. On położy kres wszystkiemu.

Reflektor na duńskim brzegu raz jeszcze zamigotał natarczywie, domagając się odpowiedzi.

Wojtek sapnął i przeklął go w myślach.

- Ciągłe to samo - mruknął ktoś za jego plecami. - *What ship i what ship*. Mógłby chociaż.

- Bez gadania - odezwał się półgłosem dowódca, komandor podporucznik Eugeniusz Wilczak. - Kurs bez zmian.

Na mostku zapadła niemal zupełna cisza, przerywana jedynie mruknięciami oficera nawigacyjnego i cichymi komendami dowódcy. Wojtek przetarł oczy zmęczone od wpatrywania się w ciemności nad Sundem. Za nic w świecie nie chciał być teraz w skórze obserwatorów na pomoście bojowym, których zadaniem było lokalizowanie pław i latarniowców. Ziewnął szeroko, rad, że nikt go nie widzi. Na okręcie zaprowadzono bowiem całkowite zaciemnienie. Jedynie nad stanowiskiem nawigacyjnym i radiowym paliły się nieliczne lampy, a pojedyncze czerwone światło pozycyjne idącej przed nimi „Błyskawicy” niemalże nikło w mroku.

Podporucznik Wojciech Snieżewski, drugi oficer artyleryjski niszczyciela ORP „Grom”, czuł ogarniającą go senność. Był wysokim, szczupłym człowiekiem o gładkiej twarzy niemalże bez śladów zarostu. Krótkie, jasne włosy czesał na bok, co wraz z wiecznie zaróżowionymi policzkami i ciemnoniebieskimi oczami nadawało mu wygląd cherubinka, człowieka, który nigdy nie wydorósł. Jego ruchy były jednak oszczędne i pewne, a cała sylwetka emanowała energią i pewnością.

Teraz jednak, w półmroku mostku, Snieżewski z trudem powstrzymywał się od obgryzania paznokci. Jako oficer artyleryjski nie mógł pomóc zespołowi nawigacyjnemu, który prowadził okręt wśród mielizn płytkiego Sundu. Groźba konfliktu zbrojnego z Niemcami rosła z każdą chwilą, a razem z nią napięcie, ale oficjalne wypowiedzenie wojny jeszcze nie nastąpiło. Polskie okręty wciąż nie miały prawa do otwarcia ognia.

„Przekłety pech”, zaklął w myślach. Ledwie kilka godzin temu minęli dywizjon okrętów na kontrkursie. Niszczyciele i może lekkie krążowniki. Nikt nie wątpił, że to Niemcy. Tamci sunęli niespiesznie, w szyku liniowym, nieświadomi, że skryci w mroku Polacy odprowadzają ich lufami dział i wyrzutni torpedowych.

A może Niemcy płynęli do Zatoki Gdańskiej? Może mieli rozkaz, by o świecie otworzyć ogień na Hel, Jastarnię czy Gdynię?

„Boże, co my tu robimy?”, pomyślał Wojtek z rozpaczą, przymykając oczy, by nie patrzeć na uparcie migotające światło duńskiego reflektora. Pokład drżał lekko, wprawiony w vibracje mocą potężnych motorów, a woda szumiała wzdłuż burt. Ktoś zaklął, podając poprawiony odczyt, ktoś ziewnął nerwowo, ktoś stuknął blaszanym kubkiem. Choć cichy i zaciemniony, okręt żył własnym życiem.

„Wspaniały, szary smok”, pomyślał Wojtek, uśmiechając się gorzko w duchu. Wspaniały i potężny, lecz skrępowany niewidzialnymi linami rozkazów.

Od zawsze nazywał „Grom” smokiem, choć wiedział, że baśniowe określenia nie przystoją dorosłemu człowiekowi, a tym bardziej oficerowi okrętu wojennego. Lecz z własną fantazją nawet nie próbował walczyć. Smoki, czarownice i zaklęte góry były najdroższą pamiątką z dzieciństwa. Wypełniały mu opowieści, najpierw snute przez ojca, a później czytane samodzielnie. Nikomu o tym nie mówił, ale lubił baśniowe określenia i za żadną cenę nie chciał się z nimi rozstać.

Naraz stanął mu przed oczami beztroski obrazek z lat dziecięcych. Było słoneczne przedpołudnie, gdy ojciec zabrał go na spacer po Plantach. Szli wolnym krokiem, żartowali i raz za razem wybuchali śmiechem. Mały Wojtek trzymał w jednej ręczce ogromnego lizaka, a drugą ścisnął dłoń ojca, co chwila wznosząc ku niemu główkę.

- Naprawdę tak było, tato? - pytał z niedowierzaniem, a ojciec śmiał się do rozpuku.

Ojciec... Tak dobrze pamiętał jego cierpliwą, zadumaną twarz i brodę, która drapała, gdy przychodził pocałować go na dobranoc. Pamiętał jego grube okulary w rogowych oprawkach, poplamione atramentem palce i wiecznie zmierzwione włosy. Pamiętał jego gabinet pełen starych książek, zadumę na twarzy, gdy oglądał stare zdjęcia rodzinne. I przestрах w oczach, gdy syn w wieku osiemnastu lat oznajmił, że chce wstąpić do wojska.

„A może to właśnie jemu zawdzięczam? - pomyślał po raz setny. - Może gdyby nie opowieści o dawnych bohaterach, nigdy nie zapragnąłbym zostać żołnierzem?”

Przecież nie miał w sobie ani śladu wojowniczości. Choć był dzieckiem żywym i zadziornym, zawsze unikał bójek czy śmielszych psot. Niejednokrotnie wściekał się na siebie i wymyślał sobie od tchórzy, ale

fakt pozostawał faktem. Od walki stronił zawsze.

„A teraz dowodzę artylerią na najnowocześniejszym polskim okręcie - pomyślał z lekkim niedowierzaniem. - Ojciec by się za głowę chwycił”.

Otworzył oczy i spojrzął na skryte w ciemnościach brzegi. Ojciec umarł właśnie tam, w cichej, słonecznej Danii, rok temu w sierpniu. Jak zwykle spędzał lato w Kopenhadze, gdzie wespół z kilkoma kolegami z miejscowego uniwersytetu prowadzili jakieś badania historyczne, bodajże nad wyprawą hetmana Czarnieckiego. Odszedł nagle, bez ostrzeżenia. Potrącił go samochód, gdy wychodził wieczorem z uniwersytetu.

Wojtek poczuł smutek, że jest tak blisko, a jednocześnie nie może odwiedzić jego grobu. Przeszło mu przez myśl, iż być może kolejna szansa długo nie nadejdzie.

- Jest pan wolny, Śnieżewski - odezwał się niespodziewanie porucznik Dzielski, pierwszy oficer artylerii. Jego twarz była ledwie widoczna. - Pańska wachta dobiegła końca.

- Tak jest. - Wojtek otrząsnął się z zadumy. - Stanowiska w pogotowiu bojowym, działa załadowane pociskami burzącymi.

- Dziękuję. Miłej nocy.

Wojtek ruszył w kierunku kajuty, którą dzielił ze Staszkiem Łękiem, oficerem nawigacyjnym, ale rozmyślił się i wyszedł na pokład od strony prawej burty. Była piękna noc. Rzeńskie morskie powietrze smakowało doskonale, niebo jarzyło się gwiazdowym pyłem, a daleko, na szwedzkim brzegu, migotały pojedyncze światełka rybackich wiosek. Za rufą białął kilwater okrętu, a dalej Wojtek dostrzegł niki, pojedyncze światło pozycyjne „Burzy”.

- Magiczna noc - westchnął, opierając się łokciami o reling.

- Celnie pan to ujął - powiedział ktoś obok niego.

- Panie komandorze! - Wojtek nagle wyprężył się na baczność.

- Spocznijcie, poruczniku. - Dowódca niszczyciela, komandor Eugeniusz Wilczak, uśmiechnął się lekko i ziewnął szeroko. - Nie bawmy się w konwenanse podczas magicznych nocy. Tym bardziej że pewnie niewiele nam ich zostało. Ma pan jakiegoś papierosa?

- Obowiązuje zaciemnienie, panie komandorze - bąknął nieśmiało Śnieżewski.

- A mnie zaraz szlag trafi, jak sobie nie zapalę - burknął dowódca. - Tu będziemy osłonięci. No, ma pan tego papierosa czy nie?

- Naturalnie. Proszę.

W ciemnościach błysnął promyk zapalki i obaj, dowódca i jego podwładny, zaciągnęli się dymem.

- Niech pan mówi - powiedział nagle Wilczak.

- Co mam mówić?

- Nie dręczą pana wątpliwości? - Dowódca wydmuchnął niebieskawy kłęb natychmiast porwany przez wiatr. - Niechże pan nie żartuje. Ma je pan wypisane na twarzy.

- Myślałem o ojcu - bąknął Wojtek. - Jego grób jest w Kopenhadze.

- Tak, przypominam sobie. Profesor Andrzej Śnieżewski, światowej sławy historyk i archeolog. - Komandor pokiwał głową. - Czytałem jego opracowania na temat legendy Jomsborga. Bardzo ciekawe wywody.

- Miło mi to słyszeć - rzekł Wojtek ze wzruszeniem. - Naprawdę, komandorze... Jestem bardzo dumny z dokonań ojca, ale.

- A ze swoich pan nie jest? Dobry z pana oficer, Śnieżewski. Pański ojciec również miałby powody do dumy.

- Pewnie tak, choć nie pochwalał mojej decyzji wstąpienia do wojska. - Wojtek westchnął. - Wpadł w panikę, gdy mu o tym powiedziałem. Chciał, bym szedł w jego ślady i został nauczycielem i badaczem. Po wielu dyskusjach i kłótniach ostatecznie zezwolił mi na wstąpienie do Szkoły Morskiej w Gdyni. Teraz jednak. - urwał.

Mimo ciemności czuł, że dowódca bacznie mu się przygląda.

- Teraz jednak... - powtórzył Wilczak, zaciągając się mocniej. Jego twarz rozświetlił żar papierosa. - Wiem, co pan ma na myśli. Być może to ostatnie dni pokoju, nasz kraj szykuje się do wojny, a my opuszczamy Gdynię i pod osłoną ciemności wiejemy do Wielkiej Brytanii! Przemykamy niczym złodzieje przez Sund, bojąc się nawet odpowiedzieć na sygnały z brzegu! Trzy największe polskie okręty! Psiamać, Śnieżewski, nie podoba się to panu i ma pan rację. - Milczał przez chwilę, po czym podjął wątek. - Podporuczniku, wojna wisi na włosku. Zadaniem „Burzy”, „Błyskawicy” i „Gromu” jest dotarcie do Wielkiej Brytanii, nawiązanie kontaktu z admiralicją, a w wypadku niemieckiej inwazji eskortowanie wraz z Royal Navy konwojów z materiałami wojennymi do Polski. Podobnie jak pan sercem jestem z naszymi kolegami w kraju, ale rozsądek mówi coś innego. Na Bałtyku nie mielibyśmy z Kriegsmarine żadnych szans. Będziemy walczyć z portów brytyjskich wraz z Anglikami, z większymi

nadziejami na zwycięstwo.

Pstryknięty niedopałek zakreślił łuk w powietrzu i zniknął w falach.

- Nasz naród doprawdy wspaniale opanował sztukę umierania za wielkie sprawy. ✓ /

Śmierć jednakże nie jest sztuką dla sztuki. Śmierć musi czemuś służyć. Nie chcę dać się po prostu zabić. Chciałbym, by moja walka, a także śmierć, miały jakiś sens i to będę sobie powtarzał z każdą kolejną milą morską, która oddziela nas od Gdyni. Dobranoc.

Z tymi słowami Wilczak odwrócił się i zniknął w drzwiach.

„Śmierć nie jest sztuką dla sztuki”, powtórzył w myślach Śnieżewski. Nagle tknęło go przeczucie, że to zdanie ma znaczenie o wiele szersze niż tylko wsparcie na duchu tęskniącego za domem oficera. Znaczenie, z którego Wilczak nie zdawał sobie sprawy.

Śnieżewski, wpatrzony w ciemny, szwedzki brzeg, również nie wiedział, co to oznacza.

1.

Nie trzeba długo wędrować po Anglii, by natknąć się na jakieś tajemnice. W sierpniu 1939 roku starczyło ruszyć z Londynu na północ i minąć ciche miasteczko Welwyn, by pośród łąk i gajów brzozowych dostrzec stojącą samotnie dwukondygnacyjną rezydencję z ubiegłego wieku. Miejscowi znali jej nazwę - The Frythe - ale nie potrafili powiedzieć o niej wiele więcej. Rzecz jasna, pamiętali kilka anegdot z czasów, gdy zamieszkiwała ją dostojna rodzina Wilshere, znali również sporo historii z okresu, gdy służyła jako sentymentalny hotelik dla dżentelmenów z Londynu, ale od kilku miesięcy woleli na jej temat nie rozmawiać. Bo jak świat światem, nikomu paplanie o tajnej bazie MI-6 nie wyszło na zdrowie.

Tablica na wielkiej, żelaznej bramie rezydencji głosiła co prawda, że została zajęta na potrzeby szkoleń oficerów rezerwy RAF, ale miejscowi wiedzieli swoje. „Co to za ośrodek szkolenia pilotów bez pilotów?” - pytał z przekąsem stary Jack Hollyfield, gospodarz jedyne go pubu w Welwyn. Od czasu pojawienia się tajemniczej tablicy nie widziano tu przecież żadnego pilota, a wiadomo, że jeśli ktoś chce dotrzeć do The Frythe, musi w Welwyn spytać o drogę. Nawet miejscowi mieli kłopoty z odnalezieniem bocznej drogi do posiadłości, a co dopiero piloci, roztrzepane lekkoduchy, które na matce ziemi o własne nogi się potykały. W pubie Hollyfield's dobrze pamiętano podirytowanych dżentelmenów, którzy obiecali ukochanym żonom romantyczny weekend w wiejskiej posiadłości, a zmuszeni byli błądzić bez końca po piaszczystych drogach Hertfordshire.

O drogę do The Frythe tymczasem nie zapytał nikt od dobrych paru miesięcy, a kilkoro ludzi widziało, jak do posiadłości podjeżdżały czarne rolls-royce'y lub oldsmobile. Raz też przez Welwyn przemknął autobus z zaciemnionymi szybami, co wystarczyło, by bywalcy pubu Hollyfield's porzucili na zawsze temat dawnego hotelu. Byli przecież przezornymi, doświadczonymi życiem ludźmi, którzy wiedzieli, że miejsce wilka jest w lesie i naprawdę nie ma po co go stamtąd wywoływać.

Gdyby jednak któryś zdecydował się na odwiedzinę w rezydencji, przekonałby się szybko, że ta niewiele zmieniła się od czasów rodziny Wilshere. Ściany nadal porastał bujny bluszcz, a pod okapem wiły gniazda jaskółki. Kwitnące przed werandą klomby kwiatów pachniały odurzająco, pod oknami rosły modrzewie, a ścieżki wysypane były białym

1.

zwirem. Przy odrobinie szczęścia gość ujrzałby nawet grupy młodych, dobrze zbudowanych mężczyzn ćwiczących walkę na noże, ale był to rzadki widok, nawet w The Frythe.

Gdyby zaś zakradł się tam w nocy, mógłby pomyśleć, że ludzie z The Frythe uciekli, a teraz rezydencją władają duchy. Gdyby uczynił to tej właśnie nocy, ponurej

1 deszczowej, byłby tego pewien.

Na kilka minut przed północą uśpionym obejściem wstrząsnął bowiem straszliwy wrzask.

I znów świat oszalał.

Zawładnęło nim przerażenie i nie wiedział, dokąd ucieka. W jednej chwili słał się wśród chatynek z darni, potykając się o ciała mieszkańców poszatkiwane seriami z pistoletów maszynowych, by chwilę później walczyć z lodowatymi falami potoku. Później pęzał po kamienistym brzegu, krztusząc się i szlochając, raniąc łokcie i kolana. Z trudem zmuszał się do wysiłku, choć czasu na ucieczkę miał coraz mniej.

Nie musiał podnosić głowy, by widzieć języki lawy spływające po stokach wulkanu. Rozgrzane powietrze huczało i syczało, a obrazy traciły ostrość.

Szybciej! Szybciej...

Ziemia zadrżała i otworzyła się kolejna szczelina w zboczu. Czerwone strumienie lawy strzeliły w powietrze, po czym runęły w dół. Już wiedział, że się spóźnił.

Obrazy następowały po sobie jeszcze szybciej. Niszcząca lawa, która sunie naprzód. Jego bezwładne ciało osuwające się po zboczu. Szyderczy uśmiech na twarzy tamtego. Parabellum wolno unoszące się do strzału.

- Wszystko z panem w porządku?

Harrington odetchnął ciężko i rozejrzał się wokół półprzytomnym spojrzeniem. Powoli wracała do niego świadomość - był we własnej sypialni w The Frythe, za oknem wciąż wisiała gęsta noc, a zaniepokojony głos zza drzwi należał do pani Josephiny Timson, apodyktycznej gospodyni rezydencji.

Zamknął oczy i jeszcze szybciej je otworzył, umykając przed fragmentami koszmaru. Lawa. Śmiech. Wystrzał.

„Znów krzychałem przez sen”, pomyślał, rozcierając zaspane oczy.

- Oczywiście, wszystko w porządku! - zawołał, siląc się na normalny ton.

- Miło to słyszeć, drogi panie Harrington. - Głos pani Timson nawet w środku nocy był zrędlivy i lekko zdegustowany. - Pańskie złe sny to wina picia takich ilości dzinu z tonikiem, wielokrotnie panu powtarzałam. No ale cóż, jak kto sobie pościele. Dobranoc.

- Tak, oczywiście. Dobranoc - wymamrotał Harrington i spuścił nogi z łóżka. Przez moment po omacku szukał kapci, po czym narzucił szlafrok i podszedł do okna.

- Nic ci nie jest? - zapytał z lekką drwiną głos z ciemnego kąta sypialni. - Naprawdę?

Harrington zmełł w ustach przekleństwo i oparł dłonie o parapet.

Ulewa przybrała na sile. Ściana rześatego deszczu przesłoniła brzozy lasek rosnący wzdłuż gruntowej drogi dojazdowej, a światła nieodległego miasteczka Welwyn zamieniły się w nieśmiałe, zamazane plamki. Na drodze pojawiły się dziesiątki kałuż.

Na szkle ujrzał własne niewyraźne odbicie - surową, znękaną twarz okoloną rzadką brodą. Dotknął zalanej deszczem szyby i zapatrzył się na obwódki pary wokół palców. Lewa dłoń bezwiednie spoczęła na starej bliznie na piersi. Blizna pulsowała, jak zwykle podczas deszczu.

I piekła, jak zwykle po tym koszmarze.

Z nagłym westchnieniem Harrington odwrócił się i podszedł do barku. Drżącymi rękami nalał sobie porcję dzinu z tonikiem, po czym zapalił niewielką lampkę przy biurku, wydobyl z szuflady pokaźnej grubości kajet i ujął pióro.

12 sierpnia 1939, *The Frythe*

Sen znów powrócił. Po raz czwarty w ciągu dwóch ostatnich tygodni.

Mój niepokój rośnie. Ten sam koszmar, który jeszcze przed rokiem był ledwie zlepkiem zamazanych obrazów, teraz staje się niezmiernie wyrazisty. Czuję w nim zimno, gorąco, ból, nawet zapach siarki z wulkanu, a po przebudzeniu drżę i skręcam się z bólu. Zapewne znów się nie wyśpię, lecz nie to martwi mnie najbardziej.

Podświadomie czuję, że napięcie koszmaru oznacza zbliżający się przełom.

Wskazują zresztą na to wszelkie znaki na niebie i ziemi. Nad Europą wzbierają chmury, a wielcy tego świata ze wszystkich sił starają się ułagodzić żarłocznego Hitlera, lecz czy są w stanie zmienić cokolwiek? Mam złe przeczucia, doprawdy złe. Niemcy zagarnęli już Austrię i Czechosłowację, a teraz ostrzą sobie pazury na Polskę, ponoć naszego sojusznika. Czym to wszystko się skończy? Czy Chamberlainowi starczy

odwagi, by wypowiedzieć Niemcom wojnę, gdy ci zaatakują Polaków?

Niech mnie przeklną wszyscy antynaziści i patrioci, lecz mam szczerą nadzieję, że Chamberlain okaże się tchórzem.

Nie chcę tej wojny. Kiedyś nazwałbym wojnę wymysłem szaleńców, gotowych palić i zabijać w myśl urojonych idei czy nadmiernej pychy. Zbyt dużo jednak w życiu wycierpiałem, by móc dalej powtarzać ten frazes. Dzisiaj wybuch wojny oznacza dla mnie po prostu zamknięcie granic, zlikwidowanie ambasady w Berlinie i rozpad całej siatki informatorów. Wojna oznacza kres moich planów.

I zwycięstwo Tritza.

Na wszystkich bogów, koszmary stają się coraz gwałtowniejsze, a tymczasem nadzieja blednie. Połowa moich informatorów zamilkła ze strachu przed Geheimstadtspolizei, a reszta biega za własnym ogonem. Wciąż mam puste ręce i narastające przeczucie, że lada dzień nasz wyścig się zakończy.

I poniosę ostateczną klęskę.

Czyżby naprawdę nadchodził dzień finalnego starcia? Czyżby zbliżał się nowoczesny Ragnarok, rozgrywany siłami pancernych okrętów, broni maszynowej i samolotów? Jeśli tak, to Niemcom przyjdzie odegrać rolę płomiennego olbrzyma Surta, który spustoszył płomieniami cały świat. Płomieniami równie niszczyielskimi jak lawa owego wulkanu z mego snu.

Ogarnia mnie strach, że nie zdążę w owym Ragnaroku wziąć udziału.

Harrington pisał i pisał, pracowicie pokrywając kolejne kartki. Nie zauważył, że deszcz w końcu zelżał, a na ciemnym niebie pojawił się nieśmiały szary brzask. Pół godziny później do drzwi jego sypialni zastukała pani Timson, nie siląc się nawet na dyskrecję.

- Drogi panie Harrington! - Ostry głos starszej pani był pełen oburzenia. -

Proszę

natychmiast wstawać! Pańskie śniadanie lada chwila będzie gotowe, a na godzinę ósmą ma pan umówioną wizytę doktora MacCraiga. O dziesiątej spotyka się pan z dżentelmenami z wywiadu marynarki, a na pańskim biurku leży już świeża poczta z Berlina i Warszawy.

Harrington wyprostował się i przetarł zmęczone oczy. Za oknem wstawał już świt, wilgotny i ponury, w którym nieśmiało odzywały się

ptaki. Koszmar i związane z nim tysiące wątpliwości rozmywały się, a świat na nowo zyskał solidne, racjonalne podstawy. Znów nazywał się sir Andrew Harrington, był pułkownikiem armii oraz szefem Sekcji D brytyjskiego wywiadu Secret Intelligence Service.

- Każda wizyta doktora MacCraiga sprawia, że czuję się nieco gorzej - powiedział Harrington, patrząc przez okno, jak samochód doktora rusza wśród kałuż w stronę Welwyn. Czarny kocur w jego ramionach mruczał z zadowoleniem i mrużył zielone ślepka.

- Co też pan opowiada? - zawołała zdumiona pani Timson, zbierając filiżanki.

- Ależ drogi panie! - Harrington ze znanstwem przedrzeźniał głos zrzedliwego lekarza. - Nie jest pan przecież młodzieniaszkiem! Stanowczo nalegam, by sypiał pan regularnie, a także ograniczył spożycie whisky i palenie cygar! Ma pan pięćdziesiąt trzy lata, sir, i jeśli nie przestanie pan folgować swoim słabościom, obawiam się, że za rok będzie pan miał już pięćdziesiąt cztery!

- Trudno się z szanownym doktorem nie zgodzić - warknęła starsza pani. - Dużo pan pije, sypia pan nieregularnie, a pańskie koszmary budzą potem cały dom!

- Dobry Boże! - Harrington przewrócił oczami. - Czyżby doktorowi udało się panią przekupić? Cóż, cotygodniowe wizyty tego szkockiego sknery kosztują mnie tyle, że i na rozsądną łapówkę by mu starczyło!

- Chyba pan żartuje! - Pani Timson z rozmachem odstawiła tacę z filiżankami i ujęła się pod boki.

W jej oczach błysnął gniew i Harrington zrozumiał, że nieco się zagalopował. Pani Timson, korpulentna starsza pani o siwych włosach i drobnych, mocno zaciśniętych ustach, zarządzała posiadłością od kilkunastu lat i podczas ich kilkumiesięcznej współpracy Harrington nie znalazł ani jednego powodu, by ją zganić. Nie przeszkadzała mu nawet buńczuczna zrzedliwość, którą zresztą zawsze uważał za nieodłączną cechę charakteru dobrej gospodyni.

- Tak, oczywiście, że żartuję - powiedział szybko. - Mówiła coś pani o

korespondencji z Berlina i Warszawy?

- Listy są na pańskim biurku.

Harrington przeszedł do gabinetu, przytulnego pomieszczenia z wielkim kominkiem, masywnym biurkiem z ogromną liczbą szuflad oraz regałem uginającym się od książek. Na ścianach wisiało kilka zdjęć i rycin, wśród których centralne miejsce zajmowała reprodukcja dziewiętnastowiecznej mapy Islandii, a obok niej rycina przedstawiająca

mityczny Yggdrasill - Jesion Światów z mitologii nordyckiej. W pokoiku unosił się charakterystyczny zapach skórzanych obić, kurzu i starych książek.

Harrington pochylił się, by wypuścić kota na dywan, po czym zasiadł przy biurku. Gdy gospodyni weszła do gabinetu, niosąc filiżankę z herbatą, jej zwierzchnik był już całkowicie pochłonięty lekturą. Z zapalem przekładał korespondencję, co rusz poprawiając okulary na nosie, a czarny kocur, który w międzyczasie wskoczył na biurko i ułożył się przy kałamarzu, próbował łapą trącać rozdzielane koperty. Pani Timson postawiła filiżankę na biurku, roznieciła ogień w kominku i wyszła równie cicho, jak weszła.

Wtedy Harrington pozwolił sobie na potężne ziewnięcie. Czuł już skutki nieprzespanej nocy, a korespondencja z Berlina znów okazała się rozczarowaniem. Paczka zawierała jedynie krótki list od informatora w ambasadzie brytyjskiej oraz nowy numer czasopisma „Germanien”. Jego korespondent nie miał żadnej interesującej wiadomości, również w spisie treści czasopisma nie odnalazł nazwiska, którego poszukiwał. Sam przed sobą przyznał jednakże, że przejrzał ją bez wielkich nadziei, jedynie dla spokoju sumienia.

Po profesorze Michaelu Tritzu już dawno zaginał wszelki ślad.

Harrington bezwiednie potarł starą bliznę i zapalił cygaro, ignorując oburzenie w oczach kota. Ileż to lat minęło, odkąd zgubił trop tego przeklętego Niemca? Trzy? Nie, prawie cztery. Po zakończeniu ich wspólnej, niemalże zgubnej dla niego wyprawy na Islandię natknął się jeszcze dwukrotnie na jego nazwisko, gdy zaznawał terapii leczniczych w Bath, po czym Tritz zapadł się pod ziemię. Im dłużej zaś pozostawał nieobecny, tym większy był niepokój Harringtona.

- Ani widu, ani słyhu - oznajmił kotu i wydmuchnął kłęb dymu. - Nie wykłada na uczelni, nie pisuje do gazet, nie wygłasza odczytów. Po prostu znikł, Poe.

Poe musnął ogonem blat i odwrócił łebek, wyraźnie dając do zrozumienia, że dalsza rozmowa zupełnie go nie interesuje.

Harrington przekartkował raz jeszcze „Germanien”, podirytowanymi mruknięciami komentując krzykliwy ton artykułów, po czym ujął przesyłkę z Warszawy. Jej nadawcą był szef tamtejszej placówki SIS,

pułkownik Shelley.

Shelley nie odzywał się od ponad roku.

Tknięty nagłym przeczuciem Harrington rozerwał kopertę, wyłuskał ze środka zapisaną drobnym pismem kartkę i zagłębił się w treść.

Już po kilku pierwszych zdaniach jego serce przyśpieszyło tempa. Harrington dwukrotnie przeczytał list, po czym nagle wstał, podszedł do biurka i nalał sobie szkockiej na dwa palce.

- Niech szlag trafi MacCraiga - oznajmił bezgranicznie zgorzonnemu kotu. - Shelley właśnie znalazł świętego Graala.

Zadzwoił po gospodynię. Pani Timson zjawiała się natychmiast, jakby przez cały czas czuwała za drzwiami.

- O, widzę, że zalecenia doktora wywołują u pana zwiększone pragnienie... - zaczęła już od progu, ale Harrington nie dopuścił jej do słowa.

- Proszę natychmiast odwołać moje spotkanie z oficerami Naval Intelligence Division - oświadczył, dopijając whisky. - Powie im pani, że doktor MacCraig odkrył u mnie skłonności do ataków migreny przed południem, w związku z czym... Choć nie, komandor Philips to stary hipochondryk i przyjedzie tym chętniej, by o tym pogadać. Nieważne, proszę po prostu odwołać to spotkanie.. Czy major Gubbins przybył już do The Frythe?

- Tak, sir - odpowiedziała starsza pani. - Za kwadrans rozpoczyna zajęcia z tą bandą łotrów bez krzty.

- Proszę go na moment zawołać.

Poe uniósł główkę i spojrzał z przerażeniem na Harringtona. Nie znajdując u niego zrozumienia, natychmiast zeskoczył na podłogę i czmychnął z pokoju. Kilka sekund później na progu wyrosła potężna sylwetka majora Collina Gubbinsa, jednego z dwóch oficerów-instruktorów Sekcji D. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna ubrany jak zwykle w zwykłą tweedową marynarkę i jasny kapelusz. Jego zarumieniona, szczerą twarz jaśniała serdecznością i tylko potworna blizna na prawym policzku podpowiadała, że nie zarabiał na życie jako bibliotekarz czy kierowca taksówki.

Gubbins z trudem powstrzymał się od zasalutowania.

- Dzień dobry, panie Harrington - odezwał się tubalnym głosem, zdejmując kapelusz. Jego krótko przycięte rude włosy były wciąż wilgotne

od deszczu.

- Dzień dobry, majorze. Herbaty?

- Nie, dziękuję. Zaraz zaczynam zajęcia.

- Pani Timson przekazuje właśnie pańskim podopiecznym, że zajęcia rozpoczną się w niewielkim opóźnieniu. - Harrington wstał i zamknął za nim drzwi. - Zapewne wykorzysta też okazję, by wypomnieć im stan bielizny. Proszę usiąść, majorze. Pozwoli pan, że zadam panu kilka pytań.

- Oczywiście - odpowiedział Gubbins z zaintrygowaniem.

- Majorze, był pan kiedyś w Polsce?

- Niestety nie, sir. Mój dziadek przed Wielką Wojną mieszkał przez kilka lat w Danzig i nauczył mnie trochę niemieckiego, ale to wszystko, co mnie łączy z tym krajem.

- Niemiecki? - Harrington zmarszczył brwi. - Byłem pewien, że Polacy mówią po polsku!

- Tak jest, sir. Danzig jednakże zamieszkują głównie Niemcy.

- A po polsku pan przypadkiem nie mówi?

- Niestety nie.

- Wielka szkoda, ale trudno. - Harrington zapalił kolejne cygaro. - Mam dla pana ważne zadanie, majorze. Chciałbym, by udał się pan do Warszawy z pewną dyskretną misją. Podczas ostatniej narady Joint Intelligence Sub-Committee obilo mi się o uszy, że SIS zamierza wysłać tam grupę oficerów. Dołączy pan do niej.

- Ale.

- Z tego, co pamiętam, w Warszawie mieści się nasza misja wojskowa dowodzona przez generała Carltona de Wiart. - Harrington zamyślił się. - Sądzę, że uda mi się wciągnąć pana na stanowisko adiutanta generała, przynajmniej na chwilę.

- Z całym szacunkiem, sir, lecz co z ćwiczeniami Sekcji D? - Major zmierzwił włosy. - Dopiero co rozpoczęliśmy ćwiczenia z pierwszymi drużynami, a admirał Sinclair niebawem będzie chciał poznać efekty treningu.

- Gubbins, czy sądzi pan, że odrywałbym pana od ćwiczeń, gdyby sprawa była błaha? - westchnął sir Harrington. - Na czas pańskiej misji zastąpi pana major Grand.

- Rozumiem, sir. - Gubbins kiwnął głową. - Na czym ma polegać moje zadanie?

- Przekażę pan moje listy pułkownikowi Shelleyowi, majorze. To szef naszej placówki w Warszawie, którego zobowiązę do dostarczenia panu wszelkiej pomocy. Pańskie zadanie zaś, któremu nadaję kryptonim „Przeprowadzka”, będzie proste. - Przy tych słowach Harrington zawiesił głos i wydmuchnął kłęb dymu. - Sprowadzi pan do The Frythe pewnego człowieka. Pewnego szczególnego człowieka.

- Anglika? Niemca?

- Polaka.

2.

Pani Timson przymknęła oczy, głęboko wciągając wieczorne powietrze wciąż przepojone zapachem łąk. Świerszcze kończyły koncert, a pod stopami odległego wartownika chrzęścił żwir podjazdu, lecz poza tym dookoła The Frythe panowała błoga cisza.

Ugniatając w palcach papierosa, raz jeszcze wyliczyła swoje wieczorne obowiązki - rozwieszenie prania, podanie kolacji dla sir Harringtona i majora Granda, wyprasowanie garnituru szefa oraz zlecenie Tomowi, by wypucował automobil na poranny wyjazd do Londynu. Z zadowoleniem stwierdziła, że jak zwykle o niczym nie zapomniała. Nadeszła zatem pora na papierosa, zwyczajową nagrodę za dzień pełen ciężkiej pracy.

Zwyczajem wielu kobiet uważających się za niezależne pani Timson lubiła palić. Traktowała to głównie męskie zajęcie jako przywilej gospodyni wielkiej posiadłości i po upraniu żołnierskich drelichów zawsze żądała kilku papierosów. Chłopaki z Sekcji, których nieodmiennie wyzywała od łotrów, chętnie ją częstowali, twierdząc, że dobry tytoń dodaje ognia jej zrzędzeniu.

Dziś jednak wonny dym smakował niczym najgorsza trucizna.

Pani Timson zaciągnęła się mocno kilkakrotnie, po czym z niesmakiem upuściła niedopałek na żwirową ścieżkę i energicznie wytarła pulchną dłoń o fartuch. Odwróciła się w kierunku okna gabinetu Harringtona, w którym wciąż paliło się światło. Surową twarz nagle załagodziła troska i żal.

- Diabli nadali tę całą wojnę... - mruknęła. - Przecież ten człowiek się wykończy...

*4 wrze
śnia
1939,
The
Frythe*

Stało się to, czego obawiałem się najbardziej.

2.

Wydarzenia ostatnich trzech dni całkowicie wytrąciły mnie z równowagi i wątpię, czy uda mi się dzisiaj precyzyjnie przelać myśli na papier. Skupię się może zatem na konkretach. Pierwszego września Niemcy zaatakowały Polskę, a wczoraj, trzeciego września, Francja i Wielka Brytania postanowiły wywiązać się ze swoich nieszczęsnych zobowiązań sojuszniczych i wypowiedziały Hitlerowi wojnę.

I tak oto poniosłem porażkę.

Moje wytężone, trwające cztery lata poszukiwania przerywają się w tym momencie i Bóg jeden wie, kiedy będę mógł je znów podjąć. Placówka SIS-u w Berlinie została ewakuowana już 24 sierpnia, granice zamknięto, a ewakuacja konsulatów i ambasad z Niemiec właśnie się kończy. Mimo pozornych możliwości, jakie stwarza praca w wywiadzie, nie mogę liczyć na ludzi, którzy poszukiwali Tritza w moim imieniu. Ich praca nie przynosiła co prawda wielkich efektów, lecz przynajmniej czułem się spokojniejszy, wiedząc, że coś robię, nie pozostaję

bezczynny.

Teraz skazany jestem na bierność. Moje oczy na terenie Rzeszy zostały zamknięte.

Wojna! Któż potrzebuje tego masowego samobójstwa wywołanego przez garść szaleńców z przerostem ambicji! Prywatny interes wojskowych i przemysłowców! Krwawa zabawa, która staje na przeszkodzie odnalezieniu największej tajemnicy ludzkości!

Nie potrafię po prostu wyrazić przepętniającej mnie wściekłości.

Moją ostatnią, doprawdy ostatnią nadzieją jest major Gubbins, który od paru dni przebywa w Warszawie. Pokładam wiele nadziei w jego przedsiębiorczości, ale zdaję sobie sprawę, że wywiezienie człowieka Shelleya z Polski może okazać się ponad jego siły. Modłę się ze wszystkich sił o jego sukces.

Mój koszmar zaś nie pojawił się przez ostatni tydzień. Obawiam się, czy to również nie stanowi jakiegoś przesłania. Czyżby sny o przekłętej wyprawie do Krainy Ognia ustały dlatego, że utraciłem możliwość dalszej walki?

Pióro Harringtona śmigalo po kartach grubego dziennika, pozostawiając niespokojne zygzaki zdań. Spacerujący po parapecie Poe zerkał z niechęcią na świat zewnętrzny. Ogień trzaskał w kominku.

- Boisz się - powiedział głos z ciemnego kąta.

Poe obejrzał się z zainteresowaniem.

- Tak, boję się - odparł Harrington, nie przestając pisać. - Ty też powinieneś zacząć się bać. Osiągnęliśmy już tak wiele, a teraz nagle spoglądamy klęsce w oczy. Wszystko, co zbudowałem: moja pozycja, Sekcja D, kontakty w wywiadzie, może lada chwila okazać się równie bezużyteczne jak łódź bez dna.

- Ja nie umiem się bać. Mój strach umarł wraz z moim ciałem.

- Ale pozostała ci tęsknota za władzą oraz potęgą, mój drogi przyjacielu. - Harrington odłożył pióro. - Jak się czujesz na myśl, że złośliwy pech może ci to odebrać?

- Nie istnieje coś takiego jak pech! - Głos z ciemnego kąta zaśmiał się ironicznie. - Istnieje za to złośliwe przeznaczenie, śmiertelniku. Nie przejmuj się jednak. Choćby sam fakt, że w tej chwili rozmawiamy, oznacza, iż nas to nie dotyczy.

- Obyś miał rację - mruknął Harrington, zamykając dziennik.

Szczapy drewna w kominku strzeliły iskrami jakby na potwierdzenie tych słów.

Szczelina między podłogą a drzwiami kajuty dowódcy była ciemna i Wojtek Śnieżewski zawahał się. Spojrzał na zegarek - dochodziła dopiero siódma, a z tego, co zdołał zauważyć, komandor Wilczak nie miał w zwyczaju wcześniej kłaść się spać.

Niemniej jednak wieści z Polski wywróciły ich mały świat do góry nogami i Wojtek nie dziwił się już niczemu. Ludzie szlochali po kątach, krzyczeli na siebie bez powodu, by po chwili rzucić się sobie w ramiona. Doszło do kilku bójek, a oficerowie z trudem odnajdowali w sobie siłę, by narzucać dyscyplinę. Rozpacz i lęk o bliskich zamieszkały wśród nich na dobre.

Wojtek zagryzł wargi i zapukał do drzwi.

- Wejść! - W mocnym głosie dowódcy brzmiała jakaś obca, nieznana mu nuta.

Z wnętrza kajuty dobiegł rumor przesuwanego krzesła, po czym drzwi nagle stały otworem.

Śnieżewski z całej siły powstrzymał odruch cofnięcia się o krok. Dowódca gwałtownie wsparł się o framugę, w ostatniej chwili ustrzegając się od wypadnięcia na zewnątrz. Jego włosy były zmierzwione, twarz blada, a oddech cuchnął alkoholem. Wilczak powoli wyprostował się, a na jego usta wypłynął zgorzkniały uśmiech.

- Tak, podporuczniku? - spytał, unosząc jedną brew.

- Melduję, że wraz z matem Kopniewskim usunęliśmy awarię hydraulicznego podnośnika górnej przedniej wieży działowej.

Śnieżewski spojrzał nad ramieniem dowódcy i ujrzał pustą do połowy butelkę wódki. Jego wzrok natychmiast uciekł w bok.

- Wspaniale, podporuczniku. - Kwaśny uśmiech dowódcy pogłębił się.
- Cieszę się, że po... pofatygował się pan osobiście, by mi to powiedzieć.

- To element procedury pokładowej, komandorze. - Śnieżewski błędził wzrokiem po ścianach. - Uznałem, że.

- Za kilka dni ta cała procedura będzie nam tak sa... samo potrzebna

jak pańskie działa! - Wilczak parsknął śmiechem.

- Nie rozumiem pana, komandorze. - Śnieżewski zeszywniał. Niespodziewanie poczuł przyływ nieznanego mu lęku.

- Nie? Na. naprawdę pan niczego nie rozumie? Nie zorientował się pan jeszcze, że nas wykiwano? - Wilczak stracił na moment równowagę, lecz w ostatniej chwili chwycił się framugi. Jego oczy jaśniały groźnie. - Od czterech dni snujemy się od Leith do Rosyth, Anglicy nam sa.salutują, cywile na wyścigi wyrażają współ. współczucie, a tam, w domu.

- Wczoraj Wielka Brytania i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę, komandorze -

sucho powiedział Śnieżewski. Marzył o tym, by jak najszybciej wyjść na pokład.

- Trzy dni im zabrało, sukinsynom, zorientowanie się, że ich sojusznik toczy walkę na śmierć i życie! - niespodziewanie ryknął Wilczak. - Trzy dni! Jak pan myśli, podporuczniku, czy my wahalibyśmy się choć godzinę, gdyby ktoś zaatakował pieprzoną Francję? Wahalibyśmy się?

- Komandorze, ja nie wiem, czy.

- Ja też tego nie wiem, poruczniku. - Wilczak zaśmiał się dziko. - A wie pan, gdzie teraz są Niemcy z tym ich blitzkriegiem? Słuchał pan dziś radia? Może Wehrmacht rozgościł się już wygodnie w Kaliszu?

Nagle Śnieżewski przypomniał sobie, że dowódca był rodowitym kaliszanie.

- Panie komandorze, wszyscy ciężko to znosimy - zająknął się. - Ja również tęsknię za krajem, ale. A zresztą. Chyba powinien się pan położyć, komandorze.

Zdecydowanym ruchem Śnieżewski wepchnął dowódcę do jego kajuty, zatrzasnął drzwi, po czym wyrzucił butelkę wódki przez iluminator. Wilczak stracił równowagę i padł na kolę. Podporucznik uklęknął przy nim i zaczął ściągać mu buty.

- *Nasza flota, choć nieduża, wiernie strzeże portu bram!* - podśpiewywał dowódca.

- Niechże pan mi przynajmniej śpiewów oszczędzi. - Śnieżewski ułożył go na koi i przykrył go kocem. - Dobranoc.

Zatrzasnął z hukiem drzwi kajuty kapitańskiej i szybkim krokiem ruszył na pokład, gdzie z ulgą odetchnął chłodnym, ostrym powietrzem nocy. Podeszedł do relingu i stanął obok grupy marynarzy na wachcie rozmawiających przyciszonymi głosami.

- Stary się rozsierdził, co, poruczniku? - spytał jeden z nich, młody, bezczelny bydgoszczanin Pierka.

Snieżewski spojrzał na niego wzrokiem, który odbierał ochotę do dalszych pytań.

- Dla was komandor podporucznik, Pierka - powiedział głuchym głosem.

- Się wie, poruczniku.

- Macie jakiegoś papierosa?

Marynarz posłusznie wyciągnął pomiętą paczkę i poczęstował oficera.

- Gdzie reszta? - Snieżewski potarł zapalką o zaryskę, zapalił i zaciągnął się głęboko. - Porucznik Dzielski, podporucznik Łęk, oficerowie z „Błyskawicy” i „Burzy”?

- Wszyscy poszli do tej knajpy, panie poruczniku! - rzucił szczerbaty Koterba. - Tej, gdzie wczoraj nasi natłukli tym szkopom. - Zachichotał, a reszta wachtowych mu zawtórowała.

- Jakim znowu szkopom? - Snieżewski poczuł, jak ogarnia go niewytłumaczalna złość. Jego zaróżowione policzki załała purpura. - Nie wiem, co was tak cieszy, Koterba! Ci marynarze wszczęli pijacką bójkę z załogą holenderskiego frachtowca i zostaną pociągnięci do odpowiedzialności dyscyplinarnej!

- Jak to Holendrzy, panie poruczniku, to niech tak nie szwargocą, psia ich mać - zapiszczał mat Kisielak, który mimo mikrego wzrostu był najbardziej buńczuczny członkiem załogi. - Bosman Grzęda mówi, że chwilę jeno posłuchał, a taka złość go wzięła, że nie strzymał. Ino chłopaki z „Burzy” byli bliżej.

- Niech was ręka boska broni wszczynać kolejne bójki! - rzucił wściekle Snieżewski. - Tylko tego nam trzeba! Paki pełnej awanturników! Idę zobaczyć, co się dzieje w knajpie.

Porucznik ruszył w stronę trapu prowadzącego na keję.

- Dobrej nocy, poruczniku! - zawołał za nim mat Koterba. - A gdyby

pan zobaczył jakiegoś Adolfa, to niech pan nas zawoła! Nas tu kupa chłopa, a wszyscy uciechy spragnieni!

Zawtórował mu śmiech reszty wachtowych. Stojący na nadbrzeżu Snieżewski czuł, jak złość powoli go opuszcza. Zdobył się na krzywy uśmiech, pogroził pięścią marynarzom, po czym odwrócił się i ruszył w głąb zabudowań portowych Leith.

Daleko nie uszedł. Po kilku krokach zwolnił, by jeszcze raz zerknąć na zaciemniony basen portowy. Światło księżycy unosiło się na nieruchomych, oleistych wodach portu, obramowując sylwetki polskich okrętów wojennych. Ich szare sylwetki na poły skryte w ciemnościach znów wydały mu się groźnym niczym smoki.

Smukły, drapieżny nawet w bezruchu „Grom” przytulał się do kamiennego nadbrzeża szkockiego portu Rosyth, a do jego prawej burty cumowała „Błyskawica”. Za nimi widział maszty i anteny trzeciego okrętu, „Burzy”.

Trójka wygnańców.

Dywizjon polskich niszczycieli opuścił Oksywie trzydziestego sierpnia, by w myśl umowy Kierownictwa Marynarki Wojennej z admiralicją brytyjską dotrzeć do Wielkiej Brytanii przed ewentualnym wybuchem wojny. Stamtąd polski dywizjon miał przystąpić do konwojowania transportów z zaopatrzeniem wojennym dla zaatakowanej Polski.

Walka na pokładach niszczycieli rozpoczęła się rankiem pierwszego września, gdy radiostacje okrętowe odebrały pierwsze komunikaty o ataku hitlerowskich Niemiec na Polskę, ale wrogiem... wrogiem jednakże okazało się coś stokroć potężniejszego i bardziej zdradzieckiego od hitlerowców. Niemalże wszyscy członkowie załóg pozostawili w Polsce kogoś bliskiego i każdego przepelniał lęk i tęsknota za rodzinami, z którymi wielu marynarzy nie zdążyło się nawet pożegnać. Mesy i kubryki wypełniał szept przyciszonych, nerwowych rozmów. Ludzie pokazywali sobie zdjęcia żon, dzieci i narzeczonych, opowiadali o rodzinnych miejscowościach i pocieszali się nadzieją rychłego powrotu. Niektórzy płakali, wcale nie wstydząc się łez.

Wojtek był jednym z tych nielicznych, którzy nie pozostawili za sobą nikogo. Jego ojciec nie żył, matka odeszła z ich życia tak dawno, że zgoła nie pamiętał jej twarzy, a dziewczyny nigdy dla siebie nie znalazł. Mimo to również miał ochotę na łzy.

Zadanie ich, kadry oficerskiej, było dwakroć trudniejsze. Dręczeni własnymi lękami musieli przecież wspierać na duchu podwładnych. Marynarze zasypywali ich tysiącami niespokojnych pytań, na które należało układać zręczne odpowiedzi; takie, które z jednej strony nie okłamią, a z drugiej - nie zabiją resztek nadziei.

Paskudne, niewdzięczne zadanie.

Gdy okazało się, że na zebranie pierwszego konwoju do Polski przyjdzie jeszcze

począć, a okręty mają się wprawdzie udać do Rosyth, dowódca dywizjonu, komandor

porucznik Roman Stankiewicz, nakazał podjęcie prac porządkowo-konserwacyjnych na

wszystkich jednostkach. Snieżewski pochwalił w duchu rozkaz - pogrążeni w pracy marynarze mieli mniej sposobności do snucia smętnych rozważań, a poza tym okręty rzeczywiście należało przygotować do nadchodzących rejsów.

- *Halt! Identify yourself!*

Aż podskoczył, słysząc głośny okrzyk z silnym szkockim akcentem.

- *Lieutenant Wojciech Śnieżewski, the Polish Navy* - odpowiedział, próbując uspokoić szybko bijące serce, i odwrócił się, by podać przepustkę.

Ogorzały, przygarbiony staruszek w mundurze straży portowej przyjrzał mu się podejrzliwie, po czym w świetle latarki przejrzał wręczony mu dokument. Snieżewski widział, jak marszczy brwi, próbując odczytać polskie słowa.

- *It's all Polish, Im afraid.* - Uśmiechnął się.

- *Aye* - burknął strażnik, z wyraźnym niezadowoleniem oddając podporucznikowi przepustkę, lecz nagle jego pomarszczoną twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. - W radiu gadajom, żeście się Hitlerowi postawili! Hehe, dobrze mu tak, wymoczkowi. Zawsze żem żonce powtarzoł, że to suczy syn, ten cały Hitler. *Good night!*

- *Good night.*

Staruszek wymruczał jeszcze kilka słów i ruszył w stronę nadbrzeża. Porucznik patrzył za nim przez chwilę, lecz wtedy znów stanął mu przed oczami pijany dowódca okrętu.

Gdy wczoraj wieczorem gruchnęła wiadomość, że Wielka Brytania i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę, wśród załóg dywizjonu zapanowała euforia. Oczekiwano natychmiastowego wyruszenia na morze, rychłych bitew z Kriegsmarine i konwojów do Gdyni. Dziś okazało się jednak, że lepiej postąpili ci, którzy poskromili entuzjazm.

Okręty wcale nie wyruszyły z rana na morze. Dowódcy zamiast tego w galowych mundurach zeszli na ląd, by wziąć udział w oficjalnym spotkaniu z pierwszym lordem admiralicji. Komandor Wilczak powrócił na pokład dopiero po południu, z bladą, drgającą z wściekłości twarzą. Oficerom „Gromu” rzucił krótko, że admiralicja nie wyznaczyła jeszcze zadań dla polskich okrętów i nie wiadomo, kiedy to nastąpi, a na razie przekazuje załogom gratulacje i słowa otuchy.

Na domiar złego radio podało wiadomość o zatopieniu „Wichru”, czwartego

niszczyciela z ich dywizjonu, który został na straży Bałtyku.

Snieżewski miał coraz większą ochotę upić się jak Wilczak.

Knajpa, w której przesiadywali Polacy, nazywała się Gunner i była tradycyjnym miejscem spotkań załóg okrętów wojennych na przepustce, a więc gospodarz zadbał

o odpowiedni wystrój. Na ścianach wisiały oprawione zdjęcia pancerników Royal Navy, mapy morskie oraz koła sterowe żaglowców, a nad barem lśnił mosiądz prawdziwego dzwonu okrętowego. W dusznym powietrzu unosiły się smugi dymu tytoniowego. Snieżewski już od progu zauważył, że tego wieczoru nikt w Gunnerze nie jadł. Ludzie popijali piwo i rozmawiali z ożywieniem, a nawet ze wzburzeniem nierównym chórem, a gospodarz, zaróżowiony na twarzy grubas, przeciskał się wśród stołów z nowymi naręczami kufli.

- Dobry wieczór, panie podporuczniku! - powitał Snieżewskiego chór głosów i rumor odsuwanych krzesel.

- Dobry wieczór! - Snieżewski uśmiechnął się na widok rumianych twarzy

1 błyszczących od alkoholu oczu. - Spocznij!

Nie przepadał za zatłoczonymi knajpami i tłumami pijanych, nieobliczalnych ludzi. Gwar rozmów po polsku i chóralne powitanie odpędziły jego obawę, ale szybko zauważył, że jego rodakom daleko do prawdziwej marynarskiej wesołości. W zadymionym powietrzu unosił się niepokój, który marynarze na próżno starali się zagłuszyć wrzaskiem i pijaństwem. Tu i ówdzie dostrzegał nieruchomych ludzi zapatrzonych w trzymane kurczowo wytarte zdjęcie i raz za razem ocierających oczy.

W najciemniejszym rogu pubu widział grupkę stałych bywalców, starszych rybaków, którzy nieśpiesznie popijali piwo i przyglądali się gościom, z rzadka wymieniając jakieś słowo. Ich ogorzałe twarze wydawały się obojętne, bez wyrazu, lecz Wojtek miał wrażenie, że widzi w nich coś na kształt zrozumienia. Pośpieszył ku stołowi zajmowanemu przez młodszych oficerów na przepustce.

- Cześć, chłopaki - powiedział, siadając na jedynym wolnym krześle.

- Uff, dobrze, że jesteś, Śnieżek! - powitał go głośno porucznik Tomek Bilski, oficer nawigacyjny na „Burzy”. - Z tymi cholernymi Szkotami ni w ząb dogadać się nie idzie. Pyta się, który koniak? Ja mu mówię: „ten”! A ta cholera rozstawia dziesięć kieliszków!

Nikt się nie roześmiał z dowcipu.

- Są jakieś nowe wieści? - spytał podporucznik Marek Sędziola, pierwszy oficer mechanik na „Błyskawicy”.

- Nie, nic nie słyszałem - odparł Śnieżewski. - Byłem zajęty przy tym przeklętym podnośniku hydraulicznym jedyńki. Trzeba było to dziadostwo jeszcze na Helu wymienić.

- Hel daleko, Wojtek. - Pokręcił głową jego kolega z „Gromu”, oficer nawigacyjny Stanisław Łęk, z którego skłonności do choroby morskiej nabijali się jeszcze w Szkole Morskiej. - Kurewsko daleko.

- Za „Wicher”, chłopaki! - Bilski uniósł szklanke i wszyscy spełnili najsmutniejszy z marynarskich toastów.

- Kurwa mać, co my tu robimy? - Krystek Wojdyłło, drugi artyleryjski na „Burzy”, otarł nieposłuszną łzę. - Myślicie, że dali jakoś radę? No, nasi z „Wichru”?

- „Wicher” to dobry okręt, Krystek! - huknął Sędziola. - Dobry okręt z dobrą załogą! Na pewno zarabali tyle szkopów, że do końca wojny ich nie dogonicie na tej dziadowskiej „Burzy”!

Wokół stołu huknął gromki śmiech. Wojtek zatrzymał gospodarza i zamówił piwo dla siebie i kolegów.

- Szkoda, że nie przyszedłeś wcześniej. - Bilski zapalił papierosa. - Były tu chłopaki z Royal Navy, z jakiegoś „Maura”...

- Z „Maori” - poprawił go Wojdyłło. - HMS „Maori”. Byczy, brytolski destroyer.

- No! Każdemu postawili po szklanicy whisky z lodem i nic tylko klepali nas po plecach i „gudlak, gudlak” gadali!

- Jak Stasiu zobaczył, że Brytole whisky stawiają, to trzy razy podszedł się przedstawić! - Marian Łyczak, oficer broni podwodnej z „Błyskawicy”, parsknął śmiechem i klepnął Łęka w ramię. - Poznaniak z dziada pradziada, taka jego mać!

- Oj, Stachu, ciężko będzie poznaniakowi między Szkotami! - Wojtek wybuchnął śmiechem.

Gospodarz postawił przed nim kufel z piwem.

- Chłopaki, rany Julek, zejździe już ze mnie! - Łęk zarumienił się aż po koniuszki uszu. - Nie podszedłem trzy razy, tylko dwa, a to tylko dlatego, że nie poznałem tego wysokiego! A Maryś to.

Resztę słów nawigatora przerwał chóralny śmiech.

- Dajcie mu spokój i popatrzcie na siebie! - zawołał Wojtek, próbując zachować powagę. - Pamiętacie, jak Krystek poznał Wandzię? Z pustymi kieszeniami na randki biegał, a w kawiarni to ona płaciła!

- Przedstaw nas kiedyś swojej dziewczynie! - odciął się Krystek. - Bo już się jakoś doczekać nie możemy!

Śnieżewski uśmiechnął się, ale jakoś z przymusem. Nie lubił, jak mu koledzy wypominali brak zainteresowania spódniczkami, ale wiedział, że mieli rację. W liceum umawiał się co prawda z koleżankami, ale robił to bez przekonania, raczej pod naciskiem otoczenia niż z własnej woli. Choć nie był dziewczynom niechętny, szybko stracił zapał do flirtowania, a podczas studiów w Szkole Morskiej jego samotnicza natura w pełni doszła do głosu.

Mimo to postanowił się odciąć Krystkowi i już otwierał usta, gdy nagle ogarnęło go uczucie duszności. Miał wrażenie, że potężne dłonie obejmują jego szyję i zaciskają ją z całej siły. Jego twarz pokryła się potem, szarpnął za golf, ale bezskutecznie. Nie czuł ulgi, wręcz przeciwnie - kontakt z rzeczywistością rozluźniał się z każdą chwilą coraz bardziej.

- Wojtek? - Usłyszał czyjś zdziwiony, niespokojny głos. Z trudem rozpoznał Tomka Bilskiego.

Trzymany w dłoni kufel wyślizgnął się i roztrzaskał o podłogę.

Znowu był w kajucie kapitańskiej, ścigał buty Wilczaka, słuchał jego bredzenia...

- Stary. - wychrypiał.

- Co? - zapytał go chór przestraszonych, obcych głosów z wielkiej oddali. - Jaki stary? Stary?

- Komandor Wilczak.. - szeptał słabnącym głosem, osuwając się na ziemię. - Nie żyje.

Nad portem wojennym Rosyth z wolna wstawał świt, lepki i wilgotny. Mewy i rybitwy zerwały się z wrzaskiem ze sztagów i anten „Gromu”, gdy o pokład załomotały ciężkie buty.

Porucznik Śnieżewski cisnął niedopałek do wody i uniósł łokcie zeszywniałe od opierania się o twarde reling rufowy. Nie reagował na dreszcze zimna wstrząsające jego ciałem, nie patrzył na idących wzdłuż burty żandarmów. Nie widział niczego.

Przed oczami miał obraz kapitańskiej kajuty i obrzmiałą twarz komandora porucznika Eugeniusza Wilczaka. Patrzył na wywalony język i linkę mocno wrzynającą się w napuchniętą szyję. Wiedział, że ten obraz nie opuści go do końca życia. Nie to jednak tak bardzo go martwiło.

- Podporucznik Wojciech Śnieżewski? - Usłyszał pytanie zadane dobrze mu znanym głosem.

Ciężkie kroki wielu ludzi naraz ucichły.

Powoli się odwrócił.

Patrzył w twarz porucznikowi Sławomirowi Dzielskiemu, pierwszemu oficerowi artylerii i zastępcy dowódcy okrętu, równie bladą z niewyspania jak jego własna.

- Panie poruczniku, jest pan zatrzymany w sprawie śmierci komandora podporucznika Eugeniusza Wilczaka. Jestem zmuszony prosić pana o niestawianie oporu przy aresztowaniu. Zostanie pan zatrzymany przez żandarmerię portu wojennego w Rosyth aż do wyjaśnienia sprawy. - Zawahał się przy tych słowach. - Przykro mi, Wojtek - dodał szeptem.

3.

7 września 1939, Londyn

Nie wiem, która jest godzina, a boję się spojrzeć na zegarek.

Wiedziałem, że wyjazd do Londynu będzie złym pomysłem. Zdaje się, że czas w końcu uwierzyć drogiemu doktorowi MacCraigowi. Zmiana miejsca pobytu, diety i otoczenia w istocie źle wpływa na moje samopoczucie, tym bardziej że cały czas spędzam na bezcelowych obradach Joint Intelligence Sub-Committee. Banialuki, których zmuszony jestem tam wysłuchiwać, wywołują ataki niewystłowionej wściekłości, którą następnie gaszę niezliczonymi szklaneczkami dzinu.

Mój obecny stan trudno jednak przypisać frustracji zawodowej. Ów przeklęty koszmar właśnie powrócił, lecz zaklinam się na wszelkie świętości, że nigdy nie był tak przerażająco realistyczny. Nawet teraz, gdy siedzę i piszę, czuję pieczenie na kolanach i łokciach, które ranilem podczas snu. Aż trudno uwierzyć, że nie ma na nich nawet zadraśnięcia.

Nie to jednak było najpotworniejsze. Twarz mojego adwersarza, na sekundę nim znów nacisnął spust, zamieniła się w maskę potwora, a z lufy jego pistoletu strzeliła struga ognia podobna tym, które spływały po zboczach wulkanu. Krzyczał przy tym coś, czego niestety, zdjęty bólem, nie zrozumiałem. Ciskałem się w konwulsjach, a świat wokół mnie wybuchał, skąpany w lawie.

Dobry Boże, ciągle drzę. Nadal czuję ów straszliwy ból! Przeklinam cię, Michaelu Tritz!

Zaledwie kilka dni temu napisałem, że sny mnie opuściły, bo wypadłem z gry i Tritz pokonał mnie ostatecznie. Dlaczego więc powróciły? Czyżbym był na właściwym tropie? Czyżbym miał niebawem odnaleźć Niemca i odkryć sposób na wydarcie jego tajemnic?

Z niecierpliwością czekam na wieści od majora Gubbinsa

Huk był ogłuszający i Gubbins zatoczył się do tyłu, uderzając plecami o ścianę kamienicy. W okamgnieniu powietrze wypełniły kłęby pyłu i major

3.

zgiął się wpół, kaszłąc.

Minęła długa chwila, nim rękawem marynarki przetarł załzawione oczy, by spojrzeć w górę. Wciąż ogłuszony wybuchem śledził ciemny kształt bombowca nurkującego Ju-87 Stuka, który w nierealnej ciszy wznosił się nad ulicą.

Grunt znów zadrżał, a w pobliżu zawaliła się kolejna kamienica. Gubbins nagle odzyskał słuch. Przerażliwe odgłosy bombardowania - jękliwa syrena drugiego sztukasa, grzechot jego karabinów maszynowych i huk bomb - wdarły się gwałtownie do jego umysłu. Tuż nieopodal jakaś kobieta zanosila się histerycznym płaczem, gdzieś dalej biły w niebo osamotnione polskie boforsy.

„Tak wygląda piekło - pomyślał Gubbins, próbując wstać. - Musiałem nagrzeszyć jak jasna cholera...”.

Zakaszłał po raz ostatni i rozejrzał się niepewnie. Bombardowanie artyleryjskie Śródmieścia trwało już od wczoraj, lecz teraz dołączyła do niego Luftwaffe, do tej pory koncentrująca naloty na dzielnicach fabrycznych i liniach kolejowych. Ściany domów były poznaczone dziurami po kulach z broni maszynowej, ulice - zaścielone szczątkami gruzu, a witryny sklepowe ziały oczodołami wybitych szyb. Ludzie, którzy nie znaleźli w porę schronienia w piwnicach, teraz kulili się pod ścianami, z grozą wpatrując się w oddalające się niemieckie samoloty.

Przecnicę dalej dopalała się ciężarówka, z której wyskoczył niecałą minutę temu.

„Dwa samoloty, a tyle zniszczenia”, pomyślał z przerażeniem. Potrząsnął głową, zebrał siły i ruszył biegiem w kierunku ambasady. Lub tego, co z niej zostało.

Ziemia wciąż drżała od odległych eksplozji, lecz na ulicach pojawiło się więcej ludzi. Biegący Gubbins minął grupę zdesperowanych ratowników próbującą uwolnić starszego mężczyznę spod rumowiska ściany domu. Wzdłuż chodnika pędził cyklista z plecakiem pełnym białych strzępów nierówno pociętych na bandażę. Dwóch mężczyzn układało na noszach wątlego chłopca o twarzy zalanej krwią, a trzeci trzymał w ramionach rozpaczającą kobietę.

Pośrodku ulicy stał tramwaj, pusty, brudny od gruzu, z szybami wybitymi podmuchem wybuchu. Na schodkach leżała torba konduktora z rozsypanym bilonem, którego nikt nie zbierał.

Gubbins biegł przed siebie, próbując ignorować grozę chwili.

Bombardowanie na szczęście oszczędziło budynek ambasady, ale serce Gubbinsa ścisnęło się z żalu na jego widok. Urokliwy biały pałacyk dzierżawiony brytyjskiemu rządowi przez jakiegoś polskiego arystokratę wyglądał bowiem na wymarły. Okolony drzewami plac, na którym zazwyczaj kręcił się tłum petentów, był pusty, okna szczelnie zastawione workami z piaskiem, a nad dachem unosiły się snopy dymów z nieodległych pożarów. Nawet flaga Zjednoczonego Królestwa, zamiast dumnie łopotać na wietrze, owinęła się wokół masztu jakby zawstydzona.

Gubbins pchnął furtkę i przebiegł przez plac.

- *Not a single one!* - Usłyszał naraz znajomy głos i zatrzymał się. Kapitan Davies, pulchny, łysiejący oficer pułku Courtlaulds stał w cywilnym ubraniu między drzewami i przyglądał się przez lornetkę

odlatującym samolotom. - *Not a single one* - powtórzył z dezaprobatą kapitan i odjął lornetkę od oczu. - Nie trafili ani jednego.

- O czym pan mówi, Davies? - wymamrotał oszołomiony Gubbins.

- Nie trafili ani jednego z tych nazistowskich sukinsynów. - Davies wydał wargi i z flegmą schował lornetkę do kieszeni tweedowej marynarki.

- Ci nieszczęśni Polacy nie mają pojęcia o artylerii przeciwlotniczej! Zresztą, zważywszy na ich postępy w obronie własnego kraju, należy stwierdzić, że o niczym nie mają pojęcia!

- Dobrał pan sobie świetny moment na wygłaszanie komentarzy, kapitanie! - chrapliwie warknął Gubbins, próbując odsapnąć po biegu.

Gardło miał wyschnięte, wargi spękane, a między zębami zgrzytał pył.

- Moment dobry jak każdy inny, Gubbins. - Kapitan wzruszył ramionami. - A pan? Coś się pan tak przejął?

- Niech się pan przejdzie po ulicy, Davies, będzie pan wiedział. Po tym, co dziś

zobaczyłem, pozostaje mi się modlić, by niemieckie bomby oszczędziły Londyn!

- Niemcy bombardujący Londyn? - Davies kpiąco uniósł brwi. - No, teraz to głupstwo pan pałał. Doprawdy...

- Gdzie Shelley? - Gubbins tracił cierpliwość.

- Nie widziałem go dzisiaj. Przygotowaniami do ewakuacji kieruje Handscombe.

- *Bloody heli!* - zaklął Gubbins i wbiegł do holu pałacyku, cichego i wyludnionego. Gdzieś na prawym skrzydle uchyliły się drzwi i wyjrzał zza nich przestraszony mężczyzna.

- Majorze Handscombe! - zawołał Gubbins, a jego głos poniósł się echem we wnętrzu budynku. - Majorze?

- Niech pan tak nie krzyczy, Gubbins. - Szedł ku niemu sam major, wysoki, szpakowaty mężczyzna, wspierający się na lasce. Jego ubranie woniało dymem. - Teraz tym miejscem rządzą duchy. Nie chce pan chyba ich zbudzić, co?

- Nie pora na żarty, Handscombe! - warknął Gubbins. - Co tu się dzieje? Nie było mnie tu od dwóch dni, a miejsce.

- Wczoraj rano sir Kennard, nasz drogi ambasador, rozpuścił cały swój personel pomocniczy, wszystkich kancelistów, sekretarki i księgowych - powiedział Handscombe. - W ambasadzie nie ma nikogo

poza kilkoma członkami korpusu dyplomatycznego na wypadek sytuacji awaryjnych, a reszta jest w domach i szykuje się do ewakuacji. Właśnie palimy dokumenty w kotłowni.

- Do cholery, byłem pewien. - Zaskoczony Gubbins pokręcił głową.

- To panu zazdroszcze, Gubbins - przerwał mu Handscombe. - Bo ja nie jestem już niczego pewien w tym kraju. Milion żołnierzy, cztery tysiące dział, a Niemcy pędzą ich przed sobą jak stado baranów. Wczoraj nawiał ich rząd i dowództwo naczelne, a dziś rano doszło do pierwszej potyczki na przedpolu Warszawy, nie słyszał pan? Na co mamy czekać? Ewakuujemy się. Im prędzej, tym lepiej.

- W głowie się to nie mieści. - Gubbins westchnął. - Gdzie jest pułkownik Shelley? Muszę z nim pilnie porozmawiać, właśnie w sprawie owej potyczki na przedpolu Warszawy.

- Niech pan da Shelleyowi spokój. - Handscombe wyciągnął pierścionek z kieszeni marynarki i wziął tęgiego łyka, a potem poczęstował rozmówcę. - Nie ma go dzisiaj w ambasadzie.

- Handscombe, to pilne! - Gubbins pociągnął łyka, skrzywił się i oddał flaszkę Handscombe'owi.

- Jego polska żona zginęła dziś rano podczas nalotu, Gubbins. - Handscombe przetarł zmęczone oczy. - Niech Bóg błogosławi ten nieszczęsny naród. Na szczęście nie będzie pan potrzebował Shelleya, znam pańskie wytyczne. Dziś rano przyszła zaszyfrowana depecha z Londynu: „>Przeprowadzkę< wykonać natychmiast”. Powodzenia, majorze.

Nim zaskoczony Gubbins zdołał cokolwiek powiedzieć, major Handscombe odwrócił się i ruszył wymarłym korytarzem w stronę zejścia do kotłowni. Zapach spalenizny w powietrzu był coraz wyraźniejszy.

Gdzieś w centrum znowu zawyły syreny alarmu przeciwlotniczego. Gubbins westchnął i ponownie wyszedł na ulicę.

Załuskiego widział dotąd dwa razy.

Po raz pierwszy spotkali się na oficjalnym przyjęciu w ambasadzie, tuż po przyjeździe Gubbinsa do Polski. Były to ostatnie dni pokoju i na twarzach zaproszonych Polaków dawało się zauważyć napięcie, które na próżno starali się ukryć. Na tle swych rodaków, spiętych i wybuchających co chwila hałaśliwym, nerwowym śmiechem, hrabia Aleksander Załuski wyglądał jak lekko znudzony sztuką krytyk teatralny, który pali papierosa

podczas antraktu.

Major Collin Gubbins doskonale znał się na ludziach. Doświadczenie wojenne zdobywał w Irlandii, gdzie walczył z antyrządowymi grupami. Była to brudna wojna, toczona na wsiach, przedmieściach i w dzielnicach biedoty, gdzie wiarygodny raport o miejscu pobytu grupy dywersantów był cenniejszy od stu karabinów. Zdarzało się, że separatyści podrzucali fałszywe informacje, by wciągnąć Brytyjczyków w pułapkę. Oficer pozbawiony intuicji czy nieznający się na ludziach często kończył swą karierę w ciemnym zaułku z nożem wbitym pod żebro. Gubbins zaś spędził w Irlandii siedem długich lat i działałby tam zapewne dłużej, gdyby nie zainteresowała się nim Sekcja D sir Andrew Harringtona.

Staż Gubbinsa był rekordem nie do pobicia, o czym zadecydował przede wszystkim jego niezwykły zmysł do czytania w ludzkich sercach i duszach. Gubbins natychmiast wykrywał kłamstwa w głosie nawet najbardziej doświadczonych łgarzy, a jeden rzut oka na twarz obcej osoby nierzadko starczał mu, by mógł trafnie ocenić jej intelekt, usposobienie, a nawet intencje.

Gdy spojrzał na oblicze Załuskiego, od razu zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem wielkiego formatu. Polski hrabia stał prosto, nonszalancko paląc papierosa i przyglądając kciukiem bujne wąsiska. Wyglądał na około czterdzieści lat, lecz krótko przycięte włosy przyprószyła już siwizna. Twarz emanowała spokojem, a nawet lekkim znudzeniem, a w siwych oczach Załuskiego, okolonych siateczką pierwszych zmarszczek, Gubbins odkrył błyskotliwość zabarwioną odrobiną cynizmu. Nie zdziwił się też wcale, gdy Polak odezwał się najczystsza, oksfordzką angielszczyzną.

Tak, ten człowiek z pewnością przyciągnąłby jego uwagę, nawet gdyby sir Harrington nie nakazał mu sprowadzić go do Anglii.

Nie mógł sobie przypomnieć, o czym rozmawiali podczas przyjęcia w ambasadzie, lecz co do joty pamiętał rozmowę, która odbyła się w restauracji hotelu Savoy dwa dni później. Trwał ciepły sierpniowy wieczór, który później okazał się przedostatnim wieczorem pokoju. Napięcie na ulicach miasta było wyczuwalne - ludzie przystawali w grupkach i długo rozprawiali przyciszonymi głosami, młodzież odbierała pierwsze powołania do wojska, a w nawoływaniu gazeciarzy roznoszących „Kurier Warszawski” zabrakło tradycyjnej buńczuczności, choć gazety rozchodziły

się w okamgnieniu. Ludzie łapczywie pochłaniali wiadomości z pierwszych stron, szukając nadziei na uniknięcie wojny, a na przejeżdżających ulicami ułanów patrzono z mieszaniną niepokoju i dumy.

Załuski jednakże wydawał się równie spokojny jak wcześniej na przyjęciu. Spokojnie palił papierosa, wodząc oczami od Shelleya do Gubbinsa, i beznamietnie opowiadał im o największej tajemnicy polskiego wywiadu.

O sukcesie operacji „Schweibe”.

- Niech mnie kule biją, po tym, co dzisiaj usłyszeliśmy, rozgryzienie kodu Enigmy to fraszka, Gubbins - westchnął pułkownik Shelley, gdy wracali wieczorem do domu. - Dzięki swym zabiegom ten człowiek znał kulisy niemieckiego ataku na Polskę już dwa miesiące temu! Nie wolno nam go wypuścić z rąk! Dzięki niemu będziemy mogli dokonać cudów, Gubbins! Cudów!

„Nie wolno nam go wypuścić - huczało w głowie biegnącego Gubbinsa. - Nie wolno...”.

Anglik w ostatniej chwili uskoczył przed rozpędzonym wozem strażackim. Gdzieś wybuchały bomby lotnicze, wysoko na niebie mruzczały sztuczki powracające z bombardowań.

- Nie wolno nam go wypuścić. Tylko jak ja go, kurwa, znajdę w tym piekle? - wrzasnął, potknąwszy się o przewróconą latarnię uliczną.

Biegał i szukał. Stłuczone kolano piekło nieznośnie, a podrażnione dymem i pyłem oczy łzawiły. Dzielnica, w której mieszkał Załuski, padła ofiarą bombardowania niemieckiej artylerii i pokaszujący Gubbins znalazł się w labiryncie szarych ulic, wzdłuż których wyrastały dymiące, częściowo zniszczone kamienice. Z każdą chwilą tracił nadzieję - Shelley przekazał mu adres Załuskiego, ale Gubbins nie umiał go wymówić. Nawet odczytanie nazwy ulicy z tabliczki sprawiało mu pewną trudność. Zatrzymywani Polacy ignorowali go lub obrzucali przestraszonymi spojrzeniami.

Pozostało mu jedynie zdać się na łut szczęścia. Biegał zatem wśród tłumów oszołomionych ludzi, szukał, patrzył, próbował pytać. Wysilek przytępił jego zmysły, a wpatrywanie się w brudne, zrozpaczone twarze znieczuliło go na nieszczęście.

Niespodziewanie ktoś szarpnął go za ramię i ofuknął głośno, po polsku. Oszołomiony Gubbins odwrócił się i ujrzał znajomą, przybrudzoną pyłem

twarz z sumiastymi wąsami. Zaskoczenie odebrało mu mowę.

Załuski nachylił się i jeszcze raz warknął po polsku.

- *I don't speak Polish, I'm afraid...* - wymamrotał Gubbins.

- Ach, to pan, panie Gubbins! - Załuski uniósł głowę. - Dość nieprzyjemne okoliczności, przyzna pan sam. Bądź pan na tyle uprzejmy i chwyć się za te nosze.

- Panie Załuski, szukałem pana, bo.

- Weź pan te cholerne nosze! - ryknął Polak. - Zaraz tu chłopaka stratuja!

Teraz dopiero Gubbins zauważył, że Załuski nachyla się nad zaimprovizowanymi noszami, na których spoczywał młody człowiek, na oko najwyżej dwudziestoletni. Zakryta pledem klatka piersiowa poruszała się szybko, niemalże konwulsyjnie, a na brudnej od pyłu twarzy kroplił się pot.

Posłusznie ujął za drągi i ruszył za Załuskim.

- Dobrze pana słyszałem? - zawołał niespodziewanie Polak. - Pan mnie szukał, tak?

- Tak! - odpowiedział Collin, również krzykiem. - Przychodzę z rozkazu pułkownika Shelleya!

- Ach, to wspaniale! Proszę pozdrowić ode mnie pułkownika i.

- Panie Załuski, nie ma czasu na konwenanse! Mam pana zabrać z Warszawy! Jest pan zbyt cenny dla wywiadu brytyjskiego, by zostawać w tym mieście! Muszę pana odstawić do...

W powietrzu narastał gwizd opadającego pocisku artyleryjskiego.

- Gubbins, uprzejmość pańskich szefów jest urzekająca, ale ta propozycja wydaje się cokolwiek nie na miejscu. Shelley chyba.

Bliska eksplozja zagłuszyła resztę słów odwróconego doń plecami Załuskiego. Ziemia zadrżała i w ostatniej chwili złapali równowagę, by uchronić rannego od upadku.

- Niczego pan nie rozumie, Załuski! - ryknął Gubbins. - Ta propozycja nie ma nic wspólnego z uprzejmością! Jest pan w posiadaniu ważnych tajemnic wojskowych, na których może skorzystać sojusz polsko-brytyjski, a poza tym.

Załuski niespodziewanie zatrzymał się i niemalże cisnął noszami o bruk. Gdy się odwrócił, jego twarz była purpurowa z gniewu.

- Coś pan powiedział? - wysyczał, zaciskając dłonie na połach

marynarki Anglika. - Sojusz polsko-brytyjski? O jakim sojuszu ty mówisz, człowieku? Spójrz! Spójrz w górę! - wykrzyczał ostatnie słowa, drżącym palcem wskazując sztukasy, które wznosiły się lekko, uwolnione od ciężaru bomb. - Gdzie są wasze samoloty, sojuszniku? Gdzie są dumne eskadry Royal Air Force? Coście dla nas zrobili, Gubbins? Coście nam dali poza garścią obietnic bez pokrycia i na poły szyderczych uśmieszków za naszymi plecami?

- Załuski, nie rozumie pan, że.

- Zamknij się pan i słuchaj! Sojusz to współpraca i obopólna korzyść, Gubbins, czego pan ani ten cholerny Shelley nie rozumiecie za grosz! Ponoć dostaliście od nas Enigmę i to powinno wam starczyć, Gubbins. Z dobrej woli nigdy w życiu nie zdradziłbym wam kulisów operacji „Schweibe”, ale dostałem wyraźny rozkaz od mojego szefostwa. - Twarz Załuskiego na przemian bladła i pokrywała się złowrogim rumieńcem. Chłopak na noszach jęczał, lecz żaden z nich tego nie słyszał. - Musiałem to zrobić, choć niech mnie szlag trafi, jeśli to zrozumiem. Oddajemy wam wszystko, co mamy, a wy spokojnie patrzycie, jak nasz kraj wali się w gruzy. Czy to tak.

Ostatnie słowa Załuskiego utonęły w coraz głośniejszym ryku potężnego niemieckiego silnika lotniczego Jumo o mocy tysiąca stu koni mechanicznych. Gubbins spojrzał ponad ramieniem gestykulującego Polaka i z przerażeniem dostrzegł błyskawicznie powiększający się kształt bombowca nurkującego Junkers Ju-87. Pod skrzydłami samolotu rozciągniętymi w kształcie wydłużonej litery W nie było już bomb.

- Sztukas! - krzyknął Gubbins i niewiele myśląc, pchnął Załuskiego w kierunku małego zagraconego podwórka.

Dwa karabiny maszynowe, umieszczone w skrzydłach Junkersa, zajazgotały ułamek sekundy później. Pociski kalibru 7,92 skrzesaly długą linię iskier na bruku, przeorały porzucone nosze i wspięły się po ścianie zamykającego ulicę gimnazjum. Silnik zawył na wyższych obrotach, unosząc samolot na wyższy pułap, a wtedy dachy i bruk omiótł chaotyczny, lecz morderczy ogień strzelca pokładowego.

- O Boże. - jęknął po polsku Załuski, patrząc na krwawy strzęp, w który zamieniło się niesione przed chwilą przez nich ciało.

Na jego twarzy pojawiła się głęboka rozpacz.

Gubbins przetaił piekące oczy. Miał dość wrażeń jak na jeden dzień.

- Panie Załuski, proszę mnie posłuchać - powiedział cicho, lecz Polak nawet nie drgnął, wciąż wpatrzony w zakrwawione nosze. - Posłuchaj mnie pan! - Szarpnął polskiego agenta za ramię, straciwszy cierpliwość.

Załuski drgnął jakby wyrwany z głębokiego transu.

- Jeśli ma pan ochotę wylewać na mnie swe żale, to proszę bardzo - wycedził przez zaciśnięte zęby Anglik. - Jeśli chce mnie pan obarczyć winą za opieszałość mojego rządu, również zapraszam. Krzycz pan ile chcesz, ale proszę pamiętać, że podobnie jak pan, jestem agentem wywiadu i obowiązują mnie rozkazy moich przełożonych, które w tym przypadku są wyjątkowo jasne i przejrzyste. Mam pana zabrać z tego nieszczęsnego, zapomnianego przez Boga miasta, a potem bezpiecznie wywieźć z Polski!

- Ja też mam swoich przełożonych, Gubbins!

- A gdzie oni są, Załuski? - Major zaśmiał się gorzko. - Już spieprzyli z Warszawy czy dopiero się pakują? Po waszym sztabie generalnym oraz rządzie śladu już nie ma! Trudno im się zresztą dziwić, skoro...

- Skoro zostaliśmy sami na łodzie! - Polak niemalże wypluł te słowa. - Zapomniani przez wszystkich! Rozumie pan to?

- Załuski, mam zamiar zabrać pana w miejsce, gdzie będzie pan mógł ten problem rozważyć w nieskończoność. Podobnie jak i inny, którego jeszcze najwyraźniej pan sobie nie uświadomił. Wtedy w Savoyu powiedział pan mnie i Shelleyowi, że dzięki powodzeniu operacji „Schweibe” przekazał pan swemu rządowi dokładny plan niemieckiej inwazji na Polskę już trzy miesiące temu. W pieprzonym czerwcu! Czy ktokolwiek w ogóle pański raport przeczytał?

Załuski nie odpowiedział, nadal patrzył na zakrwawione ciało.

- Źle pan czyni, zrzucając całą winę na nas, Brytyjczyków, panie Załuski - zakończył smutnym głosem Gubbins. - Dość tego gadania. Nie ma tu angielskich czy francuskich żołnierzy, to fakt, ale są dalej, na zachodzie i za kanałem La Manche. Jeszcze przyjdzie czas, by nauczylili Adolfa trochę rozumu, a pan, hrabio, może w tym pomóc albo przeszkodzić. Jeśli uniesie się pan honorem i zostanie w Warszawie, nie zyska pan nic poza wątpliwą przyjemnością uciekania przed gestapo. Jeśli zaś pójdzie pan ze mną, Załuski, sukces pańskiej operacji zostanie nareszcie wykorzystany. I może mniej będzie na świecie takich widoków.

Wskazał przy tych słowach zmasakrowane nosze.

Przez długą chwilę Załuski nie mówił nic, po czym odezwał się cichym, zmęczonym głosem.

- Będę jednak musiał wziąć kilka rzeczy z mojego mieszkania. Jeśli jeszcze stoi.

4.

Sir Andrew Harrington ponownie stłumił dłonią ziewnięcie.

Poe, drzemiący na gzymsie kominka, otworzył oczy i spojrzał nań karcąco. Długi, gęsty ogon zakrył na moment górną część tarczy zegara, a gdy ponownie się uniósł, Harrington aż sapnął ze zgrozą.

Dochodziła dwudziesta trzecia.

- Słusznie, Poe, słusznie - rzucił cicho w stronę kota. - Powiniennem już być w łóżku. Jeszcze się doktor MacCraig dowie i znów zmyje mi głowę!

Nawał obowiązków po wybuchu wojny oraz burzliwe narady w JISC zabierały mu większość dnia, ale wieczorem znajdował czas, by usiąść do zapisków w dzienniku. Przelewanie myśli na papier stało się dla niego obowiązkowym rytuałem i czuł się niekomfortowo, zostawiając pamiętnik w The Frythe na czas wyjazdów. Wolno zamknął pióro i od niechcenia przekartkował gruby, ciężki kajet. Z rozrzewnieniem uśmiechnął się przy początkowych stronach - pierwsze zapiski pochodziły jeszcze z roku 1936.

„Mój Boże, a więc to już tak długo trwa?”, pomyślał z niedowierzaniem i przeniósł spojrzenie na kota, który spacerował na krawędzi gzymsu z dumnie uniesionym ogonem. Trzy, niemalże cztery lata poszukiwań, starań i wyrzeczeń, które niemalże przeciął wybuch wojny. Do czasu, gdy major Gubbins zatelefonował z brytyjskiej ambasady w Bukareszcie, nie żywił już żadnej nadziei.

Pokręcił głową i sięgnął po szklaneczkę ze szkocką whisky.

- Zgadza się, za to też by mnie obrugał - przyznał kotu, który fuknął i demonstracyjnie odwrócił łebek. - Głupie kocisko - mruknął i wychylił resztę zawartości szklanki. Topniejące grudki lodu zachręściły o ścianki.
- Dobrze, Poe, nie dąsaj się. Zasiedziałem się trochę, przyznaję. Jutro za to pozwolę memu steranemu ciału dłużej poleżeć w pościeli. Zgoda?

Kot miauknął coś w odpowiedzi i przystąpił do wylizywania futra.

Z ciemnego kąta pokoju dobiegł cichy, szyderczy chichot.

- A ty co znowu? - burknął Harrington.

- Świetnie się bawię, gdy na ciebie patrzę. Oto stateczny dżentelmen, który postępuje wbrew zaleceniom lekarza i tłumaczy się z tego własnemu kotu.

- Ten sam dżentelmen jednakże jest bliski odnalezienia właściwego tropu w wieloletnich poszukiwaniach, Krętaczu. A owoce owych poszukiwań może wykorzystać sam. - Wzrok Harringtona naraz załśnił

4.

złowrogo, a usta wykrzywił złośliwy uśmiech. - I opowiedzieć o tym kotu.

- Nie zrobiłbyś tego - powiedział głos po długiej chwili.

- Dlaczego? - Harrington uniósł brwi i wstał ciężko z fotela, narzucając na ramiona szlafrok.

- Bo uratowałem ci życie.

- Tylko dlatego, że miałeś w tym interes. - Anglik wyłączył stojącą na biurku lampę. - Służ mi wiernie, Krętaczu, to zobaczymy, czy zasłużyłeś na nagrodę. Od dawna nie mam z ciebie pożytku.

- Jak to? - W głosie niewidzialnego zabrzmiało oburzenie. - Przecież to dzięki mnie jesteś tym, kim jesteś...

- Cicho już bądź.

W gabinecie zapanował półmrok rozświetlany jedynie przez przez tłące się bierwiona w kominku oraz blask księżyca w pełni. Harrington wyprostował plecy zeszywniałe od długiego ślęczenia nad dziennikiem i podszedł do okna. Bluszcz na ścianachach rezydencji lśnił srebrem w blasku księżyca. Po polach i łąkach wokół The Frythe snuły się delikatne pasma mgły, ale światła Welwyn, miast stać się rozmazaną feerią barw, znikły całkiem w mroku. Odkąd wprowadzono rozkaz o całkowitym zaciemnieniu, wieczorny krajobraz wokół The Frythe zyskał na tajemniczości.

Naraz coś przykuło jego uwagę. Od strony miasteczka dostrzegł drobny, poruszający się ognik. Pośpiesznym ruchem wydobyl okulary z kieszeni kamizeli i nałożył je na nos. Ognik stał się wyraźniejszy, a chwilę później rozdzielił się na mniejsze. Patrzył na odległe jeszcze światła przysłoniętych reflektorów samochodowych.

- Chyba mamy gości - powiedział cicho, zdejmując okulary. - Mam nadzieję, że to nie ci nudziarze z Naval Intelligence Division.

Rozległo się dyskretne pukanie, po czym drzwi gabinetu otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

- Drogi panie Harrington, do posiadłości zbliża się samochód - oznajmiła pani Timson, patrząc na przelożonego z naganą. - Czy zdaje sobie pan sprawę z tego, która jest właśnie godzina?

- Tak, droga Josephino - odpowiedział lekko rozbawiony Harrington. - Nie sądzi pani jednak, że sprawy wagi państwowej mogą na moment stać się ważniejsze od przyzwyczajień naszych ułomnych ciał?

- Wątpliwe. - Pani Timson zmierzyła go krytycznym spojrzeniem. - Gdybym to ja była królową brytyjską, z pewnością nie powierzyłabym spraw państwowych człowiekowi, który nieregularnie sypia, źle się odżywia i pije za dużo whisky.

- Pani jest królową The Frythe, pani Timson. To starczy - powiedział Harrington, zdejmując płaszcz z wieszaka.

Z najciemniejszego kąta pokoju dobiegł cichy chichot.

Szef Sekcji D zamknął drzwi do gabinetu i zszedł na schody rezydencji, skąd ujrzał bramę otwieraną właśnie przez kilku żołnierzy z ochrony. Nim

zdażył zejść na dół schodów, żwir drogi podjazdowej zachrząścił pod oponami rolls-royce'a. Silnik zgasł, drzwi od strony kierowcy otworzyły się i oczom Harringtona ukazała się potężna sylwetka majora Collina Gubbinsa. Z drugiej strony wysiadł nieznajomy człowiek, który wyprostował się i bacznie rozejrzał wokół.

- Dobry wieczór, sir! - Gubbins po raz kolejny z trudem powstrzymał odruch oddania salutu. Na poznaczonej blizną twarzy malował się szeroki uśmiech. - Proszę mi wybaczyć najście o tak późnej porze, ale dotarliśmy do Londynu raptem przed dwoma godzinami i chciałem jak najszybciej.

- Oczywiście, majorze. - Harrington skinął głową. - Ogromnie się cieszę, widząc pana w dobrym zdrowiu. Wieści z Polski wywołały mój głęboki niepokój. Byłbym niepokieszony, gdyby trafił pan do niewoli podczas awantur z hitlerowcami.

- Podczas tej awantury, jak pan to nazywa, mój kraj stracił swą niepodległość - odezwał się oschłym tonem tajemniczy towarzysz Gubbinsa. Jego angielszczyzna była tak czysta i nieskazitelna, iż mogła należeć tylko do dobrze wyedukowanego obcokrajowca. - A gwoli ścisłości ci „awanturnicy” nie wzięliby dzielnego majora Gubbinsa do niewoli, ale zastrzelili go po prostu jak tysiące innych.

- A pan to zapewne... - Harrington uśmiechnął się, wyciągając dłoń.

- Hrabia Aleksander Załuski, sir. - Nieznajomy wyprostował się. - Pracuję dla polskiego wywiadu.

Nawet jeśli Harrington zawahał się na ułamek sekundy, ściskając dłoń Załuskiego, to nie dał tego po sobie poznać.

- Miło mi pana poznać, Załuski. Zapraszam do środka. Po tak emocjonującej podróży z pewnością napije się pan sherry z lodem, nieprawdaż?

Na widok Gubbinsa Poe zjeżył sierść, prychnął wściekle i śmignął pod nogami Załuskiego na zewnątrz.

- Doprawdy, majorze, nie rozumiem antypatii, którą żywi dla pana mój zwierzak. - Harrington pokręcił głową, wprowadzając gości do gabinetu. - To cudowne zwierzę, sprytne i mądre. Czasem żałuję, że

okrutna ewolucja pozbawiła koty umiejętności mowy. Zapewne sporo byśmy się od nich dowiedzieli. Proszę, panie Załuski. Spocznie pan w fotelu?

- Dziękuję, może później.

Załuski bacznie rozejrzał się po przytulnym gabinecie Harringtona i podszedł do ściany, na której wisiało kilka oprawionych zdjęć. Zatrzymał się przed mapą Islandii, a Gubbins nachylił się nad kominkiem, ułożył nowe szczapy i poruszył żar pogrzebaczem. Na ścianach pokoiku żywiej zatańczyły cienie.

- Wątpię, czy chcielibyśmy wysłuchać, co koty mają nam do powiedzenia. - Załuski przyglądał się pierwszemu zdjęciu. - Tym bardziej że mając siedem żywotów w zapasie, z pewnością nie ubierałyby prawdy w piękne słówka.

- Celna uwaga! - Harrington roześmiał się, otwierając niewielki barek. - Whisky z lodem czy dżin z tonikiem?

- Dżin, jeśli można. Kto jest na tym zdjęciu?

- Na którym? - Harrington uniósł spojrzenie znad szklanek i butelek. - Ach, to rodzina Wilshere, od dawien dawna właściciele tych ziem. Rezydencję The Frythe wzniesli w 1846, a tuż przed wojną zamienili ją na ekskluzywny hotel. Na ich nieszczęście spodobała się ona oficerom naszego wywiadu, którzy w sierpniu zarekwirowali ją na potrzeby wojenne.

- Na potrzeby wojenne? - Załuski ujął szklankę z dżinem podaną mu przez Gubbinsa i zamoczył usta. - Wreszcie znajomy akcent. Widzi pan, Harrington, mam wrażenie, że sam również zostałem zarekwirowany na potrzeby wojenne.

- Hrabio, ileż mam panu tłumaczyć. - Gubbins uniósł się znad kominka.

- ...że działa pan w imię wartości wyższych? - spytał z przekąsem Załuski. - Tysiące razy, majorze, a zapewniam pana, że nigdy do końca tego wytłumaczenia nie przyjmę. Przyznam, sir - zwrócił się w kierunku Harringtona - że siedziba Secret Intelligence Service wywarła na mnie hmm... dziwne wrażenie.

- The Frythe, panie Załuski, to siedziba Sekcji D - powiedział Harrington. - Jesteśmy podporządkowani SIS, ale cieszymy się sporą niezależnością, zwłaszcza w kwestii doboru tematów szkoleń.

Polak znieruchomiał i obrzucił przeciągłym spojrzeniem najpierw Harringtona, a potem majora Gubbinsa, po czym wolno odstawił szklanę z dżinem.

- Chyba czegoś nie rozumiem - rzekł po chwili milczenia. - Proszę mi to wyjaśnić.

- D jak „Destruction”, panie Załuski. - Gubbins roześmiał się i wygodnie rozparł w fotelu. - Tutaj szkoli się ludzi do działań dywersyjnych. Podkładanie i rozbrajanie bomb, walka wręcz, metody infiltracji. Zaryzykowałbym twierdzenie, że jest pan pierwszym obcokrajowcem, który.

- Majorze, naszemu gościowi nie o to chodzi. - Harrington uniósł dłoń. - Nurtuje pana wątpliwość, dlaczego znalazł się pan tutaj, w ośrodku szkolenia dywersantów, a nie w kwaterze głównej SIS, w Londynie?

Chłodny, nieprzenikniony wzrok Załuskiego starczył za całą odpowiedź.

- Hmm. - zadumał się Harrington. - Obawiam się, że nie umiem panu odpowiedzieć jednym zdaniem.

- Nie szkodzi. Po ostatnich dwóch tygodniach w towarzystwie pana Gubbinsa mam dość podróży i chwilowo nigdzie się nie wybieram.

- Doskonale. Majorze, jest pan zmęczony po podróży, a nasza rozmowa potrwa jeszcze długo. Nie miałby pan ochoty udać się już na spoczynek?

- Słuszna uwaga, sir. - Gubbins powstał i skłonił się lekko, najpierw gościowi, a później swemu przełożonemu. - Dobranoc, panowie.

- Proszę wybaczyć mi frywolną uwagę na temat pana narodu, na którą pozwoliłem sobie na schodach rezydencji - oznajmił Harrington po wyjściu majora. W jego palcach pojawiło się cygaro. - Nie zasłużył pan na kpiny, a co więcej, ma pan wszelkie powody, by uważać mnie i moich rodaków za zgraję sprzedawczyków. Mimo szeroko reklamowanego sojuszu między naszymi krajami poza formalnym wypowiedzeniem wojny Niemcom Wielka Brytania uczyniła nader niewiele, by Polsce pomóc. Na tym nie koniec. - Harrington zamilkł na moment, wypuszczając kłęb wonnego dymu. - Jeszcze mniej uczyniła, by pomóc sobie.

Załuski nie powiedział ani słowa, wolno wyciągając papierosa z paczki. O drzwi gabinetu zachrobotyły pazurki kota.

- Cokolwiek pan na ten temat uważa - ciągnął Harrington - jesteśmy

po tej samej stronie barykady. Przyznam z bólem, że brytyjski wywiad SIS jest w oplakanyam stanie. Sieć naszych placówek w Europie przed wojną nie działała doprawdy nic poza przepuszczeniem bajońskich sum na rzekomo wiarygodnych informatorów, a dorobek ich pracy jest mizerny. Jesteśmy ślepi i głusi, panie Załuski,. Na domiar złego ciało koordynujące pracę wywiadów Wielkiej Brytanii, Joint Intelligence Sub-Committee, grupujące SIS, kontrwywiad MI-5, służby wywiadowcze wszystkich rodzajów broni oraz kilka innych przekomicznych grup przebierańców, zajmuje się głównie sporami i przepychankami politycznymi. Zebrania JISC, w których zmuszony jestem uczestniczyć, to żalosne widowisko. Proszę sobie wyobrazić, że owi dzentelmeni uważają naszą sekcję za organizację półbandycką, której działalność nie licuje z honorem żołnierza i oficera. Pan natomiast w pojedynkę rozpracował „Fall-Weiss”, plan niemieckiej inwazji na Polskę.

Niespodziewanie oczy Harringtona błysnęły drapieźnie.

- Nie, sir. - Załuski wydmuchnął kłęb dymu. - Myli się pan. To nie moja zasługa.

- Zbędna skromność, drogi panie. Raport o sukcesie operacji „Schweibe” w ramach współpracy między naszymi wywiadami już dawno trafił na biurko admirała Sinclaira, szefa SIS. Został jednakże zignorowany, podobnie jak w pańskim kraju. Na szczęście raporty przekazywał do Wielkiej Brytanii mój długoletni kolega, szef placówki SIS w Warszawie, pułkownik Shelley. Drogi Frank uznał za stosowne przesłać kopię również i do mnie, a ja, wiedząc, że major Gubbins ma niebawem udać się do Polski jako pracownik sztabu generała Carltona de Wiart, poleciłem mu, by pana sprowadził.

- A do czego jestem panu potrzebny, można wiedzieć? - Załuski zmarszczył brwi. Długi słupek popiołu z zapomnianego papierosa opadł na oparcie kanapy. - Prowadzi pan własne gierki w JISC, Harrington? Chce pan zabłysnąć przed waszym królem i premierem jako ten jedyny sprawiedliwy?

- Bynajmniej. - Harrington uśmiechnął się kpiąco. - Bynajmniej. Przewiezienie pana do The Frythe to mój wkład w obronę tego nieszczęsnego kraju.

- Wzrusza mnie pański patriotyzm, sir. - Załuski strzepnął niedopałek do gasnącego kominka. - Wybacz pan, ale w naszym fachu obowiązuje

najwyższa ostrożność i podejrzliwość. Nie mogę się opędzić od wrażenia, że pańska zmowa z pułkownikiem Shelleyem w gruncie rzeczy ma na celu uczynienie ze mnie narzędzia Korony Brytyjskiej. Uch, przejęczyłem się. Nie Korony, ale Sekcji D. D jak Destruction.

- Ostrożność pana zwodzi. Sukces operacji „Schweibe” sprawił, że jest pan osobą niezwykle cenną dla każdego wywiadu. Nie mogłem pozwolić, by został pan w Warszawie, tak samo nie mogę oddać pana do dyspozycji szefostwa SIS! Po upadku Polski w naszym wszechpotężnym wywiadzie zapanował ogromny chaos. Nie chcę dopuścić do tego, by owoce pańskiej pracy zostały zmarnowane!

- Harrington, co mają oznaczać słowa „nie mogę”? - Załuski wyszczerzył zęby. - Do licha ciężkiego, sukces „Schweibe” nie daje panu żadnego prawa do dysponowania moją osobą! Cholera, jestem Polakiem! Pracuję nie dla SIS czy Sekcji D, ale dla II Oddziału Polskiego Sztabu Generalnego!

- Panie Załuski, przecież nie jest pan więźniem - powiedział ze znużeniem Harrington. - Jeśli sobie pan zażyczy, major Gubbins w każdej chwili może odwieźć pana do Londynu, do polskiej ambasady, a stamtąd bez trudu dostanie się pan na kontynent. O ile mi wiadomo, od kilku dni działa we Francji wasz rząd emigracyjny. Zapewne przetrwało przy nim jakieś szczątkowe kierownictwo waszego wywiadu.

- Mówiłem, że mam dość podróży? - Załuski wstał i uchylił drzwi. Kot wpadł do środka ze zjeżoną sierścią i natychmiast skoczył na kolana Harringtona. - Masz ci los, zawsze palnę jakieś głupstwo. Dobrze, że nie przynosiliśmy moich walizek z samochodu.

- Niech jednak zada pan sobie pytanie, czy robi pan słuszny ruch, Załuski - dokończył Harrington cichym, lecz dobitnym głosem.

Polak stał do niego tyłem, miażdżąc klamkę drzwi. Naraz uświadomił sobie, że w gabinecie ponownie zapanował półmrok, zupełnie jakby świeże szczapy zdażyły się już wypalić. Wzrok gospodarza wiercił mu w plecach dwie gorące dziury.

Odwrócił się powoli. Księżyc zdażył przesunąć się na inną ścianę rezydencji i za oknem wisiała nieprzenikniona ciemność. W kominku pulsował nikły żar. Twarz Harringtona przypominała białą plamę pośród mroku, a jego otwarte szeroko oczy lśniły intensywnie.

Załuski nagle uświadomił sobie, że nie słyszy żadnego odgłosu, nawet

tykania zegara na gzymsie kominka. Oblizwał nagle suche wargi.

- Zawsze może pan udać się do swoich - powiedział cicho Anglik. - Zawsze. Niech pan jednak pamięta, że ciężar prowadzenia wojny już nie będzie spoczywał na barkach pańskich rodaków. Od tej pory wojnę prowadzić będzie Wielka Brytania, a pan może w tym pomóc lub przeszkodzić.

- Przed chwilą mówił pan o Londynie i polskiej... - zaczął ochryplym głosem Załuski, lecz Harrington nie dał mu dojść do słowa.

- Może pan więc udać się pod opiekuńcze skrzydła pańskiego rządu i tam bawić się w niezawisłość. Z drugiej strony może pan powiadomić swoich zwierzchników o pobycie w The Frythe i stąd koordynować dalszy ciąg operacji „Schweibe”. Dla obopólnej korzyści. A nawiasem mówiąc, jak się to wszystko panu udało? Ma pan wysoko postawionego agenta w Wehrmachcie, tak?

- Tak - rzekł niechętnie Polak.

- Domyśliłem się. - Uśmiechnął się Harrington. - To co? Zostanie pan w The Frythe, prawda?

- Tak - odparł Załuski, ze zdumieniem patrząc, jak wokół jego ust pojawił się obłoczek pary.

- Doskonale. - W głosie Anglika zabrzmiał niespodziewanie smutek. - Znalazłem wreszcie zadanie dla ciebie, Krętaczu.

- Co takiego? - Mimo ogarniającego go przerażenia Załuski zdobył się na oburzenie.

- Ostatnie słowa nie były skierowane do pana. - W oczach Harringtona błysnęło zimne wyrachowanie, a między palcami pojawił się kamyk z wygrawerowanym runem. Rozbiegane spojrzenie hrabiego nagle znieruchomiało, uwięzione przez moc prostego symbolu. - To taka stara sztuczka naszych przodków, panie hrabio - szeptął Harrington. - Run *pertho*, run tajemnicy i ukrytego znaczenia. Proszę opowiedzieć wszystko o operacji „Schweibe”, drogi panie hrabio, a ty, Krętaczu, szykuj się do swej nowej roli.

Przerażony, wciąż wpatrzony w run osunął się na kolana. Kątem oka dostrzegł, że blask księżyca przygasł, jakby przesłoniła go jakaś niematerialna postać, a potem otoczyła go ciemność. Ostatnią świadomą myślą była konstatacja, że zgodnie z nakazem Anglika zaczął opowiadać. Josephina Timson czuła, że tej nocy nie zaśnie. Nie miała pojęcia, jak

długo przewracała się na łóżku i wpatrywała w ciemność otwartymi oczami, próbując przyzwać sen. W końcu wstała z głośnym przekleństwem, narzuciła wełniany sweterek na koszulę nocną i wyszła z pokoju.

- Matka zawsze mówiła, że nic nie robi lepiej na sen niż szklanka ciepłego mleka - burknęła, przekraczając próg.

Przez szerokie, mansardowe okna wpadały strumienie bladego światła księżycowego, które zamieniało mrok korytarzy w błękitną poświatę. Zamazane twarze na portretach zdawały się śledzić jej kroki, a modrzewie w ogrodzie kołysały się wolno. Gospodyni czuła osobliwą woń starych rezydencji - zapach kurzu, środków czyszczących i starych dywanów.

Z przyzwyczajenia przystanąła na chwilę przed drzwiami gabinetu Harringtona. Dobiegła zza nich cisza, co oznaczało, że szef Sekcji D poszedł wreszcie spać. Naraz owionęła ją fala wielkiego zimna.

- Pewnie palił cygara i zostawił otwarte okno, by przewietrzyć gabinet - mruknęła cicho, zapinając górne guziki swetra. - Dorosły człowiek, a zachowuje się jak sztubak - fuknęła. - Ech, jutro zamknę - dodała półgłosem, gdy wstrząsnęła nią kolejna, tym razem mocniejsza fala dreszczy.

Ruszyła ku kuchni, nieświadomie przyśpieszając kroku. W ciemnościach miauknął kot i Josephina niemal krzyknęła.

Z niespodziewaną ulgą powitała dobiegający z dołu brzęk szklanki i ciche, siarczyste przekleństwo.

- Mieszkasz w tej rezydencji od lat, głupia babo - skarciła samą siebie. - Może duchy zaczynasz widywać, co?

Pośpiesznie zeszła po szerokich, krytych czerwonym sukniem schodach. Niedomknięte drzwi do jednego z pokoiów pozostawiały szparę, przez którą biło światło. Podeszła bezszelestnie i ujrzała majora Gubbinsa stojącego plecami do drzwi, z tweedową marynarką przerzuconą przez ramię.

- Niech pani wejdzie - powiedział cicho.

- Skąd pan wiedział, że tu jestem? - zapytała zaskoczona.

- Doświadczenie z Belfastu. - Gubbins wzruszył ramionami. - Kilkakrotnie wyszedłem cało z opresji tylko dlatego, że poczułem czyjś wzrok na swych plecach. A pani... Cóż, pani nawet nie starała się iść cicho.

- Dobrze sobie. - Pani Timson prychnęła, udając oburzenie, choć nadal była nieco przestraszona. - Ja... ja szłam właśnie do kuchni po mleko i...

- I zrobiło się pani nieswojo? - Gubbins uśmiechnął się lekko. - Nic dziwnego. Coś niedobrego wisi w powietrzu. Ech, proszę tak nie stać. Niech pani wejdzie.

Pani Timson poczuła, że się rumieni. Palił ją wstyd, że stoi w koszuli nocnej przed męskim pokojem niczym ładacznica, lecz z drugiej strony myśl o podjęciu wędrowni przez korytarz napawa ją lękiem.

- Ma pan rację, to dziwna noc. I zimno, a przecież dopiero wrzesień. Ale ja muszę po mleko.

- Mam coś o wiele lepszego.

Weszła do środka. Nieduże pomieszczenie kontrastowało z elegancją rezydencji swym skromnym urządzeniem. Prócz dwóch krzeseł w pokoju stało jeszcze proste łóżko z żelazną ramą, surowe biurko z włączoną lampką nocną oraz szafa, o dziwo, opatrzona sporym zamkiem. Gubbins podsunął gospodyni Timson krzesło, a potem ujął butelkę whisky stojącą na biurku w cieniu lampki. Sprawnie napełnił dwie szklanki i jedną podał gospodyni domu. Oboje, żołnierz i gospodyni, umoczyli usta w alkoholu.

- Wróciłem dziś z Warszawy, nieszczęsnego, bombardowanego przez hitlerowców miasta - powiedział nagle Gubbins. - Wyrwałem stamtąd człowieka, który nie chciał wyjeżdżać, patriotę o szlachetnym sercu. Powinienem się cieszyć z wykonanej misji, ale jakoś mi markotno.

Pani Timson pokiwała głową, dopinając guziki sweterka. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Jak nas pani czasem nazywa? - Gubbins pokręcił głową. - Hultajami?

- Nie, skądże! - obruszyła się gospodyni, odruchowo poprawiając kok siwych włosów. - Czasem tylko, jak się rozsierdę... No, raz czy dwa nazwałam was łotrami.

- Bo my jesteśmy łotrami. Bandytami. Gangsterami. Cholera, co ja też pani opowiadam. Proszę o wybaczenie, pani Timson, ale jakoś. Jakoś nie mam humoru.

- Jest pan zmęczony. - W głosie starszej pani znów zabrzmiała stanowczość doświadczonej gospodyni. - Musi pan się natychmiast położyć, włożyć ciepłą piżamę i.

Jej słowa przerwał łomot dobiegający z pokoju nad nimi.

- To gabinet sir Harringtona? - wykrztusił Gubbins, podrywając się. Chwilę później sadił już długimi susami po schodach.
- Niech pan zaczeka, majorze!

Pani Timson ruszyła za nim, a gdy posapując i przeklinając, dotarła na piętro, Gubbins i Harrington wynosili z gabinetu bezwładne ciało polskiego hrabiego. Gospodyni z lękiem spojrzała na blade, nieprzytomne oblicze Polaka. Załuski wyglądał, jakby spał, lecz na jego obliczu zastygł nagły skurcz jakby strachu czy niechęci.

- Niechże pani dzwoni po doktora MacCraiga! - warknął Harrington, trzymający Polaka za kostki. - Zemdlał podczas rozmowy. Nagle chwycił się za głowę i upadł. Dalej, na co pani czeka?

Pani Timson posłusznie skinęła głową i próbowała coś powiedzieć, ale głos uwiązał jej w gardle. Oszołomiona patrzyła, jak Harrington i Gubbins wnoszą Załuskiego do sąsiedniego pokoju. Niespokojny głos w jej głowie nakazywał ruszyć się z miejsca i wykonać polecenie, ale zatrzymało ją nieznanne dotąd przecucie.

„Czemu spojrzenie Harringtona umknęło w bok, gdy mówił o upadku Załuskiego?”, przeszło jej przez głowę.

Za uchylonymi drzwiami do ciemnego gabinetu Harringtona wisiał mrok.

„Zgasł ogień w kominku”, pomyślała i niespodziewanie pchnęła drzwi, śledzona przez obojętne plamy portretowych twarzy. Nagle zastygła, przerażona. W końcu ruszyła w kierunku gabinetu. Ogień w istocie zgasł całkowicie, a okna zakrywała wzorzysta tkanina szronu rodem z najsurowszej zimy. Szron rozpełzł się po całym pokoju, pokrywając szkło lampy naftowej, wypolerowaną powierzchnię biurka, wiszącą na ścianie mapę Islandii i rycinę z Yggdrasillem. Poe miauczał przeraźliwie.

5.

Właśnie rozpoczęła się druga godzina przesłuchania i znużenie zaczęło wypierać nerwy.

Śnieżewski wciąż siedział sztywno w galowym mundurze oficera, z kapeluszem regulaminowo złożonym na kolanach, ale jego wytrzymałość z wolna dobiegała kresu. Dwurzędowy granatowy surduty, zwany flattenrokiem, pił go pod pachami, a kołnierzyk białej koszuli był zdecydowanie zbyt ciasny. Na domiar złego temperatura w pomieszczeniu wyraźnie rosła, lecz członkowie komisji śledczej wydawali się tego nie zauważać.

„Dlaczego nie otworzą okna?”, pomyślał Wojtek błagalnie, po raz kolejny powstrzymując odruch poluzowania krawatki i kołnierzyka. Któryś z protokolantów, blady i ze szklistymi oczami, stłumił szerokie ziewnięcie. Nagła cisza uświadomiła mu, że znów nie dosłyszał pytania. Dowódca dywizjonu komandor porucznik Roman Stankiewicz patrzył na niego surowo, a pióro protokolanta zawisło centymetr nad arkuszem.

- Proszę o wybaczenie, komandorze - bąknął nieśmiało Śnieżewski. - Czy mógłby pan powtórzyć pytanie?

- Proszę dokładnie określić godzinę, o której zapukał pan do kajuty komandora Wilczaka.

- Nie patrzyłem wtedy na zegarek. - Śnieżewski zawahał się. Niejasno kojarzył, iż to pytanie już raz zostało zadane, ale nie przypominał sobie odpowiedzi, jakiej wtedy udzielił. - W każdym razie było to już po mojej wachcie. Pracowaliśmy z matem Kopniewskim przy hydraulicznym podnośniku...

- To już wiemy - przerwał mu Stankiewicz.

- Musiało być po dwudziestej, gdyż robiło się już ciemno! - dorzucił pośpiesznie Śnieżewski.

- Proszę zapisać: „Podporucznik Śnieżewski ma problemy z precyzyjnym określeniem czasu ostatniego spotkania z komandorem Wilczakiem” - rzucił Stankiewicz. - Poruczniku, proszę raz jeszcze opisać stan, w jakim znajdował się komandor.

„Raz jeszcze!”. Serce Śnieżewskiego poczęło bić szybciej, ze strachem. Czyżby chcieli, bym zaczął plątać się w zeznaniach?

- Już raz o tym mówiłem - powiedział wyraźnie, powoli, siląc się na spokój. - Gdy otworzył drzwi kajuty.

5.

- Zaraz, zaraz! - wtrącił się nagle drugi z członków komisji, blady człowiek o rybach, pustych oczach. Wojtek niejasno kojarzył go z biurem Kierownictwa Marynarki Wojennej. - Przed chwilą powiedział pan, że komandor kazał panu wejść!

- Tak, kazał mi wejść. - Śnieżewski skinął głową, oblizując suche wargi. - Ale nagle sam mi otworzył. To świadczy o jego wielkim wzburzeniu i.

- Poruczniku, od wyciągania wniosków bądź interpretowania zdarzeń jesteśmy tu my - chłodno przerwał mu Stankiewicz. - Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Przepraszam, komandorze. Otóż dowódca okrętu był w stanie wskazującym. No, na spożycie alkoholu. - Stres na nowo pobudził gruczoły potowe i Wojtek poczuł, jak

całe ciało zaczyna go swędzieć. Z całej siły powstrzymał się od drapania. - Tak mawiamy we własnym gronie. No, dużo wypił, zdecydowanie dużo. Czuć było od niego alkoholem, miał też mętny wzrok. Rozmawiając, trzymał się framugi. Flaszka stała na stoliku.

- Wedle raportu lekarza okrętowego, doktora Tarasiewicza - człowiek z biura KMW przerzucił kilka stron - we krwi denata w istocie znajdowało się sporo alkoholu. W samej kajucie nie znaleziono jednakże nic. Jak pan to wytłumaczy? - Uniósł puste spojrzenie w kierunku Śnieżewskiego.

- Wyrzuciłem ją przez bulaj. - Wojtek próbował opanować bicie serca. Niespodziewanie poczuł, jak zaczyna budzić się w nim złość. - Wyrzuciłem tę butelkę, zanim ułożyłem komandora na koi.

- Dlaczego?

- Morale załogi w związku z ponurymi wiadomościami z Polski było nie najlepsze, proszę pana. - Śnieżewski wyprostował się, jego głos przybrał ostrzejszy ton. - To chyba jasne, że widok pijanego dowódcy nikogo by na duchu nie podniósł, prawda? Równie jasne jest zapewne to, że jako podwładny komandora nie chciałem, by znalazł się w sytuacji nielicującej z honorem oficera!

- Niech pan miarkuje swój ton, podporuczniku - rzucił Stankiewicz, ale zaraz przymknął oczy, jakby maskując błysk uznania.

- Czy komandor Wilczak miał skłonności do alkoholu? - indagował cywil.

- Nic mi o tym nie wiadomo, proszę pana.

- O czym rozmawialiście podczas owej rozmowy w drzwiach kajuty kapitańskiej?

- Cóż... - Wojtek zawahał się, mrugając oczami. - Już raz o tym mówiłem i... I trudno mi do tego wrócić. Służyłem pod dowództwem komandora Wilczaka od ponad roku. Przez ten czas ani razu nie dał powodu, bym mógł zwątpić w niego jako dowódcę, oficera czy człowieka honoru. Jednakże.

W pokoju zapanowała absolutna cisza, umilkło nawet skrzypienie stalówek piór protokolantów.

- Jednakże cała ta sytuacja źle na niego wpłynęła. Zarówno wieści z Polski i bierność naszych okrętów, jak i cisza ze strony admiralicji. - Wojtek odetchnął ciężko i zacisnął zęby. - Przez trzy bite dni wspierał nas na duchu. Bronił się przed smutkiem i zwątpieniem, a my. My

próbowaliśmy go jakoś naśladować, z lepszym czy gorszym skutkiem. Tak, komandor Wilczak dawał nam dobry przykład. Tego dnia, gdy panowie mieliście spotkanie z pierwszym lordem admiralicji, pierwszy raz w życiu ujrzałem go naprawdę wściekłego... Wrócił całkiem wyprowadzony z równowagi, rzucił kilka słów do oficerów i zatrzasnął się w swej kajucie. Aż do wieczora.

- Proszę przypomnieć sobie więcej szczegółów rozmowy - naciskał człowiek z biura Kierownictwa Marynarki Wojennej.

- Rozmawialiśmy krótko, a konkretów było niewiele. - Wojtek pokręcił głową, na nowo powracając pamięcią do spotkania w kajucie. - Dowódca był całkiem załamany. Przeklinał bezczynność, mówił z goryczą o Wielkiej Brytanii.

- A pan? Co pan wtedy myślał?

- Ja? - Wojtek uniósł brwi. Nagle znów ujrzał ciemny, duński brzeg z pokładu „Gromu” i usłyszał twarde, mocne słowa komandora Wilczaka, o dumie, śmierci i walce. Niespodziewanie wyprostował się i spojrzał cywilowi prosto w oczy. - Tak, tego wieczoru komandor Wilczak po raz pierwszy zmalął w moich oczach jako dowódca, oficer oraz człowiek honoru. Niemniej jednak, proszę pana, potępić go nie mogę i nie chcę. Komandor Wilczak był...

- Zeznał pan, że po opuszczeniu kajuty kapitańskiej udał się pan.

- Wystarczy, panie Ciszewski - przerwał mu Stankiewicz. - Raport lekarza potwierdza niektóre ze stwierdzeń porucznika Śnieżewskiego. Bulaj w istocie był niedomknięty, jakby coś zostało tamtędy wyrzucane, a rozrzucona pościel na koi oraz ułożenie butów wskazują na to, że Wilczaka położono spać. Ponadto raport lekarza jednoznacznie klasyfikuje śmierć jako samobójstwo, a zeznania porucznika Śnieżewskiego uzupełniają nasze wiadomości o stanie morale Wilczaka tuż przed targnięciem się na swe życie. Reasumując.

- Proszę jeszcze powstrzymać się od finalnej oceny, komandorze - przemówił nagle trzeci członek komisji, starszy mężczyzna w mundurze marynarki wojennej, z dystynkcjami komandora podporucznika floty podwodnej. Jak dotąd z rzadka zabierał głos.

Nadzieja, która nagle wezbrała w sercu Wojtka, natychmiast znikła, wygnana chłodnym tonem głosu trzeciego oficera. Nie znał go, ale nie podobało mu się jego obojętne spojrzenie.

- Pańska przychylność wobec podporucznika Śnieżewskiego, komandorze, to sprawa zrozumiała - mówił wolno, patrząc ponad głową Wojtka. - Nasza kadra oficerska w Wielkiej Brytanii jest nader szczupła i nie wypada łamać kariery młodym, dobrze zapowiadającym się oficerom. Pozwolę sobie jednakże poprosić o wyjaśnienie jeszcze jednej kwestii, nader mnie nurtującej, na którą żaden z moich szacownych kolegów nie zwrócił jak dotąd uwagi.

Wojtek zagryzł wargi. Wiedział już, o co spyta podwodniak.

- Mamy do dyspozycji raporty kilkunastu świadków, które zgodnie stwierdzają, że w okolicy godziny dwudziestej pierwszej, a mniej więcej godzinę po wizycie w kabinie komandora Wilczaka obecny tu podporucznik Śnieżewski zaczął zachowywać się nietypowo. - Przerzucił kilka kartek. - Wedle raportu podporucznika Łęka: „Naraz pobladł, upuścił kufel, po czym zaczął bełkotać, że coś jest nie tak ze Starym”. Chodziło o komandora Wilczaka, rzecz jasna, cytuję porucznika Śnieżewskiego dosłownie. Wracając do raportu: „W końcu wykrztusił, że Stary nie żyje i zemdlął”. Treść pozostałych zeznań pozostaje niemal identyczna. Jak pan to wytłumaczy?

- Nie mam pojęcia, komandorze. - Wojtek nie patrzył na oficera. W jego głosie brzmiała rezygnacja. - Naprawdę nie wiem.

- Nie wie pan? - Oficer z okrętu podwodnego uniósł brwi. - Kilku pańskich kolegów pozwoliło sobie na całkowicie nielojalną uwagę, iż przypominało to atak wyrzutów sumienia po dokonanej zabójstwie.

- Komandor Wilczak zmarł śmiercią samobójczą, komandorze Więcki!
- huknął Stankiewicz, aż protokolanci podskoczyli.

- Nie podważam doświadczenia doktora Tarasiewicza, panie komandorze - spokojnie odparł Więcki. - Chcę jedynie wyjaśnić tę sprawę do końca. Skąd pan wiedział o śmierci komandora, poruczniku?

- Nie wiem.

- Musi pan to wiedzieć - nalegał podwodniak. - Spotkał się pan z kimś, kto to panu przekazał? Miał pan przypuszczenia? Podejrzenia? A może zauważył pan w jego zachowaniu coś, co sugerowało myśli samobójcze? Skoro tak, podporuczniku, dlaczego nie powiadomił pan lekarza okrętowego lub zastępcy dowódcy?

- Nie wiem! - powtórzył ze znużeniem Wojtek, unosząc niechętnie spojrzenie. - Skąd mógłbym wiedzieć, że komandor ma myśli samobójcze?

Skąd, panie komandorze? Nie powiedział o tym ani słowa! Był w kiepskim stanie, przyznaję, ale żeby się targnąć na własne życie? Chryste Panie, to była ostatnia rzecz, o której bym pomyślał!

- Skąd zatem pan wiedział o jego śmierci? Wedle raportów świadków w pubie Gunner's o godzinie...

- Nie wiem! - warknął Snieżewski, czując, że opuszcza go cierpliwość.

- Jest pan więc jakimś cholernym medium czy co?

- Nie wiem! - Wojtek poderwał się, jego głos drżał z gniewu. - Nie wiem! Komandorze - zwrócił się do Stankiewicza, nerwowo nakładając kapelusz - jeśli to koniec mojego przesłuchania, to chciałbym. Chciałbym udać się do toalety!

- Proszę bardzo. Jest pan wolny.

Chłodna morska bryza uspokajała bijące jak szalone serce Wojtka. Podporucznik westchnął głęboko i w końcu otworzył oczy.

Nadchodził wieczór i ciężkie ołowiane chmury nad miastem nabierały coraz głębszej barwy. Mewy krzyczały, kołując nad antenami pękatych kutrów rybackich przy nadbrzeżu. Za jego plecami urzędnicy wymieniali zdawkowe pożegnania, opuszczając ponury budynek komendanta portu wojennego. Za kwadrans, być może za pół godziny objęte rozkazem zaciemnienia Rosyth miało pograć się w nocnym mroku.

„Nie wiem”, powtórzyło echo w jego myślach.

Rozpędzony cyklista ochlapał błotem jego nogawki i wypucowane czarne półbuty, ale Wojtek nawet tego nie zauważył. Głęboko wdychał wilgotne, słone powietrze szkockiego portu, próbując oczyścić myśli z koszmaru ostatnich dni. Próżny wysiłek... Wiedział, że nigdy nie zapomni śmiertelnie poważnej twarzy doktora Tarasiewicza, którą ujrzał zaraz po ocknięciu z omdlenia. Nie opuści go już wspomnienie lęklwych spojrzeń załogi po pierwszym wyjściu na pokład, doby w celi posterunku żandarmerii czy pytań komisji śledczej. A nade wszystko nie mógł odżalować tego, że dowódca okrętu rozstał się z życiem w tak niegodny sposób.

Wojtek zatrzymał się i drżącymi dłońmi zapalił papierosa. Ktoś inny

cieszyłby się, że problemy się skończyły i przynajmniej rychło wróci do służby, ale złowrogie przeczucie podpowiadało mu jednak, że to dopiero początek poważnych, niezrozumiałych kłopotów.

Natarczywe pytania komandora Więckiego trafiły w sedno. Skąd wtedy wiedział

O tym, że dowódca popełnił samobójstwo?

Zatrzymał się i zapatrzył na szary, zamglony horyzont, tu i ówdzie poznaczony ciemnymi plamkami okrętów na redzie. Nagle stanęła mu przed oczami scena z dzieciństwa. Przestraszony wszedł bosą do sypialni rodziców i obudził ich płaczem: „Co się stało dziadkowi?”. Zaniepokojona matka wyslizgnęła się z łóżka i przytuliła go mocno, a ojciec usiadł na łóżku, założył okulary i próbował żartem przepędzić nocny koszmar.

Na próżno, bo w ich twarzach zamiast pociechy i ciepła odnalazł bezbrzeżną grozę. Następnego dnia radio podało wiadomość o katastrofie pasażerskiego fokkera pod Ciechanowem, w której zginęło siedem osób, w tym znany archeolog Mikołaj Śnieżewski. Wojtek nigdy wcześniej nie widział równie bladej twarzy u swego ojca.

Nie zastanawiał się nigdy nad tym wspomnieniem i traktował je jak jeszcze jedno zamazane, nie do końca jasne przeżycie z dzieciństwa, a strach na obliczach rodziców tłumaczył sobie wzburzeniem wywołanym przez dziecięcy koszmar. To, że dziadek w istocie tragicznie zginął tej nocy, uznał za makabryczne zrządzenie losu i tym bardziej unikał rozmyślenia na ten temat.

Aż do tej pory.

Stał jak wryty na chodniku, potrącany przez śpieszących się przechodniów. Gorączkowo przetrząsał pamięć w poszukiwaniu podobnych wspomnień. Niespodziewanie wróciło do niego wspomnienie owego wieczornego spaceru po plaży helskiej, kiedy to niespodziewanie poczuł się bardzo dziwnie. Czuł się nieswojo tego dnia - patrzył na fale, rzucał kamieniami do wody, próbował biegać, a mętlik dzikich myśli w jego głowie narastał. Nagle ogarnęły go ciemności, wśród których ścigały go reflektory samochodów. Gdy się ocknął, leżąc na mokrym piasku, wiedział już, że ojciec odszedł z tego świata. Próbował wytłumaczyć sobie, że to irracjonalne, bo przecież nikt nie może wiedzieć takich rzeczy, ale telegram z kopenhaskiego uniwersytetu okazał się spełnieniem najczarniejszych przeczuć.

Śmierć dziadka w katastrofie lotniczej. Wypadek ojca. Samobójstwo komandora Wilczaka. Troje ludzi, których darzył szacunkiem i miłością, nagle odchodziło z tego świata, a on o tym wiedział.

Dlaczego rodzice byli tak przerażeni, gdy ich obudził?

„Oddałbym wiele, by móc teraz pomówić z ojcem”, pomyślał, przymykając zwilgotniałe nagle oczy. Zapragnął znów usiąść w jego pachnącym kurzem gabinecie

1 słuchać opowieści. Chciał znów ujrzeć, jak gładzi brodę i gryzie koniec ołówka, zafrapowany kontrowersyjnym twierdzeniem w czytanej właśnie książce.

Czuł, że jego silna wola słabnie. Przez ostatnie dni robił wszystko, by zapomnieć o tęsknocie za domem, żalu po śmierci dowódcy i uczuciu osamotnienia, ale nie miał już siły, by dalej udawać. Po starannie ogolonych, zaróżowionych policzkach popłynęły ciężkie łzy.

„Oddałbym wszystko za spokój”, pomyślał, ale wiedział, że to próżne marzenia.

Nad posiadłością The Frythe zapadał z wolna zmrok.

Stojący przy oknie gabinetu Załuski westchnął, gdy spiker radiowy BBC zakończył wieczorny dziennik.

- I jak pan się czuje, drogi panie hrabio? - zapytał Harrington z udawaną serdecznością, otwierając szufladę, by wyciągnąć pudełko z cygarami.

- Doskonale, sir, wprost doskonale. - Załuski zachichotał, dalej odwrócony do niego plecami. - Nie poczęstuje mnie pan cygarem?

- Chyba pan żartuje, drogi hrabio. W pańskim stanie? Co by na to doktor MacCraig powiedział?

Obaj śmiali się już bez umiaru, a blask ognia z komina upodabniał ich twarze do oblicz złośliwych karłów. Pierwszy spoważniał Harrington. Nakłuł cygaro z jednego końca i przypalił je zapalką.

- MacCraig wcale nie jest głupcem - powiedział, wydmuchując kłęb dymu. - Podobnie pani Timson czy major Gubbins. Nie chciałbym, aby któreś z nich rozgryzło nasz mały podstęp.

- To niemożliwe. - Załuski wydał wargi, a jego oczy naraz zajaśniały. - To zwykli śmiertelnicy, którzy w życiu kierują się rozumem. Niczego się nie domyślą.

- Na wszelki wypadek uważaj na swoje ruchy, Krętaczu. - Harrington

zapatrzył się na rozżarzony koniec cygara. - Nie dotykaj przedmiotów, nie odzywaj się niepytany, schodź wszystkim z oczu. Za kilka dni zakończymy nasz teatrzyk. Osobiście „odwiozę” cię do Londynu.

- Podcinasz mi skrzydła! - Twarz Załuskiego wykrzywił dziecięcy grymas niezadowolenia. - Po raz pierwszy od tylu lat mam okazję...

- Dość. - Oczy Harringtona zaślniły niebezpiecznie. - Wczoraj w nocy odkryliśmy największą tajemnicę od chwili założenia Sekcji D. Znamy kulisy operacji „Schweibe” - wiemy, kto jest informatorem polskiego hrabiego, a także znamy szyfr, którym obaj się posługują. Mając taką wtyczkę w Wehrmachcie, z łatwością namierzemy Tritza, Krętaczu! Nie wolno ci robić nic, co mogłoby naruszyć wiarygodność Załuskiego! Nic, co mogłoby nas zdradzić!

- Wspaniale. Zatem mam po prostu udawać tego Polaka.

- Dokładnie tak. Nikt, Krętaczu, absolutnie nikt nie ma prawa się domyślić, że Załuski nie żyje! Nikt!

Cygaro nagle złamało się, a rozżarzony czubek opadł na blat biurka. W spojrzeniu Harringtona tańczyły płomienie. Załuski patrzył nań z nieziemskim chłodem, aż w końcu roześmiał się szyderczo.

- Nie tak sobie wyobrażałem powrót między ludzi - powiedział w końcu. - Nie masz dla mnie szacunku. Przez tyle lat marzyłem, by móc przybrać czyjeś ciało...

- Jeszcze trochę cierpliwości, Krętaczu. - Harrington uśmiechnął się, lecz był to nieprzyjazny uśmiech. - Niebawem, dzięki naszemu polskiemu przyjacielowi, rozgryziemy sekrety SS i Ahnenerbe.

- Ahnenerbe? - Brwi hrabiego podjechały wysoko. - Nie przypominam sobie, byś mi kiedyś o tym opowiadał, mój śmiertelny przyjacielu.

- To skrót od *Die Deutsche Ahnenerbe Studiengesellschaft für Geistesurgeschichte* i jednocześnie nazwa sabatu szalonych pseudonaukowców omamionych demagogią Hitlera, który próbuje udowodnić sobie oraz całemu światu wyższość ludów germańskich nad pozostałymi. Nie da się jednak ukryć, że organizacja jest również potężnym organem badawczo-propagandowym, a na jej czele stoi sam Reichsführer Heinrich Himmler. To właśnie ci panowie budują mit Niemca-nadczłowieka, typowanego przez dziedzictwo do sprawowania władzy nad światem.

- Intrygujące. - Załuski zaśmiał się dziko, odrzucając do tyłu głowę. -

A nasz Tritz do nich należy?

- Tak. I obiecuję ci. Gdy wydobędziemy jego sekrety, będziesz mógł sobie przybierać tyle postaci, ile zapragniesz!

5 paździer
nika 1939,
The Frythe

Wczoraj wreszcie odetchnąłem z ulgą - „polski hrabia” został odwieziony do Londynu. Przez wszystkie dni naszej maskarady ani przez chwilę nie opuszczał mnie niepokój. Bacznie śledziłem Krętacza w obawie przed jakimś szalonym wybrykiem, ale na szczęście dobrze odegrał wyznaczoną mu rolę. Zachowywał się powściągliwie, a nawet wstydliwie - milczał przy śniadaniu, gdy obsługiwała nas pani Timson, schodził z oczu Gubbinsowi i jego ludziom, cały czas trzymał nisko spuszczoną głowę i wodził przygaszonym spojrzeniem. Cieszę się, że zrozumiał powagę sytuacji. Dzięki niemu nikt w całym The Frythe nie ma wątpliwości, że mój gość zasłabł pierwszego wieczoru, ani chybi po wyczerpującej podróży, a potem z wolna dochodził do siebie, w skrytości ducha przeżywając klęskę swego kraju. Wedle oficjalnej wersji pan hrabia Załuski jest już na terenie polskiej ambasady w Londynie, a dla mieszkańców The Frythe nadszedł czas, by o nim zapomnieć.

Martwi mnie jedynie, że trupa zagrzebałem na otwartym terenie. Na wiosnę trzeba będzie posadzić tam kilka modrzewi.

Martwi mnie również Krętacz, który przez chwilę, po raz pierwszy od tylu lat, miał szansę przybrania ludzkiej postaci. Długo mnie błagał, bym odwłóknął „wyjazd” hrabiego, by mógł nacieszyć się ludzką postacią, ale nie miałem zamiaru mu ustępować.

W jego zachowaniu już pojawiały się pierwsze symptomy szaleństwa. Przedwczoraj usłyszałem z biblioteki jego dziki śmiech. Wbiegłem do środka, by go uciszyć, a wtedy ujrzałem go, rozpartego na kanapie z egzemplarzem Eddy poetyckiej w ręku. „Nie masz pojęcia, co oni tu o mnie wypisują!”, zawołał, śmiejąc się, a jego oczy zaiskrzyły niczym u rozjuszonego zwierzęcia. „Mam ochotę...”.

Jeszcze dzień, dwa, a zapomnieliby o swej roli. Stałby się sobą, a wtedy...

Nie, nie wiem, co wtedy. Wolę o tym nie myśleć. Najważniejsze, że spisek się powiódł. Wszyscy wierzą, że Załuski cały i zdrow dotarł do

6.

Londynu, a ja ze spokojem rozpocznę mój własny rozdział operacji „Schweibe”. Zaszzyfrowałem już komunikat, który jeszcze dzisiaj wyślę do informatora Załuskiego. Zapytam w nim o Tritza.

Moje sny uspokoiły się znowu, lecz obawiam się, że jest to jedynie cisza przed burzą.

- Panie podporuczniku!

Głos dobiegł z wielkiej oddali, ale zburzył porządek rzeczy. Słoneczne Planty rozmazały się, a dłoń ojca przestała się wydawać centrum wszechświata. Potem głos się powtórzył i Kraków znikł ostatecznie.

- Podporuczniku!

Uniósł głowę, jeszcze nie otwierając oczu. Owionął go świeży, ostry zapach zimnego powietrza, a potem rozpoznał znajomy głos mata Koterby.

- Dwudziesta czwarta! Zmiana wachty! - W głosie marynarza znać było skrajne znużenie. - Lepiej pan się pośpieszy, bo dowódca w kiepskim nastroju.

- Jak to? - wymamrotał Wojtek zaspanym głosem. - Już północ?

Odpowiedziało mu trzaśnięcie stalowych drzwi. Wojtek usiadł, a wspomnienie cudownego, magicznego snu wyparowało równie szybko jak ciepło jego koca.

- Jasna cholera! - Potrząsnął głową. - Przysięgłbym, że kwadransa nie spałem...

Nieomal upadł, wstając z koi. Nie musiał patrzeć na barometr, by wiedzieć, że sztorm wcale nie zelżał. Przeklinając wściekle, sięgnął po ubranie.

- Cholerna pogoda - mruknął.

Morze było wzburzone, zanim okręty wpłynęły na wody Kanału Świętego Jerzego. Tuż przed nadejściem zmierzchu nadleciał silny wiatr z północy i szeregi wysokich, białych grzywaczy zamieniły się w poszarpany, spieniony labirynt fal. Rozpoczęło się pandemonium, jakiego Wojtek nigdy wcześniej nie widział.

Wściekły napór morza i wiatru od dziobu ustawicznie spychał okręty ku brzegom Irlandii i sternicy dokonywali cudów, by utrzymać je na wyznaczonym kursie. Niszczyciele nurzały się głęboko w wodzie, po czym nagle wyskakiwały na szczyty fal i znów opadały w ich doliny. Nawet najbardziej doświadczonym marynarzom żołądki odmawiały posłuszeństwa, a oczekiwane z utęsknieniem krótkie, czterogodzinne przerwy na sen mało komu przynosiły ulgę. Wycieńczona, trawiona chorobą morską załoga ledwie trzymała się na nogach, a lazaret okrętowy z wolna wypełniał się pacjentami. Podczas takiej pogody każdy upadek groził złamaniem czy stłuczeniem, lecz przybywało takich, dla których kontuzja była jedynie pretekstem do zwolnienia się z wachty. Zazwyczaj cierpliwy doktor Tarasiewicz tracił ponoć panowanie nad sobą, zmuszony co rusz wypędzać nowych symulantów.

Szamocząc się w ciemnościach, Wojtek nałożył na siebie codzienne ubranie, na to jeszcze jedną parę spodni, gruby sweter i dodatkową parę skarpet. Z trudem naciągnął i zawiązał wysokie, skórzane buty, po czym

powstał i wbił się w obszerny *dufflecoat*, płaszcz z wielbłądziej skóry. Tak opatulony ruszył na korytarz.

Od mostka nie dzielił go wielki dystans, ale Wojtek nauczył się respektu wobec niekontrolowanych skoków okrętu. Poczekał, aż kadłub znieruchomieje na fali, po czym pochwycił metalową drabinę i jednym susem znalazł się na miejscu.

- .kurs trzysta pięćdziesiąt, prędkość okrętu około szesnastu węzłów.
- Podporucznik Łęk, oficer nawigacyjny i jego kolega z kajuty, zdawał właśnie wachtę dowódcy. - Za jakieś pół godziny na prawej burcie minimy wyspę Man.

- Dziękuję, poruczniku. - Dowódca skinął głową. - Proszę udać się na spoczynek.

- Tak jest!

Łęk ruszył w stronę zejściówki, nie zaszczycał go nawet spojrzeniem. W jego bladej wymizerowanej twarzy Wojtek dostrzegł bezbrzeżną ulgę. Walcząc z pierwszymi nudnościami, postąpił kilka kroków i zameldował się kapitanowi.

- Jest pan wreszcie. - Dowódca obrzucił go krótkim, oszczędnym spojrzeniem i nachylił się nad mapami kursowymi. Był zarośnięty, blady, a w jego oczach znać było skrajne znużenie. - Snujemy się w tej brei niczym ślimaki po kapuście. Wie pan, po co to wszystko?

Śnieżewski zawahał się. Dołączył do załogi „Gromu” dosłownie w ostatniej chwili przed wyjściem okrętu na morze i na temat nowego dowódcy okrętu, komandora podporucznika Gniewomira Kornilowicza, nie miał jeszcze zdania. Dowiedział się tylko tyle, że oprócz sprawowania funkcji kapitana okrętu dowodził również całym dywizjonem, gdyż komandor porucznik Roman Stankiewicz był zbyt zaangażowany w rozmowy z admiralicją, by uczestniczyć w patrolu. Wojtek zauważył, że zachowanie Kornilowicza nie odbiega od postawy każdego oficera, który obejmuje stanowisko na obcej jednostce. Podczas odpraw emanował spokojem, mówił krótko i rzeczowo, przeciągając słowa z litewskimi i nierzadko kończąc wypowiedź żartem. Wydawał się człowiekiem odważnym, stanowczym, ale na razie zachowywał się powściągliwie, świadom, że w każdej chwili obserwują go i oceniają dziesiątki oczu załogi.

Wojtek wiedział, że owa osobliwa gra pozorów miała jeszcze trwać długie tygodnie. Świeżo mianowany dowódca będzie zachowywał się oficjalnie, nie chcąc narazić się swej nowej załodze tudzież zdradzić z jakąś słabością, a oficerowie, podoficerowie i szeregowi marynarze będą posłusznie, lecz bez zbytnej gorliwości spełniać jego polecenia, przyzwyczajając się do jego osoby i zwyczajów. Od tych kilku pierwszych, nierzadko napiętych tygodni zależało wszystko - czy załoga zaakceptuje nowego dowódcę, a do mes i kubryków wróci bez troski i koleżeństwa, czy też „Grom” pozostanie ponurym, cichym okrętem, na którym zwyczajowe „Tak jest!” wymawiane jest niechętnie i bez zaangażowania. Wedle starej tradycji morskiej nowy kapitan zostawał zaakceptowany przez załogę z chwilą, gdy któryś z najstarszych i najbardziej doświadczonych członków załogi po raz pierwszy nazywał go Starym. Biorąc pod uwagę popularność, jaką cieszył się Wilczak, mogli na tę chwilę czekać długo, a nawet bardzo długo.

- Wie pan, po co to wszystko? - powtórzył pytanie Kornilowicz. - Ten patrol?

Żołądek Śnieżewskiego kurczył się i rozpręzał, przez co wszystko podchodziło mu aż pod gardło.

- W zatoczkach Irlandii mogą się ukrywać niemieckie okręty podwodne - wyjąkał słabym głosem.

- A to ci dopiero. - Kornilowicz skrzywił się. - A widzi pan to?

Jego dłoń wskazała nurzający się głęboko dziób niszczyciela. Wojtek przytknął oczy, aby nie patrzeć na fale zmywające pokład.

- Trudno uwierzyć w to, że „Błyskawica” idzie niecałą milę przed nami, nieprawdaż? Staruszka „Burza” już odpadła.

Rozhukane morze wydawało się aż iskrzyć białą pianą, lecz starczyło sięgnąć wzrokiem ponad kipieli, by ujrzeć absolutny, nieprzenikniony mrok. Ciemności pochłonęły kontur „Błyskawicy”, pozostawiając jedynie migoczące, czerwone światła pozycyjne.

- Pół godziny temu Krengowski zameldował uszkodzenie prawej śruby i Stankiewicz dał pozwolenie na powrót do Plymouth. I tak długo wytrzymała, stara, dobra „Burza”. - Przez okolone wąsikiem usta komandora przebiegł uśmiech i Wojtek przypomniał sobie, że przed wybuchem wojny Kornilowicz służył na „Burzy” jako oficer nawigacyjny. - Paskudna pogoda, podporuczniku. Przy takiej fali nie mamy szans dostrzec peryskopu

U-Bootu, nawet gdyby rzeczywiście któryś z nich ośmielił się wypuścić na łowy podczas sztormu. W co wątpię.

Kapitan pokręcił głową, powiesił lornetkę na piersi i spojrzał bystro na Śnieżewskiego.

- Tu chodzi o coś innego.

Kciuk komandora wskazał puste miejsce, które zazwyczaj zajmował *lieutenant* Kenneth O'Mallory, brytyjski oficer łącznikowy.

- Wysłali nas na ten patrol, bo nie wiedzą, co z nami zrobić. - Kornilowicz skrzywił się. - Nie ufają nam. Jesteśmy dla nich bandą niedobitków z jakiegoś azjatyckiego kraju, którzy nie dość, że ośmielają się żeglować po morzach na własnych okrętach bojowych, to jeszcze z Niemcami chcą walczyć. Dumni admirałowie nie potrafią tego zrozumieć i patrzą po sobie w nadziei, że ktoś wpadnie na pomysł, co z nami począć. A na razie wysyłają nas na patrol. Każą ścigać U-Booty podczas sztormu i bez azdyków.

- Pogoda kiepska, to fakt - pojednawczo powiedział Śnieżewski, czując, jak ustępują mdłości.

Naraz uświadomił sobie, że na mostku zrobiło się niezwykle cicho. Marynarz za sterem, dwóch obserwatorów, podoficer nawigacyjny i radiotelegrafista zastygli, pozornie zajęci swoimi obowiązkami, lecz każdy

z nich pilnie słuchał słów dowódcy. Przez pokład dziobowy niszczyciela z hukiem przewaliła się kolejna fala.

- Tak. - Zamyślony Kornilowicz nachylił się nad mapą. - Niech sobie pan naleje kawy, podporuczniku.

Wojtek ruszył ku stolikowi przy stanowisku radiotelegrafisty, gdzie stał dzbanek z gorącym, ożywczym płynem. Poczekał, aż okręt znów zacznie wspinać się na fali, i szybko napełnił aluminiowy kubek. Wtedy poczuł na sobie czyjeś spojrzenie.

Radiotelegrafista, młody mat Krzywecki, spuścił wzrok ułamek sekundy po tym, jak Wojtek się odwrócił. Na jego twarzy widniało zmieszanie, które próbował pokryć udawanym zafrasowaniem, z jakim kręcił gałkami radiostacji.

Wojtek zerknął w bok. Jeden z obserwatorów też odwrócił spojrzenie. Szybko, zbyt szybko.

„Gapią się na mnie jak na trędowatego”, pomyślał z niechęcią. Od opuszczenia Plymouth nie zamienił z żadnym ze swych kolegów więcej niż parę słów. Początkowo przypisywał to nawałowi obowiązków i paskudnej pogodzie, ale teraz...

- Natknęliśmy się na cokolwiek podczas zeszłej wachty? - zapytał pozornie obojętnym głosem podoficera nawigacyjnego.

- Nie, panie poruczniku - odpowiedział tamten i podszedł do żyrokompasu, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

- Śnieżewski, jeśli dopił pan już kawę. - Dowódca podniósł głowę, lecz nie dokończył.

Niewidoczny dotąd kontur „Błyskawicy” na ułamek sekundy spowiła purpurowa poświata. Ku niebu pomknęła czerwona rakietka.

- Kontakt! - wrzasnął radiotelegrafista. - „Błyskawica” ma kontakt w namiarze.

- Alarm bojowy! - huknął Kornilowicz.

Niemalże w tej samej chwili zajazgotały dzwonki alarmowe.

Wojtek z rozmachem postawił kubek z kawą na stanowisku radiotelegrafisty i runął w kierunku pomostu. Pełen oburzenia krzyk Krzyweckiego, któremu gorąca kawa pociekła na mapy, został natychmiast zagłuszony przez huk wiatru. Wicher niemalże wepchnął Wojtka do wnętrza mostka kapitańskiego, lecz oficer zaparł się o framugę i wystrzelił na zewnątrz.

Mimo szczelnie dopiętego *dufflecoat* zimno przeszło go niemalże natychmiast, a twarz zmoczył pył wodny z deszczem. Trzęsącymi się dłońmi Wojtek ujął lornetkę i zlustrował pogrążony w ciemnościach, rozkołysany horyzont.

Nic.

- Widzieliście coś? - krzyknął ku skulonemu na prawym skrzydle obserwatorowi.

Dostrzegł tylko, jak skryta w mokrym kapturze głowa kręci się odmownie, a dłonie rozkładają się przepaszająco. Zerknął ku zalany deszczem szybom mostka kapitańskiego. Zamazane postacie w środku pogrążone były w szalonej pantomimie alarmu bojowego. Widział dowódcę wołającego coś do tuby głosowej łączącej pomost z maszynownią, sternika, który zakręcił właśnie kołem sterowym, oraz łącznikowego O'Mallory'ego, jak biega bez celu od stanowiska do stanowiska.

Naraz kadłub zadrżał mocniej pod jego stopami i okręt dostrzegalnie przyśpieszył.

„Gnaj, smoku!”, przemknęło mu przez głowę, gdy wpadał z powrotem na mostek.

- *...be kind enough so as to inform me...* - wrzeszczał O'Mallory, daremnie próbując zwrócić na siebie czyjąś uwagę.

Odezwał się dzwonek telegrafu maszynowego potwierdzający wydany wcześniej rozkaz.

- Widoczność beznadziejna! - rzucił Śnieżewski, kierując się ku centrali artyleryjskiej.

Serce biło mu jak szalone.

- Co pan powie - mruknął Kornilowicz. - Sternik, lewo dwadzieścia! Gdzie, do cholery, jest porucznik Łopuszak?

- Tak jest, lewo dwadzieścia!

- Porucznik Łopuszak, na stanowisku! - zaskrzeczał telefon łączący mostek z stanowiskiem obsługi broni podwodnej.

- Łopuszak, moździerz na prawej burcie i obie wyrzutnie, na jednej nodze! - krzyczał dowódca do telefonu. - Nastawcie zapalniki na...

- „Błyskawica” potwierdza namiar! Widzę go! Widzę! - wrzasnął dalmierzysta. - Kiosk łodzi podwodnej! Zanurza się! Odległość... Zaraz...

- Dalmierz, precyzyjny raport! - Śnieżewski próbował opanować

nerwy, chwytając za telefon.

- Odległość sześć tysięcy metrów i maleje!

- Odległość sześć tysięcy i maleje - liczył gorączkowo Śnieżewski. -
Kąt kursowy jeden sześć trzy! Kąt biegu prawo piętnaście!

Naraz zaszumiały elektryczne motorki przekaźników i rozkazy pomknęły w kierunku stanowisk artyleryjskich.

Uśpione dotąd wieże działowe drgnęły. Dwie pary luf zatoczyły łuk, skręcając ku niknącemu w mroku światłu pozycyjnemu „Błyskawicy”. Wojtek widział zakute w ciężkie zydwestki sylwetki artylerzystów skulone pod osłoną wieży.

- *Will someone...*

- *Later!* - warknął Kornilowicz, przytykając lornetkę do oczu. -
Sternik, lewo dwadzieścia pięć. Maszynownia, pół naprzód!

- Tak jest, lewo dwadzieścia pięć!

- Wieża jeden i dwa, ładować pociskami burzącymi! - rzucił do słuchawki Śnieżewski, zerkając za siebie.

Osadzony krótkim warknięciem dowódcy, poczerwieniały O'Mallory wybałuszył oczy i zamilkł, otwierając szeroko usta.

- „Błyskawica” strzela bombami hydrostatycznymi! - zawołał jeden z obserwatorów na pomoście. - Dobry Boże!

Od burty niszczyciela oderwały się ciemne plamki, które zatoczyły szeroki łuk i znikły w rozszalałej kipieli. Chwilę później z fal wystrzeliły wysokie słupy wody, wyższe od masztu „Błyskawicy”.

„Grom” zajmował pozycję do ataku, idąc pod kątem czterdziestu pięciu stopni do linii wciąż napierającego wiatru. Spienione fale uderzały w lewy sektor dziobowy okrętu, przewalając się po pokładzie i niemalże zatapiając artylerzystów, którzy desperacko próbowali naprowadzać działa na cel. Do nieznośnego kołysania wzdłużnego doszło jeszcze kołysanie boczne i utrzymanie równowagi stawało się z każdą chwilą coraz trudniejsze.

- Poruczniku Łopuszak, bomby gotowe?

- *Captain, your attitude towards...*

- Kapitanie! - Śnieżewski odwrócił się nagle w kierunku Kornilowicza, który w ostatniej chwili złapał równowagę po ostatnim skoku okrętu.

- Jest za ciemno na strzał! Nawet jeśli U-Boot będzie na powierzchni, możemy go nie zauważyć! Proszę o pozwolenie użycia...

Resztę jego słów zagłuszyła fala, która z łoskotem uderzyła w burzę okrętu, ale drżący palec, wskazujący stanowisko największego reflektora niszczyciela, był gestem aż nader czytelnym. Zrozumiał go również porucznik O'Mallory, którego oczy nagle rozszerzyły się z przerażenia.

- Reflektor zdradzi naszą pozycję! - wrzasnął po angielsku. - Kapitanie, nie może pan pozwolić.

Korniłowicz zmarszczył brwi.

- Jest zbyt ciemno! - ryknął. - Ten sukinsyn może nam uciec sprzed nosa, jeśli.

- Rzykuje pan okręt i życie załogi! Pan oszalał, komandorze!

Nawet marynarze nieznający angielskiego nagle znieruchomieli, czując, że padło o jedno słowo za dużo. Dowódca wyprostował się, mierząc O'Mallory'ego długim, lodowatym spojrzeniem. Na jego blade policzki wypłynął rumieniec wściekłości, a zaciśnięte mocno usta wykrzywił nieprzyjemny uśmiech.

- Śnieżewski, reflektor - powiedział chrapliwym głosem.

- Tak jest!

Chwilę później ciemności przeciął biały snop światła - w odpowiednim momencie, by oświetlić wysokie słupy piany strzelające wśród fal. Kadłubem „Gromu” wstrząsnęła podwodna eksplozja, potem kolejna i jeszcze jedna.

- Nasłuch!

- Nic!

- Nawrót!

- Korekta! - krzyknął Śnieżewski.

Śledzenie światła reflektora całkowicie zaprzętało jego uwagę, lecz jednocześnie nie przestawał myśleć o próbie sił między dowódcą i oficerem brytyjskim. Od napięcia krew wciąż pulsowała szybko. Zerknął ukradkiem przez ramię. Korniłowicz krzyczał coś do radiotelegrafisty, lecz oczy lśniły mu niczym diabłu.

Lśniły tryumfem.

Czarne masywy fal zmieniały wolno barwę na stalową, a ich grzywy,

śnieżnobiałe w ciemnościach, stały się szare i brudne. Nadchodził świt, stłamszony tumanami ciężkich chmur. Dzioby polskich niszczycieli zwracały się ku północy, skąd z niesłabnącą siłą wciąż nacierały wysokie fale.



Mijała szósta godzina od rozpoczęcia polowania na niemiecki okręt podwodny. Bezskutecznego polowania.

Wojtek zamknął szczypiące od niewyspania oczy i zaczerpnął głęboko tchu.

- Jest pan wolny, poruczniku. - Usłyszał za sobą zachrypnięty głos

dowódcy.

Odwrócił się powoli. Kornilowicz, blady, z zaczerwienionymi oczami, patrzył tępo na

pokład dziobowy, z którego spływały strugi ostatniej fali.

- Paskudna noc, prawda?

Śnieżewski aż drgnął, tknięty nieoczekiwanym pytaniem.

- To prawda, kapitanie. - Pokiwał głową, próbując się uśmiechnąć.

Sześć godzin nieustannych manewrów wśród rozkołysanego, wzburzonego morza i wiatru, który zbijał z nóg nawet najsilniejszych marynarzy. Sześć godzin wypatrywania oczu w ciemnościach i pogoni za przywidzeniami obserwatorów, sześć godzin próżnego nakierowywania dział i wyrzutni bomb. Nerwy i zmęczenie w końcu wzięły górę nad chłodem dowódcy, który w dość niewyszukanych słowach nakazał brytyjskiemu oficerowi łącznikowemu udać się na spoczynek. Oliwy do ognia dodało omdlenie mata Krzyweckiego, radiotelegrafisty, który pełnił służbę od ponad dziesięciu godzin, oraz niekontrolowany wystrzał jednego z dział.

Z dział pozostających pod dowództwem Śnieżewskiego.

Wojtek znów poczuł ukłucie wstydu. Około piątej nad ranem któryś z obserwatorów wykrzyknął ochryple „Widzę kiosk!”, Wojtek powiedział coś do telefonu, a wtedy wieża numer jeden plunęła ogniem. Najprawdopodobniej któryś z artylerzystów, zziębnięty i znużony, źle go zrozumiał.

Kiepski początek służby pod nowym dowódcą.

- Idź pan się wyspać, Śnieżewski. Pora, by inni trochę popracowali na swój żołądek. - Kornilowicz uśmiechnął się blado. - I nie przejmuj się pan tym wystrzałem. Mnie czeka kłanianie się przed admiralicją po tym, jak potraktowałem O'Mallory'ego.

Śnieżewski zasalutował i chwiejnym krokiem wyszedł z mostka, potykając się i podpierając o ściany. Kołysanie okrętu uspokoiło się nieco, a zimne przewiewy, hulające po korytarzach okrętu, stały się mniej dokuczliwe. Ostatkiem siły woli podporucznik skręcił na pokład. Miał swoje ulubione, osłonięte od wiatru miejsce wśród nadbudówek dziobowych, gdzie chciał wypalić ostatniego papierosa. Oparł już dłoń o drzwi, zbierając siły do pchnięcia, gdy naraz dobiegły go strzępy rozmowy z pokładu.

- ...zdaniem pieprzycie, chłopaki - mówił ktoś znajomym głosem, zagłuszonym przez szum morza i przenikliwy świst wiatru. - To przecież dobry facet. I niezły oficer, no nie?

- Koterba, czy ty oczu nie masz? - odpowiedział mu inny, znużony.

- No tak, ale dziwnie tak jakoś gadać. Dalibyście spokój, cholera.

Śnieżewski zatrzymał się, wyłuskany odruchowo z kieszeni papieros wypadł mu spomiędzy palców. W rozmowie, toczony cichymi, dramatycznymi szeptami, nie padło żadne nazwisko, ale skądś wiedział, że mówią właśnie o nim.

- A słyszałeś, co chłopaki gadali? Że naraz zaczął bredzić, że Stary nie żyje? Jakby go sumienie przydusiło?

- Bzdury wygadujesz, Wicki! Inaczej gadał. Wiedział, że Stary się powiesił. Układ z nim miał, psiamać! Cholerny układ!

- Zła to sprawa. Zła... Aż myśleć o tym strach.

Mat Koterba, mat Wicki, starszy marynarz Nosal. Dobre chłopaki, doświadczeni marynarze. Zawsze uśmiechnięci, pomocni, gotowi żartem wesprzeć. Złowrogi dreszcz przemknął Śnieżewskiemu przez plecy.

- Zła, Nosal, zła. Wicki, co radzisz? Tyś najstarszy, pomysł jakiś masz? Powiedz, a przekażę reszcie.

- Nie mam, co mnie pomysły, psiamać, dawać. Niech wszyscy patrzają mu na ręce, może rzeczywiście coś niedobrego w nim siedzi. Psiamać, gadać strach. Trzymajcie się.

- Cześć.

Naraz chwilowe napięcie ustąpiło, a z nim napłynęły ciemne fale zmęczenia

1 niezrozumiałej rozpacz. Śnieżewski zapomniał o papierosie zmytym już przez strużkę morskiej wody. Wtargnął do swej kajuty i z hukiem zatrzasnął drzwi, budząc przy tym przestraszonego Staszka, po czym całkiem bez sił padł na koję.

Śniła mu się mądra twarz ojca patrząca nań pośród mroku. Tym razem jednak nie było w niej dostojeństwa i spokoju, ale smutek i zwątpienie. Ojciec kiwał głową, jakby chciał powiedzieć „A nie mówiłem?”.

Śnieżewski rzucał się i szlochał we śnie.

6 październik,
świt.
The Frythe

Dobry Boże, to wróciło.

Nie, nie... Nie wróciło! To nie jest już sen! To teatr, w którym wciąż odgrywam tę samą podłą rolę. Ból jednak wcale nie jest udawany. Nie ma szpady z drewna, którą wsuwam pod ramię, nie ma wicia się na deskach sceny w udawaniu agonii.

Agonia jest prawdziwa. Jak najbardziej prawdziwa. Przerzywa ją dopiero chwila przebudzenia.

Na wszystkich bogów, ledwie mogę utrzymać pióro w dłoni. Przed godziną ocknąłem się na podłodze, metr od łóżka. Moja koszula nocna była przepocona, a twarz zalana krwią. Każda cząsteczka mego ciała paliła mnie żywym ogniem, a przed oczami...

Im mocniej odpycham ów obraz, tym szybciej powraca.

Widzę, jak stoi nade mną, unosi pistolet i strzela. Kula przeszywa me poranione ciało, czuję ból, ale jeszcze bardziej rani mnie jego niekończący się śmiech, a po nim zdanie „Jeszcze nie rozumiesz granic swej porażki, Angliku. Ale zrozumiesz”. Lawa zionie gorącem, zniekształca świat wokół mnie, a on odchodzi.

Dopiero wtedy ból bucha z całą siłą.

A najgorsze jest to, że we śnie nie czuję nadziei. Nie ma Krętacza, który pojawia się, by mnie ocalić. Nie ma nic, tylko pustka, ból i gorąco.

Od chwili przebudzenia zemdląłem tuzin razy. Moja dłoń z trudem utrzymuje pióro, a oczy ledwie dostrzegają me własne pismo. Koszmar niszczy mnie coraz bardziej, a nadziei znikąd.

Chyba... znowu. Słabo...

Muszę za.

7.

- Śpij, smoku, i śnij o kolejnych bitwach - wyszeptał bezgłośnie Wojtek, patrząc na znieruchomiały, przywierający do kei kadłub „Gromu”.

Potężne motory niszczyciela milczały już od wielu godzin. Nad pokładem zalegała cisza maćona jedynie przez stłumione odgłosy kłótni z kambuza oraz cichy plusk fali między burtą a nadbrzeżem. „Grom” w istocie zdawał się drzemać strudzony po walce z żywiołami.

Nadciągał wieczór. Szare skłębione chmury sunęły nisko, prosząc drobnym śniegiem. Wojtek wystawił twarz na wiatr, ku tysiącom kłających zimnem śnieżynk. Kilka osiadło mu na rzesach i zamieniło ponury portowy krajobraz w połyskującą mozaikę światła.

- I znów zima... - powiedział półgłosem do siebie.

- Jak to po jesieni - odpowiedział głos za jego plecami.

Chwila zapomnienia prysła. Wojtek starł płatki śniegu z twarzy i odwrócił się, podirytowany. Za sobą ujrzał Staszka Łęka, który szybkim krokiem zmierzał w stronę trapu. Staszek jedną ręką zapinał płaszcz, a drugą mocował szal. Szedł, nie patrząc na niego.

- Dokąd idziesz? - zadał pytanie Wojtek, starając się opanować zgryźliwy ton.

Staszek zatrzymał się niechętnie. Nie odwrócił się, lecz Wojtek mógł przysiąc, że

zagryza teraz nerwowo wargi i spuszcza wzrok, gorączkowo szukając odpowiedzi. Zaskoczony pytaniem wykładowcy Szkoły Morskiej, zawstydzony sprośnym żartem kolegów czy speszony towarzystwem dziewczyny, nieodmiennie czerwieniał, wbijał wzrok w czubki butów i plół niestworzone bzdury, by tylko móc znowu usunąć się w cień.

Tak jak teraz.

Sęk w tym, że Wojtek zadał mu proste, codzienne pytanie. Nawet Staszka nie mogło ono wyprowadzić z równowagi.

- Nooo... - Staszek przełknął ślinę. - Do miasta idę. Doktor Tarasiewicz wypisał mnie z lazaretu. No, sam wiesz.

- Nie. - Śnieżewski pokręcił głową, mrużąc oczy. - Stasiu, cały problem w tym, że nic nie wiem. Słuchaj, ja.

- Wiesz co, może później pogadamy? - Staszek zrobił krok do tyłu. - Chciałem przejść się po Plymouth, pozowiedzać trochę.

8.

- Stachu, jest ciemno jak w dupie palacza! - wybuchnął nagle Wojtek.
- Co ty chcesz teraz zwiedzać, co?
 - Ja naprawdę muszę.
 - Jedyne, co musisz, to wyjaśnić mi kilka rzeczy, Stachu! - Wojtek podbiegł do przyjaciela z całej siły powstrzymując się od złapania za poły jego płaszcza. - Dlaczego nie odezwałeś się do mnie od początku patrolu? Dlaczego załoga mnie unika, a reszta oficerów obchodzi szerokim łukiem? Dlaczego jedynymi osobami, które mają ochotę ze mną rozmawiać, są Kornilowicz i O'Mallory, obaj nowi na pokładzie?

- Wojtek, przesadzasz chyba... - Staszek cofnął się o krok, zerkając z widoczną rozpaczą ku nieodległemu trapowi.

- Nie, kurwa mać! Nie przesadzam! Dzieje się coś niedobrego, ale każdy udaje, że wszystko w najlepszym porządku! Dobra, Stachu, jeśli brak ci odwagi, by odpowiedzieć

na to jedno proste pytanie, to idź, zwiedzaj sobie Plymouth choćby i podczas burzy

z piorunami, ale nigdy, przenigdy nie waż się więcej gęby do mnie otworzyć! - Urwał

nagle, jakby przestraszony swymi słowami. Śnieg padał coraz gęściej, oddzielając ich od

całego świata nieprzeniknioną kurtyną. Staszek Łęk wpatrywał się w niego

z przestachem. - Przepraszam - wymamrotał Śnieżewski. - Nie powinienem był wrzeszczeć ani.

- Nie. - Staszek pokręcił głową, a na jego szczupłej twarzy pojawił się żal. - Nie, masz rację. Wiesz, nie jestem tchórzem, ale jakoś nie umiem tak po prostu. Staremu kumplowi. - zadrżał mu głos.

- Chodzi o Wilczaka, tak? - spytał głucho Śnieżewski, patrząc na reling, na którym topniały pierwsze płatki. - Ludzie mówią, że to ja go zabiłem. Że spisek mieliśmy.

- I tak, i nie. - Staszek westchnął ciężko. - Gadali tak, ale tylko na początku. Doktor Tarasiewicz powiedział kilku najgłośniejszym do słuchu. Pokazał wszystkim, czym się różni samobójstwo przez powieszenie od... No, od morderstwa. Po przesłuchaniu większość tych, którzy podejrzewali cię o morderstwo, zamilkła. Odezwali się za to inni.

- Którzy sądzili, że nakłoniłem dowódcę do samobójstwa? - spytał głucho Śnieżewski.

- Też. Kilku utrzymuje, że wiedziałeś o jego zamiarze i nie przeszkodziłeś mu w tym. Inni twierdzą nawet, że piliście razem.

- A ty?

- Ja? - Łęk spuścił wzrok. - Ja chciałem się trzymać od tego z daleka, ale.

Wojtek pokiwał głową. Staszek nie musiał kończyć tego zdania. W tak

zżytej, zamkniętej i przesądnej grupie ludzi, jaką była załoga okrętu wojennego, oparcie się ogólnej presji było możliwe jedynie dla ludzi o najsilniejszym charakterze. Nawet bezstronni i wykształceni oficerowie częstokroć przejmowali punkt widzenia całej załogi, ulegając tym samym uprzedzeniom co najgłupszy z pomocników palacza.

- A ty co sądzisz? Uważasz mnie za mordercę, współnika przy samobójstwie czy może zwykłego degenerata, który ułatwił kapitanowi powieszenie się?

- Przestań. - Staszek zadrżał niespodziewanie. - Wojtek, nigdy nie uważałem cię za człowieka bez honoru, a tylko ktoś taki mógłby targnąć się na życie dowódcy. Mnie starczyło to, co widziałem wtedy w Rosyth.

- A co widziałeś?

- Widziałem, jak mój najlepszy kumpel naraz zmienia się w trupio bladą kukłę i pada na ziemię. - Wzrok Łęka niespodziewanie ostygł. - Patrzyłem, jak się wije i miota, potrącając krzesła, stoły i zbijając ludzi z nóg. Mógłbym to znieść ze spokojem, uznać za atak epilepsji czy coś tam, ale. Ale ty mówiłeś, Wojtek. Mówiłeś rzeczy straszne. Toczyłeś pianę z ust, tarzałeś się i mówiłeś. O śmierci, o sznurze i poczuciu winy. Potem, gdy sanitariusze wiązali cię parcianymi pasami do noszy, wykrzyknąłeś coś na zakończenie. Coś o naszej przyszłości.

- Co takiego? - Wojtek poczuł, jak zasycha mu w gardle.

- Powiedziałeś, że utoniemy w zimnej wodzie. Zdradzeni. - Teraz to wzrok Staszka był twardy i płonący. - Nam, marynarzom, najbardziej przesądnej grupie ludzi świata, powiedziałeś, że zginiemy. Kwadrans później do Gunnera wpadł z hukiem adiutant Stankiewicza, blady i przerażony. Już od progu krzyczał, że Wilczak się powiesił. Dajże, Wojtek, nam wszystkim spokój. Nie dziw się, że usuwamy się na twój widok.

Staszek wolno odwrócił się i zszedł po trapie na ład. W gęstniejącym śniegu poły jego płaszcza łopotały, przez co wyglądał niczym potworny kruk składający skrzydła po locie. Wojtek dotknął czoła, rozpalonego mimo zimnego powietrza, i ruszył w kierunku własnej kabiny.

Znów czuł w sobie pustkę.

Doktor MacCraig otworzył swą walizeczkę z czarnej skóry i z namaszczeniem wydobył słuchawki. Umieściwszy końcówki w uszach, chuchnął na srebrny krążek, a potem nachylił się nad łóżkiem, w którym leżał Harrington.

- Proszę rozchylić koszulę nocną - polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu. - I oddychać głęboko, miarowo.

W oczach Harringtona malowała się żądza mordy. Świstał przez zęby, a koszulę rozchylił gwałtownie, niemalże ją rozrywając.

- Panie doktorze, to trwa już od pół godziny! - wysapał, nie mogąc już dłużej utrzymać spokoju.

Doktor wyjął końcówki słuchawki z uszu, ostrożnie złożył ją w walizeczce i dopiero wtedy pozwolił sobie na grymas zdumienia. Poprawił monokl, jakby chcąc wyraźniej przyjrzeć się swemu niecierpliwemu pacjentowi, a brwi podjechały mu o pół centymetra w górę.

- Drogi panie Harrington - odezwał się z gardłowym szkockim akcentem. - Proszę nie oczekiwać, że po trzydziestu latach praktyki w zawodzie lekarskim nagle pozwolę sobie na beztroskie traktowanie moich pacjentów. Sumiennie przeprowadzone badanie lekarskie siłą rzeczy zabiera dużo czasu.

- Doktorze, opukuje mnie pan, osłuchuje, wypytuje o stolec, wzdycha i marszczy brwi od trzydziestu minut. - Harrington zacisnął dłoń na kołdrze. - Po wyjściu z sypialni na kolejne pół godziny zatrzyma pan panią Timson i sprawdzi, czy aby powiedziałem panu prawdę!

Brwi MacCraiga podjechały jeszcze milimetr wyżej.

- Zaleci pan również pani Timson, by trzymała mnie w łóżku przez jeszcze jeden tydzień do czasu pańskiej kolejnej wizyty! - ciągnął coraz bardziej rozjuszony Harrington. - Nie zapomni pan oczywiście przykazać jej surowo, by karmiła mnie tym paskudnym kleikiem na śniadanie i chudym rosołem na obiad. Zabroni mi pan palić cygara, pić alkohol, wychodzić na...

- Doprawdy, sir! - MacCraig spojrział na swego pacjenta ze zgorszeniem. - Zapaść, którą pan przeżył kilka dni temu, mogła się dla pana fatalnie skończyć! Takie podejście do zdrowia naprawdę może się dla pana źle skończyć, drogi panie. Najlepszym dowodem na pańską beztroskę jest to, iż pozwolił pan wyjechać gościowi!

Westchnął z niezadowoleniem, poprawiając monokl.

- Przecież powiedziałem wyraźnie, że stan owego polskiego dżentelmena wyklucza jakiekolwiek podróże przez przynajmniej tydzień! - Pokręcił głową. - Tymczasem w The Frythe wita mnie wieść, że wyprawił go pan w podróż do Londynu. Do Londynu! Co, panie Harrington, może być ważniejsze od własnego zdrowia?

Na białych, obwisłych policzkach doktora pojawił się lekki rumieniec, sugerujący najwyższe wzburzenie. W tej samej chwili z najciemniejszego kąta pokoju gruchnął perlisty śmiech. MacCraig odwrócił się błyskawicznie, spoglądając z niedowierzaniem na Harringtona. Przez twarz pacjenta przemknęło zmieszanie. Za oknem terkotał silnik motocykla.

- Doktorze, ale przecież... - odezwał się szybko, lecz tym razem lekarz nie pozwolił mu dojść do słowa.

Rozejrzał się po pokoju, jak gdyby szukając winowajcy, a potem wyładował całe oburzenie na pacjencie:

- W pańskim stanie starczy jeden zimny przewiew! - Z każdym słowem jego szkocki akcent był wyraźniejszy, przez co zdania stawały się mniej zrozumiałe. - Jeden przewiew! Raz pan przemarznie, a pojawi się zapalenie płuc, które przykuje pana do łóżka na kolejne tygodnie! Co ja mówię. Na miesiące! A whisky i cygara? Sir, pan raczy żartować. Od dawna sugeruję, że w pańskim wieku to niezbyt korzystne zamięłowanie, tym bardziej że pański tryb życia również do zdrowych nie należy!

- Panie doktorze, z całym szacunkiem, lecz ogrom moich obowiązków, z których nie zdaje sobie pan sprawy, zmusza mnie.

- Och, drogi panie, bynajmniej! - odpalił urażony doktor. - Gdybym nie wiedział o nawale pracy w związku z prowadzeniem tej szkoły dla pilotów, byłbym pana dawno już wysłał do uzdrowiska Bath!

- Drogi Boże, dokąd? - Zmrużył oczy Harrington. - Do uzdrowiska?

Rodzącą się kłótnię przerwało stukanie do drzwi rezydencji oraz mruknięcia pani Timson, śpieszącej, by otworzyć. Harrington opadł z rezygnacją na poduszki.

- Doktorze, jestem panu niepomniecznie wdzięczny za okazywaną mi troskę... - zaczął wolno, nie patrząc w twarz swego rozmówcy. - Ale.

- W medycynie nie ma miejsca na „ale” - przerwał mu doktor, podkreślając sumiastego wąsa. - Często natomiast używamy „ponieważ” i

„oraz”.

- Do ciężkiej cholery! - Harrington poderwał się nagle. - Niech pan załagodzi tę diagnozę, PONIEWAŻ czuję się już lepiej i PONIEWAŻ szachu dostaję w tym łóżku! Pani Timson zaś to jeszcze większy cerber od pana ORAZ nie.

- Pora na stawianie baniek.

W oczach MacCraiga błysnęła stal. Ponownie otworzył walizeczkę i z namaszczeniem wydobył słoje ze spirytusem, szklaną rurkę i kłęb waty. Harrington zmełł w ustach przekleństwo, ale nagle przez szparę w drzwiach dostrzegł panią Timson, podejrzliwie oglądającą jakąś kopertę. O jej nogi ocierał się Poe.

- Pani Timson, co to takiego? - zawołał.

- Był kurier z Londynu. Przywiózł coś z Home Office! - burknęła w odpowiedzi gospodyni, nie odwracając głowy. - Od jakiegoś pana Simpsona.

Następne kilka sekund było najdłuższą chwilą w życiu Harringtona. Wyglądził pościel, starając się opanować drżenie dłoni, po czym pozornie obojętnym głosem oznajmił:

- Ach, od Simpsona... Cóż, czy może mi pani podać tę kopertę? To nic pilnego, ale ciekawe, co też stary Simpson wytargował dla szkoły. Panie doktorze, byłbym zobowiązany, gdyby pan zechciał na moment opuścić to pomieszczenie. Pani Timson poczęstuje pana herbatą. Sam pan rozumie, to sprawy państwowe.

- Doskonale - odparł wyniośle doktor. - Zasłużyłem zresztą na chwilę przerwy. Rzadko się spotyka tak krnąbrnych pacjentów.

Pani Timson położyła kopertę na stoliku nocnym i wyszła bez słowa, a po niej pokój opuścił doktor, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Wtedy dopiero Harrington dał upust niecierpliwości. Drżącymi dłońmi rozerwał papier.

- Co to? - zapytał z kąta głos, w którym wciąż pobrzmiwała wesołość.

- Milcz! - szepnął chrapliwie Harrington, rozprostowując kartkę i przebiegając po niej pośpiesznie wzrokiem. - Milcz, Krętaczu, i nawet nie waż się. O Boże!

Gwałtownym szarpnięciem otworzył szufladę i wydobył kilka innych dokumentów. Papiery rozsypały się po pościeli, gdy nerwowo porównywał ich treść. Gdy w końcu podniósł głowę, w jego oczach malował się

niezwykły tryumf.

- Co to? - Tym razem w głosie z kąta brzmiała niepewność.

- Mamy go. - wyszeptał Harrington, bezwiednie mnąc list. - „Schweibe” przynosi rezultaty, Krętaczu. Człowiek Załuskiego donosi, że za dziesięć dni, dokładnie dwunastego grudnia, profesor Michael Tritz będzie miał odczyt na uniwersytecie. Koniec tego!

Ostatnie słowa wykrzyczał, wyskakując z łóżka. Z całej siły pchnął drzwi od sypialni, aż te uderzyły o ścianę. Wystraszony MacCraig poderwał się, rozsypując bańki, a łaszący się do niego Poe uciekł pod sofę. Niosąca imbryk z herbatą pani Timson zamarła ze zgrozą na widok przełożonego, który w koszuli nocnej wybiegł na środek holu.

- Sir! - wrzasnął piskliwie MacCraig. - Przeciągi!

- Nienawidzę ich tak samo jak pana! - wysapał Harrington. - Proszę zatem wyjść tylnymi drzwiami, a oszczędzi mi pan dwóch nieprzyjemności naraz. Baniek proszę nie zbierać, z ochotą wyrzucę je sam. Droga pani Josephino! Proszę wysłać młodego Ralpa na lotnisko międzynarodowe i zamówić pięć biletów.

- Pan chce wyjechać? Toż to niedorzeczność!

- Niech się pan nie przejmuje, doktorze. Gdziekolwiek się wybiorę, wszystko okaże się lepsze od angielskiej zimy! Gdzie, do diabła, jest major Gubbins?

8.

Komandor Kornilowicz zmrużył oczy i odchylił lekko głowę ku tyłowi.

- Nie będę ukrywał, poruczniku, że pańska prośba jest cokolwiek niecodzienna. Proszę się poczęstować papierosem, a ja uchylę iluminator.

Dowódca wstał i zaczął manipulować przy mocowaniach bulaja.

Wojtek wykorzystał

tę chwilę, by rozejrzeć się po dawnej kajucie Wilczaka, już doprowadzonej do porządku

po sztormie na Morzu Irlandzkim. Najwyraźniej Kornilowicz nie należał do ludzi

przesądnych, gdyż w wystroju kajuty nie zmienił prawie nic. Na ścianie nadal wisiała

stara akwarela przedstawiająca powitanie przybywającego z Anglii nowiutkiego

„Gromu” przez stary torpedowiec „Podhalanin”, a także kilka zdjęć pamiątkowych

z ceremonii podniesienia bandery i obchodów Święta Morza. Stara lampka nocna z wyszczerbionym abażurowym kloszem dalej stała przy koi, a blat biurka jak dawniej poplamiony był atramentem.

Jedynie książki Wilczaka, kilka starych, wytartych powieści Josepha Conrada znikło bez śladu. Wojtek poczuł ukłucie żalu.

- Co pan zrobił z książkami? - spytał nieoczekiwanie, niemalże wbrew sobie.

- Z czym? - Kornilowicz uchylił bulaj i do wnętrza kabiny wdarł się powiew zimnego powietrza. - A, z książkami komandora Wilczaka. Komisarz pytał, czy chcę je zatrzymać, czy ma je oddać wraz z rzeczami zmarłego. Woląłem, by je zabrał. Sądzę, że te powieści były dlań rzeczą zbyt osobistą, bym ja mógł je zatrzymać, a poza tym... Tak szczerze, to nie przepadam za Korzeniowskim.

- Nie? - zdziwił się Wojtek, obserwując śnieżne drobinki wpadające do kajuty.

- Ojciec zmuszał mnie do czytania jego książek, gdy byłem dzieckiem.

- Twarz dowódcy znikła w chmurze dymu tytoniowego. - Chciał w ten sposób wyrobić we mnie miłość do morza.

- Mój ojciec w ogóle nie chciał, bym szedł do wojska. - Śnieżewski się uśmiechnął. - Na Szkołę Morską zgodził się po wielu kłótniach jeszcze w

9.

szkole średniej.

- Pozostaje mi tylko cieszyć się z pańskiego uporu. - Kornilowicz pokiwał głową. - Wyrósł z pana doskonały, kompetentny oficer. Tym bardziej zaskakuje mnie pańska prośba.

Wojtek odetchnął głęboko i spojrzał na swego dowódcę. Widział jego surową twarz i karcący wzrok i czuł, jak ochota do dalszej rozmowy topnieje jak owe zabłąkane płatki śniegu w ciepłe kajuty. Naraz pożałował, że do niego przyszedł i podzielił się tym, co miał najcenniejszego - wspomnieniem o ojcu. Potem jednak spojrzał Kornilowiczowi głębiej w oczy i pod maską cynizmu odnalazł w nich zwykłą ludzką sympatię do siebie.

- To trudny temat, komandorze - powiedział wolno, patrząc na tłący się papieros.

- Chodzi o ów przypadkowy wystrzał podczas obławy na U-Boota?

- Skądże.

Nie namyślając się wiele, opowiedział mu wszystko. O wielkim człowieku, który przed nim zajmował tę kajutę. O chwili, gdy zakończył naprawę podnośnika i przyszedł o tym zameldować. O swym omdleniu w szkockim pubie, późniejszej rekonwalescencji

i upokorzeniach śledztwa. Wreszcie o spojrzeniach, które przywitały go po powrocie na pokład, i słowach, które usłyszał od swego najbliższego kolegi.

- Niech się pan nie dziwi, komandorze, ale jak na jeden raz wydarzyło się zbyt wiele - mówił, nie zważając na to, że papieros dawno się dopalił i tkwił między palcami. - A ten wystrzał, niby przypadkowy. Cholera, a może ja z wolna ulegam tej presji?

Uniósł głowę i spojrzął w zmartwione oczy kapitana.

- To rzeczywiście trudna sprawa... - Kornilowicz pokręcił głową i podszedł do zaimprovizowanego barku. - Napije się pan czegoś?

- Wybacz pan, ale nie. - Wojtek się wzdrygnął. - Nie tu. Nie w tej kajucie.

- Słusznie. - Dowódca zamknął barek i oparł się o niego plecami, patrząc na przyciemnione światła Plymouth. - Poruczniku, nie będę się bawił w wydawanie osądów. Obaj wiemy, że na przesadność czy zawziętość ludzi morza nie ma siły. Obaj jednakże znamy też wymogi regulaminowe.

- Prawo do urlopu przysługuje jedynie rekonwalescentom lub marynarzom, którzy odsłużyli pół roku bez przerwy. - Śnieżewski westchnął. - Do licha, ma pan rację. To przecież bez sensu. Sam nie wiem, po co do pana przyszedłem.

- Nie wie pan? - zdumiał się Kornilowicz. - W oficjalnym raporcie zabrzmiałoby tak: „Udał się na urlop zdrowotny celem podreperowania zdrowia nadszarpniętego w wyniku wyteżonej służby”. Nieoficjalnie zaś będziemy wiedzieć, że zrobił pan to po to, by poprawić morale swoje i załogi.

- To znaczy, że wyraża pan zgodę? - Oczy Śnieżewskiego błysnęły.

- Nic nie tracę. Okręt i tak idzie na parę dni do stoczni, a potem czeka nas jeszcze jeden przeklęty patrol. Ma pan dwa tygodnie, podporuczniku.

- Dziękuję! - Wojtek odetchnął z ulgą. - Zamelduję się jeszcze przed upływem tego czasu!

- To zbyt wiele.

Sir Harrington rozparł się wygodnie w miękkim fotelu, przymknął oczy i

oblizwał wargi, na próżno szukając resztek smaku wypalonego przed startem cygara.

„Nic to”, pocieszył się w myślach. Już za parę godzin będzie mógł palić do woli i rozkoszować się świeżym powietrzem Kopenhagi. A zresztą, pal sześć cygara! Czyż nie wspaniale jest znów wyruszać w drogę?

Przepelniała go niezwykła energia, jakiej nie czuł od wielu, wielu miesięcy. Nie czuł się tak od dnia, gdy wraz z Tritzem weszli na pokład „Vandrerena”, norweskiego frachtowca płynącego na Islandię.

Tritz.

Naraz ogarnęło go radosne wrażenie, że świat wraca do równowagi. Dzięki cudownemu zrządzeniu losu na nowo znalazł się na tropie szalonego Niemca.

Przed kilku laty Tritz omamił go, odarł z sekretów, okradł i niemalże zabił, lecz oto nadchodził czas zemsty. Tym razem jednak atut zaskoczenia stał po stronie Harringtona.

Anglik przymknął na chwilę oczy, napawając się wizją rychłej przegranej swego przeciwnika, lecz naraz pełne mściwości marzenia przegnała inna, stokroć potężniejsza myśl.

„Tritz miał kilka lat na zdobycie nowej wiedzy - przemknęło mu przez głowę. -

Gdyby udało się szubrawca pojmać, jego sekrety stałyby się moje! Moje!”.

Odetchnął głęboko i wyjrzał przez okrągłe okienko. Śmigła prawego silnika lockheeda L.14 elektry obracały się coraz szybciej, zamieniając się w świetlisty krąg, a kadłub samolotu zaczął lekko drzeć. Spośród zimowych chmur na moment wyjrzało słońce i błysnęło radośnie.

Od czasu ich wspólnej wyprawy Tritz trwał w ukryciu i Harrington mógł tylko

zgadywać, czym się przez ten czas zajmował. Nie miał pojęcia, jak bardzo urosły moce

Niemca ani też co skłoniło go do wyjścia z cienia. Nie wiedział, jak powinien wobec

niego postąpić. Pojmanie go w niewolę i przewiezienie do The Frythe było pomysłem

nęcącym, lecz graniczącym z szaleństwem. Nie sądził, by Niemiec poruszał się bez

uzbrojonej po zęby ochrony, nawet po neutralnym kraju. Podejrzewał więc, że będzie musiał ograniczyć się do nużącego śledzenia Niemca przez dzień i noc. Może uda się wykraść któryś z jego sekretów? Może trzeba będzie po prostu go zabić? Liczył jednak

na szczęśliwy los i szansę na schwytanie Niemca. Świat był za mały jak na dwóch ludzi, którzy posiadli tę samą wiedzę.

Na szczęście Harrington nie był sam. Siedzący kilka miejsc za nim major Gubbins ubrany w zielony pulower i kraciastą marynarkę gapił się przez iluminator na terminal dworca lotniczego Croydon i co chwila lękliwie sprawdzał czas na zegarku z łańcuszkiem, który wyciągał z kieszonki. Gdyby nie blizna, przypominałby w tym stroju przedsiębiorcę handlowego z londyńskiej klasy średniej, a nie zaprawionego w bojach żołnierza. Siedzący za nim kapral Fulham ziewnął szeroko, składając z szelestem „The Guardian”. Elegancki garnitur ze złotymi spinkami w krawacie, monokl i starannie ułożone loki, a także nasycone flegmą zachowanie nie pozostawiało cienia wątpliwości - młody, znudzony arystokrata czystej wody. Siedzący po przeciwnej stronie Travis, z dwudniowym zarostem, wygniecioną marynarką i walizeczką na kolanach, przypominał zaś zubożalego komiwojażera, który ostatniego funta wydał na bilet lotniczy. Nigdzie nie widział młodego Gosby’ego, który przyjął rolę rozpuszczonego paniczyka. Ostatni członek ich zespołu zapewne usiadł z przodu.

Gubbins westchnął ciężko i spojrzał na Harringtona. Jego wzrok przesunął się po szefie Sekcji D obojętnie, jakby nigdy się nie znali, po czym zatrzymał się na znaku reklamowym British Overseas Airways Corporation. Ponownie westchnął i ze zmartwioną miną zerknął na wielki zegarek.

„Naprawdę wygląda jak handlarz bez szczęścia do interesów”, pomyślał Harrington. I to taki, którego żona od wielu tygodni nie wpuszcza do łóżka.

Fulham również nań spojrzał, krótko i wyniośle, a na twarzy Tralisa wciąż malowało się oszołomienie i niepewność. O Gosby’ego także nie musiał się martwić, gdyż nagle usłyszał jego piskliwy głos z brzęczącym

akcentem kornwalijskim przebijający rosnący ryk motorów. Wtórował mu perlisty śmiech kokietowanej towarzyszkii.

Ludzie Gubbinsa doskonale odgrywali role ustalone na odprawie w The Frythe. Dobre samopoczucie Harringtona rosło.

Obsługa lotniska wreszcie zatrzasnęła drzwi samolotu za ostatnim pasażerem, młodym mężczyzną w płaszczu, który trzymał lekką walizeczkę. Jeden z pracowników, walcząc ze strumieniem zaśmigłowym, wyrwał blokadę spod kół i samolot jał z wolna zwracać swój obły nos ku pasowi startowemu. Pilot pchnął przepustnicę i ryk silnika jeszcze się wzmógł.

Lockheed kołował coraz szybciej. Z każdą sekundą mordęga obrad JISC, zakazy doktora MacCraiga, dni pełne wątpliwości i noce wypełnione koszmarami oddalały się w niepamięć.

- Przepraszam, czy to miejsce jest wolne?

Naraz ocknął się z zadumy. Młody człowiek, ponaglany przez obsługę lotu, wskazywał wolny fotel obok niego. W jego akcencie było coś znajomego.

- Oczywiście, proszę bardzo - powiedział Harrington, uśmiechając się promiennie.

Młodzieniec skinął głową, szybko wrzucił płaszcz i walizeczkę do szafki nad

siedzeniem i opadł na fotel, pośpiesznie zapinając pas. Harrington zerknął nań z ciekawością. Jego towarzysz miał na sobie granatową kurtkę mundurową, spod której wyglądała biała koszula z krawatem. Dół rękawów kurtki obwodziły dwa równoległe żółte pasy, z których górny wieńczyła pętla. Na kolanach uprasowanych „na kant” spodni nieznajomy złożył czapkę i brązowe rękawiczki.

- Pierwszy raz widzę taki mundur - powiedział Harrington, coraz bardziej zaciekawiony. - Jest pan Duńczykiem?

- Nie, skądże...

Młodzieniec uśmiechnął się w odpowiedzi. W jego twarzy było coś intrygującego, jakaś tajemnicza melancholia właściwa tylko tym, którzy. Harrington odpędził myśli, próbując skupić się na słowach obcego.

- .choć spędziłem tam kilka lat. Nawet wciąż pamiętam kilka zwrotów po duńsku. Jestem Polakiem.

- Polakiem! - Harrington skinął głową. Oczywiście! Naraz

przypomniała mu się

stosunkowo poprawna angielszczyzna Załuskiego z ustawicznie mylonym „th”.

Młodzieniec mówił bardzo podobnie. - Miło mi pana poznać - odezwał się obojętnym

tonem. - Thomas Morrison, przedsiębiorstwo Cork Shipping.

- Podporucznik Wojciech Snieżewski, z niszczyciela „Grom”.

- Bardzo mi miło - powiedział Harrington. - Czytałem w prasie o waszych okrętach, zwłaszcza tej niezwyklej łodzi podwodnej, „Eagle”, zdaje się.

- „Orzeł”! - poprawił go Polak z bladym uśmiechem.

- Zapewne. Proszę mi wybaczyć, ale jako Anglik z dziada pradziada jestem tradycyjnie odporny na wszelkie języki obce. Tak, to dopiero była historia... Ho, ho! Co pana prowadzi do Kopenhagi?

- Długa historia! - Młody oficer machnął ręką. - Dostałem miesiąc urlopu i zaległe pobory, a Kopenhaga jest mi bliższa od miast angielskich.

- To w istocie urocze miasto.

- Tam właśnie umarł mój ojciec. - Snieżewski zmrużył oczy. - Nie odwiedzałem jego grobu od kilku lat, a ostatnio odczuwam z tego powodu szczególny żal.

- Nic dziwnego, jest pan żołnierzem. - Harrington pokiwał głową. - Ociera się pan o śmierć każdego dnia.

- Tak - mruknął Polak, zatopiony w rozmyślaniach. - Żeby pan wiedział... Tak, Kopenhaga to dla mnie bardzo osobiste miejsce.

Osobiste... Harrington zagryzł wargi. Nigdy nie znał miejsca, które mógł nazwać swym własnym, ale miał w życiu przedmioty, które stanowiły dla niego świętość. Jednym z nich był prowadzony od czasu islandzkiej eskapady dziennik, który pozostał w The Frythe. Nie mógł pozwolić na to, by w wypadku niepowodzenia misji zapiski wpadły w niepowołane ręce, ale czuł się nieswojo ze świadomością, że wyrusza w tak daleką podróż bez powiernika.

Co gorsza, jego jedynym strażnikiem był Krętacz, a trudno o kogoś mniej godnego zaufania.

Nie był to jednak czas na takie rozważania. Rozpędzony, srebrzysty lockheed naraz uniósł dziób i rozpędzona ziemia poczęła się szybko

oddalać. Harrington ujrzał malejący cień samolotu przypominający kształt drapieżnego ptaka, po czym zerknął ku zimowemu słońcu, znów odsłoniętemu przez chmury.

Jego uśmiech pogłębił się.

Poe uniósł główkę, rozejrzał się dookoła leniwym wzrokiem, po czym oblizął pyszczek i umościł się wygodnie na kolanach pani Timson. Zaburczał z rozkoszy, gdy chropowata, spracowana dłoń gospodyni przesunęła się po jego grzbiecie.

W rezydencji panowała zupełna cisza zakłócana jedynie szumem lodowatego wichru pośród zamrożonego bluszczu. Przestraszony wzrok pani Timson przesuwiał się po kątach gabinetu sir Harringtona, podświadomie szukając pajęczynki szronu. Mapa Islandii na ścianie, na poły skryta w drżących cieniach, przypominała ciemnego polipa, a grzbiety ksiąg mieniły się złotem i srebrem. Światło tańczyło w zapomnianej karafce z winem.

Starsza pani oblizwała wargi.

Nie wiedziała, co sprawiło, że przyszła do gabinetu, który od czasu owej bezsennej nocy przerażał ją do granic obłędu. Nie licząc ogrodnika, kucharza i dwóch pokojówek, rezydencja była pusta. Major Gubbins planowo zakończył szkolenie swych ludzi, dzięki czemu z początkiem grudnia Grand mógł ich zabrać na próby terenowe w dziczy Brecon Beacons, a sam Harrington udał się do Europy. Być może gospodyni łudziła się, że zdoła pokonać strach, a może miała zuchwałą nadzieję na odkrycie w pokoju jego źródła lub innych tajemnic, które w nim się kryły.

Tajemnice. Pani Timson przeżegnała się ukradkiem. Mieszkała i pracowała w rezydencji The Frythe od czasów, gdy rządziła nią rodzina Wilshere, ale nigdy nie wydarzyło się w niej tyle zagadkowych zdarzeń co w ciągu ostatnich kilku dni. Wciąż pamiętała srebrzysty szron, który obsiadł okna i ściany pokoju. Były jednak inne rzeczy. Nieziemski chłód, który bił od tego milczącego, ponurego Polaka. Chichot, który usłyszała, stojąc pod drzwiami sypialni podczas wizyty doktora, a który na pewno nie należał do Harringtona. Rozmowę dobiegającą z jego gabinetu,

podczas gdy z pewnością nikt u niego nie gościł.

The Frythe w ciągu raptem paru dni stało się nawiedzonym miejscem.

Plecami starej gospodyni wstrząsnął dreszcz. Nerwowym gestem spędziła kota z kolan i wstała powoli, z irracjonalnym lękiem modląc się, by fotel nie zaskrzypiał. Już się nachylała, by zdmuchnąć świece, gdy ujrzała, że jedna z szuflad biurka jest niedomknięta.

Przysięgłaby, że jeszcze przed chwilą wszystkie były zamknięte! Nachyliła się z wahaniem ku czarnej szczelinie i w migotliwym blasku płomieni dostrzegła skraj jakiejś książki. Na rogu połyskiwało metalowe okucie.

Jedna ze świec zaskwierczała, strzelając wysokim płomieniem, i mapa Islandii na ścianie rozbłysła, jakby zapraszając do zrobienia kolejnego kroku. Pani Timson nabrała głęboko tchu i jednym szarpnięciem otworzyła szufladę. Ujrzała leżący w niej gruby, oprawiony w skórę i uzbrojony w metalowe okucia kajet.

Pani Timson ułożyła zeszyt na blacie biurka i powoli, z namaszczeniem przewróciła pierwszą stronę. Nie zauważyła, że oddech wokół jej ust zamienił się w delikatną parę, a świst wiatru za oknem przybrał melodię radosnego chichotu.

Część druga

Prolog II

Wśród skał nagle zapanowała cisza, jedynie echo wzmocniło ostatnie, twarde słowa Sverre'a.

- Możecie więc wybierać! - powtórzył Sverre raz jeszcze. Migotliwy blask ognia upodabniał jego twarz do oblicza ognistego boga. - Stajemy do walki albo dajemy się rozproszyć.

Usiadł z chrzęstem kolczugi, wbijając wzrok w płomienie. Kobiety i mężczyźni wokół ogniska milczeli, ale w oczach wielu z nich skrzyło się podniecenie.

- Piękna mowa, Sverre - rozległ się naraz zgrzytliwy, nieprzyjemny głos. Wszyscy spojrzeli na siwobrodego starca o krzaczastych brwiach. - Zaiste piękna. Zaraz znać, żeś naszym przywódcą, a w twym głosie brzmi moc boska. W oczach naszych przyjaciół widać, że podobają im się twoje słowa. Chcą wstać i walczyć. Tak.

Starzec oparł się na włóczni i pokiwał głową, wodząc spojrzeniem od jednej twarzy do drugiej.

- A ja przeżyłem już wiele wiosen, Sverre, i nie dam się omamić młodzieńczemu gniewowi. Zatem zapytam cię wprost. Dlaczego chcesz, byśmy szli na wojnę?

- Gunnar, nie słuchałeś moich słów? - Sverre podniósł głowę. - Nie słuchałeś Kriss, gdy ta opowiadała o swych wizjach? Do naszej ziemi zbliża się wróg - tysiące żołnierzy, a wśród nich Czarne Zło, gotowe zniszczyć Króla Gór i Bezimienną Dolinę! Trzeba być szaleńcem, by stać biernie i...

- Trzeba być szaleńcem, by pchać Ukryty Lud na rzeź! - krzyknął niespodziewanie Gunnar, unosząc włócznię. - Mylisz się, gdyż zaślepią cię duma! Cóż nas obchodzą sprawy wielkiego świata, polityka czy rządy! My jesteśmy Ukrytym Ludem, Sverre, a naszą misją jest bronić Króla Gór! Tylko to!

- Ależ ja chcę go bronić! - Sverre podniósł się, zaciskając mocno usta.

- Nie. - Gunnar pokręcił głową. - Ty chcesz, byśmy walczyli w wojnie ludzi. Chcesz, byśmy stanęli przeciwko tym, którzy zaatakują mieszkańców tego kraju, ich miasta i fiordy!

- Słuchałeś wizji Kriss! - ryknął Sverre. - Wiesz o Czarnym Złu, które

nadejdzie wraz z napastnikami! To im musimy stawić czoło.

- Musimy. - Starzec skinął głową. - Musimy i stawimy mu czoło, gdy ruszy na Bezimienną Dolinę. Ale za nic w świecie nie zmusisz mnie, Sverre, bym walczył w wojnie ludzi.

- A gdzie jest różnica, Gunnar? - odezwał się nagle trzeci głos. Obok Sverre'a stanął niski, krępy mężczyzna o ponurej twarzy i żółtych oczach.

- Jak odróżnisz Czarne Zło od armii najeźdźców, mędrco?

- Skygge! - parsknął Gunnar. - Tylko czekałem, aż się podniesiesz. Jako najlepszy przyjaciel Sverre'a siłą rzeczy pierwszy powinieneś ulec jego dumnym przemowom.

- Posłuchaj własnych słów, Gunnar! - Głos Skygge przypominał powarkiwania dzikiego zwierzęcia, a jego żółte oczy błyszczały. - Umiesz tylko sztydzić, a nie potrafisz przekonać do swych racji! Czy chcesz, byśmy zaszyli się w kniei i czekali na Czarne Zło, aż podejdzie na skraj Bezimiennej Doliny, przedstawi się i pozwoli zabić? A czym jest Czarne Zło? Jak je rozpoznasz? Jak je odróżnisz?

- Musimy tam być! - zwołał Sverre, a jego głos niósł się echem wśród skał. - W dniu, gdy wrogowie wylądują na naszych plażach, powinniśmy być wśród ludzi i walczyć z nimi od pierwszych chwil! Tylko w ten sposób dowiemy się, czym jest Czarne Zło i jak można je powstrzymać. Jeśli chcesz, Gunnar - zwrócił się w stronę starca, który nadal stał wsparty na włóczni i mamrotał przekleństwa - zostań. Nie obronisz jednak Króla Gór w ten sposób. Ja idę walczyć w wojnie ludzi.

Ogień strzelił wysoko, jakby na potwierdzenie jego słów. Jeden po drugim członkowie Ukrytego Ludu wstawali i znikali w milczeniu między skałami. Poniosło się echem wycie wilka.

9.

Po ciepłej, słonecznej jesieni rozpoczęły się przymrozki, a w pierwszych dniach grudnia okolicę wokół The Frythe spowiła śnieżna biel. Temat tajemniczej posiadłości już od dawna nie był poruszany w pubie Hollyfield's w Welwyn. Wciąż w okolicy nie widziano żadnych pilotów, a na trasie między miasteczkiem a The Frythe ustał nawet ruch samochodowy. Jedynym wyjątkiem był lśniący bentley, który opuścił rezydencję kilka dni temu i z wielką prędkością skierował się na Londyn. Jego przejazd nie wywołał jednak żadnego zainteresowania, jedynie pan MacGregor, właściciel starego, rozklekotanego morrisa, mruknął coś kwaśno o cwaniakach z rządu, których nie dotyczy racjonowanie paliwa.

Sama rezydencja również nie zwróciła uwagi poszukiwacza tajemnic. Modrzewie w ogrodzie pokrył szron, a dachy przysypane były śniegiem, przez co posiadłość wyglądała jeszcze spokojniej i ciszej niż latem. Znikli gdzieś wartownicy, samochody schowano do garaży, a jedyne ślady na zaśnieżonych trawnikach pozostawiał polujący czarny kot. Wieczorem zaś gasły wszystkie światła i posiadłość pogrążała się w ciemnościach.

Tylko bardzo bystry obserwator zdołałby dostrzec nikłe, skryte światelko w jednym z okien. Być może dojrzałby też zaczytaną kobietę, która co rusz unosiła strwożone spojrzenie i rozglądała się po pokoju. Zapewne pomyślałby, że oto w ręce pobożnej, starszej pani wpadły opowiadania erotyczne, straciłby zainteresowanie i odszedł. Nigdy by nie pomyślał, że na jego oczach wychodzi na jaw jeden z największych sekretów tego świata.

12 lutego 1936, Oksford

*Niezbadane są zrządzenia losu. Właśnie dziś, kiedy po tylu latach mordęgi
podjąłem decyzję*

O porzuceniu badań, miał miejsce przełom.

*Wydarzyło się to po południu, kiedy siedziałem w moim gabinecie
uniwersyteckim*

1 z zacięciem darłem zaproszenia na odczyty. Po wczorajszym spotkaniu z

9.

dżentelmenami z Royal Society moje zgorzknienie sięgnęło zenitu i poprzysiągłem sobie, że nigdy już nie będę szukać zrozumienia dla moich badań. Dość już miałem ledwo skrywanych uśmiezków i pełnych rozbawienia szeptów za plecami, dość miałem prób przekonania armii i MI-5 o celowości prowadzonych przeze mnie badań. Są na tym świecie rzeczy znacznie bardziej warte zachodu niż walka z wiatrakami, powtarzałem sobie. Mam pięćdziesiąt lat, zbyt wiele, by nadal wysłuchiwać kpin bandy ignorantów. Pytanie, czym może się zająć upokorzony naukowiec u progu starości, odpychałem od siebie z całych sił.

Gdy podarłem ostatnie zaproszenie, rozległo się pukanie do drzwi.

Moim oczom ukazał się starszy mężczyzna o siwych, krótko przyciętych włosach i surowej,

pokrytej zmarszczkami twarzy. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, lecz mimo to trzymał się prosto, a jego sylwetka emanowała siłą i witalnością. Na nosie miał okulary połówki, a ubrany był w elegancki ciemny garnitur, który leżał na nim niczym mundur na zawodowym wojskowym.

„Witam, panie Harrington - odezwał się w niezłej angielszczyźnie z wyraźnym niemieckim akcentem. - Nazywam się profesor Michael Tritz i od dawna śledzę pańskie badania. Przyznam, iż imponuje mi pańska zawziętość w walce z przekleństwem racjonalnego myślenia i już od dawna chciałem się z panem spotkać. Pańska dysertacja The Practical Use of the Runes wzbudziła mój zachwyt, a nawet zazdrość”.

„Raczy pan żartować - uśmiechnąłem się z przekąsem, lecz zaprosiłem go do środka. - A który z rozdziałów owej dysertacji wzbudził pana największe zainteresowanie?”

„Tytułowy - odparł Niemiec. - Mam do pana tysiące pytań”.

Było w nim coś, co odróżniało go od odzianych w czerń wysłanników towarzystw ezoterycznych czy łóż różokrzyżowców, którzy zwykli późną porą składać mi wizyty, przedstawiać się mrocznymi imionami i przez długie godziny roztaczać przede mną wizje hermetycznych tajemnic, jakie poznały ich bractwa. Doprawdy, gdyby choć część z tych historii okazała się prawdą, na samych Wyspach Brytyjskich znajdowałyby się przynajmniej trzy sztuki świętego Graala i dwie włącznie świętego Maurycego!

Pytania Tritza tymczasem nie miały w sobie nic z naiwnej, chciwej żarliwości nawiedzonych proroków, którzy w moich wywodach szukali uzasadnienia dla swoich kosmicznych teorii. Nie było w nich też niedbale skrywanej drwiny, jaką nierzadko słyszałem od ludzi uważających się za intelektualistów. Pytał rzeczowo i konkretnie, po chwili poprosił o pozwolenie na robienie notatek, a nim upłynęła godzina rozmowy, czułem, że ufam mu bardziej niż któremukolwiek z nawiedzających mnie wyznawców wiedzy tajemnej.

Powiedziałem mu dużo, być może nawet za dużo. Mam wrażenie, że Tritz to zagorzały faszysta, choć podczas naszej rozmowy nie uczynił żadnej aluzji do polityki. Kilku kolegów z katedry skandynawistyki jest oburzonych tym, że mitologia i literatura Północy stanowią podbudowę mentalności nazistów, a ich samych uważa za wcielenie zła, lecz ja rozmawiałem z Tritzem bez lęku. Inna sprawa, że po doznanych

upokorzeniach oddałbym swe tajemnice nawet diabłu, gdyby tylko zechciał mnie wysłuchać.

12 lutego, północ

Już trzecią godzinę przewracam się z boku na bok, na próżno próbując złapać choć trochę snu. Przed oczami płyną mi rzędy runów. Spływają z kamieni runicznych, z kling mieczy, z wyschniętych skór wołowych i układają się w obietnice nowych, lepszych czasów. Kim jest Tritz? Kim jest ten dziwny człowiek, który wniósł tyle zamieszania do mojego zgorzkniałego światopoglądu?

Pani Timson zamarła, przelękając nerwowo ślinę. Z dołu dobiegło stłumione skrzypnięcie drzwi, a koniuszek ucha śpiącego kota drgnął. Przez chwilę nasłuchiwała z bijącym mocno sercem, lecz skryta w mroku rezydencja milczała.

Przestraszona pani Timson wstała, wsunęła dziennik Harringtona do szuflady i delikatnie postawiła zaspanego kota na dywanie. Poe zaprotestował głośnym miauknięciem, lecz odpowiedziało mu tylko ciche skrzypnięcie zamykanych drzwi.

Harrington czuł niepokój.

Śnieg, który delikatnie prószył podczas lądowania, zmienił się w gwałtowną śnieżycę. Ostry wiatr pędził białe, oślepiające tumany wzdłuż ulic i chodników, a ludzie na zewnątrz parli naprzód, zgięci wpół, próbując osłonić twarze szalami. Choć od przeszklonych drzwi wejściowych hotelu Du Nord, które były okolone atrapami antycznych kolumn, dzieliło go wciąż kilka kroków, Harrington czuł już zimne dreszcze.

- Czy podstawić panu taksówkę? - spytał młody człowiek z recepcji, który najwyraźniej dostrzegł jego wahanie.

- Nie, bynajmniej - mruknął Harrington w odpowiedzi, po czym

przeszedł kilka kroków i zdecydowanym ruchem pchnął ciężkie wrota.

Natychmiast tego pożałował. Lodowaty wiatr smagnał go po twarzy, niemalże strącając głęboko naciągnięty szary kapelusz. Anglik miał na sobie gruby filcowy płaszcz, sztruksowe spodnie i wełniane rękawiczki, ale mimo to zimno natychmiast przeniknęło go do głębi. Przez moment walczył z chęcią powrotu do ciepłego holu hotelu i zagadnięcia uprzejmego recepcjonisty o taksówkę, lecz w porę się opamiętał. Nie chciał zwracać na siebie uwagi już pierwszego dnia pobytu w Kopenhadze.

Ulicą ColbjOrnesen, przy której mieścił się hotel, pędziły śnieżne tabuny. Kształtne latarnie uliczne i secesyjne fasady kamienic tonęły w mlecznej zawiei. Sunące wolno ulicą samochody na próżno starały się przebić śnieżycę blaskiem reflektorów, głośno trąbiąc na nieostrożnych przechodniów. Harrington parł naprzód z uniesionym kołnierzem płaszcza, a gdy po kilkunastu krokach spojrzął za siebie, ostre kontury frontu Du Nord były już ledwie widoczne.

- Du *hindrer yejen!*¹ - krzyknął ktoś za jego plecami i Harrington nagle poczuł silne szturchnięcie w ramię.

Mijający go człowiek miał zaczerwienioną od zimna twarz i błyszczące gniewem oczy. Kałuża przy krawężniku rozbryzgnęła się pod kołem hamującego packarda, ochlapując kilku przechodniów błotną breją. Śpieszący się Duńczyk wybuchnął stekiem przekleństw.

„Cholerny świat”, pomyślał Harrington. Miał przemoczone buty.

Wedle planu miasta kupionego jeszcze na lotnisku Kastrup, herbaciarnia Nippon miała znajdować się ledwie trzy minuty spaceru od hotelu Du Nord. Szalejąca śnieżycą wydłużyła jednakże drogę w nieskończoność i gdy Harrington w końcu położył zgrabiałą dłoń na kłamce drzwi herbaciarni, zziębnięte uszy aż pulsowały bólem, a po zaczerwienionych policzkach Anglika płynęły łzy.

- Proszę, sir!

Oczy Harringtona były załzawione, ale dojrzał znajomą postać wyciągającą ku niemu chustkę. Z ulgą wydmuchał nos i przetaił oczy, po czym ujrzał głupkowato uśmiechniętego Gosby'ego. Człowiek Gubbinsa nadal wyglądał jak dandys, który dopiero co zszedł z parkietu tanecznego. Miał na sobie elegancką koszulę z rozpiętym najwyższym guzikiem i pachniał dyskretnie dobrą wodą kolońską, a jego włosy były starannie

uczesane i przetarte brylantyną. Jak zwykle sprawiał wrażenie człowieka, który za nic ma trudy dnia powszedniego, i Harrington niespodziewanie poczuł, że wzbiera w nim irytacja.

- Gosby, odezwij się do mnie jeszcze raz per „sir” - warknął cicho - a gwarantuję ci, że w ciągu tygodnia będziesz szorował latryny w najpodlejszej bazie RAF-u na Wyspach.

Rozejrzył się po pomieszczeniu, odwracając wzrok od zaczerwienionego Gosby'ego. Herbaciarnia była nieduża i utrzymana w japońskim stylu. Malowane na ciepłą czerwień ściany, wysokie parawany oraz lampiony, w których podskakiwały promyki świateł, tworzyły miły kontrast wobec szalejącej śnieżycy na zewnątrz. Goście cicho rozmawiali nad filiżankami herbaty. Niektórzy zerkali przez szerokie okna na ulicę, po czym z dezaprobatą kręcili głowami i składali kolejne zamówienia u poruszającej się bezszelestnie, przebranej za gejszę kelnerki.

Wśród cichego gwaru rozmów, pobrzękiwania zastawy i melodyjnej muzyki z radia nikt najwyraźniej nie dosłyszał niezręcznych słów Gosby'ego:

- Witaj, wujku - powiedział głośno, lecz nie na tyle, by przyciągnąć tym czyjąś uwagę. - Już sądziłem, że utknąłeś gdzieś na przedmieściach. Ponoć był jakiś wypadek przy wyjeździe na Roskilde.

Wziął od Harringtona przemoczony płaszcz i powiesił na wieszaku.

- To dobre miejsce - stwierdził. - Jest ciepło i podają tu przednią herbatę. Gdy ujrzałem cię w oknie, pomyślałem natychmiast, że pewnie będziesz zziębnięty, więc od razu zamówiłem imbryk z jaśminem.

- Wreszcie okazuje się, że umiesz myśleć! - „Wujek” Harrington jeszcze raz wytarł nos. - A jednak wdałeś się w swoją matkę, nie w ojca. Przy którym stoliku usiadłeś?

- Tam!

Harrington udobruchał się nieco, widząc, że wybrany przez Gosby'ego stolik stoi w kącie skryty w półmroku. Mieli stamtąd dobrą widoczność na wewnątrz lokalu, drzwi wejściowe oraz witryny okienne, sami zaś byli osłonięci parawanami od sąsiadów.

Pierwszy łyk ciepłej, aromatycznej herbaty smakował wprost niebiańsko i Harrington poczuł, jak ciepło z wolna powraca do jego ciała.

- Znalazłeś coś? - rzucił szeptem, gdy już się upewnił, że sąsiedzi za parawanem to para rozchichotanych Francuzów, z przejęciem

opowiadających sobie szczegóły ostatniego przyjęcia w konsulacie.

- Tak, s... wujku. - Gosby kaszlnął, podsunął mu świeży numer „Politiken” i palcem stuknął w krótki artykuł w kolumnie ogłoszeń.

- Gosby, ja nie znam duńskiego. - Harrington przymknął oczy. - Mógłbyś to z łaski swojej przetłumaczyć?

- Oczywiście, sir. Eee... Tu piszą, że spotkanie z historykiem i archeologiem z uniwersytetu hamburskiego, profesorem Michaeliem Tritzem, zostaje przesunięte na godzinę 18:00 14 grudnia - przeczytał agent ściszym głosem. - Powodem są jakieś wspomniane wyżej, pożałowania godne zajścia w poniedziałkową noc. Piszą tu jeszcze, że z uwagi na przebieg śledztwa oraz bezpieczeństwo prelegenta spotkanie odbędzie się w sali drugiej w ambasadzie niemieckiej. To chyba złe wieści, nieprawdaż?

- Przypomnij sobie odprawę w The Frythe. - Harrington upił jeszcze łyk i zapatrzył się na promyk podskakujący za ściankami lampionu.

- Pamiętam odprawę. - Gosby skrzywił się. - Śledzony przez nas człowiek, Michael Tritz, jest groźnym szpiegiem. Mamy zbierać na jego temat informacje, ewentualnie spróbować ukraść dokumenty, z którymi podróżuje. Ale, sir... Nie do końca to wszystko rozumiem. Mam parę pytań, które.

- Co jeszcze mówiliśmy na odprawie?

- No. Garść szczegółów organizacyjnych i.

- Gosby, na litość boską! - We wzroku Harringtona błysnęła stal. - Na odprawie usłyszałeś także, że zostaliście zwolnieni z prób terenowych w Brecon Beacons, by zdać egzamin w praktyce, na oczach moich i majora Gubbinsa! Macie tu wykorzystać wszystko, czego was, do ciężkiej cholery, nauczyliśmy, a ty, dandysie jeden, popełniasz błąd za błędem! Od chwili, kiedy tu wszedłem, wałnąłeś trzy gafy! Trzy w kwadrans!

- Jasne, zapomniałem się przy powitaniu, ale.

- A potem zaczęłaś zadawać pytania! - Harrington uniósł filiżankę do ust i upił łyk. Przygodny obserwator uznałby, że Anglik po prostu cieszy się smakiem herbaty, ale Gosby widział wściekłość buzującą w oczach szefa Sekcji D. - Dręczy cię ciekawość, tak? Chcesz wiedzieć, co dokładnie robimy w Kopenhadze, kim jest Tritz i czemu nie udamy się do

ambasady, gdzie pod przykrywką biura paszportowego działa komórka naszego wywiadu? To chcesz wiedzieć?

Roześmiał się cicho i klepnął go poufale po ramieniu, lecz spięty Gosby nie dał się zwieść. Wiedział, że Harrington jedynie udaje naturalne zachowanie. Widok dwóch naradzających się szeptem obcokrajowców mógł wzbudzić podejrzenia, ale widok wujka i jego siostrzeńca, zatopionych w przyjacielskiej pogawędce?

- Gosby, nie zadawaj pytań, do jasnej cholery! - Nadal sztucznie uśmiechnięty Harrington nalał sobie świeżej herbaty. Jego policzki pulsowały czerwienią. - Jeśli wpadniesz w szpony Niemców, wycisną z ciebie wszystko! Wszystko, co do ostatniego szczegółu! Chcesz pogrzebać naszą misję, mnie, Gubbinsa i Sekcję D? Jeśli tak, to pytaj! Proszę, Gosby!

- A trzeci błąd? - Martwą twarz Gosby'ego na próżno próbował rozjaśnić sztuczny uśmiech.

- Czytasz mi to ogłoszenie. - Harrington cedził przez zęby. - Mówisz „pożalowania godne zajścia”, „śledztwo policji” i „bezpieczeństwo prelegenta”. Nie przyszło ci do głowy, że to może mieć jakiś związek z naszym zadaniem? Przecież to wyraźne nawiązanie do innych artykułów! Podobno znasz język, a nawet nie zadałeś sobie trudu, by przewertować tę gazetę!

Gosby porwał „Politiken” i gwałtownie, drżącymi dłońmi przerzucił na pierwszą stronę.

- Nie znam nawet pięciu słów po duńsku, a widzę więcej niż ty! - Zakrzywiony palec Harringtona wbił się w artykuł opatrzony sporym nagłówkiem i niewyraźnym zdjęciem.

- Widzisz? *Den Amamagn&anske Handskrijtsamling?*

- Archiwum Manuskryptów imienia Arniego Magnusona? - Gosby przełknął ślinę.

- Czytaj!

- Wczoraj, to jest 13 grudnia, w godzinach wieczornych nieznani sprawcy włamali się do Archiwum Manuskryptów imienia Arniego Magnusona. Jeden z pracowników naukowych Archiwum mimo późnej pory wciąż zajęty transkrypcją średniowiecznego utworu został brutalnie zamordowany. Napad najwyraźniej nie miał charakteru rabunkowego, gdyż włamywacze ograniczyli się do zdewastowania wielu drogocennych dzieł literatury narodu duńskiego i islandzkiego. Wedle wstępnych szacunków pracowników Archiwum włamywacze niczego nie zabrali...

- Co za bzdura. - Harrington mocno zacisnął powieki, jakby powstrzymując wybuch wściekłości. - Tam są setki sag, poematów, transkrypcji. Jeśli ktoś zostawił tam po sobie bałagan, to właśnie po to, by zamaskować kradzież! Zbieraj się, Gosby. Czeka cię spotkanie z kulturą. Może być to dla ciebie szokiem.

- Sir, tu piszą, że teren jest obstawiony przez policję!

- Tobie chyba naprawdę zależy na pracy w latrynach RAF-u. - Harrington dopił herbatę i wstawał.

- Ale.

- Przyniesź mój płaszcz, mój drogi siostrzeńcze, a mówienie zostaw tym, którzy to potrafią. A potem... - Harrington zapatrzył się na ulicę i zgarbione sylwetki ludzi wśród śnieżnej kurzawy. - A potem znajdź dla nas taksówkę.

Policjant zdawał się drzemać, lecz gdy tylko podeszli bliżej, zerwał się z drewnianej ławy z rączością przeczącą jego tuszy. Zamachał rękami i śpiesznie wyrzucił kilka zdań po duńsku. Gosby już otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz Harrington powstrzymał go ruchem ręki. Jego dłoń wślizgnęła się pod kołnierz koszuli, jakby dotykał krzyżyka, po czym ujął nic nierozumiejącego policjanta pod łokieć i szepnął mu kilka słów na ucho. Ten skinął głową i uspokojony opadł z powrotem na ławę.

Na twarzy Gosby'ego pojawiło się źle skrywane zdumienie.

- Co pan mu powiedział? - zapytał szeptem, gdy ruszyli dalej w głąb korytarza.

- Nieistotne, co mu powiedziałem, Gosby. - W oczach Harringtona igrały złe ogniki i młodszy agent aż się cofnął. - Istotne jest to, JAK to zrobiłem. Ten człowiek pewnie nie zna nawet angielskiego. O, to tu.

Nad nimi wznosił się łuk, na którym ręka nieznanego artysty wyryła napis *Den Amamagn&anske Handskrijtsamling* czcionką przypominającą nieco nordyckie runy. Dalszą drogę zagraadzały ciężkie dębowe wrota z mosiężną klamką, na której ktoś zawiesił tabliczkę z napisem „lukket”. Zza drzwi dobiegał gwar rozmów, a w szparze pod nimi rozbłyskały flesze lamp błyskowych.

- Arni Magnusson był Duńczykiem islandzkiego pochodzenia - powiedział cicho Harrington. - Poświęcił życie zbieraniu islandzkich rękopisów, a na łożu śmierci zapisał swą kolekcję uniwersytetowi w Kopenhadze. Za tymi drzwiami znajduje się największy zbiór sag i innych średniowiecznych manuskryptów na świecie, teraz obrócony w perzynę i splamiony ludzką krwią. Nie interesuje cię, dlaczego ktoś mógł popełnić takie przestępstwo?

- Interesuje - odezwał się głucho Gosby, nie patrząc na zwierznika.
- Ale nie wolno mi zadawać pytań.

- Robisz postępy - mruknął Harrington, zerkając na bladą twarz młodzieńca.

Od chwili wyjścia z herbaciarni Gosby milczał i zaciskał pięści, a na jego policzkach migotały rumieńce.

„Zdaje się, że w tym młodym człowieku kryje się więcej ambicji, niżbym mógł się tego spodziewać”, pomyślał Harrington.

Już chciał wygłosić jakąś pokrępiającą uwagę, gdy jego uwagę zaprzętnęło nowe spostrzeżenie. Przez framugę na wysokości ludzkiej głowy biegły cztery równoległe głębokie szramy wyglądające na pozostawione przez pazury. Podobne, lecz krótsze, znajdowały się niżej, nad klamką.

Zupełnie jakby zostawiła je dłoń, opadająca, by otworzyć drzwi.

Dłoń?

- Gosby, spójrz tylko na to... - wyszeptał chrapliwym głosem i podszedł bliżej.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich niewysoki, łysiejący człowiek

w przepoconej koszuli. W dłoniach trzymał aparat fotograficzny.

Na twarzy Harringtona zaszła błyskawiczna przemiana.

- God *dag!* - Uśmiechnął się szeroko, skinął głową i ruszył prosto do wnętrza Archiwum.

- *God dag!* - bąknął w odpowiedzi całkiem wytracony z równowagi Duńczyk. - *Hvem*

2

er du? Hvad er du lige til?

Dłoń fotografa zacisnęła się na ramieniu Harringtona, a pracujący w zdewastowanym pomieszczeniu detektywi unieśli głowy, mierząc intruza nieprzychylnymi spojrzeniami.

- Co się stało? - Harrington wybałuszył oczy, rozglądając się naokoło z udawaną zgrozą. - Manuskrypty.

- Archiwum zamknięte. - Dłoń policjanta z aparatem fotograficznym zaciskała się coraz mocniej. Jego angielszczyzna była kiepska, lecz zrozumiała. - Proszę przyjść w następnym tygodniu. Tu śledztwo.

- Śledztwo. - wyjąkał Harrington, wspierając się na futrynie. - Ale moje badania.

W końcu Harrington, wciąż bełkoczący o manuskryptach i zrujnowanej karierze,

pozwoił się wyprowadzić, a Gosby ruszył w ślad za nimi. Mimo upokorzenia wciąż palącego go żywym ogniem podziwiał bezczelną grę swego szefa, dzięki której i jemu udało się dokładnie przyjrzeć miejscu zbrodni. Być może nawet zbyt dokładnie. Z każdym krokiem nabierał pewności, że Harrington tylko częściowo udawał oszołomienie.

W Archiwum nie ocalał żaden mebel. Szczątki potrzaskanych regałów ułożono w jednym z kątów sali, z wyjątkiem potężnego biurka, wciąż leżącego pod ścianą. Gosby'emu przyszło do głowy, że zostało tam ciśnięte, lecz nie umiał sobie wyobrazić

siły potrzebnej do takiego rzutu. Poważni, zatroskani policjanci z uwagą stawiali kroki - podłoga Archiwum zasłana była bowiem dziesiątkami podartych, podeptanych arkuszy, niekiedy pokrytych brązowymi plamami zakrzepłej krwi. Ciężkie żelazne drzwi, prowadzące do ciemnego, nieoświetlonego wnętrza Archiwum, zwisały martwo. Na ich powierzchni

zastygły grube krople stopionego metalu zamka.

Gdy na powrót wyszli na zimne, smagane wichrami powietrze Kopenhagi, był pewien, że cieszy go zakaz zadawania pytań.

Odpowiedzi nie było.

Wojtek wsunął marznące dłonie w kieszenie palta i zgarbił się jeszcze bardziej. Marznące podmuchy uparcie kąsały jego szyję, lecz zdawał się tego nie zauważać. Szedł chodnikiem wzdłuż ulicy Njalsgade, nie unosząc wzroku, głuchy na świst wichru i trąbienie jadących powoli samochodów.

Niewielki cmentarzyk katolicki na południu miasta, z którego właśnie wracał, nawet w zimie emanował ciszą i spokojem. Nie docierał tam zgiełk ruchu ulicznego, a przed dokuczliwym wiatrem bronił wysoki żywopłot oraz grupki wysokich, smukłych modrzewi otulających groby rodzinne. Ich soczysta zieleń dawno już znikła pod śniegiem, lecz Wojtek i tak miał wrażenie, że wciąż czuje ciepły zapach drzew zapamiętany z ubiegłorocznej wizyty.

Ławeczka obok grobu ojca była pusta. Wojtek usiadł i zapatrzył się na białe drobinki, płasające na kamiennej płycie wokół inskrypcji: „Profesor Andrzej Śnieżewski 18901938”.

„Dlaczego nie powiedziałeś mi wszystkiego, ojcze? - pytał w myślach. - Dlaczego odszedłeś, nie zdradzając mi największego sekretu? Wydarzyło się coś, czego nie rozumiem, coś, co odebrało mi pewność siebie, zaufanie przyjaciół, spokój ducha... Straciłem wszystko! Ty wiedziałeś, że coś w sobie noszę, prawda? Wiedziałeś, że mam jakiś dar czy raczej przekleństwo życia. Dobrze pamiętam twój wzrok tej nocy, gdy powiedziałem wam o śmierci dziadka. Byłeś przerażony, bo odkryłeś u mnie to, co sam dobrze znałeś. Pamiętam też, jak bardzo protestowałeś, gdy chciałem służyć w wojsku. Czy to miało jakiś związek, ojcze?

Szkoda, że milczysz. Nie mam komu zadawać pytań. Jestem sam na tym świecie, z każdą chwilą coraz bardziej sam. Jeszcze jakiś miesiąc temu miałem miejsce wśród garstki przyjaciół i towarzyszy broni. A teraz? Wyznaniec wśród wygnańców?

Ojcze, kim ja jestem? Czym ja jestem?”.

Pytania przybierały coraz rozpaczliwszy ton, a litery nazwiska ojca

patrzyły nań martwo, bielejąc od zagubionych śnieżnych drobin. „Szukaj odpowiedzi sam”, zdawały się mówić. Tylko w starych opowieściach pomoc przychodzi z za grobu.

W końcu Wojtek szedł ze zwieszoną głową wzdłuż chodnika, patrząc na czubki ubrudzonych błotem butów. Zimny wiatr z wolna wywiewał resztki nadziei z jego serca.

- . n i g d y czegoś takiego nie widziałem, sir! - rzekł ktoś z ożywieniem po angielsku.

- Gosby, jeszcze raz nazwiesz mnie „sir”...

Śnieżewski podniósł głowę. Znał ten głos.

Wysoki, starszy jegomość w długim ciemnym płaszczu i stylowym kapeluszu odwrócił się w stronę ulicy i machnął na sunącą wolno taksówkę. Towarzyszący mu młodzieniec zaklął i odskoczył, gdy woda z kałuży chlusnęła mu na spodnie. Jego włosy, zapewne na co dzień smarowane brylantyną, kleiły się teraz do czoła, całkiem mokre. Wojtek spojrział na starszego dżentelmena i naraz uświadomił sobie, że ma przed sobą przygodnego znajomego z samolotu.

- Dzień dobry! - powiedział, uchylając czapkę. Z jakiegoś powodu cieszył się, że może do kogoś otworzyć usta. - Cóż za miłe spotkanie!

Na twarzy Anglika na ułamek sekundy zagościła konsternacja, niemalże natychmiast przegnana przez szeroki uśmiech.

- Och, to pan! - rzekł i wyciągnął dłoń. - Drogi Gosby, oto porucznik Śnieżewski - zająknął się lekko przy długim, obcym nazwisku - dzielny oficer z polskiego okrętu wojennego. To zaś jest mój siostrzeniec, Mark Gosby.

Śnieżewski uścisnął prawice obydwu Anglików i naraz uderzyła go komiczność tej sceny. Trzech przemarzniętych dżentelmenów zapomina o śniegu, kałużach i zimnym wietrze, by z powagą spełnić towarzyski konwenans. Uprzejmość Anglików wydała się tym dziwniejsza, że jeszcze sekundę temu obaj wyglądali na mocno wzburzonych. Na twarzy tego, który w samolocie przedstawił się jako Morrison, widać było z trudem skrywane napięcie, a jego dłoń lekko drżała, jakby powodowały nim wielkie emocje. Zarumieniony niezdrowo Gosby umykał zaś wzrokiem w bok jak człowiek przeżywający ogromny żal bądź wstyd.

- Pogoda nas nie rozpieszcza! - Wojtek uśmiechnął się lekko.

- Och, tak! Ow śnieg jest doprawdy irytujący. Poruczniku, obawiam się, że wzywają nas obowiązki. - Machanie starszego dżentelmena odniosło swój skutek i przy krawężniku zatrzymał się powoli czarny buick, rocznik 1936. - Jedziemy w stronę centrum. Zabierze się pan może z nami?

- Nie, dziękuję. - Śnieżewski pokręcił głową. - Śnieg być może jest irytujący, ale skutecznie chłodzi myśli. Wolę się przejść. Życzę miłego dnia!

- Nawzajem. Do zobaczenia!

Obaj Anglicy znikli w ciepłym wnętrzu samochodu i buick wolno ruszył, wydmuchując kłęb niebieskawych spalin. Śnieżewski odprowadził go wzrokiem. W ich zachowaniu było coś dziwnego, czego nie potrafił nazwać.

„Czy siostrzeniec powinien odzywać się do wuja per «sir»? - zapytał się w myślach. - Może się przesłyszałem. Mniejsza o to. Przecież to nie moje zmartwienie. Do diabła z Anglikami i ich zwyczajami!”

Wojtek wzruszył ramionami i poszedł dalej. Do ColbjOrnsensgade i hotelu Du Nord, gdzie się zatrzymał, został mu niezły kawałek spaceru.

Ciężkie skłębione chmury nadal sunęły nad Kopenhagą. Światła miasta barwiły ich podbrzusza na kojący, różowy kolor, a na ulicach blask latarni zaćmiewał skośnie padający śnieg. Kałuże przy krawężnikach zeszklił już lód, a ColbjOrnsensgade wydawała się jak wymarła. Przez ostatnie pół godziny przeszło nią zaledwie trzech ludzi, wszyscy skuleni, z pośpiechem zmierzający ku ciepłym schronieniom.

Harrington stał przy oknie w ciemnym pokoju hotelowym. W blasku latarni jego nieruchoma twarz wydawała się woskową maską. Lekko drżącą dłonią trzymał szklanę z sherry. W jego oczach zamigotał blask fajerwerków znad ogrodów Tivoli.

„Ciesz się, Kopenhago”, pomyślał bez złośliwości, niemalże ze smutkiem. Bawcie się, Duńczycy, póki jeszcze możecie. Hitlerowcy już zaczęli was ograbić.

Zamknął oczy i znów ujrzał splądrowane *Amamagn&anske Handskrijtsamling*. Kiedyś, gdy był jedynie rozgoryczonym badaczem literatury, widok spalonych, podartych czy podeptanych manuskryptów sprawiłby mu ogromny ból. Dzisiaj nawet nie przyszło mu do głowy, by ronić łzy nad skarbami literatury. Dziś myślał tylko o jednym.

Był pewien, że za włamaniem stoi Tritz.

Myśli Harringtona były czarne. Po wielu latach odnalazł przeciwnika i był gotów do kolejnego starcia, ale w sercu Anglik czuł zimny strach. Przyjrzał się rysom pazurów na drzwiach Archiwum, zauważył ciężkie biurko ciśnięte na odległość kilkunastu kroków i żelazny zamek stopiony niczym wosk. Nie dość, że Tritz nabrał zuchwałości, to jego potęga najwyraźniej urosła do rozmiarów, wobec których on, Gubbins i garstka żołnierzy z Sekcji D byli bezradni.

Harrington wychylił szklanę sherry i z wściekłością roztrzaskał szkło o podłogę. Jaka przewagę osiągnął Niemiec przez te kilka lat, kiedy to skutecznie chował się przed brytyjskim wywiadem? Jaka mądrość zgłębił od czasu ich walki na Islandii?

„Większą”, odpowiedział sam sobie. O wiele większą niż on, Harrington, mógł sobie wyobrazić.

Świszczący oddech Anglika uspokoił się nieco, gdy jego dłoń przez płótno koszuli dotknęła obłego naszyjnika.

10.

- Po co Tritz napadł na Archiwum? - zapytał sam siebie. - Co mógł z niego wynieść?

Niespodziewanie ciszę w pokoju rozdarł ostry terkot telefonu. Harrington drgnął

i z niepokojem spojrzął na aparat podskakujący na stoliku nocnym. Telefon o tej porze nie mógł oznaczać niczego dobrego. Podał co prawda numer pozostałym członkom zespołu, ale surowo zastrzegł, by dzwonili tylko w ostateczności.

Czyżby nastąpiła taka ostateczność?

Szkoło z rozbitej szklanki zachręściło pod jego stopami, gdy szybkim krokiem podchodził do aparatu.

- Morrison, słucham! - z udawaną sennością odezwał się do słuchawki.

- Sir, mam to, czego pan szuka! - Głos Gosby'ego był z trudem słyszalny wśród trzasków i gwizdów. - Dotarłem do głównego archiwisty i wiem, co zginęło z *Den Amagn&anske Handskrijtsamling!* Wiem, co...

- Gosby, chyba oszalałeś... - Niepokój Harringtona w mig wyparował, zastąpiony przez wściekłość.

- Sir, niech pan posłucha. Ja.

- Przypomnij sobie, co ci mówiłem o dzwonieniu na ten numer! Przypomnij sobie też.

- Sir, dzwonię, bo musi pan.

- .co ci mówiłem o zwracaniu się do mnie, cymbale! Gosby, twoja głupota nie zna granic. Za kwadrans widzę cię w Seaside!

Cisnął słuchawkę, ignorując dzikie wrzaski agenta. Serce biło mu jak szalone, a dłonie drżały mocniej niż przed chwilą. Wziął głęboki wdech i obiecał sobie sumiennie, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi po powrocie do Anglii, będzie wyrzucenie Gosby'ego z Sekcji D. Pociągnie za kilka sznurków i ten nieodpowiedzialny przemądrzalec zakończy karierę na czyszczeniu latryn w Scapa Flow.

Znów pożałował, że nie zabrał ze sobą dziennika. Opisywanie emocji w tym grubym, obitym skórą kajecie, działało na niego dziwnie kojąco, zupełnie jakby uczucia raz opisane traciły niszczącą moc. Tymczasem dziennik leżał w szufladzie jego biurka w The Frythe, tak daleko.

Odepchnął niepotrzebną myśl. Wedle kodu ustalonego jeszcze w Anglii Seaside oznaczało hotelową restaurację w Du Nord. Harrington odczekał kwadrans, próbując uspokoić nerwy, po czym zdjął z wieszaka palto i po cichu wyszedł z pokoju.

- .bo musi pan wiedzieć, że jestem śledzony - zakończył Gosby ze zrezygnowaniem, gdy w słuchawce rozległ się ciągły sygnał.

Cicha uliczka wydawała się żywcem wycięta z ilustracji bajek Andersena. Śnieżne zasy usypane przez zamiatającego chodnik gospodarza domu, odbijały blask odległych sztucznych ogni. Ściany kamienic pięły się wysoko ku nocnemu, różowemu niebu, niemalże zamykając się nad jego głową, a szyby okienne lśniły malowidłami szronu. W jednym z okien dostrzegł parę dziecięcych buzi przyklejonych do szyby.

„Patrzą na sztuczne ognie - przemknęło mu przez głowę. - Na Boga,

jeszcze zobaczą to...”.

Odwrócił się szybko i z lękiem spojrzał ku ciemnemu zaułkowi, z którego wybiegł.

Resztki blasku odległej latarni zamieniły uliczkę w plataninę cieni, wśród których dostrzegał jedynie niewyraźne kształty kilku przysypanych śniegiem samochodów oraz ciemne witryny sklepowe odcinające się od jaśniejszych ścian domów. Nad jedną z nich wolno kołysał się szyld z napisem „Konditori”.

Gosby starł parę z szyby budki telefonicznej. Światło latarni przygasало raz po raz skryte w zamieci, a cienie na ścianach to rosły, to kurczyły się. Mimo dokuczliwego zimna jego czoło pokrył pot. Jeden z cieni wyraźnie sunął w jego kierunku.

Wielki cień.

Panika zawładnęła nim w jednej chwili. Angielski agent wypadł z budki i rzucił się do rozpaczliwej ucieczki. Buzie dzieci znikły, a wraz z nimi same fajerwerki nad Tivoli. Niebo przybrało na powrót złowieszczy różowy kolor.

Był sam, za jedyne towarzystwo mając wielki cień za plecami.

Biegł jak szalony, bojąc się odwrócić. Ślizgał się na śniegu, potykał o przysypane przeszkody, przetaczał po maskach zaparkowanych samochodów, ani na chwilę nie zwalniając. Zimne powietrze, wciągane głębokimi haustami, raniło ciężko pracujące płuca, dłonie piekły od rozlicznych upadków, lecz strach dodawał mu skrzydeł.

Gosby starał się kluczyć wśród cichych, uśpionych uliczek. W dzikim pędzie minął front kościoła Vor Fruelses, nieświadom zdumionego spojrzenia, jakim obdarzyły go oszroniałe gargulce. Przebiegał przez podwórka kamienic, skute mrozem parki i miejskie placyki, a jego plecy wciąż płonęły, przeszywane nienawistnym wzrokiem prześladowcy. Z rozpaczą przeklinał chorą ambicję, która popchnęła go do samodzielnego śledztwa, przeklinał Harringtona, który zranił jego dumę, przeklinał dzień, w którym związał swe życie z wywiadem. Klął, biegł i szlochał ze strachu.

Oddech coraz głośniejsze rzeźił w płucach. Bliski omdlenia, ledwie zauważał, że miasto nagle przestało być znaną mu Kopenhagą. Ostatnim wysiłkiem woli wciąż kierował się ku hotelowi Du Nord. Mimo ogłuszającego łomotu krwi w skroniach wyraźnie słyszał chrapliwy

oddech za sobą. Jeszcze trzy przecznice i będzie placyk Holmgard, potem park z wiązami i jeszcze trochę... Starczy sił, musi starczyć!

Znów potknął się o krawężnik i padł na usypaną zaspę, a wtedy uświadomił sobie, że od dłuższego czasu nie spotkał ani jednego człowieka. Nie paliły się światła w oknach, nie było samochodów, nie widział rozbawionej młodzieży wracającej do domu. Miasto milczało wyczekująco.

Gosby uniósł zalepione śniegiem usta, by zawołać o pomoc, lecz z jego rozpalonego gardła wydobył się tylko cichy skrzek. A może i dobrze? Przecież i tak świat opustoszał. Nie było już hotelu Du Nord, Archiwum Manuskryptów, Harringtona i jego przyjaciół z Sekcji. Było tylko wyczerpanie i był śnieg, ciepły, przytulny. Zamknął oczy i ujrzał szramy po pazurach na drzwiach i futrynie drzwi do Archiwum.

Sekundę później identyczne wykwitły na jego plecach.

Zasłyszane zdania atakowały go ze wszystkich stron. „Dzielny oficer z polskiego okrętu.”, „Jedziemy właśnie w stronę centrum.”, „Mój siostrzeniec Mark Gosby.”. Mój siostrzeniec Mark Gosby.

Błada twarz i klejące się do czoła loki. Nieobecne spojrzenie, w którym malowały się wściekłość i uraz. Zaczerwienione policzki.

„Jeszcze raz nazwiesz mnie sir.”. Czarny buick hamujący przy krawężniku... Mark Gosby.

Cztery równoległe ostre sztylety. Purpurowe oczy śledzące pełznącą sylwetkę. Kropelki krwi z wolna wsiąkające w śnieg.

Krwi?

Płytki, nerwowy sen prysnął w jednej chwili. Śnieżewski poderwał się, ciężko dysząc. Nim uzmysłowił sobie, co właściwie robi, stał już obok łóżka i pośpiesznie wciągnął spodnie, buty, a potem narzucał kurtkę mundurową i płaszcz, sekundę później wypadł na korytarz hotelowy.

W oczach schodzącego wolno schodami Harringtona błysnęło zaskoczenie.

- Ten świat jest zaiste małym miejscem! - zawołał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Pomyśleć, że w tak dużym mieście...

- Gosby! - wybełkotał Śnieżewski, chwytając Harringtona za ramiona.

- Pański sios... Siostrzeniec!

- Poruczniku, co pan wyprawia!

Zaskoczony Anglik cofnął się o stopień wyżej, dopiero teraz dostrzegając stan,

w jakim znajdował się polski oficer. Nieogolona twarz Śnieżewskiego była blada, a oczy jaśniały chorobliwym blaskiem. Jego dłonie drżały.

- Na litość boską, pił pan czy co? - zawołał ze zdumieniem Harrington.

- Niechże się pan opamięta, jest wieczór, a goście.

- Ten człowiek. - Śnieżewski wykonał gest, jakby chciał skryć twarz w dłoniach. - Pański siostrzeniec. Niech pan idzie za mną!

Niespodziewanie złapał Anglika za nadgarstki i pociągnął w dół.

- Panie poruczniku! - krzyknął Harrington, lecz w jego głosie zabrzmiało wahanie. - Doprawdy nie wiem, jak mam rozumieć pańskie zachowanie! Mam umówione spotkanie i.

Hotelowy boy pchający wózek z kolacją wyprostował się i zmierzył groźnym wzrokiem hałasujących gości. Śnieżewski jakby opadł z sił. Cofnął się o krok, spojrzał na Harringtona i szepnął z rezygnacją:

- Pański siostrzeniec nie żyje!

Zapadnięte w śniegu ciało Gosby'ego wyglądało żałośnie, jakby uchodząca dusza pozostawiła jedynie sflaczały zewłok. Przez całą długość pleców biegły cztery równoległe, szerokie cięcia, które przesyły skórzaną kurtkę, skórę i ciało. Rany wciąż parowały.

Wojtek przysiadł na własnych piętach. Dzikie impulsy, który nakazał mu wyskoczyć z łóżka, wybiec na korytarz i zawlec protestującego Morrisona na plac Holmgard, opuścił go w chwili, gdy obaj dostrzegli ciało. Patrzył, jak tamten przykłęka przy trupie i wolno, drżącą ręką dotyka szyi w poszukiwaniu tętna.

- Nie żyje - powiedział cicho.

W bladym świetle latarni jego poszarzała twarz wyglądała upiornie.

- Mówiłem. - W głosie Wojtka zabrzmiało zmęczenie. - Przepraszam, że wywlokłem pana z hotelu. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Ja też nie - padła odpowiedź.

Zaskakująco spokojna, jak na kogoś, kto przed chwilą stracił siostrzeńca.

- No dobra, niech pan pyta. - Wojtek przymknął oczy. - Śmiało.

- O co?

- O wszystko. O to, skąd wiedziałem, że Gosby nie żyje. O to, gdzie umarł. O to, jak umarł.

- Przy innej okazji.

Odpowiedź była tak zaskakująca, że Wojtek uniósł głowę, z niedowierzaniem przyglądając się postaci Anglika. Ten tymczasem ukląkł i bezceremonialnie odwrócił Gosby'ego na plecy, po czym położył coś na jego piersi.

Mały kamyk?

Niespodziewanie mroźne powietrze stężało, a skaczące po śniegu iskierki zamarzyły, napełniając noc osobliwym blaskiem. Palce zabitego drgnęły lekko, potem mocniej, by niespodziewanie zacisnąć się w pięści. Anglik, nachylony bardzo nisko nad trupem, przyciskał jedną dłoń do jego czoła, a drugą do piersi, gdzie wcześniej umieścił ów drobny przedmiot. Maksymalnie skoncentrowany wpatrywał się w jego wciąż otwarte oczy.

Naraz usta Morrisona wyszeptały krótkie, niesłyszalne pytanie:

- *Vidarssaga...*

Trup poruszył lekko ustami.

- Co pan robi?

Śnieżewski poderwał się z obrzydzeniem.

Anglik wstał powoli i w tej samej chwili świat wrócił do równowagi.

- Zabawne! - Morrison zmierzył Wojtka zmrużonymi, lśniącymi

niebezpiecznie

oczami. - Przecież to ja miałem zadawać pytania.

Ow drobny przedmiot, zdjęty z klatki piersiowej Gosby'ego, błysnął mu między palcami. Śnieżewski zdążył zauważyć, że był to płaski kamyk z wrytym czarnym znakiem, lecz jego wzrok przykuł inny szczegół. Pięść Gosby'ego jeszcze raz się zamknęła i rozwarła, ostatecznie zastygając w tej pozycji.

- Przecież on. - Śnieżewski cofnął się o krok. - Przecież on jest martwy.

- Och, nie przeczę! - Anglik spojrział na zwłoki z zainteresowaniem. - Nie ma pan jednakże pojęcia, poruczniku, ile sekretów mogą zdradzić zwłoki, jeśli. Jeśli się je odpowiednio zapyta.

- Ale.

- Zapomniałem panu podziękować za przyprowadzenie mnie tutaj. Nie mam do pana pretensji, że zrobił to pan niemalże przemocą. Zimne trupy mają znacznie mniej do powiedzenia niż ciepłe.

- Nie rozumiem, panie Morrison. O czym pan mówi?

- Nic dziwnego, że pan nie rozumie. - Oczy Anglika otworzyły się szerzej. - Nasze społeczeństwa wychowywane są w okowach racjonalizmu i automatycznie negują to, co tkwi w nas od zarania dziejów. To intrygujące, że ludzki umysł wyrzekł się magii, podczas gdy dalej kultywuje miłość, dziedzinę o wiele bardziej mroczną, złożoną i nieprawdopodobną. A tak na marginesie, nazywam się Harrington. Nie sądzę, żeby pańska pamięć przechowała ten fakt do jutra, ale lepiej się poczuje, dochowując tradycji ucziwego przedstawiania się.

Anglik szedł w jego stronę, wpatrując się weń niesamowitym, skrzącym wzrokiem.

Śnieżewski zdołał jeszcze zrobić krok w tył, po czym zastygł w bezruchu, pochwycony mesmerycznym spojrzeniem. Po chwili świat zniknął, a on widział już tylko oczy Morrisona, ogromne i wszechwładne.

Wszystko inne znikło.

Zimny wiatr wreszcie skręcił nad Atlantyk, uwalniając Kopenhagę od dokuczliwego towarzystwa. Płatki śniegu wirowały wolno, przykrywając oszroniałe drzewa, parapety i wielkie plamy krwi. Gałęzie jednego z drzew

zadygotały nagle, strzepując srebrzysty pył szronu. Wielki, czarny ptak uniósł się w powietrze, ciężko bijąc skrzydłami.

Ciszy w The Frythe nic nie zakłócało. Pani Timson, siadając powoli w fotelu Harringtona, słyszała jedynie cichutkie skwierczenie palącej się świecy. Nikt nie chodził po korytarzach, nikt nie chrapał, nie grała żadna muzyka, a oszronionymi gałązkami bluszczu za oknem nie poruszało najłżejsze nawet tchnienie wiatru.

„Dlaczego przez tyle lat służby nie zauważyłam, że pracuję w nawiedzonym miejscu”, próbowała zażartować w myślach, lecz skojarzenie wywołało jedynie kolejne dreszcze lęku. Przeżegnała się szybko. Nie powinna karmić wyobraźni żadnymi niepotrzebnymi wymysłami. Zwłaszcza po tym, co wyczytała zeszłej nocy.

Odetchnęła głęboko i otworzyła szufladę. Dziennik sir Harringtona leżał tam, gdzie go wczoraj zostawiła.

22 lutego 1936, Oksford

Dni mijają jeden za drugim, a ja poruszam się niczym we śnie. Jem, nie zwracając uwagi na smak, wygłaszam wykłady, których treść umyka mi zaraz po wyjściu z sali, a podczas redakcji Słownika mitów zapominam nawet o zwyczajowej przerwie na cygaro i herbatę. Sensem mojego życia stały się spotkania z profesorem Tritzem, a sensem owych spotkań są runy.

Runy, dwadzieścia cztery prymitywne symbole z przeszłości, które stały się pasją mego życia.

Długie lata badań już dawno utwierdziły mnie w przekonaniu, iż owe osobliwe, koślawe znaczki, dzięki którym wikingowie upamiętniali swe waleczne czyny w kamieniu, metalu i rogu, były czymś więcej niż tylko prymitywnym alfabetem. Jestem pewien, że runy miały właściwości, które jedynie dla uproszczenia można zwać magicznymi. Moi koledzy po fachu, racjonalnie myślący badacze przedchrześcijańskiej Skandynawii, tradycyjnie drwią z takiego założenia. Wedle nich wierzenia w nadprzyrodzoną moc runów powstały dzięki elitarności owej sztuki.

Umiejętność ich stawiania znana była bowiem zaledwie garstce uprzywilejowanych - wodzów, wróżbitów, kapłanów - przez co reszta społeczeństwa traktowała ją z nabożnym lękiem i uznała za magiczną.

To ze wszech miar rozsądne założenie i bynajmniej mu nie przeczę. Mojej teorii jednakże nie wyklucza.

Główną tezą *The Practical Use of the Runes*, bezmyślnie wyszydzoną przez największe autorytety oksfordzkie, było to, że pewne zapisy runiczne mają właściwości niedające się wytłumaczyć w racjonalny sposób. Dowodziłem, że oprócz znaczenia dosłownego nadawały zwykłemu przedmiotowi również osobliwą pierwotną moc, która zamieniała go w potężny artefakt. Przedstawiłem dogłębną analizę wielu sag i pieśni skaldycznych, które jednakże szybko zyskały miano „guseł Harringtona”. Zjadliwej krytyki nie szczędzili mi zarówno koledzy z katedry, jak i historycy średniowiecza, a nawet zwykli prasowi recenzenci, niemający przecież pojęcia o treści ani o celu moich badań. Posiane przez nich ziarno nienawiści wykiełkowało dość szybko i kolejne odczyty spotykały się z coraz gorszym odzewem. Grono ludzi mi przychylnych topniało z każdym dniem, by wreszcie skurczyć się do paru najbliższych przyjaciół, grupki ezoterycznych zapaleńców i kilku półgłówków uważających się za potomków bohaterów z ery przedchrześcijańskiej.

Zabawne jest jedynie to, że żaden z moich pożałowania godnych krytyków ani słowem nie wspomniał o najważniejszym rozdziale, w którym opisuję moje doświadczenia z runicznym mieczem wydobytym podczas wykopalisk niedaleko Yorku. Ten właśnie rozdział tak bardzo zainspirował Tritza

Na wszystkich bogów, przecucie, że znalazłem się blisko przełomu w badaniach, wzmaga się z każdą chwilą. Niemiec nie przybył do Oksfordu z pustymi rękami. Już podczas pierwszej wizyty przekazał mi teczkę z dokładnym opisem kilku eksperymentów, które przeprowadził w Niemczech. Wnioski zebrane przez moich niemieckich kolegów wprawiły me serce w żywsze bicie. Naraz uświadomiłem sobie, że nie jestem jedynym człowiekiem na świecie, który dotarł tak blisko tajemnicy runów.

Jeden z dokumentów opisywał prosty duński miecz znaleziony na wyspie Uznam. Oręż nie wyróżniał się niczym szczególnym poza inskrypcją runiczną na głowni, głoszącą „Jam wilkiem Thora”. Podczas eksperymentów przeprowadzonych przez naukowców z Ahnenerbe

okazało się, iż ręka dzierżąca ów artefakt męczy się trzykrotnie wolniej, niż gdyby władała zwykłym mieczem, a klinga w niezwykle sposób odporna jest na wyszczerbienia. Ustalono również, że właściwości tnące oręża dwukrotnie przewyższają właściwości tnące każdego innego ostrza tego typu.

Inny dokument opisywał bizantyjski posąg z marmuru w kształcie leżącego lwa, na którym wyryto trzy runiczne inskrypcje. Ich autorami najprawdopodobniej byli wojownicy z gwardii wareskiej, elitarnego oddziału najemników skandynawskich i anglosaskich służącego cesarzowi Bizancjum. Jedna z nich jest nieczytelna, druga głosi: „Stawa Ragnarowi”, a trzecia to: „Kły Fenrisa”. Z powodów niemożliwych do wytłumaczenia w racjonalny sposób posąg jest odporny na wszelkie uszkodzenia, łącznie z ostrzałem z broni maszynowej.

Dawno już się wyleczyłem z nadziei, że wyniki moich badań posłużą mojej ojczyźnie. Dzięki runom moglibyśmy zbudować niezwykłą broń, która zapewniłaby imperium brytyjskiemu wiele wieków władzy nad światem. Rzeczywistość w dość brutalny sposób przycięła moje skrzydła. Miast prowadzić badania, które uczynią Brytanię niezwyciężoną potęgą, dziś muszę cierpieć gazetowe prztyczki i docinki kolegów badaczy.

Gniew jednakże dawno wygasł w moim sercu. W tej chwili tli się w nim jedynie zapal, by runy poprowadziły mnie ku...

Nie, nie wolno mi tego nawet pisać. Nie.

Dłoń Gubbinsa ześlizgnęła się z uchwytu kufla i spoczęła na blacie ławy.

- Z całym szacunkiem, sir - powiedział wolno. - To szaleństwo.

- Zgadza się. - Harrington skinął głową. - Obawiam się jednak, majorze, że nie ma pan wyjścia. Oto właśnie nasz plan.

Major Collin Gubbins rozejrzył się wokół, jakby szukając pomocy, lecz nikt spośród gromady podchmielonych, rozśpiewanych Duńczyków nie zwrócił nań uwagi. Tawernę Sjöboden wypełniały tłumy. Po tak wietrznym i zimnym dniu kto żyw ciągnął w kierunku pubów portowej dzielnicy Nyhavn, by zasiąść w gronie przyjaciół i cieszyć się dobrym piwem. Co drugi z biesiadników miał już błyszczące spojrzenie i rumianą twarz, a tawerną raz za razem wstrząsały chóralne śpiewy.

Siedzący w ciemnym kąciku Harrington i Gubbins byli jedynymi z gości, którzy nadal zachowywali powagę. Skryci w mroku i zagłuszeni przez marynarskie pieśni mogli rozmawiać do woli.

- Ależ, sir... - Major niemalże duszkiem wychylił resztę zawartości kufla. - Jestem żołnierzem i.

Harrington zapalił cygaro i machnięciem dłoni przepędził chmurkę niebieskawego dymu.

- Dobrze, że pan sobie o tym przypomniał - powiedział dobitnie. - Choć przewodzę Sekcji D jako cywil, mam stopień pułkownika armii i jest pan zobowiązany do wykonywania wszelkich moich rozkazów, zwłaszcza tu i teraz, Gubbins. Nie ma pan pojęcia, o jaką stawkę toczy się gra.

W tawernie na nowo buchnęła pieśń.

- Zgadza się, nie mam pojęcia. - Gubbins zapalił papierosa. Jego dłonie lekko drżały.

- I zgodnie ze wszelkimi prawidłami pracy wywiadu nie chcę mieć. Jednakże, sir, chciałbym uściślić to, co usłyszałem.

- Proszę bardzo.

- Po tym jak wczoraj w nocy spuściliśmy ciało nieszczęsnego Gosby'ego do wody, zostało nas tu czterech, sir. Pan, ja, Fulham i Travis, czterech agentów Jego Królewskiej Mości z fałszywymi paszportami. Nikt z nas nie mówi po duńsku, miasto znamy pobieżnie, a na pomoc miejscowej placówki SIS czy ambasady nie ma co liczyć, bo nasza misja nie jest autoryzowana przez JISC! Na nasze wyposażenie składa się kilka

11.

pistoletów, jeden enfield, noże, garoty, wytrychy oraz tomigan, z takim trudem wycyganiony od jankesów przed wojną. Rozpoznanie zerowe. Pomyliłem się gdzieś, sir?

- Nie. - Harrington w zadumie smakował cygaro.

- I przy takim przygotowaniu chce pan przeprowadzić atak na niemiecką ambasadę?

- Gubbins patrzył na niego z niedowierzaniem. Zapomniany papieros dopalał się wolno między jego palcami. - Na niemiecką ambasadę, sir!

- Tak.

- Harrington, pan chyba oszalał! - Oczy Gubbinsa zaślniły złowrogo. - Die Deutsche Botschaft to na pewno pieprzona forteca! Założę się, że w promieniu stu metrów od niej

każdego podejrzanego śledzą celowniki karabinów snajperskich, a za czterometrowym murem czekają na niego psy wyszkolone do zabijania, żołnierze z bronią maszynową, cholerni fanatycy z SS i Bóg jeden wie, co jeszcze! Nie zdziwię się, jeśli mają tam parę czołgów! A te rany na plecach Gosby'ego, pamięta je pan? Kto go tak pochłastał? Ta akcja to głupota!

- Zwracanie się do mnie takim tonem to również głupota! - Powieki Harringtona opadły niżej, pozostawiając tylko lodowate szparki oczu.

- Proszę wybaczyć, ale... - Gubbins zamilkł i przygryzł wargę, odwracając spojrzenie.

- Majorze, myli pan pojęcia - Harrington mówił wolno i dobitnie. - Nie chodzi o zrównanie ich ambasady z ziemią, lecz jedynie o wślizgnięcie się do jednego z pokojów i wyniesienie paru dokumentów. Przy odrobinie szczęścia pojutrze będziemy opijać sukces przy podwójnej szkockiej w The Frythe.

- Proszę mi zatem przedstawić szczegóły.

Zrezygowany Gubbins zdusił niedopałek w popielniczce. Za ich plecami gruchnęła głośna pieśń przerywana salwami śmiechu, gdy rumiany, pucułowaty barman przewrócił się i stłukł kilka ciężkich kuflów.

- Jutro o godzinie osiemnastej na terenie ambasady niemieckiej odbędzie się odczyt profesora Michaela Tritza. Tytuł prelekcji to *Korzenie supremacji narodu germańskiego*. Sam Tritz, majorze, to spory autorytet w tej dziedzinie, dlatego jego pojawienie się ściągnie z pewnością tłumy ludzi, głównie kopenhaskich Niemców i miejscowych faszystów z partii tego tam... Jak mu było. Clausena. Sądzę, że pracownicy i ochrona ambasady też będą chcieli go posłuchać, tak więc środki ostrożności z pewnością zostaną osłabione.

- Zatem wejdziemy do ambasady pod pretekstem wysłuchania wykładu?

Gubbins zapalił kolejnego papierosa.

- Poprawka, majorze. - Harrington uniósł palec. - Pan wejdzie.

- A to zabawne. A pan się nie wybiera?

- Nie mogę. Znam Tritza osobiście. Nie chcę, by mnie rozpoznał.

Harrington umoczył usta w ciepłym już piwie, śledząc barczystą

sylwetkę idącego ku wyjściu Gubbinsa.

„Ten człowiek ma wszelkie cechy idealnego oficera - pomyślał. - Jest lojalny, sprawny w działaniu, wzbudza respekt podwładnych i szacunek przełożonych, a ponadto potrafi celnie ocenić szanse sukcesu akcji bojowej. Aż nazbyt celnie”.

Planowana akcja nie była szalona. Była straceńcza.

Niemniej jednak wiedział, że nie ma wyboru. Tritz znów go wyprzedził - najpierw wykrył i zdobył *Vidarssagę*, następnie wyeliminował jednego z jego ludzi, pokazując przy tym, że ma dostęp do mocy, o których on, Harrington, może tylko śnić.

Vidarssaga...

Ze wszystkich sag islandzkich ta właśnie budziła jego największą ciekawość. Jedyne jak do tej pory egzemplarz tej sagi odnaleziono podczas wykopalisk niedaleko Yorku. Manuskrypt był jednak w stanie daleko posuniętego rozkładu i zdołano odczytać zaledwie kilka fragmentów. Starczyło to jednak, by zafascynować setki uczonych w całej Europie. Okazało się bowiem, że ta nie przedstawia historii kolejnego islandzkiego rodu, lecz zawiera bogate przemyślenia natury religijnej, nierzadko szokujące dla znawców tematu. Jej autor, tajemniczy skald o imieniu Vidar, odrzucił choćby pomysł, jakoby opowieść o bogu jasności i ognia Baldrze miała zwiastować nadejście Chrystusa. Przedstawił również swe wątpliwości na temat mitycznego Ragnaroku, dnia końca świata, a w treść wplótł kilka poematów skaldycznych.

„Niewiarygodne. - Pokręcił głową, czując dreszcze na plecach. - A zatem okazało się, że Archiwum Manuskryptów imienia Arniego Magnusona przechowywało inny, najwyraźniej kompletny egzemplarz tej sagi. Przecież to klucz do jeszcze większej potęgi... Jeśli Tritz przewiezie manuskrypt do Niemiec, odczyta i rozpocznie nad nim studia, zdobędzie moc niemającą sobie równych. Nie mógł na to pozwolić. *Vidarssaga* musiała być jego! Jego!”.

Zacisnął pięści, czując, jak ogarnia go kolejna fala wątpliwości. Jego plan był aktem rozpaczki, który opierał się jedynie na domysłach. Harrington mógł tylko mieć nadzieję, że Tritz, ufny w bezpieczeństwo ambasady, będzie trzymał *Vidarssagę* właśnie tam, w swym gabinecie. Pewności jednak nie miał, a po głowie kołatały mu się kolejne wątpliwości. Czy Niemcy wpuszczą Gubbinsa na prelekcję? Czy pozwolą

mu opuścić salę podczas odczytu?

Pewne było tylko to, że środki ostrożności podczas trwania wykładu z pewnością będą zaostrzone. Tak, oszukał Gubbinsa.

Duńczycy śpiewali, unosząc wysoko kufle pełne złocistego napoju, barman z entuzjazmem walił w mosiężny dzwon przy barze, a któryś z najbardziej ubawionych spadł z ławy, pociągając ze sobą kamratów. W niewielkim, dusznym pubie Sjöboden ze wszystkich sił usiłowano zapomnieć o śniegu i mroźnym wichrze, a także wojnie, która zbliżała się powoli.

I wszystkim się to udało, z wyjątkiem jednego człowieka.

- *Vidarssaga* - szeptał zamyślony sir Harrington.

- *Vidarssaga*...

W ciszy gabinetu raz po raz rozlegało się obce, tajemnicze słowo wymawiane zdumionym głosem pani Timson. Poe mruknął przez sen, potwierdzając właściwą kotom wrażliwość na magiczne słowa.

- *Vidarssaga* - wyszeptała po raz ostatni, śliniąc palce i przewracając kilka kartek. - Przecież to jakieś szaleństwo. Przecież to.

Nie mogła się oprzeć. Rozpoczęła ponownie lekturę tego samego fragmentu.

6 marca 1936, Oksford

Ludzka pamięć na temat runów wygasła już dawno na skutek wścieklej nagonki Kościoła. Kilka akt procesowych z XIV wieku wspomina o sądach nad czarownikami z fiordów północnego zachodu Islandii, którzy być może byli ostatnimi spadkobiercami dawnej wiedzy. Wraz z ich śmiercią mądrość runów zaginęła na dobre.

Dla próbujących ją odtworzyć nie pozostało już wiele śladów. Jest kilka wzmianek w sagach, garść kenningów w wierszach skaldycznych, kilka wykopanych sztuk broni, a także kamienie runiczne i opowieści ludowe o dawno zapomnianym przesłaniu, lecz to właściwie wszystko. Nawet Edda poetycka, jakże wspaniale ukazująca świat wierzeń przedchrześcijańskich Skandynawów, temat runów porusza jedynie ogólnikowo, mówiąc, iż dał

je ludziom Odyn, i pobieżnie opisuje ich właściwości.

A ja się dziwię, dlaczego nikt moich wywodów nie bierze poważnie.

Jeszcze dwa miesiące temu zrobiłbym wszystko, by ludzie wysłuchali mych słów i uwierzyli w to, że runy mogą leczyć, inspirować i bronić. Chciałem pokazać światu magiczne funkcje każdego ze znaków, a także spróbować odnaleźć legendarny, zaginiony dwudziesty piąty run, lecz po spotkaniu Tritza zmieniłem podejście. Nie chcę już stać się zbawcą ludzkości. Nie interesuje mnie Wielka Brytania. Chcę runów dla siebie.

Z każdym dniem coraz lepiej poznaję Niemca. Spod maski opanowanego zdystansowanego naukowca zaczyna powoli wyłaniać się człowiek, w którym wyczuwam mnóstwo niepokoju. Widzę, z jakim trudem walczy z żądzą wiedzy, ile kosztuje go utrzymanie wystudiowanego spokoju. Krok po kroku odsłaniam przed nim sekrety moich badań na temat każdego z runów, ale widzę, że czasem aż drży z niecierpliwości. Mocno zaciska usta, jakby bał się powiedzieć coś, czego będzie żałował.

Nie czuję lęku. Jakikolwiek byłyby intencje Niemca, nie mam powodu do obaw. Już dawno przekroczyłem wszelkie granice.

Dziś wieczór chcę mu pokazać Yidarssagę.

6 marca 1936, wieczór

Znów nie mogę spać.

Kim jest Michael Tritz? Naukowcem-badaczem, który szuka tej samej odwiecznej prawdy co ja? Nazistowskim sługusem, który każde odkrycie odda swym panom na zgubę Wielkiej Brytanii? Diabłem z piekła rodem, który opuści mnie za dzień lub dwa, śmiejąc się z mej naiwności i głupoty?

Uśpione lęki nagle odżyły. Niczym nietoperze zbudzone z zimowego snu zaczęły krążyć nad głową i burzyć mój spokój. Kim jest Tritz? I kim ja jestem, robiąc to, co robię?

Wszystko przez kilka zdań, które powiedział zaraz po tym, jak przedstawiłem mu mój ostatni sekret.

Vidarssaga to jeden z najmniej zrozumiałych zapisków z epoki wikingów. W przeciwieństwie do większości sag, które zazwyczaj odkrywano na Islandii, tę znaleziono w skórzanym pokrowcu wśród resztek norweskiego drakkaru w Yorku. Nie na tym jednak kończą się jej

osobliwości - zbutwiały dokument pisany jest runami, a nie alfabetem łacińskim. Co więcej, miast przedstawiać losy wielkiego męża bądź jego rodu, jest chaotyczną płataniną prozy i krótkich, misternych poematów skaldycznych, które pozornie nie mają ze sobą związku. O jej autorze wiadomo tyle, ile można wywnioskować z treści - był genialnym, dręczonym problemami egzystencjalnymi skaldem, najprawdopodobniej chrześcijaninem, zaś sagę spisał na Islandii.

Wielu badaczy literatury staroskandynawskiej próbowało już odtworzyć znaczenie Vidarssagi, lecz jak dotąd nikt nie przedstawił przekonującej analizy. Na przeszkodzie stoi stan tekstu - około dwóch trzecich całości zbutwiało - a także jego niekonwencjonalna treść. Ocalałe fragmenty sugerują, że jej autor toczył rozważania na temat boga światłości Baldra i wyklucza jego podobieństwo do Jezusa Chrystusa. Sam również wielokrotnie podejmowałem próby odkrycia tajemnic Vidarssagi, lecz ostatecznie poprzestałem na jednym drobnym odkryciu. Nabrało ono sensu, gdy zagłębiłem się w badania nad runami.

Otóż jeden z zachowanych poematów mówi:

„Gdzie kaptur nieba czerń przykrywa,
kwitnie moc, dłońmi zacnymi urabiana,
Kowal Arnul się zwie, a miecze jego jak szerszenie”.

Nikt nie ma wątpliwości, że ów „kaptur nieba” to jeden z najstraszliwszych wulkanów Islandii, Hekla. Jego nazwa po islandzku oznacza „zakapturzony”, gdyż wierzchołek najczęściej niknie w chmurach. Drugi i trzeci wers nie przyciągnęły jednak uwagi żadnego z badaczy, gdyż powszechnie uznano je za opis czyjejś kuźni. Mnie jednak zaintrygowały owe „zacne dłonie” urabiające „kwitnącą moc”.

Nie ma wątpliwości, że runy kute ręką zwykłego śmiertelnika to tylko litery. By zyskały większą nadprzyrodzoną moc, należy kuć je w specjalny sposób. Jaki? Przychodzą mi na myśl dwa możliwe wytłumaczenia. Po pierwsze, runy tworzy człowiek obdarzony specjalnymi zdolnościami. Po drugie, runy wykuwane są w miejscu, gdzie skupia się moc ziemi.

Podnóże wulkanu, ziemia wiecznie gorąca, wiecznie wstrząsana drganiem o niewyobrażalnej mocy...

Tritz długo milczał, gdy mu o tym powiedziałem. Najpierw zamyślony wyglądał przez okno, a później zapatrzył się na mapę Islandii. Niespodziewanie wstał, narzucił płaszcz na ramiona i wyciągnął rękę,

jakby na pożegnanie.

„Zgadzam się z panem - powiedział - Herr Harrington. Choć to wysoce irracjonalne, mam przeczucie, że ten ustęp może mieć wielkie znaczenie dla naszych badań. Muszę pana na jakiś czas opuścić. Wracam do Berlina. Chciałbym zobaczyć, czy uda mi się wykorzystać stare znajomości i zorganizować ekspedycję na Islandię. Na pewno nie odmówiłby pan sobie sposobności wypróbowania własnej teorii w praktyce, nieprawdaż? Auf Wiedersehen! ”.

Ranek był ciepły, ale bynajmniej nie słoneczny. Świeżutki, puszysty śnieg, który jeszcze o świcie pokrywał bruk placu Ratuszowego - Radhuspladsen - został już zepchnięty na bok szuflami albo rozdeptany przez tysiące gnających gdzieś ludzi. Ich twarze były równie szare jak ołowiane chmury nad Kopenhagą. Śnieżewski uzmysłowił sobie nagle, że od początku dnia nie widział ani jednego uśmiechu.

Nie dziwił się Duńczykom. Szampańska zabawa zeszłej nocy, czy to w ogrodach Tivoli, czy w pubach wzdłuż nadbrzeża Nyhavn, nie oddaliła smutnej szarości dnia następnego, a jeszcze dodała do niej ból głowy. Bezpowrotnie zniknął niewinny róż zimowego nieba, a zastąpiła go brudna szarość. Majestatyczny kopenhaski ratusz z czerwonej cegły dziś był jedynie rozmazaną, najeżoną wieżyczkami plamą, a pozłacana figura założyciela miasta, biskupa Absalona, ledwie odcinała się od frontu budowli.

Jedynym miejscem na całym rynku, gdzie tliło się prawdziwe życie, była fontanna, przy której stał już od godziny. Strumienie wody strzelały z pysków przyczajonych na jej krawędziach smoków i z pluskiem wpadały do wzburzonego źródelka. Wojtek podziwiał geniusz rzeźbiarza, którego dłuto uformowało sylwetki bestii. Wydawało się, że uwięzione w kamieniu gady lada chwila rzucą się z rykiem na bezbronno przechodnia.

Wojtek pokręcił głową. Pamiętał wszystko z zeszłej nocy.

„Morrison-Harrington chciał mnie zahipnotyzować - pomyślał po raz setny. - Gdyby mu się udało, nie pamiętałbym o niczym, zapomniałbym o trupie Gosby'ego i o spotkaniu z nim samym”.

Najwidoczniej się nie powiodło, gdyż starczyło, by Wojtek zamknął oczy, a znów widział rany na plecach martwego Anglika, osobliwy kamień w dłoniach jego rzekomego wuja, poruszające się usta trupa, pazurzaste ślady na śniegu. Myślał jednak o tym z taką intensywnością, że przywykł do straszliwych wspomnień. Nie czuł już smutku czy żalu, opuściło go też wrażenie wyobcowania. Był po prostu znużony.

Przybył do Kopenhagi, by odpocząć i rozwikłać dręczące go wątpliwości. Tymczasem minęły dwie doby, a tajemniczych zdarzeń, miast ubywać, pojawiało się coraz więcej. Patrzył na kamienne smoki wilgotne od topniejącego śniegu i naraz zatęsknił za ich większym bratem, stalowym i szybkim. Który pluł ogniem, a nie wodą.

- Nic tu po mnie... - wyszeptał i rozejrzał się powoli.

Z wyjątkiem garstki śpieszących się przechodniów plac był niemalże pusty. Nieopodal fontanny gruchały głośno gołębie, wyrywając sobie rozmokłą skórkę od chleba. Niespodziewanie od wysokiej kolumny ozdobionej mosiężnymi figurami wikingów- trębaczy oderwał się czarny punkt i z wielką prędkością pomknął ku ziemi. Wielki, czarny ptak z ochrypłym skrzeknięciem rozpedził stado gołębi i porwał skórkę. Ciężko bijąc skrzydłami, usiadł na kolumnie fontanny i zerknął w dół niemalże z zadowoleniem.

Wojtek spojrział na niego z niechęcią. Nie lubił ptaków.

„Tak, nic tu po mnie”, pomyślał i ruszył wolno w kierunku Du Nord. Chciał przed odjazdem jeszcze złożyć kwiaty na grobie ojca.

Czarny ptak poderwał się do lotu i szybował nad ośnieżonymi dachami Kopenhagi, od czasu do czasu zmieniając lekko kierunek lotu, by wyminąć komin bądź antenę radiową.

Z tej wysokości roztaczały się wspaniałe widoki i ptasie oczy co rusz kierowały się ku nowej niezwykłości. Widział perłowobiały pałac królewski Amalienborg, równy rząd kolorowych hanzeatyckich kamienic w Nyhavn, a nawet szary przestwór morza i majaczący we mgle szwedzki brzeg, aż zanurkował nad sznur samochodów na Stockholmsgade. Jego celem był olbrzymi ciemny gmach ozdobiony dwiema widocznymi z daleka

krwistoczerwonymi wstęgami. Każda z nich miała kilkanaście metrów długości, a ozdabiały je czarne swastyki.

Ptak przemknął tuż nad żelazną bramą, zakręcił nad budką strażniczą i wzbił się wyżej, ku oknom na drugim piętrze. Pokusa sprawienia jakiegoś psikusa była jednak nie do odparcia - ptak zakręcił i strącił hełm z głowy wartownika. Okrzyk *Verdammtte Vogel!* dobiegł go, gdy już wygodnie siedział na skrzydle ołowianego, hitlerowskiego orła zawieszono między wstęgami.

Dopiero teraz przełknął skradzioną skórkę od chleba, po czym załomotał dziobem w okno.

Nie czekał długo. Człowiek o jasnych włosach i czarnych oczach, jego najlepszy przyjaciel, natychmiast otworzył okno i odsunął kratę. Ptak rażno wskoczył do wnętrza i zasiadł na ludzkim ramieniu, kraknięciem pozdrawiając swego zaspanego brata na krawędzi szafy. Z zaciekawieniem rozejrzał się po zagraconym pokoju, dostrzegając kilka nowych, błyszczących przedmiotów, które na moment całkowicie zaprzętnęły jego uwagę. Z trudem skupił się na zdawaniu relacji.

Niosący go człowiek najpierw znieruchomiał, a później gwałtownie ruszył w stronę telefonu, nieomalże strącając ptaka na ziemię.

- ...obaj mieszkają w hotelu Du Nord, Herr *Professor!* - Mówił pośpiesznie. - Ten polski oficer najprawdopodobniej zetknął się z Harringtonem przez przypadek. W każdym razie tak twierdzi Huginn. Natomiast co do Harringtona... Ja, Herr *Professor!* Nie ma wątpliwości, to on! Słucham? Nie, pewności nie ma, ale. Oczywiście. Dziękuję, Herr *Professor!* Dzielnie się spisałeś, mój przyjacielu!

Ostatnie słowa były skierowane do czarnego ptaka, ale ten ledwie je usłyszał. Jego uwagę wciąż przykuwały błyskotki na biurku, a także wciąż otwarta krata w oknie, którą człowiek o ciemnych oczach zapomniał zasunąć. Wspaniale! Gdy tylko sprawdzi, co nowego błyszczy na biurku, będzie mógł natychmiast prysnąć na zewnątrz i podkraść psom trochę jedzenia!

22 lipca 1936, Reykjavik

Już od kilku tygodni z trudnością znajduję czas na pisanie. Ostatnie dni w Oksfordzie całkiem wypełniły mi przygotowania do ekspedycji, a podróż do Lubeki z profesorem Tritzem i jego ludźmi całkiem mnie wyczerpała. Wszystko to jednak okazało się niczym w porównaniu z rejssem przez Atlantyk. Szyper „Vandrerna” naszego statku, z obłudą właściwą ludziom morza, zapewniał mnie co chwila, że pogoda jest nie najgorsza, ale ja przez kilka dni z rzędu cierpiałem w koi, dziękując Opatrzności za każdy kwadrans braku przytomności, a w duchu przeklinając runy, sagi i mój szalony pęd do przygody w szczególności. Podczas takiej pogody przelewanie myśli na papier było oczywiście ponad moje siły.

Na szczęście właśnie mija drugi dzień pobytu na statym lądzie i z wolna odzyskuję dawną krzepę, choć na razie nie odważam się na spacer dalsze niż do okna mojego pokoju hotelowego. Pogoda nie zachęca zresztą do wychodzenia na zewnątrz. Od chwili przybycia do Reykjaviku nad miasteczkiem kłębią się ciężkie, szare chmury, które ani na moment nie przestają pluć deszczem. Sytuację pogarsza jeszcze ostry, porywisty wiatr, który ciska deszczem w najrozmaitszych kierunkach. Dziś w nocy zbudził mnie łomot kropel, które przysiągłbym, że uderzały pod kątem prostym do szyb okiennych! A pomyśleć, że ignoranci nazywają Anglię dżdżystym krajem!

Hotel Borg, w którym zamieszkaliśmy, wydaje się jedynym tego rodzaju przybytkiem w całym miasteczku, a może i na całej wyspie. Jest surowo urządzone, ale przynajmniej czyste i suche, a właściciel, chudy Duńczyk o zaszczutym spojrzeniu, to człowiek uczynny i uprzejmy. Przynajmniej jako tako włada angielskim, czego już nie można powiedzieć o jego służbie, wystraszonych dziewczętach o szeroko rozstawionych oczach i niezgrabnym chodzie. Z okna pokoju widać całe centrum Reykjaviku - skromny skwer z wymizerowanym trawnikiem i skarłowaciałymi krzakami bzu oraz miedzianą kolumnę z rzeźbą poety Jóna Sigurdssona. Wzdłuż południowego krańca placu wyrasta ponury gmach Althingu, lokalnego parlamentu, na założenie którego łaskawie zgodzili się Duńczycy, a za nim masywna wieża luterańskiego kościoła. Pozostałe

12.

krańce to rzędy obitych falistą blachą domów równie bezbarwnych jak niebo nad nimi.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że trafiliśmy do miasta duchów. Od momentu zamieszkania naliczyłem na rynku ledwie dwa tuziny ludzi, bez wyjątku przemykających pod ścianami domów lub niespostrzeżenie wślizgujących się do wnętrza uśpionych sklepów. Czasem przetoczy się zdezelowany samochód miejscowego bogacza, przebiegnie grupka dzieci, a ciszę rozerwie czyjeś wołanie. Reykjavik nie żyje tak jak Oksford czy Londyn. Reykjavik trwa sieczony deszczem, smagany wiatrem, dławiony przez mgłę. Nie walczy, ale trwa cicho i niepostrzeżenie.

Dziś rano rynek spowiła mgła tak gęsta, że domy całkiem znikły. Zielonkawy pomnik Sigurdssona sterczał pośród unoszących się kłębow niczym palec, który ostrzega zagubionego wędrowca. Stop, zuchwalcze! Zastanów się, czy na pewno chcesz iść dalej?

Po południu zaś, gdy wiatr przepędził chmury, po raz pierwszy ujrzałem ciemne cielska okalających miasto gór.

Z niepokojem wypatruję początku naszej wyprawy, kiedy to przyjdzie nam spać pod namiotami. Od wczorajszego wieczoru profesor Tritz poszukuje jakiejś zdatnej do użytku ciężarówki, która mogłaby przewieźć sześć osób i cały sprzęt naszej wyprawy. Niemiec wydaje się obrotnym człowiekiem, ale nie wiem, czy podoła temu zadaniu. Nie sądzę, by pogrążona we śnie Islandia rozumiała potrzebę przemieszczania się.

26 lipca 1936, rozlewisko rzeki Pjórša

Oszołomienie to chyba najlepsze określenie stanu, który towarzyszy mi od kilku dni. Krajobraz, jaki ukazał się naszym oczom zaraz po opuszczeniu deszczowego, ciemnego Reykjavíku, poruszył każdym z nas do głębi, nie wyłączając nawet obojętnego Tritza. Nasza droga wiodła wśród zamglonych, niekończących się pól lawowych, obok czarnych masywów górskich o nagich zboczach, niedaleko bulgoczących błot i stad zabiedzonych, zapomnianych owiec. Nie jestem poetą, tak więc oszczędzę sobie męki wymyślania metafor, ale pewne jest to, że angielscy romantycy minionego wieku wybierali sobie dość kiepskie miejsca do wzdychania.

Ostre, wilgotne powietrze wyspy działa na mnie ożywczo. Nie przeszkadza mi ani porywczy wiatr przenikający moją kurtkę i trzy swetry naraz, ani cuchnący rybami packard, którego w ostatniej chwili znalazł jeden z Niemców. Powoli przyzwyczajam się nawet do mrukliwych towarzyszy Tritza, z których żaden nie rozumie ani słowa po angielsku.

Wczoraj rozbiliśmy obozowisko u celu naszej wędrówki, w zakolu rzeki Pjórša. Nieopodal wznosi się Hekla, wulkan, który przez pierwszych chrześcijan uważany był za bramę do piekła. Nasz przewodnik, młody pasterz o imieniu Olafur, wydawał się mocno zafrasowany pomysłem wędrówki po zboczach góry. Z trudnej do zrozumienia mieszaniny duńskiego i islandzkiego wspartej żywiołową gestykulacją i paroma słowami po angielsku, domyśliliśmy się, że wedle niego wulkan ostatnio się obudził.

Trudno powiedzieć, czy mówi prawdę. Zapach siarki w powietrzu jest intensywny, ale towarzyszy nam przecież od chwili opuszczenia

Reykjaviku. Ziemia nie drży, ale czubek góry skryty jest w chmurach, tak więc trudno ocenić, czy snuje się z niego dym. Mnie jednak z początku szło o coś innego. Hekla okazała się ogromną górą i odnalezienie kuźni owego Arnula, wspomnianej w Vidarssadze, to zadanie ponad siły naszej sześćoosobowej grupy. Musielibyśmy skrupulatnie przeszukać dziesiątki kilometrów kwadratowych hałd żużlu i pumeksu, co mogłoby potrwać długie miesiące, a rezultatu nie przynieść żadnego. Przeklinam własną naiwność. Jak mogłem zakładać, że niewielka kuźnia wzniesiona około tysiąca lat temu na zboczu jednego z najaktywniejszych wulkanów Islandii dotrwa do naszych czasów?

Podzieliłem się wątpliwościami z Tritzem, a on znów mnie zaskoczył. „Naprawdę chciał pan szukać tej kuźni, Herr Harrington? Przecież nie mamy na to całego życia - powiedział. - To nie kuźnia jest magicznym miejscem, ale sama góra. Niech pan tylko spojrzy na tego kolosa, gotowego, by podzielić się z nami potęgą! Jutro z rana weźmiemy nasz sprzęt i spróbujemy wejść jak najwyżej. Tam rozbijemy obóz i założymy własną kuźnię! Czy już pan zdecydował, który z runów chce pan wykuć jako pierwszy?”

W głosie Tritza zabrzmiała w nim jakaś nowa, fałszywa nuta i naraz w pełni zrozumiałem, że Niemiec aż drży z niecierpliwości. Poczujęm lęk - byłem sam jeden na końcu świata w towarzystwie szalonego nazisty i jego bandy kamratów. Będę musiał szybko podjąć decyzję co do tego runu.

Gubbins uśmiechnął się nieśmiało do niemieckiego żołnierza i już miał zrobić krok naprzód, gdy ten pochwycił go za ramię.

- *Verzeihung!* - powiedział stanowczo. - *Ihres Mantel!*

- *Ach, ja!* - Gubbins z trudem powstrzymał się od strąśnięcia dłoni Niemca. - *Natürlich!*

- *Hier entlang, bitte!*⁴ - Niemiec odebrał od niego płaszcz i przewiesił sobie przez ramię, po czym spojrział na Gubbinsa i zawahał się. - Czy dobrze się pan czuje? - spytał.

- Tak, to tylko żołądek... - westchnął Gubbins. - Wie pan, miejscowe kielbasy. - Skrzywił się i przetarł czoło. - Bardzo chciałem usłyszeć mowę

profesora, tak więc.

- Rozumiem. - Niemiec pokiwał głową i odwiesił płaszcz Gubbinsa na wieszak, po czym zwrócił się ku kolejnemu gościowi.

„Dobry, filcowy płaszcz - pomyślał major z żalem. - Nie sądzę, że udało mi się go odebrać przy wychodzeniu. Będę miał wtedy inne zmartwienia. Zdecydowanie poważniejszym było to, czy w ogóle uda się opuścić ambasadę”.

Pewnym pocieszeniem było jedynie przekonujące przebranie. Zabrane z The Frythe zestaw charakterystyczny zamienił zdrowe, czerstwe oblicze Gubbinsa na żółtawą twarz człowieka ciężko schorowanego. Włosy w nieładzie, wygnieciona marynarka z niedbale zawiązanym krawatem oraz utykający chód dopełniały wizerunku życiowego wykolejńca, który szukał nowej treści w życiu. Jak obaj z Harringtonem przypuszczali, jego wygląd nie wywołał nawet grymasu niechęci na twarzy żołnierza przy drzwiach ambasady. Naziści chętnie zwabiali do siebie ludzi sfrustrowanych i pokrzywdzonych przez życie - wykolejńcy najłatwiej nadawali się na wiernych służących systemu.

Wejście do sali wykładowej znajdowało się na końcu krótkiego korytarza. Gubbins słyszał już stamtąd szuranie krzesel oraz gwar ożywionych rozmów po niemiecku i duńsku. Dostrzegł też, że ciemną na razie salę rozjaśnia jedynie rząd pochodni.

„Pochodni? - zdziwił się Gubbins. „Zatem Tritz dba o odpowiednią oprawę swego widowiska”.

Stojący przy wejściu wartownik zlustrował go wzrokiem. Gubbins uśmiechnął się przepaszająco i przycisnął do piersi notatnik.

- *Herr Tritz...* - bąknął. - *Die Vorlesung...*

- *Warten Sie* - w głosie Niemca nie znać było żadnych emocji. - Muszę pana zrewidować.

To była najtrudniejsza chwila. Nieśmiały uśmiech był szczytem umiejętności aktorskich Gubbinsa, gdyż nerwy napięte miał niczym postronki. Z trudem powstrzymywał drżenie rąk zaciśniętych kurczowo na notatniku, czy przelknięcie śliny, czego domagało się wyschnięte na wiór gardło. Starczyłby najdrobniejszy znak tłumionego napięcia, by Niemiec nabrał podejrzeń, a wtedy cała akcja wzięłaby w łeb.

O to, że znajdzie garotę, nie martwił się wcale.

Podczas służby w Irlandii nauczył się, że napięcie najłatwiej osłabić

poprzez skupienie się na jakimś nieistotnym szczególe. Wzrok Gubbinsa zawisł na pagonach Niemca. Dłonie żołnierza sprawnie obszukiwały jego ubranie, a on patrzył na szarozieloną, jednorzędową kurtkę mundurową z wykładanym kołnierzem i czarnymi naramiennikami. Na kołnierzu znajdowały się dwie czarne patki, z których zaintrygowała go prawa. Umieszczono na niej runiczne inicjały SS. Z przodu furażerki Niemca umieszczono trupa czaszkę, a z lewej strony, na trójkątnej podkładce, widniały dwa metalowe orły.

„Esesman - pomyślał zdumiony Gubbins. - Po raz pierwszy widzę esesmana z takiego bliska...”.

Spojrzenie przeniósł pod ścianę, o którą opierał się pistolet maszynowy bergman MP- 28. Przypomniał sobie jego parametry: waga z magazynkiem niecałe pięć kilogramów, trzydzieści dwa naboje kalibru dziewięć milimetrów, szybkostrzelność do pięciuset pięćdziesięciu strzałów na minutę, zabójczy na dwieście metrów. Cholernie groźna zabawka.

Śmiech esesmana wyrwał go z zadumy. Dopiero po chwili zrozumiał, że żołnierz mówi coś do niego, wskazując notatnik.

- Was? - wyjąkał.

- W sali może być za ciemno na robienie notatek, drogi panie. - Żołnierz uśmiechnął się. - Lepiej niech pan pilnie słucha. Dobrze się pan czuje?

- Dziękuję, dam sobie radę.

W sali w istocie panował półmrok. Gubbins zatrzymał się na progu i nieśmiałym gestem poprawił okulary w grubej, rogowej oprawce. Bezradnie rozejrzał się wokół, niby w poszukiwaniu wolnego krzesła, lecz w rzeczywistości dokładnie obejrzał całą salę, szukając niebezpieczeństw i ewentualnych dróg ucieczki. Zadanie z każdą chwilą wydawało się coraz trudniejsze. W każdym z czterech rogów sali stał esesman z MP-28 na plecach, dwóch innych stało na skrzydłach wielkiej, jeszcze pustej mównicy. Do tego dochodzili wartownicy na korytarzu i Bóg jeden wie ilu na terenie ambasady. Oprócz tego musiał też wziąć pod uwagę oficerów Wehrmachtu i SS w pierwszych rzędach, z pewnością również uzbrojonych.

Było już jednak zbyt późno na odwrót.

- *Dort ist ein freier Stuhl*⁵.

Wskazał mu miejsce jeden z siedzących, opasły mężczyzna w niedopiętej, tweedowej marynarce. Na jego czole perlił się już pot.

- *Danke*.

Krzesło na szczęście znajdowało się niedaleko wyjścia, co również było miłym zrządzeniem losu. W zatłoczonej, oświetlonej pochodniami sali panował zaduch, a przez

wciąż otwarte drzwi napływało świeże powietrze.

Któryś z niemieckich oficerów powiedział jakiś sprośny dowcip i pierwsze rzędy ryknęły śmiechem. Gubbins odetchnął ciężko, powstrzymując się od przetarcia czoła. Nie chciał rozmazać makijażu.

Niespodziewanie huknęły zamykane drzwi, co wywołało falę ożywionych szeptów.

- *Oh, mein Gott! Nein!* - zapiszczał udawanym falsetem któryś z Niemców, wywołując wesołość kolegów.

Śmiechy szybko jednakże ucichły, a przy mównicy wyrosła szczupła postać, której twarz nikła jeszcze w półmroku.

- *Meine Damen und Herren, aufstehen Sie bitte!* - odezwał się nieznamy stanowczym głosem.

Po sali przetoczył się rumor odsuwanych krzesel, Gubbins wstał wraz z innymi.

- *Heil Hitler!* - krzyknął ten sam człowiek.

- *Heil Hitler!* - odpowiedział mu zgodny krzyk wszystkich obecnych, krótki i ogłuszający niczym uderzenie pioruna.

Wszyscy usiedli.

- *Meine Damen und Herren*, nazywam się Heinrich Ludenhoff i jestem ambasadorem Rzeszy na ziemiach Królestwa Danii. Mamy dziś zaszczyt gościć na terenie Die Deutsche Botschaft człowieka, który oddał niezmiernie zasługi zarówno Trzeciej Rzeszy, jak i wszystkim narodom germańskim. Jego wyteżona praca zaowocowała wydobyciem na światło dzienne zapomnianej chwały dumnych plemion germańskich upokorzonych skrytobójczymi ciosami Żydów i komunistów oraz później tłamszonej rozwojem chrześcijańskiej demokracji w Europie. W imieniu swoim oraz państwa pragnę powitać profesora Michaela Tritza!

Tym razem rozległy się ogłuszające brawa. Siedzący obok Gubbinsa człowiek bił w dłonie z fanatycznym zapalem, a w jego rozwartych szeroko

oczach widniały zachwyty i oddanie. Major również klaskał przez chwilę, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń, po czym wychylił się odrobinę na krzesło, by lepiej widzieć prelegenta.

Trzymający pochodnie esesmani na skrzydłach mównicy podeszli nieco bliżej, by blask ognia padał na twarz profesora. Oczom wszystkich ukazało się surowe, porwane zmarszczkami oblicze o zmrużonych oczach skrytych za okularami połówkami. Tritz był starannie ogolony, a krótko przycięte, jasne włosy zaczesywał do tyłu. Dobrze dopasowany mundur pułkownika SS sprawiał, że niemłody już prelegent tchnął siłą i zdecydowaniem.

Gubbins pokiwał lekko głową, widząc z bliska człowieka, którego przez ostatnie kilka godzin śledził przez lornetkę z dachu kamienicy przy Stockholmsgade. Skryty za kominem leżał nieruchomo na zamrożonym śniegu, jego ciało dygotało z zimna, a zeszywniałe stawy aż drżały z bólu. Opłacało się jednak, bo w zakratowanych oknach ambasady kilkakrotnie dostrzegł opisaną mu przez Harringtona postać. Sierżant Travis, który prowadził obserwację z dachu innego budynku, również kilkakrotnie go zauważył.

Biorąc pod uwagę częstotliwość zauważeń, ustalili, że profesor zajmuje jeden z trzech pokoiów na drugim piętrze, od strony Stockholmsgade. Travis zdołał nawet rozrysować plan dwóch pierwszych pięter, ale kartkę, jak wyjaśnił ze wstydem, wyrwał mu jakiś kruk czy wrona, która hasała po dachu. Nie było czasu na szkicowanie kolejnego planu. Gubbins wysłuchał zatem ustnych instrukcji sierżanta, po czym zajęli się nim Harrington i Fulham, mistrzowie charakteryzacji. Jakaś godzinę po zejściu z dachu Gubbins szedł już na odczyt.

Nigdy dotąd nie brał udziału w tak pośpiesznie organizowanej akcji. W Irlandii taka improwizacja byłaby nie do pomyślenia, tym bardziej że wedle słów Harringtona gra toczyła się o wysoką stawkę. Na staranniejsze przygotowania nie było jednak czasu.

Major Collin Gubbins nigdy jeszcze tak mocno nie tęsknił za swą szczęśliwą gwiazdą.

Tritz rozpoczął przemowę. Przymrużone oczy, co rusz zerkające znad tekstu przemówienia i okularów, badawczo lustrowały zamarte w milczeniu audytorium, jakby profesor chciał dokładnie zapamiętać każdego z obecnych. Co rusz podnosił głos i wyprostowywał się dumnie

jakby porwany własnymi słowami, a wtedy biła od niego niewzruszona, agresywna pewność siebie.

Gubbins czuł narastające napięcie. Ustalili z Harringtonem, że wyjdzie z sali po jakimś kwadransie wykładu, a ten moment zbliżał się w ogromnym tempie. Mimo gęstniejącego zaduchu dłonie majora były lodowato zimne.

Nie było na co czekać. Przełknął głośno ślinę, raz i drugi ciężko odetchnął, po czym zgiął się wpół.

- *Verzeihung*\ - wyszeptał słabym głosem w kierunku sąsiada, który spojrzał nań z potępieniem.

Przygarbiony, trzymając się ściany, podszedł wolno do stojącego w rogu esesmana.

- Przepraszam pana... - wyszeptał, unosząc ku niemu spojrzenie. Miał nadzieję, że w ciemnościach sali bladeść jego ucharakteryzowanej twarzy jest jeszcze bardziej widoczna. - To żołądek. Cholerne duńskie kiełbasy. Czy może pan mi wskazać drogę do toalety?

Na twarzy Niemca nie było widać żadnych emocji.

- Zaprowadzę pana - powiedział po chwili.

W jego oczach błysnął żal, gdy obejrzał się w kierunku mównicy.

Zdenerwowanie Gubbinsa zagłuszyło jego intuicję, z której zasłynął podczas służby w Irlandii. Nie czuł, że wzrok Tritza zawisł na moment na jego plecach. Nie wiedział, że profesor przeniósł wymowne spojrzenie na jednego z oficerów w pierwszym rzędzie i bez zająknięcia kontynuował wykład.

Oficer bez słowa opuścił salę w ślad za Gubbinssem i jego eskortą.

Od zarzucenia garoty na szyję esesmana do chwili, gdy jego wyprężone ciało zwiotczało, minęła cała wieczność. Niemiec szarpał się desperacko, próbując uderzać łokciami lub położyć nacisk stalowej linki, lecz Gubbins znał swój fach. Zaciskał końce linki coraz mocniej, umiejętnie prowadząc szamoczącego się esesmana w kierunku kabiny. Gdy ofiara ostatecznie osłabła, a powietrze wypełnił smród fekaliiów, Gubbins po prostu położył Niemca na zamkniętej muszli klozetowej.

Następnie, pokonując obrzydzenie, szybko ściągnął z niego kurtkę, pas z pistoletem, wysokie buty oraz furażerkę. Narzuciwszy obcy mundur na siebie, ruszył w kierunku wyjścia z toalety.

Napięcie odparowało z niego z chwilą zarzucenia linki na szyję esesmana. Znow był chłodno kalkulującym majorem Gubbinsem, oficerem sił specjalnych wywiadu Wielkiej Brytanii. Wedle szacowań Harringtona miał najwyżej jakieś pięć, może sześć minut na odnalezienie *Vidarssagi* oraz opuszczenie terenu ambasady. Po upływie tego czasu naziści na pewno zauważą nieobecność jednego ze swoich ludzi.

Przed wyjściem z toalety dwukrotnie włączył i wyłączył światło. Był to znak dla Trávisa, Fulhama i Harringtona, że czas wkroczyć do akcji.

Miał pięć, góra sześć minut.

Spokojnie wyszedł na korytarz, zamknął za sobą drzwi i natychmiast ściągnął z głowy furażerkę, by przyjrzeć się jednemu z wewnętrznych szwów. Gest miał na celu zasłonięcie na chwilę twarzy, gdyby ktoś przyglądał się ludziom opuszczającym toaletę. Na jednym z końców korytarza dostrzegł dwóch wartowników, rozmawiających o czymś cicho, lecz z ożywieniem.

Żadnych śladów alarmu.

Gubbins stanął przed wielkim lustrem wysokości człowieka i starannie nałożył furażerkę.

„Szybciej, Travis!”, modlił się w myślach.

Mimo przeszywającego zimna Travis był spocony jak mysz. Harrington przydzielił mu rolę pijaczka, który pociesza się butelką taniego wina. Jego stanowiskiem miała być niewygodna, zimna ławka przy Stockholmsgade, skąd jednak doskonale było widać oświetlony budynek ambasady niemieckiej. Hitlerowski orzeł ze swastyką w szponach połyskiwał od szronu.

Nerwy z wolna brały górę nad wyszkoleniem. Po raz tysięczny wytarł spotniałe dłonie o kożuszek i poprawił schowany pod nim detonator, gdy nagle jak spod ziemi wyrosli przed nim dwa duńscy policjanci.

- *God kveld!* - oznajmił jeden z nich. - *Kunne du vennligst tage denne flasken og⁶...*



„Masz ci los”, zaklął agent Travis z rozpaczą w myślach, po czym wybełkotał coś niezrozumiale w odpowiedzi i opuścił nisko głowę. Jeden z policjantów obszedł ławkę od tyłu i ujął go mocno za ramię.

- *Nu!* - zawołał ostrym głosem. - *Stå opp! Du kan ikke ...*
- Weź te łapy!

Travis szarpnął się, próbując wstać. Detonator przemieścił się niebezpiecznie pod kożuchem, grożąc wypadnięciem.

- Er du *engelsk*?²⁸ - Zdumiony policjant cofnął się o krok. - *Hva...*

Travis znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Zamaskowany pod śniegiem drut, który prowadził do ładunków wybuchowych na słupie wysokiego napięcia, miał zaledwie pięć metrów długości i agent Travis pod żadnym pozorem nie mógł się oddalać od ławki. Ale ciekawość policjantów nakazywała mu.

Nagle zerknął ku słupowi i znieruchomiał. Ze szczytu patrzył nań ogromny czarny ptak.

Travis wolno przełknął ślinę, czując narastający, całkowicie irracjonalny lęk. Coś mu mówiło, że ten sam ptak wyrwał mu szkiełko planu ambasady z dłoni, gdy leżał na dachu, a teraz przybył, żeby... Żeby co?

Kątem oka zauważył, że światło w toalecie zostało dwukrotnie włączone i wyłączone. Czas nadszedł. Travis strząsnął dłoń natarczywego Duńczyka, wyrwał spod kożucha detonator i jednym ruchem przekreślił dźwignię.

Noc rozjaśniła potworna eksplozja i wszyscy trzej padli ogłuszeni na ziemię. Najszybciej poderwał się Travis. Jego oczom ukazał się przekrzywiony, płonący słup wysokiego napięcia. Instynktownie zerknął w lewo.

Gmach ambasady był ciemny jak noc, a wzdłuż Stockholmsgade stopniowo gasły światła innych budynków.

Zadanie wykonane. Travis odwrócił się, kopnął w twarz próbującego wstać policjanta i zataczając się, rzucił się do ucieczki. Jego myśli skupiły się już na punkcie kontaktowym i nie słyszał narastającego szumu skrzydeł nad głową. Dopiero po chwili owionął go zapach palonych piór.

Niespodziewanie zapadnięcie ciemności w ambasadzie zostało powitane okrzykami zaskoczenia i odgłosem tłuczonego szkła. Gubbins tylko na to czekał. Jednym płynnym ruchem wyszarpnął zabrany uduszonemu esesmanowi nóż i rzucił się ku schodom prowadzącym na pierwsze piętro.

- *Bist du dir, Kurt?* - Z ciemności dobiegło go głośne pytanie.

- *Doch!* - ryknął głośno Gubbins, przyspieszając.

Jego wzrok błyskawicznie przystosował się do ciemności, a ruchy były szybsze od myśli. Białka oczu niemieckiego żołnierza błysnęły, gdy ten z zaskoczeniem, niezgrabnie ściągał z pleców MP-28. Nóż Anglika zatoczył szeroki łuk, tnąc jego tchawicę. Nim rozległ się łoskot upadającego ciała, Gubbins już wpadał do pierwszego pokoju.

Zalany blaskiem księżyca gabinet był pusty. Na ścianie srebrzył się portret Hitlera, a pod nim wisiał odlew hitlerowskiego orła ze swastyką w dziobie. Na wielkim, mahoniowym biurku piętrzyła się sterta dokumentów, obok której stał ledwie napoczęty kieliszek wina i popielniczka pełna niedopałków. Przez krzesło przewieszane były damskie figi.

Gubbins pokręcił głową. Intuicja podpowiadała mu, że saga jest zbyt cenna, by przechowywać ją wśród innych rozrzuconych w nieładzie dokumentów.

„Do pokoju profesora! Zaraz, zaraz, jak mówił Travis? Drugi, trzeci lub czwarty na południowej ścianie... Szybko!”

Gubbins wypadł z pokoju, przeskoczył nad ciałem rzeźącego wciąż esesmana i pchnął odpowiednie drzwi. Wtedy zamarł.

Okno w tym gabinecie wychodziło prosto na Stockholmsgade, na której wciąż płonął przewrócony słup wysokiego napięcia. Kilkanaście metrów dalej na chodniku zwijał się człowiek, z rozpaczą wołając po angielsku o pomoc. Nad nim wzbijał się w powietrze ogromny kraczący głośno czarny ptak z płonącym ogonem. Na oczach majora niespodziewanie zanurkował w kierunku leżącego na ziemi człowieka.

Gubbins patrzył jak urzeczony. Czarny ptak pruł niczym pocisk, a pęd podsycał płomienie pożerające jego ogon. Tuż nad głową swej ofiary wyrzucił pazurzaste łapy, uderzając mocno i celnie. Krzyki zamilkły.

Powietrze rozdarł suchy odgłos wystrzału i czarny ptak spadł na chodnik tuż obok leżącego nieruchomo człowieka.

- *Huginn!* - ktoś załkał w pokoju. - *Nei⁹, Huginn!*

Gubbins nieoczekiwanie uświadomił sobie, że nie jest w pokoju sam. Przy oknie, plecami do niego, stał niewysoki, chudy człowiek, który na widok uderzającego o chodnik ptaka wybuchł głośnym szlochem. Major wyszarpnął pistolet ze skórzanej kabury, gdy nagle wyczuł obecność jeszcze jednej osoby.

Osoby?

Na prawo od niego, na poręczy krzesła siedział jeszcze jeden ogromny kruk. Przewiew poruszał delikatnymi piórkami wokół potężnego dzioba, a w wypukłych czarnych oczkach ptaka odbijał się blask ognia na ulicy.

- *Huginn*, nei... - płakał człowiek przy oknie.

Myśl, która uderzyła Gubbinsa, była szalona. Lufa lugera trzymanego przez niego skierowała się w stronę głowy wciąż nieporuszonego ptaka.

- *Du!* - warknął, głośno odciągając zamek pistoletu.

Szloch ucichł.

- *Wo ist Vidarssaga?*

- *Nicht schiessen...* - jęknął przerażony człowieczek, przybliżając się w stronę biurka. - *Vidarssaga, ja! Nicht schiessen den Vogel, bitte...*

Obcy wyglądał bardzo dziwnie - miał włosy białe jak mleko i ostry, przypominający ptasi nos - ale nie wydawał się niebezpieczny. Trzęsącymi się dłońmi otworzył jedną z szuflad i cisnął na blat biurka okazały pakunek. Gubbins, starając się nie spuszczać ptaka z oczu, podbiegł do biurka i rozchylił szary papier pakowy.

W blasku luny bijącej od ulicy ujrzał poźółkłą stronicę zapisaną ciasno stawianymi runami.

Teraz już wszystko zależało od Fulhama.

Na korytarzu rozległy się kroki biegnących ludzi. Wielu ludzi.

Gdy zgasło światło w ambasadzie, siedzący na gałęzi sierżant Fulham przeżegnał się, symbolicznie popluł w dłonie i pchnął leżący przed nim, mocno pachnący worek. Ciężar zsunął się miękko i spadł na zaśnieżony trawnik otaczający gmach. Sierżant raz jeszcze podziękował w myślach Bogu za to, że jedyne drzewo przy Stockholmsgade miało gałęzie sięgające poza płot ambasady.

Wyrzuciwszy worek, Fulham wytarł dłonie i ujął sztucer z lunetą. Zgodnie z jego oczekiwaniami strzegące ambasady dobermany nadbiegły niemal natychmiast, zwabione mocnym zapachem anyżku. Ignorując zamieszanie wśród ludzi, z zapalem zabrały się do obwąchiwania znaleziska.

Sierżant wziął głębszy oddech, wstrzymał powietrze i uniósł broń. Z tak bliska nie mógł chybić. Delikatnie nacisnął spust i pierwszy doberman zaskomlał, padając. Nim minęło pięć sekund, wszystkie psy leżały martwe, a krew z przestrzelonych łbów rozlewała się po śniegu.

Serce biło mu szybko. Zgodnie z wytycznymi Harringtona nakierował broń na bramę i budki wartownicze. Dwóch żołnierzy już wybiegało na ulicę, by przyjrzeć się płonącemu słupowi wysokiego napięcia. Ścigały ich wściekłe rozkazy dowódcy warty. Fulham brał już pierwszego z nich na cel, gdy nagle usłyszał rozpaczliwe wrzaski po angielsku.

Travis biegł chodnikiem, starając się osłonić głowę i kark, a z wysokości raz za razem wściekłe atakował go wielki ptak z płonącym ogonem. Fulham patrzył z rozszerzonymi oczami, jak po kolejnym uderzeniu twarz kolegi zalewa się krwią, a kruk wzbija się ku nocnemu niebu, zaciskając w pazurach wyszarpiętą gałkę oczną. Travis potknął się i padł, a płonący kruk runął do ponownego ataku.

Wstrząśnięty Fulham nie wahał się. Kolba podskoczyła na ramieniu, nitki celownika pochwyły pikującą ognistą kulę, a palec pociągnął za spust. Kruk zwinął się w locie i pacnął o chodnik, wciąż płonąc.

Któryś z obserwujących upadek Niemców odwrócił się, instynktownie szukając miejsca, skąd dobiegł strzał.

- *Dort ist er!*¹⁰ - ryknął, zrywając z pleców pistolet maszynowy.

Wystarczyło, że Gubbins wyrzwał za framugę, a trzy niemieckie pistolety maszynowe plunęły ogniem w tej samej chwili. Serie omiotły cały korytarz, szatkowały ściany, rozbijały portrety, odłupywały drzazgi z futryn i drzwi.

Major cofnął się szybko do pokoju i potknął o zapomniane krzesło. Na twarzy poczuł muśnięcie skrzydeł - to przerażony kruk leciał w kierunku okna. Na korytarzu szczęknęły wymieniane magazynki.

- *Nicht schiessen!* - rozkazał nagle czyjś chrapliwy, głęboki głos, a leżący na dywanie Gubbins usłyszał ciężkie, zbliżające się szybko kroki.

Z niezrozumiałych względów poczuł, jak ogarnia go przerażenie. Rozejrzał się, szukając drogi ucieczki.

Kruk! Kruk wyleciał przez okno! Nie ma krat!

Gubbins podbiegł do okna. Kolbą trzymanego w garści lugera ogłuszył skulonego w kącie człowieka z ptasim nosem, po czym ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

Na schodach ambasady trwała regularna strzelanina. Klęczący lub leżący Niemcy ostrzeliwali zawzięcie jedno ze skrzydeł budynku z pistoletów maszynowych i broni krótkiej. Od ziemi dzieliło go dwanaście metrów. Skok z tej wysokości oznacza przynajmniej połamanie nóg, a przecież na dole było wielu uzbrojonych Niemców.

Zaalarmował go nowy odgłos za plecami. Gubbins odwrócił się i krew ścięła się lodem jego żyłach. Na progu gabinetu stał uśmiechnięty szyderczo oficer SS. Major podświadomie spodziewał się ujrzeć lufę pistoletu maszynowego, lecz dłonie esesmana były puste. Mimo to przerażenie Gubbinsa rosło. Było coś niesamowitego w spojrzeniu tego Niemca, a cała jego postać emanowała wzgardliwą nonszalancją, gdy przekraczał próg pokoju i nieuzbrojony szedł w kierunku Anglika.

Dopiero po kilku sekundach sparaliżowany strachem Gubbins zauważył, że paznokcie Niemca błyskawicznie grubieją i rosną. Niespodziewanie esesman warknął niczym dzikie zwierzę. Jego oczy zwięzły się do ukośnych kresek, ledwie widocznych spod gęstniejących brwi, a jego ciało zdawało się potężnieć, ciemnieć. Naraz rozległ się głośny trzask pękającej koszuli i spod rękawa wydobył się pęczniejący, spowity ciemnym włosiem mięsień.

W dłoni oniemiałego Gubbinsa coś się pojawiło.

„Aha, majorze - usłyszał słowa, które Harrington powiedział do niego przed paroma godzinami. - Byłbym zapomniał. Jeśli znajdzie się pan w sytuacji bez wyjścia, gdy grozić panu będzie śmierć, a misji fiasko, proszę mocno chwycić ten kamień i robić swoje. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Może pan to uznać za psychologiczną sztuczkę mającą nakłonić pana do samobójczej odwagi, ale wiara nie ma z tym nic wspólnego. Proszę po prostu uczynić, co panu każe. Przypuszczalnie wyjdzie pan cało z opresji”.

Esesman, z każdą chwilą przeobrażający się w potwora, parł już w jego stronę.

Gubbins ujął mocniej kamyk, pocierając wyryty na nim prosty symbol, po czym zamknął oczy, ścisnął pakunek pod pachą i wyskoczył przez okno.

Ciemny buick zahamował z piskiem opon przed budynkiem niemieckiej ambasady dokładnie w chwili, gdy ciało majora Gubbinsa uderzyło z łoskotem o schody.

- Szybciej, Gubbins! - wrzasnął Harrington, spuszczać szybę od strony pasażera i wystawiając lufę tomigana. - I zejdz z linii strzału!

Kilku z niemieckich żołnierzy obejrzało się z zaskoczeniem w kierunku hamującego samochodu. Oszołomiony Gubbins podniósł się i zataczając, ruszył w jego stronę.

- Gubbins! - ryknął z rozpaczą Harrington. - Paczka! Podnieś tę paczkę, ty... Otumaniony major odwrócił się i powoli, flegmatycznie schylił się po upuszczony pakunek.

- *Halt!* - wykrzyknął jeden z Niemców wysokim głosem. - *Was zum Teufel ist passiert?*

11

Na sekundę zapadła cisza, wszyscy esesmani mierzyli z pistoletów w półprzytomnego Gubbinsa lub w samochód. Nagle powietrze rozdarł straszliwy ryk, a na schody z łoskotem upadł ogromny ciemny kształt. Między żołnierzami niemieckimi wyrosło miotające się monstrum będące skrzyżowaniem człowieka z niedźwiedziem, które natychmiast skoczyło ku Gubbinsowi. Uderzony ogromną łapą w pierś major przetoczył się po ziemi i znieruchomiał tuż przy drzwiach buicka. Przed ambasadą rozpętało się pandemonium. Kilku Niemców przerażonych pojawieniem się potwora omdlało, inni rzucili się z wrzaskiem do ucieczki, potykając się i gubiąc broń. Któryś padł na kolana i głośno się modlił.

W zamieszaniu nikt już nie zauważył, że tomigan w oknie samochodu wypłuł długą, śmiertcionośną serię. Kule zmasakrowały frontowe drzwi ambasady i powaliły pierwszych słuchaczy wybiegających z sali, a kilka z nich trafiło w szeroką pierś potwora. Ten zaryczał, z niedowierzaniem patrząc na głębokie, strzelające krwią otwory na swym ciele. Stwór cofnął się, a wtedy Harrington cisnął dymiącą broń na tylne siedzenie, otworzył drzwi i wciągnął mamroczącego niezrozumiale Gubbinsa do wnętrza. Sekundę później zapiszczały opony, a samochód z wielką prędkością pomknął ku ciemnościom Kopenhagi nieścigany ani jedną kulą.

- O Boże... - zajęczał Gubbins z tylnego siedzenia. - Zabił pan to coś?

- Chyba tak. - Harrington z zacięciem na twarzy pokonywał kolejny

zakręt.

- Co to było, na litość boską, sir?

- Podstawowa zasada pracy wywiadu, majorze, brzmi: „Nie zadawać niepotrzebnych pytań”!

Samochód gnał przed siebie.

Profesor Michael Tritz stanął na schodach ambasady dokładnie w chwili, gdy tylne światła skręcającego ostro buicka rozciągnięte w długą, czerwoną smugę, znikły za zakrętem. Modlący się żołnierz zamilkł i wtulił twarz w śnieg, inni zamarli, patrząc to na schody, to w kierunku, w którym zniknął samochód. Nad budynkiem ambasady niemieckiej niespodziewanie zawisła martwa cisza, tym ostrzejsza, że jeszcze kilkanaście sekund temu huczało tu kilkanaście pistoletów maszynowych.

W powietrzu unosił się zapach krwi i kordytu. I jeszcze czegoś.

„Spoconej sierści”, uświadomił sobie profesor.

Leżący u jego stóp oficer SS z trudem łapał oddech, a szeroko otwarte oczy wpatrywały się w zimowe niebo. Dłoń jeszcze przed chwilą przypominająca wielką pazurzystą łapę przesunęła się nad zmasakrowaną klatkę piersiową i dotknęła jednej z ran. Esesman zajęczał cicho, widząc krew na palcach, po czym stracił przytomność. Lekki, nocny wiatr poruszał strzępami jego munduru.

W podziemiach ambasady zaszumiały generatory. Lampa przy schodach zajaśniała słabym, żółtawym światłem. Daleko nad uśpionym miastem zawyły syreny karetek policyjnych.

- Pułkowniku, proszę doprowadzić swoich ludzi do porządku! - Za plecami Tritza rozległ się drżący, piskliwy głos ambasadora Ludenhoffa. - Zaraz będziemy tu mieli wizytę stróżów duńskiego prawa i.

- Powoli, ambasadorze - powiedział cicho profesor, poprawiając okulary. - Niech się pan wstrzyma z porządkami. Mieliśmy do czynienia z prowokacją. Lepiej będzie, jak Duńczycy ujrzą na własne oczy, do czego zdolni są Brytyjczycy.

- Skąd pan wie, że to Brytyjczycy? - zająknął się Ludenhoff.

Dwurzędowy garnitur ambasadora był brudny od kurzu i profesor uświadomił sobie, iż zapewne padł na ziemię razem z innymi, gdy tylko rozległy się pierwsze strzały.

- Słyszałem komendy po angielsku. - Tritz zasznurował usta. - Poza tym mamy na to żywy dowód. Wciąż żywy.

Wskazał Trvisa próbującego pełznąć wzdłuż chodnika. Anglik szlochał bezgłośnie i przytykał dłoń do zakrwawionego oczodołu, nie zdając sobie sprawy, że otaczają go właśnie niemieccy żołnierze z pistoletami maszynowymi w gotowości.

- *Herr Ludenhoff!* - Oficer z dystynkcjami kapitana podszedł do obu mężczyzn. Jego twarz była opanowana i spokojna, jedynie lekko drżące dłonie w czarnych rękawiczkach wskazywały zdenerwowanie. - Mamy trzech zabitych. Jeden uduszony garotą w toalecie na piętrze, drugi zasztyletowany przed gabinetem, trzeci skoszony serią. Oprócz tego kilku rannych...

- Czterech zabitych - poprawił go spokojnie profesor, patrząc na leżącego u swoich stóp oficera SS z postrzeloną klatką piersiową: od kilkunastu sekund jego rozchylnych ust nie opuścił obłoczek pary.

Pozostawił Ludenhoffa z dowódcą ochrony ambasady, przekroczył ciało martwego żołnierza i podniósł coś z ziemi, blisko miejsca, gdzie upadł brytyjski dywersant.

- Pięciu zabitych - rozległ się za nim cichy, pełen nienawiści głos mówiący po niemiecku z miękkim, obcym akcentem.

Niski człowiek z ptasim nosem patrzył martwo na dopalające się ciało ptaka. Esesmani bezceremonialnie złapali jęczącego głośno Trvisa i zawlekli go do gmachu.

- Pięciu - powtórzył profesor. - Wzięli sage?

- On. - załkał białowłosy człowieczek. - On chciał zabić Munina...

- A zatem wzięli. - Głos profesora stwardniał.

- Ale tylko oryginał. Odpisu im nie dałem! Ja. Gdyby oni zabili Munina.

- Milcz. - Tritz patrzył w niebo ponad dachami ośnieżonych budynków. - A zatem prawdziwa wojna się rozpoczęła. Wojna runów.

W jego dłoni spoczywał upuszczony przez Gubbinsa płaski kamyczek, na którym wyrzeźbiono znak przypominający trójząb. Był to *algiz*, potężny run ochronny.

28 lipca 1936, zbocze Hekli

Jesteśmy na zboczu wulkanu od trzech dni, a mnie się zda, że to już wieczność. Wiatry hulają swobodnie, wyrrywając paliki namiotów z kamienistego gruntu. Mimo węglowego piecyka trzęsę się z zimna, a zgrabiące palce ledwie utrzymują pióro.

Pracujemy jak szaleni, gdyż ostrzeżenia Olafura okazały się słuszne. Natura wydaje się szykować do starcia z powierzchnią ziemi grupy śmiałków, którzy próbują wydrzeć jej sekrety. Zapach siarki w powietrzu staje się coraz mocniejszy, a nasze obozowisko kilkakrotnie spowiły gryzące dymy. Nasz przewodnik jest przerażony, co rusz przypada do któregoś z nas i w łamanym duńsko-angielskim próbuje nas namówić do ucieczki. „Hekla very angry!”, krzyczy, szarpiąc nas za rękawy.

Młoty uderzają z pośpiechem, prowadząc dłuto po powierzchni kamieni, a ja przeżywam huśtawkę emocji. Raz wydaje mi się, że jestem geniuszem i samodzielnie odtworzyłem zaginioną wiedzę o runach, by po chwili popaść w zwątpienie. Czyż to nie szaleństwo, wskrzeszać magię w epoce rozumu i technologii? Wznosimy inkantacje, wzywamy imiona zapomnianych bogów i kujemy, a ziemia drży pod naszymi stopami. Szydzi z nas, obłąkanych poszukiwaczy, czy szaleje z gniewu, gdyż wydzieramy jej sekret?

Jak dotąd żaden z wykutych przez nas runów nie wykazał niezwykłych właściwości. Pracujemy jednak dalej. Na horyzoncie szybko wzbierają chmury, ma się na deszcz.

28 lipca 1936, późny wieczór

Wreszcie sukces! Wyryliśmy na kamieniu run ochrony, algiz, po czym uderzyłem w kamień siekierą. Ostrze odskoczyło, krzesząc snop iskier. Po mnie kolejno próbowali wszyscy Niemcy, a na końcu Tritz wystrzelił w niego kilkakrotnie ze swego lugera. Na kamieniu nie ma najmniejszej nawet rysy!

Euforia miesza się jednak z rosnącym strachem. W oczach Niemca grają niebezpieczne ogniki. Jakże ja żałuję, że naiwnie zdradziłem mu całą swą

13.

wiedzę!

*Teraz muszę się śpieszyć! Czeka mnie ostateczna próba, po której...
Do licha, nie wiem, co potem.*

PS

Olafur wpadł w panikę. Któryś z Niemców uderzył go pięścią w twarz, a potem pogroził mu bronią. Nim ktokolwiek się zorientował, młody Islandczyk już uciekał w dół zbocza. Zostaliśmy bez przewodnika.

28 lipca 1936, noc

Po raz pierwszy ziemia zadrżała z wielką mocą! W odległości raptem paru metrów od naszego namiotu otworzyła się szeroka szczelina, po czym hamulce naszej ciężarówki puściły i samochód wolno zaczął toczyć się w jej stronę. Przebudzony Tritz krzyknął na swoich ludzi i razem skoczyli go ratować. W ostatniej chwili wcisnęli odłamki skał pod opony, a wtedy ze szczeliny buchnął kłęb trujących dymów. Padli jak jeden, tylko Tritz, który stał dalej i komenderował, zdołał o własnych siłach przejść kilka kroków. Po chwili również on stracił przytomność.

Przyglądałem się temu z bezpiecznej odległości. Gdy padł Tritz, zasłoniłem usta szalem i zaciągnąłem Niemców do namiotu, ale na tym skończyła się moja pomysłowość. Wygląda na to, że wyziewy były bardzo trujące - wszyscy mamroczą coś w malignie, trzęsą się i wymiotują. Tritz jest chyba w najlepszym stanie, ale i on leży bez sił. Nie umiem im pomóc.

Zresztą nawet nie chcę. Dzięki temu zrządzaniu losu mam chwilę, by samodzielnie dokończyć to, co sobie zamierzyłem.

29 lipca, świt

Mój run jest gotowy, szukam teraz tylko rzemyka, na którym zawieszę go na szyi. To potężny, rzadko spotykany berkano, run odrodzenia, rozpoczęcia nowego życia! Dzięki niemu, jeśli tylko zdołam powrócić do Wielkiej Brytanii, szybko stanę się kimś innym. Nie będę wiódt beznadziejnego życia wyśmiewanego naukowca fantasty!

Ziemia drży, a nade mną unoszą się dymy z krateru Hekli. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem niebo. Niemcy krzyczą i miotają się w śpiworach.

Jestem wykończony, ale chcę dalej pracować. Teraz teivaz, run wojownika, a po nim raido, run podróży w zaświaty.

Autobus zatrzymał się na Vester Voldgade i Snieżewski wyskoczył na zewnątrz, żegnany przyjaznym uśmiechem kierowcy. Rozejrzał się wokół, osłaniając dłonią oczy przed oślepiającym słońcem. Na błękitnym niebie nad Kopenhagą nie było już śladu po szarych, ołowianych chmurach.

Wzdłuż sopli ściekały już pierwsze krople z topniejącego śniegu, a miedziana iglica ratusza lśniła dumnie nad dachami kamienic, jakby chcąc zatrzeć ponure wrażenie z dnia poprzedniego.

Wojtek pokręcił głową.

„Nazwijmy rzecz po imieniu - mówił do siebie w myślach. - Na «Gromie» działały się dziwne, niewytłumaczalne rzeczy, Wojtek. Nie umiałeś dać sobie z nimi rady, tak więc poprosiłeś dowódcę o chwilę urlopu. Innymi słowy, uciekleś. Schowałeś się. A teraz spójrz dookoła”.

Z zakładu fryzjerskiego wychodziła właśnie dama w futrze, roztaczając wokół siebie zapach perfum. Obok nawoływał gazeciarz w ciepłym kożuszk i berecie zawadiacko noszonym na bakier. Z taksówki wolno gramolił się gruby jegomość, przeklinając za każdym razem, gdy przydepnął sobie płaszcz. Słońce odbijało się w kałużach i witrynach sklepowych.

„Widzisz?”, kontynuował głos w jego głowie. Widzisz tych ludzi, ich sklepy, biura, samochody? Duńczycy nie przyjmują do wiadomości tego, że trwa wojna. Wiedzą, że żyją w cieniu Niemiec, ale odpychają tę myśl jak najdalej. Taką Kopenhagę znasz dobrze, beztroską, radosną, roztańczoną. To tu chciałeś się schować, nieprawdaż?

Głos jego sumienia naraz stał się zgryźliwy i Wojtek poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. Być może rzeczywiście chciał po prostu uciec w bezpieczne miejsce? Przecież niedorzecznością byłoby oczekiwać, że nad grobem ojca odnajdzie cokolwiek poza kilkoma łzami i garścią wspomnień. Czyżby był tchórzem umykającym przed wojną i demonami własnej duszy?

Zwłaszcza tych demonów było sporo. Zmasakrowane zwłoki Gosby'ego. Pazurzaste ślady na śniegu. Mesmeryczne spojrzenie tajemniczego Anglika.

„Kopenhaga miała przynieść odpoczynek - pomyślał Śnieżewski z goryczą. - Tymczasem straciłem tu resztki spokoju, które mi zostały. Mam już dosyć. Wracam na okręt, nawet choćby załoga miała do końca wojny obchodzić mnie łukiem!”.

Wyprostował się, poprawił czapkę i ruszył wolnym krokiem w stronę hotelu Du Nord, znów obojętny na świat i ludzi. Nie zauważył wielkiego czarnego ptaka, który przyglądał mu się bacznie ze szczytu słupa ogłoszeniowego. Ptak zakrakał głośno, rozpostarł skrzydła i pomknął na

południe miasta.

Recepcjonista, uprzejmy młody człowiek o rzadziejących włosach, pokazał mu broszurkę z rozkładem lotów British Overseas Airways Corporation i obiecał telefonicznie zarezerwować bilet na nazwisko Śnieżewski. Na wysokim zegarze ściennym w hollu dochodziła właśnie jedenasta, a przez matowe szkło drzwi hotelowej restauracji dostrzegał już pierwsze oznaki przedobiedniej krzątania kelnerów. Niespodziewanie usłyszał też burczenie w żołądku - nic dziwnego, opuścił hotel wcześniej rano, nie jedząc nawet śniadania.

- Co poleca dzisiaj szef kuchni? - zapytał.

- Eee... - Recepcjonista zerknął do menu. - Łosoś saute z... Lecz, sir, jeśli opuszcza pan nas dzisiaj, muszę panu przypomnieć, że doba hotelowa kończy się o dwunastej.

- Rzeczywiście! - Podporucznik pokręcił głową. - A to pech. Wobec tego najpierw spakuję walizkę i zniosę ją na dół, a potem coś przekąszę. Proszę zatem zamówić bilet na któryś z lotów popołudniowych.

Recepcjonista skinął głową i zapisał coś w notatniku, a Śnieżewski pobiegł schodami na górę, szukając po kieszeniach klucza. Nie zabrał wielu rzeczy z „Gromu” i miał nadzieję uporać się z pakowaniem w kwadrans.

Nagle stanęło mu przed oczami oblicze pokojówki, która wczoraj sprzątała jego pokój. Była to cicha, łagodnie uśmiechnięta dziewczyna z rodzaju tych, których urodę zauważa się dopiero po uważniejszym przyjrzeniu się. Pamiętał osobliwy rumieniec na jej policzkach i zakłopotanie w wielkich, orzechowych oczach, gdy oznajmił, że sam prasuje swój mundur. Zapytała wtedy, skąd pochodzi i co robi w Kopenhadze, a on opowiedział jej w kilku zdaniach o „Gromie”. Nagle dziewczyna drgnęła - bąknęła coś o zakazie prowadzenia rozmów z gośćmi i umknęła przestraszona.

„Miała zabawne dołeczki”, uśmiechnął się w myślach Wojtek. Fajna dziewczyna. Kurczę, rację miały chłopaki, dawno temu w Gdyni. Już dawno powinienem zacząć za spódniczkami biegać. Ech, będzie jeszcze na to czas.

Zaraz, o co ona pytała, tak naiwnie? Mówiła, że...

Niebieskie oczy. Dołeczki. Rumieniec na twarzy.

Zatrzymał się na schodach i potrząsnął głową, a potem zacisnął mocno oczy. Nic. Nie mógł wyrzucić z myśli ani twarzy pokojówki, ani jej głosu, ani ruchów. Zrobił jeszcze kilka kroków.

Nieśmiała, przestraszona twarz. Drobne dłonie. Równe ząbki.

Ręka Śnieżewskiego spoczęła na klamce. Obraz pokojówki rozrastał się w jego głowie, stawał coraz większy, ale też ciemniejszy, mroczniejszy. Zza równych ząbków wynurzył się nagle ogromny, opuchnięty język, wokół zgrabnej szyi pojawiły się dwie silne dłonie w czarnych rękawiczkach, a z oczu znikło zakłopotanie. Zastąpiło je potworne przerażenie, jakie człowiek odczuwa tylko raz w życiu.

W momencie, gdy mu się je zabiera.

Wojtek zrobił krok do przodu i wpadł w ciemność.

Pierwszym odgłosem, jaki do niego dotarł, był wytłumiony przez dywan stukot butów spacerującego człowieka. Do dźwięku dołączył osobliwy chrobot, jakby ktoś kreślił znak na chropowatej powierzchni.

Wojtek odetchnął ciężko i uniósł głowę, tocząc wokół półprzytomnym spojrzeniem.

Okno z zasuniętymi firanami. Łóżko kryte narzutą. Stolik nocny z lampką, obok niego drugi, z odbiornikiem radiowym. Drzwi do łazienki, lekko uchylone. Fotel, a na nim...

Na fotelu rozparł się wygodnie drobny człowiek odziany w tweedową marynarkę i sztruksowe spodnie. Jego krótkie, niemalże białe włosy były zmierzwione, jakby przed chwilą zdjął czapkę. Pośród wychudłej twarzy uwagę na siebie zwracał garbaty nos przypominający nieco ptasi dziób. Lewa ręka obcego opierała się na poręczy fotela, natomiast prawa zwisała w dół, niedbale trzymając pistolet. Na twarzy gościa malował się nieszczerzy uśmiech.

Naraz obudził się zmysł węchu i żołądkiem Śnieżewskiego skreśliły torsje. W pokoju unosił się mdlący zapach fekaliiów.

- Co. - wyjąkał, próbując opanować nudności. - Kim pan.

- Mój towarzysz nie zna angielskiego, panie poruczniku. - Rozległ się głos z silnym niemieckim akcentem za jego plecami.

Wojtek przypomniał sobie odgłos obchodzących go kroków i ów osobliwy chrobot. Odwrócił się, próbując usiąść.

Stojący za nim człowiek wcale nie sprawiał groźnego wrażenia. Gdyby spotkali się przypadkiem na ulicy, Wojtek mógłby go wziąć za antykwariusza lub urzędnika bankowego. Nieznajomy miał na sobie porządnie wypastowane buty z ciemnej skóry, uprasowane w kant spodnie od garnituru oraz zapiętą kamizelkę, pod którą nosił koszulę z krawatem. Z kieszonki kamizeli wystawał łańcuszek zegarka. Jedyną niepokojącą cechą jego wyglądu były oczy, które patrzyły nań z bezlitosnym chłodem znad okularów połówek.

Równie niepokojący był luger trzymany w prawej dłoni. W lewej Niemiec miał węgiel rysowniczy, którym właśnie zakończył kreślenie prostego znaku na drzwiach.

Smród fekaliów był coraz mocniejszy i Wojtek opanował kolejną falę torsji. Zamknął oczy, a wtedy ujrzał znów niewinną, nieśmiałą twarz duńskiej pokojówki.

- Zabiłeś ją, ty marny... - Zrozumiał nagle.

- Powoli, poruczniku. - Głos obcego ciał jak bicz. - Nie chciałbym, by powiedział pan coś, co mnie urazi. A swoją drogą. - W jego tonie głosu naraz pojawiła się ciekawość. - Kogo niby miałem zabić?

- Tę pokojówkę. - Wojtek klęczał, wpatrując się w obcego z nienawiścią przemieszana z przerażeniem.

- Intrygujące.

Nieoczekiwanie Wojtek dostrzegł, jak człowiek za jego plecami zerka na zamknięte drzwi do łazienki, po czym pośpiesznie wymienia spojrzenia z towarzyszem na fotelu.

- To prawda, panie podporuczniku - odezwał się Niemiec po chwili milczenia. W jego wzroku czaiła się groźba, ale też ciekawość. - W istocie, zmuszony byłem zabić to niewinne dziewczę. Część odpowiedzialności za to ponosi jednakże pan. Gdyby wrócił pan wcześniej, załatwilibyśmy nasze sprawy przed jej przybyciem.

- Nie rozumiem. - powiedział Wojtek z przestachem. - Jakie sprawy? Co ja. Czego wy ode mnie chcecie?

- Podporuczniku. - Obcy zmarszczył brwi. - Tragizm pańskiej sytuacji

polega na tym, że w tej chwili to nie pan zadaje pytania.

Niespodziewanie zsunał z dłoni rękawiczkę, a między jego palcami znalazł się płaski kamyk z wyrytym prymitywnym symbolem.

- Skąd pan wiedział o zabójstwie? - spytał ostro, głośno.

Jego oczy były zmrużone, lecz wpatrzony w nie Wojtek uświadomił sobie, że wypełniają cały jego świat. Nagle zrozumiał, że nie może oderwać od nich wzroku, a jego ciało ogarnia paraliż.

Nic ci nie powiem, gnido! - krzyczało coś w jego umyśle. Nic! Nic!

- Nie wiem. - powiedział chrapliwie, z wysiłkiem. - Ja czasami. wiem. Widzę. Czuję. Wiem, że ktoś umiera.

Głos w jego umyśle szlochał.

„Nie mów! Nie mów nic więcej! Nic nie mów.”.

Nieznajomy mówił coś z tryumfem po niemiecku do swego towarzysza z ptasim nosem, a Wojtek czuł, że ogarniają go ciemności.

- Przejdźmy do rzeczy, podporuczniku. Co pana łączy z osobą sir Andrew Harringtona, brytyjskiego dżentelmena, który przybył do Kopenhagi.

Ciemność panowała już niepodzielnie. Słyszał jedynie własny głos, beznamiętnie odpowiadający na pytania.

Młasnęły zamykane drzwi i limuzyna daimler ruszyła naprzód z ledwie słyszalnym szumem motoru. Za oknami przesuwaly się kamienice i place miasta rozświetlone wspaniałym zimowym słońcem, ale profesor Michael Tritz był zbyt zamyślony, by zwrócić na to uwagę. Skórzana tapicerka zaskrzypiała cicho, gdy rozparł się wygodnie.

- Rzadki dar... - mruknał, kiwając głową w zadumie. - Ten Polak dysponuje naprawdę rzadkim darem.

- To prawda, profesorze - odezwał się Ragnar, a w jego głosie brzmiała lekka uraza. - Dlaczego zatem nie kazał pan go zabrać do Rzeszy? Nie przydałby się panu?

- To dziwna, kontrowersyjna umiejętność. - Tritz zamrugał oczami, jakby budząc się ze snu. - Z początku wydaje się przekleństwem, gdyż przepowiada rychłą śmierć kogoś bliskiego, członka rodziny lub

najbliższego przyjaciela. Niektóre osoby potrafią go jednak rozwinąć, nierzadko całkiem nieświadomie, a wtedy moc człowieka, który nim włada, staje się niezmiernie wielka. Naprawdę niezmiernie wielka. Ten Polak zaczyna już swój talent rozwijać. Z początku widział śmierć członków swej rodziny, potem dowódcy, a teraz tego Anglika i pokojówki! Oboje znał tylko przelotnie, z dziewczyną nawet się nie przespał! Jego talent rośnie i tylko czekać, aż zyska kolejne, potężniejsze moce.

- Jakże?

- Dar z czasem pozwoli mu przewidywać nadejście śmierci, przyspieszać ją, opóźniać, a na końcu zsyłać. Czułeś, ile wahania i niepewności drzemie w tym człowieku? Chciałbyś mieć obok siebie towarzysza, który pewnego dnia zabije cię wzrokiem?

- Trzeba było go zatem zabić! - Człowiek z ptasim nosem zacisnął pięści.

- Nie, Ragnar. - Tritz pokręcił głową, marszcząc lekko brwi. - Ten Polak w istocie może okazać się niebezpieczny, ale niekoniecznie dla nas.

- Chce pan. - Zachłysnął się niespodziewaną myślą Ragnar.

- To miotany namiętnościami, niedoświadczony młody człowiek, a takimi ludźmi dość łatwo sterować. Być może kiedyś odda nam jeszcze wielkie usługi, na razie co trzeba go bacznie śledzić. Jak się nazywa ten jego okręt?

- „Grom”.

- Doskonale. Twoi wysłannicy mają nie spuszczać go z oczu.

- Chciał pan powiedzieć „mój wysłannik”. - Głos Ragnara był chłodny.

- Ci cholerni Anglicy zastrzelili Huginna. Ale przykro mi, obawiam się, że nawet gdybym miał całą armię kruków, nie zdołałbym go upilnować. Kruki są kiepskimi lotnikami, profesorze, nie lubią morza.

- Cóż. - Tritz zamyślił się, wpatrzony w sunący za oknem krajobraz miasta. - Trudno zatem. Może rzeczywiście powinienem go zabić, ale powstrzymało mnie przecucie, że młodzieniec kiedyś drugi raz skrzyżuje swój los z moim. Coś mi mówi, że dobrze będzie wtedy wiedzieć o jego zdolnościach.

- Pewnie tak.

- Ktoś mógłby rzec, że nasza wizyta w Kopenhadze zakończyła się klęską - ciągnął Tritz. - Ludzie Harringtona ukradli *Vidarssage*, zabili jednego z moich ludzi oraz twego wysłannika, a potem znikli jak kamień

w wodę. Mieli jednak sporo pecha. Nie dość, że capnęli oryginał sagi, nie wiedząc o jego kopii, to jeszcze zostawili nam drogiego sierżanta Trávisa, który opowiedział nam zadziwiające rzeczy o pewnej wiejskiej rezydencji niedaleko Welwyn. A teraz na deser wpada w nasze ręce polski porucznik obarczony przekleństwem Hel. I jak tu nie mówić, że nie sprzyja nam szczęście, Ragnar.

- Bogowie są łaskawi, profesorze.
- Bogowie są martwi. Czy ten Travis jeszcze żyje?
- Obawiam się, że nie, profesorze. W nocy podczas przesłuchań...
- A to ci dopiero. Zapomniałem wypytać o szczegóły dojazdu do tego The Frythe. No cóż. Jakoś damy sobie radę.

Gubbins nie mógł spać.

Monotonny ryk motorów bombowca Wellington wdzierał się do jego czaszki i odpędzał sen. Major czuł niepokój. Był doświadczonym żołnierzem i nierzadko chełpił się tym, że zasnąć potrafi zawsze i wszędzie, na zmarzniętej ziemi, pod gradem kul czy nawet w marszu. Po wyczerpującej eskapadzie kopenhaskiej powinien spać bez przerwy przez całą noc, a tymczasem nie mógł zmrużyć oka.

Przetarł dłonią szron pokrywający okienko bombowca i zerknął na zewnątrz. Blask księżycy w pełni zamienił gęste kłęby chmur w czarodziejską krainę pełną wzgórz i dolin, wśród których prześlizgiwał się czarny cień samolotu.

- Od tego wszystkiego jakieś głupie myśli zaczynają mnie nachodzić - mruknął w końcu. - Za zimno na sen, i tyle.

We wnętrzu samolotu w istocie panowało przenikliwe zimno i ciałem Gubbinsa mimo grubej kurtki, szala i wełnianych rękawic raz po raz wstrząsały dreszcze.

- Za zimno na sen - powtórzył.

Harrington chrapnął głośniej na fotelu obok i Gubbins zerknął na niego. Głowa jego zwierzchnika spoczywała na krawędzi oparcia fotela, a z jego ust miarowo wydobywały się obłoczki pary. Szklane okularów pokryła mleczna powłoka, ale nadal przyciskał do piersi skradziony pakunek

owinięty szarym papierem i konopnym sznurkiem.

„Dla normalnego człowieka zbyt zimno na sen”, poprawił się w myślach.

Przed oczami ponownie stanął mu widok z okna piętra niemieckiej ambasady. Znów ujrzał swoją stopę, wspierającą się o parapet, lewą dłoń, chwytającą futrynę okna, prawą wciąż trzymającą pakunek. I nagle leciał na spotkanie ziemi, zostawiając za sobą ryk owej istoty, która jeszcze przed chwilą była niemieckim oficerem. Słyszał trzask pękających kości i własny przedśmiertny wrzask, a po sekundzie, wbrew wszelkiej logice, poderwał się, podniósł upuszczony pakunek i ruszył w stronę czarnego buicka. Chwilę później zamigotały mu przed oczami umykające kamienice Kopenhagi.

Gdy następnego dnia ocknął się w łóżku brytyjskiego konsulatu, długo nie mógł pozbierać myśli. Gdy w końcu odrzucił kołdrę, odkrył, że jego jedynymi ranami są posmarowane jodyną skaleczenia.

„Sir Andrew Harrington - pomyślał. - Kim pan jest, panie Harrington? Poznałem już wiele pańskich sekretów, ale wszystkie jak dotąd dawało się wytłumaczyć. Ale to?”

Harrington nagle podniósł głowę i major drgnął, przestraszony absurdalnym przecuciem, że ten przysłuchiwał się jego rozmyślaniom.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał sennym głosem, zdejmując okulary.

- Nie mam pojęcia, sir - odparł Gubbins. - Lecimy nad chmurami.

- Która godzina?

- Dwadzieścia po drugiej - powiedział major, zerknąwszy na fosforyzujący cyferblat.

- Niebawem powinniśmy lądować pod Londynem. - Harrington ziewnął, przeciągając się, lecz nie wypuścił pakunku z objęć.

Przez chwilę milczeli, wsłuchując się w jednostajny ryk motorów. Gubbins odwrócił się, obrzucając przelotnym spojrzeniem wewnątrz bombowca. Za nimi kuliło się dwóch urzędników brytyjskiego konsulatu zakutanych w płaszcze i ciepłe koce, a za nimi piętrzyły się skrzynie z tajnymi dokumentami.

- To też pan przewidział? - spytał.

- Co takiego? - Harrington przesunął pakunek pod pachę.

- Ewakuację naszego konsulatu.

- Nie, to akurat był tylko zbieg okoliczności. - Szef Sekcji D

uśmiechnął się. - Drogi Tiffany-Boggins, szef tutejszej placówki SIS, to mój przedwojenny przyjaciel. Jakoś nas przemycił na samolot wywożący tajne papiery do Londynu. Gdyby nie on, ucieczka do Anglii mogłaby być problemem. Tritz na pewno ma ważnych przyjaciół w Kopenhadze, dzięki którym obstawiono by zarówno port lotniczy, jak i morski. Fałszywe paszporty na niewiele by się zdały.

- Nie boi się pan, że Travis czy Fulham mogli coś Niemcom wydać?

- Nie sądzę - powiedział Harrington po chwili namysłu. - Ba, być może nawet niechcący osłonili nasz odwrót. Jeśli wpadli w ręce Tritza, to z pewnością wyśpiwali mu wszystko, między innymi to, że nasza misja nie jest autoryzowana. Mając takie informacje, Niemcy będą nas szukać nie w konsulacie, lecz w podrzędnych hotelach.

- Jeśli wpadli w ręce esesmanów, to już nie żyją, sir. - Zagryzł wargi Gubbins. - Natomiast żyję ja, co spędza mi sen z powiek, dosłownie i w przenośni. Dlaczego moimi jedynymi ranami po tym upadku są skaleczenia, sir? Dlaczego mogłem iść mimo połamanych kończyn? Czy ten kamyk miał coś wspólnego z...

- Majorze, ledwie dwa dni temu odbyłem rozmowę z panem Gosbym na temat zadawania zbędnych pytań - warknął Harrington, rozsiadając się wygodniej na fotelu. - Nie powtórzę jej treści, by pana nie urazić. Powiem panu jedynie tak: przekleństwem przywódców jest to, że czasem w imię wyższych wartości odebrać komuś życie. Moim błogosławieństwem zaś jest to, że czasem, w imię wyższych wartości, mogę komuś życie podarować. I niech się pan tym wytłumaczeniem zadowoli, Gubbins.

- Dziękuję, sir - mruknął żołnierz, nieprzekonany.

- Nie ma za co. - Oczy Harringtona błysnęło dziko. - Zupełnie nie ma za co. Liczę, że po tak fascynujących doznaniach z ochotą dołączy pan do naszych ludzi w Brecon

Beacons na ciąg dalszy ćwiczeń w terenie, prawda? Ja zostanę parę dni w Londynie. Muszę w kilku miejscach usprawiedliwić moją nieobecność.

- Oczywiście, sir.

Szary, smukły kadłub polującego niszczyciela niemalże niknął wśród białych grzyw.

Zdmuchiwane przez wiatr bryzgi uderzały o jego nadbudówki, a fale wdzierały się na

pokład, próbując dosięgnąć ludzi skulonych przy działach i wyrzutniach bomb

głębinowych. Mimo furii żywiołu okręt wciąż parł naprzód. Wieże działowe obracały się

wraz ze zmianą kursu niczym chrapy ogromnego, wężącego drapieżnika.

„Niczym paszcze wielogłowego smoka”, pomyślał Snieżewski, obserwując dziobowe wieże przez zalane deszczem szyby z pleksiglasu. Na jego twarzy pojawił się zadumany uśmiech.

- Jest pan wolny, Matuszak - odezwał się za jego plecami komandor podporucznik Gniewomir Kornilowicz.

Wojtek zerknął przez ramię. Dowódca ujmował właśnie szczeble koła sterowego, a w jego szarych oczach zalśniło pirackie ożywienie.

- Maszynownia pół naprzód - komenderował spokojnym głosem. - Aha, i niech mnie ktoś poczęstuje papierosem!

Napięcie zelżało nieco, ktoś się nawet cicho roześmiał. Nawigator Staszek Łęk, tradycyjnie pozieleniały na twarzy, natychmiast wydobyl wymiętą paczkę playersów z kieszeni.

- Stanowiska bojowe, raport! - Głos komandora zniekształcał nieco papieros w kąciku ust.

- Aparaty torpedowe gotowe! - Zaskrzeczał głośnik opanowanym głosem porucznika Łopuszaka.

- Obie wyrzutnie rufowe bomb hydrostatycznych gotowe! - Rozległ się inny głos aż rwący się z podniecenia. Wojtek nie znał tego człowieka, najwidoczniej dołączył do załogi podczas ostatniej rotacji. - Przygotowujemy miotacze burtowe.

- Wieże A i B gotowe - rzucił Wojtek do mikrofonu.

- Dobra robota, Snieżewski. Ładuj pan burzącymi i jak tylko szkop pojawi się na powierzchni, przyrznij mu pan...

- Nowy namiar! - wykrzyknął podoficer przy aparatach podsłuchowych. - Łódź podwodna! To szkop! Ten sam, jak Boga kocham!

14.

Snieżewski gorączkowo zabrał się do wprowadzenia nowych danych do przekaźników, słuchając raportu dalmierzysty. Niespodziewanie rozgrzała go nowa myśl. Tylko jego meldunek spotkał się z komentarzem dowódcy, i to życzliwym, dodającym otuchy.

„Może popełniłem błąd, uciekając z okrętu w poszukiwaniu ulgi czy wytchnienia”, pomyślał, gdy rozległ się szum motorków elektrycznych przekazujących dane do wież artyleryjskich. Może to właśnie tu jest teraz mój dom?

Sekundę później wieże znów drgnęły, przenosząc lufy ku prawej burcie. „Grom” zatoczył szeroki łuk, tnąc stalowoszare fale i znacząc je szerokim, białym pasem kilwateru. Smok pochwycił trop.

Późnym wieczorem tego samego dnia pokieroszowany „U-32” wynurzył się po raz pierwszy od kilkunastu godzin. Korvettenkapitan Thomas Weller, barczysty, brodaty człowiek o nalanej twarzy, wyszedł na pomost, by odetchnąć świeżym powietrzem. Towarzyszyło mu dwóch oficerów oraz kilku obserwatorów uzbrojonych w silne lornetki. Morze było puste, a nad wciąż wzburzonymi falami gęstniał już mrok.

„Mam nadzieję, że zmierzch nadejdzie szybko”, pomyślał, przecierając szkła lornetki i na nowo lustrując morze. Tę noc musimy przecież spędzić na powierzchni. Akumulatory są do cna wyczerpane po tej cholernej ucieczce.

- Widzę ład - odezwał się oberlejtant Karl Kluber stojący po jego prawej ręce.

Dowódca natychmiast skierował lornetkę we wskazanym mu kierunku i po chwili dostrzegł wąskie szare pasmo wybrzeża.

- *Ausgezeichnet* - powiedział znużonym głosem. - Podejźmy na odległość dwóch, trzech mili po czym spuścimy naszych gości na pontonie. I umykamy do Wilhelmshaven.

- A co z pana wcześniejszym zamysłem, *Henr Korvettenkapiton*? - z udawanym zdziwieniem odezwał się drugi oficer, lejtnant Lars Vidtke. - Już zrezygnował pan z łowów na brytyjską żeglugę w kanale La Manche?

- Jeśli znajdzie pan sposób - dowódca miał nadzieję, że niechęć nie przebija zbyt wyraźnie z jego głosu - by polować na *Tommies* z uszkodzonym peryskopem, niesprawnym sterem głębokości, nadwerężonym wałem korbowym i kadłubem nieszczelnym w minimum trzech miejscach, zrobię to z ochotą.

- Rozkazy jednakowoż...

- Rozkazy dotyczą sprawnych okrętów! Bomby tego niszczyciela niemalże nie rozpieprzyły nas na amen! - warknął dowódca i spojrzał z wściekłością na drugiego oficera.

- Miejmy nadzieję, że podczas tak psiej pogody obserwatorzy z Homeguard nie przykładają się do swoich obowiązków - powiedział głośno Kluber, próbując zmienić temat.

- Nas nie zobaczą - parsknął dowódca. - Vidtke, obejmuje pan wachtę i jeśli chce pan kiedykolwiek jeszcze polować na brytyjskie statki, niech pan lepiej wyteżę wzrok. Kluber, pan zaś niech przygotuje ponton dla

naszych gości. Mają być gotowi do natychmiastowego odpłynięcia z nastaniem ciemności. Nie mam pojęcia, czego ta banda esesmanów szuka w Anglii - dodał cichszym głosem, zerkając w kierunku włazu prowadzącego do wnętrza U-Bootu - ale będę szczęśliwszy, gdy się ich pozbędę choć na chwilę.

- Wedle rozkazów mamy ich odebrać w środę po północy. - Kluber również ściszył głos, zerkając ku Vidtkemu lustrującym horyzont przez lornetkę.

- Pamiętam o tym. - Dowódca oblizał wargi słone od morskich bryzgów. - Ale staram się zapomnieć. Być może uszkodzenia okrętu okażą się zbyt poważne, by poczekać.

Mrugnął do pierwszego oficera, poprawił czapkę na głowie i uchwycił mokre, zimne szczeble drabinki prowadzącej w głąb okrętu.

„Goście - pomyślał sarkastycznie, schodząc w dół. - Gdyby nie rozkazy, wyrzuciłbym ich wszystkich za burtę. *Mein Gott*, jeśli jest coś, czego nienawidzę bardziej od gestapo, to są tym z pewnością ci fanatycy z SS”.

Oczami swej wyobraźni znów ujrzał ich harde twarze i czujne oczy śledzące każdy jego ruch. Jak wielu podwodniaków cechowała go szczególna wrażliwość na ludzkie emocje, a kilka dni rejsu z esesmenami przekonały go, że w ich sercach tkwi zło, jakiego poznawać nie chciał. Wzdrygnął się.

„Mam nadzieję, że *Tommys* spiorą ich na kwaśne jabłko”, przeszło mu przez głowę.

- Pomyślałby kto, że idą święta - mruknął stary Jack Hollyfield, raz jeszcze przecierając wypucowany do blasku kontuar. - Widział kto kiedy takie święta? Widział kto? Nawet podczas Wielkiej Wojny było tu radośniej!

Pytanie skierowane było do grupki stałych bywalców pubu Hollyfield's, którzy razem pokiwali głowami.

- Wszystko przez te samoloty, Jack. - Gruby Teddy Sanders czknął, odsuwając od siebie pusty talerz i ujmując za kufel. - Kiedyś tyle nie latali i nikt nawet nie pomyślał

O zaciemnieniu miast. To przez nie zrobiło się tak ponuro w starym dobrym Welwyn. Przez te samoloty, cholera by je wzięła!

- Wszystko by cholera wzięła. - Jack skrzywił się, odsuwając firanę i patrząc przez okno.

Dochodziła czwarta po południu i kamieniczki wokół niewielkiego rynku Welwyn powoli nikły w ciemnościach. Zgodnie z nakazem wygaszono latarnie uliczne

1 częściowo zamalowano reflektory samochodów, a ludzie szczerze zasłaniali okna w domach. Welwyn przypominało w tej chwili miasto duchów.

- Coś ty mi za siki podałeś, Jack? - Wyrwało go z zadumy warknięcie Sandersa, który z hukiem odstawił kufel na ławę. - Słabe to piwo... Mdle jakieś. Belgijskie?

- Mocniejszego nie dostaniesz. - Hollyfield wytarł dłonie w fartuch i zaczął kręcić gałkami wielkiego odbiornika radiowego.

- Racjonowanie żywności dotknęło nawet piwa, Sanders. - Zarechotał Hugh Miller, miejscowy listonosz. - Rząd oszczędza na wszystkim. Mamy kartki na żywność, talony na benzynę, obowiązkowe zaciemnienie, pora chyba na piwo bez alkoholu!

- Piwo bez alkoholu? - Sanders spojrział na starego druha z wyraźnym obrzydzeniem.

- Nieźle dowcipy się siebie trzymają, Hugh. Jack, spróbuj znaleźć BBC. Może powiedzą coś konkretnego, do ciężkiego licha! Mógłby się Churchill w końcu wziąć do roboty i pogonić szkopom kota. Jak można tak żyć? Słabe piwko i zaciemnienie, psiamać. Nawet podczas Wielkiej Wojny było lepiej!

Zaciemnienie było głównym tematem żartów stałych bywalców pubu Hollyfield's zaraz obok nagonki na niemieckich szpiegów i bombardowania Niemców ulotkami wzywającymi do poddania, czym ostatnio zajmował się RAF. Mark O'Railly, który zwichnął sobie kostkę, gdy dwa tygodnie temu wracał po ciemku z pubu, został okrzyknięty pierwszym weteranem wojennym w Welwyn. Bywalcy pubu stroili sobie z niego żarty do czasu, gdy porywczy O'Railly nie stracił cierpliwości i nie podbił oka Benjaminowi Hoxtedowi.

Jack Hollyfield złapał wreszcie odpowiednią stację, lecz trwająca nad Londynem burza śnieżna uniemożliwiła dobry odbiór. Jedyną informacją,

jaką udało im się wyłowić spośród trzasków i szumów, był opis bitwy morskiej na zachodnim Atlantyku, w której zespół brytyjskich krążowników zmusił do samozatopienia niemiecki pancernik „Admiral Graf Spee”. Jack Hollyfield wyłączył radio i uczcił zwycięstwo, nalewając każdemu kufel piwa.

- Nie ma się czym szczycić, panowie. - Hugh wziął łyka i zabrał się do nabijania fajki. - Niemcy to marni żeglarze. Royal Navy skroi im tyłki, jeszcze zobaczycie.

- Kuzyn jednej znajomej mojej żony służy na „Exeter” - mruknął zamyślony Teddy Sanders. - Wróci chłopak do domu, to opowiem nam, jak było naprawdę! Ech, aż czasem żałuję, że człowiek za stary, by samemu za karabin chwycić.

Na zewnątrz rozległ się warkot silnika i zerkający przez okno Hollyfield ujrzał sporą ciężarówkę zatrzymującą się po drugiej stronie rynku. Z kabiny wyskoczył krępy pasażer i szybkim krokiem ruszył w stronę pubu przez zaśnieżony skwer.

„O, wreszcie mamy pilotów - pomyślał. - Czas najwyższy, bo jak do zaciemnienia dołączą bombardowania, to chyba...”.

- Hej, Jack! - Wyrwał go z rozmyślania głos Sandersa. - A ty walczyłeś w Wielkiej Wojnie?

- Byłem palaczem na HMS „Wolverine” - mruknął Hollyfield i zabrał się do mycia pustych kuflów. - Brudna robota.

- A mnie nie wzięli, bo byłem za młody - westchnął Teddy. - A teraz jestem za stary, no i podagra też robi swoje. Szkoda. Postrzelałby sobie człowiek do szkopów, chociaż żeby się za to piwsko zemścić, a tu.

Niespodziewanie ciężkie drzwi z politurowanego drewna rozwarły się szeroko, wpuszczając do środka chłodny powiew i wir śnieżynki. W progu zamajaczyła sylwetka ogromnego, barczystego człowieka.

- Wejdz pan do środka! - warknęła Hollyfield. - Zimno leci!

Nieznajomy zamknął za sobą drzwi, a wtedy padło nań światło z lampy na kontuarze. Wszyscy ujrzeli ogromnego człowieka o szerokich ramionach, rumianej twarzy i krótko przyciętych, jasnych włosach, skrytych pod czapką dokera. Miał na sobie sztruksowe spodnie i skórzaną kurtkę lotniczą, a wielkie dłonie okrywały wełniane rękawiczki. Na wpatrzonych w niego staruszków spojrzał przyjaźnie, choć rysy jego twarzy sugerowały człowieka zdecydowanego i pewnego siebie.

- Dobry wieczór - powiedział. - Czy mogliby panowie wskazać mi drogę do posiadłości The Frythe?

W jego głosie zabrzmiał wyraźnie zgrzytliwy niemiecki akcent. Jack Hollyfield przełknął ślinę i spojrzął na Sandersa i Millera, którzy znieruchomieli z wytrzeszczonymi oczami.

- A. - zawahał się. - Kim pan, do cholery, jesteś? - burknął, sam dziwiąc się własnemu twardemu głosowi. - Mówisz pan jak jakiś cholerny szkop!

Przez twarz przybysza przemknęło lekkie zdziwienie, po czym pokręcił głową z uśmiechem.

- Nie, skądże - wyjaśnił. - Mój Boże, jest pan chyba setnym Anglikiem, który wziął mnie za Niemca! Chyba nigdy się nie przyzwyczaję... Jestem major Martin van der Helder, Królewskie Siły Powietrze Holandii. Odbywamy wspólne ćwiczenia z pilotami Royal Air Force i wysłano nas na serię wykładów na temat strategii nowoczesnej walki myśliwskiej w posiadłości. The Frythe. Chyba dobrze wymawiam nazwę? - spojrzął na Hollyfielda z niepokojem.

- Całkiem nieźle jak na cholernego Holendra. - Jack machnął ręką. - Pojedziesz pan za miastem na prawo.

Kwadrans po tym, jak silnik półciężarówki ponownie zaskoczył i samochód znikł na drodze do posiadłości, w pubie Hollyfield's wciąż trwała rozmowa na temat gościa.

- A więc jednak piloci. - Jack Hollyfield kręcił głową. - Już byłem pewien, że tam wywiad tajną bazę sobie założył czy co...

- Co ty wygadujesz! - obruszył się Hugh. - Sam widziałem tablicę, że RAF ma tam teraz bazę. Ale jedno trza przyznać: chwacko żeś człowieka przywitał!

- Niech mnie kule biją, Jack! - śmiał się Sanders, pijąc kolejny kufel piwa. - I ty byłeś palaczem w kotłowni jakiegoś cholernego torpedowca, tak? Niemiaszek ładuje ci się do pubu, a ty mu twardo patrzysz w oczy i „Ktoś ty!” cedzisz przez zęby! Po tym, co zobaczyłem, jestem pewien, żeś w Royal Marines przedpole oczyszczał, he, he, he!

- Nie Niemiaszek, tylko pieprzony Holender!

- Mała różnica. - Pyknął z fajeczki Miller. - Gadają jak oni, wyglądają jak oni, nawet piją te same siki co oni. Nie cierpię Holendrów, są nawet gorsi od Belgów.

- Gorski od Belgów? - zdumiał się Hollyfield myjący naczynia. Ręce przestały mu drżeć na tyle, by mógł utrzymać w nich kufel. - A czemuż to?

- Opowiadała mi raz moja stara, jak to.

Rezydencja The Frythe spała, przysypana grubym kożuchem śniegu. Jedynie w oknie gabinetu Harringtona, obwiedzionym garścią srebrzystych sopli, paliło się światło. Jak zwykle o tej porze pani Timson zasiadła za biurkiem swego gospodarza, wyciągnęła z szuflady jego dziennik i otworzyła go na ostatnio czytanej stronie. Dopiero wtedy na jej zaciętej twarzy pojawiał się spokój.

Ostatnie dwa tygodnie zmieniły ją nie do poznania. Znikła gdzieś gderliwa, lecz żywa gospodyni, która w pojedynkę potrafiła utrzymywać w porządku całą rezydencję, a w jej miejsce pojawiła się niewyspana, drażliwa jędra, mierzająca świat nieprzychylnym spojrzeniem spod zapuchniętych powiek. Do swoich obowiązków nie przykładała się zgoła wcale. Przez pół dnia włóczyła się po rezydencji, bez przekonania próbując zająć się pracą, by pod wieczór pośpiesznie zamknąć się w gabinecie Harringtona. Na meblach leżał kurz, w pralni piętrzyły się stosy zapomnianych pierzyn, a pozostali służący schodzili pani Timson z drogi, nie chcąc narażać się na jej wybuchy złości.

Całkiem owładnięta czarem dziennika, nie zadawała sobie trudu, by przyjrzeć się sobie czy posiadłości. Nie zdawała sobie sprawy z niechlujnie ułożonych włosów czy sinych worków pod oczami. Nie zauważyła, że nie boi się już tajemniczego gabinetu ani nie waha się naruszyć prywatności gospodarza, co było rzeczą karygodną dla gospodyni dobrego domu. Nie była nawet świadoma, że ktoś coraz częściej nachylał się nad jej ramieniem podczas lektury i z trudem powstrzymywał cieniutki, srebrzysty śmiech.

Poe miauknął przez sen, dotykając miękką łapką jej policzka. Pani Timson odpędziła ją niecierpliwie. Bezwiednie poruszając wargami, ponownie odczytała ostatnio przeczytany fragment.

29 lipca, świt

Mój run jest gotowy, szukam teraz tylko rzemyka, na którym zawieszę go na szyi. To potężny, rzadko spotykany berkano, run odrodzenia, rozpoczęcia nowego życia! Dzięki niemu, jeśli tylko zdołam powrócić do Wielkiej Brytanii, szybko stanę się kimś innym. Nie będę wiódł beznadziejnego życia wyśmiewanego naukowca fantasty!

Ziemia drży, a nade mną unoszą się dymy z krateru Hekli. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem niebo. Niemcy krzyczą i miotają się w spiworach.

Jestem wykończony, ale chcę dalej pracować. Teraz teivaz, run wojownika, a po nim raido, run podróży w zaświaty.

Napięcie w tych słowach sprawiło, że serce zaczęło bić jej szybciej. Pośliniła kciuk i szybko przewróciła stronę.

13 grudnia, Londyn

Spotkanie z księciem Walii niestety okazało się bezowocne. Jakiegokolwiek projekty rozbudowy siatki wywiadowczej w Europie Zachodniej wydają się z góry skazane na niepowodzenie. Jak zwykle w podobnych sytuacjach moje apele to głos wołającego na puszczy. Irytuje mnie opieszałość rządu w tych kwestiach. Ci panowie po prostu nie rozumieją...

Pani Timson zamrugała oczami, zaskoczona. Fragment, który miała przed sobą, wyglądał na początek zupełnie nowej kroniki, choć następował bezpośrednio po ostatnim wpisie z Islandii. Nie dość, że został skreślony dobre pół roku później, to nawet charakter pisma wyglądał inaczej. Litery zostały zapisane staranniej, bardziej elegancko.

- Co to ma znaczyć? - zapytała sama siebie, szybko przeglądając kolejne wpisy.

Każdy z nich pojawił się zimą 1937 i bez wyjątku dotyczył kwestii politycznych. Żaden nawet nie wspominał Islandii. Poe niespodziewanie obudził się, miauknął z przestrawieniem i wystrzelił z pokoju.

- Jak się to wszystko zakończyło? - wyszeptała nerwowo, przerzucając

kolejne strony. - Jak?

- Nie dowie się pani tego z dziennika - powiedział ktoś wyraźnie za jej plecami.

Pani Timson poderwała się przerażona, w ostatniej chwili powstrzymując krzyk.

Rozszerzonymi oczami wpatrywała się w kąt pokoju ciemny niczym otchłań nocy, skąd przed chwilą dobiegł głos. Po chwili wydało jej się, że dostrzeża niewyraźny zarys smukłej postaci.

- Kim... Kim jesteś? - wyjąkała, przyciskając dłonie do obfitego biustu.

- Ja... Ja zaraz zawołam pana Bentona!

- Och, tylko nie to! - zachichotał głos. - Zrobię wszystko, tylko niech pani nie woła staruszka kucharza!

- W imię Ojca i Syna! - Pani Timson przeżegnała się drżącymi dłońmi.

- Jesteś szatanem! Precz od mojej duszy!

- Nie jestem szatanem. - Głos spoważniał. - Możliwe, że kiedyś nim byłem. Wszystko jest kwestią interpretacji. Obecnie jednakże zostałem zdegradowany do roli ducha domowego, a do moich obowiązków należy chichotanie po kątach.

- Jak. Jak cię zważ? - Pani Timson próbowała uspokoić oddech.

- Krętaczem. Niegdyś miałem znacznie piękniejsze imię, ale umarło wraz z moimi czasami. Zdaje się, że zaintrygowały panią dzieje naszego wspólnego przyjaciela?

- Tak. Ja.

Ciekawość z wolna brała górę nad strachem. Zapatrzona w ciemny kąt gospodyni nie dostrzegała szronu, który szybko pokrywał okno, ani pary, która wykwitła wokół jej ust.

- Harrington nigdy nie znalazł w sobie odwagi, by opisać koniec wyprawy na Islandię. - Głos się zaśmiał. - Nie dziwię mu się, jest w końcu tylko śmiertelnikiem.

- Dlaczego... Dlaczego porzucił zapis?

- Jako dobra gospodyni zwróciła pani zapewne uwagę na koszmarne sny, które go nawiedzają, nieprawdaż?

- Czy te sny. Czy on przywiózł je stamtąd?

- Tak. - Głos ochłódł. - Gdy zakończył wykuwać run *raido*, z namiotu wyszedł Tritz. Jego krok wciąż był niepewny, a wzrok zmacony od trucizny, ale twarz wykrzywiała wściekłość. W dłoni miał potężny *hagalz*,

run odpowiedzialny za moce natury. „Ty zdrajco! - wykrzyknął - Chcesz zagarnąć wszystkie moce dla siebie?”. Niespodziewanie Tritz cisnął *hagalzem* w Harringtona, a gdy run upadł na ziemię, otworzyła się szczelina. Anglik w ostatniej chwili pochwycił się skały i uchronił przed upadkiem, ale wypuszczony przez niego *teivaz* zniknął w czeluściach. Wtedy Tritz wyciągnął pistolet i strzelił mu prosto w pierś.

- O mój Boże.

- Widziałem to wszystko zwabiony mocą runu *raido*. Po zboczach Hekli spływały już jęzory lawy, w powietrzu wisiały trujące opary. Śmierć Harringtona wydawała się nieunikniona, ale uratowałem go. Niech pani nie pyta jak! - Głos zaśmiał się ponuro. - Tylko dzięki mnie Harrington powrócił do Wielkiej Brytanii, gdzie wykorzystał run *berkano*, by stać się kimś znacznie potężniejszym. Pomogłem mu zresztą uzupełnić wiedzę na temat runów, z wyjątkiem zaginionego dwudziestego piątego, rzecz jasna. Ten run... Lecz co ja pani głowę zawracam. Reszta tej historii już nie jest taka ciekawa, droga pani Timson.

- Postąpił pan bardzo szlachetnie! - Gospodyni przełknęła ślinę. - Czy Harrington podziękował panu za ocalenie?

- Podziękował? - parsknął głos z pogardą. - Nie. Nas łączy coś innego niż przyjaźń, droga pani. Potrzebujemy się.

- A. A czemu mi pan to wszystko mówi? - zapytała gospodyni, a w jej oczach odbił się przestach, gdy nagle dostrzegła szron na szybie. - Może ja nie powinnam.

- Ho, ho, zdecydowanie pani nie powinna. - Głos zaśmiał się. - Chciałem jednak, by poznała pani historię do końca, zanim się pożegnamy.

- Pożegnamy?

Za oknem coś stuknęło.

Wielki czarny kruk podskakiwał na parapecie, próbując odnaleźć szczelinę między wzorami szronu i zajrzeć do pokoju. Instykt poszukiwacza mówił mu, że dzieją się tam ciekawe rzeczy, i nie mógł się doczekać chwili, gdy wpadnie do środka. Moment ten jednak nadchodził

wielkimi krokami. Już widział ciemny kontur półciężarówka zbliżającej się połą drogą wśród białych pól. Ryk motoru przybierał na sile, a zaciemnione reflektory przypomnialy zmrużone oczy atakującego kota. Samochód przyśpieszał coraz bardziej, aż rozpędzony uderzył w żelazną bramę, z łoskotem zrywając oba skrzydła. Ciężarówka przejechała jeszcze kilka metrów i zatrzymała się obok zamrożonej sadzawki.

Jakaś kobieta w rozwianym palcie wybiegła na ganek, krzycząc przeraźliwie, i zaraz zawróciła, gdy szofer, barczysty mężczyzna w czapce dokera, opuścił szybę i wystawił lufę pistoletu maszynowego.

Kruk wrzasnął i wzbił się do lotu, ciężko uderzając skrzydłami. W tej samej chwili lufa pistoletu plunęła ogniem. Seria pocisków kalibru dziewięć milimetrów przeszła wzdłuż portyku, wybijając wielkie dziury w ceglach, betonie, drewnie wrót i plecach wciąż biegnącej kobiety.

- *Vorvarts, Jungs!* - wrzasnął chrapliwym głosem blondyn w czapce i otworzył drzwi, przeładowując pośpiesznie pistolet maszynowy. Z paki ciężarówka zaczęły zeskakiwać ciemne przygarbione postacie.

Długie jęzory płomieni wypelzały z każdego okna The Frythe, zamieniając rezydencję w gigantyczną pochodnię. Ogromny blondyn w czapce dokera patrzył w ogień, oblizując przedłużone, ostre kły.

- *Herr Standartenfuhrer!* - Czyjś chrapliwy głos wyrwał go z zamyślenia. - Nie ma ani śladu Harringtona. Wygląda na to, że nie było go w rezydencji.

- *Scheisse* - warknął *SS-Standartenfuhrer*, taksując swego człowieka wzrokiem. Ten z każdą sekundą stawał się coraz drobniejszy, a jego oczy, jeszcze przed chwilą lśniące purpurą, szybko nabierały ludzkiego blasku.

- *Herr Professor* się wścieknie. Thorkill, jak sytuacja?

Stojący nieopodal wysoki dryblas z MP-28 przewieszonym przez pierś wpatrywał się w ciemność.

- Na razie nie ma ruchu w Welwyn - zameldował. - Drogi puste.

- Munin także niczego nie znalazł - powiedział niski, białowłosy człowieczek z ostrym, niemalże ptasim nosem.

- Chłopaki, nic tu po nas! - zakomenderował głośno blondyn. -

Usmażyliśmy Angolowi budę, a teraz się stąd wynośmy! Jutro o północy mamy rendez-vous z U- Bootem!

Odpowiedział mu chóralny ryk radości, do którego dołączyło krakanie kruka wyjadającego oczy pani Timson. Dwóch najpotężniejszych i wciąż porośniętych futrem żołnierzy trzymało już ciężarówkę za podstawę karoserii i śmiejąc się głośno, ustawiało ją przodem w kierunku wyważonej bramy.

Przeżony Poe miauczał głośno, snując się wśród płomieni.

Powietrze w ciemnym pokoju hotelowym było ciężkie. W świetle lampki nocnej wolno przesuwaly się kłęby dymu z cygara. Trzymający je człowiek nie zmienił pozycji od godziny - nieruchomo siedział w fotelu, zapatrzony w wielkie stronice, poznaczone rzędami drobnych znaków. Jego wargi poruszały się ledwie dostrzegalnie, gdy odczytywał trudniejsze słowa, od czasu do czasu zaszeleściła odwracana strona.

- Dość frapująca lektura, jak się domyślam - odezwał się głos z kąta.

- Mój Boże... - Harrington potrząsnął głową z niedowierzaniem. - To po prostu niewiarygodne. Każdy badacz dałby sobie rękę uciąć za szansę przeczytania tego dzieła. Nie dziwię się, że Tritz zdecydował się na włamanie, by je zdobyć. Śmierć Trávisa i Fulhama nie poszła na marne.

- A spalone The Frythe? - zapytał buńczucznie głos. - A nieszczęsna pani Timson i twój wspaniały dziennik? Ich też nie żałujesz?

- To wojna, Krętaezu. - Harrington zmarszczył brwi. - Wojna, w której wreszcie zacząłem doganiać mego wroga. Ta saga - uderzył lekko palcem w wyschniętą wołową skórę - pokazuje, dokąd mierzy Tritz. Chcesz posłuchać?

- Chcę.

Jam jest Vidar zwany Czarnym Wilkiem, syn Gustava, wnuk GrimbjOrna Obląkanego, skald i wędrowiec, człek słowu Białego Chrystusa postuszny. W siedemdziesiątej wiosnie życia mego wróciłem na Islandię, ojczystą wyspę moją, by w Reykholt, wśród gorących źródeł i łąk ukochanych żywota mego dokonać, a dla potomności spisać to, czego mnie trudy życia nauczyły.

Nie o czynach swoich pisać chcę, gdyż jarłów, konungów a bohaterów to przywilej. Nie dokonałem ci też niczego, czym na starość chełpić bym się mógł. Napisać chcę o tym, com widział. A widziałem Ragnarok, dzień ostatecznej bitwy bogów z olbrzymami.

Byłem jednym z pierwszych mężów na Północy, którzy z własnej woli wiarę w Boga przyjęli. Moi rodacy nie szczędzili mi kpín czy szyderstw, byli też i tacy, co troskali się

O mnie. Strachali się, czy Odyn, zniewagą rozjuszony, nie przebodzie swą włócznie niemądrego skalda. Mijały jednakowoż lata, a zemsty Odyna nie

było. W grodach Nordwegu

1 Danii, a także na rodzinnej mojej Islandii wnet pojawili się nowi, co wiarę w Boga chrześcijan przyjęli. Wkrótce ochrzcili się pierwsi konungowie Północy, a wtedy kpiny i śmiech zamieniły się w nienawiść. Konungowie zaczęli bowiem nawracać poddanych, a wtedy nastąpił Ragnarok.

Jakże to, zapytasz? A gdzie długa, mroźna zima, szalone sztormy i bratobójcze bitwy, które wedle starych legend i przepowiedni miały poprzedzić dzień ostatecznej bitwy? Opanuj swe wzburzenie, albowiem przepowiednie się nie myliły. Straszliwa zima zwiastująca Ragnarok wydarzyła się tego roku, gdy Eryk Biały Jastrząb ogniem i żelazem Nordveg nawracał, a brat przeciwko bratu za broń chwycił. Dziś, u schyłku żywota swego, pewien jestem, że ostatnia bitwa toczyła się tej nocy, kiedy zginął Harald.

- Pozwolisz, że przerwę tutaj. - Harrington wyprostował się, poprawiając okulary. - Przez następnych kilkanaście stron Vidar opisuje swe dzieje jako skald u boku młodego, rzutkiego króla Eryka. Wbrew skromnemu wstępowi dokonał wtedy całkiem sporo. Służył owemu przez jakiś czas wiernie, a potem go zdradził wzburzony jego okrucieństwem i przystąpił do opozycji. Chorągiewka na wietrze, i tyle.

- Nazwałbym go raczej człowiekiem, który robi to, co uzna za słuszne - odpowiedział głos z ciemnego kąta.

- A uwierzysz, że mimo tej swojej żarliwej wiary był berserkiem? Wilkołakiem? - Harrington uśmiechnął się, popijając herbatę. - Przecież likantropia to dar Odyna. Niezły prztyczek dla wzorowego chrześcijanina.

- Odyn naprawdę znał się na żartach. Co dalej?

- Chwilkę. - Harrington ostrożnie przerzucił kilka arkuszy suszonej wołowej skóry. - Tu zaczynają się fragmenty naprawdę ciekawe.

Ragnarok miał położyć kres panowaniu starych bogów. W ostatecznej bitwie na wyspie Oskopnir lec mieli nie tylko wszyscy bogowie, ale także Alfowie, olbrzymi i potwory. Tych zaś, których nie dosięgła broń wroga, pochłonać miał niszczący ogień szalonego olbrzyma Surta pragnącego spalić cały świat. Długo wierzyłem w prawdziwość tej przepowiedni. Od zimy Ragnaroku tym, którzy pozostali wierni starym bogom, w istocie poczęło dziać się gorzej. Ich modły i ofiary przestały odnosić skutek, jakby bogowie nagle odwrócili się od nich, podczas gdy chrześcijanie rośli w siłę. Choć nadal pozostawali w mniejszości, z ich wiarą szły porządek i siła, u ich boku pojawiały się karne hufce, za ich plecami rosły kamienne zamki i chramy. Czczący Thora czy Odyna zgrzytali zębami z wściekłości, lecz zmienić porządku rzeczy już nie potrafili.

Lata jednakowoż mijały, a ja zacząłem inaczej myśleć o bogach i ich ostatniej bitwie. Stare opowieści mówią o bogach jako istotach wielce nam, ludziom śmiertelnym, podobnych. Bogowie przeżywają w nich te same przygody co śmiertelnicy - kochają, nienawidzą, pożądają, zdradzają i oszukują - ale nie znaczy to przecież, że są nam równi! Bogowie są bogami, mają moc, by stwarzać, niszczyć i przekształcać! Długo o tym myślałem, by dopiero dziś, u schyłku swego życia, zadać sobie pytanie - czy bogowie, choć w tylu rzeczach do nas podobni, mogą zginąć w

podobny sposób jak ludzie śmiertelni?

Wierzę w to, że mogli odejść przerażeni majestatem Boga Wszechmogącego. Wierzę w to, że chcieli odejść w godny sposób, jak na władców wikingów przystało - w ostatniej bitwie. Nie wierzę jednak, by po prostu wyzionęli ducha, jak ich śmiertelni podwładni.

Wielbię Boga Wszechmogącego, ale jestem synem Północy. W szumie wiatru wciąż słyszę pokrzykiwania Odyna, a w huku gromów stukot kopyt kozłów Thora. Bogowie są tu nadal, niewidzialni, cisi, ale obecni. Być może kiedyś z bogów staną się bożkami, a z bożków dobrymi duszkami domowymi, ale nie opuszczą nas, ludzi Północy, nigdy. I będą z nami tak długo, póki będziemy pamiętać ich imiona.

Zostawili po sobie wspaniały, magiczny świat.

- Ha, ha, ha! - zachichotał z wesołością niewidzialny głos. - Hej, nalać miodu dzielnemu Vidarowi! Celną wizję miał nasz staruszek! Ha, ha, czyż sam nie stałem się domowym duszkiem?

- Z gatunku tych najpaskudniejszych.

- Poczytam to za komplement. No, już nie przerywam. Co pisze dalej?

- W tym miejscu tekst się urywa. - Harrington prychnął z niezadowoleniem. - Odtąd co stronica brakuje kilku linijek u dołu, skóra najprawdopodobniej rozkruszyła się podczas upadku Gubbinsa z okna ambasady. Chyba straciliśmy kilka ważnych informacji.

- Jak ważnych?

- Trudno powiedzieć... - Harrington się zamyślił. - Ten Vidar to szaleniec. Przez kolejnych kilkanaście stronic opisuje wszystkie sposoby, na jakie bogowie zaznaczali swą obecność w świecie śmiertelników. Z tego fragmentu pochodzi strzęp informacji

O kuźni niejakiego Arnula, od którego to wszystko się zaczęło. Pamiętasz go?

- Tam cię przecież znalazłem.

- Ale to nic, naprawdę nic w porównaniu z resztą. Vidar pisze o ulvhednarach

1 berserkach, u których „dar Odyna płynął we krwi”, o dawnej rasie svartulvar, czarnych wilków poczętych przez Fenrisa, o rosnących tu i ówdzie szczepach Jesionu ✓

Światów Yggdrasilla, a nawet o tym, gdzie najłatwiej spotkać trolla. Wymienia znane mu siedziby karłów oraz przedstawia powody, dla których nie wzięły udziału w Ragnaroku i odcięły się od świata ludzi. Opisuje ziemskie siedziby Alfów oraz losy ludzi, którzy do nich trafili. Skreślił nawet parę słów o krakenach i węzach morskich! Do licha, jeśli by wierzyć jego słowom, bogowie pozostawili po sobie tysiące pamiątek!

- Nie masz powodu, by mu nie wierzyć. - W głosie z ciemnego kąta pokoju pojawiła się nutka ironii.

- To prawda. Z tym, że od śmierci Vidara minęło już prawie tysiąc lat. Większość jego wskazówek zapewne jest bezużyteczna. Hmm, może z wyjątkiem jednej. Chcesz posłuchać? To o twoim wrogu, Baldrze.

- Kocham tę historię.

Baldr, syn Odyna i jego żony Frigg, był pięknym bogiem, świetlistym i radosnym. Kochali go wszyscy, łącznie z olbrzymami i potworami, i nie było na całym świecie istoty na tyle okrutnej, by wyrządzić mu krzywdę. Frigg jednakowoż, bojąc się o swego ukochanego potomka, rzuciła na niego czary, które chroniły go przed bronią wykonaną z wszystkich rzeczy na ziemi.

Słusznie uczyniła, albowiem żył w Asgardzie bóg, który czuł do Baldra szczerą nienawiść starannie skrywaną pod przyjaznym uśmiechem. Był to Loki, przyrodni brat Odyna, bóg ognia, a zarazem mistrz kłamstwa, zdrady i szyderstwa. Zazdrościł on Baldrowi sławy, urody i wdzięku, a w jego czarnym sercu narastała nienawiść. Pewnego dnia przybrał on postać sędziwej staruszki i podszedł do Frigg podczas jednej z uczt. Dobry wybrał sobie moment, gdyż bogowie zajęci byli swą ulubioną zabawą - ciskali w Baldra różnymi pociskami, a odbijały się od niego, nie czyniąc mu żadnej szkody. „Czy twe czary naprawdę chronią Baldra od wszystkich rzeczy na ziemi, matko?”, spytał. „Ależ tak! - powiedziała Frigg. - Pomięłam tylko jemiolę, gdyż nie rośnie ona na ziemi, ale wśród gałęzi drzew”.

I tak oto Loki dowiedział się, jak zgładzić znenawidzonego Baldra. Przetrasnął cały Midgard, przeszedł przez każdy las i wspinał się na wszystkie drzewa, aż wreszcie znalazł gałązkę jemioli na tyle długą i prostą, by wykonać z niej ostrą strzałę. Następnie powrócił do Asgardu.

Podczas kolejnej hucznej uczty, gdy Asowie zabawiali się ciskaniem w Baldra bronią, dojrzał stojącego na uboczu brata Baldra, ślepego H0da, pogrążonego w smutku, gdyż nie mógł wziąć udziału w zabawie. Loki przymilnie zaproponował swą pomoc. Wręczył H0dowi łuk, na cięciwę nałożył strzałę z jemioly, pomógł wycelować i klepnął w bark, by ten zwolnił cięciwę. Strzała trafiła prosto w serce Baldra. Naraz wszyscy ujrzeni, jak bóg osuwa się na polepę, próbując wyrwać pocisk. I tak ten, którego wszyscy kochali, zginął z ręki brata omotanego kłamstwem zdrajcy.

- Zgadza się? - zapytał Harrington, unosząc głowę.

- Mniej więcej - odparł głos.

- Legenda nie kończy się w tym miejscu. Opowiada dalej o pogrzebie Baldra oraz próbie przywrócenia go do świata żywych, którą podjął męzny Hermod, goniec bogów, a kończy się obietnicą powrotu Baldra po Ragnaroku. Jego przeznaczeniem jest bowiem objąć rządy nad światem, gdy starzy bogowie i olbrzymi polegą w ostatniej bitwie. I co dalej pisze nasz Vidar? Posłuchaj:

Przepowiednia ta frapuje wielu mędrców z legendami obeznanymi, a niektórzy z nich sądzą, że zwiastuje ona nadejście Jezusa Chrystusa. Onże, podobnie jak Baldr, nie miał skazy na duszy, a wszyscy go kochali. Ja sam przez długie lata również tak uważałem, aż wydarzyło się coś, co zmieniło mój punkt widzenia. Dziś mam już pewność, że Baldr to nie Jezus.

Moja przygoda rozpoczęła się, gdy w Finnmarku na północy Nordvegru natknąłem się na przedziwne pieśni o tajemniczym jesionie, szczepie Yggdrasillu, w którym objawia się świetlistość ostatniego z bogów. Miejsca tego, zwanego Bezimienną Doliną, strzeże szczep jego wiernych wojów - Ukryty Lud - który nie dopuści tam nikogo, kto by miał zło w sercu. Tylko Ukryty Lud zna drogę do Bezimiennej Doliny i długie tygodnie można błądzić, szukając tego świętego miejsca. Zdarza się jednakże, że Baldr wskaże właściwy kierunek temu, czyje serce jest czyste i pełne dobroci. Tak i ja tam trafiłem, a kiedy klęknąłem przed starym jesionem, od razu wiedziałem, że skrył się w nim Baldr, znużony i zniechęcony. Powróciwszy po Ragnaroku do Asgardu, zastał jedynie puste ruiny. Odwiedziwszy krainę ludzi, znalazł jedynie obojętność. Nikt go nie czcił, a mało kto

pamiętał. Postanowił wtedy Baldr...

- I w tym miejscu tekst się urywa. Dół strony rozsypał się podczas upadku Gubbinsa.

- Baldr... - powiedział powoli głos z ciemnego kąta. - Nie wierzę...

- Dobry Boże - westchnął Harrington. - Czyżby to tego właśnie szukał Tritz? Miejsca, gdzie pulsuje reszta mocy martwego boga? Jeśli Tritz wie więcej... Jeśli zna drogę do tego miejsca...

- Zdobędzie niewyobrażalną moc - zakończył głos, w którym zadrżała odwieczna nienawiść.

Harrington pokiwał głową, ostrożnie zamykając sage i zamyślając się. Wsunął dłoń

do kieszeni marynarki i wydobył kilka runów.

- Tak na marginesie, skoro już o wielkich mocach mowa, Krętaczu - powiedział. - Przyznam się do jednego rozczarowania. Spodziewałem się tu dowiedzieć czegokolwiek o zaginionym dwudziestym piątym runie. Runie Odyna.

- Runie Odyna - syknął głos z nienawiścią. - Jedyńm, którego tajemnicy nie zdradził mój wyrodny braciszek.

- Cóż, musimy zatem radzić sobie przy pomocy tego, co mamy. - Harrington uśmiechnął się, wybierając właściwy run.

- To *thurisaz*, run boskiej mocy - zauważył głos.

- Otóż to. Jutro z rana z pewnością wezwie mnie admirał Torrence i wpyta o prawdziwość noty dyplomatycznej, którą z pewnością przedstawili już Duńczycy. Scotland Yard i MI-5 zaś będą chcieli wiedzieć wszystko o The Frythe. Muszę wydać im się wiarygodny! - Zaśmiał się krótko. - A potem... Potem znów poruszę „Schweibe”. Pierwsza bitwa wojny runów nie została rozstrzygnięta. Pora na drugą!

Część trzecia

I hear the roar of a
big machine Two
worlds, and in
between Love lost,
fire at will Dum-
dum bullets and
shoot to kill,
I hear dive bombers

Sisters of Mercy

and empire down,
Empire down!

Prolog III

Księżyc w pełni na nowo wychylił się zza chmur, zalewając Bezimienną Dolinę dobrotliwym blaskiem. Wiatr poruszał konarami ogromnego starego jesionu, a te kołysały się niczym ramiona wzburzonego ojca, który chce objąć swą córkę.

Wśród jego korzeni w istocie klęczała dziewczyna, opierając policzek o zmarzniętą, oszroniałą korę. Po drugim osuwały się ciężkie łyzy lśniące srebrem księżyca.

- A zatem nadszedł koniec, Królu Gór... - wyszeptła, unosząc załzawioną twarz ku masywnym gałęziom nad głową.

Prastary jesion milczał i Kriss opuściła głowę. Wizje, które zsyłał jej Król, zawsze się

sprawdzały, tak też było i tym razem. Świt przyniósł przerażające wieści o eskadrach szarych okrętów, które bezkarnie wpływały do fiordów, o zwartych oddziałach zajmujących miasta i mordujących tych, którzy ośmielali się walczyć. Kriss szlochała nad ich nieszczęściem, lecz jej rozpacz podsycalo ciemne przerażenie. Przed jej oczami wciąż stawały twarze trzech mężów, których Król Gór obawiał się najbardziej.

Jego przesłanie stawało się coraz wyraźniejsze: „W duszy pierwszego z nich nie masz zła, choć jest on usynowiony przez śmierć. W sercu drugiego znajdziesz bezkresną zazdrość i nienawiść. W myślach trzeciego mieszka chciwość i to on jest Czarnym Złem. Oni przyniosą nam kres”.

Ale jak mogła tego dokonać w pojedynkę? Jak mogła uratować Króla przed zakusami owej straszliwej trójki? Ukryty Lud tracił swą moc - jego członkowie wyrzekli się dziedzictwa lub przeszli na stronę zła - a garstka jej wiernych przyjaciół już dawno rozpierzchnęła się po świecie. Gdzież oni teraz byli? Jakże miała walczyć bez ich wsparcia?

„Zawsze jednak mogę spróbować”, westchnęła, spoglądając ku księżycowi.

- Mogę spróbować! - powtórzyła głośniej.

Jesion szumiał nad jej głową, napelniając jej serce nową wiarą.

Tej samej nocy, lecz dalej na południu, niebo było czarne jak śmierć. Gęsta ulewa, która rozpoczęła się tuż po zapadnięciu zmroku, wydawała się wciąż przybierać na sile. ✓

Światło częściowo zamalowanych reflektorów mercedesa z trudem przebijało się przez ścianę deszczu, a wycieraczki ledwie odgarniały rześiste strugi. Kierowca, młody esesman z wylupiastymi, rybimi oczami, prowadził coraz wolniej.

- Zaraz będziemy w zamku Wewelsburg, *Henr Oberst* - rzucił przez ramię, nie odrywając wzroku od niknącej w ciemnościach drogi.

Nie usłyszał odpowiedzi, a zresztą nie spodziewał się jej. Starczyło raz spojrzeć na pochmurne oblicze pasażera, pułkownika Rolfa Kriemana, by wiedzieć, że jego myśli były równie ciemne jak samo niebo.

Pułkownik spojrzał przelotnie na kierowcę, po czym powrócił do kontemplacji zamazanego krajobrazu za oknem. Był mężczyzną w sile wieku, o włosach lekko przyprószonej siwizną i szerokich ramionach. Głowę trzymał prosto, z podbródkiem dumnie wysuniętym do przodu, a cała jego postawa znamionowała nieugiętość. Wydawać by się mogło, że ten człowiek nie śmieje się nigdy i zawsze utrzymuje surowy, lekko wzgardliwy wyraz na twarzy, czy to podczas spotkania z najbliższymi, szampańskiej zabawy, czy nawały ognia przeciwnika.

Tylko lewa dłoń w czarnej rękawiczce, co rusz zaciskająca się w pięść, wskazywała na gwałtowne emocje. W prawej dopalał się papieros.

Mercedes zatrzymał się przed szlabanem strażniczym, młody esesman uchylił okna i z wprawą zrugał wartownika w budce. Ten, powiewając połami przemoczonego płaszcza, czym prędzej skoczył, by uchylić szlaban.

- Tępak - mruknął esesman, dodając gazu.

Pułkownik skierował wzrok bladoniebieskich, lekko przymrużonych oczu na plecy kierowcy i już chciał coś powiedzieć, ale pokręcił głową, uchylił okno i wyrzucił papierosa. Koła mercedesa przez chwilę buksowały w błocie, nim ciężki samochód ruszył naprzód. Deszcz po chwili zelżał, a wtedy oczom kierowcy i pasażera ukazało się wzgórze, a na nim ciemniejszy od samej nocy kontur zamczyska. Dopiero po przebyciu kolejnych kilkuset metrów pułkownik dostrzegł dwie opasłe, kryte stożkowatymi dachami wieżyce, między którymi znajdowała się potężna brama, a ponad nią połyskiwały zza zasłony deszczu drobne światełka.

Podjeżdżali do bram zamku Wewelsburg, stolicy i głównej kwatery SS.

Z prawej wieżycy niespodziewanie wystrzelił snop światła reflektora, który przebił deszcz i węszył przez chwilę wzdłuż drogi dojazdowej, by zatrzymać się na jadącej limuzynie. Wnętrze samochodu zalało jaskrawe światło i pułkownik przymknął oczy.

Jak przez sen słyszał krótką klótnię przy bramie, po czym samochód wolno ruszył naprzód. Łoskot kropel o dach ucichł, gdy wjechali w tunel bramy. Po chwili mercedes znalazł się na wielkim, trójkątnym dziedzińcu zamku oświetlonym przytłumionymi żółtymi lampami na kamiennych ścianach. Pułkownik dostrzegł kilka innych limuzyn, parę motocykli z przyczepkami i dwa, może trzy transportery opancerzone, lecz ani śladu człowieka. Gdyby nie światła w oknach, twierdzę można by wziąć za wymarłą.

Mercedes zatrzymał się przed reprezentacyjnymi kamiennymi schodami i młody esesman wyłączył silnik.

- Jesteśmy na miejscu, *Herr Oberst* - oznajmił, odwracając się ze skrzygnięciem skórzanej tapicerki.

Oczy Kriemana zwężyły się niebezpiecznie. Esesman oblizał wargi i skinał nerwowo głową.

- Tak, oczywiście. Już służę.

Wyskoczył z samochodu i przebiegł na drugą stronę, by otworzyć drzwi od strony pułkownika. Te kilka sekund starczyło, by przemókł całkowicie. Na twarzy wysiadającego pasażera nadal nie było znać żadnych emocji, zupełnie jakby nie dostrzegał rześzystych strug deszczu. Wyprostowany ruszył w kierunku schodów i stojących u ich szczytu wartowników w ociekających wodą płaszczach. Na widok Kriemana wyrzucili ramiona w faszystowskim pozdrowieniu, a pułkownik odpowiedział im niedbałym salutem żołnierskim.

- Witamy w zamku Wewelsburg! - Powitał go w progu wysoki mężczyzna w mundurze SS o rzadkich, zaczesanych do tyłu włosach. - Jestem Manfred von Knobelsdorff, komendant zamku. Miał pan przyjemną podróż, pułkowniku?

- Nie.

Krieman zrzucił mokry płaszcz i podał go zaskoczonemu komendantowi. Wyprostował się, przyglądził włosy i starannie nałożył *Bergmutze*, charakterystyczną czapkę strzelców górskich ze złotymi

guzikami. Miał na sobie oficerski mundur polowy - szare spodnie i szarozieloną kurtkę, z ciemniejszym, zapinanym wysoko pod szyją kołnierzem. Na karmazynowych epoletach połyskiwały insygnia pułkownika, a z lewej strony czapki widniała oznaka przedstawiająca szarotkę alpejską.

- Herr von Knobelsdorff, czas na prawienie banałów przyjdzie po wojnie. - Krieman rozejrzał się wokół, a przez jego twarz przemknęło coś na kształt niezadowolenia. - Czy wie pan, po co mnie tu wezwano?

- Tak, pułkowniku. - Komendant również lekko się skrzywił. - Spotkał pana nie lada zaszczyt. Proszę za mną.

Manfred von Knobelsdorff rzucił mokry płaszcz adiutantowi i skreślił korytarzem w prawo, w stronę południowej wieży, jak się Krieman domyślał. Pułkownik nieśpiesznie ruszył w ślad za nim, uważnie przyglądając się mijanym pomieszczeniom. W komnatach Wewelsburga panował lekki półmrok, tu i ówdzie rozprasany przez pulsujące na żółto lampy. Z portretów na ścianach spoglądały ku niemu blade twarze niemieckich cesarzy i mistrzów krzyżackich. W ciemnościach połyskiwały fragmenty pysznych zbroi na stojakach lub ostrza skrzyżowanych mieczy i toporów. Nad każdym z szerokich, dębowych drzwi do komnat odczytywał starannie rzeźbioną nazwę apartamentu - Fryderyk Barbarossa, Otton I, Winrich von Kniprode. Mijający ich ludzie, esesmani, oficerowie Wehrmachtu i cywile w garniturach co do jednego pozdrawiali ich z powagą.

Twarcz Kriemana ani przez chwilę nie zdradziła zaskoczenia, dopiero w chwili, gdy weszli do przestronnej, oświetlonej pochodniami sali, pozwolił sobie na lekki, drwiący uśmieszek. W środku komnaty dostrzegł bowiem okrągły stół z białego kamienia otoczony wieńcem dwunastu krzeseł. Na oparciu każdego znajdował się rząd runicznych liter.

- Tędy, pułkowniku - powiedział oschłym tonem Manfred von Knobelsdorff, wskazując masywne, dębowe drzwi do apartamentu.

Widniała na nich inskrypcja „Henryk I”. Komendant ujął ciężką klamkę, chcąc wejść pierwszy i zaanonsować gościa, lecz pułkownik nieoczekiwanie odsunął go na bok, pchnął drzwi i wszedł do środka.

- *Guten Abend* - powiedział, salutując po żołniersku.

Dwóch stojących przy oknie ludzi przerwało prowadzoną przyciszonymi głosami rozmowę i odwróciło się w jego kierunku. Pierwszy z nich był

cywilem, wysokim dżentelmenem w białej koszuli i kamizeli. Jego pobrużdżona, szczupła twarz była starannie ogolona, a oczy kryły się za okularami połówkami. Lekko zmarszczone brwi oraz przymrużone powieki zdradzały człowieka cynicznego i niebezpiecznego.

Natomiast drugi z mężczyzn...

Nie spotkał go nigdy wcześniej, lecz jego twarz doskonale znał z kronik filmowych i zdjęć w gazetach. Był to wysoki brunet o hardej twarzy, z obwisłymi nieco policzkami i wąsikiem nad mocno zaciśniętymi ustami. Zmrużone oczy patrzące zza okrągłych okularów ziały chłodem. Nosił czarną kurtkę mundurową, zza której wyglądał kołnierz brunatnej koszuli z krawatem. Na ramieniu miał czerwoną opaskę ze swastyką.

- Och, już pan dotarł! - powiedział *Reichsführer* Heinrich Himmler. - Profesorze, oto

pułkownik Rolf Krieman, dowódca 138. pułku 3. dywizji *Gebirgsjäger*. Pułkownik, przedstawiam panu wybitnego naukowca i rzecznika słusznej sprawy, profesora Ahnenerbe Michaela Tritza.

Na twarzy Kriemana nadal nie drgnął żaden mięsień, gdy ścisnął prawicę profesora. Jedynie kilkakrotne przełknięcie śliny wskazywało na z trudem opanowane zaskoczenie.

- Wybacz pan, pułkowniku, że oderwałem pana od pilnych zajęć - rzekł Himmler jowialnie i wskazał mu fotel. - Papierosa?

- Dziękuję, nie palę - powiedział Krieman, siadając i zakładając nogę na nogę. - Przyznam, że zaproszenie do Wewelsburga było dla mnie zaskoczeniem. Nigdy nie miałem związku z SS, nie należę nawet do NSDAP, tak więc.

- Nikt nie jest doskonały, pułkowniku. - Himmler uśmiechnął się. - Na szczęście jest pan karnym oficerem o nieposzlakowanej reputacji, a to rekompensuje pański brak duchowego zaangażowania. Jakie wrażenia wywarł na panu Wewelsburg?

- Można by rzec, że czas zatrzymał się tu w miejscu - powiedział Krieman, patrząc na zalane deszczem okno.

Z sąsiedniej wieży znów strzelił snop światła szperacza, zapewne do zamku podjeżdżał kolejny samochód.

- Otóż to. Taki był też nasz zamiar: mojego, drogiego Manfreda oraz *Herr Williguta*, szefa *Rasse - und Siedlungskauptamt*. Chcieliśmy pokazać, jaka potęga tkwi we wspaniałej przeszłości naszego narodu.

- To doprawdy chwalebne, *Herr Reicksfuhrer* - przerwał mu niespodziewanie Krieman. - Ja jednakże zwykłem skupiać się na terażniejszości. Raporty w radiu i prasie odnośnie do naszych postępów w inwazji na Norwęgę są doprawdy entuzjastyczne, lecz ja pozwoliłbym sobie na pewną wstrzemięźliwość. Opanowaliśmy główne miasta, a większość armii norweskiej jest w rozsypce, ale w niektórych miejscach nasz sukces jest nadal zagrożony. Myślę tu o Narwiku: jeden niepełny pułk strzelców generała Dietla, który go opanował, zostanie po prostu zmieciony, gdy *Tommys* zdecydują się na atak! Zadaniem mojego pułku jest przyjąć Dietlowi z odsieczą, i to jak najszybciej. Z całym szacunkiem, lecz powinienem być teraz w Szczecinie i kierować załadunkiem sprzętu 138. pułku, a nie.

- Ma pan do mnie pretensje? - parsknął wściekle Himmler.

- Proszę o wybaczenie, *Herr Reicksfuhrer*, lecz moje oddziały. - zająknął się niespodziewanie Krieman, uświadamiając sobie, że najprawdopodobniej jest pierwszym człowiekiem w całej Rzeszy, który przerwał w pół zdania Himmlerowi.

- Strzelcy górscy to zdecydowanie najbardziej rozgadana, rozśpiewana i beztroska banda w całym Wehrmachcie - wtrącił się do rozmowy profesor Tritz. - Nie dziwię się naszemu drogiemu pułkownikowi, iż śpieszno mu zakończyć załadunek pułku. Proszę wybaczyć, ale to ja poprosiłem *Herr Reicksfuhrera*, by pana tu ściągnął.

- Pan?

- Tak, pułkowniku. Zważywszy na pańską nienaganną przeszłość, wzorową służbę oraz liczne przymioty ducha - podjął Himmler - poszedłem za radą drogiego profesora i postanowiłem przydzielić panu specjalną misję. Wykona pan pewne dodatkowe zadanie w ramach desantu w Narwiku. Zadanie dla Rzeszy.

- Jestem żołnierzem i wypełnię każdy rozkaz, jaki przyjdzie z Oberkommando der Wehrmacht.

- To wspaniale, pułkowniku. - Himmler zmrużył oczy. - Zapewne tym chętniej wypełni pan zadanie dla SS. Nie słyszałem jeszcze o dowódcy z Wehrmachtu, który by odrzucił taki zaszczyt. Proszę za mną.

Reicksfuhrer SS starannie nałożył czapkę garnizonową i wyszedł z pokoju. Profesor Tritz ruszył w ślad za nim, z kurtuazją kłaniając się i wskazując pułkownikowi drogę.

Gdy cała trójka znalazła się na korytarzu, z półmroku natychmiast wyłoniła się eskorta - kilku milczących esesmanów z pistoletami maszynowymi na parcianych pasach. Dwóch szło przodem, otwierając przed nimi coraz to nowe drzwi i zapalając światła, a trzech innych zamykało pochód. Każdy mijany człowiek natychmiast wypręzał się na baczność i wyrzucał dłoń w faszystowskim pozdrowieniu. Prowadziła ich cisza przerywana jedynie stukotem oficerskich butów i szczękiem otwieranych zamków.

Twarz Kriemana nadal nie zdradzała żadnych emocji, a jedyne bystry obserwator zauważyłby mocno zaciśnięte pięści w ciemnych rękawiczkach. Profesor Tritz z pewnością był takim człowiekiem, gdyż po chwili chrząknął i odezwał się półgłosem:

- Proszę wybaczyć te wszystkie tajemnice. Widzę, że niepokoi się pan...

Pięści Kriemana natychmiast się rozwarły.

- Bynajmniej, profesorze - odezwał się swym naturalnym, wypranym z emocji głosem. - Nie niepokoję się. Przyznam jednak, że czułbym się lepiej, gdybyście, panowie, powiadomili mnie o nowym zadaniu drogą służbową. Wizyta w Wewelsburgu, jakkolwiek.

- To niecodzienne zadanie - przerwał mu Tritz. - Bardzo niecodzienne. W innych okolicznościach skorzystalibyśmy z drogi służbowej, by nie zabierać panu cennego czasu, ale w tej sytuacji zdecydowaliśmy się zaprosić pana osobiście. Żywimy do pana mnóstwo szacunku jako do żołnierza, niemniej. Niemniej jednak chcemy, by był pan gotowy na pewne rzeczy.

- Czy może pan przestać mówić zagadkami?

- Proszę bardzo, Tritz - odezwał się idący przodem Himmler.

- Do pańskiego pułku dołączy niewielki pododdział SS - wyjaśnił profesor. - Doprawdy niewielki, pułkowniku, nie obciąży to istotnie pańskiej służby kwatermistrzowskiej. Jego misją będzie przeprowadzenie pewnych badań na terenie Norwegii, w czym będzie pan zobowiązany do udzielenia wszelkiej pomocy. O ile nie będzie to kolidowało z działaniami wojennymi, rzecz jasna.

- Kto będzie dowódcą tego oddziału?

- Ja - powiedział Tritz, patrząc bacznie na Kriemana.

Pułkownik obrzucił profesora uważnym spojrzeniem, lecz znów ani

jeden miesiąc nie drgnął na jego twarzy. Był całkiem obojętny, zupełnie jakby ktoś zakomunikował mu, że za tydzień spadną przelotne deszcze.

- Rozumiem zatem, że chodzi o jakieś badania archeologiczne? - spytał.

- W pewnym sensie. - Tritz uśmiechnął się.

- Dalej nie tłumaczy to jednak konieczności wzywania mnie tutaj.

- Krieman, niechże już pan skończy skamleć - powiedział nagle Himmler. - Jesteśmy już na miejscu. Zaraz się pan pułkownik wszystkiego dowie.

Zatrzymali się przed ciężkimi drzwiami, na których wyryto kulę ziemską z oplatającym ją monstrualnym węzem, który trzymał w paszczy swój ogon. Prowadzący esesman pchnął klamkę, a Tritz i Krieman weszli do środka.

We wnętrzu sali panował półmrok rozpraszany jedynie przez parę nagich żarówek. Ich blask pozwalał ujrzeć żelazne ramy piętrowych łóżek i stół, zza którego, z szuraniem krzeseł, wstawało teraz kilka postaci. Inne zwlekały się wolno z łóżek. Ktoś coś mruknął, ktoś zakaszłał, upadł potrącony kubek. W końcu zapadła cisza.

- Dajcie tu więcej światła, Mattias - powiedział Himmler.

Jeden z esesmanów wybiegł na korytarz, otworzył stalowe drzwi skrzyni generatora i naraz żarówki rozjarzyły się mocniej. Zdumienie Kriemana pogłębiło się. Rzekomi esesmani byli najdziwniejszą zbieraniną ludzi, jaką kiedykolwiek widział na oczy. Dostrzegł wśród nich kilku doskonale zbudowanych siłaczy, w tym jednego mierzącego prawie dwa metry, ale widział też ociężałego grubasa w przepoconym podkoszulku, mikrusa o długich ramionach i łysej głowie i starszego, strasznie wychudzonego mężczyznę o zakrzywionym, ptasim nosie. Wszyscy wyglądali bardziej niechlujnie od załogi U-Boota po dwumiesięcznym rejsie - stali w niedbałych pozach, zarośnięci i ze zmierzwionymi włosami, podciągając poplamione spodnie czy wycierając dłonie w podniszczone koszule. W powietrzu unosił się kwaśny zapach potu, najwidoczniej rząd okienek pod sufitem nie nadażał z dostarczaniem świeżego powietrza.

Nozdrza pułkownika drgnęły. W zapachu sali wykrył coś jeszcze, coś, co zupełnie do niego nie pasowało. Zapach sierści?

- Może nie prezentują się najlepiej - Tritz wyszedł przed Kriemana i Himmlera - ale niech mi pan wierzy, pułkowniku, ci ludzie mają wiele

zalet. Zresztą pozwoliłem im na odrobinę rozluźnienia, gdyż kilka tygodni temu wykonali arcyniebezpieczną misję w Wielkiej Brytanii.

- Misję w jakim charakterze? - spytał Krieman po chwili milczenia.

- Zniszczyli ośrodek szkolenia grup dywersanckich brytyjskiego wywiadu.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumie pan - stwierdził Tritz. - Ukrywa pan niewiarę pod maską obojętności. Proszę spojrzeć na ramę tego łóżka. To solidna, niemiecka rama z żelaza. - Rozległ się metaliczny odgłos, gdy Tritz postukał w nią kciukiem. - Uve, czy byłbyś tak uprzejmy i ją rozerwał?

Spocony grubas uśmiechnął się szeroko, podszedł do łóżka i od niechecenia rozerwał rurę, zupełnie jakby była zrobiona z papieru..

- To dla drogiego Uve naprawdę drobiazg, pułkowniku - ciągnął Tritz. - Kiedyś na moich oczach cisnął półciężarówką. Na jakieś piętnaście metrów. Thorkill, twoja kolej. Co powiesz o drodze naszego gościa, pana pułkownika Kriemana? Czy zrobił coś szczególnego jako pasażer mercedesa?

- Nadjechał pan od południa, pułkowniku - odpowiedział młody człowiek w swetrze. Jego oczy dziwnie lśniły jak pod wpływem alkoholu czy narkotyków. - Wyrzucił pan papierosa tuż po uniesieniu szlabanu.

- Thorkill ma naprawdę doskonały wzrok. - Profesor Tritz uśmiechnął się. - Widzi na około trzydzieści, czterdzieści mil, chyba że pada deszcz. Wtedy jego zasięg ogranicza się do nędznych parunastu. Sigvaldi, czy mógłbyś przywitać się z naszym gościem?

W najciemniejszym kącie naraz błysnęła para żółtych oczu i pułkownik ujrzał olbrzymiego szarego wilka, który leniwie unosi łeb i przeciąga się. W szerokim ziewnięciu zwierzę odsłoniło garnitur ostrych, pożółkłych kłów.

- Sigvaldi doskonale się czuje w swej zwierzęcej postaci. - Tritz pokiwał z zadumą głową. - W przeciwieństwie do większości wilkołaków może przybierać zwierzęcą postać, kiedy tylko zapragnie. Olav, Bjarni i Niste, których pan tu widzi, przeistaczają się dopiero pod wpływem emocji.

Dłoń profesora wskazała trójkę najpotężniejszych mężczyzn w sali, ponurych mężów o pobrużdżonych, pobliznionych twarzach, po czym nakierowała się na wychudłego człowieka o charakterystycznym nosie.

- To zaś Ragnar, człowiek, który umie rozmawiać z krukami.

Doprawdy pożyteczna umiejętność, zważywszy na to, że kruki to sprytne ptaki i są doskonałymi szpiegami. Ten zaś niewielki człowiek ma na imię Valgar. - Wskazał stojącego obok mikrusa o szerokich ramionach. - On posiadał władzę nad żywiołem ziemi, która pozwala mu choćby na topienie metalu wzrokiem. To może tyle tytułem wstępu. Czy ma pan jakieś pytania?

- A pan? - wychrypiał Krieman. Jedyne przyśpieszone mruganie powiek świadczyło o ogromnym wprost oszołomieniu. - Co pan potrafi?

- Ja? - Profesor Tritz uśmiechnął się chytrze. - Mnie starczy, jak w tym starym kawale, że oni wszyscy tutaj mówią do mnie „szefie”. Panie pułkowniku, oto SS „Ulvhednar”, oddział, z którym będzie pan współpracował w rejonie Narwiku. Chyba już teraz rozumie pan, dlaczego nalegaliśmy, by się pan osobiście zapoznał z jego składem?

Major Sverre Spjeldn^s patrzył z niedowierzaniem na bladą twarz żołnierza.

- Na pewno niczego nie pokręciłeś? - spytał.

- Jak Boga kocham, majorze! - wykrzyknął z zapalem chłopak, przyciskając do piersi karabin. - Niemcy otoczyli kwaterę pułkownika Sundli, ale nie strzelali! Pułkownik zaś wyszedł z tym ich dowódcą i o czymś rozprawiali. Jakby się dobrze znali, a nie...

- Dobrze. - Pokiwał głową oficer. - Dołącz do reszty.

Gdy młodzieniec zmieszał się już z grupą niespokojnych, rozmawiających przyciszonymi szeptami kolegów z kompanii, major wreszcie pozwolił sobie na okazanie targających nim wątpliwości. Westchnął ciężko, ściągnął wełnianą czapkę i przetarł spocone czoło. Choć nad Narwikiem i nad wodami fiordu wciąż szalała burza śnieżna, jemu było gorąco.

„A więc to już - powtarzał sobie w myślach. - Wizje Króla Gór spełniły się... Przybyli ci, których misją było zabijanie. Przybył wróg”.

Podurwał swój oddział tuż po północy, gdy z kwatery głównej na Lofotach odebrano sygnał o możliwości rychłej inwazji. Jego ludzie, choć zaspani i wystraszeni, posłusznie wypełniali wszelkie rozkazy. Szybko zebrali broń i potrzebny ekwipunek, po czym opuścili bezpieczne koszary w obozie wojskowym Elvegaardsmoen, by wzmocnić obronę Narwiku. Pomimo szalejącej śnieżycy i potwornego zimna maszerowali całą noc, aż dotarli do Oijord, gdzie zaokrętowali się na prom.

Gdy płynęli przez wzburzone wody fiordu, bezskutecznie próbując zaznać choć trochę odpoczynku, usłyszeli stłumiony huk salw armatnich. Nie wiedzieli jeszcze, że to „Norge”, stary jak świat norweski pancernik obrony wybrzeża ostrzeliwuje niemieckie niszczyciele wysadzające desant przy kei Narwiku. Salwy nagle zagłuszył łoskot stokroć głośniejszy, po czym odgłosy walki ucichły. Z chwilą wylądowania na brzegu dowiedzieli się, że niemieckie torpedy zakończyły żywot starego okrętu. Każdy patrzył wtedy na niego, na majora Sverre'a Spjeldn^sa, oczekując słów otuchy. A on zagryzał tylko wargi i popędzał ich gwałtownymi rozkazami.

Znów uniósł wzrok, jakby wciąż nie dowierzał swym oczom. Wiatr na moment zelżał i przez rzadniejącą śnieżycę major dostrzegł maszty i

16.

anten niemieckiego niszczyciela cumującego przy nadbrzeżu. Kolejne ciemne kształty majaczyły dalej, na wodach fiordu. Gdzieś wśród ulic miasta poniosło się wołanie, przerwane serią z karabinu maszynowego. Niemcy naprawdę tu byli.

- Cholera jasna! - zaklął cicho, z rozpaczą.

Dowództwo naczelne norweskiej armii od dawna wiedziało, że niewielkie portowe miasteczko Narwik wciśnięte między góry i wody fiordu Ofot miało wielkie znaczenie strategiczne. Za leżącą niespełna osiem kilometrów stąd granicą szwedzką leżały kopalnie w Kiruna i Galivare, z których pochodziła doskonała ruda żelaza. Surowiec transportowano koleją do wygodnego, nigdy niezamarzającego portu w Narwiku, skąd dalej płynął do Europy.

Nie było łatwiejszego sposobu na zatrzymanie wojennego pochodu Niemców niż

zabranie im rudy. Wiedzieli o tym Brytyjczycy, którzy od dawna oskarżali Norwegów

O bierność, a nawet wysyłali swe okręty wojenne na ich wody terytorialne, o czym głośno było w radiu i prasie. Wiedzieli o tym Niemcy, zbiegający właśnie z pokładów swych okrętów na keje portowe. Z pewnością wiedzieli o tym również dowódcy armii norweskiej, ci jednak nie zrobili nic, by wzmocnić ochronę miasta.

Narwik broniony był zaledwie przez dwa archaiczne pancerniki obrony wybrzeża

1 garść starych patrolowców z symbolicznym uzbrojeniem. Port nie miał ciężkiej artylerii nadbrzeżnej, a powietrza nad nim broniło zaledwie kilka dział przeciwlotniczych. Miejscowy garnizon był nieliczny i zdemoralizowany, a na domiar wszystkiego pułkownik Sundlo, dowódca obrony miasta, właśnie okazał się zdrajcą.

- Majorze? - Głos za plecami wyrwał go z zamyślenia.

Odwrócił się i ujrzał niskiego barczystego człowieka w wojskowym płaszczu. Miał wąską, ponurą twarz o bardzo ostro zarysowanych kościach policzkowych oraz żółte oczy, które wydawały się z niechęcią patrzeć na świat.

- Majorze, ludzie tracą ducha - mówił krótkimi, urywanymi zbitkami wyrazów, które przypominały wręcz warknięcia.

- Posłuchaj, Skygge - powiedział cicho major. - Słyszysz?

- Nie. Cisza.

Z oddali napłynęły odległe pokrzykiwania, rozkazy, nawet szczęk broni. Żadnych krzyków ani wystrzałów.

- Właśnie - westchnął Spjeldn[^]s. - Cisza. Nikt się nie broni, nikt nie strzela. Miasto padło. Nic tu po nas. Kapitanie - powiedział głośniejszym głosem. - Proszę zebrać ludzi do wymarszu.

Wyrzucone półgłosem rozkazy poderwały cały oddział. Ludzie w milczeniu sprawnie formowali czwórki, poprawiali ekwipunek i ujmowali mocniej broń. W jednej sekundzie umilkły wszelkie rozmowy i szepty, wszyscy patrzyli teraz ku dowódcy.

- Miasto stracone - powiedział dobitnie Spjeldn[^]s. - Zajmiemy pozycję wyżej w górach, na linii kolejowej. Nie pozwolimy, by te sukinsyny panoszyły się tu bezkarnie!

W oczach żołnierzy wreszcie pojawił się blask ożywienia. Któryś się

uśmiechnął, ktoś trącił łokciem kolegę w szeregu.

- Gotujcie się na walkę, jeśli będzie to konieczne! - Spjeldn[^]s odwrócił się. - *Framover!*

- *Framover, marsj!*¹³ - huknął Skygge i cała kompania, stu osiemdziesięciu żołnierzy, ruszyła naprzód niczym na defiladzie.

Żołnierze ściskali karabiny Krag-JOrgensen i rozglądali się uważnie. Odprowadziło ich echo zwartego kroku, toczące się po wymarłych, zaśnieżonych uliczkach miasta, oraz wystraszone spojrzenia zza firan w ciemnych oknach.

Na wroga natknęli się na przedmieściach. W rzadniejącym śniegu dojrzeliby najpierw ciemne, przemykające wzdłuż drogi sylwetki, które po kilkunastu krokach zmieniły się w gotowych do otwarcia ognia żołnierzy w białych pelerynach. Maszerujący na czele kompanii Spjeldn[^]s widział już uniesione do strzału pistolety automatyczne oraz zaimprovizowane stanowisko erkaemu za kilkoma beczkami. Drugi ustawiano właśnie na dachu sklepu mięsnego, a za plecami żołnierzy rozkładano moździerz. Niemcy czekali, zwarci i ponurzy. Norweski oddział maszerował zaś, ani razu nie myląc kroku.

- *Framover!* - wołał Skygge.

Coraz bliżej. Niemcy unosili broń. Na dach dotarły już skrzynki z amunicją, a obok moździerza ktoś głośno rozmawiał przez telefon polowy.

Coraz bliżej.

- Żołnierze norwescy! - zawołał w kiepskim norweskim oficer strzelców, wychodząc przed swoich ludzi.. - Przybywamy jako sojusznicy i przyjaciele, by bronić was przed agresją Francji i Wielkiej Brytanii...

Nadal niezmacony krok. Sverre widział już zdziwione, niepewne twarze niemieckich żołnierzy.

- ...złóżcie zatem broń jak wasi towarzysze w porcie i razem przygotujmy się do...

Wciąż równy marsz i skrzące się oczy, tylko serca były coraz szybciej.

- W przeciwnym razie zmuszeni zostaniemy do użycia siły jako...

- *Framoverd!* - krzyknął kapitan Skygge, gdy któryś z żołnierzy się potknął.

Odległość między szybko maszerującym oddziałem Norwegów a milczącym szeregiem

Niemców zmniejszała się błyskawicznie. Oficer chciał jeszcze coś

krzyknąć, lecz rozmyślił się i pokręcił głową.

Erkaemiści przytulili policzki do kolb, żołnierze w linii podrzucili karabiny do ramion. Norwegowie maszerowali, choć w ich oczach błyszczał już paniczny strach.

Niemiecki oficer nabrał tchu w płuca.

- *Nicht schiessen!* - krzyknął niespodziewanie Spjeldn[^]s.

Jego krzyk był donośny i potężny, jakby padł z ust starego boga wikingów. Z siłą północnego wichru przetoczył się po ulicy, krusząc odwagę Niemców. Żołnierze opuścili broń, a niektórzy nawet wstali i odsunęli się w bok. Na ich twarzach pojawiło się oszołomienie, tu i ówdzie przemieszane z nabożnym lękiem.

- *Framover!* - krzyczał Spjeldn[^]s.

Jego oczy lśniły mu nieziemskim, chłodnym blaskiem, a idący za jego plecami Skygge śmiał się głośno.

Oniemiali Niemcy patrzyli, jak norweska kompania, nie zwalniając kroku, przechodzi przez ich pozycje i kieruje się w stronę linii lasu. Echo okrzyku Spjeldn[^]sa, tchnące potęgą dawno zapomnianych wieków, wciąż unosiło się nad ich głowami.

Harrington jak zwykle pojawił się jako pierwszy. Jego niewielki ciemny morris, skryty w cieniu olbrzymiego magazynu portowego, był niewidoczny zarówno dla ludzi idących wzdłuż kei, jak i wachty przycumowanego tam ogromnego niszczyciela.

„To chyba ten HMS «Zulu»”, pomyślał Harrington, zmrużywszy brwi. Wodził wzrokiem po nadbudówkach okrętu i próbował rozpoznać jakieś cechy charakterystyczne. Na wczorajszym posiedzeniu JISC poświęconym rozwojowi

wypadków w Norwegii pokazano mu zdjęcie niszczyciela, ale nie udało mu się go zapamiętać. Nic dziwnego - nigdy bowiem nie brał udziału w bardziej chaotycznym i przesiąkniętym nutką paniki spotkaniu. To, że udało mu się przekonać swych kolegów

o konieczności przerwania Sekcji D do Norwegii, graniczyło z cudem.

Jeszcze raz przyjrzał się sylwetce niszczyciela. Zmierzch nadchodził

szybko, a w porcie wojennym Rosyth z całą surowością przestrzegano obowiązku zaciemnienia, tak więc niszczyciel stawał się fortecą czarnych cieni. Jedynym źródłem światła była przyciemniona latarnia stojąca tuż przy schodzącym na ląd trapie. W jej blasku dostrzegł kilku marynarzy wachtowych palących papierosy i gawędzących wesoło. Z komina snuł się biały dym, wyraźnie odcinający się od granatu wieczornego nieba.

„Rozpalają kotły przed podróżą - zastanowił się, rozmasowując policzek, którym wstrząsał tik. - Gdzie jest Gubbins?”

Zerknął na zegarek wydobyty z kieszonki kamizeli. Fosforyzujące wskazówki wskazywały, że do dwudziestej pierwszej brakowało ledwie ośmiu minut. Wedle ustaleń, jakie przekazał majorowi bladym świtem zaraz po zakończeniu posiedzenia JISC, żołnierze Sekcji D mieli wejść na pokład HMS „Zulu” punktualnie o dwudziestej pierwszej. Miała być to ich pierwsza oficjalna akcja i nie życzył sobie żadnych spóźnień czy nieporozumień. Zbyt dużo wysiłku kosztowało go jej zorganizowanie.

Zamknął oczy, opierając głowę o siedzenie i mimowolnie wracając pamięcią do zebrania JISC. Pokręcił z pogardą głową, wspominając duszny, wypełniony dymem tytoniowym pokój i poplamioną kawą mapę Norwegii, nad którą toczyła się wściekła kłótnia. Dwa tuziny bladych ze zmęczenia wysokich urzędników MI-5, MI-6, wywiadu marynarki, Home Office i jeszcze kilku innych instytucji sprzeczało się zajadle, jakby pełnymi gniewu wrzaskami mogli zatuszować własną klęskę.

Zacisnął zęby. Gdyby go w porę posłuchano, nie byłoby klęski! A ostrzegał, do jasnej cholery! Ostrzegał!

Chaotyczne raporty placówek wywiadu w stolicach skandynawskich, które napłynęły dopiero dwa dni temu nad ranem, ułożyły się w logiczną całość. Tuż pod bokiem potężnej Royal Navy Niemcy zorganizowali gigantyczną inwazję morską na Danię

1 Norwegię. Grupy desantowe Kriegsmarine pod osłoną ciemności niemalże bez przeciwdziałania ze strony Norwegów czy Brytyjczyków wpłynęły do fiordów norweskich i wysadziły oddziały wojska, które szybko stłumiły opór zaskoczonych obrońców. O świcie flagi ze swastyką powiewały już nad Kopenhagą, Bergen i Trondheim, a następnego dnia hitlerowcy maszerowali również po ulicach Oslo.

Trudno o większy policzek dla brytyjskiego wywiadu, który o przebiegu inwazji praktycznie dowiedział się z radia.

A mogło być inaczej. Operacja „Schweibe” rozwijała się bez przeszkód i ów tajemniczy oficer Wehrmachtu nie żywił żadnych podejrzeń, przeświadczony, że jego raporty trafiają na biurko hrabiego Załuskiego. Dzięki jego meldunkom Harrington już na początku marca przedstawił JISC kilkunastostronicowy raport zawierający szczegóły „Weserubung” - planowanej niemieckiej operacji mającej na celu zajęcie Danii i Norwegii. Sprawozdanie zawierało dokładny skład grup inwazyjnych, ich cel oraz marszrutę, ilość przewożonych oddziałów, sprzęt oraz dowódców. Raportu wysłuchano uprzejmie i z uwagą, a przewodniczący JISC, admirał sir William G. Torrence, obiecał przedstawić go odpowiednim osobom w admiralicji i Whitehall. Na tym się skończyło.

Takie marnotrawstwo jego wysiłków doprowadzało go do białej wściekłości. Wczorajsze spotkanie przesiedział z nieruchomą twarzą, z największym trudem powstrzymując się od wybuchów gniewu czy spojrzeń typu „A nie mówiłem?”. W końcu powstał i ostrym tonem poprosił o ciszę.

- Panowie, cokolwiek sobie tutaj powiemy, wniosek i tak pozostaje ten sam. Swoim ostatnim posunięciem Hitler pokrzyżował nam plany i musimy się teraz zastanowić, jak z tego wybrnąć. Zgadzam się z tymi z panów, którzy twierdzą, że dokonać tego możemy tu, w Narwiku.

Jego palec dotknął wytartego już punktu na mapie, gdzie szeroki fiord Ofot rozcinał ląd norweski niemalże na pół aż do granicy z neutralną Szwecją.

- Oto jedyny port w całej Skandynawii, przez który Niemcy przez cały rok mogą transportować szwedzką rudę. Bez regularnych dostaw rudy niemiecka machina wojenna szybko straci impet, a jeśli dostawy zostaną utrzymane, za kilka lat najbardziej opłacalnym zawodem na Wyspach Brytyjskich będzie nauczyciel języka niemieckiego.

Zmroziła go myśl, że po tak prowokacyjnym stwierdzeniu rozlegną się znów gwałtowne protesty i drwiny, lecz mylił się. Członkowie JISC słuchali go w ciszy.

- Wiemy, że armia i marynarka przygotowują się do operacji wysadzenia desantów w okolicach Narwiku i Trondheim. Jesienią ubiegłego roku członkowie prowadzonej przeze mnie Sekcji D zakończyli ostatni etap przygotowań do działań w trudnych warunkach. Sądzę, że we współpracy z Royal Navy mogliby przeprowadzić rozpoznanie niemieckich

pozycji wokół Narwiku, a przy okazji wprowadzić nieco zamieszania w szykach generała Dietla.

Nikt nie wyraził sprzeciwu, a admirał Torrence pokiwał głową, jakby w ten sposób chciał zadośćuczynić za zignorowanie raportu „Schweibe”. I tak oto zapadła jedyna konstruktywna decyzja na posiedzeniu.

Mrok skrył zły uśmiech Harringtona. Bezcelowe, całonocne zebranie po raz kolejny uświadomiło mu, że dość ma rzucania pereł przed wieprze. Ostatni raport „Schweibe”, który odnalazł w swej poczcie dziś po południu, miał już posłużyć wyłącznie jemu.

Raport przedstawiał szczegóły niewielkiej operacji „Frosch”, mającej na celu wzmocnienie sił broniących Narwik o 138. pułk strzelców górskich pułkownika Rolfa Kriemana oraz kilka baterii artylerii górskiej. Pułk najpierw trafił do Oslo, skąd przejechał koleją do Trondheim, gdzie przejąc go miała eskadra niemieckich niszczycieli i przetransportować do Narwiku. Ewentualne działania Royal Navy miały kontrować osłaniające uderzenia grup U-Bootów.

„Cholernie ważny raport - pomyślał Harrington. - Royal Navy bez trudu mogłaby odpędzić U-Booty i zniszczyć okręty z posiłkami dla Dietla, co znacznie ułatwiłoby desant na Narwik. „Schweibe” jednakże nadmienił, że do 138. pułku dołączył pododdział SS, na czele którego stał profesor Michael Tritz, a to całkowicie zmieniło postać rzeczy.

Wraz z 138. pułkiem w Norwegii znaleźć się miał sam „Schweibe”, tajemniczy informator Załuskiego. W ostatnim zdaniu raportu prosił o zabranie go z Norwegii, ale Harrington nie zaprzętał sobie tym głowy.

- Dość już tej upokarzającej służby dla wywiadu - wyszeptał Harrington, dotykając szarej, cienkiej koperty z raportem w kieszeni marynarki. - Tritz rusza do Norwegii, pora, bym i ja rozpoczął własną wojnę.

- Nawet za moich czasów nazwano by to zdradą - zaśmiał się niewidzialny głos na fotelu pasażera.

- W twoich czasach nikt się zdradą nie brzydził, Krętaczu. Ty zaś najmniej.

Rozmowę przerwał zbliżający się warkot silnika i przed trapem nagle zatrzymała się

ciężarówka. Klapa z tyłu paki opadła z hukiem i z wnętrza wyskoczyło kilka ciemnych, sprężystych sylwetek. Ludzie cicho i sprawnie zaczęli

układać na kei skrzynki z amunicją, broń oraz podłużne worki z brezentu. Jeden z nich, w którym Harrington rozpoznał majora Gubbinsa, podbiegł do trapu i zawołał coś do marynarzy. Ci wyrzucili niedopałki do wody i wyprężyli się na baczność. Przy burcie wyrosła sylwetka w czapce oficerskiej.

- No, to na nas już czas - mruknął Harrington, jeszcze raz w myślach przeglądając swój skromny bagaż.

„Raport mam w kieszeni - pomyślał. - Rewolwer enfield Mk.1 i *Vidarssaga* są w skórzanej walizeczce razem z nowym dziennikiem”.

Zacisnął wściekle zęby, odpędzając myśl o spalonej posiadłości, i wysiadł z samochodu, trzaskając drzwiami. Szybkim krokiem ruszył w kierunku trapu i schodzącego nim oficera.

- Major Collin Gubbins, sir! - Usłyszał głos salutującego Gubbinsa.

- Komandor Arthur Trollope, dowódca HMS „Zulu”.

Oficer przytknął niedbale dłoń do czapki. Był wysokim człowiekiem o obwisłych policzkach i sumiastych wąsach, jednym z tych, którzy budzą respekt samym swoim pojawieniem się. Jego głos był tubalny, lekko ochryply, nawykły do wydawania poleceń.

- Proszę wybaczyć, że pozwoliłem sobie na zlekceważenie ceremonii powitania na pokładzie. - Trollope uśmiechnął się. - Wiem coś niecoś o charakterze waszego zadania i sądzę, że oficjalna pompa z gwizdkami bosmańskimi niezbyt do niego pasuje.

- Jestem panu wdzięczny, komandorze. - Gubbins skinął głową. - Mój oddział jest w komplecie, lecz mój przełożony, sir Andrew Harrington, najwyraźniej się spóźnia, choć to do niego niepodobne...

- Zgadza się z panem, majorze. - Harrington wyszedł z cienia, trzymając walizeczkę w jednej ręce, a płaszcz i parasol w drugiej. - To do mnie niepodobne. To pan się o mało nie spóźnił.

- Mieliśmy problem z zapasem amunicji. - Gubbins spaşowiał. - Te kutwy przy.

- Miło mi pana poznać, komandorze. - Harrington ujął dłoń Trollope'a i potrząsnął nią mocno. - Nazywam się Andrew Harrington, a na czas naszego zadania powracam do stopnia pułkownika armii. Jestem zaszczycony, mogąc płynąć na tak zasłużonym okręcie. Czy mógłby pan wysłać paru marynarzy, by pomogli naszym ludziom w załadunku sprzętu?

- Oczywiście, pułkowniku. - Komandor Trollope skinął głową. - MacGregor, Austin, Callahan! Pomóżcie tym ludziom!

Trap zadrżał pod stopami biegnących marynarzy. Harrington poprawił kapelusz na głowie, by cień runda skrył błysk w jego oku. Starczyła krótka wymiana zdań, by wiedział, że komandor Trollope, choć niewątpliwie dobry żeglarz, jest człowiekiem podatnym na wpływy.

„Doskonale się nada do moich celów - pomyślał. - Być może nawet obejdzie się bez pomocy runów.

Cichutki chichot Krętacza został zagłuszony przez tupot stóp marynarzy wnoszących sprzęt Sekcji D na pokład okrętu.

Wojtek skądś wiedział, że dziewczyna ma na imię Kriss.

Patrzył w jej ogromne, niebieskie oczy, urzeczony smutkiem, jaki w nich odnalazł. Przyglądał się jej krągłym policzkom, drobnemu nosowi i grzywie ciemnych włosów. Jej usta poruszały się, powtarzając jakieś słowa.

„To elf - pomyślał. - Prawdziwy elf, jak z opowieści ojca...”.

Nie słyszał żadnego dźwięku, ale nagle odkrył, że jej nieme zdania niosą ostrzeżenie. Oczy Kriss stawały się coraz większe, aż zeszkliły je łzy. Już nie mówiła, tylko krzyczała, a ciężkie, słone krople płynęły po jej policzkach.

I naraz jej myśli, pełne strachu i rozpacz, wdarły się do jego umysłu.

- Nie wolno ci stanąć na naszej ziemi! - krzyczała Kriss. - Nie wolno ci zejść na ląd, gdyż twoją matką jest śmierć! Nie czyn tego, jeśli nie chcesz naszej zguby.

Świat nagle zadrżał w posadach. Twarz elfa, jeszcze przed chwilą wyraźna i widoczna, już zniknęła w błękitnej mgle.

- Kriss! - jęknął.

- Wstawaj, Wojtek. - Czyjś znajomy głos przebił się przez ścianę senności. - Twoja wachta.

Śnieżewski zacisnął powieki, ale twarz Kriss zniknęła bezpowrotnie. Gwałtowna pobudka zrobiła swoje - świat snów znikł i chłopak już wiedział, że leży w koi na ORP „Grom”, po kajucie krząta się nieodmiennie pobladły Staszek Łęk, a na niego, Wojtka, czeka puste stanowisko w centrali artyleryjskiej.

Naraz zgęstniała w nim nienawiść do całego świata - do niszczyciela, załogi, dowódcy, obowiązku, a nawet samej koi.

- Widać już ląd - powiedział Łęk, siadając i z trudem ściągając buty. - Tylko patrzeć, jak znajdziemy się w Vestfjordzie.

Śnieżewski przetarł zapuchnięte oczy i odburknął coś w odpowiedzi, niezgrabnie nakładając sweter. Staszek również nie miał nastroju na dłuższą pogawędkę i nim Wojtek założył *dufflecoat*, nawigator wyciągnął się już na koi i przykrył kocem. Śnieżewski obrzucił go niechętnym spojrzeniem i wyszedł, ziewając.

Resztki senności opuściły go natychmiast, gdy wszedł na mostek i

17.

ujrzał poważne, skupione twarze wokół kapitana. „Wpływamy na wody Vestfjordu!”, przypomniał sobie słowa Staszka. „O Boże, już?”.

Jak okiem sięgnąć widział lekko wzburzone fale koloru stali, w których odbijało się białe światło zimowego słońca. Na północy dostrzegł zamazane jeszcze plamy pierwszych wysp archipelagu Lofotów, a na wschodzie majaczyły już góry lądu stałego, skryte za welonem delikatnej mgły. Zmierzali prosto w kierunku fiordu Ofot prowadzącego do miasta Narwik.

Okrety niemieckie mogli więc napotkać lada chwila.

Ze zdziwieniem przyglądał się morzu. Nad spokojnie sunącymi falami wciąż unosiła się osobliwa jasność, a blask słońca nadal odbijał się w metalu wież artyleryjskich „Gromu”, ale biały kilwáter idącego kilka kabli przed nimi HMS „Sikh” z każdą chwilą

stawał się mniej wyrazisty. Nadchodziła arktyczna noc, szara, cicha i nieziemska.

- Niesporo panu szło wstawanie - odezwał się komandor Kornilowicz, obrzucając go zmęczonym spojrzeniem.

- Przepraszam, kapitanie. - Śnieżewski pokręcił głową. - Zły sen.

- Mam nadzieję, że nie proroczy - spróbował zażartować dowódca, lecz nikt się nawet nie uśmiechnął.

Wojtek uświadomił sobie, że na mostku znów zapadła całkowita cisza. Jak zawsze, gdy się odezwał.

„Oni nigdy nie zapomną - pomyślał ze znużeniem. - Zawsze będą pamiętać”.

- A ja mam nadzieję, że tak. - Wysilił się na uśmiech. - Bo przyśniła mi się ładna dziewczyna. Czy nadeszły nowe meldunki?

- Jedynie potwierdzenie poprzednich rozkazów. - Kapitan stłumił ziewnięcie. - Mamy krażyć u wejścia do fiordu Ofot i wiązać walką każdy napotkany niemiecki okręt.

- Rozumiem. - Śnieżewski skinął głową. - Ruszam do centrali.

- Słusznie.

„Wiązanie walką Niemców - pomyślał, próbując zapomnieć o złowieszczej ciszy, którą wywołał żart dowódcy. - Wreszcie jakaś konkretna robota zamiast uganiania się za niewidzialnymi okrętami podwodnymi”.

Znów zapatrzył się na szeroką rufę HMS „Sikh” i przeniósł wzrok dalej w kierunku jego bliźniaka „Zulu”, który prowadził ich mały dywizjon. Jego twarz rozjaśnił krzywy uśmiech satysfakcji. Choć oba brytyjskie niszczyciele należały do słynnego typu „Tribal”, ponoć najpotężniejszych niszczycieli na świecie, „Grom” nie ustępował im w niczym. Miał co prawda tylko siedem dział kalibru 120 milimetrów na osiem każdego „Tribala”, lecz aż sześć wyrzutni torped na ich cztery. Miał też zbliżone rozmiary i wyporność, a prędkością nawet je lekko przewyższał. Śnieżewski był pewien, że jeśli dojdzie do bitwy, nie okażą się w niczym gorsi od Anglików.

„Pokazałbyś im, smoku!”, pomyślał, nakładając słuchawki. Jedna z luf artylerii głównej zalśniła białym blaskiem, zupełnie jakby okręt zmrużył do niego filuternie oko.

Na mostku panowała niemalże całkowita cisza, od czasu do czasu

macona pojedynczymi rozkazami bądź meldunkami. Uwaga wszystkich skupiała się na obserwacji morza. Spodziewano się, że stojące w Ofotfjordzie niemieckie niszczyciele, które przywiozły oddziały desantowe do Narwiku, w każdej chwili mogą wyjść na morze. Fiord przestał być dla nich bezpiecznym schronieniem po tym, jak wczoraj o świcie wtargnęła tam eskadra pięciu małych niszczycieli komandora Warburtona-Lee. Wedle wiadomości BBC torpedy i pociski artyleryjskie okrętów brytyjskich posłały na dno trzy niszczyciele Kriegsmarine i kilka statków handlowych, lecz Niemcy w porę zorganizowali obronę i zdołali przepędzić napastników. HMS „Hardy” i HMS „Hunter” na zawsze pozostały na dnie Ofotfjordu, a wraz z nimi dzielny komandor Warburton- Lee.

Przykład Anglików zelektryzował całą załogę „Gromu”. Od czasu kolejnego nieudanego pościgu za U-Bootem na Morzu Północnym wszyscy marzyli o spotkaniu z jakimkolwiek niemieckim okrętem. Na mostu panowała cisza, a pokład drżał wprawiany w wibracje mocą potężnych motorów okrętu. Napięcie rosło z każdą minutą.

Światło rozmywało się coraz bardziej. Śnieżewski uświadomił sobie, że nie widzi już wysp, a pasmo łądu, miast rosnać w oczach, zamieniło się w mglistą wstęgę. Wytężył wzrok.

- Przekłęta mgła!

Sylwetka prowadzącego szyk „Zulu” wtopiła się we mgłę chwilę później. Na tle znikającego konturu okrętu rozbłysła lampa Aldisa.

- Komandor Trollope nakazuje przejście w szyk torowy - odczytał sygnalista z wypiekami na twarzy. - Mamy zająć pozycję na południe od wyspy Bar0ya, u wejścia do Tysfjordu!

- Cholera, odsuwa nas od Ofot! - Oficer nawigacyjny zazgrzytał zębami.

- Cisza! - warknął dowódca. - Kurs 75 stopni, prędkość dziesięć węzłów. Poruczniku Majewicz, proszę przesłać dodatkowych obserwatorów na pomost!

Śmignęły szczeble koła sterowego, a pokład pod ich stopami zadrgał ze zdwojoną siłą. Zostawiony na trawersie HMS „Sikh” zniknął za mleczną zasłoną, a przed dziobem polskiego niszczyciela jedna po drugiej wylaniały się skaliste wyspy strzegące wejścia do Tysfjordu. Krzyki kołującego nad skałami ptactwa docierały dziwnie stłumione, a rozbijające się u podnóża klifu fale strzelały w górę niemalże bezgłośnie. Na prawo od dziobu wysunęła się z wody pionowa płetwa orki, a w ślad za nią lśniący grzbiet.

Wojtek pokręcił głową, zdumiony nierealnością tej chwili. Rozległe, zasnute białawymi kłębami wejście do fiordu zdawało się bramą do magicznego świata, jednego z tych, po których wędrował w opowieściach ojca. Po chwili dojrzał pierwsze szczyty, majestatycznie wylaniające się spośród mgły, i uśmiechnął się mimowolnie.

Nagle zawstydził się swego zachwytu i zerknął przez ramię z obawą, czy nikt nie przygląda mu się z dezaprobatą. Na twarzach reszty obsady mostku, sygnalistów, radiotelegrafistów i oficerów, dostrzegł jednakże podobną fascynację, nawet oficer łącznikowy O'Mallory patrzył z szeroko otwartymi oczami.

- Maszynownia, osiem węzłów - przerwał ciszę spokojny rozkaz kapitana
wzmocniony metalicznym pobrękiem tuby głosowej.

Z grupy skał z wrzaskiem poderwały się mewy. Śnieżewski potrząsnął głową. Wraz z krzykiem morskich ptaków w jego głowie obudził się dziwny, nieznany mu szum.

Nieznany?

Niespodziewanie zaschło mu w ustach. Zerwał słuchawki i przypadł do szyby z pleksiglasu, z napięciem patrząc ku wciąż widocznej, białej kuli słońca. Oddychał szybko, nieświadom tego, że za jego plecami ktoś wołał doktora Tarasiewicza, ktoś dopytywał się o jego samopoczucie, a jeszcze ktoś zaciskał dłoń na jego ramieniu, próbując odciągnąć go od szyby.

- Śmierć nadciąga... - wyszeptał zmartwiałyimi wargami.

Kilka sekund później z mgły wychynał dziób niemieckiego niszczyciela.

Na mostku „Gromu” zapadła martwa cisza. Naraz wszyscy zapomnieli o Śnieżewskim, z mieszaniną przerażenia i niedowierzania wpatrując się we wrogi okręt. Wrogi niszczyciel sunął w ciszy, niczym morska zjawą, ukazując osmolone, wgniecione potwornym uderzeniem płyty prawej ćwiartki dziobowej, przekrzywioną, pozbawioną lufy wieżę B i wybite okna mostka. Na jego pokładzie nie było żywego ducha, lecz z jego komina buchnął kłęb czarnego dymu. Nieprzyjacielski okręt skoczył do przodu, jakby zapominając o swych straszliwych ranach.

Oczy Kornilowicza otworzyły się szeroko.

- Alarm bojowy! - ryknął z całych sił. - Maszynownia, cała naprzód! Alarm bojowy!

Pełną oszołomienia ciszę na mostku „Gromu” w jednej chwili zastąpił całkowity

rozgardiasz. O'Mallory przypadł do Kornilowicza i szarpał go za ramię, próbując coś wytłumaczyć, a ten odepchnął go i pochylił się nad tubą głosową. Zdezorientowany sternik zakręcił kołem w prawo, a oficer wachtowy Majewicz złapał szczeble i pociągnął je ku sobie, na lewo. Głośniki skrzeczały głosami dowódców poszczególnych wież, radiotelegrafista wrzeszczał, a jeden z sygnalistów wył z bólu, przytrzasnąwszy sobie palce stalowymi drzwiami.

Śnieżewski patrzył oniemiały, jak niemiecki niszczyciel nabiera prędkości. Biały odkos błyskawicznie rósł po obu stronach pokierowanego dziobu, a dolna wieża działowa obracała się, by wziąć polski okręt na cel.

- To „Georg Thiele”! - krzyknął ktoś.
- Nie, „Hans Ludemann”!

Działo dolnej wieży plunęło, a pociski z gwizdem przemknęły tuż nad pokładem „Gromu”, eksplodując wśród skał. To starczyło, by Wojtek odzyskał przytomność. Jednym susem znalazł się w centrali artyleryjskiej i założył słuchawki na uszy.

- Wieże jeden i dwa! - warknął ochrypłym głosem. - Cel, niemiecki niszczyciel! Odległość... Dalmierz, odległość!

- Tysiąc metrów i się zmniejsza!

- Odległość tysiąc metrów i się zmniejsza! Kąt kursowy sześć dziewięć! Burzącymi.

- Śnieżewski, otworzyć ogień! - zawołał Kornilowicz.

O'Mallory cofnął się pod ścianę, z niedowierzaniem dotykając wargi puchnącej po uderzeniu łokciem.

Wokół wyły syreny alarmowe. Pokład wibrował niczym podczas badania osiągow na Zatoce Puckiej, ludzie pędzili na stanowiska bojowe, szumiały przekaźniki artyleryjskie, a wieże odwracały się błyskawicznie na cel. Kornilowicz krzyczał na przemian do mikrofonu i do tuby głosowej.

- Łopuszak, ty draniu! Stanowiska torpedowe, natychmiast.

- Kapitanie, obsadziłem działka przeciwlotnicze! Przepłyniemy blisko.

- Wykonać, Dzielski! - Dowódca przypadł do koła sterowego. - Jeśli ten suczy syn nam ucieknie, przechodzę do służby w kolei!

Na mostku rozległy się śmiechy. Przymrużone, złowrogie oczy marynarzy śledziły długie, prześlizgujące się wśród mgły cielsko wrogiego okrętu.

- Komandorze, a może by powiadomić Anglików?

- Trollope nakazał ciszę radiową! - zawołał Kornilowicz, przerzucając szczeble koła sterowego. - A co, chce się pan dzielić zdobyczą?

- Nie, tylko.

- Wieże jeden i dwa gotowe! - krzyknął Śnieżewski.

- To na co pan czeka? Ognia!

Z luf dwóch dziobowych wież strzeliły długie języki ognia, a pokład zadrżał od siły odrzutu. U burty niemieckiego okrętu wzbily się słupy wzburzonej wody, sięgając górnych nadbudówek.

- Za blisko! - zawołał Snieżewski, przyglądając się przez lornetkę. - Korekta... „Śmierć”, huczało mu w głowie. Ten okręt cuchnął śmiercią, gwałtowną, pełną

męczarni.

- Ognia!

Cztery dziobowe lufy kalibru stu dwudziestu milimetrów znów plunęły ogniem i znikły, spowite kłębamii białawego, gryzącego dymu. Szczęble koła sterowego zamigotały w dłoniach dowódcy i „Grom” błyskawicznie znalazł się na trawersie „Ludemanna”.

- Wciągnąć banderę! - rozkazał Kornilowicz. - Niech suczy syn wie, z kim ma do czynienia!

- Ognia! - powiedział ochryple Snieżewski, przymykając oczy.

„Śmierć - huczało mu w głowie. - Tam płynie śmierć przyniesiona przez pociski, które z gwizdem przecięły ciszę górskiego świtu i wybuchły wśród nadbudówek. Śmierć, która przyszła wraz z eksplozjami kadłuba i płomieniami wdzierającymi się w głąb korytarzy”.

- Trafienie! - rozległ się tryumfalny ryk na mostku.

Wojtek otworzył oczy w porę, by ujrzeć purpurową eksplozję tuż pod kominem

niemieckiego niszczyciela. W tej samej chwili ujrzał serię błysków na rufie wrogiego

okrętu. Trzy działa rufowe „Ludemanna” odpowiadały ogniem. Kilka sekund później

niemieckie pociski z gwizdem obramowały burty sunącego z wielką prędkością

„Gromu”. Jeden upadł tak blisko, że pióropusz wody spadł prosto na pochylone plecy

artylerzystów odrzucających dymiące łuski. Snieżewski patrzył już na to półprzytomnym wzrokiem.



- Ogień ciągle... - wymamrotał do mikrofonu, opierając się o ścianę centrali.

Lornetka opadła na pierś. Zamknął oczy, lecz zamiast ciemności ujrzał znów płomień, na nowo wdzierające się w głąb wcześniej strawionych korytarzy, wciąż szukające ciał do pożarcia.

Nie słyszał już chóralnego ryku radości, gdy kolejny pocisk z wieży dziobowej uderzył w burtę „Ludemanna”. Nie widział skupionej twarzy dowódcy, gdy śmiało prowadził okręt wśród wystrzelonych na chybił trafił niemieckich torped, nie śledził wraz z innymi biegu własnych, odpalonych przez zdenerwowanego porucznika Łopuszaka. Nie słyszał też chóralnego jęku zawodu, gdy ostatnia z nich przeszła za rufą Niemca, ani też alarmującego okrzyku obserwatora: „Skreca na północ, ku Lofotom!”.

Jego myśli bez reszty ogarnęły płomienie.

Major Gubbins znowu nie mógł spać.

Leżał wygodnie wyciągnięty na koi z ramionami założonymi pod głową i mocno zaciskał powieki, próbując przywołać sen. Gorączkowe przygotowania do wyprawy Sekcji wiele go kosztowały i obiecał sobie solennie, że kiedy sprzęt zostanie rozmieszczony pod pokładem, a żołnierze otrzymają kwatery, nakryje się kocem i prześpi równe dziesięć godzin. Tymczasem sen nie nawiedził go od chwili, gdy HMS „Zulu” opuścił redę Rosyth.

Od kilku godzin leżał z zamkniętymi oczami, przepuszczając przez umysł szalone, półsennie ciągi obrazów. Narastał w nim niepokój. Był doświadczonym żołnierzem i kołysanie okrętu czy podniecenie przed zbliżającą się akcją nigdy dotąd nie przeszkadzało mu zapaść w zdrowy, odprężający sen.

„Chyba powinienem iść do lekarza okrętowego po jakieś proszki nasenne”, pomyślał. Lecz głupio tak trochę... Jeszcze sobie marynarze pomyśla, że w wojskach lądowych ludzie przed akcją spać nie mogą!

Uchylił nieco powieki i delikatnie odwrócił głowę ku sąsiedniej koi, którą zajmował Harrington. Jego przełożony od dłuższego czasu nie zmienił pozycji - wciąż siedział oparty o ściankę grodziową i pisał w wielkim kajecie. Skrzypnięcia pióra, odległy pomruk motorów okrętu i sporadyczne kroki na korytarzu były jedynymi odgłosami, jakie docierały do kajuty.

Iluminator wpuszczał białawe światło arktycznej nocy, przez co cera Harringtona miała sinawy odcień. Gubbins uświadomił sobie, że patrzy na zupełnie inną twarz niż ta, którą zapamiętał z The Frythe. Broda jego przełożonego, niegdyś krótka i starannie przystrzyżona, była dłuższa i sterczały z niej pojedyncze włoski, przez co wydawała się rozczochrana. Oczy, wokół których wykwitły nowe zmarszczki, były bardziej zapadłe i

szkliste, a prawym policzkiem wstrząsał drobny tik. Cała sylwetka zaś, pochylona nad rozłożonym na kolanach notatnikiem, przypominała przyczajonego do ataku pajaka.

Naraz tknęło go, że gdy po raz ostatni trawiła go bezsenność, również znajdował się obok Harringtona. W pieprzonym bombowcu, którym uciekali z Danii!

Z oddali dobiegło stłumione, kilkakrotne dudnienie. Harrington drgnął, niespokojny, a Gubbins natychmiast usiadł na koi, mrugając szybko.

- To brzmi jak salwy artyleryjskie! - szepnął Harrington, dmuchając na litery i zatrzasnął kajet.

- Bez wątpienia!

Gubbins błyskawicznie strząsnął z siebie senność i sięgnął po buty.

Obaj wypadli na korytarz, nim zawyły syreny alarmowe. Nagły skręt przyspieszającego okrętu cisnął nimi o przeciwległą ścianę. Gubbins zaklął wściekle, rozmasowując stłuczone ramię, lecz natychmiast ruszył w ślad za Harringtonem na mostek. Jego przełożony od razu podszedł do kapitana.

- Dzień dobry, komandorze - pozdrowił go. - Czy mógłbym się dowiedzieć, co to za hałasy budzą nas w środku nocy?

- Dzień dobry, sir. - Trollope przecierał opuchnięte oczy, najwyraźniej również dopiero co wyrwany ze snu. Za jego plecami stał młody, rudy midszypmen, podając mu dodatkowy sweter i płaszcz z kapturem. - Wygląda na to, że gdzieś przed nami toczy się walka artyleryjska! Na prawym trawersie! Któryś z naszych okrętów wszedł w kontakt z Niemcami!

Gubbins i Harrington spojrzeli w kierunku, który wskazał Trollope. Świat wokół nich skąpany był w mlecznej bieli arktycznej nocy. Mgła zalała horyzont i niemożliwością było wskazać, gdzie kończyło się morze, a zaczynało niebo. Lecz gdy Gubbins wyteżył wzrok, wydało mu się, że dostrzega połyskujące punkciki odległych salw.

Niszczyciel pruł z prędkością kilkunastu węzłów, majestatycznie wznosząc się na fali, by z hukiem opaść po jej zboczu. Obsada mostku zastygła na pozycjach, wymieniając ostatnie uwagi. Każdy, od rudego midszypmena po samego kapitana, z napięciem patrzył ku zachodowi, ku coraz wyraźniejszym błyskom wystrzałów.

Gubbins poczuł, że i jego serce zaczyna bić szybciej.

- To ten Polak, sir! - mruknął pierwszy oficer, wysoki Szkot o wydatnej grdyce i kruczoczarnych, kręconych włosach. - Miał wystrzelić rakieta...

- I tak byśmy w tym mleku nie zauważyli! - Trollope pośpiesznie wpychał ramiona w rękawy podanego płaszcza. - Robertson, a lornetka?

- Robi się, sir!

- Kapitanie, jeśli można. - Harrington złapał Trollope'a za ramię. - Czy mógłbym wyjść na pomost z panem? Chciałbym zapytać o kilka.

- Oczywiście! - rzucił pośpiesznie komandor, chwytając podaną mu lornetkę.

Niespodziewanie kadłubem niszczyciela wstrząsnęła odległa podwodna eksplozja.

- To torpeda, sir! - krzyknął młody bosman przy aparacie nasłuchowym, zrzucając słuchawki z uszu. - Torpeda, jak nic!

- Odgłos darcia metalu?

- Nie, sir! Uderzyła w podwodne skały!

- Pieprzona mgła! - zaklął bezsilnie Trollope, naciągając kaptur. - Panie Wilkins, proszę trzymać kurs i prędkość. Robertson, dorzućcie kilku obserwatorów na pomost! Panie McLaughlin, niech pana zbytnio nie świerzbią dłonie! Proszę strzelać dopiero po potwierdzeniu tożsamości okrętu! Ja idę na pomost! Panie Harrington?

- Za panem!

Szef Sekcji D kończył zapinać zydwestkę.

- Rękawiczki dla pana, sir! - zawołał za nim midszypmen, wyciągając grube, skórzane rękawice.

Harrington odwrócił się w kierunku młodzieńca, a Gubbins, który stanął z boku, przy stanowisku radiotelegrafisty, aż drgnął, widząc jego twarz. Przymrużone oczy przełożonego kryły w sobie złowrogi blask, którego nigdy wcześniej nie widział. Szybko naciągnął rękawice i spojrzał w ślad za wychodzącym na pomost Trollope'em jak drapieżnik patrzący na swą ofiarę.

Spojrzał znów ku coraz bliższemu błyskom pojedynku artyleryjskiego, lecz euforia zgasła w jego sercu. Jego wzrok przyciągnęła okutana w ciężki płaszcz postać Trollope'a, przy którym stał Harrington, lekko pochylony, jakby szeptał mu coś do ucha. W powietrzu wisiała jakaś niewypowiedziana groźba.

Kwadrans później, gdy Trollope nakazał zmienić kurs na przeciwny, oddalając się od bitwy, major Gubbins był jedynym człowiekiem na pokładzie, który nie okazał zdumienia. Zacisnął usta i wyszedł, smutno kiwając głową.

Sverre Spjeldn[^]s podrzucił do ramienia karabin i wychylił się zza przewróconego wagonu. Celował w okno budynku zawiadowcy stacji, skąd jeszcze przed chwilą pluł ogniem niemiecki erkaem. Za późno! Kopnięte drzwi zakolysały się na zawiasach, a dwie postacie w białych pelerynach już mknęły między drzewami obarczone ciężarem karabinu i skrzynki z amunicją. W tej samej chwili seria skrzesła snop iskier tuż nad jego głową. Sverre natychmiast się cofnął, nawet nie wystrzeliwszy.

Serce biło mu jak szalone, a ściskające karabin dłonie były spocone. Strzelcy górscy oskrzydłali jego kompanię, jakby byli na ćwiczeniach!

Z Hundalen, niewielkiej wioski wzdłuż torów kolejowych do Szwecji, gdzie umocnili się po wyjściu z Narwiku, oddział Sverre'a został wyparty w niecałe dwie godziny. Niemcy najpierw zasypali pozycje Norwegów ogniem z moździerzy i karabinów maszynowych, a potem ruszyli tyraliera wzdłuż torów. Wkrótce na przyduszonych ogniem obrońców spadło natarcie z flanki i Sverre zachował tyle przytomności, by dać sygnał do odwrotu.

Wyglądało jednak na to, że tylko odwłókł tragiczny koniec swej kompanii. Kilka przewróconych wagonów i zabudowania stacji kolejowej były ostatnim bastionem, którego bronili. Za ich plecami widniały już domy osady BjOrndalen, przez którą biegła granica ze Szwecją. Nie było już dokąd się wycofać.

Zdjęty nagłą rozpaczą znów wychylił się zza osłony. Tym razem zdołał wystrzelić, a jedna z postaci w białej pelerynie, skryta przy odległym końcu rampy towarowej, upadła i zastygła nieruchomo. Niemiecki erkaem, skryty wśród oszroniałych paproci, natychmiast odpowiedział ogniem. Kule zaświstały nad jego głową. Szlochający nieopodal Norweg, któremu poprzednia seria zmasakrowała nogi poniżej kolana, zamilkł nagle i opadł nieruchomo ze strzaskaną czaszką.

Nie było dokąd uciekać.

- *Fyr, karer!*¹⁴ - wrzasnął Skygge, poderwał się i przebiegł kilka metrów ku Sverre'owi.

Trzymany przez niego zdobyczy niemiecki MP-38 plunał krótką seria, kilku żołnierzy również wystrzeliło za jego przykładem. W odpowiedzi na słabą, niemrawą salwę Norwegów las wokół stacji kolejowej eksplodował

19.

ogniem przeciwnika. Przywierając do ziemi, Sverre kątem oka zarejestrował dalsze trzy błyski karabinów maszynowych i kilkanaście mniejszych pochodzących z pistoletów automatycznych. Kule krzeszały iskry, rozrywały drewno zabudowań stacji, siekły ludzkie ciała.

- *Fanden!* - zaklął z rozpaczą Skygge. Padł na ziemię i przetoczył się do Spjeldn[^]sa. - Sverre, nie damy rady! Nacierają na nas dwie kompanie, mają broń maszynową, granaty...

- Musimy wytrwać. - Sverre splunął, czując w ustach gorzki smak.

- Wytrwać do czego? - wybuchnął Skygge. - Kto nam tu przyjdzie z pomocą?

Brudne ramię zatoczyło łuk, wskazując tory kolejowe i przyczajonych strzelców górskich. Sverre zacisnął zęby.

- Kto ma jeszcze granaty? - zawołał, wykorzystując krótką przerwę w ostrzale.

- Ja! - Jeden z żołnierzy, od dłuższej chwili leżący nieruchomo w zagłębieniu szyny, podniósł głowę. Na jego mokrej od łez twarzy malowało się skrajne przerażenie.

- Dawaj!

Żołnierz chlipnął i podczołgał się do skraju osłony, jaką dawał przewrócony wagon. Zawahał się - od krawędzi drugiego wagonu, za którym kulił się dowódca, dzieliło go kilka metrów.

- Nie podnoś się! - ryknął przerażony Sverre. - Rzuć granaty i...

Oszołomiony i wciąż szlochający Norweg nie dosłyszał. Napiął mięśnie, ujął torbę i skoczył naprzód.

Kula niemieckiego strzelca wyborowego trafiła go dokładnie w skroń. Żołnierzowi starczyło życia na jeszcze jeden krok, po czym jego ciało miękko padło na ziemię. Jego blada, wciąż mokra twarz znieruchomiała pół metra od buta Skygge.

Jeden z Norwegów nie wytrzymał nerwowo. Poderwał się i z głośnym krzykiem rzucił się biegiem w stronę BjOrndalen. Sverre próbował krzyknąć, lecz głos uwiązł mu w gardle. Patrzyli, jak biegnie, zataczając się jak pijany. Kolejny strzał powalił go na ziemię sekundę później.

- Sukinsyny! - wykrzyknął z rozpaczą Sverre i wystrzelił kilkakrotnie ze swego karabinu.

Choć wzrok zaćmiewały mu łzy, dostrzegł jednak, że Niemcy znów przybliżyli się o kilkanaście metrów. Trzech przygarbionych ludzi za zakrętem torów ustawiało właśnie połowy moździerzy.

Był jedynym Norwegiem, który jeszcze strzelał. Reszta kuliła się na pozycjach, sparaliżowana strachem lub rozpaczą.

- Masz rację, Skygge - szepnął. - To koniec. Może wyprowadzenie oddziału z Narwiku było ostatnim wyczynem bojowym Ukrytego Ludu?

- Nie wiem. - Skygge patrzył na niego beznamiętnie. - Jako ludzie już przegraliśmy tę wojnę, ale nie chcę przegrać jej jako Ukryty Lud.

- Uciekaj, Skygge. Racja - westchnął Spjeldn^s.

- Co?

- Uciekaj. Dołącz do Kriss, Gunnara i innych. Obrońcie Króla.

- A ty? Sverre, nie ma czasu.

- Należę do Ukrytego Ludu, ale jestem również dowódcą tych

nieszczęśników. Muszę uratować chociaż paru.

- Nie ma mowy!

- Idź! - Oczy majora Sverre'a Spjeldn^sa nagle nabrały blasku dumnego jarła z czasów legend, tego samego, którym lśniły podczas ucieczki z Narwiku. - Idź.

Skygge skłonił się i cofnął.

- Żołnierze! - krzyknął nagle Sverre, a echo jego głosu niczym grom przetoczyło się po cichych zaśnieżonych dolinach górskich. - Wasza walka dobiegła końca! Biliście się dzielnie, do samego końca, a teraz czeka was nagroda za męstwo i trud!

Dłoń Sverre'a wskazała na zabudowania Bj0rndalen i jakże bliską granicę ze Szwecją. Żołnierze przez chwilę patrzyli na niego niezrozumiale, po czym jeden po drugim zaczęli się podnosić i iść wzdłuż torów. Brudni, ranni, wyczerpani szli wolno, pomagając sobie nawzajem. W oczach niektórych wciąż tliła się groza. Obracali się ku pozycjom niemieckim, lecz te milczały jakby porażone głosem majora.

- A wy! - krzyczał major Sverre Spjeldn^s, wychodząc poza osłonę przewróconych wagonów i stając dumnie naprzeciw zastygłych w bezruchu strzelców. - Zbłądziliście! To nie wasza ziemia i nigdy nią nie będzie! Wracajcie do domu! Wracajcie!

Echo potężnego, nieziemskiego krzyku majora wisiało jeszcze długo w powietrzu. Sverre stał z uniesioną głową, licząc w myślach sekundy. Gdy doliczył do stu, zaryzykował szybkie spojrzenie przez ramię. Większość jego ludzi była już za szlabanem, gdzie odbierali ich oszołomieni ostrzałem żołnierze szwedzcy. Na twarzy majora pojawił się uśmiech. Odwrócił się ponownie ku Niemcom i spojrzał za siebie. Ostatni spośród jego ludzi już znikali w lesie po szwedzkiej stronie.

Zrobił, co do niego należało. Teraz pozostało już tylko czekać na nieuniknione.

Pierwsze wystrzały były nieliczne, jakby Niemcy wciąż byli onieśmieleni majestatem samotnego oficera. Niebawem strzały stały się celniejsze.

Trafiła większość.

Kriss nagle przystanąła, a na jej zaróżowione policzki wypłynęła bladość. Osunęła się na kolana, oczami wyobraźni widząc zlepione krwią jasne włosy, stygnący, brudny od ziemi policzek i resztki blasku, szybko gasnące w męźnych oczach.

Zrozumiała, że Sverre nie żyje.

A drzewa, smukłe, stare świerki, uginające się od czap zmarzniętego śniegu, nachyliły się nad szlochającą córką Ukrytego Ludu. Zanuciły jej pieśń, którą śpiewały od czasów, gdy świat nazywano jeszcze Midgardem, ale nawet ona nie była w stanie uleczyć rozbitego rozpaczą serca.

Wysoko w górach do pieśni lasu dołączyło pełne żalu wycie samotnego wilka.

Wojtek nigdy w życiu nie słyszał wycia wilka, lecz skądś wiedział, że tak właśnie ono brzmi. W wibrującej melodii, która niosła się daleko nad ośnieżonymi borami, słyszał skargę i rozpacz.

Taką samą rozpacz dostrzegł w niebieskich, zalanych łzami oczach Kriss. Dziewczyna klęczała na śniegu, a jej drobnym ciałem wstrząsał szloch. Ciemne pnie drzew za jej plecami rozmazywały się we mgle, która z wolna pochłaniała cały las. Niebawem widział już tylko jej postać, skurczoną, bezsilną...

Po chwili znikła i ona.

- Nie odchodź. - chciał zawołać, lecz z jego gardła wydobył się tylko niewyraźny skrzek.

Spróbował raz jeszcze.

- Nigdzie nie idę. Przynajmniej na razie - odpowiedział mu głęboki, męski głos, z litewską przeciągający samogłoski.

Wojtek z trudem uniósł powieki. Mgła, która ogarniała go jeszcze chwilę temu, łagodnie przeszła w biel ścian lazaretu okrętowego. Leżał na koi szpitalnej, a na skraju sąsiedniej siedział zgarbiony dowódca okrętu, opierając łokcie na kolanach. Jego cera miała ziemistą barwę, a pod szklistymi oczami widniały ciemne sińce. Splecione mocno palce lekko drżały, jakby od nadmiaru emocji lub wypitej kawy.

- Komandorze! - wyjąkał przestraszony Wojtek, instynktownie

próbując powstać.

Dowódca powstrzymał go uniesieniem dłoni.

- Niech pan odpoczywa, podporuczniku. - Kornilowicz uśmiechnął się ze zmęczeniem. - Jeśli ta cholerna wojna będzie dalej tak się toczyć, zdąży się pan jeszcze nasalutować. Odwalił pan kawał dobrej roboty.

Strzępy snów wciąż wypełniające myśli oszołomionego Śnieżewskiego nagle prysły pod naporem świeżych wspomnień. Wejście do Tysfjordu. Uszkodzony niszczyciel niemiecki... Pociski „Gromu” wybuchające na jego śródkręciu.

- Ten niszczyciel. - wyszeptał ochryple. - „Hans Ludemann”. Co z nim? Zatopiony?

- Wpakowaliśmy w niego pięć pocisków artylerii głównej, Śnieżewski! - Dowódca machnął dłonią i skrzywił się. - Wszystkie torpedy chybiły, ale to nic! Jeszcze parę pocisków i byłoby po nim!

- Uciekł?

- Bodajby uciekł. - Głos komandora zniżył się do szeptu. - Gdyby uciekł, mielibyśmy pretensje tylko do siebie! A tak. Ech, szkoda mówić. Przyszedł rozkaz z „Zulu” o zaprzestaniu pościgu i powrocie do sektora.

- Przecież obowiązywała cisza radiowa!

- Najwidoczniej wszystkich z wyjątkiem komandora Trollope’a. Ten cholerny Anglik kazał nam wrócić do sektora patrolowania, a sam palcem nie kiwnął! Nawet nie ruszyli w pościg za tym Niemcem! Nie słyszeliśmy ani jednego wystrzału.

- Może miał słuszność. - powiedział Śnieżewski, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Jeśli w Ofot była reszta niemieckich niszczycieli, ktoś.

- W Ofot nie było żadnego okrętu wroga. - Kornilowicz zacisnął zęby. - Godzinę temu odebraliśmy komunikat SOS z brytyjskiego frachtowca „Jasmine”. Natknął się na pięć niemieckich niszczycieli idących w szyku liniowym na południe. Jednym z nich był „Hans Ludemann”, poruczniku.

- Komandorze, Trollope nie mógł wiedzieć, że fiord Ofot jest pusty!

- Rozkazy nakazywały nam wiązać walką okręty wroga, a Trollope nie dość, że sam uniknął walki, to jeszcze odebrał sposobność innym! - wybuchnął. - Nadęte dupki z admiralicji gonią nas na bezcelowe patrole, a ich oficer łącznikowy pęta się pod nogami, przeszkadzając w dowodzeniu! Kurwa, co się dzieje z tym światem? Nie dziwię się

Wilczakowi, że.

Nagle zapadła cisza. Śnieżewski wstrzymał powietrze, patrząc na dowódcę. Kornilowicz drżał, zaciskając mocno dłonie, aż napięte mięśnie zwiotczały, a przez twarz przemknął wymuszony uśmiech.

- Przepraszam, poruczniku. - Machnął dłonią. - Chyba się zagalopowałem. Po prostu... Po prostu ciężko jest milczeć w sytuacjach, kiedy... Sam pan wie. Zwłaszcza pan.

- Wiem, komandorze. - Przymknął oczy Śnieżewski. - Zwłaszcza ja.

- Czy wtedy, gdy omdlał pan w centrali. - zawahał się Kornilowicz. - Czy to było. to? To, o czym pan opowiadał przed wyjazdem do Kopenhagi?

- Nie wiem. Chyba tak.

Wojtek aż wzdygnął się na wspomnienie płomieni.

- Niech pan dojdzie do siebie. - Dowódca wstał ciężko, aż strzeliło mu w kolanach. - Fiord Ofot jest pusty, a droga do Narwiku otwarta. Chcę mieć pana na mostku, gdy przystąpimy do ostrzału pozycji oddziałów Dietla. Chyba że Trollope postanowi najpierw zarzucić ich ulotkami wzywającymi do poddania. - Parsknął śmiechem i ruszył w stronę drzwi. Nim wyszedł, odwrócił się jeszcze na chwilę. - Kim jest ta Kriss, poruczniku, którą pan z takim uczuciem wzywa przez sen? - zapytał z uśmiechem. - Czyżby jakaś nieszczęsna Szkotka, którą niecznie pan uwiódł w Rosyth?

Śnieżewski zamknął oczy.

- Nie wiem, komandorze - powiedział ze zmęczeniem. - Zdaję sobie sprawę, że brzmi to dziwnie, ale naprawdę nie wiem.

Las wpatrywał się w niego.

Gefrajter Helmut Dirsch, żołnierz 3. kompanii 139. pułku strzelców górskich, potrząsnął głową, próbując zająć myśli czymś innym. Upiorne wrażenie nie odstępowało go jednak i żołnierz przystanął, wstrzymując oddech. Pasma mgły wolno sunęły między ciemnymi pniami świerków niezmacone najmniejszym podmuchem wiatru. Cisza była tak głęboka, że nawet szelest kroków na twardym, zmarzniętym śniegu wydawał się hałasem.

„Jest tam kto?” - chciał krzyknąć, ale powstrzymał go lęk. „Głupcze - skarcił się w myślach. - Czego się boisz? Drzew?”.

„Nie wiem - odpowiedziała mu podświadomość. - Ale boję się”.

Z każdą chwilą miał coraz większą ochotę, by powrócić do obozu. „Dopiero by było - próbował zadrwić sam z siebie. - Dopiero by się chłopaki śmiały... Gefrajter Helmut Dirsch spietrał na warcie! Gefrajter Helmut Dirsch bał się ciemności i uciekł do obozu!”.

„Nie - poprawił sam siebie. - Nie śmialiby się. Nie po tym, jak zaginęli Nils i Jonas. Nie po tym, co się stało z Gustavem”.

W innych okolicznościach nikogo nie zdziwiłoby zaginięcie dwójki żołnierzy. Podczas zajmowania obcego, nieznanego terenu tego rodzaju straty wliczone były w ryzyko. Ludzie mogli przecież zabłądzić, wpaść w sidła na dziką zwierzynę czy paść ofiarą norweskich niedobitków, których bandy wciąż włóczyły się po okolicy. Mogli też nawet zamarudzić z dziewczynami czy wręcz zdezerterować. Zwłaszcza Nils, którego rodzice pochodzili z Danii czy ze Szwecji. Jałowe spekulacje przerwał jednakże trup Gustava, a wtedy na wszystkich padł blady strach.

Spodnie górskie, sweter i wiatrówka Unterfeldwebla Gustava Karsheima były całkiem poszarpane, a jego ciało znaczyły dziesiątki zadrapań i skaleczeń. Najpotworniejsza rana znajdowała się tuż pod potylicą - część karku została po prostu wyrwana z ogromną siłą i pozostały po niej jedynie kikuty przerwanego rdzenia kręgowego. Starczył rzut oka, by wiedzieć, że Gustava przygniotło do ziemi ogromne zwierzę, które następnie rozszarpało mu szyję. Wyraz skrajnego przerażenia na jego twarzy potwierdzał tę teorię.

Wbrew surowym przykazaniom majora Hutschera zwiadowcy, którzy

odnaleźli ciało Gustava, nie potrafili utrzymać języka za zębami. Wkrótce wszyscy rozprawiali przyciszonymi szeptami o straszliwej śmierci swego kolegi, a w rozmowach coraz częściej powtarzało się złowieszcze słowo *Werwolf*. W to, że Nils i Jonas nagle się odnajdą, nie wierzył już nikt. *Werwolf*...

Helmut czuł, jak resztki racjonalnego myślenia umykają w popłochu. Nienawidził tego przekłętego, zamglonego lasu i świetlistej jasności północnej nocy. Nienawidził rozkazu, który przywiódł go tutaj, za krąg polarny, i kazał bronić niewielkiego półwyspu przed Norwegami, Brytyjczykami czy kimś tam jeszcze.

„Po co to komu? - przemknęło mu przez myśl. - Jakie znaczenie dla wojny ma ten jeden, cholerny skrawek ziemi, gdzie od wczoraj budowali stanowiska dla haubic

pułkowych?”.

Podświadomie cofał się krok za krokiem. Mimo ciepłego swetra, brezentowej wiatrówki i wełnianych rękawiczek jego ciało przeszywały dreszcze. Szybko oddychał, a wokół jego ust rozkwitał obłoczek pary.

- Po co to komu? - szeptał. - Po co?

Nagle wśród mgły prześlizgnął się ciemny kształt, a zmartwiały Helmut usłyszał zgrzytliwy szelest. Pazury ślizgające się na lodzie?

- Kto tam jest? - krzyknął, próbując nadać swemu głosowi mocne brzmienie. Lufa karabinka mauzer nerwowo omiatała las dookoła. - Kto tam? - zawołał raz jeszcze, nie przestając się cofać.

Gorączkowo próbował oszacować odległość, jaka dzieliła go od obozu, gdy powietrzem niespodziewanie wstrząsnęło wycie wilka.

Pieśń zwierzęcia wibrowała, aż ociekała szyderstwem i nienawiścią. Helmut rzucił się do ucieczki. Zgubił karabin, stracił czapkę, a ostra gałąź rozdarła mu policzek, lecz nawet tego nie zauważył.

„Szybciej - powtarzał w myślach. - Oby dalej od tego czegoś...”.

Wycie urwało się tak nagle, jak się rozpoczęło, a pod stopami biegnącego żołnierza otworzył się przepastny wykrot. Helmut krzyknął przeraźliwie, upadając i przygniatając sobie łokieć. Pośród mgły poniósł się suchy odgłos pojedynczego wystrzału.

„Mauzer - pomyślał półprzytomnie, próbując wygramolić się z wykrotu. - Gdzieś na prawo, a więc ten młody Wickler. Albo Kornitz. *Mein Gott...*”.

Ryk przerażenia przebił mgłę sekundę po strzale i niemal natychmiast zamienił się w bełkot, jakby ktoś zachłystywał się krwią. Kolejne odgłosy zagłuszył wystrzał z haubicy.

„Śmierć”, bezwiednie pomyślał Śnieżewski. Okrutna, brutalna śmierć, której towarzyszył paniczny strach...

- Ogień artyleryjski! - wrzasnął któryś z obserwatorów. - Bateria na półwyspie przed dziobem, namiar zero piętnaście!

Ciemny kształt spowitego mgłami ładunku nagle rozświetlił pojedynczy błysk, a po nim kolejny. Na mostku „Gromu” zawrzało.

- Alarm bojowy! Kurs zero! - zawołał Kornilowicz, po czym nachylił się

nad rurą

głosową. - Maszynownia pół naprzód!

- Dalmierz, raport! - Śnieżewski odkaslnął.

- Się robi, poruczniku! Odległość tysiąc sześćset metrów! I maleje!

- To musi być niemiecka bateria polowa, komandorze! - zameldował Łęk, blady jak zawsze, lecz z oczami skrzącymi od napięcia. - Ten półwysep to Emmenes, na mapach nic tu nie ma, Norwegowie nigdy...

- Proszę otworzyć ogień, gdy będzie pan gotowy!

- Wieże jeden i dwa! Cel, niemiecka bateria nabrzeżna! Odległość tysiąc sześćset metrów i się zmniejsza! Kąt...

Głuchy, niemalże gniewny pomruk motorów rozpędzającego się niszczyciela narastał. Na długich, oleistych falach fiordu jego niska, przygarbiona sylwetka przypominała mitycznego potwora, a obracające się szybko lufy dział wyglądały na głodne paszcze. Działa na cyplu Emmenes raz jeszcze plunęły ogniem. W kilwaterze niszczyciela wystrzeliły fontanny wody.

Siedem luf kalibru stu dwudziestu milimetrów znieruchomiało, wpatrzone w rozświetlony błyskami półwysep.

- *Lieutenant O'Mallory, can I ask you to report to the squadron commander: Engaged the enemy artillery*¹⁵ - powiedział Kornilowicz, podnosząc lornetkę to oczu. - Śnieżewski, ile to jeszcze ma trwać?

Oczy wszystkich skierowane były na półwysep. Serca biły szybko, oczekując kolejnej niemieckiej salwy. Nikt nie patrzył na O'Mallory'ego, który odwrócił się do radiotelegrafisty. Brytyjski oficer łącznikowy zaciskał mocno zęby, a na jego twarzy malowała się z trudem tłumiona wściekłość.

- Ognia!

Naraz pokład zadrżał, a ciemny kontur okrętu rozświetliło siedem długich języków ognia. Pociski z gwizdem pomknęły ku stanowiskom niemieckim, a sekundę później między drzewami pojawiły się gwałtowne wybuchy.

- W celu! - zameldował obserwator, a w jego głosie brzmiało źle skrywane zadowolenie.

„Wiem - pomyślał Śnieżewski, przymykając oczy. - Czuję. Znów

plómiemie żrące skórę, wypalające oczy, czepiające się ubrań”.

- Ogień ciągły!

Gefrajter Helmut Dirsch wbiegł w środek piekła. Kłęby dymu spowijające sunący po wodach fiordu niszczyciel rozświetlały coraz to nowe salwy. Pociski eksplodowały wszędzie wokół, przewracały drzewa i powalały żołnierzy, napelniając powietrze potwornym żarem. Krzyczący przeraźliwie Dirsch biegł naprzód i szarpał za mundury mijanych kolegów, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi.

Nikt nie chciał słuchać o wilkołaku.

Nagła fala gorąca cisnęła nim o pień drzewa, oślepiła i ogłuszyła. Gdy Dirsch ponownie uniósł zakrwawioną twarz, świat był niemy, pozbawiony choćby jednego dźwięku. Przerazone muły ciągnące polową haubicę na płozach rżały bezgłośnie, a z otwartych ust próbujących je opanować żołnierzy nie wydobywał się żaden krzyk. Kilku jego kolegów biegło z erkaemami i skrzynkami amunicji, poganiając się niemym wrzaskiem.

Ktoś szarpnął go za ramię. Stojący za jego plecami feldwebel Mayer krzyczał coś z całych sił, wskazując dłonią haubicę. Oczy pośród osmolonej twarzy lśniły wściekłością.

Nad ich głowami przemknął kolejny pocisk, przeciął korony drzew i znikł. Ciszę rozerwała nieodległa eksplozja. Odgłosy bitwy powróciły, niemalże zbijając go z nóg.

- ...źle dla ciebie skończyć, Dirsch! - wrzeszczał Mayer. - Ruszaj do pomocy!

Muły rżały przenikliwie, żołnierze klęli z pasją, ranni wyli z bólu. Płonące nieopodal drzewo skwierczało głośno, zalewając okolicę migotliwym blaskiem. Stojąca gdzieś dalej haubica wystrzeliła, a w odpowiedzi echo przyniosło głuchoe dudnienie kolejnej salwy okrętu wojennego.

- Przeklęty polski niszczyciel! - warknął feldwebel. - Rozwalił już jedno działo i namierzył dwa kolejne, trzeba je...

- *Werwolf*... - wyjęczał strzelec, zaciskając dłonie na nadgarstkach Mayera. - Tam w lesie... Zabił Wicklera albo Kornitza, może obu... Nie

widziałem...

W oczach sierżanta błysnął lęk, natychmiast zastąpiony przez zwykłą surowość.

- Nie czas na panikę, Dirsch! - Nagłym szarpnięciem uwolnił nadgarstki i poderwał strzelca na nogi. - Do roboty!

Oszołomiony Dirsch podbiegł do zaprzęgu. Zasapani, osmoleni artylerzyści zdołali już odrzucić liny i naprowadzali właśnie haubicę na cel. Pozostali żołnierze zmagali się z przestraszonymi mułami, które wpierały się w ziemię i rżały przeraźliwie, nie chcąc zrobić ani kroku. Dirsch dołączył do nich. Kątem oka zauważył, że Mayer nakazał rozstawić erkaemy w kierunku lasu.

Zwierzęta przywiązano w końcu do drzewa, a wtedy haubica wystrzeliła z hukiem. Pocisk roztrącił dymy spowijające okręt wojenny i eksplodował na śródkręciu.

- Ładuj! - ryknął Mayer, przerywając słabe wiwaty artylerzystów. - Jeszcze dwa, trzy wystrzały i zmieniamy pozycję!

Dirsch zauważył, że znów zerknął w kierunku lasu.

Trafiony niszczyciel stęknął i ugiął się niczym żyjąca istota. Siła uderzenia posłała wszystkich na ściany, a pośród nagłych ciemności rozległy się pełne zaskoczenia krzyki i jęki rannych. Okręt zaczął zwalniać.

- Raport o stratach! - ryknął Kornilowicz, dopadając rury głosowej. - Maszynownia! Czif, co tam się dzieje?

- Nikt nie zginął... - wymamrotał Snieżewski nadal oparty o ścianę centrali artyleryjskiej. - Wszyscy żyją...

Nikt go jednak nie usłyszał. Ponownie zamrugały lampy powitane kilkoma okrzykami. Nachylony nad rurą głosową dowódca wyszcze kiwał rozkazy, blady jak ściana choraży Tomczak ujął koło sterowe, a porucznik Dzielski narzucił płaszcz i biegł badać straty. Oszołomiony O'Mallory stał nieruchomo, wpatrując się w niemiecki półwysep, wciąż rozbłyskujący wystrzałami.

- Snieżewski, czy kazałem panu wstrzymać ogień? - warknął Kornilowicz, podnosząc się znad rury.

- Wieże jeden i dwa, poprawka! - Wojtek ocknął się. - Cel, wrogie działo nabrzeżne, odległość tysiąc trzysta i maleje...

- Maszynownia! - Rura głosowa zagrziała metalicznym głosem bosmana Korzennego. - Kapitanie, kiepsko to wygląda! Pocisk przebił się do środka! Zawór pary do dławnicy rozwalony, ale nie ma pożaru! Musieliśmy zamknąć jeden kocioł!

- Psiamać! - Dowódca pokręcił głową. - Ile czasu potrzebujecie na naprawę?

- Parę godzin!

- Doskonale! Czif, daj pan zatem wszystko, co można! Wiejemy stąd! - Kornilowicz zatkał rurę głosową. - Panie Łęk, proszę wytyczyć kurs na zatokę Bogen. Poza zasięgiem szkopskich dział szybko naprawimy zawór i rano wrócimy, by zakończyć sprawę!

Odpowiedziały mu głośnie wiwaty. Kornilowicz zrobił krok, jakby chciał sam stanąć za kołem sterowym, lecz wstrzymał się. Chorąży Tomczak z wypiekami na twarzy zakręcił kołem sterowym, wprowadzając uszkodzony okręt na nowy kurs.

- Pocisk przebił burtę nad linią wodną! - Dzielski wpadł na mostek. - Nie ma zabitych, trzech lekko rannych już odprowadzonych do...

Reszta słów utonęła w huku kolejnych wystrzałów wycofującego się niszczyciela. Wieże rufowe podjęły wściekły ostrzał pozycji niemieckich i wśród drzew znów strzeliły słupy ognia. Śnieżewski uśmiechał się, kiwając głową.

Ciemny koń zmienił pozycję na planszy. Zakończywszy ruch, Harrington wyprostował się na krześle i upił nieco sherry ze szklanki. Dudnienie salw artyleryjskich stawało się coraz odleglejsze.

- Hmm... - Komandor Trollope oparł twarz na pięści, marszcząc lekko brwi. - Tego się nie spodziewałem.

- To zbyt uczynne pochlebstwo, komandorze - stwierdził Harrington. - Trudno zaskoczyć tak pierwszorzędnego przeciwnika jak pan.

- Nie powiedziałbym. - Bruzda na czole Trollope'a pogłębiła się. - Zostało panu około pięciu ruchów do mata.

- Na tym właśnie polega klasa pana jako szachisty. Analizuje pan nie tylko swoje ruchy, ale także ruchy przeciwnika.

Ktoś zastukał do drzwi i Trollope obejrzał się z niechęcią.

- Wejść!

Na progu wyrosła sylwetka pierwszego oficera Johna Wackherta. Był to ów małomówny, wysoki Szkot z wydatną grdyką i czarnymi, kręconymi włosami. Porucznik zaszalutował i przestąpił próg kabiny kapitańskiej.

- Sir, polski niszczyciel oddala się od niemieckich pozycji - zameldował. - Płynie na zatokę Bogen u wylotu fiordu. Przed chwilą niemiecki pocisk przebił jego burtę, najprawdopodobniej powodując uszkodzenia w maszynowni, gdyż prędkość okrętu spadła.

- Doskonale. Dziękuję, panie Wackhert. - Trollope pochylił się ponownie nad szachownicą. - Proszę trzymać kurs i pilnować zaciemnienia okrętu.

- Oczywiście, sir. - W bezosobowym tonie głosu Wackherta pojawiła się nowa nuta. - A co z raportem porucznika O'Mallory'ego o powtarzających się aktach niesubordynacji polskiego dowódcy?

- Chyba nie spodziewa się pan, że zajmę się tym w tej chwili? - westchnął Trollope. - Czy jeszcze coś, panie Wackhert?

- Tak - odezwał się oficer niepewnie. - Jest jeszcze coś.

Trollope, który już miał ująć kolejną figurę, zawahał się. Wackhert należał do tych oficerów, którzy odzywali się tylko wtedy, gdy naprawdę musieli. Z pewnym zaskoczeniem przyjrzał się mu uważnie.

- O co chodzi, poruczniku? - zapytał.

- Ludzie się obawiają o pańskie zdrowie, sir - powiedział Wackhert, patrząc ponad jego ramieniem. - Od wczoraj nie opuszcza pan kajuty, o dowodzeniu z mostka nie mówiąc. Załoga czuje się niepewnie. Mówią, że kapitan chyba chory, skoro podczas akcji bojowej...

- Nie rozumiem pańskich słów, Wackhert. - Trollope zagryzł dolną wargę. - Wszyscy otrzymali konkretne, precyzyjne rozkazy. Mamy przejść niezauważeni obok pozycji niemieckich i wysadzić ludzi majora Gubbinsa na wysokości fiordu Skjommen. O co, do diabła, chodzi? Nie czuje się pan na tyle kompetentny, by mnie zastępować?

- Ależ skąd, sir. Wszystko w porządku. - Na blade policzki Wackherta wypełził rumieniec człowieka śmiertelnie urażonego. - Przepraszam, że przeszkadzam. Powiadomię pana, gdy osiągniemy Skjommen.

Oficer zsalutował sztywno i ujął klamkę, omiatając krótkim spojrzeniem tajemniczego dżentelmena, który od dwóch dni nie opuszczał dowódcy ani na krok. W spojrzeniu porucznika kotłowała z trudem tłumiona wściekłość, lecz wzrok Harringtona pełen był chłodnego spokoju. Ukłonił się lekko Wackhertowi i ponownie skupił się na szachownicy.

Porucznik wyszedł z kajuty, głośno trzaskając drzwiami.

- Wackhert to doskonały oficer. - Trollope pokiwał głową, przesuwając figurę. - Najwidoczniej jednak zadanie zaczyna go przerastać. Pierwszy raz mu się zdarzają takie kaprysy, proszę mi wierzyć.

- Ależ wierzę - odpowiedział Harrington.

W jego oczach skrzył się źle skrywany tryumf.

Major Gubbins mocno zawiązał górskie buty i stanął pośrodku kabiny, jeszcze raz sprawdzając ekwipunek. Nóż o cienkiej stalowej kłindze, garota i latarka przy pasie, ostatni magazynek do tomigana, miny w niewielkim plecaku, granaty i środki opatrunkowe w kieszeniach kurtki i w końcu mapa, przyklejona po jej wewnętrznej stronie. Miał na sobie ciemny sweter, kurtę i spodnie z nieprzemakalnego materiału, na głowę naciągnął czarną, wełnianą czapkę, a na dłonie pięciopalczaste rękawiczki.

- Jestem gotów - powiedział cicho, przerzucając przez ramię tomigana.

Ziewnął przeciągle, odruchowo zasłaniając usta. Od wczorajszego dnia Harrington nie zajrzał nawet do kajuty. Bez chwili przerwy towarzyszył dowódcy okrętu i bezsenność Gubbinsa odeszła niczym ręką odjął. Major spał od popołudnia niczym zabity, a gdyby nie Patterson, który zameldował o zbliżającym się fiordzie Skjommen, spałby zapewne dłużej.

„Dużo bym dał, by wiedzieć, co knuje Harrington”, pomyślał z niechęcią. Trzyma się Trollope’a niczym pies pasterski stada owiec. Na pewno szykuje jakieś nowe szaleństwo, jak wtedy w Kopenhadze. Czy w przeciwnym razie...

Naraz serce zabiło mu mocniej. Dziennik! Ten kajet, w którym pisał w wolnych chwilach! Nareszcie mam okazję, by do niego zajrzeć!

- Jest pod koją. W walizce - odpowiedział cicho głos z ciemnego kąta.

Gubbins padł na kolana i jednym szybkim ruchem wysunął walizeczkę zwierchnika. Otworzył ją trzęsącymi się dłońmi i natychmiast namacał twarde, kanciasty kształt grubego zeszytu. W jego lewej dłoni pojawiła się latarka.

- Może teraz się dowiem, kim pan jest, Harrington... - szeptał, otwierając kajet na kolanach i kierując snop światła na kartki. - Może w końcu...

Nagle głos uwiązł mu w gardle. Kartka pokryta była nieczytelnymi bąbkami szaleńca, które w niczym nie przypominały liter. Major przerzucił kilka stron do tyłu - wszędzie to samo - i pchnięty nagłym przerażeniem wrzucił kajet do walizeczki i wcisnął ją gwałtownie pod koję.

Pracował dla szaleńca.

Mgła spływała na wody fiordu spomiędzy pni gęstych, świerkowych borów, całkiem zakrywając świat. Ledwie żołnierze Gubbinsa nachyliłi się nad wiosłami szalupy, groźna, przyczajona sylwetka HMS „Zulu” znikła w mlecznych oparach, a tuż po niej ogień na północnym brzegu półwyspu.

Anglicy wiosłowali ostrożnie, nerwowo nasłuchując, lecz wokół panowała cisza, przerywana jedynie cichymi pluśnięciami wody i ciężkimi oddechami. Gubbins, trzymając jedną rękę na sterze, a drugą celując tomiganem w kierunku niewidocznego jeszcze brzegu, miał chwilę na rozmyślania.

Szalona wyprawa do Kopenhagi i bandyckie włamanie do ambasady Niemiec. Spalenie The Frythe. Dziennik wypełniony bazgrołami szaleńca. Magnetyczny wpływ, jaki Harrington wywierał na ludzi, w tym na kapitana tego niszczyciela.

„A ja? - pomyślał nagle. - Czy też jestem pod wpływem Harringtona? Ha, na pewno”.

Kolejne przemyślenia przerwał stukot kry o burtę szalupy. Po chwili ujrzeli kilkumetrową tarczę lodu okalającą kamienisty brzeg fiordu. Wyżej rosły już pierwsze świerki. Sierżant Patterson przewiesił nogę przez burtę szalupy i uderzył kilkakrotnie obcasem o lód.

- Nie pęknie - szepnął.

- Dalej, chłopcy! - popędził wszystkich Gubbins. - Brać sprzęt i naprzód, ale pojedynczo! Ostatnia dwójka wciaga łódź między drzewa!

Jeden po drugim ludzie Sekcji D znikali we mgle między drzewami, Gubbins dotarł tam jako jeden z ostatnich. Za nim dołączyła jeszcze zasapana dwójka, której zadaniem było ukrycie szalupy. Byli w komplecie.

- Dla jasności raz jeszcze powtórzę wytyczne - powiedział cicho Gubbins, klęcząc na stwardniałym śniegu. - Mamy rozpoznać teren wokół pozycji nieprzyjacielskich baterii nabrzeżnych w Ankenes i Emmenes. Jeśli będzie to możliwe, spróbujemy nieco szkopów podsmażyć i tego najbardziej nie mogę się doczekać. „Zulu” podpłynie do Skjommen punktualnie o czwartej zero zero - spojrział przy tym na fosforyzującą tarczę zegarka - a to oznacza, że mamy trzy godziny i kwadrans. Są pytania?

20.

Nie było. Odpowiedziały mu chichoty i drapieżne błysnięcia zębów, któryś z żołnierzy zatarł z zapalem dłonie.

- Szkoda zatem czasu! W drogę!

Gubbins jako pierwszy zagłębił się w szarą, nieprzyjazną mgłę między drzewami. Biegł lekkim truchtem, trzymając odbezpieczony pistolet maszynowy, a za nim sunęła reszta żołnierzy bezszelestnych niczym leśne duchy. Nie słyhać było ani jednego zbędnego słowa czy szczęknięcia broni, jedynie ciche, przyspieszone oddechy i skrzypienie śniegu. Co chwilę Gubbins unosił dłoń i przypadał do ziemi, by się wsłuchać w odgłosy nocy, a wtedy reszta oddziału natychmiast kryła się wśród drzew bez żadnego dźwięku.

Lecz las milczał, kryjąc swe tajemnice przed grupą brytyjskich żołnierzy. Mgła

spływała po zboczu góry Emmenesfjellet, nadając skałom i wykrotom kształty fantastycznych stworzeń. Niespodziewanie nozdrza Gubbinsa pochwyciły słony, zimny zapach morza.

W tej samej chwili ciszę zakłócił narastający warkot motocykla. Gubbins natychmiast nakazał ludziom przypaść do ziemi, a sam skoczył kilka metrów naprzód. Kucnął za jałowcem w samą porę, by ujrzyć rozpędzony motocykl prowadzony przez skulonego strzelca górskiego w skórzanym płaszczu. Maszyna rozbryzgnęła kałuże tuż obok kryjówki Gubbinsa i pomknęła dalej w mrok.

„Jedzie do Ankenes - pomyślał, dostrzegając pojedyncze wątle światełka w oddali. - Jesteśmy blisko”.

Wojtek znów poczuł się niepotrzebny. Z chwilą, kiedy „Grom” rzucił kotwicę przy skalistym brzegu zatoki Bogen, w maszynowni rozpoczęły się prace remontowe, wachtę objął pierwszy oficer, porucznik Dzielski. Zaprzątnięty naprawą Kornilowicz odesłał Śnieżewskiego na spoczynek, lecz Wojtek wiedział, że tej nocy na sen nie ma co liczyć. Stał przy centrali artyleryjskiej, paląc papierosa, a w głowie wciąż dudniło mu od wystrzałów z dział. Cały drżał na wspomnienie fal mroku, które zalewały jego umysł, zwiastując kolejną śmierć.

Przed oczami stanął mu pokój hotelowy w Kopenhadze i ostry, przerażający wzrok Tritza.

„Mój dar się rozwija - pomyślał z rozpaczą. - Czuję śmierć, każda śmierć. Boże, zabierz to ode mnie”.

Naraz poczuł na sobie wzrok Staszka Łęka, który porządkował mapy na stanowisku nawigacyjnym. Spojrzał na niego, a dawny przyjaciel natychmiast opuścił wzrok.

„Zabierzcie ten cholerny dar ode mnie”, powtórzył w myślach, zaciskając z rozpaczą zęby. Zarzucił na ramiona zydwestkę i wyszedł wolno na pokład. Poza stłumionymi odgłosami naprawy dobiegającymi spod pokładu wokół panowała cisza. Z melancholią przyjrzał się ciemnym bryłom gór odcinającym się od szarzejącego nieba. Dopiero po chwili zauważył, że wyrosła przy nim jakaś postać.

- Ładne widoki, nieprawdaż?

Pytanie zadane po angielsku wyrwało Wojtkę z zadumy. Kenneth O'Mallory, brytyjski oficer łącznikowy oddychał głęboko, jakby się denerwował. Obłoczek pary wokół jego ust był długi i gęsty.

- Tak - odpowiedział Wojtek z ociąganiem. - W istocie.

- Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam? - spytał O'Mallory, nie patrząc przy tym na niego. - Poza panem i dowódcą ledwo kto mówi u was po angielsku, a czasami chciałoby się pogadać.

„Po angielsku mówi już połowa załogi - pomyślał nagle Wojtek. - Masz do mnie jakąś sprawę na boku, tak, nadęty bufonie?”

- Mogę panu w czymś pomóc? - zapytał oficjalnym tonem.

- Tak. - Brytyjczyk skinął głową. - Może pan. Chodzi o dowódcę. Komandora Kor... Kor...

- Kornilowicza. Jeśli ma pan sprawę do kapitana, to czemu pan z nim nie porozmawia? - Śnieżewski zmarszczył brwi.

- Bo to błahostka. - O'Mallory wzruszył ramionami. - Jest pan odpowiedzialnym oficerem i po prostu chciałem wiedzieć, jaki jest pana stosunek do tego człowieka.

- Szanuję go jako żeglarza i dowódcę. - Śnieżewski odwrócił się twarzą ku O'Mallory'emu. - Dziwi to pana?

- Ależ skąd! - Anglik zaśmiał się sztucznie. - Podporuczniku, przecież ja nie poddamę pana próbie lojalności! Może pan śmiało mówić prawdę.

- Sądzi pan, że kłamię?

- Skądże znowu, kłamstwo nie licuje z honorem oficera marynarki wojennej. Po prostu wydaje mi się, że pana szacunek do Kornilowicza jako człowieka utrudnia panu spojrzenie na niego jako dowódcę.

- Do czego pan zmierza, O'Mallory? - W głosie Wojtki pojawiło się rozdrażnienie.

- Czy naprawdę muszę panu otwierać na to wszystko oczy, Śnieżewski? - Brytyjczyk wzruszył ramionami. - Pański dowódca to rzadko spotykany przypadek niesubordynacji i bezczelności. To człowiek nienawykły do słuchania autorytetów czy podporządkowywania się zwierzchnikom. Nie wróżę mu długiej kariery w Royal Navy, podporuczniku.

- Komandor Kornilowicz służy w Polskiej Marynarce Wojennej! -

Wojtek zgrzytnął zębami. - Nie w Royal Navy!

- A to ci dopiero. - O'Mallory machnął ręką. - Dobrze pan wie, że na mocy umowy między naszymi rządami niedobitki waszej walecznej floty zostały organizacyjnie podporządkowane admiralicji brytyjskiej. Oznacza to, że zarówno pan, jak i Kornilowicz macie obowiązek wypełniania poleceń admiralicji, a także dopasowania się do naszego *fleet work*! Proszę wybaczyć, panie podporuczniku - zmrużył szyderczo oczy - ale Wielka Brytania na tyle długo panuje nad morzami i oceanami świata, by wypracowaną przez nas taktykę uważano za najlepszą. Pański dowódca wydaje się to ignorować na każdym kroku, począwszy od poszukiwania U-Bootu przy pomocy reflektora na Morzu Irlandzkim po wczorajsze zignorowanie bezpośredniego rozkazu komandora Trollope'a z HMS „Zulu”. Po powrocie do Wielkiej Brytanii jestem zobowiązany przedstawić sumienny raport na temat jego postawy. Pomyślałem sobie, iż przydałby mi się wiarygodny świadek niesubordynacji tego Kor. Kor.

- Komandora. Komandora Kornilowicza - powiedział cicho Śnieżewski, zaciskając z całej siły pięści. - Mała poprawka, O'Mallory. Panu nie chodzi o *fleet work*, niesubordynację czy reflektor. Pana boli to, że komandor walnął pana w pysk, gdy wpadł pan w panikę na mostku, nieprawdaż?

Twarz O'Mallory'ego spąsowiała.

- A żeś pan jest tchórzem, to szukasz sobie innego tchórze do pomocy - ciągnął

Wojtek, bez lęku wbijając wzrok w oczy Brytyjczyka. Nagle poczuł ulgę, mogąc

wylądować swą długo gromadzoną wściekłość. - Tak po tchórzowsku, po prostu kopiąc

pod nim biurokratyczny dołek. Złe żeś pan wybrał, O'Mallory!

Z tymi słowami z całej siły grzmotnął Brytyjczyka w szczękę.

Starczyło kilka sekund, by ciemne sylwetki bezszelestnie wychynęły z mgły i przylgnęły do ścian drewnianych, krytych darnią chat.

„Leśne duchy”, przemknęło przez głowę Gubbinsa, gdy wyjrzał zza węgła i dostrzegł dwóch ostatnich ludzi Sekcji przebiegających

kilkanaście metrów za plecami Niemców w gnieździe karabinu maszynowego. Jeden przypadł do ziemi za stertą drewna, a drugi ukrył się za kilkoma złożonymi rusztowaniami do suszenia ryb.

„I co, szkopy?”, pomyślał z uniesieniem Gubbins.

Gubbins jeszcze raz rozejrzył się uważnie. Wioska Ankenes składała się z kilkunastu chat rybackich, garści szop, niewielkiego sklepu oraz parterowej szkoły, które zgromadzone były wzdłuż gruntowej, pokrytej zamarzniętymi kałużami drogi. Za drogą teren opadał ku kamienistemu brzegowi fiordu, gdzie majaczyły ciemne kształty łodzi. Oba jej wyloty - na północ w kierunku Emmenes i na południe ku przystani Beis, skąd odbijał prom do Narwiku - Niemcy zagrodzili szlabanami strzeżonymi przez stanowiska karabinów maszynowych.

Gubbins rozejrzył się uważnie. Dostrzegł dwa kolejne stanowiska kaemów, ale poza nimi uśpione Ankenes nie miało żadnych specjalnych zabezpieczeń. Niemcy wydawali się bardzo pewni siebie. Z trzech wartowników, których ciała stygły już w leśnym jarze przykryte białymi kurtkami maskującymi, tylko jeden nie drzemał. Pozostałych obudziła dopiero wbijana w serce stal noża lub stalowy drut garoty wrzynający się w skórę szyi. Droga do celu wyprawy, dwóch przykrytych brezentem dział polowych kalibru siedemdziesięciu pięciu milimetrów między chatami, wydawała się stać otworem.

A jednak Gubbins się wahał.

Zbliżała się godzina trzecia nad ranem, a mrok z wolna odpływał znad fiordu, ustępując miejsca lepkiej, wilgotnej szarości. Mgła podeszła jeszcze bliżej, zasłaniając przed jego oczami południowy szlaban. Nieliczni wartownicy z trudem walczyli z sennością - niektórzy próbowali gawędzić lub palić papierosy, lecz większość drzemała, opierając się o ściany domów lub worki z piaskiem. W oknach jednej z chat, z dachu której sterczał drut radiostacji polowej, wciąż paliło się światło. Pod jej drzwiami stał motocykl.

Była trzecia nad ranem, okres największej, nieodpartej senności. Uśpionych czy nie, Niemców było jednak około stu.

„A nas dziewięciu - pomyślał Gubbins. - Ech tam, pieprzyć rachuby”.

Gestem dał znak do ataku.

W tym samym momencie drzwi od chałupy z anteną uderzyły z hukiem o ścianę, a kłęby mgły załśniły żółtym światłem padającym z jej wnętrza.

Zaspani żołnierze unieśli głowy, a ze środka wybiegł motocyklista, w pośpiechu zapinając hełm.

- Chcę mieć raport, a nie stek bzdur! - wykrzyknął w ślad za nim oficer, który pojawił się na progu. - Major Hutscher to dobry oficer, a nieporządek w baterii

Emmenes to jego zasrany...

Motocyklista kopnął starter, a z rury wydechowej strzelił obłoczek dymu.

„No, to mamy efekt zaskoczenia z głowy”, pomyślał z rozpaczą Gubbins. W rzadziejcej ciemności widział dwójkę swych ludzi, którzy przekradali się wśród drzew w kierunku szkoły.

- Patterson! - syknął do snajpera Sekcji. - Oficer, potem motocyklista!

- *Yes, sir!* - warknął sierżant Patterson i uniósł karabin do ramienia.

Dalej wypadki potoczyły się z prędkością i siłą toczącej się lawiny.

- *Verdammtte Arschloch* - warknął oficer, z wściekłością patrząc za odjeżdżającym motocyklistą. - *Ja, ein Werwolf, doch...*

Kula z karabinka snajperskiego roztrzaskała jego czaszkę, a zakrwawiona czapka wyfrunęła szerokim łukiem w powietrze. Nim upadła, kolejna kula zmiotła z siodełka motocyklistę, a jego maszyna, pozbawiona obciążenia, pomknęła ku budynkowi szkoły, podskakując na wybojach. Jednocześnie dwóch ludzi Sekcji D wychyło z ukrycia i kilkoma strzałami z broni krótkiej skosiło gwałtownie przebudzonych wartowników na schodach. W następnej sekundzie znikli we wnętrzu budynku.

Eksplozje granatów wstrząsnęły powietrzem, gdy zgarbiony Gubbins pędził już w kierunku chaty z anteną, siejąc naokoło seriami z thompsona. Dopadł do ściany, cisnął do wnętrza granat i odskoczył, zatykając uszy.

Przez drzwi wystrzelił snop ognia, niemalże oślepiając go swoją jasnością. W rozedrganym powietrzu widział swych żołnierzy, jak wyskakują z budynku szkoły i biegną w kierunku lasu. Ogień nagle buchnął przez wszystkie okna, a na schodach wyroili się wrzeszczący uciekinierzy w płonących ubraniach.

Kolejne wybuchy, a zaraz po nich pojedyncze wystrzały z karabinów uświadomiły mu, że reszta zespołu niszczy właśnie niemieckie działa. Gubbins wypróżnił magazynek, kosząc zataczającego się,

zdezorientowanego artylerzystę, i rzucił się w stronę lasu.

Było już jasno jak w dzień, a opary mgły umykały, spłoszone wybuchami. Gubbins gnał jak szalony, wbijając głowę w ramiona. Za jego plecami eksplodowały oba działa. Do zamieszania dołączył terkot Brena, jedyne erkaemu Sekcji.

Gubbins przepadł do ziemi między drzewami, wyszarpnął z plecaka nowy nowy bęben do thompsona, zamocował z głośnym kliknięciem i oddał kilkanaście strzałów w kierunku pierwszych strzelców górskich, którzy wybiegli z za zabudowań. Nie patrzył, czy trafił. Nie było czasu, a poza tym zaczęły mu łzawić oczy podrażnione dymem. Major zarzucił pistolet na plecy i ruszył biegiem przed siebie, nie oglądając się na resztę zespołu. Wszyscy wiedzieli, gdzie należy się wycofać po udanej akcji.

Harrington i Trollope przerwali rozgrywkę, by w milczeniu przyjrzeć się, jak Gubbins i ludzie Sekcji D wsiadają do szalupy i odpływają w kierunku ciemnego brzegu. Chwilę później do komandora Trollope'a podszedł radiotelegrafista i wręczył mu kartkę z treścią radiodepeszy. Dowódca „Zulu” przejrzał ją naprędce, a twarz mu spochmurniała.

- To ponownie od O'Mallory'ego, łącznikowego na tym polskim niszczycielu - rzucił krótko w odpowiedzi na pytające spojrzenie Harringtona. - Wygląda na to, że nie tylko kapitan ma tam problemy z dostosowaniem się do *fleet work*. Pan wybaczy, pułkowniku, muszę się zająć zarówno tym, jak i kilkoma innym zaległymi rzeczami.

Szef Sekcji D skinął głową. Przez chwilę przyglądał się brzegom fiordu niknącym za rufą niszczyciela i ruszył wolno w kierunku swej kajuty, nieświadom nieprzyjaznych spojrzeń, jakimi obrzuca go załoga.

- Gubbins czytał twój dziennik - odezwał się głos z kąta, ledwie Anglik wszedł do kabiny.

- Co takiego? - wykrzyknął z niedowierzaniem Harrington. Opadł na kolana i gniewnym ruchem wyszarpnął walizeczkę spod koi. W istocie była niedomknięta, a dziennik leżał na wełnianym szalu, a nie pod nim. - Gubbins! - warknął, podnosząc się ciężko. - Cóż temu durniowi po moich

zapiskach?

- Gubbins nie jest durniem, śmiertelnikiem. - Głos w ciemnym kącie zaśmiał się. - On widzi coraz więcej i coraz częściej zadaje sobie pytania.

- Czas już chyba poskromić tę jego ciekawość. - Harrington wepchnął walizkę pod koję. - Ile przeczytał?

- Och, niewiele! - zaśmiał się głos. - Doprawdy niewiele! Miał problem z twoim charakterem pisma!

Oddech Harringtona uspokajał się powoli, a jego dłoń spoczęła na prawej piersi, gdzie w kieszeni marynarki wciąż trzymał kopertę z ostatnim raportem „Schweibe”. Znowu naszała go ochota, by rozprostować stronicę i przejrzeć ich treść, lecz przecież czytał je już tyle razy, że wbiły mu się w pamięć. Jako jedyny człowiek na Północy wiedział, co wydarzy się pojutrze.

Dobrze znał kurs niemieckich niszczycieli, które przetrwały atak dywizjonu komandora Warburtona-Lee, a potem wymknęły się z fiordu Ofot. Ich punktem docelowym było Trondheim, gdzie miały pobrać ropę i amunicję, a także przyjąć na pokład posiłki dla generała Dietla - cały 138. pułk 3. dywizji strzelców górskich wraz z artylerią, ponad dwa tysiące doskonale uzbrojonych ludzi. Ich przybycie do Narwiku mogło zaważyć na losach wojny - nie sądził bowiem, by jego rodakom udało się zebrać wystarczające siły do skutecznego kontrataku - lecz nie dbał o to. U boku dowódcy pułku, pułkownika Rolfa Kriemana, płynął na północ profesor Michael Tritz na czele SS „Ulvhednar”, a to starczyło, by nigdy w życiu nie przekazał swym przełożonym szczegółów raportu.

„Sam zdrajca Tritz, jego największy wróg”, pomyślał Harrington i pokręcił głową. Od powrotu z Kopenhagi nie przestawał myśleć o wielkiej mocy, którą zgromadził Niemiec i tym wnikliwiej studiował *Vidarssage*, poszukując klucza do potęgi dawnych dziejów. Tritz wciąż był jednak przynajmniej o krok przed nim, jeśli będzie go tropił. Harrington miał jednak przeczucie, że Tritz natychmiast po wylądowaniu rozpocznie poszukiwania Bezimiennej Doliny. Nie mógł ani na chwilę zgubić jego śladu. By jednak Tritz wyruszył w drogę, musiał najpierw cało i bezpiecznie wylądować w Norwegii.

„I wylądują - pomyślał Harrington z tryumfem. - Wylądują! W fiordzie są przecież tylko trzy nasze okręty, a dowódca dywizjonu, Trollope... Na bogów, jakże łatwo zdobyłem jego posłuszeństwo!”

- Nie będzie problemów - powiedział głośno.
- No, chyba że ci Polacy! - zaśmiał się głos z ciemnego kąta kabiny.

„Szybko się otrząsnęli, cholerne szkopy - pomyślał Gubbins, zsuwając się po ścianie jaru. - Kapitalni żołnierze.”

Jar był głęboki ledwie na półtora metra, a jego dno pokrywał twardy, zmarznięty śnieg. Zdyszany Gubbins zamontował kolejny bęben do pistoletu maszynowego i rozejrzał się wokół. Obok niego zamarli żołnierze Sekcji, zdyszani, rozgrzani bojem. Spróbował ich policzyć, lecz w półmroku lasu było to niemożliwe.

- Patterson, wszyscy na miejscu? - zapytał.
- Tak, majorze! - odpowiedział zwalisty sierżant.
- Doskonale! Stockton, Kerre z Brenem oraz Patterson zostają ze mną, reszta do szalupy! - warknął, ostrożnie wyglądając na zewnątrz.

Zewsząd napływała gęsta, lepka mgła. Szare było wszystko - spocone twarze jego ludzi, gałęzie świerków nad ich głowami, a także płachty maskujące przygarbionych niemieckich żołnierzy.

„Kapitalni żołnierze”, pomyślał raz jeszcze Gubbins z niechętnym podziwem. Niemcy nadbiegali w ciszy, karnie, nie otwierając ognia, by nie zdradzić pozycji. A przecież przed chwilą jeszcze ich baza płonęła, a koledzy umierali od pocisków!

Zapadła cisza. Gubbins zebrał się w sobie i błyskawicznym ruchem ułożył thompsona na skraju jaru. Kilka metrów dalej ze szczęknięciem dwójnołu wylądował erkaem niczym monstrualny owad celujący żądłem w kierunku zamglonego lasu.

- Ogień osłonowy! - krzyknął Gubbins. - Chodu!

Obie lufy plunęły ogniem. Krótkie serie rozbryzgiwały zaspę śniegu i siekły pnie drzew, a Niemcy mocniej przywarli do ziemi. Jeden z nich nie wytrzymał nerwowo i odtoczył się na bok, ale natychmiast znieruchomiał, ugodzony celną kulą Pattersona.

Tomigan Gubbinsa wyrzucił resztę kul. Major sięgnął do plecaka po kolejny bęben, jednocześnie spoglądając za swymi ludźmi. Ich plecy nikły właśnie między drzewami.

- Uciekać! - krzyknął do reszty swych żołnierzy. - Zostaw ten erkaem, Kerre!

Niemcy poderwali się do kontrnatarcia w chwili, gdy ustał grad pocisków z karabinu maszynowego. Nagle rozległo się kilka wystrzałów, a jeden z pocisków przemknął z gwizdem nad ramieniem Gubbinsa, obłamując sporą gałąź.

Serce majora biło jak szalone. Odwrócił się i z biodra oddał kilka strzałów w stronę Niemców. Już miał rzucić się do ucieczki, gdy nagle jego wzrok przykuł niesamowity widok.

To, co wcześniej wziął za stojącą samotnie omszałą skałę, naraz drgnęło i zaczęło się szybko przesuwać wśród kłębow mgły. Przez ułamek sekundy był pewien, że ulega omamom. Potrząsnął głową, lecz w tym momencie ze „skały” oddzieliło się coś na kształt ramienia i ogromną siłą spadło na hełm niemieckiego erkaemisty. Jęk bólu utonął w strasliwym ryku, który przetoczył się po lesie.

Z oddali zawtórowało mu przesywające wycie wilka, lecz uciekający w panice Gubbins ledwie to zarejestrował.

Niszczyciel bezszelestnie wynurzył się z mgły. Sunął w odległości tysiąca metrów od oblodzonego, kamienistego brzegu, a lufy wież artylerii głównej w milczeniu wpatrywały się w cichy las. Dwa osamotnione słupy rzadkiego dymu były pamiątką po zaciętej, nocnej walce z niemieckimi bateriami.

- Kapitanie, czy życzy pan sobie, bym odbił w kierunku fiordu?

Pytanie, które sternik, bosmanmat Radziejowski zadał drżącym głosem, wyraziło wątpliwości wszystkich na mostku. Okręt płynął tak blisko brzegu, iż nie chybiłoby go żadne działo przeciwpancerne.

- Nie. - Kornilowicz pokręcił głową, nie odejmując lornetki od oczu. Już od dobrych kilkunastu minut śledził zamglone wybrzeże. - Nawet przy tej odległości widoczność jest naprawdę kiepska.

- Po mojemu to Niemcy wynieśli się z tego półwyspu - mruknął porucznik Dzielski, pierwszy oficer artylerii. - Mieli na to całą noc.

- A gdzie niby mieliby się wynosić? - Dowódca odstawił lornetkę i spojrzał z rozdrażnieniem na podwładnego. - Gdzie, do diabła? I po co? Ich zadaniem jest strzelać do naszych okrętów, a nie chować armatki dla wnuków! Trzymać kurs, Radziejowski!

- Coś się chyba dzieje! - Odwrócił się podporucznik Łęk, stojący blisko pleksiglasowej szyby. - Słyszysz pan, kapitanie?

Przez mgłę dobiegł do nich stłumiony odgłos kilku eksplozji, a później nieśmiały, ledwie słyszalny grzechot broni maszynowej.

- Artyleria okrętowa?

W szklistych oczach Staszka Łęka pojawiło się wahanie.

- Nie. - Dzielski pokręcił głową. - To wybuchy na lądzie. Czyżby Brytyjczycy posadzili jakiś desant?

- Byliby chyba szaleńcami! - Kornilowicz na nowo podrzucił lornetkę do oczu. - Niemców jest tu parę tysięcy, mają działa i kaemy...

- Kapitanie! - przerwał mu piskliwym głosem jeden z obserwatorów, który wpadł na mostek z zaaferowaną miną. - Niech pan tylko spojrzy! Tam, przy tych skałach.

Kornilowicz spojrzał we wskazanym kierunku, a Dzielski i Łęk poszli w jego ślady. Na szarych, zmęczonych twarzach nagle pojawił się wyraz całkowitego zaskoczenia i niedowierzania.

21.

Przerażony gefrajter Helmut Dirsch biegł już tylko siłą woli. Oddech rzeził mu w płucach, a mocne górskie buty wydawały się ciężkie niczym kamienie. Starczyła jednak myśl o tym, co czai się za jego plecami, by biegł dalej. Obolałe, poranione ciało słabło z każdym krokiem. Pnie i ośnieżone skały tańczyły mu przed oczami.

„Dokąd uciekasz? - pytał sam siebie. - Dokąd... chcesz uciekać? Jak?”.

Naraz drzewa przerzedziły się i Dirsch ujrzał, jak teren ostro opada ku kamienistemu brzegowi, a dalej otwierają się szare wody fiordu. Na podobieństwo ogromnego potwora sunął przez nie smukły okręt wojenny. Tak blisko, ledwie kilkaset metrów stąd.

Zwalony pień do połowy skryty w śniegu był dla słabnących nóg przeszkodą nie do pokonania. Dirsch potknął się i stracił równowagę. Chciał krzyknąć, lecz z jego ust wydobył się jedynie ochryply skrzek. Toczył się w dół, aż zagrzechotały otoczaki przy samej wodzie. Stracił na moment przytomność.

- Gefrajterze Dirsch!

Ochryple wołanie wyrwało go z ciemności. Usiadł, dotykając pulsującego rozcięcia na czole, i ujrzał młodego celowniczego Jorga potrząsającego połami jego kurtki.

- Musimy uciekać! - sapał, co rusz z łękiem patrząc na wody fiordu. Spod hełmu wyciekał mu strumyczek potu. - Ten okręt zaraz.

„Jedyny, który nie wyrzucił hełmu”, przemknęło przez myśl przytomniejszemu Dirschowi. Odkaszlnął i rozejrzał się. Niszczyciel, ani chybi aliancki, był coraz bliżej. Niemiec poczuł ukłucie strachu, lecz natychmiast pochłonęło go skrajne zmęczenie. Odwrócił się - z garstki ocalałych jedynie Jorg zachował jeszcze odrobinę sił. Wycieńczeni strzelcy leżeli nieruchomo na kamieniach i wpatrywali się w szare, nieprzyjazne niebo, któryś głośno szlochał, a niedaleko chrobotowały kamienie, jakby ktoś próbował odczołgać się na bok.

Byli bez sił, a podczas ucieczki zgubili wszelką broń. Ten zaś, który ich ścigał, nie wydawał się podatny na zmęczenie. Powodowały nim tylko wściekłość i żądza krwi.

Dirsch ponownie spojrzał na aliancki okręt.

- Jorg. - wychrypiał w kierunku towarzysza, który wstał i odszedł w kierunku Heiniego, ranionego odłamkiem w ramię. - Strzelec Jorg Gurde! - zawołał z trudem. - Weźcie moją pelerynę i jakiś kij. I machajcie do tego niszczyciela. Mocno, ile da radę.

- Chce się pan poddać, gefrajterze? - Mimo potwornego wyczerpania Jorg zdobył się na oburzony ton.

W tej samej chwili powietrze przeszło wycie wilka, ostre i donośne. Strzelec zadrżał i trzęsącymi się dłońmi zaczął ściągać z Dirscha pelerynę.

Pozostali śledzili jego ruchy półprzytomnymi, wręcz martwymi spojrzeniami, niezdolni do najmniejszego ruchu.

Przez bardzo długą chwilę nikt na mostku nie powiedział ani słowa. Stojący przy szybie oficerowie i podoficerowie jeden po drugim opuszczali lornetki i spoglądali najpierw po sobie, jakby chcąc się upewnić, że nie ulegli omamom, a potem przenosili spojrzenie na kapitana. Szara, zmęczona twarz Kornilowicza wydawała się wykuta z kamienia, lecz w jego oczach zaiskrzyły nowe emocje.

- Cóż, panowie - odezwał się po chwili. - Co powiecie?

- Kapitanie, to musi być zasadzka. - zaczął Dzielski, lecz kapitan przerwał mu cichym śmiechem.

- Wiedziałem, że pan to powie, poruczniku. - Pokręcił głową. - Co to wedle pana za zasadzka: kilkunastu nieruchomych szkopów na plaży i jeden, który niemrawo macha białą szmatą na kiju? Gdyby chcieli nas zaskoczyć, po prostu wpakowaliby nam kilka pocisków z ukrytego działa.

- Wygląda na to, że oni się po prostu poddają! - Łęk zmarszczył brwi. - Nie rozumiem tego, kapitanie. Sam pan przed chwilą powiedział, że jest ich tam parę tysięcy! Dlaczego mieliby się poddawać, i to jeszcze okrętowi wojennemu?

- Nie wiem, panie Łęk. - Kornilowicz zacisnął zęby. - Ale oto mamy wspaniałą okazję, by się dowiedzieć. Panie Dzielski, proszę wycelować kaemy i działa przeciwlotnicze w kierunku brzegu, artyleria główna w pogotowiu. Panie Łęk, proszę wydać broń ręczną naszej drużynie abordażowej, a następnie obudzić doktora Tarasiewicza oraz porucznika Śnieżewskiego. Poprowadzi ludzi na ląd.

- Jasna sprawa - mruknął Dzielski w stronę Łęka. - Wariackiemu zadaniu sprostać może tylko...

- Bacz pan na słowa, Dzielski! - warknął niespodziewanie ostro Kornilowicz. - Jeszcze powiesz pan coś, czego pan pożałujesz!

Lodowate powietrze i bryzgi wody strzelające od dzioba rozpędzonej motorówki szybko odpędziły senność od Śnieżewskiego. Opatulony w dwa swetry, *duffecoat* z obszernym kapturem, wełnianą czapkę i rękawice, nadal walczył z zimnem. Wzdłuż burt łodzi kuliło się sześciu marynarzy, zaciskających w zgrabiałych dłoniach karabiny, jedynie sternik, bezczelny bydgoszczanin Pierka, stał wyprostowany, dzierżąc ster.

Wojtek widział, że wszyscy unikają jego wzroku, ale już dawno się do tego przyzwyczaił.

Uśmiechnął się gorzko w duchu i spojrzał ku drugiej motorówce, w której siedziało kilku marynarzy wraz z doktorem Tarasiewiczem, a potem przeniósł wzrok na błyskawicznie przybliżający się brzeg. Niemcy, jeszcze przed chwilą leżący bez sił, teraz próbowali wstawać, a nawet machać do szalup.

„Nie stanowią zagrożenia - ocenił przez niewielką lornetkę. - Jesteśmy uzbrojeni, a starczyłaby jedna salwa z okrętu, by.”

Myśl urwała się w jednej chwili. Śnieżewski dostrzegł, że niemiecki żołnierz, który jeszcze przed chwilą machał białą płachtą na kiju, teraz przypadł do ziemi, oglądając się w kierunku lasu.

„Boi się czegoś?”, pomyślał Śnieżewski.

Motorówka skoczyła na fali i widok uciekł z okularu lornetki. Gdy Wojtek złapał go znowu, Niemiec znów spoglądał na łódź, ale na las zerknął inny żołnierz, chudy mężczyzna z twarzą zalaną krwią, a za nim inny. I jeszcze jeden. Wojtek nagle poczuł, że serce zaczyna bić mu szybciej. Skądś wiedział, że ten półwysep pokryty ciemnym tajemniczym lasem krył w sobie nieznane niebezpieczeństwo.

„Ale czego może się bać kilkunastu dobrze uzbrojonych i wyszkolonych niemieckich piechurów?”, zapytał sam siebie w myślach.

Skoki motorówki były coraz gwałtowniejsze, lecz udało mu się raz jeszcze przyjrzeć Niemcom. Żaden z nich nie miał broni. Czyżby porzucili ją podczas ucieczki?

- Miejcie oczy i uszy szeroko otwarte! - krzyknął w kierunku swych marynarzy. - To jednak może być zasadzka!

Widok rozpędzonych motorówek wydawał się wlewać życie w ciała wyczerpanych Niemców. Pomagając sobie nawzajem, wstawali i podchodzili do brzegu, skutego wąską pokrywą lodu. Niektórzy machali ku nim, ale większość co chwila spoglądała w stronę lasu. Wojtek nie

potrzebował już lornetki, by widzieć ich twarze.

Gdy silniki łodzi zmniejszyły obroty, szykując się do przybicia do brzegu, jeden z Niemców puścił się biegiem w kierunku szalupy. Cienki lód załamał się pod jego ciężarem i żołnierz wpadł po kolana do lodowatej wody. Zimno nie powstrzymało go. Z mocno zaciśniętymi ustami brnął ku łodziom, zanurzając się coraz głębiej. Inni ruszyli w jego ślady.

- *Halt!* - krzyknął Snieżewski. - Cholera jasna, Nieblitz, pošlij kulę nad ich głowami! Koterba, każ im natychmiast wracać na plażę!

Rozległ się głośny wystrzał.

- *Zuruck zum Strand! Sofort!* - krzyknął Koterba, a potem spojrzał niepewnie na Snieżewskiego. - A to co, do cholery... *Sofort! Zuruck!*

W zachowaniu Niemców było coś niezwykłego. Stali tam, gdzie zatrzymał ich

wystrzał z karabinka, niektórzy na łodzi, inni zanurzeni w lodowato zimnej wodzie,

a na ich twarzach malował się strach. Ów żołnierz ranny z czołem zalanym krwią uniósł

dłonie i wyrzucił z siebie kilka pośpiesznych zdań, zerkając jednocześnie ku drzewom.

Wojtek bezwiednie spojrzał tam, gdzie Niemiec, i poczuł, jak jego niepokój narasta.

Między pniami wysokich świerków czaiły się kłęby mlecznobiałej mgły, które wolno

zmieniały kształty, jakby przemieszczały się wśród niej jakieś potężne istoty.

Niemiec jakby dostrzegł wzrok Snieżewskiego i dorzucił kilka zdań.

- Co on mówi? - przełknął ślinę Wojtek.

- Bredzi jak w malignie, szkop głupi. - Głos Koterby, mimo butnego tonu, nieco zadrżał. - Coś o jakiejś ucieczce gada. Że cały pluton mu to rozwaliło, tylko oni zostali. I że jeszcze ich ściga, bo nie przestanie. I że czasu nie ma.

- Co takiego?

- *Werwolf* - próbował się zaśmiać Koterba. - No wie pan, poruczniku. Wilkołak.

- Ma rację. - powiedział przyciszonym głosem Snieżewski, wciąż

przyglądając się skrajowi mglistego lasu.

- Co?

- Że nie ma czasu! - huknął Wojtek. - Pierka, przybij do brzegu! Koterba, powiedz im, by się ustawili kolejno, a potem zrewidujecie ich wraz z Nieblitzem. Reszta, miejcie oko na okolicę i nich samych.

Kolejne wydarzenia widział jak przez mgłę. Nie zwrócił uwagi ani na trzask pękającego lodu, gdy Pierka brawurowo podprowadził motorówkę pod sam kamienisty brzeg, ani na wściekle przekleństwa polskich marynarzy, zapędzających Niemców do szeregu i rewidujących ich pośpiesznie. Nie słyszał spokojnego głosu doktora Tarasiewicza, który nakazywał układać na noszach najciężej rannych, ani nerwowego falsetu mata Koterby, ponaglającego kolegów.

Snieżewski stał po prostu zapatrzony w zamglony las, jakby ten wabił go niesłyszalną pieśnią. Wiedział, że w tej samej chwili las patrzy na niego parą okrutnych, bezlitosnych oczu, lecz chłodnych w tej chwili, obojętnych. Wzdłuż kręgosłupa wędrował mu rząd mrówek.

- Podporuczniku! - wyjąkał za jego plecami mat Koterba, blady jak ściana. - Panie poruczniku, z okrętu coś nadają aldisem.

Snieżewski odwrócił się. Niemcy siedzieli w łodziach, eskortowani przez polskich marynarzy, sanitariusze doktora Tarasiewicza wnosili nosze z ostatnim pacjentem, a Pierka już grzał silnik. Na tle ciemnego konturu niszczyciela rozbłyskiwało pojedyncze światło.

- Wzywają nas do powrotu! - powiedział, bezwiednie odczytawszy sygnał. - Są w kontakcie wzrokowym z HMS „Zulu”. Chodu!

Kilka sekund później za rufami ciężko zanurzonych motorówek spieniła się woda, gdy te ruszyły wolno w kierunku okrętu. Kamienisty brzeg oddalał się błyskawicznie, żegnany ostatnimi spojrzeniami niemieckich jeńców. Tym razem, zamiast paniki, w ich oczach widniała ulga.

bladość.

Oslonka aldisa trzasnęła kilka razy, przekazując wiadomość na okręt flagowy, w odpowiedzi zamigotała lampa na „Zulu”. Długa, niemalże minutowa sekwencja błysnięć. Próbujący je odczytać Kornilowicz zgubił się w połowie sygnału.

- Odpowiedź z „Zulu”! - zameldował sygnalista. - Komandor Trollope detaszuje okręt do Rosyth celem odtransportowania Niemców do obozu jenieckiego.

Korniłowicz naraz zapomniał o Niemcach, Snieżewskim i całej wojnie.

- Coś pan powiedział? - syknął głosem tak strasznym, że przerażony marynarz zrobił krok do tyłu. - Coś ty, kurwa, powiedział...

- Że Trollope. Komandor Trollope. - jąkał się sygnalista.

- Jeszcze raz! - warknął Korniłowicz, przymykając oczy. - Przekaż „Powtórzyć rozkaz!”.

Tym razem śledził błyski lampy na „Zulu” z takim napięciem, że aż żyły nabrzmiały mu na czole. Kurczowo zaciskał pięści, głuchym szeptem odczytując kolejne słowa komunikatu. Na mostku wszyscy wstrzymali oddech.

- Ko. Komandor Trollope. - zaczął sygnalista, lecz głos mu uwiązł w gardle.

- Powrót do Rosyth. - wycharczał dowódca, pochylając głowę. - Po co? - ryknął nagle z taką mocą, że Łęk aż się cofnął pod ścianę. - Po co? Nie chce wypytać jeńców o umocnienia nadbrzeżne? O stan ich artylerii, zapasy amunicji, rozmieszczenie oddziałów i morale? Nie chce? Nie potrzebuje? Szuka pretekstu, by się nas pozbyć, tak?

- Kapitanie, myślę, że. - zaczął Dzielski, lecz Korniłowicz spojrzał na niego takim wzrokiem, że pierwszy oficer zamilkł i przełknął ślinę.

- Przekaż temu Trollope’owi - wyprostował się wolno, wypuszczając powietrze z sykiem - że odwiedzę dziś jego jednostkę, by.

Wzrok dowódcy, skrzący od wściekłości, omiatał mostek wraz ze znieruchomiałymi w napięciu ludźmi, aż naraz natrafił na Śnieżewskiego. Wojtek stał w drzwiach do pomieszczenia, kurczowo zaciskając obie dłonie na stalowej framudze. Głowę zwieszoną miał nisko, a gdy wreszcie uniósł twarz, wszyscy dojrzelili jego bladość. Przez moment patrzył rozgorączkowanym spojrzeniem na dowódcę, po czym bardzo wolno przeniósł wzrok na Staszka.

Przestraszony Łęk zrobił krok do tyłu.

- Wojtek, co się dzieje? - wykrztusił z siebie.

Śnieżewski raz jeszcze przełknął ślinę i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Na jego twarzy widniała straszliwa udręka.

- Staszek... - wyszeptał, a po jego policzku pociekła łza. - Ja tyle... Tyle chciałem ci opowiedzieć, ale. Ale nie wyszło. Byłeś dobrym kumplem, naprawdę. I. I tak mi cholernie przykro.

Na oczach zmartwiałej obsady mostka Wojtek wolno osunął się na ziemię.

Nim ktokolwiek zdołał zareagować, powietrze przeszył wrzask obserwatora.

- Samolot! Samolot na kursie sto dwadzieścia!

- Maszynownia cała naprzód! - ryknął Kornilowicz. - Alarm przeciwlotniczy!

- Drugi! Trzeci! - darli się obserwatorzy. - Pułap siedem tysięcy i maleje!

Uśpione, mruczące cicho turbiny niszczyciela zawyły nagle z całą mocą i „Grom” zaczął nabierać prędkości. Stalowy pokład zadudnił pod stopami pędzących na stanowiska marynarzy. Chwilę później działka przeciwlotnicze niszczyciela zaczęły się obracać w kierunku rosnących, złowieszczych czarnych punkcików.

- Heinkle 111!

- Ognia, chłopcy! Ognia!

Płynący coraz szybciej „Grom” wyminął „Zulu” od rufy, otwierając ogień w chwili, gdy brytyjscy marynarze wciąż jeszcze obsadzali działka przeciwlotnicze. Smugowe serie pomknęły ku niemieckim bombowcom, które urosły już do rozmiarów potwornych, dwusilnikowych ważek. Maszyna prowadząca wykonała zwrot na skrzydło i pomknęła prosto na polski okręt, manewrując wśród obłoczków wybuchających pocisków.

- Ster na prawo! Dzielski, ogień zaporowy!

Jeden po drugim, niemieckie bombowce parły do ataku z niskiego pułapu na rozpędzający się, plujący ogniem okręt. Na okręcie strzelało teraz wszystko, co tylko mogło odpowiednio wysoko podnieść lufę - dwa sprzężone boforsy kalibru czterdziestu milimetrów oraz cztery podwójne najcięższe karabiny maszynowe, nawet działka artylerii głównej wychyliły się maksymalnie, wyczekując na odpowiedni moment. Powietrze wypełnił ogłuszający jazgot kanonady, a sztagi i anteny odskakiwały na bok, cięte własnymi seriami.

- Maszynownia, prawy silnik cała wstecz, lewy cała naprzód! - ryczał Kornilowicz, jego oczy błyszczały dziko, po piracku. - Ster na prawo!

- Jest ster na prawo!

Wszyscy wstrzymali oddech, śledząc spadające bomby, lecz „Grom” uchylał się zgrabnie niczym szermierz w pojedynku na szpady. Z wód fiordu strzelały wysokie słupy wody.

Niespodziewanie na pokład dziobowy padł cień heinkla. Samolot przemknął tak nisko, że obsługa przedniego boforsa dostrzegła czarne krzyże na spodzie skrzydeł. Zaskoczeni artylerzyści spóźnili się jednak z otwarciem ognia i serie ułożyły się daleko za ogonem bombowca.

- Drugi heinkel od lewej burty!

Działka w mig powróciły do poprzedniej pozycji. Kolejny heinkel śmiało parł w kierunku niszczyciela, przebijając się przez przez gąszcz serii z kaemów i obłoczków pocisków przeciwlotniczych. Z hukiem wypaliły działa artylerii głównej i bombowiec aż zakołysał się w powietrzu.

- Idzie prosto na nas! - wył Kornilowicz. - Maszynownia, prawy silnik cała naprzód, lewy...

- Trzeci od prawej! Trzeci! - krzyczał obserwator, lecz jego głos tonął wśród wrzawy rozkazów na mostku i terkotu broni przeciwlotniczej.

- Jeszcze trochę w prawo! - modlił się Łęk, widząc, jak smugowe serie z kaemów wolno zaczynają się krzyżować w pobliżu heinkla. Pilot bombowca wyczuł zagrożenie, gdyż maszyną targnęło raz i drugi, lecz wciąż trwał na kursie. Wtedy do kanonady na burcie dołączył podwójny bofors.

Artylerzyści wystrzelili ledwie kilka razy. Pilot znów podjął próbę wydostania się z pułapki serii kaemów, gdy niespodziewanie prawy silnik stanął w płomieniach. W ułamku sekundy maszyna zamieniła się w kulę ognia.

Ryk radości zagłuszył nawet kanonadę działek i kaemów.

W tej samej chwili „Grom” zadrżał od mostka aż pod stepkę, gdy przy prawej burcie eksplodowała bomba zrzucona przez ostatni z bombowców. Słup wody sięgnął poszarpanych anten niszczyciela, a na szyby mostka chlusnęły tysiące litrów spienionej morskiej wody. Ledwie było widać niewyraźny, ciemny kształt oddalającego się bombowca.

W ostatniej chwili rozświetlił go migotliwy błysk.

- Padnij! - ryknął Kornilowicz, rzucając się na podłogę.

Twarda szyba przednia mostka pękła w drobny mak, a w powietrzu zaświstały pociski tylnego karabinu maszynowego Heinkla. Jeden z nich

rozbił szafkę nawigacyjną, drugi odbił się rykoszetem od koła sterowego i roztrzaskał kompas, kilka przeorało ścianę nad głową dowódcy, a ostatni.

Śnieżewski, wciąż leżący na podłodze, krzychał bezgłośnie, wyciągając ręce w kierunku Staszka. Lęk osuwał się wolno na kolana, z niedowierzaniem patrząc na wielką dziurę, którą wyrąbał w jego podbrzuszu niemiecki pocisk. Życie wyciekało zeń błyskawicznie, sił mu starczyło ledwie na podniesienie zakrwawionych dłoni, aż miękko padł na pokład. Prawa, skąpana we własnej krwi dłoń zastygła tuż przed twarzą Wojtka.

- Boże, nie chciałem tego. Nie chciałem. Nie chcę. - szlochał Śnieżewski, kryjąc twarz przed nim, przed samym sobą i całym światem.

Dochodziła czwarta nad ranem i psia wachta dobiegała końca. Stalowoszare chmury, które wieczorem nadciągnęły znad Lofotów, nadal wisiały szczelnym całunem. Gęsta śnieżycą, roztrącana przez hulający wiatr, skracała świat wokół samotnie podróżującego okrętu wojennego do mizerynych kilkuset metrów widoczności.

„Grom” ociężałe rozcinał fale, jakby zimny morski wiatr wygnał zeń dawną zadziorność i sprężystość. Okutani w zydwestki marynarze niechętnie przemykali przez kołyszący się pokład, znikając we wnętrzu kadłuba. Na mostku z rzadka padały jakieś półsłówka, a w kajutach i mesach panowała złowieszczą, upiorna cisza. Marynarze, podoficerowie i oficerowie mijali się ze spuszczoneymi głowami, unikając patrzenia sobie w oczy.

Komandor podporucznik Gniewomir Kornilowicz też nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Rychło oddał prowadzenie okrętu Dzielskiemu i zamknął się w kabinie z butelką wódki i duchem komandora Wilczaka.

„Ludziom będzie brakowało Staszka”, myślał, wodząc wzrokiem za pełną do połowy flaszką wódki, która przesuwała się po blacie biurka wraz z ruchem fal. Młody porucznik Łęk był lubianym oficerem. Po cichu naśmiewano się z jego nieśmiałości, ale czyniono to bez szyderstwa, z życzliwością. Kornilowicz zaś wiedział, jak niszczący wpływ na morale młodej, niezahartowanej jeszcze załogi ma śmierć pierwszego jej członka.

„Ale przecież Łęk nie był pierwszym człowiekiem, który umarł na «Gromie»”, przypomniał sobie nagle.

- Jeszcze byłeś ty, Wilczak - powiedział.

Patrzył na starą akwarelę, na której torpedowiec „Podhalanin” witał „Grom”. Sylwetka niszczyciela wydała mu się nagle dziwnie płaska i jednowymiarowa, jakby pusta.

Nagle okręt zadrżał po uderzeniu szczególnie mocnej fali. Stara lampka nocna z abażurowym kloszem, należąca do poprzedniego dowódcy, zakółysała się i spadła z hukiem na ziemię.

Kornilowicz uśmiechnął się krzywo.

- To znak, Wilczak? - zapytał na głos. - Chcesz mi coś powiedzieć? Poczekaj, niech sam zgadnę. Brytyjczycy nie pozwalali ci walczyć, prawda? Zwodzili cię, wysyłali na ceremonie, spotkania, apele, a w ostateczności pchnęli na jakiś patrol? Tak było? Ha, ależ ja cię dobrze rozumiem!

Uniósł kieliszek i wychylił zawartość jednym haustem.

- Twoje zdrowie. Niemniej jednak za wcześnie się poddałeś - szepnął, jakby paląca zawartość kieliszka zagasiła w nim gniew. - Nie doświadczyłeś tego co ja. Nie byłeś świadkiem tchórzostwa brytoli, nie widziałeś, z jaką zaciętością unikają walki i odsuwają od niej innych. Nie byłeś nigdy świadkiem zdrady dowódcy! Wracamy do Anglii, Wilczak! Wracamy do Anglii, ponieważ komandor Trollope uznał, że należy przeprowadzić remont maszyny, którą już naprawiliśmy, oraz oddać jeńców, których

zeznania mogłyby się mu przydać w dalszej walce tam w Ofotfjordzie!

Dłoń nalewająca kolejny kieliszek zatrzęsała się lekko, rozlewając alkohol po blacie biurka. Na wspomnienie wizyty w kabinie dowódcy „Zulu”, komandora Trollope’a, załała go wściekłość. Anglik siedział sztywno, obojętnie słuchając jego argumentów i wywodów, a następnie z pogardliwym uśmiechem oznajmił, że rozkaz pozostaje w mocy. Polski okręt uda się do Rosyth celem naprawy kotła i oddania jeńców, a Kornilowicz powinien zacząć się zastanawiać, jak odpowie przed sądem wojennym oczekującym go za zarzuty niesubordynacji i dwukrotnego znieważenia brytyjskiego oficera łącznikowego.

Nie powstrzymał się. Nazwał Trollope’a tchórzem i zdrajcą, odepchnął stojącego w progu cywila w szarej marynarce i zszedł do szalupy, nie oddając nikomu honorów. „Grom” wypłynął natychmiast z fiordu Ofot, ale kursu na Rosyth nie obrał.

- Jesteś pieprzonym zdrajcą, Trollope - warknął, unosząc kieliszek. - Pokręcę się jeszcze w okolicy, być może dowiem się o tobie czegoś jeszcze. Kolejny akt niesubordynacji nie zaszkodzi już chyba mojej karierze. A załoga...

Z hukiem postawił pusty kieliszek na blacie biurka. Nie zdradził nikomu z oficerów, że postępuje wbrew rozkazom. Wziął całą odpowiedzialność na siebie.

„To chyba przeklęty okręt”, pomyślał. Pierwszy dowódca popełnia samobójstwo, drugi łamie rozkazy, jeden z oficerów zwiastuje śmierć. Nie, to jakaś paranoja.

Przed jego oczami znów stanęła trupio blada, zalana łzami twarz Snieżewskiego, którego siłą podnoszono znad trupa Łęka. Znów widział szeroko otwarte oczy marynarzy i oficerów. Dobrze wiedział, że ich strach wywołała nie śmierć Łęka, ale słowa Wojtka.

- Masz przesrane, Snieżewski - szeptał Kornilowicz, nalewając kolejny kieliszek. -

Być może z czasem ludzie zapomnieliby o tym, że wywróżyłeś śmierć Wilczaka. Jesteś

w końcu dobrym oficerem i świetnym artylerzystą. Pewnie zapomnieliby, tak. Ale

teraz? Po tym, jak przepowiedziałeś śmierć Łękowi?

Nie wierzył w to, że upiorne zdolności Snieżewskiego zostaną tajemnicą „Gromu”. Wiedział, że plotka o jego wyczynach ruszy w świat z chwilą zawinięcia niszczyciela do portu, a wtedy jego kariera jest zakończona. Żaden dowódca nie będzie chciał mieć na pokładzie człowieka, o którym krążą opowieści, że widzi nadchodzącą śmierć. Bądź co bądź, dowódcy również są marynarzami, a nie ma na świecie bardziej przesądnej grupy ludzi.

- A jak to było z tobą, Wilczak? - zapytał głośno. - Siedziałeś samotnie w tej kajucie i popijałeś gorzałę, gdy Snieżewski załomotał do drzwi?

Odpowiedział mu świst wiatru i huk fali rozbijającej się o burzę okrętu. Choć pod jego stopami mruczały turbiny, a wyżej szumiały wentylatory, „Grom” zdawał się milczeć, ogarnięty tym samym marazmem co jego załoga.

I naraz jego zadumę przegnał łomot pięści o drzwi.

Śmierć pruća przez wzburzone fale, zaklęta w obłych, stalowych cygarach. Wojtek wiedział, że nie było przed nią ucieczki.

I znów ujrzał twarz Kriss, delikatną, niczym utkaną z mgły. Jej ogromne niebieskie oczy patrzyły nań ze smutkiem i ze strachem. „Nie schodź na ląd, synu śmierci! - szeptała. - Już raz to uczyniłeś, ale nie rób tego więcej! Nie rób tego...”.

„Synu śmierci”.

Był synem śmierci. Czy to dlatego ją widział?

Nagle w jego umyśle odezwało się przenikliwe wycie wilka, a twarz zafalowała, jakby odegnana ostrym dźwiękiem.

Stalowe cygara przebiły burtę samotnego okrętu. Świat rozbłysnął płomieniami i bólem, niewyobrażalnym bólem setek umierających ludzi.

Wojtek poderwał się znienacka i potoczył dookoła oszalałym spojrzeniem. Doktor Tarasiewicz złożył książkę na kolanach i spojrzał na niego dobrotliwie.

- Dobry wieczór, panie poruczniku - odezwał się łagodnie. - Już myślałem, że postanowił pan przespać wojnę, co wcale nie byłoby.

- Gdzie. - wyjąkał Śnieżewski. - Gdzie ja.

- Lazaret na ORP „Grom”, podporuczniku. - Doktor zaśmiał się, wskazując białe ściany. - Azyl dla symulantów i szczurów lądowych!

- Tam zatonął okręt. - W oczach Wojtka zatańczyły płomienie. - Torpedy, przez śnieżycę. Płomienie, setki ludzi.

- Podporuczniku Śnieżewski, jest pan pod dobrą opieką. - Tarasiewicz wstał i podszedł do jego koi. - Nie ma powodów do obaw. Cierpi pan w wyniku szoku pourazowego i.

Nie dokończył zdania. Wojtek spojrzał na niego półprzytomnie, po czym zeskoczył

z koi i pochwycił kurtkę mundurową, wiszącą na haku.

- Stanowczo odradzam. - zawołał doktor, lecz Śnieżewski już znikł.

Wojtek nie pamiętał biegu przez korytarze okrętu ani też chwili, kiedy załomotał do drzwi kajuty kapitańskiej. Dopiero gdy Kornilowicz wymierzył mu soczysty policzek, puścił poły jego swetra i zrobił krok w

tył, przerywając bełkot bez ładu i składu. Naraz dotarło do niego, gdzie jest, i spróbował zaszalutować.

Dowódca oddał niedbale salut. Jego oczy były nieco zamglone, a z ust bił mu ostry zapach alkoholu.

- A teraz, poruczniku, niech pan opowie mi o wszystkim raz jeszcze. - Głos Kornilowca, zazwyczaj mocny i pewny, był mocno bełkotliwy. - Ale składniej jakoś.

Wojtek zamrugał, gdy dopadło go mroczne wspomnienie z przeszłości. Kabina kapitańska, flaszka wódki na blacie biurka, pijany dowódca. Poczul, jak przeznaczenie zaciska dłonie na jego gardle, nie pozwalając mu powiedzieć ani słowa.

- Wróg. - wykrztusił w końcu. - Niemieckie okręty. Idą do Ofotfjordu.

- Skąd pan wie? - Tym razem głos Kornilowicza ciał niczym bicz.

- Zobaczyłem śmierć... - szepnął Wojtek, wbijając wzrok w podłogę. - Niech się pan

nie śmieje. Śmierć w płomieniach. Storpedowali jakiś okręt, niedaleko nas. Są blisko!

- Są blisko. - powtórzył Kornilowicz, patrząc na Śnieżewskiego badawczo. Jego ręką sięgnęła po *dufflecoat*, już nie drżąc. - I zapewne wie pan, jakim kursem płyną?

- Wiem. Niech pan nie pyta skąd.

- Doskonale, Śnieżewski. Nie wiem, jak się ta awantura zakończy, ale zaraz staniemy się jedynym okrętem wojennym na świecie, którego prowadzi pijak do spółki ze stukniętym jasnowidzem.

Obaj wybiegli z kajuty kapitańskiej, zatrzasnąwszy drzwi z hukiem. Chwilę później okręt przeszył jęk syreny alarmowej, a turbiny zwiększyły moc.

Im bliżej ładu, tym śnieżycy bardziej przybierała na sile. Blask świtu wciąż nie przebił mocnej zasłony chmur, a na tle szarej linii ładu wydłużone sylwetki niemieckich niszczycieli zdały się jedynie cieniami. Przewalające się wśród fal, niksące w wirujących tumanach śnieżnego pyłu okręty parły zawzięcie ku wejściu do Ofotfjordu.

Szyk prowadził „Georg Thiele”, którego torpedy rozpruły przed chwilą kadłub nic niespodziewającego się HMS „Sikh”. Za nim szedł niezłomny, ranny „Hans Ludemann”, a dalej „Wolfgang Zenker”, „Erich Giese”, „Herman Kunne”, „Erich Koellner”, a na końcu „Bernd von Arnim”. Ciężko zanurzone, lecz z dumnie zadartymi dziobami, parły ku Narwikowi, by wykonać swe zadanie - dostarczyć posiłki dla generała Dietla. Osmolone, zrudziałe od ognia burty i postrzelane nadbudówki były najlepszym świadectwem ich krwawego chrztu bojowego.

Na pokładach okrętów panowała absolutna cisza. Milczeli artylerzyści i torpedyści skuleni za urządzeniami celowniczymi. Milczeli obserwatorzy i oficerowie śledzący przez lornetki brzegi i zamglony horyzont w poszukiwaniu jednostek wroga. Milczeli również strzelcy górscy stłoczeni w kajutach i ładowniach, targani morską chorobą, niepewni tego, co się dzieje na zewnątrz.

Siedem złowieszczych, szarych smoków przemknęło na północ od wyspy Barøya. Kilka mil dalej dołączył do nich ósmy.

Korvettenkapitan Kurt Rechel, dowódca niszczyciela „Bernd von Arnim”, był u skraju wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Przez kilka ostatnich nocy zaznał jedynie kilku godzin snu. Wbrew temu, co obiecywał komodor Bonte, szef ich flotylli, po zdobyciu Narwiku i zatopieniu broniących go starych pancerników wcale nie nastąpił okres wypoczynku. Już o świcie następnego dnia do fiordu Ofot wdarło się znienacka pięć brytyjskich niszczycieli, siejąc spustoszenie wśród statków handlowych oraz ich własnych jednostek na redzie Narwiku. Zuchwały atak wroga okazał się sukcesem - dwa niszczyciele Bontego zatonęły, jeden odniósł ciężkie, a pozostałe lekkie uszkodzenia.

Ledwie jednak ostygły działa, gdy komodor wydał rozkaz natychmiastowego przejścia do Trondheim celem zaokrętowania posiłków dla Dietla. Pięć ocalałych niszczycieli pobrało zatem ropę z tankowca „Jan Wellem” cudem oszczędzonego przez torpedy brytyjskie i wymknęło się z Ofotfjordu. Długi rejs na południe wzdłuż wybrzeża norweskiego, pośpieszne zaokrętowanie oddziałów generała Kriemana oraz powrót do

Narwiku całkowicie wyczerpały załogi oraz dowódców. Dywizjon zmuszony był walczyć z silnymi szkwalami i wzburzonym morzem, ale nic tak nie odbierało sił jak ustawiczny lęk przed niewidzialnymi jednostkami Royal Navy.

- Daleko jeszcze do Ofot? - zapytał dowódca, przecierając zmęczone oczy.

- Minęliśmy już BarOya - odezwał się nawigator, odrywając oczy od lornetki. - Nic nie widać w tej przeklętej mgle...

- Jeszcze chwilę i będziemy się szykować do powrotu - westchnął Rechel. - Bez tych cholernych strzelców.

Naraz pomruk turbin i szum wentylatorów przebił głośny huk. Wszyscy na mostku odwrócili się jak jeden mąż, by ujrzeć wysoki słup wody strzelający z wody w odległości kilkuset metrów od prawej burty. Ich oczy rozszerzyły się z przerażenia.

- Torpeda! - Na mostek wpadł wrzeszczący obserwator. - Torpeda uderzyła o podwodną skałę!

- Uwaga! Okręt podwodny! - dobiegł ich ryk drugiego, który wciąż stał na pomoście.

„Dlaczego teraz, gdy jesteśmy tak blisko”, pomyślał z żalem dowódca. Koło sterowe

zamigotało w dłoniach wystraszonego marynarza.

Słup wody nie zdążył jeszcze opaść, gdy ze śnieżycy wychyły trzy obłe kształty, mknące pod wodą w kierunku niemieckiego okrętu. Z obu kominów buchnął gęsty kłęb dymu i „Bernd von Arnim” skoczył do przodu, kładąc się w szerokim łuku. Na jego pokładzie wyły syreny alarmowe, a marynarze pędzili na stanowiska, roztrącając przestraszonych strzelców górskich.

- To nie okręt podwodny... - wyszeptał dowódca, patrząc przez lornetkę na horyzont.

Mgły na trawersie niszczyciela rozsunały się, odsłaniając na moment szarą,

przyczajoną sylwetkę okrętu wojennego.

- *Das ist...* - chciał krzyknąć, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Pierwsza z torped przecinała właśnie wzburzony kilwater niszczyciela, druga przemknęła przed dziobem, ale ostatnia mierzyła idealnie w śródkręcie.

„Dlaczego teraz?”, zdążył pomyśleć, ale potworne uderzenie cisnęło go na podłogę.

Wysoki słup wody, który nagle wykwitł przy burcie niemieckiego niszczyciela, był doskonale widoczny z mostka „Gromu”.

- Wspaniale, Łopuszak! - zawołał Kornilowicz wśród wiwatów załogi. - Wreszcie zasłużył pan na swój żołd! Panie Śnieżewski, proszę otworzyć ogień! Aha, mat Krywień! Proszę nadać depezę otwartym tekstem. „ORP GROM. ENGAGING OVERWHELMING ENEMY FORCE. YOU BLOODY COWARDS¹⁶!”.

- Ognia! - powiedział do mikrofonu Śnieżewski, zamykając oczy.

On jeden nie podzielał radości na mostku. Czarne fale, zwiastujące okrutną śmierć, już osaczały jego umysł.

„Czy wiesz, że przyszło nam umrzeć, smoku?”.

Torpeda rozpruła pancierz niemieckiego niszczyciela na długości kilku metrów, a przez powstałą szczelinę do wnętrza kadłuba runęły tysiące metrów sześciennych lodowatej wody. „Bernd von Arnim” natychmiast wytracił prędkość, przechylając się na lewą burtę. Jego działa zwróciły się w kierunku, z którego nadszedł cios, lecz zdołały oddać już tylko jedną nierówną, rozpaczliwą salwę. Uszkodzony okręt spowił całun jasnego dymu.

Chwilę później wśród jego nadbudówek wybuchły pierwsze pociski artyleryjskie.

„Grom” odrzucił wysoką falę dziobową i płynął z całą prędkością w kierunku rannej burty „Bernda von Arnima”. Obydwie dziobowe wieże artyleryjskie pluły ogniem, z morderczą precyzją bombardując niemiecki okręt. Jeden pocisk wybił dziurę w przednim kominie, drugi zniósł działko przeciwlotnicze z dziobowej nadbudówki i wywołał eksplozję parku amunicyjnego, a jeszcze inny rozpedził torpedystów próbujących nakierować przednie wyrzutnie na cel.

Na pokładzie coraz bardziej przechylonego niszczyciela zapanował chaos. Znienacka wyroił się tłum przerażonych, rozwrzeszczanych postaci w mundurach *feldgrau*, który zmieszał się z marynarzami próbującymi spuścić na wodę szalupy. Powiodło się to tylko z jedną, podczas opuszczania drugiej pękł żurawik i łódź runęła do wody. Na pokładzie rufowym trwała bitwa o kamizelki ratunkowe, a pierwsi desperaci skakali już przez burzę.

Jedna z trzech rufowych wież „Bernda von Arnima” zastygła nieruchomo porzucona przez artylerzystów. Pozostałe dwie ryknęły ogniem, trafiając nadbudówkę zbliżającego się „Gromu”. Artylerzyści polskiego niszczyciela byli już jednak doskonale wystrzelani. Ich pociski trafiły prosto w wieżę położoną najbliżej śródokręcia, niemalże wyszarpując ją z pokładu, a dwa inne padły w okolicy mostku, pogłębiając pożar. Polski okręt zmniejszył prędkości i wykonał zgrabny zwrot, odsłaniając przed Niemcami całą burzę. Do ostrzału dołączyły teraz działa rufowe, pogłębiając chaos na pokładzie „Bernda von Arnima”. Po chwili jednakże woda za rufą niszczyciela spieniła się i „Grom” ruszył w kierunku Ofotfjordu, na spotkanie kolejnego, zawracającego już niemieckiego niszczyciela.

„Bernd von Arnim” tonął powoli otoczony rojem rozbitków przyczepionych do tratw i łodzi ratunkowych. Ci z Niemców, którzy znaleźli siłę, by spojrzeć w ślad za wrogim okrętem, dostrzegli, że znika za BarOya. W chwili, gdy woda omyła już reling „Bernda von Arnima”, za wyspą wystrzelił w niebo ogromny słup ognia.

Na mostku HMS „Zulu” panowała pełna napięcia cisza. Silniki niszczyciela mruczały cicho, ludzie zastygli na stanowiskach bojowych, lecz okręt stał nieruchomo, skryty wśród skał wybrzeża wyspy BarOya. Pełne napięcia spojrzenia śledziły sylwetki sześciu niemieckich niszczycieli, jeden po drugim wślizgujących się do Ofotfjordu. Trollope miał rozbiegane spojrzenie - w jednej chwili spoglądał ku wrogim okrętom, by zaraz wbić wzrok w czubki butów bądź ukradkiem odwrócić go ku stojącemu za nim Harringtonowi. Ten zaś otwarcie manifestował znużenie, raz po raz zakrywając dłonią usta.

Nagle wszyscy drgnęli, słysząc głośną, nieodległą eksplozję.

- Sir, odgłos darcia blach! - wrzasnął piskliwym głosem operator urządzeń podsłuchowych. - Trafienie torpeda!

Wybuch nie przebrzmiał jeszcze całkiem, gdy dołączyło do niego dudnienie artylerii okrętowej.

- Sir, ostatni niszczyciel zawraca! - zameldował podniesionym głosem obserwator.

- Ktoś zaatakował Niemców, sir! - Pierwszy oficer John Wackhert zwrócił się w stronę Trollope'a, mocno zaciskając pięści. Na jego bladej twarzy migotały rumieńce wściekłości. - Ktoś ich tłucze, a my tu tkwimy jak...

- Niech pan uważa na słowa, Wackhert! - warknął Trollope. - Nie pan tu dowodzi!

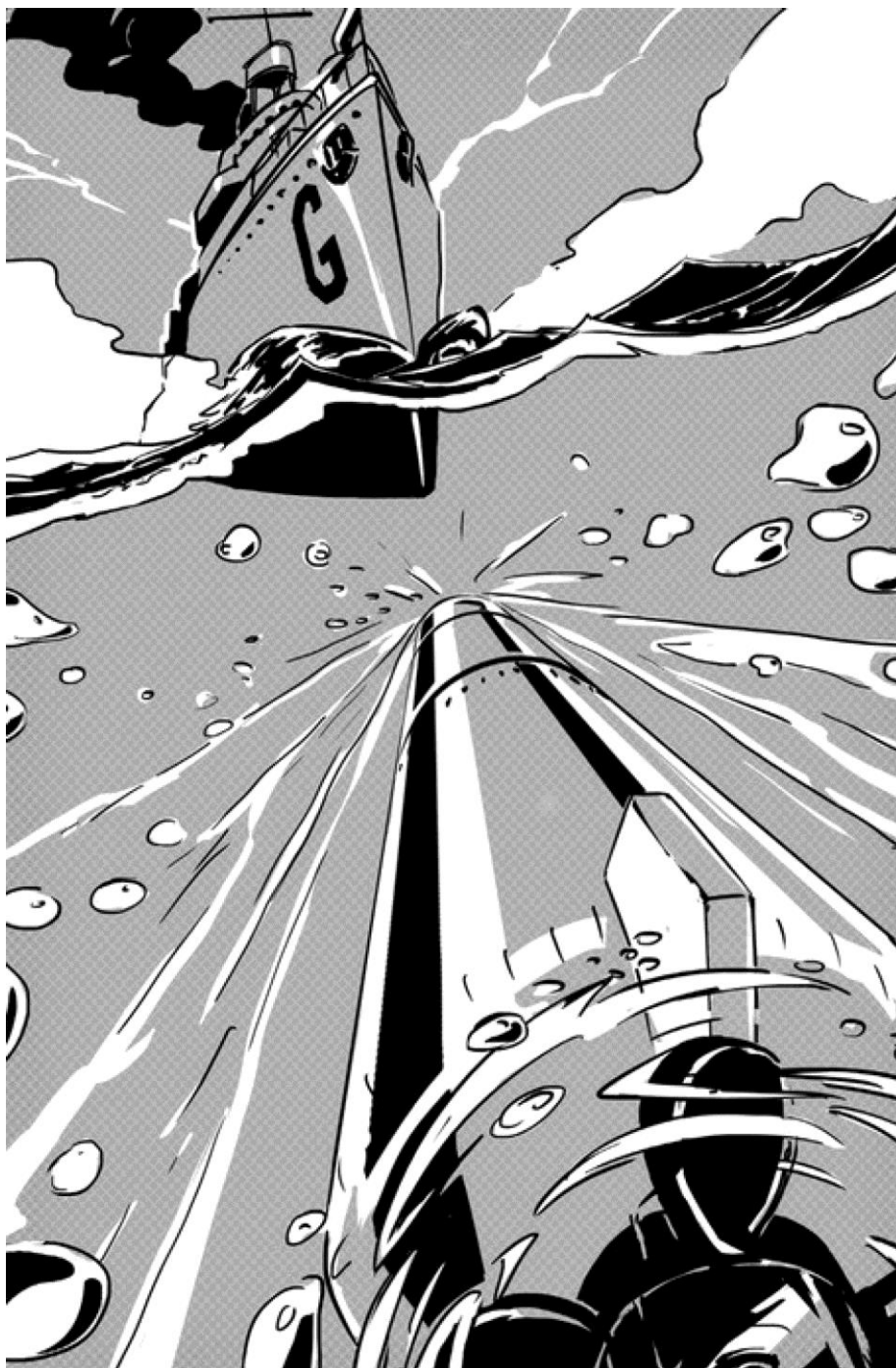
Ludzie na mostku zastygli, w napięciu śledząc próbę sił między dowódcą a pierwszym oficerem. Trollope zagryzł wargę do białości i przez chwilę potrząsał głową, jakby szukając odpowiednich słów.

- Depesza, sir!

Radiotelegrafista poderwał się, trzymając pasek z rozszyfrowaną wiadomością. Podając go dowódcy, odwrócił wzrok. Trollope spojrzał na treść komunikatu a jego twarz poczerwieniała.

Harrington zrobił krok do przodu i wyjął pasek z jego dłoni. Przejrzał go szybko, zmiażdżył i wsunął do kieszeni płaszcza, patrząc przy tym dobitnie w oczy Trollope'a. Ten wytrzymał przez moment jego spojrzenie, po czym cofnął się o krok, znów spuszczając wzrok.

Tymczasem wśród mgły pojawiła się sylwetka okrętu wojennego. Mgła skryła jego kształt, odsłaniając na moment pokład dziobowy z dwiema wieżami działowymi i pojedynczym kominem.



- Okręt przed dziobem! - zameldował któryś z obserwatorów, oglądając się

*

z nadzieją. - Jeden komin, to chyba ten Polak! Ściga Niemców w Ofotfjordzie!

- Nonsens - prychnął Trollope, nagle odzyskując rezon. - To okręt

niemiecki! Drugi komin tego typu okrętów jest mniejszy i przesunięty ku tyłowi, dlatego go nie widać!

- Ale niszczyciele typu „Leberecht Maas”... - próbował wytłumaczyć obserwator, lecz dowódca nie dał już mu dojść do słowa.

- „Grom” został odesłany do Anglii! - ryknął. - Mamy przed sobą niemieckiego niszczyciela! Chciał pan wojny, panie Wackhert? - Naraz zwrócił się ku blademu jak ściana pierwszemu oficerowi. - Dobrze zatem! Maszynownia, pół naprzód. Panie Andrews, proszę szykować aparaty torpedowe!

Harrington ledwie dostrzegalnie skinął głową. „Grom” skakał na fali, sunąc w kierunku kolejnego niemieckiego niszczyciela, który właśnie zawracał w jego kierunku. Skryta we mgle sylwetka naraz rozbłysnęła salwą burtową, a padające pociski wzbijały fontanny wody w odległości kilkudziesięciu metrów od dziobu.

- Zasłona dymna! - zarządził Kornilowicz, zmieniając lekko kurs okrętu. - Porucznik

Łopuszak, szykować aparaty torpedowe! Snieżewski, dlaczego pan nie strzela?

Wojtek zaciskał z całej siły zęby, przeklinając wojnę, Niemców oraz własną głupotę, która kazała mu podrywać się i ostrzegać dowódcę przed wroga flotyllą. Ciemne obrazy zalewały jego umysł. Wizje śmierci od odłamków i płomieni zastąpił teraz ból zamarzania w lodowatej wodzie.

Nagle poprzednie wrażenia zbladły wobec nowego, ostrego bólu, który przeszył jego ciało. Z kącika ust popłynęła mu krew.

- Torpeda - jęknął.

- Torpeda? - podchwycił stojący obok obserwator, podrywając lornetkę do oczu i przeczesując morze przed dziobem okrętu.

Snieżewski również się dźwignął, otępiały. Obserwator zauważył tylko, że zamiast w kierunku dziobu podporucznik patrzy ku prawej burcie. Wtedy przeszył go paniczny lęk.

Sekundę później wszystko przestało się liczyć.

Część czwarta

Marynarze na niszczycielu sprawnie zamocowali cumy i pułkownik Rolf Krieman wolno zszedł po trapie. Miał na sobie zwykłą wiatrówkę i od zwykłego żołnierza odróżniały go jedynie złote guziki na czapce, lecz samo jego spojrzenie starczyło, żeby szereg strzelców górskich na nadbrzeżu Malmkaien wyprężył się na baczność.

Twarz pułkownika była nieruchoma, jakby wykuta z kamienia, lecz jego wzrok badawczo otaksował szereg ludzi Dietla. Natychmiast dostrzegł, że umundurowanie części z nich jest nieco ciemniejsze od standardowego *feldgrau* Wehrmachtu, a zatem pochodzi z zasobów armii norweskiej. Zauważył również, że twarze żołnierzy są blade i znużone, a niektórzy patrzą na niego z ulgą.

„Chyba nie mają tu zbyt różowo”, pomyślał, przenosząc wzrok dalej. Kilka metrów od żołnierzy leżał dźwig portowy zniszczony celnym pociskiem z działa. Ściany magazynów oraz budynków kapitanatu portu oznaczone były dziesiątkami dziur po odłamkach, a kilka z nich spłonęło do szczętu. Ciężkie wagony kolejowe przewozu rudy leżały martwo na pobliskim węźle kolejowym, porzrzućane i poharatane przez artylerię okrętową. Pułkownik przypomniał sobie wypalone, wystające z wody wraki statków na redzie, między którymi kluczył ich niszczyciel, i ze zrozumieniem pokiwał głową. Jako doświadczony oficer miał już pełen obraz walk, które odbyły się wokół miasta.

- Spocznij! - rzucił w kierunku żołnierzy.

- Witam, Krieman! - Mocny, doskonale znany mu głos wyrwał go z zadumy. Przed szeregiem strzelców wyrosła niewysoka postać z generalskimi insygniami. - Coś długo na was czekamy!

- Witam, generale. - Krieman zasalutował, po czym postąpił krok i wyciągnął dłoń, którą generał Ernest Dietl, dowódca 3. dywizji strzelców górskich, uścisnął z serdecznością. - Od chwili wyruszenia z Trondheim prześladowuje nas zła pogoda, a u wejścia do Ofotfjordu flotyllę zaatakował aliancki niszczyciel. Przykro mi o tym mówić, ale „Bernd von Arnim” poszedł na dno wraz z całą załogą, dwoma plutonami 6. batalionu i czterema haubicami.

- *Mein Gott!* - Na pomarszczonej, ozdobionej zbyt dużym nosem twarzy generała Dietla pojawił się smutek. - Co za beznadziejna śmierć... Czy

24.

udało się zatopić owego bezczelnego śmiałka?

- „Erich Koellner” zawracał do kontrataku, gdy wrogi okręt stanął w ogniu - odpowiedział Krieman. - Najprawdopodobniej trafiła go ostatnia torpeda z „Bernda von Arnima”.

- Niezwykła historia.

- Niestety, generale, mam dla pana jeszcze więcej niespodzianek - dorzucił Krieman przyciszonym głosem. - Nieprzyjemnych.

Delikatnym ruchem głowy wskazał trap niszczyciela, po którym z godnością schodził starszy mężczyzna w długim, czarnym płaszczu. Dłonią w skórzanej rękawiczce poprawił okulary połówki nadające jego twarzy ostrych rysów i przyglądał krótkie, siwiejące włosy.

- *Heil Hitler!* - pozdrowił szereg żołnierzy.
- *Heil Hitler!* - odpowiedział mu niemrawy chór.

- Generale! - Krieman odwrócił się w stronę Dietla, widząc, że esesman szybkim krokiem zmierza w ich kierunku. - Moi ludzie są zmęczeni podróżą. Czy mógłby pan wskazać im kwatery, a także wyznaczyć magazyny na dodatkowy ekwipunek?

- Naturalnie, pułkowniku. - Dietl skinął głową. - Lejtnant Wichman, proszę pokierować rozładunkiem!

- *Jawohl!* - Zasalutował rudy porucznik stojący za plecami Dietla, po czym odwrócił się i z twardym tyrolskim akcentem zaczął wydawać rozkazy.

Ciasny szereg żołnierzy 138. pułku stojący wzdłuż zrudziałej od ognia burty niszczyciela rozsypał się, a trap ugiął się pod ciężarem objuczonych ekwipunkiem ludzi. Do ostrych krzyków dowódców i tupotu ciężkich żołnierskich butów dołączyły żarty i serdeczne powitania. Ludzie Wichmana odprowadzali nowo przybyłych do kwater, dopytując o przygody podczas podróży, podczas gdy żołnierze Kriemana próbowali się dowiedzieć czegoś o Narwiku. Marynarze z niszczyciela osowiali i milcząco przyglądali się beztrudnej wrzawie.

- *Heil Hitler!* - Esesman zasalutował przed Dietlem, który odpowiedział identycznym gestem.

- Generale, oto profesor Ahnenerbe i jednocześnie dowódca SS „Ulvhednar”, Herr SS- *Standartenfuhrer* Michael Tritz - przedstawił Krieman przybyłego obojętnym głosem.

- SS „Ulvhednar”? - zdziwił się uprzejmie generał Dietl. - Nigdy nie słyszałem o takiej jednostce.

- Nic dziwnego, generale. - Tritz uśmiechnął się chłodno. - Wehrmacht nie ma prawa znać planów SS.

- Osobliwa nazwa. - Dietl udał, że nie słyszy arogancji w głosie esesmana. - Brzmi z germańska, a jednakże nie znam tego słowa.

- To słowo pochodzi ze staroislandzkiego, generale, a oznacza „wilkołaki”.

W dalszej części nabrzeża cumował właśnie kolejny niszczyciel, pokieroszowany weteran „Hans Ludemann”.

- Doprawdy? - Dietl uniósł brwi. - Czyżby miał pan pod swoimi rozkazami bestie z mitologii?

- Wyłącznie. - Tritz zmrużył oczy do wąskich szparek.

- Generale, profesor Tritz otrzymał pozwolenie samego Reichsführera Heinricha Himmlera na przeprowadzenie ważnych badań etnograficznych wokół Narwiku - zabrał głos Krieman. - Pozwolenie to zawiera w sobie zgodę na branie do niewoli i przesłuchiwanie rdzennej ludności, a zarówno ja, jak i pan jesteśmy zobowiązani pomóc profesorowi we wszelki możliwy sposób, pod warunkiem że nie kłóci się to z założeniami strategicznymi.

- Naturalnie, profesorze. - Dietl świetnie zamaskował zdziwienie. - Witamy w Narwiku.

Gospodarskim gestem wskazał osmolone, zasłane szczątkami nabrzeże portowe, obdarzając przelotnym spojrzeniem twarz samego Kriemana. „Czeka nas długa rozmowa”, zdawał się mówić pozbawiony emocji wzrok pułkownika.

Obraz smoczej śmierci uparcie powracał.

Wojtek znów widział szare cielsko torpedy, jak zmierza w stronę burty, znów słyszał swój krzyk, długi, spóźniony. Czuł, jak pokład nagle pochyła się pod jego stopami, a potem wstrząsa nim straszliwa eksplozja na rufie. Uderzenie o stalową ścianę wybiło mu dech z płuc.

- Bomby hydrostatyczne wypier...! - krzyknął Pierka, zanim uderzyła go spadająca rura.

A on znów biegł, płomienie topiły szyby z pleksiglasu, ogarnięte ogniem działko przeciwlotnicze puściło serię w niebo. Korytarz wypełnił niewyobrażalny żar, płuca walczyły o każdy kęs powietrza, a on napierał na gródź wypaczoną od uderzenia, i raz, i drugi... Nagle gródź ustąpiła, a on wybiegł na pokład i zachłysnął się świeżym, zimowym powietrzem. Spojrzał na wodę...

Jego ciało nie było nawet drażnione, ale serce zostało rozerwane na tysiące kawałeczków. Fizyczny ból był niczym w porównaniu z cierpieniem, jakie zsyłała na niego każda śmierć na okręcie. Biegł przez trzewia umierającego smoka, krzyczał z bólu i zataczał się. Ścigał go tryumfalny, szalony śmiech dowódcy sprowadzanego siłą do szalupy. Mimo to parł naprzód po pochylającym się pokładzie, potykał się o ciała rannych i martwych towarzyszy, aż w końcu skoczył przez reling.

Przeraźliwie krzyczał do chwili, gdy czarna woda zalała jego usta.

- Prosiłam cię, synu śmierci. - Słyszał płacz z oddali, a jednak blisko.

- Błagałam cię, byś nie schodził na łąd. Mówiłam w twoich snach, że przyniesiesz nam zgubę...

Nie wiedział, co powiedzieć. Milczał odrętwiały.

- Wiem. - mówiła, a Wojtek niemalże widział smutny uśmiech na jej twarzy. - Nie ma w tobie zła. Ktoś poprowadził twoje kroki. Ktoś chciał, byś przeżył.

„Kto?! - chciał wrzasnąć Wojtek, lecz bał się krzyczenia w ciemnościach. - Kto chce mego życia? Czy żywym potrzebny jest człowiek, który widzi i przewiduje śmierć?”

- To przeznaczenie sprawiło, że przeżyłeś. Jesteś kamieniem, który zmieni bieg rzeki - mówiła Kriss.

„Nie chcę być igraszka przeznaczenia! - wołał. - Na cóż mi dar, który zatrął moje życie i zamienił je w grę ze śmiercią! Znow utraciłem wszystko, co kochałem: dowódcę, rodaków, okręt. Wszystko! W imię czego? Kto lub co oddało się okrucieństwu na tyle, by krok po kroku niszczyć moje życie?”

- Smoku... - wyszeptał.

- Smoki nie istnieją - odpowiedział mu z oddali głos Kriss.

- Mówi się, że elfy nie istnieją...

- Nie jestem elfem. - Nadbiegła odpowiedź.

Wojtek wiedział, że na załamanej twarzy Kriss pojawił się uśmiech.

- Zwykle dziewczyny nie wchodzi do snów, by śpiewać o przeznaczeniu - spróbował zażartować.

- Chodź już. Później to wyjaśnię.

Ciemności znikły. Ponownie poczuł zimno przemoczonego swetra oraz zmarzniętego śniegu, na którym kłęczał. Wsparł się na jej delikatnym, a jednakże silnym ramieniu, podniósł się i postąpił kilka kroków. Coś mu mówiło, że choć na chwilę śmierć da mu święty spokój.

Ogromny wilk bezszelestnie sunął u jego boku, popatrując ku niemu z ciekawością żółtymi ślepiami.

Gubbins zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka. Choć dochodziła dopiero druga nad ranem, ciemności nocy rozplywały się, ustępując

miejsca wilgotnej, nieprzyjemnej bladości. Rozróżniał już rysy twarzy towarzyszy. Pióra wiosel niemalże bez plusku zanurzały się w ciemnej wodzie i unosiły się nad jej toń, ociekając bezgłośnie. Gubbins śledził ową prostą, powtarzającą się czynność, próbując zapomnieć o lęku.

Tuż przed opuszczeniem HMS „Zulu” Harrington wezwał ich wszystkich na krótką naradę do chwilowo pustej mesy oficerskiej, po czym w oszczędnych słowach przedstawił im treść misji w Narwiku. Gubbins słuchał chciwie, starając się przewidzieć jakiś podstęp czy odszukać podwójne znaczenie w jego słowach, ale Harrington mówił rzeczowo i z entuzjazmem. Jego oczy błyszczały podnieceniem, a zaciśnięte pięści lekko uderzały o blat stołu, zdradzając niecierpliwe oczekiwanie. Samo zadanie zaś było przewidywalne - mieli założyć bazę wypadową na południowym zboczu góry Emmenessberget. Stamtąd mieli prowadzić wypadki zwiadowcze i sabotażowe, zbierając dane dla przygotowywanego właśnie głównego desantu sił alianckich. Harrington kilkakrotnie nadmienił, że powinni korzystać z każdej okazji, by eliminować niemieckich dowódców i funkcjonariuszy SS. Każdy z żołnierzy uśmiechnął się z aprobatą na te słowa, nawet Gubbins zmusił się do grymasu. Od czasu wydarzeń w Kopenhadze nienawidził ich z całego serca.

Chłodny wiatr zmarszczył tafle wód fiordu i Gubbins powrócił do rzeczywistości. Mocniej naciągnął czapkę, próbując opanować dreszcz. Nie czuł zwykłego dłań napięcia przed akcją, ale zwykły, ludzki strach. Przed czym? Przed owym dziwnym czymś, co ujrzał podczas ucieczki przed Niemcami?

„Bzdura - zganił się sam w myślach. - Przywidziało mi się wtedy”.

„A może jednak nie? - odezwał się inny głos w jego głowie. - Może dzieje się wokół ciebie coś, czego nie rozumiesz, Collin? Przypomnij sobie tylko karty dziennika twego szefa. A pamiętasz twarz komandora Trollope’a? Pamiętasz Kopenhagę?”.

Gubbins zadrżał raz jeszcze, tym razem nie od wiatru. Od niechcienia, tak by zając czymś myśli, przeliczył raz jeszcze ludzi na szalupie. Siedzący na dziobie Harrington, obok niego White z erkaemem, na prawej burcie wiosłujący Patterson, MacAdam i Bolesky, a na lewej Dalestone, Kerre i Stockton. Razem z nim było ich dziesięciu.

„Nie, zaraz. To niemożliwe!”.

Z HMS „Zulu” przecież zeszło dziewięciu ludzi! Siedmiu żołnierzy, on i Harrington to dziewięciu ludzi, jak amen w pacierzu. Zamrugął zaskoczony i przeliczył raz jeszcze.

Nie, wszystko w porządku. Jest dziewięciu. Choć jeszcze przed chwilą przysięgłby, że na łodzi wraz z nimi płynie dziesiąty członek wyprawy.

Największy apartament Royal Hotel, który zajmował generał Dietl, pamiętał lepsze czasy. Okrągły stół zasłany był stertami dokumentów, na aksamitnym fotelu spoczywał pistolet maszynowy, a pościel na szerokim łóżu kotłowała się w nieładzie, jakby ktoś miotał się tam, na próżno próbując zaznać snu. Okno zasłaniały aksamitne story, przez co w środku panował półmrok. W świetle pojedynczej lampki na stoliku nocnym wyglądał niczym kadr z koszmarnego snu.

Profesor Tritz i pułkownik Krieman w skupieniu nachylali się nad mapą. Generał Dietl usiadł na krawędzi łóżka, zapalając papierosa. Niebieskawe smugi dymu popłynęły w kierunku okna.

- Można uchylić okno? - Tritz zmarszczył brwi, patrząc z niezadowoleniem na Dietla.

- Nie radziłbym. - Dietl uśmiechnął się chłodno. - Miejscowa ludność powoli budzi się z szoku po naszym ataku. Chciałby pan, by jakiś zdesperowany norweski snajper postanowił przejść do legendy, widząc pana w oknie?

- Generale, nie chcę pana pouczać, ale dywizje górskie podawane są za przykład sprawności i tężyzny fizycznej. Palenie zaś to zgubny nałóg, który prowadzi do...

- Czy sugeruje pan, generale, że Norwegowie organizują już jakiś ruch oporu? - przerwał mu Krieman, nie patrząc na Tritza.

- Nic na to nie wskazuje. - Skrzypnęły sprężyny łóżka, gdy Dietl wstał i podszedł do stolika. - Narwik opanowaliśmy niemalże bez wystrzału. Tracąc jedynie paru rannych. W ciągu kilku dni opanowaliśmy przystań Bjerkvik oraz obszar aż do doliny Gratangen - jego palec nakreślił owal na północ od Narwiku - cały półwysep narwicki oraz Ankenes po drugiej stronie Beisfjordu. Kontrolujemy też linię kolejową aż do granicy szwedzkiej. Tam też miała miejsce jedyna jak dotąd poważniejsza potyczka, w której rozbiliśmy norweską kompanię niejakiego majora Spjeldn^sa.

- Spjeldn^sa? - zapytał Tritz zaintrygowany.

- Takie nazwisko podali jeńcy. - Dietl pokiwał głową. - On sam zginął zresztą podczas walk. W dość dziwnych okolicznościach zresztą...

- Co pan przez to rozumie, generale?

25.

- Hmm... - Dietl zastanowił się i podrapał po wielkim nosie. - Wie pan, jestem doświadczonym żołnierzem, widywałem już i tchórzy, i bohaterów, ale ten człowiek, Spjeldn^s... Cóż, zrobił najdziwniejszą rzecz pod słońcem. Na moment przed decydującym natarciem kompanii majora Winricha po prostu wstał i wyszedł z za linii zaimprovizowanych umocnień, by wezwać naszych żołnierzy do wstrzymania ognia. I nie uwierzy pan, Tritz, ale ci posłuchali go. Karni żołnierze 2. kompanii 1. batalionu opuścili broń i patrzyli na Spjeldn^sa jak wół na malowane wrota. W tym czasie większość Norwegów przebiegła na szwedzką stronę. Dopiero po chwili nasi oprzytomnieli i ścięli Norwega seriami, a szkoda... To musiał być wielki człowiek.

- To był wróg, generale! - powiedział surowo Tritz, lecz iskierki podniecenia, błyszczące w jego oczach, przeczyły groźnemu tonowi.

- Czy Norwegowie próbują jeszcze walczyć? - zapytał Krieman.

- Na razie nie. - Dietl rozduśił niedopałek w kryształowej popielniczce.
- Po okolicy włóczy się kilka rozbitych oddziałów, lecz nie mają wielkiej ochoty do walki, przynajmniej na razie. Zeszłej nocy miał miejsce nocny atak na baterię połową w Ankenes, ale nie wygląda mi to na robotę Norwegów. Napastnicy dysponowali bronią maszynową i ładunkami wybuchowymi, a choć porucznik Schepke twierdzi, że atakował ich minimum pluton, sądzę, że była to najwyżej drużyna znakomicie wyszkolonych żołnierzy.

- Być może grupa zwiadowcza z tych brytyjskich niszczycieli.

- Też tak sądzę. Kapitalnie przeprowadzona akcja. - Dietl zapalił kolejnego papierosa. - Wprowadziłem stan podwyższonej gotowości.

- Generale, gdzie trzyma pan jeńców? - zapytał Tritz.

Zdjął okulary i przetarł je białą szmatką. Na jego policzkach pojawiły się rumieńce.

- Urzędnicy cywilni są pod strażą w piwnicy ratusza. Jeńcy wojenni w magazynach portowych.

- Doskonale. Zamienię z nimi kilka słów.

Tritz wstał i wyszedł z apartamentu, trzaskając drzwiami. Dietl pytająco spojrzał na Kriemana.

- Co go ugryzło? - zapytał.

- Nie wiem, generale. - Krieman wzruszył lekko ramionami. - Proszę mnie o to nie pytać. SS toczy swoje prywatne wojny.

- Z dwojga złego lepiej, by zajmował się swoimi sprawami, niż plątał się nam pod nogami.

- To prawda.

Przez chwilę obaj milczeli. Dietl wydmuchiwał gęste chmury dymu i patrzył, jak się kłębią w świetle żarówki. Krieman zaś ujął mapę z zaznaczonymi pozycjami oddziałów i studiował ją uważnie.

- Sytuacja w Narwiku wygląda na opanowaną, generale - powiedział w końcu, składając papier z szelestem.

- W istocie, tak wygląda. - Zmrużył oczy Dietl. - Ale byłbym ostrożny z tym stwierdzeniem. Mamy pod kontrolą miasto i niezły szmat terenu, kontrolujemy też linię kolejową do Szwecji, ale to wszystko, pułkowniku. Dziś sytuacja wygląda na opanowaną, ale jutro wszystko może się odmienić. Dobrze pan wie, że Narwik to jedyny port, przez który można transportować szwedzką rudę. A bez niej nasz przemysł padnie. Myśli

pan, że Brytyjczycy o tym zapomną? Nie chciałem tego mówić przy esesmanie, ale wasze przybycie do Narwiku to istny cud. Royal Navy musiała być w wyjątkowej niedyspozycji, skoro przepuściła siedem niszczycieli wzdłuż całego wybrzeża!

- W wyjątkowej niedyspozycji - powtórzył Krieman, ale jego wzrok umknął w bok.

- Pułkowniku, wie pan, co tu się działo dzień po opanowaniu Narwiku? - Dietl zagryzł wargi. - O świcie wpadła do fiordu eskadra brytyjskich niszczycieli. Widział pan te wszystkie wraki na redzie portu? Anglicy urządzili sobie pieprzone ćwiczenia strzeleckie! *Mein Gott*, myślałem, że to koniec! Lada dzień pojawią się tu ich pancerniki, Krieman, potem transportowce z desantem, samoloty... Anglicy nie odpuszczają Narwiku.

- Nic dziwnego, że nie chciał pan mówić o tym przy esesmanie. - Pułkownik patrzył na niego twardo. - Powiedziałby, że pańskie słowa tchną defetyzmem.

- A tymczasem one tchną realizmem. Do chwili pańskiego przybycia miałem pod swoją komendą dwa tysiące strzelców górskich i niepełny tysiąc marynarzy z zatopionych niszczycieli. - Palec Dietla zakreślił kolejny łuk na północ i wschód od Narwiku. - Mamy sporo amunicji i broni maszynowej, ale zaledwie garstkę dział przeciwpancernych i kilka pelotek wymontowanych z zatopionych okrętów. Wokół Narwiku nie ma żadnego lotniska, a bez wsparcia lotniczego pozostała nam jedynie modlitwa! Sugerowałem zamrożnięte jezioro Hartvig, ale dowództwo Luftwaffe obawia się odwilży! Czasem rejon patrolują klucze heinkli, przelatują też junkersy ze zrzutami, ale to kropla w morzu potrzeb. Jediną nadzieją jest to, że wnet dołączą do nas oddziały, które opanowały Trondheim, ale nim to nastąpi, Brytyjczycy prawie na pewno podejmą próbę odbicia Narwiku.

- Nie sądzi pan, że przybycie mojego pułku zmienia układ sił?

- Pańskie oddziały są zbyt cenne, Krieman, by upychać po okopach. Jutro, skoro świt, wyruszy pan tu. - Palec Dietla wskazał niewielką miejscowość na mapie, położoną około stu kilometrów od Narwiku. - To Bardufoss, najbliższe lotnisko, wciąż w rękach norweskich. Moi ludzie próbowali już się tam przebić, ale zatrzymała ich śnieżycyca oraz opór kilku luźnych grup niedobitków. Pańskie siły są znacznie liczniejsze od

oddziałów, które ja mogłem pchnąć w tym kierunku, tak więc liczę na szybki sukces. Będę spokojniej oczekiwał na desant Anglików ze świadomością, że w pobliżu czuwa eskadra sztukasów!

Spróbował się zaśmiać przy tych słowach, ale śmiech przeszedł w serię suchych kaszlnięć. Krieman patrzył na niego bez wyrazu.

- To wszystko, pułkowniku. - Dietl wyprostował się i otarł spoczone czoło. - Ten cholerny esesman miał rację, palenie mnie zabija. Dokładne wytyczne otrzyma pan przed wieczorem, proszę się teraz wyspać. Kilka pokoi w Royal Hotel wciąż stoi wolnych, a na nadmiar turystów Narwik tej wiosny nie narzeka.

Krieman skinął głową i wstał.

- Aha, jeszcze jedno - odezwał się Dietl, nie patrząc na niego. - Na pewno dotrą do pana pewne plotki. Żołnierze gadają, że na półwyspie Emmenes grasuje jakiś wilkołak. Wie pan, nasi ludzie to przesądna brać. Niech się pan zatem nie dziwi, słysząc jakieś dziwne pogłoski.

- Na pewno się nie zdziwię. - Krieman zmrużył lekko oczy, zasalutował i wyszedł z apartamentu.

Dopiero wtedy zaczął przeklinać, cicho i z pasją.

Ragnar stał naprzeciwko hotelu i rozmawiał cicho z kilkoma żołnierzami. Na widok Tritza natychmiast się pożegnał i przebiegł przez ulicę na jego spotkanie. Profesor wyglądał na wzburzonego, co rusz zdejmował i przecierał swe okulary połówki.

- Motocykl! - rzucił rozkazująco.

Ragnar o nic nie pytał. Natychmiast podbiegł do motocykla z przyczepką, który zostawił przy gnieździe karabinu maszynowego koło hotelu, i wskoczył w siodelko. Uruchomił silnik, a profesor szybko usadowił się w przyczepce.

- Do portu! - rozkazał.

Motocykl ruszył ostro i skręcił w kierunku zabudowań portowych.

- Jak się nazywał przywódca Ukrytego Ludu? - zapytał głośno, próbując przekrzyczeć ryk motoru.

- Spjeldn^s! - wykrzyknął pochylony nad kierownicą Ragnar. - Sverre

Spjeldn^s! Był jedynym, który umiał mówić Głosem Bogów!

- Słusznie mówisz, był... - Tritz ponownie przetarł okulary. - Postanowił zostać bohaterem, jak jego przodkowie z sag! Zastrzelili go ludzie Dietla!

- Dzielny, szlachetny Sverre... - warknął Ragnar. - Zawsze gotów nadstawiać karku za innych!

- Ukryty Lud wyszedł z ukrycia! - wrzasnął Tritz i uderzył pięścią w dłoń. - Musimy pochwycić któregoś z nich! Do Bezimiennej Doliny sami nie trafimy! Musi nas ktoś doprowadzić!

- Trudno będzie kogoś schwytać...

- Nie kracz jak twoi podopieczni, Ragnar! - wycodził przez zaciśnięte zęby Tritz. - Musimy znaleźć i znajdziemy! Rozpoczniemy od przesłuchania jeńców Dietla!

Motocykl przemknął po zabłoconym, usłanym szczątkami nabrzeżu i wyhamował przed magazynem portowym, który otoczono zwojami drutu kolczastego. Strzegło go kilku marynarzy Kriegsmarine ubranych w czapki i kurtki norweskiej armii i uzbrojonych w stare karabiny. Tritz natychmiast wyskoczył z przyczepki.

- *SS-Standartenfuhrer* Tritz! - rzucił w kierunku zaskoczonego dowódcy warty. - Chcę natychmiast zobaczyć jeńców.

Na stojącym nieopodal słupie z flagą hitlerowską usadowił się ogromny, czarny kruk.

W pogrążonym w ciemnościach magazynie panował potworny zaduch i Tritz z trudem opanował mdłości. Półprzytomnie wodził wzrokiem za snopem światła latarki, prześlizgującym się po bladych, przestraszonych twarzach jeńców.

- Ilu ich tu jest? - Tritz wydusił z siebie pytanie.

- W tym magazynie stu trzydziestu. - Dowódca warty opuścił latarkę. Jego głos był przytłumiony, jakby i on walczył z nudnościami. - Jest jeszcze kilka innych...

- Nie wiążecie ich? - Tritz dostrzegł wolne przeguby.

- Szkoda roboty. - Pokręcił głową marynarz. - Pozrywaliby je i jeszcze

kogoś podusili. Stąd nie uciekną, Herr *Oberleutnant*. Ściany są mocne, a na zewnątrz zasieki, mróz i nasze karabiny!

- To Norwegowie?

- Tylko kilku. - Dowódca warty zmarszczył brwi. - Głównie jednak Anglicy z motorowca „Blythmoor” i z tych niszczycieli, które posłaliśmy im na dno. - Skrzywił

się przy tych słowach z nienawiścią. - Mamy tu też paru naszych.

- Niemców?

- Zdrajców, Herr *SS-Standartenfuhrer*. Jak na przykład ten tam, w rogu...

Tritz nie słuchał wartownika. Zaświecił latarkę i powoli przesuwiał światło po otaczających go ludziach. Patrzyły na niego dziesiątki oczu, jedne rozgorączkowane, inne zastraszone lub zmrużone z nienawiścią. Twarze jeńców były zarośnięte, a niektóre wciąż osmolone lub brudne od mazutu. Rzadko który zachował jakieś odzienie poza spodniami i swetrem, wielu nosiło prowizoryczne opatrunki lub sine ślady po odmrożeniach. Wszyscy milczeli i trzęśli się z zimna. Tritz szedł wolno między nimi. Run *thurisaz* wiszący mu na szyi dodawał mu groźnego majestatu potęgowanego dodatkowo przez złowieszczy, czarny mundur i jeńcy cofali się z lękiem. Wyczuwał naokoło strach, ból i upokorzenie, lecz ani śladu tego, czego najbardziej szukał.

Zerknął w tył, ku Ragnarowi. Oczy jego podwładnego były szeroko otwarte, lecz pokręcił przecząco głową, gdy ujrzał spojrzenie Tritza. „Nie - zdawał się mówić. - Nie widzę nikogo z Ukrytego Ludu”.

- Cofnij się!

Skupienie Tritza przerwał ostry krzyk wartownika. Profesor dostrzegł nagle, że przez tłumek jeńców przedziera się jakiś człowiek, mówiąc coś głośno po niemiecku. Skierował ku niemu światło latarki i z zaskoczeniem dostrzegł, iż tamten miał na sobie obdartą wiatrówkę strzelców górskich.

- Pan mi uwierzy, Herr *SS-Standartenfuhrer*! - jęczał jeńiec. - Skazać chcę, rozstrzelać za zdradę, ale przecież walczyłem dzielnie! Dopiero wilkołak...

Cios kolbą karabinu w szczękę posłał strzelca na ziemię. Tłum cofnął się o kilka kroków, ktoś wykrzyknął z przerażeniem.

- To zdrajca, Herr *SS-Standartenfuhrer* - wyjaśnił wartownik, unosząc

karabin do kolejnego ciosu. - Nazywa się gefrajter Helmut Dirsch. Podał się wrogiemu okrętowi wojennemu po tym, jak ogień artyleryjski rozproszył jego pluton na Emmenes. Mówi, że ścigały ich wilkołaki.

- Niewiarygodne... - mruknął Tritz i przyjrzał się uważnie związającemu się z bólu Dirschowi.

- Na szczęście sprawiedliwości stało się zadość i tamten okręt storpedowano. - Wartownik uśmiechał się ponuro. - Dirscha znaleziono na plaży przy Bjerkvik i przewieziono motorówką do Narwiku.

- Wilkołaki? - Tritz zrobił krok w kierunku jeńca. - A zatem widziałeś wilkołaka?

- Była mgła, a on... On zagryzł kilku naszych... - jęczał Dirsch. - Potem nas ścigał przez cały półwysep...

- Fascynujące. - Tritz wyprostował się. - W głowie się wprost nie mieści, do czego posunie się człowiek, by usprawiedliwić swoje tchórzostwo. Proszę go dobrze pilnować.

Z tymi słowami odwrócił się i bez pożegnania ruszył w kierunku wyjścia z magazynu i ożywczemu, świeżemu powietrzu.

- Słyszałeś? - zapytał szeptem Ragnara.

- Tak. - Człowiek z ptasim nosem skinał głową. - Ten człowiek nie zmyślał.

- Czy wśród Ukrytego Ludu był ktoś obdarzony błogosławieństwem Odyna?

- Był jeden. Najbliższy przyjaciel Spjeldn[^]sa, Skygge, *Herr Standartenjuhrer*.

- Mamy zatem pierwszy trop. Po sprawdzeniu pozostałych magazynów wysłę kilku naszych na półwysep Emmenes. A teraz naprzód!

Zawarczał silnik i motocykl pomknął wzdłuż nabrzeża otoczony chmurą spalin. Kruk rozpostarł skrzydła i poszybował w ślad za nimi.

Cudowne, błogie ciepło otaczało go ze wszystkich stron. Wojtek chciał śmiać się z radości i pławić się w nim w nieskończoność, lecz wtedy podświadomość zadała zdradzieckie pytanie:

„A gdzie podziało się zimno? Gdzie jest ból i ogień?”.

Przerażony poderwał się gwałtownie i otworzył jednocześnie oczy, a wtedy natychmiast oślepił go blask dnia. Gdy wzrok oswoił się ze światłem, dostrzegł drewniane ściany niewielkiej chatki i polepę zamiast podłogi. Leżał na pryczy okryty baraniami skórą, pod głową mając zrolowany koc. W rogu izby stał żelazny piecyk oraz kilka pniaków zapewne służących do siedzenia. Jego spodnie, sweter i kurtka mundurowa suszyły się na sznurku.

Drzwi do izby były lekko uchylone.

Wojtek przez chwilę siedział nieruchomo, aż do wnętrza wpadł zimny podmuch wiatru. Wzdrygnął się, zeskoczył z posłania i podszedł do swego ubrania. Z ulgą zauważył, że jest już suche. Pośpiesznie wciągnął spodnie oraz sweter i wyjrzał przez uchylone drzwi.

Kriss, dziewczyna z jego snów, klęczała na śniegu i obiema dłońmi ujmowała łeb siedzącego naprzeciwko niej olbrzymiego wilka. Jej usta nie poruszały się, ale Wojtek, ku swemu zdumieniu, wyraźnie usłyszał głos wśród swoich myśli.

- Nie chcę, by i ciebie spotkał ten los - mówiła, a w jej głosie brzmiał żal. - Gdybym straciła również i ciebie...

- Nie stracisz mnie! - Wilk wyszczerzył kły i oblizał się, lecz Wojtek usłyszał chrapliwy, męski śmiech. - Nie obawiaj się, Kriss.

- Mam jakieś złe przeczucia...

- Ja również. - Wilk niespodziewanie opuścił łeb i ułożył go na kolanach dziewczyny. - Ale nie powstrzyma mnie to. Pamiętaj, Sverre zginął za swych ludzi, ale chciał, byśmy do końca bronili Króla.

- Wiem - szepnęła Kriss. - Sverre zginął, jak przystało na przywódcę. A ciebie nic nie powstrzyma, szaleńcze, prawda? Kroczyć zatem swoją ścieżką, wojowniku Ukrytego Ludu.

- A ty zaopiekuj się tym nieszczęśnikiem, którego przeklęła Hel. - Zwierzę uniosło łeb i szturchnęło nosem załamany policzek. - Nic, co się dzieje wśród Ukrytego Ludu, nie dzieje się przez przypadek. Jego przywiodło tu przeznaczenie.

17

- Spotkamy się w *stenskógurinn*? - spytała Kriss.

- Za trzy dni. Bless¹⁸, Kriss.

- Bless, Skygge.

Wilki poderwały się na równe łapy, kłapnęły szczękami i skoczyły w las.

Kriss stała przez chwilę, patrząc, jak śmiga długimi susami wśród drzew, po czym nagle odwróciła się i spojrzała Wojtkowi prosto w oczy.

- Eee... - Śnieżewski poczuł, że policzki pokrywa mu rumieniec. Czuł się jak przyłapano nago w kąpieli. - Czy to tobie zawdzięczam ocalenie?

- Nie znam twego języka, przybyszu. - Jej głos ponownie odezwał się w jego myślach. - Spróbuj rozmawiać ze mną myślami, będzie nam łatwiej. Zrozumiem twoje uczucia, ujrzę twe obrazy.

Zaskoczony Wojtek zamrugał. Z bliska jej piękno było zniewalające. Lekko skośne, niebieskie oczy Kriss emanowały ciepłem i tęsknotą, a drobne, delikatne usta drżały lekko. Wiatr bawił się z jej krótko przystrzyżonymi włosami, odsłaniając czoło i kształtne, zaróżowione uszy. Choć wzrostem niemalże dorównywała Śnieżewskiemu, wydawała się wiotka i drobna.

Uśmiechnęła się niespodziewanie, szczupłą dłonią ocierając ostatnią łzę. Policzki Wojtka ponownie zapłonęły, gdy zrozumiał, że jego własne myśli mogą być dla niego pułapką.

- Czy to ty mnie uratowałaś? - powtórzył pytanie w myślach.

Ku jego zdumieniu dziewczyna pokręciła głową.

- Nie, nie ja. - W jego głowie ponownie przemówił jej głos dźwięczny niczym kryształ. - Ciebie uratowało przeznaczenie. Ja tylko odnalazłam twe nieprzytomne ciało na brzegu fiordu. Zabrałam cię tutaj, byś odpoczął.

- Ale twoje sny... Ostrzegałaś mnie przed zejściem na ląd! Zabroniłaś mi tego, a teraz... Teraz się mną opiekujesz?

- Nie każ mi tego tłumaczyć. - Dziewczyna spuściła wzrok. - Będę musiała uczynić to przed moimi starszymi, a to starczy.

- Przed starszymi? - Wojtek zamrugał z zaskoczeniem.

Dziewczyna przeszła obok niego, zapraszając go gestem do izby. Miała na sobie wełniany sweter i drelichowe spodnie, a na nogach ciężkie buty, lecz mimo to poruszała się z gracją.

- To długa historia - powiedziała w myślach. - Znam cię od dawna. W moich wizjach zostałeś nazwany synem śmierci, tym, który ma przynieść kres Królowi Gór.

Wojtek poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

- Synem śmierci? - powtórzył z niedowierzaniem, odpychając od siebie obcą,

znieprawiona myśl. - Cóż za bzdury! Nie, powoli. Nazywam się
podporucznik Wojciech ✓
Śnieżewski, mój okręt został zatopiony, a ja muszę...

- Co musisz? - Kriss patrzyła mu w oczy, nie reagując na jego wybuch.

- Nie wiem! Jeszcze nie wiem! Ale na pewno nie będę tutaj siedział i wysłuchiwał bajek ludowych! Przepowiednie, wizje. Na litość boską, jestem rozbitkiem na terytorium wroga! Jestem zwykłym.

- Zwykłym? - Dziewczyna wybuchła śmiechem. - Zwykłym. kim? Czy zwykły człowiek rozmawia w myślach? Odbiera wizje? Widzi śmierć?

Śmierć. Ponownie użyte określenie ukłuło go w serce i nagle zabrakło mu zapału. Usiadł ciężko na pryczy, wbijając wzrok w polepę.

- Nie jesteś nikim zwykłym. - Oczy Kriss nagle stały się poważne. - Nosisz w sobie rzadki, niebezpieczny dar, a ja chcę ci pomóc. Z początku źle odebrałam ostrzeżenie, które zostało mi dane. Myślałam, że nie wolno mi dopuścić, byś zstąpił na naszą ziemię, ale myliłam się. Nie ty jesteś niebezpieczny, lecz twój dar. Nie wolno mi dopuścić, byś wpadł w ręce tych, którzy zrobią z niego zły użytek.

- Niczego nie rozumiem. - Wojtek pokręcił głową, siadając na pryczy. - Jaki zły

użytek? Na litość boską, nazywam się Wojciech Śnieżewski, jestem podporucznikiem z...

- Ja chcę ci pomóc - przerwała mu Kriss. - Nie wiem, co mną kieruje, ale naprawdę chcę ci przyjść z pomocą. Będę jednak bezsilna, jeśli mnie odrzucisz. Jeśli odrzucisz świat, do którego pchnęło cię przeznaczenie.

- Jaki świat? Norwegię? Mój okręt?

- Nie ma Norwegii. Nie ma okrętu. Jesteśmy tylko my na skraju ogromnej krainy, gdzie hulają jeszcze resztki przedwiecznej magii. Zapomnij o rzeczywistości, w której się wychowałeś. Zapomnij o wojnie, o stopniach oficerskich, o maszynach, a sięgnij do swej wyobraźni, do magii, w którą wciąż wierzysz w chwilach samotności. Tak będzie ci łatwiej przyjąć nadchodzące wydarzenia. Jesteś wśród Ukrytego Ludu.

- Ale po co? Co ja tu robię?

- Pomyśl, ja chcę ci pomóc. Chcę i muszę, ale najpierw musisz postarać się mnie zrozumieć. Nie odrzucaj mnie i świata, do którego trafiłeś.

- Jakiego świata? To Norwegia, a.

- Nie tylko Norwegia. Niebawem ujrzysz drugie dno rzeczywistości. Najpierw jednak musisz zapomnieć o swojej wojnie, o dystynkcjach, okrętach i układzie sił. Na razie odpoczywaj.

- Mój Boże... - przypomniał sobie Wojtek, siadając na pryczy i zmagając się ze wspomnieniem ostatnich chwil na pokładzie. - Jakże mam zapomnieć o rzeczywistości? Ścigaliśmy niemieckie niszczyciele, kiedy... kiedy trafiła nas torpeda! Z angielskiego okrętu! Ja muszę o tym zameldować!

- Komu? - Smutno uśmiechnęła się Kriss. - Komu o tym zameldujesz? Odlóż zemstę na później.

Jej chłodna dłoń spoczęła na czole Wojtka, a ten posłusznie przymknął oczy.

- A są... A czy znaleźliście jeszcze jakichś rozbitków? - zaczął znów, lecz tym razem

jego myśli były słabsze, cichsze.

- Spij - szepnęła Kriss. - Odpoczywaj. Niebawem musimy ruszyć w drogę.

Dzień, w którym siedem niemieckich niszczycieli zawinęło do portu z posiłkami dla generała Dietla, był wypełniony osobliwą energią. Świat zamilkł, a chmury zawisły nad górami okalającymi fiord nieporuszone tchnieniem wiatru. Ludzie mijali się bez słowa, ukradkowymi spojrzeniami dając sobie do zrozumienia, że czują ową niesamowitość i boją się jej. Kilka kutrów rybackich, które nad ranem wypłynęło na fiord, szybko zawróciło mimo dobrej pogody.

Wojtek czuł narastające zmęczenie. Opuścili ciepłą, przytulną chatkę ledwie godzinę temu, a on już potykał się i walczył ciężko o każdy oddech. Ostatnie, jakże nerwowe dni na okręcie, pojedynki z niemieckimi bateriami i okrętami, a na koniec walka o życie w lodowatej wodzie fiordu całkiem go wyczerpały. Na domiar złego skórzane buty, które tak dobrze służyły mu na okręcie, przemakały w kilku miejscach i onuce szybko nasiąkały wodą.

Kriss natomiast szła równym krokiem, nie oglądając się za siebie, i zrećnie przeskakiwała zwalone pnie drzew. Co chwila zadzierała wysoko głowę i z uśmiechem patrzyła na nieruchome, ciemnozielone korony świerków.

- Muszę odpocząć - pomyślał Wojtek mocno, z gniewem, gdy tylko ścieżka poczęła piąć się zboczem góry.

Kriss odwróciła się ze zdziwieniem.

- Do Haakvik zostało nam ledwie parę mil! - Jej słowa były pełne zdziwienia. - Za godzinę będziemy na miejscu. Znam tam pewnego człowieka, który który przewiezie nas przez fiord...

- Kriss, ja mam już dosyć! - Chłopak przystanął na ścieżce z zaciśniętymi pięściami. - Muszę chwilę odpocząć, chyba że masz ochotę mnie ponieść!

- Dobrze - odezwała się po chwili dziewczyna, a w jej myślach zadrgał lekki niepokój. - Jeszcze tylko parę metrów... Zatrzymamy się przy tym małym wodospadzie.

Ruszyła naprzód, lecz wolniej, odwracając się co chwila, by sprawdzić, czy rozbitek wciąż za nią nadaża. Zasapany Wojtek mimo swego zmęczenia nie mógł powstrzymać uśmiechu. „Dziwna to kłótnia, w której nie pada na głos ani jedno słowo”, pomyślał.

25.

Miejsce, które Kriss wybrała na odpoczynek, było niszą u podnóża wielkich bloków skalnych. Nieopodal opadał z szumem drobny wodospad, który mknął dalej, przeradzając się w bystry potok. Las dookoła był uśpiony i cichy. Wojtek z ulgą usiadł i oparł się o chłodną ścianę.

Kriss przyglądała mu się z troską, przekrzywiając lekko głowę.

- Nie patrz tak na mnie - pomyślał. - Nic mi nie jest. Nigdy nie lubiłem długich włóczęg, a teraz... Teraz jestem po prostu zmęczony.

- Rozumiem - odparła Kriss. - Przepraszam, myślałam, że...

- Nic się nie stało. Po prostu pamiętaj o tym, że nie jestem z twojego świata.

- Nie jesteś z mojego świata - powtórzyła wolno dziewczyna. - Tak, to pewne. Niemniej jednak jak na obcego dość szybko przyswoiłeś sobie jego zwyczaje.

- Co takiego? - Wojtek otworzył szerzej oczy.

- Nie udawaj... - Uśmiechnęła się Kriss, lecz jej oczy pozostały poważne. - Widzisz ludzką śmierć. Mówisz ze mną w myślach. Widziałeś, jak rozmawiam z wilkiem jak z człowiekiem. Nie burzysz się, gdy opowiadam ci o przeznaczeniu.

- Przeżyłem już kilka dziwnych chwil. - Wojtek zagryzł wargi, przywołując wspomnienie pokoju hotelowego w Kopenhadze, a potem pewnego zaśnieżonego placu, na którym leżało zmasakrowane ciało. - Mógłbym rzec, że się przyzwyczałem.

- Niewielu zostało takich jak ty. - Dziewczyna zamyśliła się. - Dziś ludzie parskają śmiechem, słysząc słowo „przeznaczenie”, a widok gadającego wilka uznają za szaleństwo. Żyjemy w świecie rozumu i nauki, w świecie stalowych maszyn latających, broni, okrętów...

- Ja mój okręt nazywałem smokiem. - Wojtek uśmiechnął się.

- Smoki nie istnieją.

- Teraz już tak.

Niespodziewanie dotknęła go świadomość straty. Naraz dotarło do niego w pełni, że okręt, na którym służył, nigdy już nie rozetnie dziobem fal.

- Cholerny świat - westchnął z żalem. - Kriss, dokąd my właściwie idziemy?

Odpowiedzi nie było, więc spojrzał na dziewczynę. Znieruchomiał, widząc jej

niepokój. Kriss bezszelestnie zerwała się na nogi i przywarła do krawędzi skały. W tej samej chwili ciężka gałąź świerkowa zadrżała, strząsając czapę śniegu, a wśród pni drzew poniosło się szydercze, oddalające się krakanie.

- Na loki Frei! - wypowiedziała w myślach najwyraźniej przestraszona Kriss. - Wiesz, co to oznacza?

- Wiem. - Wojtek nagle przypomniał sobie kruka z Kopenhagi kradnącego gołębiom skórkę chleba i przeszył go dreszcz lęku. Kolejne elementy układanki znalazły swoje miejsce. - Tam będą ginąć ludzie...

Kriss szarpnęła go za ramię:

- Musimy się teraz pośpieszyć!

Piętnastu strzelców górskich stłoczonych na pace zdezelowanej ciężarówki milczało ponuro. Wszyscy byli Austriakami z Tyrolu i wiedzieli, że są dni, kiedy góry ciszą wyrażają swój gniew. Czuli rosnące napięcie i każdy dałby dużo, by tego dnia pozostać w Narwiku. Niestety, rozkaz generała był przejrzysty: zadaniem ich grupy było przetrząsnąć wioski rybackie na półwyspie Emmenes w poszukiwaniu kryjówek brytyjskich dywersantów.

„A na domiar złego diabli nadali tych esesmanów”, przeklinali w myślach, gdy zwisająca z tyłu płachta odchyłała się na zakrętach i widzieli podążający za nimi wóz terenowy z piątką ludzi w czarnych mundurach.

Trzęsąc się i strzelając spalinami, ciężarówka pokonywała kolejne wyboje drogi wokół fiordu. Siedzący w szoferce dowódca, feldwebel Weinecker, nerwowo bębnił palcami po magazynku pistoletu maszynowego MP-38. On również czuł milczenie gór, zbyt dobitne, by je zignorować.

Nagle za zakrętem wyłoniły się pierwsze zabudowania. Weinecker poderwał się.

- Hamuj przy pierwszym budynku - rzucił w stronę kierowcy i uderzył pięścią w tylną ścianę szoferki.

- *Auststeigen! Austeigen, schneller!* - wykrzyknął siedzący z brzegu kapral i odrzucił płachtę.

Wyszkolenie wzięło górę nad marazmem. Strzelcy wyskakiwali jeden po drugim, odbiegali na bok i zajmowali pozycje do strzału. Motocykl z przyczepką, który przepatrywał teren kilkaset metrów przed nimi, terkotał nieopodal na wolnym biegu, a kierowca z pasażerem sposobili karabin maszynowy. Błyszczące od napięcia oczy żołnierzy skakały od chaty do chaty, wypatrując zagrożenia.

Byli w Haakvik, u celu swego patrolu. Wioska niczym się nie różniła od innych leżących wzdłuż fiordu. Składała się z kilkunastu drewnianych, pomalowanych na czerwono lub niebiesko chatynek, które skupiły się wokół wyboistej, zabłoconej drogi. Ledwie kilka kroków za drogą grunt opadał ku brzegowi, na którym wyrastało kilka szop na łodzie oraz długi, pusty pomost. Nad stalowoszarymi wodami fiordu płynął mrok zmierzchu.

- Mieszkańcy Haakvik! - zagrzmiął feldfelbel Weinecker przez megafon.
- Mieszkańcy Haakvik! Wychodźcie z uniesionymi rękami!

Jego norweski był beznadziejny, ale intencje zrozumiałe. Drzwi chat zaczęły się otwierać, a ludzie powoli, z obawą wychodzili na zewnątrz. Niemcy czujnie śledzili ich ruchy, lecz z wolna odprężali się. Mieli przed sobą tłumek rybaków o ogorzałych, czerwonych twarzach, tęgich kobiet w długich sukniach i jasnowłosych dzieci z piegami na policzkach. Norwegowie mrużyli oczy przed blaskiem reflektorów samochodów, a na ich twarzach widniał strach.

- Mieszkańcy Haakvik! - wołał Weinecker. - Przybyliśmy na waszą ziemię jako przyjaciele! Chcemy chronić was przed okrucieństwem Anglików i Francuzów! Przybyliśmy tu, by przywrócić dawną chwałę norweskiemu narodowi w ramach jednej Rzeszy! Tymczasem niedawno oddział angielskich żołnierzy dokonał zuchwałego...

Rybacy wpatrywali się w Niemców nieufnie, nie odzywając ani słowem, a żołnierze nie opuszczali broni. Nikt nie zauważył czarnego kruka, który przemknął nad wioską i wylądował obok stojącego dalej samochodu esesmanów. Z jego wnętrza wyszedł drobny człowiek o jasnych włosach, który nachylił się w stronę ptaka, jakby słuchał jego słów.

ygge przywarł do ziemi, warcząc bezgłośnie i oblizując kły. Jego żółte oczy iskrzyły wściekłością, gdy wodził za postaciami w szarzielonych mundurach, które rozbiegły się po wsi. Jeden z żołnierzy coś mówił przez wielką rurę, lecz jego słowa zagłuszało dudnienie krwi w uszach.

„Oto wojna, której nie dokończył Sverre”, uświadomił sobie.

Nagle Niemcy drgnęli. Kilku żołnierzy pośrodku drogi uniosło broń wyżej, a pozostali dwójkami ruszyli ku chatom, brutalnie odtrącając mieszkańców na boki.

W jednej chwili wszystkie postacie stały się rozmazanymi, purpurowymi plamami. Z piersi Skygge'a wyrwało się złowieszcze wycie, a on sam już gnał rozjuszony ku Haakvik. Żółć w jego ślepiach ustąpiła miejsca rdzawej czerwieni.

Pierwszy z żołnierzy nie zdążył nawet krzyknąć. Pędzący wilk odchylił nieco łeb i uderzył w niego piersią i jednym kłapnięciem szczęk rozszarpał mu gardło. Z ubroczonym krwią pyskiem skoczył ku kolejnym

przeciwnikom.

Dwóch Niemców, którzy osłaniali kolegów przetrząsających chaty, dostrzegło go zbyt późno. Strzelec stojący bliżej zdążył odwrócić karabin, lecz w tej samej chwili szczęki wilka zacisnęły się na jego ramieniu i szarpnęły ze straszliwą siłą. Niemiec zatoczył się, wrzeszcząc z bólu. Krople krwi z poszarpanego kikuta padły na twarz drugiego strzelca, który rzucił się do panicznej ucieczki. Przebiegł jednakże zaledwie parę metrów - wilk skoczył na jego plecy, przewrócił i wbił kły w kark. Żołnierz umarł, nim jego twarz uderzyła w błoto.

Wciąż stojąc na trupie, Skygge uniósł łeb ku nieruchomemu niebu i zawył ponuro, oznajmiając światu swe zwycięstwo. Wtedy w Haakvik rozpętało się piekło.

Rybacy z rodzinami rozbiegli się, wrzeszcząc z przerażeniem. Dwóch żołnierzy, którzy wybiegli z przeszukiwanej chaty, oddało w jego kierunku kilka strzałów. Skygge uskoczył niczym szara błyskawica, unikając kul. Przemknął pod ciężarówką, pośpiesznym kłapnięciem rozszarpał łydkę człowiekowi z megafonem i rzucił się w ślad za Niemcem, który wyrzucił broń i z wrzaskiem pędził ku łodziom.

Erkaem na przyczepce motocykla szczerknął nagle i wiedziony instynktem Skygge rzucił się w bok. Seria z karabinu maszynowego wyrwała trzy dziury w plecach uciekającego Niemca i pomknęła w ślad za wilkiem, krzesząc iskry na kamieniach, dziurawiąc łodzie i obłupując drzazgi z ścian domostw.

- *Halte die verdammte Feuer!*— - wył ranny dowódca.

- *Der Werwolf!* - krzyczeli żołnierze, a Skygge wył z rozkoszy.

Jednym ciosem pazurzastej łapy rozszarpał szyję żołnierza, który spodziewał się ataku przez drzwi i próbował wyczołgać się przez okienko. Uskoczył przed kolejnym przeciwnikiem zbrojnym w pistolet maszynowy i znów wypadł na zabłoconą drogę, po której płynęły już strużki krwi. Nagle tryumfalne wycie uwięzło mu w gardle.

Powietrze wypełnił ryk silnika, a w jego oczy uderzył silny blask reflektorów samochodu. Zaskomlał, próbując uciekać, lecz oślepiony, potknął się o ciało zabitego Niemca. Sekundę później samochód zahamował, a uszy wilka pochwyciły mlaskanie butów w błocie. Kilku ludzi biegło ku niemu.

Warknął głucho i szarpnął łbem, lecz wzrok nie wracał. Pchnięty

rozpaczą, rzucił się ku pierwszej, nadbiegającej sylwetce. Instynkt go nie zawiódł - choć ledwie widział swego wroga, od ziemi odbił się we właściwym momencie i zacisnął szczęki na jego przedramieniu. Słony smak krwi ponownie rozlał się po jego podniebieniu.

- Ho, ho, ho! - zaśmiał się beztrosko zaatakowany. - *Kucken sie mal an diese schlechte Wölfchen!*—

Skygge wisiał w powietrzu i z wściekłością zaciskał szczęki coraz mocniej, lecz zdawało się to tylko pogłębiać wesołość zaatakowanego. Przez jego umysł przemknęła rozpaczliwa myśl: „Uciekać!”, lecz było już za późno. W tej samej chwili inne, równie silne dłonie bez trudu oderwały go od przedramienia ofiary. Ciskał się, miotał, próbując chwycić go zębami lub choćby podrapać, lecz na próżno. Tamten trzymał go w stalowym, niewzruszonym uchwycie.

- W dawnych czasach bogowie zdołali spętać szalonego wilka Fenrisa dopiero magiczną liną karłów. - Koło ucha rozbrzmiał skądś znany mu głos. - Czasy jednakowoż się zmieniają, Skygge, dlatego też proponuję ci jedynie stalową siatkę z zakładów Kruppa. Dobra, niemiecka jakość.

Wysoko nad nimi rozległo się ochryple, ponagłające krakanie kruka. Naraz Skygge wiedział, skąd zna ten głos, i znów wezbrała w nim wściekłość, ale mocne dłonie nawet nie drgnęły.

- Hugin ma rację - powiedział Ragnar. - Nasze polowanie jeszcze się nie skończyło.

Wojtek biegł jak szalony. Szydercze krakanie było tak głośnie, jakby ścigający go ptak leciał tuż nad jego głową. Nie starczyło mu już jednak sił, by choćby spojrzeć w górę. Serce biło mocno, a nogi stawały się coraz cięższe.

- Szybciej!

Krzyk Kriss ciął jego skołatane myśli. Wojtek jęknął i przystanął, z trudem łapiąc oddech. Półprzytomnym wzrokiem śledził dziewczynę znikającą wśród ciemnych drzew.

- Nie poddawaj się!

- Ale ja naprawdę... - jęknął i zrobił krok naprzód.

Potężne uderzenie w tył głowy strąciło go ze ścieżki, a wznoszący się kruk zakrakał tryumfalnie. Wojtek poczuł, że traci grunt pod nogami, i nagle potoczył się po zboczu, drąc śnieg i darni. Sięgnął dłonią ku wystającemu korzeniowi, ale słabe palce nie utrzymały ciężaru zsuwającego się ciała. Chwilę później uderzył w pień młodego świerczka, rosnącego na zboczu.

- Voitek! - W głosie Kriss zadrżała rozpacz.

- *Dort ist er!* - zagrzemiał czyjś głos na ścieżce.

Półprzytomnym wzrokiem przyglądał się, jak dwie ludzkie postacie, jedna potężna ponad miarę, a druga drobna, szczupła, opuszczają się w jego kierunku. Słabym jękiem zaprotestował, gdy olbrzym bezceremonialnie pochwycił go za nadgarstki.

- Puść, ty skur... - Chciał krzyknąć, ale zawroty głowy zaatakowały go ze zdwojoną siłą, odbierając mu przytomność.

Gdy wróciły doń zmysły, wisiał przewieszony przez potężne ramie olbrzymiego człowieka. Całe ciało pulsowało potwornym bólem, a dłonie krępowały ciasne kajdanki. Zdołał przechylić nieco głowę, by rozejrzeć się po okolicy.

Poczuł dziwną ulgę, gdy ujrzał, że wciąż znajdują się na tej samej ścieżce. Nagle jednak jego na poły martwe myśli rozpedził paniczny strach - parę metrów przed nim stał niski, szczupły człowieczek o jasnych włosach i ptasim nosie. Ten sam, który odwiedził jego pokój hotelowy w Kopenahadze.

Ogromny, czarny kruk sfrunął z nieba i usiadł na wątlym ramieniu esesmana. Ten nadstawił ucha w kierunku jego dzioba, jakby słuchając jego raportu, po czym odwrócił się w stronę olbrzyma.

- *Nichts* - oznajmił. - *Das Madchen ist ganz verschwunden. Wir gehen zurnck!*

Pieczara w zboczu Emmenesberget, którą żołnierze Sekcji D wybrali na

bazę, miała wiele zalet. Przede wszystkim wychodziła prosto na północ, zapewniając dobry widok na Ofotfjord, a starczyło wspiąć się kilka metrów wyżej, by ujrzeć Haakvik, Narwik i Ankenes. Co więcej, porastający zbocze góry zaśnieżony las świerkowy zasłaniał jej wejście, a kilkanaście metrów od niego opadał niewielki, lecz głośny wodospad, który dostarczał wody pitnej, a także zagłuszał ewentualne hałasy. Jediną wadą pieczary, którą żołnierze dostrzegli od razu, była jej nadmierna ciasnota. Choć Harrington i Gubbins surowo przykazali swym ludziom, by odpoczywali w ciągu dnia, mało kto rzeczywiście potrafił się zdrzemnąć. Przynajmniej tak długo, póki w grocie pozostawał pułkownik Harrington.

Nadchodził wieczór. Gubbins leżał za obłym głazem, w szarzącym powietrzu śledząc przez lornetkę niewielki konwój niemiecki zmierzający w stronę wioski Haakvik. W jego skład wchodził motocykl z przyczepką, duża ciężarówka oraz trzymający się z tyłu samochód terenowy.

- Czyżby coś się zaczęło dziać? - mruknął do siebie.
- Co pan mówił, majorze? - Przebudził się leżący obok niego Kerre.
- Nic takiego. - Gubbins podał mu lornetkę. - Szkopy jadą z wizytą do Haakvik.

Niespodziewanie zachrząściły kamienie i na punkcie obserwacyjnym pojawił się

Stockton. Niewysoki Szkot o ponurej twarzy pozdrowił majora mruknięciem i usiadł.

- Na łeb tu dostaję - burknął. - Wyspać się, kurwa, nie mogę, jakieś zwidy mam...

- Zwidy? - Gubbins przyjrzał się swemu podwładnemu.

- Eee tam... - Stockton machnął ręką. - Przed chwilą mi się wydawało, że na dole, w pieczarze, jest ośmiu chłopów. Ni cholery jednak się Kerre'a nie mogłem doliczyć. Polazłem tutaj, no i jest, moczymorda.

- Sameś moczymorda - mruknął Kerre, nie odrywając oczu od lornetki.

- Gdzie Harrington? - zapytał Gubbins.

- Siedzi w pieczarze i czyta te swoje szpargały. Jak on widzi w tych ciemnościach...

- Majorze! - przerwał mu nagle Kerre, podając Gubbinsowi lornetkę. - Szkopy są już we wsi! Coś się zaczyna dziać!

- Wiem. Dobra, Stockton, leć po pułkownika! - rozkazał Gubbins, regulując ostrość widzenia.

Motocykl i ciężarówka stały pośrodku wsi, a żołnierze z bronią gotową do strzału rozstawiali się w półkole. Jeden z nich, zapewne dowódca, zaczął coś krzyczeć przez megafon, lecz słowa zniekształciła odległość. Drzwi chat poczęły się otwierać, wypuszczając przestraszone, stłoczone rodziny rybaków.

- Hmm... A może to nagonka na nas? - zastanowił się głośno Gubbins.

- Zapewne, majorze. - Niespodziewanie rozległ się głos Harringtona. - Zdziwiłbym się mocno, gdyby Niemcy puścili panu płazem akcję w Ankenes. O, a to co!

Niespodziewanie nad fiordem poniosł się wrzask bólu, a sekundę później dołączył do niego kolejny. Zaskoczeni Anglicy ujrzeli w szklach lornetek szarą błyskawicę, która miotła się między zabudowaniami i powalała coraz to kolejnych żołnierzy. W Haakvik zapanował całkowity chaos, wieśniacy biegali w panice, a Niemcy ostrzeliwali się rozpaczliwie.

Nagle drogę zalał blask reflektorów z samochodu terenowego, ostry w gęstniejącej szarości. Stworzenie zamarło pochwycone snopami światła i opuściło łeb, jakby wahając się. Ocknęło się i rzuciło się gwałtownie na olbrzymiego mężczyznę w czarnym mundurze SS, ale ten bez trudu pochwyił je gołymi rękami i cisnął do siatki, podanej przez kolegę, również esesmana.

- Czy ktoś, do ciężkiej cholery, potrafi mi to wytłumaczyć? - stęknął Stockton.

Harrington obdarzył go przelotnym, lekko kpiącym spojrzeniem.

- Do godziny dziesiątej zakaz opuszczania bazy - rzucił, wstając. - Kwadrans po dziesiątej robimy wypad.

- Dokąd, sir?

- Do Narwiku.

Gubbins zacisnął mocno zęby. Nagle poczuł, że dość już ma domysłów, podejrzeń i tłumionych wątpliwości. Niewiele myśląc, poderwał się i skoczył w ślad za Harringtonem. Złapał go za ramię, gdy ten mijał wodospad, i odwrócił go gwałtownym szarpnięciem.

- Majorze, co pan... - zaczął zaskoczony Harrington, ale umilkł na widok ognia w oczach Gubbinsa.

- Po co panu ten wypad, pułkowniku? - syczał Gubbins. - Po co mamy leżeć aż do Narwiku, skoro możemy atakować cele w Emmenes, Nyborg, Ankenes czy po drugiej stronie fiordu?

- Majorze, jest pan żołnierzem Korony Brytyjskiej. - Harrington zmarszczył brwi. - Nie rozumiem celowości tych pytań!

- Ależ oczywiście, że pan rozumie! Tu nie chodzi o Koronę Brytyjską, tylko o pańskie ambicje, Harrington, pańskie plany! W Kopenhadze straciłem trzech ludzi, by wyrwać jakąś pozólkłą sagę z rąk hitlerowców. A o co chodzi tym razem? Znowu jest pan gotów wytracić całą Sekcję dla własnych planów?

- Gubbins, opanuj się. - Głos Harringtona był chłodny niczym lód, lecz major zaśmiał się tylko.

- Dobrze pan to ujął przed chwilą, pułkowniku! Jestem żołnierzem Korony i nie mam zamiaru ginać dla prywatnych rozgrywek między wywiadem a SS! Kim pan jest, Harrington, by żądać naszej śmierci? Chyba nadszedł czas, by powiedział mi pan wszystko. Co oznaczają te pańskie runy i gonitwa za sagami? Czym było to włochate monstrum w Kopenhadze? Kto puścił z dymem The Frythe? Skąd się wzięły idiotyczne decyzje komandora Trollope'a? I wreszcie, dlaczego w pana towarzystwie nikt, absolutnie nikt z naszej grupy nie może zmrużyć oka?

- Dość już tego.

Harrington powstrzymał go uniesioną prawicą. Jego druga dłoń, jakby masując bolące serce, wsunęła się pod kurtkę.

- Nie... Nie dość... - Na twarzy Gubbinsa naraz pojawiła się bladość. Cofnął się

0 krok. - Nie, niech teraz pan mówi, niech pan zaprzeczy... Boże, ja... Ja teraz zaczynam to wszystko rozumieć... Ten faszysta Tritz jest tutaj, prawda? Jest w Narwiku! A pan znowu chce poświęcić życie moich żołnierzy, by...

- Dość, Gubbins.

Słowa uwięzły żołnierzowi w gardle. Oczy Harringtona nagle stały się ogromne

1 przesłoniły cały świat...

- Nie chciałem tego robić, Gubbins - szeptał. - Ale sam się o to prosisz.

Nagle chluśnięcie wiadra lodowatej wody wyrwało go z omdlenia. Wojtek otworzył oczy i potrząsnął głową, łapczywie chwytając powietrze. Chciał wstać, lecz napotkał niespodziewany opór. Jego kostki i ramiona były mocno przywiązane do krzesła, na którym siedział.

Nic nierozumiejącym wzrokiem omiół pomieszczenie. Naprzeciwko niego stał gruby, lekko spocony żołnierz w szarozielonym mundurze i spodniach wpuszczonych w wysokie czarne buty. Na głowie miał furażerkę z trupimi czaszkami, a w rękach trzymał wiadro. Podobnie umundurowany żołnierz opierał się o przeciwległą ścianę tuż przy drzwiach, nonszalancko trzymając pistolet automatyczny, a jeszcze jeden stał w kącie, zapalając papierosa. Obaj byli wielkimi mężczyznami o ponurych, nieprzyjemnych twarzach.

Pomieszczenie wyglądało na piwnicę. Nie było w nim okien, a przy jedynych drzwiach stał żołnierz z bronią. Wojtek poczuł, jak ogarnia go przerażenie.

Grubas odstawił wiadro i uśmiechnął się bezmyślnie, ukazując zepsute zęby. Na mankiecie lewego rękawa jego kurtki Wojtek dostrzegł czarną naszywkę z białym napisem „SS «Ulvhednar»”. Na patkach kołnierzy całej trójki znajdowały się runiczne litery SS.

Ktoś kaszlnął cicho na prawo od niego. Śnieżewski zerknął w bok i dostrzegł innego mężczyznę, związanego, jak ze zdumieniem zauważył, stalową linką. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Starczyło, by Wojtek wiedział, że gdzieś już go widział.

„Tak, spotkaliśmy się - zdawały się mówić żółte oczy obcego. - Patrzyliśmy sobie w oczy, choć nie widzieliśmy się nawzajem. Nie pamiętasz? Wylądowaliście wtedy na brzegu fiordu, by wziąć do niewoli ściganych przeze mnie Niemców, a ty oddaliłeś się w las...”.

„Pamiętam”, chciał odpowiedzieć Wojtek, lecz naraz ożywili się ich strażnicy. Żołnierz w kącie rzucił papierosa na ziemię i rozdeptał go pośpiesznie, grubas dopiął guziki kurtki, a cała trójka wyprężyła się na baczność. Z góry dobiegał coraz głośniejszy stukot podkutych butów, aż drzwi stanęły otworem. Na widok wchodzącej postaci Wojtek chciał wrzasnąć ze strachu, ale głos uwiązł mu w gardle.

Profesor Michael Tritz zdjął czapkę garnizonową, położył ją na stole i

26.

stanął w lekkim rozkroku, splatając z tyłu dłonie. Ubrany był w czarną kurtkę SS z czerwoną opaską na ramieniu, bryczesy oraz wysokie skórzane buty. Przymrużone oczy skryte za okularami połówkami otaksowały postacie obu więźniów.

- Wedle konwencji genewskiej po schwytaniu do niewoli obowiązkiem żołnierza jest wyjawić imię, nazwisko, stopień oraz numer identyfikacyjny - odezwał się po angielsku z silnym, gardłowym akcentem. - Oszczędzimy sobie jednak trudów prezentacji, gdyż udało mi się już wcześniej panów poznać. Podporuczniku Śnieżewski, kapitanie Skygge, witam w niemieckiej niewoli.

Wojtek opuścił głowę. Nie dziwiło go, że Tritz go pamięta, sam nie mógł wyrzucić z pamięci upiornych szczegółów ich spotkania. Wydało mu się jednak, że Skygge drgnął,

zaskoczony.

- Osobliwym zrzędzeniem losu mam przed sobą Polaka i Norwega, przedstawicieli obu narodów, które zdążyliśmy okiełznać jako pierwsze - ciągnął Tritz. - Duńczyków i Czechów nie liczę, bo ci nawet nie stawili sensownego oporu. Mogłoby to posłużyć jako dowód, że opór przeciwko siłom Rzeszy jest bezcelowy, ale z tego, jak sędzę, panowie doskonale już zdają sobie sprawę. Przejdźmy zatem do kwestii daleko ważniejszej: do tajemnic Ukrytego Ludu.

Skygge wyprostował się powoli, ignorując stalowe linki wrzynające się w jego ciało. W jego oczach zajaśniała nienawiść.

- Skąd wiesz o Ukrytym Ludzie? - wycharczał.

- Znam kilku z was osobiście. - Niemiec uśmiechnął się złośliwie. - To ci, którzy w porę zrozumieli, że z wielkich mocy należy korzystać, a nie chować je przed światem ludzi.

- Ragnar! - jęknął z rozpaczą Skygge.

- Tak, Ragnar. - Tritz skinął głową. - To on przybył do mnie jako pierwszy, ofiarując mi swą przyjaźń i talenty. Po nim przybyli kolejni, aż powstało SS „Ulvhednar”, kapitanie Skygge.

Zapadła absolutna cisza. Trójka esesmanów uśmiechała się ponuro.

- Stare porzekadło mawia, że apetyt rośnie w miarę jedzenia - ciągnął esesman. - Kilka lat temu podczas studiów nad kulturą nordycką zaintrygowała mnie nadprzyrodzona moc runów. Gdy zgłębiałem jej tajniki, zainteresowałem się ludźmi, którzy potrafią je wykuwać, a potem innymi, którzy zachowali niezwykle talenty z czasów pogańskich. Dziś nie interesują mnie już ani runy, ani ludzkie talenty. Dziś chcę sięgnąć po tajemnice samych bogów.

- Bogowie są martwi - warknął Skygge.

- Och, z pewnością. Dobrze wiedzieć, że zna pan pisma Nietzschego, kapitanie. - Tritz uśmiechnął się. - Bywa jednak, że bogowie próbują wrócić do życia, jak twierdzi inny wielki pisarz narodu germańskiego, islandzki skald Vidar Gustavson. Czy zna pan *Vidarssagę*, jego największe, aczkolwiek najmniej znane dzieło?

Skygge milczał.

- Być może nie czytał pan jej, kapitanie, ale na pewno zna ją pan z praktycznej

strony. Ow Vidar pisze bowiem o pewnym miejscu na północy Norwegii,

gdzie w pniu sędziwego jesionu manifestuje swą obecność bóg światła i piękna, Baldr. Wedle dawnych opowieści Baldr miał powrócić do świata ludzi po *Ragnaroku*, bitwie, w której zginą wszyscy bogowie. Przepowiednia wypełniła się i Baldr, którego wy nazywacie Królem Gór, mieszka od setek lat w wielkim jesionie strzeżony przez swój wierny Ukryty Lud. Nie widzę w tym sensu, bo nie ma już kim rządzić, a więc postanowiłem, że wykorzystam jego moc do własnych celów.

- Nigdy nie odnajdziesz Bezimiennej Doliny! - wrzasnął z rozpaczą Skygge.

Szarpnął się, przesuając z szuraniem krzesło, do którego był przywiązany. Jeden z żołnierzy uniósł ostrzegawczo broń.

- Sam z pewnością nie, nawet przy pomocy Ragnara. - W oczach Tritza załśnił lód. - Wedle *Vidarssagi* drogę do Bezimiennej Doliny zna tylko Ukryty Lud. Nie mam, niestety, całych lat na poszukiwania, tak więc jest mi pan, kapitanie, niezmiernie potrzebny. To pan zaprowadzi nas do Doliny i nieszczęsnego, cierpiącego Baldra.

- Twoje niedoczekanie! - zaśmiał się szyderczo Skygge. - Po moim trupie!

- To nie będzie konieczne, przynajmniej na razie - oznajmił profesor.

Jego prawa dłoń wsunęła się do kieszeni i wyjęła biały, płaski kamyczek z połyskującym srebrnym runem.

- *Petrd...* - wyszeptał Skygge z nagłym przestraszeniem.

- Tak, run tajemnicy i niepewnego znaczenia. - Tritz skinął głową i nagle spojrzał na Śnieżewskiego. - Pan zaś, podporuczniku, jest całkiem niespodziewanym podarunkiem od losu. Gdy wypuszczałem pana z rąk w Kopenhadze, przeczucie podpowiedziało mi, że jeszcze się kiedyś spotkamy i warto będzie wtedy znać pański dar. Miałem rację, jak się okazuje. Obecny tu kapitan Skygge to człowiek o silnej woli, wielce lojalny wobec swego narodu oraz Ukrytego Ludu. Należy więc się liczyć z tym, że będzie chciał oprzeć się mocy runu i wprowadzić mnie w błąd, byśmy nigdy nie dotarli do Bezimiennej Doliny. Pan zatem pomoże skorygować słowa kapitana.

- Ja? - wyjąkał słabo Śnieżewski.

- Oczywiście, że pan. - Tritz roześmiał się. - Przecież pan widzi śmierć, prawda? A Baldr, było nie było, powrócił z zaświatów. Co prawda miało to

miejsce dobrych parę tysięcy lat temu, ale pewien jestem, że pański dar pomoże odnaleźć do niego drogę.

Oczy Tritza niespodziewanie zaślniły. Profesor zdjął okulary i wolnym krokiem podszedł w kierunku krzesła, na którym siedział drżący, błydy jeniec. Hipnotyczny wzrok Niemca złapał spojrzenie Skygge, który naraz znieruchomiał. Wtedy Tritz dotknął runicznym kamieniem jego czoła.

W tym samym momencie na zewnątrz rozpętało się piekło.

Nadchodziła najgorsza faza nocy. Ciemności, krótkotrwałe o tej porze roku, z wolna ustępowały już szarości brzasku. Wymarły port w Narwiku spowija zimna mgła, w której właśnie rozmywał się kilwater za rufą „Ericha Giese” zamykającego szyk linowy niemieckiej eskadry. Okręty Bontego wyruszały na patrol, pozostawiając jedynie uszkodzonego „Hansa Ludemanna” przy kei.

Przez szarość brzasku przebiło się przytłumione echo odległych grzmotów.

- Burza idzie? - zdziwił się jeden z wartowników przy trapie „Hansa Ludemanna”. - Jeszcze tego brakowało. Zimno, mgła i spać się chce, a tu...

- To nie burza. - Jego kolega podniósł się ze słupka do zakładania cum. - Słyszysz?

Obaj nasłuchiwali teraz uważnie. Huk gromów układał się w regularne serie, a lepka

szarość zasnuwająca wody fiordu zaczęła rozbłyskiwać w wielu miejscach, z początku słabo, lecz z każdą chwilą coraz intensywniej. Pokład „Hansa Ludemanna” nagle zadrżał od łomotu wielu stóp, a z komina strzelił pierwszy kłęb dymu. W osmolonych, pozbawionych szyb oknach mostka widać było postacie oficerów, kierujących lornetki ku wodom fiordu.

- To chyba Brytyjczycy... - szepnął wartownik. - Nadchodzą z desantem!

- *Mein Gott...*

Ciszę nad miastem rozerwał jęk syreny alarmowej, a w tej samej chwili od zboczy gór odbił się głuchy grzmot, potężniejszy od wszystkich do tej

pory. Szarość świtu przebiła krwistoczerwona eksplozja, która przegnała mgłę. Oczom przerażonych wartowników ukazał się przechylony, płonący kadłub „Ericha Giese”, z którego tłumnie zeskakiwali do wody marynarze. Pozostałe okręty niemieckie parły w szyku liniowym ku zatoce Bogen, stawiając zasłonę dymną i ostrzeliwując się zajadle przed niewidzialnym jeszcze wrogiem.

Szarość świtu, zatruta ciemnymi pasmami dymu z kominów okrętów niemieckich, rozbłyskiwała dziesiątkami wystrzałów. Marynarze w pośpiechu rzucali cumy „Hansa Ludemanna”, a dwie ocalałe, sprawne jeszcze wieże działowe, szybko obracały się w kierunku bitwy. Woda za rufą zakotłowała, rozcinana przez dwie śruby niszczyciela.

Obaj wartownicy cofali się po nabrzeżu, szukając schronienia, gdy jeden z nich zamarł i pokazał coś ręką.

- Spójrz! - krzyknął z przerażeniem.

Na wodach fiordu sunął gigantyczny, ciemny kształt, który z ogłuszającym hukiem strzelił słupami ognia z kilku luf. Ich blask ukazał na moment szeroki dziób okrętu, potrójne wieże działowe i wysoki mostek oficerski pnący się ku niebu niczym baszta zamkowa. Na dłuższą obserwację nie starczyło mu czasu, gdyż pociski z gwizdem spadały już na port.

- To pancernik... - szepnął Niemiec. - Pieprzony, brytyjski pancernik!

- Ho, ho! - mruknął Stockton na widok płomieni szalejących na pokładzie „Hansa Ludemanna” i pierwszych pożarów wśród zabudowań portowych.

- *The Navy is here!*

- Czas najwyższy, Stockton. - Harrington przykucnął za peryskopem polowym i przez moment lustrował ogarnięte zamieszaniem nabrzeże. - Majorze, proszę do mnie.

Gubbins przerwał rewidowanie kieszeni niemieckiego oficera i przypadł do Harringtona. Jego oczy lśniły martwo pośród umazanej czernidłem twarzy.

- Niech się pan przyjrzy południowemu nadbrzeżu! Tam, gdzie kończą się instalacje do przeladunku rudy!

Harrington wskazywał rząd magazynów. Kilka z nich otoczono zasiekami z drutu kolczastego. Nieopodal znajdowały się dwa stanowiska karabinów maszynowych, stały też motocykle oraz duża ciężarówka z niemieckimi oznaczeniami. Wokół biegały grupki niekompletnie ubranych, oszołomionych wartowników.

- Tam trzymają jeńców! - Szef Sekcji D uśmiechnął się. - Gubbins, weźmie pan czterech ludzi i uwolni pan tamtych nieboraków! Zaraz po wykonaniu zadania niech pan się wycofuje w kierunku Fagerness!

- Dobrze. - W głosie Gubbinsa nie było żadnych emocji. - A pan?

- Ja z resztą ludzi wykonam krótki wypad osłaniający w kierunku centrum Narwiku - powiedział Harrington, przestawiając peryskop. - Ma pan pół godziny, majorze.

- Tak jest. - Gubbins odwrócił się w kierunku żołnierzy, którzy przetrząsali różne zakamarki zdobytego przed chwilą wrogiego punktu obserwacyjnego. Zdołali go opanować błyskawicznie, bez jednego wystrzału: uwaga niemieckich żołnierzy skupiła się na bitwie na wodach fiordu, dzięki czemu ich zaskoczenie było całkowite. - Co znaleźliście? - zapytał.

- Są trzy MP-38 i spory zapas amunicji, parę mauzerów, dwie skrzynki granatów i skrzynka min przeciwpiechotnych - oznajmił sierżant Patterson. - Nie chciało się psu bratom zakopywać ich wokół wzgórza, to mają za swoje!

Zaśmiał się chrapliwie i trącił butem zaszytowanego Niemca.

- Dalestone, Kerre i Stockton, weźcie ich MP-38 oraz tyle granatów, ile udźwigniecie - rozkazał Gubbins. - Załóżcie też ich hełmy. Będziecie osłaniać pułkownika Harringtona podczas wypadu do Narwiku.

- Co takiego? - Stockton rozdziawił usta, przekrzywiając lekko głowę. - W sam środek tego burdelu?

Jego dłoń wskazała rozświetlony pożarami port. Kolejna salwa z pancernika ze świstem przelatywała właśnie nad zabudowaniami portowymi, wzbijając słupy ognia między domami mieszkalnymi. Krzyki rannych były słyszalne aż tutaj.

- Majorze, z całym szacunkiem, ale...

- Traciecie czas, Stockton! - Oczy Gubbinsa rozbłysnęły wściekłością.

- Majorze, ale...

- Kurwa, Stockton, to nie jest jarmark, ale wojna! Bierz dupę w troki,

ale już!

- Pułkowniku, pora chyba na pańskie prezenty? - odezwał się nieznany głos zabarwiony lekką nutką ironii.

Żołnierze rozejrzeli się wokół z niedowierzaniem. Pod brezentowym dachem punktu obserwacyjnego panował jednak półmrok zamieniający twarze w szare plamy.

- Dalestone, Kerre, Stockton - odezwał się nagle Harrington. - Łapcie za broń i naprzód. W istocie, mam dla was kilka upominków.

Podłoga zadrżała, a ze ścian posypał się tynk. Pojedyncza, osłaniająca cały pokój żarówka zakołysała się, a potem zgasła na moment. Runiczny kamień Tritza upadł na ziemię. Grunt zadrżał jeszcze raz.

- *Was is los?* - W głosie esesmana zabrzmiało wahanie, gdy schylał się po upuszczony run.

Głowa Skygge'a opadła, jakby więzień poczuł niespodziewaną, niewysłowioną ulgą.

- Anglicy... - Wojtek zmrużył oczy. - Anglicy bombardują miasto! Śmierć...

- *Unsinn!* - prychnął profesor. - Błefuje pan, Śnieżewski. Niste, proszę udać się do generała Dietla po jakieś wyjaśnienia tego...

Niespodziewanie żelazne drzwi huknęły o ścianę, a do pomieszczenia wbiegł młody żołnierz w mundurze strzelców alpejskich. Był bez broni, oczy miał szeroko otwarte z przerażenia, a jego mundur pokrywał pył.

- *Herr Standartenfuhrer!* - krzyknął piskliwym głosem, zapominając o salucie. - Brytyjskie okręty bombardują port! Hotel... Hotel trafiony! Generał ewakuuje...

- Przestań wrzeszczeć! - huknął Tritz, ale w jego głosie zabrzmiał niepokój. -

Thorkill, weź Polaka, a Niste Norwega! Olav, ubezpieczaj obu! Na górę!

Profesor ruszył przodem. Spocony grubas doskoczył do Śnieżewskiego, bez wysiłku zarzucił go sobie razem z krzesłem na plecy i pobiegł w ślad za Tritzem. Jego towarzysz uniósł krzesło ze Skygge'em i ruszył za nimi, a

trzeci żołnierz zamykał pochód, trzymając pistolet automatyczny.

Po chwili już byli w holu, który przepęłniały kłęby gęstego, gryzącego dymu. Wokół biegało mnóstwo ludzi ze sztabu dywizji, wrzeszcząc i pokaszując. Część była umazana sadzą, inni niekompletnie ubrani, niektórzy próbowali wynosić stosy dokumentów lub niewielkie radiostacje polowe. Generał Dietl z twarzą zalaną krwią ze skaleczenia na czole wybiegał właśnie na zewnątrz, rzucając przez ramię ostatnie rozkazy.

- *Draussen!*— - krzyknął Tritz i skierował się ku wyjściu.

Z piętra hotelu napływał coraz gęstszy dym. Żołnierz niosący Wojtka przystanął na moment, zdjęty atakiem kaszlu, a wtedy wyminął ich drugi ze Skygge'em na plecach. Twarz Norwega była wykrzywiona, lecz Wojtek nie zauważył, czy był to ból, czy nienawiść. Jego podrażnione dymem oczy łzawiły.

Snieżewski potrząsnął głową i nagle znów ujrzał Skygge'a. Jego zęby wydłużały się, policzki ciemniały, a oczy zwązały się. Wojtek patrzył z fascynacją, jak sylwetka norweskiego majora błyskawicznie kurczy się i przeistacza w ogromnego, szarego wilka.

Potworne wycie przebiło zgiełk ucieczki. Stalowe linki naraz opadły, a wilk szarpnął się i zacisnął szczęki na karku esesmana. Żołnierz zacharczał i padł na twarz.

Przerażenie uciekających zamieniło się w całkowitą, bezrozumną panikę. Sztabowcy Dietla rzucili się ku drzwiom, któryś z nich krzesłem wybił okno i wyskoczył, rozdzierając sobie skórę o wystający kawałek szkła, inny puścił serię z pistoletu automatycznego, która miał dopaść wilka, ścięła zbiegającego po schodach radiotelegrafistę.

- Trzymać go! - ryczał Tritz, którego spanikowany tłum nieubłaganie wypychał na zewnątrz. - Trzymać tego...

Wojtek wrzasnął, gdy niosący go esesman cisnął nim o podłogę i rzucił się na ratunek koledze. Prawą stroną jego ciała targnął straszliwy ból - padając, przygniótł sobie ramię - ale krzesło pękło z trzaskiem i napór więzów osłabł. Zaciskając mocno zęby, Wojtek zaczął powoli wyczołgiwać się ze zwojów liny.

Czas biegł w zwolnionym tempie. Postać biegnącego wśród dymu esesmana zmieniała się błyskawicznie. Nagle zamiast munduru miał na sobie kosmaty kozuch, w jego obu dłoniach pojawiły się miecze, a twarz, surowa i ponura, ozdobiona była teraz bujną, jasną brodą. Niemiec wydał

tryumfalny, charkotliwy okrzyk i runął ku wilkowi, który wyszczerzył na powitanie zbroczone krwią kły.

Jeden z mieczy opadł, tnąc ze świstem powietrze, ale wilk uskoczył w bok. Nagle zajazgotał pistolet maszynowy trzymany w dłoniach trzeciego z esesmanów. Ogniste rozbłyski masakrujące stare fotele, obrazy i drzwi do gabinetu dyrektora ścigały umykającego wilka, który pomknął po schodach na górę.

- Tam! - krzyknął ktoś i obaj esesmani rzucili się ku górze.

Wojtek stracił ostatnie więzy, nieomalże omdlewając przy tym z bólu. Z trudem stanął na równych nogach, a wtedy zauważył, że w holu nie było już nikogo. Zataczając się, ruszył ku świeżemu powietrzu.

Opuszczający Royal Hotel Niemcy, kaszłac i potykając się, biegli w kierunku motocykli i samochodów. Nim ktokolwiek zdołał otworzyć drzwi, zza rogu niespodziewanie wybiegła grupka żołnierzy z twarzami pokrytymi czernidłem. Ku tłumowi sztabowców pomknęły ciśnięte z rozmachem granaty, a potem zaterkotały pistolety maszynowe.

- *Norwegische Soldaten!* - wrzasnął któryś z Niemców, lecz dalsze słowa zagłuszyła seria wybuchów.

Pierwszy granat eksplodował tuż przed maską cofającego packarda, jedynego samochodu, który Niemcom udało się odpalić. Ogarnięty płomieniami samochód skoczył do tyłu, a wtedy rozsadziła go potężna eksplozja paliwa. Drugi z granatów wpadł prosto do przyczepki motocykla, odrywając ją od maszyny, a pozostałe wyrywały jamy w bruku ulicy, raniąc i zabijając oszołomionych Niemców. Kilku przytomniejszych rzuciło się do ucieczki.

- Granaty! - krzyknął po angielsku wysoki człowiek z rzadką brodą i sam sięgnął za pas.

Karni strzelcy górscy szybko otrząsnęli się z szoku i ku napastnikom pomknęły pierwsze kule. Angielscy żołnierze wyrzucili kolejne granaty, a wtedy padł pierwszy z nich, trafiony kilkoma kulami w pierś. Ku zaskoczeniu Niemców natychmiast poderwał się, jakby kule odbiły się od niewidzialnej zasłony. Kolejny ogłuszający huk wybił resztkę szyb w

okolicznych domach, a uliczka znikła wśród dymów i płomieni.

- Odwrót! - zarządził ten sam człowiek.

Atakujący poderwali się i przygarbieni ruszyli do tyłu, ostrzeliwując się krótkimi seriami. Ostatni wycofywał się człowiek przed chwilą postrzelony w pierś.

Niespodziewanie dym się rozwiął w jednym miejscu, jakby odgarnęła go gigantyczna niewidzialna dłoń. Stał tam zataczający się człowiek w poszarpanym, lekko tłącym się mundurze oficera SS. Jego twarz była osmolona i zalana krwią, a na nosie tkwiły strzaskane, przekrzywione okulary połówki. W powietrzu rozległ się dziki, pełen szalonej radości chichot.

Wysoki Anglik z brodą już się podrywał, by wycofać się w ślad za towarzyszami, gdy nagle dostrzegł esesmana. Na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania i dzikiej radości.

- Tritz? - wyjąkał, opuszczając tomigana. - Wreszcie wylazłeś ze swojej nory, ty marny sukinsynu... Po tylu latach...

- Harrington... - Niemiec zrobił krok do przodu, lecz nagle ugięły się pod nim kolana i uklęknął. - Po swoją zgubę tu dotarłeś! Przeżyłeś Islandię, wyszedłeś cało z Kopenhagi, ale teraz...

- Po tylu latach... - Głos Harringtona nagle stał się chrapliwy. - Tak blisko! Chłopaki! Brać tego szkopa!

- Sir, proszę uważać!

Nagle wokół głowy Anglika zaświstały gęsto pociski z broni maszynowej. Z drugiego końca ulicy nacierała tyraliera niemieckich strzelców. Biegli przygarbieni, strzelając z biodra, a dwóch z nich ustawiało właśnie erkaem na masce samochodu. Żołnierze Sekcji D odczołgivali się w stronę bocznej uliczki, ostrzeliwując się ze zdobycznych pistoletów maszynowych. Co rusz któryś padał, by po chwili znów się poderwać.

- Brać tego szkopa! - ryczał rozpaczliwie Harrington. - Żywcem!

Któraś z kul przebiła jego biodro, ale nie zwrócił na nią uwagi.

Jego ludzie byli jednak coraz dalej. Harrington zgrzytnął zębami z wściekłością i rzucił się ku Niemcowi, ignorując kolejne rany. W tej samej chwili w Tritza uderzyła potężna, niewidzialna siła i Niemiec poderwał się w powietrze.

Harrington zatrzymał się jak wryty. Krzyczący przeraźliwie Tritz leciał

nad płomieniami niczym liść targnięty nagłym podmuchem wiatru.

Sylwetkę stojącego na redzie pancernika znów spowiły dymy wystrzałów. Ciężkie pociski artylerii głównej ze świstem cięły powietrze i uderzały w miasto, z zimną obojętnością szarpiąc tory kolejowe, instalacje przeladunkowe i budynki cywilne. Jeden z nich ściał wieżyczkę niewielkiego kościółka, ciskając płonącymi belkami na głowy przerażonych, rozbieganych ludzi.

Ostatni zaś uderzył dokładnie w to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Tritz.

Wojtek zrobił jeszcze krok i padł na kolana.

Nie wiedział, gdzie jest ani dokąd idzie. Ogłuszony od wybuchów granatów i na wpół zatruty dymem z płonącego hotelu dawno stracił już orientację w terenie. Półprzytomnie przyglądał się mijającym go Niemcom, którzy gdzieś biegali i coś pokrzykiwali. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

„Dlaczego mnie nie łapia? - powtarzał w myślach. - Ten esesman, Tritz... Przecież do czegoś jestem mu potrzebny...”

Nie wiedział, że lekko ranny generał Dietl, przeświadczony, że bombardowanie z pancernika jest jedynie wstępem do desantu, wydał rozkaz o ewakuacji sił niemieckich z miasta. Nie wiedział, że żołnierze niemieccy mieli ważniejsze sprawy na głowie, aniżeli zajmowanie się pojedynczym, osmolonym niedobitkiem w brudnej kurtce mundurowej. Grunt drżał od kolejnych wybuchów pocisków z brytyjskiego pancernika. Wokół szumiały płomienie i terkotały pistolety maszynowe.

- Musisz iść naprzód - odezwał się w jego głowie znany głos.

- Nie, nie muszę. To nie jest moja wojna.

- Twoja, Voitek. To jest twoja wojna! - ponowiła Kriss. - Jeszcze parę kroków!

Wstał, chwiejąc się.

- No, jeszcze trochę!

- Nienawidzę cię, Kriss... - wyjąkał.

Nagle pod jego ręką znalazł się łeb wilka - ogromny, siwiejący,znaczony bliznami. Skygge oblizał paszczę mokrą od krwi i spojrzał w

górze poważnymi żółtymi oczami. Na jego bokach widniały ogromne, parujące rany.

„Chodź”, zdawały się mówić oczy wilka.

Wojtek ruszył, zrazu powoli, niepewnie, a potem coraz szybciej, wciąż mając twardy wilczy łeb obok siebie. I nagle tknęła go nowa myśl, pierwsza świeża myśl od wielu godzin półprzytomnej wędrówki.

Nie czuł niczyjej śmierci. Przez cały czas bombardowania Narwiku ani razu nie naszło go przeczucie związane ze śmiercią.

Wojtek wyprostował zdrętwiałe plecy i ponownie oparł się o kamienną ścianę. Wydawało mu się, że siedzi tak już całą wieczność. Tajemniczy przyjaciele Kriss nakarmili go i opatrzyli jego rany, a potem wskazali mu koc w jaskini i zasiedli wokół niewielkiego ogniska na zewnątrz. Ich gwałtowna dyskusja trwała już długo, o wiele za długo. Wojtek nie rozumiał z niej ani słowa, ale był pewien, że nieznajomi nie mówią po norwesku. W ich słowach drzemała dziwna, tajemnicza moc, obca nowoczesnym językom.

I to niepokoiło go tym bardziej.

Nie wiedział, gdzie się znajduje ani też kim są ludzie, wśród których się znalazł. Rozpoznał tylko Skygge'a, który powrócił do ludzkiej postaci, ten jednak obdarzył go jedynie przelotnym spojrzeniem. Jego wygląd zresztą nie zachęcał do rozmowy - oczy Norwega błyszczały dziko, a jego twarz, osobliwie wychudła i zarośnięta, przypominała bardziej pysk wilka aniżeli oblicze ludzkie.

Zresztą żaden z towarzyszy Skygge'a nie wyglądał zwyczajnie. Wojtek wyrzwał kilkakrotnie z jaskini i aż się cofnął, zaskoczony. Najbliżej wejścia do grotty dostrzegł barczystego męża o pochmurnej twarzy i zrośniętych, krzaczastych brwiach. Na jego piersi wisiał róg myśliwski, a o kolano opierał się topór bojowy. Obok niego zasiadał wysoki, szczupły młodzieniec, którego oczy lśniły niczym gwiazdy, a dalej siwobrody starzec o ostrym, nieprzyjemnym głosie oraz milcząca kobieta o dumnej twarzy i rozpuszczonych rudych włosach. W cieniu skały kilka metrów dalej siedział nieruchomo potężny człowiek o szarych włosach, rozłożystych ramionach i szerokiej szyi. Był tak ogromny, że niebaczny obserwator mógłby go wziąć za stertę szarych kamieni. Wokół ognia siedziało jeszcze kilka osób, w tym Skygge, ale Wojtek nie zdążył im się lepiej przyjrzeć.

Blask ognia padał na ściany okolicznych skał. Twarz przemawiającej głośno Kriss mieniła się miodowo. W innych okolicznościach rzekłby, że znalazł się w pięknym, magicznym miejscu. Czar jednak prysł już dawno, a z nim niepewność. Wojtek czuł rosnące zniecierpliwienie.

„Magia - parsknął w myślach, próbując wzbudzić w sobie oburzenie. - Mój Boże, przecież to szaleństwo! Jestem oficerem zatopionego polskiego

okrętu wojennego! Moje miejsce jest w Anglii bądź... bądź gdzie?”.

Kriss przestała przemawiać i odezwał się starzec o zgrzytliwym, nieprzyjemnym głosie. Wojtek nie rozumiał jego słów, lecz wyraźnie czuł, że bije z nich szyderstwo.

Miał już dość tej zabawy.

Wstał i wyszedł z pieczary. Natychmiast oślepił go blask płomieni, ale dostrzegł, jak zasiadający wokół ogniska milkną i odwracają się ku niemu. Śmiałość opuściła go w jednej chwili.

- Słuchajcie... - powiedział cicho, nie zdając sobie sprawy, że mówi po polsku. - Ja naprawdę nie wiem, co tu robię. Nakarmiliście mnie i chyba ocaliliście z rąk Niemców, ale ja muszę...

Zawahał się. Nie miał pojęcia, co teraz musi zrobić.

- Przybysz nie zna naszego języka, przyjaciele. - Rozległ się w jego głowie głos Kriss, dziwnie rozgoryczony. - Mówcie więc językiem myśli, by zrozumiał, jaki los mu gotujecie.

- Kim jesteście? - Wojtek wodził spojrzeniami po milczących, rumianych od ognia twarzach. - Kim jesteście i co ja tu robię?

- Kim jesteśmy? - odezwał się w jego myślach chropowaty, nieprzyjemny głos siwobrodego starca. - Od czasów, kiedy świat nazywał się jeszcze Midgardem, zwie się nas Ukrytym Ludem. Jesteśmy zaś strażnikami tych niewielu tajemnic, które ocalały ze zgliszcz Ragnaroku, synu Hel.

- A w takim razie co ja tu robię? - spytał Wojtek.

- W dawnych czasach bogowie zwykli obdarzać wybranych przez siebie śmiertelników niezwykłymi darami - odezwał się barczysty mężczyzna z toporem. Jego głos był tubalny i mocny niczym dzwon. - Darami Odyna były szal berserkerski, znajomość runów i umiejętność zamiany w zwierzęta, Thor dawał nadludzką siłę, a król Alfów Frey obdarzał widzeniem przyszłości.

- Nie tylko bogowie obdarowywali ludzi. - Myśli rudowłosej kobiety były nieprzyjemne, oschłe. - Do dziś po świecie chodzą ci, którzy wśród przodków mieli Alfów, karły czy walkyrie, a nawet trolle czy olbrzymów. W ich krwi również płynie wielka moc.

- Ty zaśnosisz w sobie dar bogini śmierci Hel, królowej świata zmarłych Niflheimu - zakończyła zmęczonym głosem Kriss i opuściła nisko głowę. - Widzisz śmierć, czujesz ją, a nawet umiesz ją przewidzieć.

- To dlatego nazywałaś mnie synem śmierci? - parsknął Wojtek. - Dlaczego nazywacie to darem? Przecież to przekleństwo, które zniszczyło mi życie!

- I tu przyznaję ci rację, młodzieńcze. - Oczy siwobrodego starca patrzyły nań ponuro spod krzaczastych brwi. - Wiele wiosen chodzę po tym świecie, a nigdy dotąd nie widziałem człowieka obdarzonego przez Hel. Jesteś dla nas zagrożeniem!

- Bardzo mi przykro. - Wojtek przygryzł wargę, opanowując kolejną falę złości. - Proszę mi wierzyć, że nie pchałem się do tego kraju. Mój okręt został jednak zdradziecko storpedowany i ślepy los bezczelnie cisnął mnie...

- Milcz! - huknął niespodziewanie starzec, aż płomień skoczył wyżej. - Nie kpiłbyś, gdyby Kriss zrobiła to, co do niej należało!

Spojrzał z wściekłością w kierunku dziewczyny, która poderwała się nagle, oblana gniewnym rumieńcem.

- Zrobiłam to, co do mnie należało! - wysyczała w myślach, mierząc starca straszonym spojrzeniem. - Odczytałam przepowiednie Króla Gór i ostrzegłam syna Hel, by nie schodził na ląd! Później jednak zrozumiałam, że...

- Zrozumiałaś? - Siwobrody mędrzec poderwał się. Jego dłonie drżały, zaciskając się kurczowo na drzewcu włóczni. - Niczego nie rozumiałaś, głupia dziewczko! Oto jeden z trzech mężów, przed którymi ostrzegaliśmy nas Król! - Palec starca oskarżycielsko wymierzył w pierś Wojtka. - Powinnaś była go zabić wtedy na brzegu fiordu, a nie wlec go ze sobą!

- Syn Hel odczytał moje sny! Wiedział, że nie wolno mu zejść na ląd, i nie zrobiłby tego! - Oczy Kriss zwięzły się do rozjarzonych szparek. - To przeznaczenie...

- Przeznaczenie? - Parsknął szyderczym śmiechem starzec. - Czy w ten sposób chcesz wytłumaczyć swoją...

- On powinien być zginać w katastrofie okrętu wraz z całą załogą! - krzyczała Kriss. - Tymczasem przeżył! To przeznaczenie go ocaliło, Gunnar!

- A może to nie przeznaczenie, ale przyrodzenie cię tak bardzo...

- Milcz! - krzyknęła Kriss, wyszarpując zakrzywiony sztylet. - Milcz, jeśli nie chcesz...

Skygge zerwał się. Nim dziewczyna zdążyła zaprotestować, wykręcił jej nadgarstek.

Sztylet wysunął się z palców i spadł na ziemię.

- Zamilczcie oboje. - Jego myśli były dziwnie niewyraźne, zniekształcone przez zwierzęcą część natury. - Nie, nie mogę już tego znieść... Gunnarze, Kriss, wy wszyscy. Zapominacie, że niebezpieczeństwo jest znacznie bliżej, niż wam się wydaje.

Nagle zapadła martwa cisza, przerywana jedynie trzaskaniem płonących brewion. Wszyscy z napięciem wpatrywali się w przygarbionego, ciężko oddychającego człowieka -wilka.

- Już zapomnieliście, co wam powiedziałem? Przecież to ja jestem prawdziwym winowajcą!

Spojrzenie jego dzikich, żółtych oczu utkwilo w Wojtku.

- Pamiętasz, przybyszu, tę chwilę, zanim pocisk z pancernika uderzył w hotel? Gdy ten Niemiec wyjawiał nam swoje zamiary, a potem położył run na moim czole?

Oszołomiony Śnieżewski skinął głową.

- Jego moc była zbyt wielka... - Skygge zmrużył oczy, jakby pod wpływem wielkiego bólu. - Zdradziłem mu drogę do Bezimiennej Doliny.

Nagle ogień jakby przygasł, a między skałami przemknął lodowaty wiatr.

- On jest dla nas groźbą, a nie syn Hel... - chrapliwie przekazał w myślach Skygge. - On jest tym, którego w wizjach Kriss nazywa się Czarnym Złem! Wrogowie zmierzają do Bezimiennej Doliny, a wy kłóćcie się jak obłąkani!

- Jest tylko jeden sposób, byś zmasał swą winę - odezwał się ciemnowłosy mąż z toporem.

- Znam prawo dawnych lat, Thorvald. - Skygge wyprostował się. - Poprowadzę was na wojnę przeciwko Czarnemu Złu. Zaś ty - znów spojrział na Wojtkę - nie trafiłeś tu ani przez przeznaczenie, ani dzięki uczuciom Kriss. Zaplątałeś się po prostu w nie swoją wojnę.

- Dzięki. - Wojtek nagle poczuł się znużony. - Właśnie to chciałem powiedzieć. Niech ktoś po prostu wskaże mi drogę do jakiegoś osiedla ludzkiego, a dalej...

- Stój. - Siwobrody starzec imieniem Gunnar zatrzymał go ostrym warknięciem. - To nie takie proste, synu Hel. Skygge nie ma racji. Ta wojna jest już twoja, skoro się na niej znalazłeś.

- Nie. - Wojtek przez chwilę próbował wytrzymać chłodne spojrzenie starca, lecz w końcu spuścił wzrok. - Nie i nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

- Za późno! - zaśmiał się Gunnar. - Czarne Zło zna twój sekret, synu Hel, i szybko cię pochwyci, jeśli od nas odejdiesz. A będzie cię szukał, to pewne. Wiedza, którą Skygge zdradził naszym wrogom, jest dla nich bezużyteczna. Aby dotrzeć do Bezimiennej Doliny, trzeba nie tylko znać drogę, lecz także mieć czyste, nieskażone złem serce. W przeciwnym razie moc Bezimiennej Doliny zmaści wrogowi ścieżki. Mając ciebie na swych usługach i twój zdradziecki dar, Czarne Zło bez trudu zniszczy Króla Gór. Jesteś dla nas zagrożeniem, synu Hel! Wojtek poczuł, że emocje znów

zaczynają w nim wzbierać.

- Nie nazywaj mnie synem Hel! - wrzasnął histerycznie. - Przestań! Nie jestem niczym synem, nie chcę tego daru, nie chcę! Zostawcie mnie wszyscy w spokoju!

- Gardzisz darem Hel? - Gunnar podniósł się naraz, wspierając się na włócznie.

- Ani kroku dalej, Gunnar! - ostrzegła go Kriss. - Jeśli go tkniesz...

- Nie waż się do mnie tak odzywać, szalona dziewczko! - Siwobrody starzec skrzywił się. - Dość nasłuchaliśmy się miodoustego Sverre'a. Teraz ja jestem przywódcą Ukrytego Ludu i do mnie należą ostateczne decyzje. Człowiek, którego przyprowadziłaś, jest dla nas niebezpieczny, lecz zgoda: nie będę go zabijał. Jest w końcu synem Hel. Chyba czas, przybyszu, byś stanął przed obliczem swej matki i powiedział jej osobiście, dlaczego gardzisz jej darem!

- Nie! - krzyknęła przerażona Kriss.

Gunnar uniósł włóczęnię i nakreślił nią znak w powietrzu. Przecinane powietrze zgęstniało, formując migotliwy, niebieskawy run.

- To *raido*, run podróży lub przejścia do świata zmarłych - szeptał Gunnar, a jego oczy wypełniły cały świat.

Wojtek próbował uciekać, ale ledwie uczynił kilka kroków, grunt zadrgał mu pod nogami. Potem ogarnęły go ciemności.

Niebo z wolna przejaśniało się, zwiastując rychłe nadejście świtu. W koronach drzew budziły się pierwsze ptaki, a znad topniejącego śniegu unosiły się rzadkie kłęby mgły. Na tle wilgotnego lasu zgarbiony Harrington siedzący nieruchomo na przewróconym pniu wyglądał jak wychudły troll z ponurych bajek.

Zmęczonym gestem Anglik przetarł czoło, po czym wydobyl pomięte cygaro z kieszeni, odciął końcówkę i drżącymi rękami skrzesał ognia. Niebieskawy dym zmieszał się z parą wydostającą się z jego ust. Ciągnął dym łapczywie, gdy górskie echo przyniosło stłumiony odgłos eksplozji z odległego fiordu Rombaken, gdzie broniły się ostatnie niemieckie niszczyciele.

- Wciąż tam jesteś - bardziej powiedział, niż spytał głos za jego plecami.

- Tak, wciąż tam jestem. - Harrington zacisnął zęby, a w jego oczach zagrały niebezpieczne ogniki. - Wciąż tam jestem! - warknął. - Wciąż stoję naprzeciwko tego cholernego hotelu i widzę, jak wybiega Tritz! Po raz pierwszy od lat mam skurwysyna w zasięgu ręki, a wtedy...

Na pobladłą twarz Harringtona wypłynął rumieniec wściekłości. Cygaro złamało się w jego palcach.

- A wtedy ty mi go zabierasz! - wyrzeszczał w leśną pustkę. - Rzucasz go niczym zabawkę przez całą ulicę! Po co? To jeden z twoich dowcipów, boski błażnie? Chciałeś zobaczyć, jak miotam się we wściekłości?

Odpowiedział mu cichy, perlisty śmiech.

- Jesteś głupcem, śmiertelniku! - odpowiedział rozbawiony głos. - Jak każdy śmiertelnik uwięziony jesteś w ciasnej klatce swych racji. To prawda, rzuciłem Tritzem przez połowę ulicy! Zrobiłem to jednak na sekundę przed tym, zanim uderzył w niego pocisk z pancernika! Ocaliłem go dla nas, Harrington!

- Ocaliłeś go dla nas? - warknął szef Sekcji D. - Czy aby na pewno wciąż dbasz

o nasz wspólny interes?

- Tak.

- Tak? - Harrington parsknął wściekle, wstając i odwracając się w kierunku, skąd dobiegał głos. - To dlaczego rzuciłeś esesmana do tyłu, a nie w NASZYM kierunku?

Las milczał. Nie było odpowiedzi.

- W co ty grasz, cholerny błażnie? - domagał się odpowiedzi Harrington. - O co...

Nagle urwał, gdy między drzewami zamajaczyły dwie postacie. Harrington dojrzał

osmolone, podarte mundury żołnierzy Sekcji D. Kerre i Patterson podeszli nieśmiało, salutując. Na ich twarzach malował się pozorny spokój, ale obaj starali się nie patrzeć mu w oczy. Trzymający się z tyłu Kerre omiótł szybkim spojrzeniem skraj lasu, jakby szukał niewidzialnego rozmówcy Harringtona.

- Co się dzieje? - spytał pułkownik, opanowując złość.

- Major Gubbins kazał przekazać, że niemiecka kolumna wyjeżdża z Narwiku - powiedział Patterson, patrząc ponad ramieniem Harringtona. - W sile przynajmniej półtora batalionu. Kieruje się na północ.

- A esesmani? - zapytał niespokojnie Harrington. - Również wyruszyli?

- Nie dostrzegliśmy żadnych samochodów z oznaczeniami SS.

- Nic dziwnego. Nie chcą się wyróżniać po naszej nocnej akcji. Ruszamy w drogę! - Harrington jakby odzyskał siły i ruszył dziarskim krokiem w kierunku zaimprovizowanego obozu.

- Panie pułkowniku! - zawołał go cichym głosem Patterson. Żołnierz wbił wzrok w ziemię i wyciągnął jedną ręką pęk wisiorów, na pierwszy rzut oka przypominających nieśmiertelniki. - Skoro już o tej akcji... Jesteśmy bardzo wdzięczni

1 chcieliśmy podziękować... No, sir, naprawdę się przydały, ale my już... Sam pan rozumie.

Łańcuszki z płaskimi, runicznymi kamykami kołysały się lekko, trzymane w wyciągniętej dłoni Pattersona. Harrington otaksował postać żołnierza - w jego mundurze znajdowały się liczne dziury po kulach na wysokości prawego biodra, wątroby oraz lewej piersi.

„Run ochrony, *algiz*, nigdy nie zawodzi”, pomyślał, a głośno dodał:

- Zatrzymajcie je, sierżancie. Wyruszamy w ślad za niemieckimi oddziałami, jeszcze się pewno przydadzą.

Po tych słowach ruszył naprzód, zostawiając obu oniemiałych żołnierzy. Skrzypienie poruszanych wiatrem drzew przez moment przypominało rozbawiony chichot.

Patterson jeszcze przez dłuższą chwilę stał w miejscu, po czym powoli, z niechęcią wybrał dwa naszyjniki, a resztę wcisnął w kieszeń. Jeden zawiesił sobie na szyi, a drugim rzucił w stronę Kerre'a. Ten nawet nie próbował go pochwycić. Run upadł na śnieg i znieruchomiał.

- Rozumie pan coś z tego, sierżancie? - zapytał Kerre, przelękając ślinę. - Cokolwiek? W nocy, w Narwiku... Kurwa, te sukinsyny trafiły mnie przynajmniej dwanaście razy!

- Mnie też, Kerre. - Patterson westchnął. - Każdy z nas powinien zginać. Ale żyjemy.

- Czym są te... runy? - Kerre z odrazą przyjrzał się naszyjnikowi u swoich stóp.

- Nie wiem, Kerre. Wiem tylko, że... że w innych okolicznościach cieszyłbym się, że żyję. - Nagłym, zdecydowanym ruchem Patterson wepchnął run pod kołnierz golfu. - Ale nie teraz. Nie dziś. Nie po tym wszystkim.

Kerre dobrze wiedział, o czym mówi sierżant. Wszyscy czuli się nieswojo w towarzystwie pułkownika Harringtona, a od czasu, gdy znaleźli się na stałym lądzie, żaden z nich nie zmrużył nawet oka. Co więcej, każdego prześladowało wrażenie, że kluczy wśród nich jeszcze jeden człowiek, nieznajomy, którego niemalże widziano kątem oka, lecz znikał po odwróceniu się w jego stronę. Po szaleńczej nocnej wyprawie do Narwiku byli już całkiem wyprani z resztek sił fizycznych i psychicznych.

Na domiar złego coś się stało z majorem Gubbinssem.

Gdy uchodzili z miasta, Kerre kilkakrotnie zagadnął majora o właściwy cel ich misji. Gdy w końcu major odwrócił się, żołnierz ujrzał w jego oczach bezdenną pustkę. Znikł gdzieś rubaszny, zawsze uśmiechnięty major, który nie miał przed swymi ludźmi sekretów. W jego miejsce pojawił się zimny, obcy im człowiek, który choć z wyglądu Gubbinsa przypominał i walczył równie skutecznie jak on, nie był nim wcale.

- W co ty grasz, cholerny błaznie? - powtórzył bezwiednie ostatnie słowa Harringtona.

Nad lasem przetoczyło się echo kolejnej salwy artyleryjskiej, a stado kruków nadlatujące od strony gór zakrakało z radością.

Na idealnie czarnym niebie nie lśniła najdrobniejsza nawet gwiazda, przez co mrok dookoła był niemalże nieprzenikniony. Wojtek nie widział dalej niż na wyciągniętą dłoń, przypuszczał jednak, że wokół ciągnęły się szerokie połacie pustyni lodowej,

o czym świadczyły chłodne powiewy wiatru. Na szczęście trakt, którym wędrował, był prosty i gładki.

„Skąd wiedziałem, że piekło nie ma nic wspólnego z płomieniami?”, pomyślał.

Nie czuł już strachu, ani osamotnienia, a zamiast nich pojawiła się świadomość, że wszystkie niewytłumaczalne zdarzenia, wobec których był tak bezsilny, zostały daleko za nim w świecie, gdzie wciąż świeci słońce i pada śnieg. W miejsce wahania

1 wątpliwości pojawił się prosty trakt. Wojtek zagłębiał się więc bez lęku we wszechogarniające ciemności, a przecucie mówiło mu, że każdy krok przybliży go do rozwiązania tajemnicy.

- Kiedyś tym traktem wędrowały tysiące zmarłych - odezwał się surowy, kobiecy głos w jego jaźni.

- Wiem - odpowiedział.

Nie kłamał. Wiedział to. Wiedział również inne rzeczy.

- To Gjöll - szepnął, gdy mroźny powiew wiatru przywiódł cuchnący odór. - Rzeka graniczna królestwa śmierci, Niflheimu.

- Zatem wiesz, gdzie jesteś? - W kobiecym głosie zabrzmiało zdziwienie.

- Wiem. - Wojtek uśmiechnął się ironicznie. - Nazywano mnie w końcu synem śmierci.

W mroku poniósł się śmiech, monumentalny, lecz pozbawiony szyderstwa.

- Witaj zatem w domu, mój synu!

Z każdym krokiem smród stawał się coraz intensywniejszy, a Wojtek miał wrażenie, że jego wzrok wyostrza się coraz bardziej. Widział już zwały lodu po obu stronach traktu - poczerniałe, monstrialne, wypiętrzone tysiące lat temu - a także gigantyczną rozpadlinę, do której prowadził trakt. Nad szczeliną rozciągał się masywny most, po przeciwnej stronie ozdobiony dwoma nieforemnymi kolumnami. Biła od nich niebieskawa,

zgniła poświata.

- Brama Trupów - wyszeptał, zakrywając dłońmi usta. - Brama do Niflheimu.

Fale smrodu rozkładających się ciał, które napływały od strony mostu, stawały się coraz trudniejsze do wytrzymania. Wojtek walczył z nudnościami, ale zdecydowanie parł naprzód w kierunku mostu i Bramy Trupów.

- Most zwie się Gjallarbru - powiedział kobiecy głos pośród jego myśli.
- Kiedy go przekroczysz, znajdziesz się w moim królestwie.

Wojtek rozejrzał się półprzytomnie. Most był szeroki, masywny, obwiedziony solidną balustradą. W niebieskawej, trupiej poświacie, jaką rozsiewały słupy bramy, wyraźnie widział niemalże proste ściany klifu opadające wiele metrów w dół ku gęstym, cuchnącym wodom Gjöll. Po drugiej stronie rozpadliny, przy samej jego krawędzi wznosiło się ponure wikińskie dworzyszczce. Wokół nie było żywego ducha.

- Szukasz żywych w krainie umarłych? - zaśmiał się kobiecy głos, czytając jego myśli.

- Ja jestem żywy! - Wojtek uśmiechnął się ponuro.

- Tyś moim synem.

- Nie dosłyszałaś kpiny pośród moich myśli? - Zacisnął mocno zęby. Szedł właśnie środkiem mostu jak najdalej od cuchnącej rzeki Gjöll. - Nie jestem twoim synem!

- A kim jest twoja matka? Pamiętasz ją? Jak brzmiało jej imię?

Wojtek szedł naprzód, próbując ignorować pytania, lecz te natarczywie wdzierały się między jego myśli. Matka odeszła dawno, dlatego jej nie pamiętam, myślał z gniewem. Miałem matkę, była wspaniałą kobietą i...

Zawahał się. Nie pamiętał nawet tego. Z rosnącym lękiem spróbował przywołać wspomnienie jej twarzy, lecz ta nie nadchodziła. Jego pamięć była pusta.

Rozejrzał się wokół, by odpędzić przerażające myśli. Wchodził już w obręb poświaty Bramy Trupów i pomimo potężniejącego smrodu z wolna odzyskiwał siły. Gdy minął słupy, ujrzał rozrzucony na ziemi ogromny łańcuch. Pojedyncze ogniwo było grubości męskiego ramienia.

- Nie chcę wiedzieć, co było kiedyś uwiązane na końcu tego łańcucha - pomyślał odruchowo.

- Potworny pies Garm, którego szczekanie oznajmiło nadejście Ragnaroku - nadeszła odpowiedź. - Wraz z trójgłowym olbrzymem Hrimgrimmirem strzegli wejścia do Niflheimu.

- Gdzie są teraz? - Zatrzymał się Wojtek, unosząc głowę.

- Tam, gdzie wszyscy ci, którzy walczyli w Ragnaroku. W ludzkiej pamięci.

Teraz widział ją wyraźnie. Strojna w białą suknię wysoka kobieta witała go w bramie dworzyszczą, wyraźnie odcinając się od mroku podwórza. Kilka kroków za nią stał wysoki wojownik w kolczudze z ramionami założonymi na piersi. Jego twarz nikła w mroku.

Kobieta uniosła dłoń na jego powitanie. Wojtek przyspieszył kroku, a jego serce zabiło żywiej.

Z każdym krokiem ogarniało go coraz silniejsze wrażenie niesamowitości. Palisada wokół dworzyszczą zamiast z drewnianych pali składała się z ciał gigantycznych, martwych węży, których łby zwisały na zewnątrz i kołysały się na lodowym wietrze. Hel stała bokiem do Wojtka, a

ciemne włosy otulały jej trupio blady policzek.

- Witaj, Hel. - Skłonił się. - Przybyłem, ponieważ... ponieważ Ukryty Lud uznał, że tak trzeba.

- Przybyłeś, ponieważ twoi przodkowie otrzymali ode mnie dar - powiedziała Hel, wciąż stojąc do niego bokiem.

- Tak, Hel. - Wyprostował się Sniezewski. - Wolałbym jednak nazwać go przekleństwem! Twój dar...

- Wiem, na czym on polega! - Zimny, obojętny ton Hel przerwał jego butny wywód. - I nie nazywaj go przekleństwem, bo zakończy moją samotność, a także cierpienie Baldra.

Bogini odwróciła się nagle i Wojtek cofnął się z obrzydzeniem. Druga połowa twarzy Hel, skryta dotąd przed jego oczami, była w stanie zaawansowanego rozkładu. Na policzku i skroni znajdowały się jeszcze fragmenty skóry, lecz resztę jej oblicza, aż po włosy, pokrywało pożółkłe, gnijące mięso.

- Bogowie nie mogli znieść mojej ohydy i oddali pod moje rządy Niflheim, podziemne królestwo zmarłych! - krzyczała bogini. - Liczyli, że gdy zamieszkam pod ziemią, nie będę ich często odwiedzać! Gdy szczenie Garma oznajmiło nadejście Ragnaroku, uniosłam się dumą! Nie chciałam wspierać w boju tych, którzy czuli do mnie odrazę! I to był mój błąd...

Zgniła dłoń z kikutami palców uniosła się i zatoczyła krąg, od Trupiej Bramy aż po ciemny horyzont.

- Moim zadaniem jako władczyni Niflheimu było przyjmowanie tych zmarłych mężów, którzy nie polegli w walce, oraz wszystkich kobiet, które nie umarły jako dziewice. Niegdyś trafiały tu tłumy, śmiertelniku, lecz nastąpił Ragnarok i zmarłych zabrała niepamięć. Dziś rzadko przybywają nowi, gdyż po śmierci idą teraz do innego królestwa. Dziś goszczę tylko jednego zmarłego! - Zaśmiała się ponuro. - Oto Sverre, mężny wojownik i przywódca Ukrytego Ludu. Ongiś jego miejsce byłoby w Valhalli, lecz od śmierci Odyna nikt nie odnalazł tam drogi. A może i dobrze? Czy dzielnemu wojowi radość sprawiłaby uczta wśród zgliszcz?

Błądą twarz Sverre'a rozświetlił ponury uśmiech. Teraz dopiero Wojtek dostrzegł, że jego kolczuga poznaczona jest okrągłymi dziurami niczym po kulach.

- A ja od tysiąca lat żyję tu samotnie, zapomniana! - ciągnęła bogini

śmierci. - Od tysięcy lat wyrzucam sobie, że nie zginęłam w Ragnaroku jak inni. Tysiąc lat czekam na wypełnienie się mego losu jako ostatnia z bogiń.

- A Baldr? - Ośmielił się spytać Wojtek. - On również przeżył Ragnarok.

- Baldr! - wykrzyknęła Hel, szczerząc poźółkłe zęby. - Bezdomny bóg jasności! Cóż,

on też został zapomniany! Przepowiedziane było bowiem, że po Ragnaroku Baldr

wyjdzie z mego królestwa i powróci do świata ludzi, ale w dniu naszego pożegnania

powiedział: „Przeznaczenie okrutnie z nas zakpiło, Hel. Nasz świat zakończył się, ale my

oboje żyjemy. Musisz to zakończyć, Hel, bo ty władasz śmiercią”. Dziwne wydały mi się

jego słowa, ale okazały się słuszne. Wysoko w niebiosach Baldr odnalazł jedynie ruiny

Asgardu i Vanaheimu, a więc powrócił do Midgardu, gdzie zamieszkał w pniu starego

jesionu jako Król Gór. W pniu drzewa jak dobry duszek za starych czasów! - zaśmiała

się, a Wojtka ogarnął jej cuchnący oddech. - Do mojego królestwa wciąż napływali

zmarli, lecz było ich coraz mniej. Zrozumiałam wtedy, że należy posłuchać słów Baldra.

Postanowiłam po raz ostatni obdarzyć śmiertelnika mym darem.

- Czy to byłem ja? - wyjąkał zaskoczony Snieżewski.

- Nie. - Hel wydeła w parodii uśmiechu nabrzmiałe usta. - Wybrany został twój bardzo odległy przodek, ale dopiero u ciebie, mój synu, dar rozwinął najpełniej.

Wojtek przymknął oczy.

- Najpełniej? Tego nie wiem - powiedział cicho. - Wiem tylko tyle, że stało się to szybko. Zbyt szybko. Z początku potrafiłem zwiastować śmierć pojedynczych, bliskich mi osób, potem ludzi sobie nieznanych, nigdy niewidzianych, a na końcu całych grup. Teraz wiem nawet jak ginęli, a

ostatnio...

- Ostatnio wokół ciebie ginęli ludzie, a ty po raz pierwszy nie czułeś bólu. - Oczy Hel, w tym jedno otoczone na poły zgniłą powieką, wpatrywały się weń uporczywie. - Tak, to znak, że nabierasz mocy. Dar jednakże towarzyszy ci od maleńkości, mój synu. Nie kochałeś swej matki, nawet jej nie pamiętasz. Nigdy nie natrafiłeś na kobietę, którą obdarzyłbyś uczuciem. Kobiety mogłyby dla ciebie nie istnieć, nieprawdaż? Nie odpowiadaj, wiem. Życie ze śmiercią w sercu zabija miłość.

- Twoje współczucie mnie cieszy. - Wojtek zacisnął zęby, próbując nie patrzeć na mroczną królową. - Tylko że nic mi nie daje. Weź sobie swój dar, Hel, bo...

- Nie obchodzi mnie to! - wrzasnęła Hel straszliwym głosem. - Nie dbam o twój spokój czy twą miłość! Nic, śmiertelniku, nic się nie równa z tysiącletnią samotnością!

Przerażony Śnieżewski cofnął się o krok.

- Dość tego. Kriss, ta wieszczka z Ukrytego Ludu, dobrze odczytała wizje Baldra. Przybyłeś tu, by położyć wszystkiemu kres, śmiertelniku. Twój dar jest już na tyle potężny, by wyzwolić Baldra i pozwolić mu odejść. On jest ostatnim zmarłym, na którego czekam. Gdy on przybędzie, zakończy się moje czuwanie. Wtedy będę wolna.

- Co mam zrobić, pani?

- Wróć do świata żywych, jak ongiś Hermod, posłaniec bogów. Wyzwól Baldra.

Motocykl znów podskoczył i siedzący w przyczepce, ziewający pułkownik Rolf Krieman

0 mało nie przygryzł sobie języka. Kierowca spojrzał na niego przepraszająco

1 pułkownik w porę stłumił przekleństwo.

Miał za sobą fatalną noc i równie fatalny poranek. Wyokrętowanie jego pułku przebiegło bez kłopotów, ale uszykowanie pięciu kompanii do liczącej prawie sto kilometrów wędrówki zaśnieżonymi drogami północnej

Norwegii było już sporym wyzwaniem. Ludzie Kriemana zarekwirowali kilka ciężarówek oraz kilkanaście jucznych koni, lecz na potrzeby wyprawy było to wciąż za mało. Krieman, spodziewający się oporu ze strony norweskich oddziałów, a także konieczności obrony lotniska Bardufoss, chciał zabrać jak największą ilość amunicji, granatów i broni maszynowej. Próbował też wyjednać od Dietla kilka haubic, ale ten nie chciał nawet o tym słyszeć.

Zajęty przygotowaniem Krieman położył się późno spać, ale niemalże natychmiast obudziły go salwy brytyjskich okrętów. Spał w butach i spodniach mundurowych, tak więc opuścił Royal Hotel jako jeden z pierwszych. Uniknął dzięki temu strzelaniny przy wejściu i dotarł do swoich ludzi, nim rozpoczęło się zamieszanie. Ranny Dietl uznał, że ostrzał portu jest wstępem do desantu brytyjskiej piechoty i nakazał swym ludziom ewakuację miasta, co przerodziło się w wielki chaos.

„Niewiarygodne”, pomyślał Krieman, odwracając się za siebie. Choć Narwik dawno już zakryły zbocza górskie, bijące zeń czarne słupy dymu nadal kłuły niebo. Gdyby Anglicy zeszłej nocy naprawdę mieli kilka oddziałów desantowych w pogotowiu, wyprawa na Bardufoss zamieniłaby się w paniczną ucieczkę.

Po raz setny przemyślał marszrutę. Trzecia kompania pierwszego batalionu jechała w szpicy - część na motocyklach, reszta w trzech zarekwirowanych ciężarówkach - i przepatrywała drogę oraz mijane wioski. Pozostałe dwie kompanie dźwigały zapasy, prowadziły juczne konie oraz zaprzęgi ciągnące armaty oraz osłaniały flanki kolumny, a pierwsza kompania drugiego batalionu podzielona na wzmocnione drużyny narciarskie patrolowała okolicę w poszukiwaniu Norwegów. Pochód zamykały druga i trzecia kompania drugiego batalionu transportująca jednocześnie działka przeciwlotnicze. Plutony techniczny, sanitarny oraz łączności wędrowały w samym środku kolumny.

„Nie - pomyślał Krieman. - O niczym nie zapomniałem. Muszę zdobyć i utrzymać to cholerne lotnisko, chyba że złośliwy los mi przeszkodzi”.

Obojętny wzrok pułkownika powędrował ku szarym, ciężkim chmurom, które zwiastowały rychłą śnieżycę. Jego motocykl wolno pełził wzdłuż górskiej drogi, strzelając obłoczkami spalin z rury wydechowej, a za nim pięły się ciężarówki z silnikami jęczącymi na pierwszym biegu. Porośnięte zaśnieżonym lasem zbocze opadało tu łagodnie ku stalowym

wodom fiordu Rombaken, jednej z odnóg Ofotfu.

Niespodziewanie w szczelinie między chmurami na chwilę pojawiło się słońce i tafla wody zalśniła niczym posypana złotem. Jej piękno psuły tylko czarne, wypalone wraki dwóch ostatnich niemieckich niszczycieli. Gdyby żołnierz prowadzący motocykl spojrział teraz na Kriemana, ujrzałby, jak na kamiennej twarzy oficera pojawiało się wzruszenie. Trwało to jednakże tylko chwilę. Gdy tylko słońce skryło się w chmurach, oblicze pułkownika na powrót przybrało surowy wygląd.

Na pierwszy postój zatrzymali się późnym popołudniem, gdy główna kolumna dotarła do niewielkiej wioski Rombak leżącej nad brzegiem zatoki Rombaksbotn. Żołnierze z plutonów pomocniczych z ulgą wyskakiwali z bud ciężarówek, głośno przeklinając uciążliwą jazdę po wertepach. Dwie drużyny prowadzone przez wysokiego porucznika Webera przeszukiwały chaty i bezceremonialnie wywlekały zatrwożonych wieśniaków na świeże powietrze. Inni żołnierze rozjuczali konie, podprowadzali je do płynącego przez wioskę strumyka i podsypywali im obroku. Wolni od obowiązków zrzucali ciężkie plecaki i siadali na śniegu, skarżąc się na pęcherze na stopach i puste żołądki. Tu i ówdzie zaimprovizowano już kuchnię polową, a nad gwarem żołnierskich rozmów poniosło się pokrzykiwanie sierżantów, którzy rozstawiali warty i stanowiska karabinów maszynowych.

Pułkownik Krieman wyskoczył z przyczepki motocykla i przeciągnął się, aż kości strzeliły. Prezentował się wciąż nienagannie. Miał na sobie bryczesy i wiatrówkę oficerską, a jego wysokie, czarne buty wciąż błyszczwały. Czapkę strzelców górskich nosił lekko na bakier modą szeregowych żołnierzy. Obojętnym wzrokiem zmierzył wieś - kilkanaście drewnianych chatynek o ścianach krytych kolorową, falistą blachą - i odwrócił się w kierunku podporucznika Kirschnera, szefa łączności.

- *Henr Oberst*, otrzymaliśmy raport od szpicy! - zameldował Kirschner.
- Major Kurz zatrzymał się w odległości dziesięciu kilometrów od głównej kolumny! Potwierdza zły stan dróg, ale brak jakiegokolwiek aktywności nieprzyjaciela.

- Doskonale - Krieman skinął głową. - A drużyny narciarskie?

- Mamy meldunki od trzech. Potwierdzają pasywność Norwegów. Ani śladu...

- A czwarta?

- Na razie brak odzewu, *Henr Oberst*.

- Nadać komunikat: „Natychmiastowe przegrupowanie w Rombak”. Przed

wyruszeniem w dalszą drogę koniecznie chcę się rozmówić z dowódcami drużyn. A teraz... - Krieman poprawił mundur i spojrzał daleko, ponad ramieniem łącznościowca. - Proszę mi udostępnić którąś z radiostacji.

- *Jawohl, Henr Oberst!* - Podporucznik zasalutował i wskazał Kriemanowi jedną z ciężarówek.

Tritz podświadomie ucieszył się z postoju. Zabrane z Narwiku samochód terenowy w miarę sprawnie radził sobie z wertepami, ale po nocnej bitwie w mieście bolało go całe ciało. Głowa pulsowała mu po uderzeniu w ścianę domu, a otarte na całej długości plecy piekły niemiłosiernie. Było to jednak niczym w porównaniu do tortur, jakie przynosiły myśli. Ledwie samochód się zatrzymał, Tritz wyszedł na zewnątrz, łapczywie chwytając świeże, górskie powietrze.

Wciąż nie mógł się pogodzić z tym, co ujrzał w nocy.

„Harrington jest groźniejszy, niż przypuszczałem - myślał z wściekłością. - Na Islandii wpakowałem mu dwie kule prosto w serce i zostawiłem go na zboczu, po którym płynęła lava, a mimo to przeżył. W Kopenhadze deptał mi po piętach i skradł oryginał *Vidarssagi*. Teraz bezczelnie atakuje kwaterę Wehrmachtu w Narwiku, a jego ludzie kpią sobie z naszych kul, ani chybi chronieni przez runy! A ta moc, która cisnęła mną o ścianę? Kim się stał ten szalony Anglik? Czyżby lektura *Vidarssagi* sprawiła, że zaczął sobie roić o sięgnięciu po moją tajemnicę? Moją?”

Przystanął na skraju drogi. Na jego ściągniętym obliczu malowała się taka wściekłość, że pluton strzelców górskich, przed chwilą wesoło przekomarzający się nad menażkami z zupą, pomarkotniał i odwrócił spojrzenia.

- *Herr Standartenfuhrer* - odezwał się cichy głos za jego plecami.

Tritz obejrzał się gwałtownie i ujrzał Ragnara. Twarz jego podwładnego była blada, a oczy strzelały niespokojnie na wszystkie strony. Mimo wzburzenia Tritz poczuł ukłucie złośliwej satysfakcji.

„Boisz się, Ragnar? - pomyślał. - Tak, od chwili opuszczenia Narwiku trzęsiesz się ze strachu. Boisz się, by nie dorwali cię twoi dawni przyjaciele z Ukrytego Ludu, co?”

- *Herr Standartenfuhrer!* - powtórzył Ragnar, oblizując wargi. - Coś dziwnego wisi w powietrzu. Coś jakby...

- Co? - warknął Tritz i mimowolnie rozejrzał się.

Wzdłuż drogi dziesiątki strzelców górskich odpoczywało, zajadało lub rozprawiało, konie rżały przy wodopoju, a dalej, w wiosce, pracowały silniki kilku samochodów.

Wzrok esesmana przeniósł się na ośnieżone, pokryte lasem zbocza gór.

- Co takiego, Ragnar? - zapytał, nie kryjąc szyderstwa w głosie.

- Nie wiem. - Tamten zwiesił głowę. - Nigdy czegoś takiego nie czułem. To jakby... Jakby wielkie ostrzeżenie. Myślę, że to Ukryty Lud ruszył na wojnę.

Tritz przez moment mierzył Ragnara wzrokiem, a kiedy już otworzył usta, by wygłosić jakąś gniewną uwagę, jego uwagę przyciągnął inny członek SS „Ulvhednar”, który pędził w ich stronę, roztrącając zdziwionych żołnierzy. Był to Thorkill, którego dar pozwalał mu widzieć na dziesiątki kilometrów. Jego twarz była zmieniona, a oczy błyszczały dziko, jak zawsze, gdy wypatrzył coś ważnego.

- Ci angielscy żołnierze... - wysapał, gdy zrównał się z Tritzem i Ragnarem. - Ci z Narwiku... Jada za nami!

- Szaleńcy... - Tritz zgrzytnął zębami. - Pora z tym skończyć. Raz na zawsze.

29.

Woda była lodowato zimna. Śnieżewski nabierał jej pełne garście, chlustał sobie na twarz i wcierał z furją w poczerwieniałą skórę, próbując zmasać wspomnienia z koszmarne go snu.

- Wróciłeś - odezwał się w jego głowie szept pełen zdumienia i radości.

Wojtek po raz ostatni przetarł twarz i wyprostował się wolno, z niechęcią.

- Tak - pomyślał. - Wróciłem.

- Wedle legend udało się to tylko jednemu człowiekowi. Posłaniec bogów, Hermod, wrócił z Niflheimu, gdy...

- Kriss. - Jego myśl, krótka i gwałtowna, natychmiast przerwała radosny wywód dziewczyny. - Daruj sobie, naprawdę. Nie interesuje mnie ten Hermod ani wasze legendy.

Odwrócił się nagle i otworzył oczy. Kriss stała na wąskiej ścieżce między ogromnymi, obłymi skałami, opierając się o nie dłońmi. Choć miała na sobie zwykłe ubranie - mocne spodnie, wełniany sweter, a na to kurtkę z kapturem - nigdy bardziej nie przypominała istoty z innego świata niż teraz. Blask bladego, zimowego słońca zamieniał jej twarz w tajemnicze, elfie oblicze z ogromnymi, ciemnymi oczami.

- Nie mów tak. - Myśl Kriss były pełne powagi. - Sam jesteś częścią naszych legend.

- Ja? - Wojtek zaśmiał się krótko. Policzki piekły od schnącej, zimnej wody. - Do jasnej cholery, Kriss, ja mam gdzieś te wasze legendy! Ja właśnie byłem w piekle!



- To część twego...

- Mojego? - Wojtek zacisnął zęby, przymykając oczy. - Mojego? Właśnie się zastanawiam, co w tym całym świecie naprawdę jest moje! Od chwili, gdy wypłynęliśmy z Polski, wciąż jestem czyjąś zabawką! W Kopenhadze manipulują mną Niemcy na zmianę z Anglikami, w Norwegii

wpadam w sidła Ukrytego Ludu, a cały czas steruje mną dar Hel. Do cholery, dlaczego cały świat nagle zapalał chęcią pochwylenia podporucznika Wojciecha Śnieżewskiego, oficera artyleryjskiego z rozpieprzonego okrętu?

- Voitek... - Kriss zeszła ze ścieżki między skałami i wyciągnęła w jego kierunku

dłonie. Śnieżewski zrobił krok w tył, kręcąc głową. - Nie zrozum mnie źle, ja naprawdę...

- Tak, wiem! - Wojtek parsknął. - Ty chciałaś dobrze. Ale tu nie chodzi o ciebie. Ja naprawdę mam już tego wszystkiego dość... Dość mam ludzi, którzy kierują moimi

krokami, dosyć mam tych, którzy próbują przeciągnąć mnie na swoją stronę. Dość.

Nagle Kriss uświadomiła sobie, że nie ma już przed sobą wymizerowanego, dezorientowanego rozbitka, który z obawą stawiał pierwsze kroki w nieznanym sobie świecie. Ściągnięta twarz Śnieżewskiego emanowała hardością, a w jego przymrużonych oczach Kriss odczytała żelazną stanowczość.

- Chcę położyć temu kres - powiedział cicho w myślach Polak.

- Jak? - zapytała onieśmielona nagłą przemianą.

- Ten wasz przywódca to dumny, uparty człowiek. - Wojtek wiódł skrzącym wzrokiem po ośnieżonych, popękanych skałach i niewielkich sosenkach, które znalazły oparcie w szczelinach. - Wygnał mnie do Niflheimu, by pozbyć się mnie na zawsze, ale popełnił jednak błąd. Nie tylko wróciłem, ale jestem bogatszy o wiele odpowiedzi. Wiem choćby, jak pozbyć się daru Hel.

- Wiesz... - W oczach Kriss odbiło się zdumienie. - Skąd?

- Od niej samej. - Wojtek spojrzał na dziewczynę.

Kriss zrobiła krok w tył, blednąc gwałtownie.

- Hel wiele mi powiedziała, Kriss. - Wojtek raz jeszcze rozejrzył się wokół. - Chyba naprawdę wiem, jak położyć temu wszystkiemu kres. A jeśli się mylę... Cóż, czy naprawdę mam tak wiele do stracenia?

- Położyć kres czemu? - W szeroko otwartych oczach Kriss zalśniła podejrzliwość. - Czarnemu Złu? Swemu darowi? A może... Królowi Gór?

Dziwna to była rozmowa, dla przypadkowego obserwatora będąca

jedynie wymianą grymasów i wzburzonych spojrzeń. W skalnej kotlinie panowała absolutna cisza, a potężne, ośnieżone świerki przeżyły się nieruchomo, obojętne na najłżejsze podmuchy wiatru.

- Znam to miejsce - pomyślał nagle Wojtek, dostrzegając ślady po wielkim ognisku oraz znajomą grootę, z której przyglądał się naradzie Ukrytego Ludu. - To przecież stąd Gunnar wysłał mnie do piekła...

Skrzywił się przy tych słowach.

- Nigdzie indziej by się to mu nie udało - Kriss uśmiechnęła się. - To *stenskógurinn*, co w naszej mowie oznacza „kamienny las”. Było to onegdaj jedno z wielu świętych dla nas miejsc, a dziś ostatnie, które znamy. Stare opowieści mówią, że w czasach przed Ragnarokiem bogowie ryli tu dla nas przepowiednie na skalnych ścianach. Bogowie odeszli, ale ich błogosławieństwo przetrwało i do dziś Ukryty Lud dysponuje tu większą mocą.

- Ty również, Kriss? - zapytał Wojtek. - Przecież widzisz przyszłość! Powiedz zatem, co przyniosą najbliższe dni?

- Nie wiem. - Bezradnie pokręciła głową dziewczyna. - Ja nie widzę przyszłości, a jedynie odbieram wizje, które zsyła Król Gór. A on zaś... On milczy od dawna, ale w jego milczeniu znać strach.

- Strach przed czym? Przed końcem?

- Nie. Strach przez złem. - Oczy Kriss nagle zaszklily się. - Król Gór jest dobrocią, Voitek.

- Wiem. - Rysy Śnieżewskiego naraz złagodniały. - Wiem - powtórzył, niespodziewanie ujmując Kriss za rękę. - Chodźmy zatem, uwolnimy Króla Gór od lęku.

- Jak?

- Musisz mi zaufać. Chodź, musimy odnaleźć Niemców.

- Co takiego? - wykrzyknęła zaskoczona Kriss. - Niemców? Voitek, przecież...

Polak nie słuchał jednak protestów. Trzymając ją mocno za rękę, ruszył w górę ścieżki między skałami. W ciężkim od pradawnej mocy powietrzu zatańczyły pierwsze, ciężkie płatki śniegu. W historii Ukrytego Ludu rozpoczynała się nowa opowieść.

- *Scheisse!* - zaklął Wolfgang, gdy motocykl po raz kolejny podskoczył na wybojach, a on nieomalże wypadł z przyczepki. - Klaus, uważaj na drogę, do jasnej cholery!

Jego słowa utonęły wśród warkotu maszyny pracującej na wysokich obrotach. Strzelec grzmotnął pięścią kolegę na siodełku, lecz ten nie zareagował. Lepki śnieg padał coraz gęściej, skutecznie ograniczając widoczność. Kierowca był w pełni skupiony na drodze i co chwila odrywał rękę od kierownicy, by przetrzeć gogle.

- *Scheisse Wetter!* - warknął nagle Klaus, zatrzymując motocykl w poprzek drogi. - Przecież to nie ma sensu!

- Co nie ma sensu? - spytał Wolfgang.

- Taka jazda! - Klaus zsunął się z siodełka i zatarł dłonie, zgrabił mimo ciepłych, futrzanych rękawic. - Nic nie widać w tej ćmie! Poczekamy na resztę chłopaków, niech Kurz decyduje, co dalej. Ja pieprzę taką jazdę!

Wolfgang z trudem wydostał się z przyczepki i rozprostował zdrętwiałe kolana, przesuwając pistolet maszynowy na plecy. W ciągu ledwie kwadransa widoczność zmniejszyła się do parunastu metrów i Wolfgang dostrzegał jedynie ciemne zarysy najbliższych świerków wzdłuż drogi. Wydało mu się jednak, że za drzewami dostrzega jakiś ciemny kształt. Przeszedł kilkanaście kroków, pozostawiając tupiącego w miejscu, przeklinającego głośno Klause przy motocyklu, a wtedy zamazana budowla okazała się zadaszonym szałasem pasterskim stojącym w otoczeniu wysokich, obłych skał.

Wrócił do Klause w chwili, gdy w śnieżycy zamajaczyły żółtawe reflektory pozostałych motocykli.

- Co się dzieje? - zawołał kierowca pierwszego z nich. Zatrzymał motocykl i z trudem oderwał zaśnieżone gogle od hełmu. - Co się dzieje, Klaus? Zobaczyliście coś?

- Nie, poruczniku! W tym rzecz, że nic nie widać! Własnego przedniego koła w tej śnieżycy nie widzę!

- Co racja, to racja. - Porucznik Kurz strzepnął grube płaty śniegu z swej wiatrówki. Twarz pasażera w przyczepce była sina z zimna, a MP-38 drżał w jego zgrabiłych dłoniach. - Ludzie są przemarznięci i głodni. Musimy znaleźć jakieś schronienie, a potem skontaktować się z pułkownikiem i resztą szpicy.

- Dlaczego by nie tam, poruczniku? - Wolfgang wskazał nikinący w

śnieżycy szłas. - Paru chłopa się zmieści, a reszta wciśnie się pod plandekę ciężarówek!

- Dobra nasza! - Kurz skinął głową. - Dalej, *Jungs!*

Odpowiedziały mu pomruki aprobaty, po czym motocykle popęzły przez śnieg w kierunku szłasu. Strzelcy nie ociągali się. Mimo zimna i zmęczenia, przygotowywania obozowiska potoczyły się szybko. Wiatroszczelne płachty, których w polowych warunkach używano jako namiotów, zamocowano przy wschodniej, otwartej ścianie szłasu dla ochrony przed wiatrem, a pod dachem szybko zapłonął ogień. Podciągnięto worek z prowiantem oraz prądnicę. Część patrolu zabrała się za przygotowywanie posiłku, a porucznik Kurz wraz z radiotelegrafistą ukłękli przy niewielkiej radiostacji polowej.

Ciepło i perspektywa posiłku szybko przywróciły dobre nastroje. Żołnierze zaczęli żartować, przekomarzać się, a któryś nawet zaczął podśpiewywać austriacką piosenkę ludową. W tle rozlegało się popiskiwanie radiostacji.

- Pieprzę taką wojnę! - oznajmił Klaus i ściągnął przemoczoną wiatrówkę. - Przyjechaliśmy tu, by walczyć z Norwegami, podczas gdy ci wyraźnie na to nie mają ochoty!

- Pewnie się dowiedzieli, że sam straszliwy Klaus Maier zasuwa w szpicy! - powiedział ktoś, wzbudzając ogólną wesołość. - Na miejscu Norwegów też bym się schował!

Klaus cisnął w dowcipnisia mokrą czapkę. Ktoś otworzył konserwę z wołowiną, której zapach strudzonym, wygłodniałym żołnierzom wydał się czymś wprost niebiańskim.

- Nie marudźcie, Maier. - Porucznik zasiadł w kręgu swych ludzi. Zagryzał mocno wargi, jak zawsze, gdy się czymś martwił. - Skoro się wam tak do wojaczki śpieszy, obejmiesz pierwszą wartę.

Wesołość ucichła jak ręką odjął.

- Coś się stało, poruczniku? - zapytał feldfebel Blaskowitz, po poruczniku najbardziej doświadczony członek oddziału i jedyny nie-Austriak w całej kompanii. - Minę ma pan niezbyt tęgą.

- Brak odzewu od ciężarówek porucznika Gottbergera - powiedział krótko Kurz, przyjmując grubą pajdę chleba z mięsem od któregoś z żołnierzy. - Być może po prostu utknęli w jakiejś zaspie. Wojna przecież trwa, wbrew temu, co głądzi Maier, a na wojnie niczego pewnym być nie

można. Czekamy na nowe rozkazy od pułkownika Kriemana, a na razie gotowość bojowa, *Jungs*. Zmniejszyć ogień, nie zdejmować butów ani kurtek, broń pod ręką. Jeden wartownik pilnuje motocykli, dwóch krąży wokół szałas. Pytania?

Odpowiedziało mu milczenie. Na oświetlonych przez płomień twarzach strzelców górskich malowała się powaga i niepokój.

- *Ausgezeichnet*. Weise, Maier i Sielenberg, jedźcie szybciej. Obejmujecie pierwszą wartę.

Niebieskawy poblask zmierzchu ciemniał z każdą chwilą, a płatki gęstego śniegu padały wokół bezszelestnie. Jako dziecko szeregowy Wolfgang Fritz kochał takie wieczory w rodzinnej chacie u podnóża tyrolskich Alp. Zwykł przytykać nosek do zimnej szyby i bez końca patrzeć na zasypiające zagrody i pojedyncze światełka w dolinie. „Co robią ludzie w tamtych chatach”, pytał sam siebie, zapatrzonej w mrugające iskierki. Czy też mają tak ciepłe i przytulne izby?

Tamte beztróskie dni minęły jednak bezpowrotnie. Dziś jedynym światłem w pobliżu był blask niewielkiego ogniska widocznego przez szczeliny osłaniających szałas płacht. Dobrze też wiedział, co robią skryci za nimi ludzie.

„Radiotelegrafista Thomas nadaje nieskończone komunikaty do pułkownika Kriemana i porucznika Gottbergera”, pomyślał. Porucznik zaś przygryza wargi i czeka na jakikolwiek znak od dowództwa, a reszta boi się odezwać.

Innych świateł wokół nie było, wszystko pożerała śnieżycy i gęstniejący mrok. Ciemne, rozmyte konary drzew kołysały się na wietrze niczym roztańczone duchy. Mimo tego, że w pobliżu czuwało kilkunastu jego kolegów, Wolfgang czuł się rosnący niepokój.

Wiatr dmuchnął mu twarz garścią mroźnych śnieżynek i żołnierz zmrużył oczy. Zimno zaczęło się powoli przebijać przez sweter, wiatrówkę i narzuconą na wierzch białą pelerynę. Przez myśl przebiegły mu złowieszcze plotki, które zdażył usłyszeć przed opuszczeniem Narwiku. Wszędzie rozprawiano o wilkołakach na półwyspie Emmenes i ataku

brytyjskich dywersantów na Royal Hotel, a niektórzy gadali nawet o tym, że na redzie portu czai się kraken.

Cóż za bzdury. Gdy tylko...

Odległy, ledwie słyszalny terkot broni maszynowej przeciął jego myśli. Niewidoczny, zagubiony w śnieżycy strzelec wyrzucał długą, niemalże rozpaczliwą serię, która urwała się gwałtownie.

- Alarm! - wrzasnął Wolfgang z przestrawieniem. - Alarm!

Zgrabiającymi dłońmi odciągnął zamek mauzera i dał nura w kierunku skał oraz przysypanych śniegiem motocykli. Płachty podfrunęły do góry. Z szalasu wychylnęło kilka ciemnych, przygarbionych postaci, które znieruchomiały parę metrów dalej, wśród drzew i zasp. Jedna z przykurczonych, ledwie widocznych sylwetek przypadła do Wolfganga.

- Co się dzieje, Fritz?! - warknęła głosem porucznika Kurza.

- Ogień z broni maszynowej! - wyszeptał zdenerwowany Wolfgang. - W dole drogi, skąd przyjechaliśmy! Pojedyncza, długa seria, potem nic!

- Scheisse! - Porucznik poprawił czapkę górską i mocniej ujął pistolet maszynowy. - Trzeba to sprawdzić! Spilnitz, Birgen, Weise! Wysuniecie się...

Dźwięczne wycie wilka, potężne niczym dzwon, rozległo się nagle w przerażającej bliskości. Ciemności rozdarł płomień z lufy pistoletu maszynowego - któryś z żołnierzy strzelał z biodra w kierunku drzew, krzycząc przy tym przeraźliwie. Wycie urwało się jak nożem uciął.

- Trafiłem go! - Pośród ciszy poniósł się wrzask, w którym brzmiała panika. - Trafiłem sukinsyna!

- Milczeć, do ciężkiej cholery! - ryknął porucznik. - Sielenberg, jeszcze raz otworzysz ogień bez pozwolenia, a urwę ci ten pusty łeb!

- Poruczniku! - Potykając się biegł w ich kierunku inny strzelec. Dopiero z bliska Kurz poznał przerażoną, bladą twarz Maiera. - To... To ten wilkołak! To o nim gadali w Narwiku! Musimy stąd spieprzać! Słyszysz pan? Musimy spieprzać, póki jest jeszcze czas!

Żołnierz wpił się zakrzywionymi palcami w pelerynę dowódcy, który odtrącił go z całej siły. Maier padł w śnieg

- Uspokójcie się, Maier! - krzyknął porucznik. - Co się z tobą dzieje, żołnierzu! Gdzie twoja broń?

- To pan oszalał, poruczniku... - Maier czołgał się do tyłu, próbując wstać. - Pan nie zdaje sobie sprawy...

Jego głowa naraz dotknęła podstawy jednej ze skał. Strzelec spojrział ku górze i znieruchomiał, a z jego ust wyrwał się przeraźliwy wrzask.

Skała drgnęła, unosząc się. Od jej gładkich ścian oderwały się naraz monstrialne ramiona - jedno pomknęło ku górze, a drugie spadło szerokim łukiem, gruchocąc czaszkę wciąż wrzeszczącego Maiera. W górnej części skały, która niespodziewanie przeobraziła się w tułów, zapłonęła para żółtych oczu.

Kurz nacisnął spust pistoletu maszynowego. Seria wędrowała po cielsku skalnego trolla, krzesząc iskry i wywołując coraz głębszy, coraz bardziej rozdrażniony ryk. Ziemia zadrżała, gdy potwór ruszył w stronę porucznika.

- *Aras—!* - krzyczał tryumfalnie siwobrody starzec z uniesioną włócznią, który wychynął nagle z mroku.- Nie wejdziecie do Bezimiennej Doliny!

Zza jego pleców wybiegło kilku wojów zbrojnych w tarcze i topory. Na ich czele sadył susami ogromny, wyjący tryumfalnie wilk.

Wiatr zerwał się zaraz po tym, jak Wojtek i Kriss opuścili *stenskógurinn*. Świat utonął w białej zawiei. Widać było jedynie niewielkie sosenki targane brutalnymi podmuchami, a w oddali majaczyły ciemne kształty skał.

Wojtek czuł, jak jego odwaga i zaciętość gasną z każdym krokiem. Brnął pochylony, na próżno próbując jak najlepiej osłonić się przed lodowatymi podmuchami, ale chłód przenikał całe jego ciało, a buty przemokły już po paru krokach. Kriss puściła już jego rękę i szła przodem, co chwila odwracając ku niemu głowę. Wojtek ledwie widział jej twarz.

Niespodziewanie drobna postać Kriss znikła. Wojtek przystanął i rozejrzał się niepewnie.

- Kriss? - zawołał. - Kriss!

- Nie krzycz - pośród jego myśli odezwał się jej głos, cichy i niespokojny. - Posłuchaj.

Wojtek rozejrzał się z przestraszeniem. Wycie wichru przyniosło chrapliwy krzyk jakiegoś ptaka.

- Co to? - zapytał w myślach. - Kriss, czy to ma być jakiś żart? Krakanie...

- Milcz! - Kriss krzyknęła z taką mocą, że ogłuszony, chwycił się za głowę. - Biegnij w stronę skał! Szybciej!

- Ale ja...

- Biegnij!

Strach w głosie dziewczyny nie był udawany. Wojtek zerwał się do biegu. Mające w śnieżycy skały były jednak dalej, niż się z początku spodziewał. Ogarnięty niewytłumaczalną paniką parł ku nim zaciekle, przewracając się w zaspach. Wiatr smagał go po twarzy, a któraś z gałęzi uderzyła go boleśnie w policzek.

- Szybciej! - W głosie Kriss pojawił się błaganie.

Skały przerażająco wolno wyłaniały się ze śnieżycy. Zdyszany Wojtek dobywał już ostatnich sił, gdy czyjaś dłoń zakryła mu usta i pociągnęła go w śnieg. Podświadomie targnął się w bok, próbując uwolnić od niewidocznego napastnika, ten jednak był nieugięty. W ułamek sekundy później leżał unieruchomiony, a dłoń nadal tłumiła jego oddech.

30.

Naraz poznał zapach i przestał się szarpać.

Kłęcząca nad nim Kriss patrzyła w niebo, a w jej szeroko otwartych oczach czaił się lęk. Wciąż zakrywała mu usta, lecz nacisk jej dłoni zelżał. Wojtek pochwycił ją za nadgarstek i odrzucił, jednocześnie podrywając się do pozycji siedzącej.

- Oszalałaś? - pomyślał ze złością . - Przecież...

- Ciszej... - szepnęła, wciąż patrząc ku niebu. Jej dłoń, chłodna, lecz o dziwo nie zgrabiła od zimna, musnęła jego czoło. - Patrz...

Wojtek spojrział i ujrzał jak szron na jej brwi zamienia się w kroplę wody, która spływa po zaczerwienionym policzku. Dziewczyna odgarnęła spocone włosy z czoła i rozchyliła nozdrza niczym spłoszone zwierzątko wypatrujące napastnika. Wzburzenie chłopaka gasło. Patrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy.

Czarnego ptaka, który przemknął, kracząc nad ich głowami, dostrzegł w ostatniej chwili. Odwrócił głowę tylko po to, by dojrzeć ciemną, skrzydlatą plamę, porywaną przez wicher. Czar prysł w jednej chwili.

- To był po prostu kruk - warknął w myślach, próbując wstać. Oddech wciąż się nie uspokoił, a kolana drżały od wyczerpującego biegu.
- Przecież nie każdy kruk...

- To nie był zwykły kruk. Widziałeś Hugina, jednego z kruków Ragnar - powiedziała cicho Kriss. - Szuka kogoś.

- Nie cierpię kruków. - Wojtek pokręcił głową, przypominając sobie Kopenhagę.

- Ragnar to jeden z naszych dawnych braci z Ukrytego Ludu. - Spojrzenie Kriss było niezwykle poważne. - Zdradził nas i przeszedł na stronę Czarnego Zła. Nie chciał dłużej służyć Królowi Gór jak my. Wolał...

- Mniejsza o to - przerwał Wojtek i rozejrzał się bacznie. - Odleciał, prawda?

- Tak...

- To ruszajmy w drogę.

Nagłym gestem porwał dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą, tam gdzie ścieżka skręcała między skały. W jego oczach na nowo pojawił się blask uporu. Chciał wypełnić swe przeznaczenie.

Górska chatka pojawiła się na ich szlaku kilka godzin później, gdy determinację Wojtka pokonało niehumanne zmęczenie. Śnieżewski półprzytomnym wzrokiem patrzył, jak Kriss przedziera się przez zaspę i odkopuje przysypane do połowy drzwi. Przez zmęczony, skołatany umysł przemknęła myśl, że kobiecie należy pomóc, lecz nie zdobył się na żaden ruch.

- Nie sądzi pan, że trafiliśmy naprawdę w niezłą kabałę? - zapytał nagle znajomy mu głos, przeciągający z litewskimi wyrazami. - To znaczy bardziej pan niż ja. Mnie tylko

zdradzono i zatopiono mój okręt. Rzecz zwykła na wojnie. Natomiast pan, Śnieżewski...

- Co. - wyjąkał niepewnie Wojtek.

W pierwszej chwili chciał okazać radość i wypytać dowódcę o to, jak ocalał życie i dotarł na to bezludzie, ale nie potrafił ułożyć choć zdania. Kriss huknęła drzwiami.

- Natomiast pan się wpięprzył w coś naprawdę niezwykłego. Z jednej strony cieszę się, gdyż dzięki temu mogę panu to wszystko powiedzieć, ale z drugiej strony... - Głos Kornilowicza był poważny, lecz nagle błysnęła w nim nutka serdeczności. - Nie wiedziałem, przez jakie piekło pan codziennie przechodzi. Inaczej bym pana traktował.

- Inaczej? - wyszeptały zimne, sine wargi Wojtka. - Był pan dla mnie przyjacielem, komandorze, choć nie musiał. Mógł pan przecież, jak zrobiła to reszta załogi, uznać mnie za szaleńca przynoszącego pecha okrętowi. Nie uczynił pan tego. Dziękuję.

- Voitek! Voitek! - krzyczał z oddali głos Kriss.

- Mogłem, a nawet chciałem! - Kornilowicz zaśmiał się smutno. - Byłem jednakże na „Gromie” równie obcy jak pan. Chyba po prostu byliśmy sobie potrzebni. Ja też chciałem panu podziękować.

- Za co? - Niewidzące oczy Śnieżewskiego wypełniły się łzami.

- Za tę ostatnią bitwę! - Śmiał się dowódca. - Wpieprzyliśmy temu Niemcowi! Solidnie, po naszemu, bez oglądania się na innych! Po polsku!

- Po polsku... - uśmiechnął się bezwiednie.

- Wojtku, muszę już wracać. - Kornilowicz spoważniał nagle, a jego głos osłabł. - Tu po tej stronie poznałem kilka tajemnic. Posłuchaj, nasz okręt naprawdę zdradzono. Na dno posłała nas torpeda z angielskiego okrętu, ale to nie Anglicy, nie admiralicja, jak kiedyś myślałem. To zrobił jeden człowiek, Harrington. Nie wiem jak, ale...

- Harrington. - wyszeptał Wojtek.

Przez moment znów był w Kopenhadze, znów przyklękał na ośnieżonym placu przy trupie Gosby'ego.

- A zatem go znasz? To on. Niech cię Bóg błogosławi, drogi chłopcze... Podążaj swoją ścieżką i odnajdź wreszcie swój spokój. Nie zapomnij jednak o nas...

- Nie zapomnę...

- Pamiętaj, że zostaliśmy zdradzeni...

Gdy w końcu otworzył oczy, przez wąskie, do połowy przysypane śniegiem okna chatki zaglądały już ciemności. Po drewnianych ścianach pełzał odblask żaru z piecyka. Rozgrzewająca się twarz piekła niemilosiernie.

„Chyba nie wyglądam już jak cherubinek”, pomyślał, rozcierając policzki i dotykając spękanych warg. Rozejrzał się, szukając Kriss, i nagle zamarł, widząc jej wzrok. Dziewczyna patrzyła na niego z przestraczem i niepewnością.

- Co się dzieje? - spytał - Mocno chrapałem?

- Rozmawiasz ze zmarłymi, Voitek - nadeszła odpowiedź. - Twój dar staje się coraz potężniejszy.

- Wiem. - Skrzywił się, przypominając sobie treść rozmowy. - Jeszcze trochę, a wskrzeszę twoich martwych bogów. Gdzie moje buty i onuce? Aha, tu.

Odrzucił koc, wstał, podszedł do piecyka i uklęknął z syknięciem. Czuł, że dziewczyna nie spuszcza z niego oczu.

- Może Gunnar miał rację? - usłyszał cichą myśl. - Może jesteś dla nas zagrożeniem?

- Może. - Wojtek uśmiechnął się i zbadał wewnątrz suszących się

butów. - Pamiętaj jednak, Kriss, że wróciłem z Niflheimu. Ktoś potężniejszy od Gunnara zdecydował, że powinienem dalej grać w tę grę.

- Nie rozumiesz. - Kriss opuściła głowę. - Ja... Ja chyba rzeczywiście nie powinnam przyprowadzać cię do *stenskógurinn*.

- O co ci chodzi? - warknął nagle, czując zbierającą w sobie złość. - Żałujesz, że uratowałaś mi życie?

- Nie żałuję. - Dziewczyna zmrużyła oczy. - Ale coraz częściej myślę o tym, po co idziemy w ślad za niemieckimi oddziałami. Kiedy mi powiesz, o co ci chodzi?

- Nie wiem. - Polak zagryzł wargi.

- Nie wiesz, kiedy mi powiesz?

- Nie wiem, po co idziemy za Niemcami - odetchnął krótko i pokręcił głową. - Po prostu... Po prostu wiem, że tak należy. Coś mi mówi, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, będę wiedział, co robić. To chyba coś, co wy nazywacie przeznaczeniem.

- Przeznaczenie mówi, że masz położyć wszystkiemu kres! - krzyczała dziewczyna. - Wszystkiemu, czyli czemu, Voitek? Chcesz pokonać Czarne Zło, choć sam jeszcze nie wiesz jak! A może zniszczysz przy tym nas, Ukryty Lud! A może zabijesz Króla Gór?!

- Nie wygaduj bzdur, Kriss. Przecież ja...

- Ty sam nie znasz granic swej mocy! - Kriss zaciskała mocno pięści, a jej oczy skrzyły niczym dzikiemu zwierzęciu. - Gunnar miał rację! Jesteś dla nas zagrożeniem!

- Przestań wrzeszczeć! - huknął w myślach z taką siłą, że dziewczyna aż zatoczyła się do tyłu.

Natychmiast poderwała się jednak i skoczyła ku niemu, celując dłońmi w kierunku twarzy. W ostatniej chwili pochwycił ją za nadgarstki.

- Hel obdarzyła cię swym darem i wypuściła z Niflheimu! - syczała wściekle, próbując wyszarpnąć dłonie z uścisku Polaka. - O niczym innym nie marzysz, jak o tym, by pozbyć się swego dziedzictwa! I zrobisz to za wszelką cenę, choćby miał przy tym zginać sam Król Gór!

Wojtek bronił się zaciekle, ale Kriss była zaskakująco silna. Jej zakrzywione palce z wolna zbliżały się do jego twarzy, gotowe rozerwać skórę i wyszarpać oczy. Niespodziewanie poddała się i z bezgłośnym szlochem opadła prosto w jego ramiona.

- Przepraszam... Przecież ty... - Kriss płakała, kryjąc twarz na jego

piersi.

Zaskoczony nagłą przemianą Wojtek pogładził ją po głowie i przytulił niezgrabnie.

Znów poczuł niezwykley zapach, który od zawsze ją otaczał i rozpoznał aromat leśnego igliwia, smak ciepłego, letniego deszczu i wiatru znad fiodu, rozgrzanej słońcem górskiej łąki i sierści śpiącego kota. Zapach oszołomił go i nawet nie zauważył, jak jego dłoń przesunęła się na szyję Kriss, kształtną i ciepłą.

Jej szloch naraz się urwał. Uniosła lekko zapłakaną twarz, a jej wielkie, kocie oczy spojrzały na niego z niedowierzaniem i zaskoczeniem. Chwilę później jednakże na ustach pojawił się blady uśmiech, a jej palce spoczęły na chropowatym policzku Wojtka.

- Kriss... - pomyślał krótko, lecz w tym krótkim słowie kryło się mnóstwo napięcia.

Dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę z tajemniczym uśmiechem, po czym nagle ujęła jego głowę i wpiła się ustami w jego wargi. Zapach odurzył go bez reszty. Wojtek zamknął oczy i spijał całą słodycz z jej ust, przyciskając ją coraz mocniej do siebie.

- Nie... - szepnęła Kriss, odsunawszy się od niego gwałtownie. - Nie, Voitek. Zrozum.

Zapatrzony w jej oczy Polak ujrzał niewielką stację kolejową i przewrócone wagony, zza których ostrzeliwała się garstka zrozpaczonych obrońców. Sylwetki Niemców w białych pelerynach zbierały się do natarcia, gdy spomiędzy wagonów wyszedł wyprostowany oficer, dumny i hardy na twarzy. Wojtek patrzył z fascynacją, jak idzie ze wzniesionymi dłońmi i nakazuje Niemcom opuścić broń, a ci spełniają jego wolę, onieśmieleni mocą jego głosu. Widział, jak obrońcy umykają, a on, jakby wiedząc, że są już bezpieczni, nagle odwraca sięku wrogom, a wtedy rozrywają go niemieckie kule.

Oczy Kriss znów się zaszklily.

- On miał na imię Sverre, był przywódcą Ukrytego Ludu - wyszeptał Wojtek. - Kochałaś go...

Ciężka łza spłynęła po policzku Kriss. Dziewczyna bezwolnie poddała się ramionom

Polaka i ułożyła się u jego boku, nie przestając płakać. Śnieżewski przytulił ją do siebie i nakrył kocem, z troską, lecz już bez namiętności. Przez chwilę przyglądał się wzburzonej grzywie jej ciemnych włosów.

„Co też mnie naszło”, pomyślał ze zdziwieniem. Nagły poryw uczuć, ulotny jak promyk świecy na wietrze i równie bezsensowny. Przecież ja nie umiem kochać. Nigdy nie poznałem miłości i chyba nawet nie chcę poznawać.

Wkrótce żar w piecyku przygasł, a wicher na zewnątrz na nowo podjął swą pieśń. Wojtek nie spał do rana, roztargnionym gestem przytulając dręczoną złymi snami dziewczynę z Ukrytego Ludu. Krótka, niespokojna drzemka, w której tonął w lodowatej wodzie, a nad nim kołowały wygłodniałe kruki, nawiedziła go dopiero nad ranem.

Nie spał jednak długo, bo obudziło go wrażenie, że wielu ludzi umiera nieopodal gwałtowną śmiercią. Delikatnie zdjął główkę śpiącej Kriss z ramienia i ułożył ją obok, na sienniku. Nie budząc dziewczyny, cicho opuścił chatkę.

Silnik ciężarówki zakrztusił się raz jeszcze i nagle zamarł. Gubbins bez większej nadziei przekręcił stacyjkę raz i drugi, uderzył palcem w paliwomierz i spojrzał na Harringtona. Ten siedział nieruchomo zapatrzony w mrok.

- Dalej nie pojedziemy - powiedział ochrypłym głosem. - I tak nadrobiliśmy sporo drogi.

W żółtawym świetle reflektorów płatki padającego śniegu wydawały się wielkie niczym skrzydła nietoperzy. Wiatr poruszał lekko kabiną, co rusz z szelestem ciskając garścią grudek śniegu o drzwi. Harrington ani drgnął.

- Sir, co teraz? - ponowił pytanie Gubbins. - Jesteśmy w środku dziczy, od paru godzin szaleje śnieżycy, a samochód nie zapali. Na pewno ma pan jakiś plan rezerwowy, pułkowniku.

Harrington poruszył się nagle i major aż drgnął zaskoczony.

- Nie jesteśmy tu sami - odezwał się czyjś głos.

- Wiem - powiedział Harrington. Słaby poblask zegarów z tablicy

rozdzielczej zamienił jego twarz w trupią maskę z wielkimi plamami cieni.

- Majorze, proszę przygotować swych ludzi.

- Do czego? - Głos Gubbinsa był mechaniczny, spokojny.

- Bierz pan ludzi! - ryknął Harrington. Jego oczy lśniły upiornie.

- Rozkaz. - Gubbins skinął głową i uderzył pięścią w tył kabiny. -
Wychodzić! To zasadzka!

Otworzył drzwi, ale lodowaty wichur niemalże wepchnął go z powrotem do środka. Gubbins wypadł na zewnątrz, przykląkł w śniegu i odbezpieczył broń. Spróbował przebić wzrokiem ciemności. Skryte w mroku drzewa kołysały się, a wiatr co rusz podnosił nowe tumany śniegu.

- Co się dzieje, majorze? - zawołał półgłosem sierżant Patterson, również przyczajony z karabinem ensfield w dłoni. Żołnierze Sekcji bez słowa, błyskawicznie utworzyli krąg wokół samochodu.

- Wiem tyle, ile ty, Patterson - warknął major.

Nagle wiatr przyniósł szydercze krakanie kruka. Major spojrzał w tym kierunku i nagle w jego oczach błysnął przestach.

- Co to, do kurwy... - szepnął, unosząc broń.

Spośród kołyszących się drzew wyszła pojedyncza, dumnie wyprostowana postać. Mimo ciemności Gubbins miał pewność, że tamten patrzy prosto na niego.

- Zrywać im medaliony - usłyszał złowieszczy szept po niemiecku. -
Ognia!

W tej samej chwili ciemności rozświetliły błyski serii z trzech pistoletów maszynowych. Kule przeorały chłodnicę ciężarówki i wzbily śnieg tuż pod stopami majora. Gubbins puścił krótką serię i odtoczył się po śniegu.

Nim poderwał się na nowo, jego ludzie otworzyli gęsty ogień. Pociski z brena, zdobycznych MP-38 i ensfieldów cięły mrok, masakrując pnie i gałęzie. Stockton klęczał, z niedowierzaniem patrząc na swą zakrwawioną dłoń.

Jedna z ostatnich kul Niemców strzaskała prawy reflektor samochodu i zapadł jeszcze większy mrok.

„Trzy pistolety maszynowe trzymają nas w potrzasku”, myślał gorączkowo Gubbins. Kerre przygwoździ je ogniem z brena, a ja z Boleskym zajdziemy je z flanki i granatami...

Niespodziewanie poniosło się tryumfalne, szydercze wycie wilka. Gubbins odwrócił się i nagle uświadomił sobie, że prysnęło gdzieś bezduszne, obojętne posłuszeństwo, które Harrington narzucił mu przy Emenessberget. Z narastającym przerażeniem ujrzał potwornego, czarnego wilka ze ślepiami gorzejacymi trującą zielenią. Potwór targnął łbem, odsłonił kły i skoczył ku najbliższemu z Anglików. Sparaliżowany Gubbins ledwie zarejestrował, że za nim biegło trzech potężnie zbudowanych mężczyzn, każdy z mieczem i okrągłą tarczą.

Czas zwolnił bieg. Nim oszołomiony major zdążył podrzucić tomigana do ramienia. Kerre miękko osunął się w śnieg z mieczem wbitym w pierś, a MacAdam padł na kolana i skulił się w bezgranicznym przerażeniu. Bolesky cofał się i krzyczał przeraźliwe, siejąc naokoło chaotycznymi seriami. Jego wrzask przeciął jeden z mieczy, który rozrąbał mu czaszkę z ohydny chrzęstem. Nieopodal zatoczył się Dalestone, chłaśnięty przez pierś. Ciężko ranny poderwał instynktownie zdobyczny MP-38, gdy drugi z napastników wbił mu sztych miecza w brzuch i zerwał run z jego szyi.

Gubbins strzelał, wrzeszcząc z przerażeniem. Jego kule śmignęły nad zakrwawioną paszczą wilka i ścięły wojownika, który wznosił miecz nad zachłystującym się własną krwią Pattersonem. W tej samej chwili znów zagrzecotały serie od strony lasu. Major podświadomie rzucił się na śnieg, ale za późno. Uderzenie w udo, które najpierw wydawało się być ledwie ognistym pacnięciem, naraz rozlało się w falę paraliżującego bólu. Kolejny cios, tym razem w ramię, odwrócił go na plecy. Znieruchomiał, półprzytomnym wzrokiem patrząc na napastników kroczących wśród trupów ludzi z Sekcji D.

I nagle zapadła cisza przerywana jedynie świstem wiatru i skrzypieniem śniegu. Wilk z nisko opuszczonym łbem i nastroszoną sierścią stał w świetle ostatniego reflektora ciężarówki, wpatrując się w postać siedzącą na miejscu pasażera. Dwaj wojowie zbliżali się powoli, unosząc zbroczone krwią miecze. Ich ponure, kamienne twarze wykrzywiła nienawiść.

Harrington nie opuścił ciężarówki. Nadal siedział nieruchomo, nie patrząc nawet na napastników. Gubbins wstrzymał oddech, zapominając o bólu ran.

Któryś z mieczy śmignął i rozległ się chrzęst pękającego szkła. Półprzytomny Gubbins usłyszał krzyki zaskoczenia. W miejscu, gdzie

przed chwilą siedział Harrington, nie było nikogo.

Zza drzew wyłoniła się ciemna sylwetka, którą Gubbins widział wcześniej. Nagle serce znów zaczęło szybciej mu bić - nagle rozpoznał w nim esesmana o drapieżnym spojrzeniu, który przemawiał w ciemnej sali rozświetlonej pochodniami. Ignorując ból, sięgnął w kierunku kolby tomigana.

Kruk zakrakał ostrzegawczo. Jeden z wojów odwrócił się z głuchym pomrukiem, przypadł do Anglika, przydepnął mu nadgarstek, odkopnął tomigana i zerwał jego run. Oczy majora Collina Gubbinsa rozszerzyły się nagle, gdy klinga uniosła się i pomknęła ku jego głowie.

Zakrzywione palce Harringtona wczepiły się w zamarznąłą, stwardniałą pokrywę śniegu. Ciężko sapiąc, Anglik raz jeszcze spróbował wspiać się po zboczu jaru, ale drżące dłonie nie utrzymały ciężaru ciała. Znowu osunął się na dno.

Tu, w sercu lasu, wiatr nie był aż tak dokuczliwy. Ciężkie płatki śniegu wirowały w powietrzu, pokrywając świeżutką warstwą twardą skorupę i pierwsze, nieśmiałe kępki wiosennej trawy. Harrington powstał z trudem, lecz padł na kolana po przejściu ledwie kilku niepewnych kroków.

- Są chwile, gdy nie zazdroszczę wam śmiertelnych ciał - odezwał się głos za jego plecami.

Harrington nie odwracał głowy. Wierzchem dłoni przetarł spoconą, brudną twarz i nadal rozglądał się rozgorączkowanym wzrokiem za łatwym podejściem na zbocze jaru.

- Możesz teraz odpocząć - ciągnął głos. - Pościg ci nie grozi. Na razie.

- Pościg? - wychrypiał Harrington. Na jego spękanych wargach pojawiła się krew. - Pościg? Głu... głupcem jesteś, a nie Krętaczem. Przecież to ja...

- Przecież to ty ścigasz Tritza? - Głos zaśmiał się szyderczo. - Tak, wystarczy ci się przyjrzeć. Tak oto wygląda sir Harrington, dzielny łowca i poszukiwacz utraconych tajemnic.

- Nienawidzę cię - wyszeptał Anglik.

- Nie dziwi mnie to. W końcu to nienawiść, a nie miłość, kształtują świat ludzi. Nie zapominaj jednak, że jesteśmy sobie potrzebni. Gdybym przed chwilą nie przybrał twej postaci w kabinie ciężarówki, nie byłoby już sir Harringtona, mściciela i wojownika.

- Nie spodziewaj się podziękowań - warknął z gniewem Harrington i podniósł się na drżących łokciach i kolanach.

W tej samej chwili zdumienie odjęło mu mowę. Tuż przy pniu starego, rozłożystego wiązu wyraźnie rysowała się świetlista sylwetka wysokiego, barczystego mężczyzny z lokowanymi, czarnymi włosami. Harrington widział przymrużone kpiarsko oczy i krzywy uśmiech, choć postać Krętacza była na poły przejrzysta. Tu i ówdzie, gdy przyjrzał się baczniej, dostrzegł korę na pniu drzewa oraz kilka sączków.

- A więc to tak wyglądasz... - uśmiechnął się nieprzyjaźnie. - Czym

mam tłumaczyć tę manifestację?

- Och, nie sądziłem, że dotrwam chwili, gdy słynny sir Andrew Harrington straci czujność! - Krętacz odrzucił głowę w tył i zaniósł się długim śmiechem. - Przez długie lata byłem dla ciebie zaledwie niewidzialnym domowym duchem, gadającym cieniem, którego rola ograniczała się ledwie do urozmaicania twego życia drwinami. Po prostu istniałem, gdyż na nic więcej stać mnie nie było. To, co zrobiłem dla ciebie na Islandii, wyczerpało całą moją moc, a przez kolejne lata u twego boku odzyskałem jej ledwie tyle, by przyjąć na parę dni postać tego polskiego hrabiego. Wszystko zmieniło się w chwili, gdy wylądowaliśmy tu, w Norwegii.

- Cisnąłeś Tritzem! - wyszeptał głucho Harrington.

- Nie zapomnij też o tym, że przewidziałem też tor lotu pocisku z działa. - Widmowy przybysz uniósł palec przypominającym gestem. - Potem przybrałem twoją postać, a teraz... Tak, moja moc rośnie. Nie jest to nawet ułamek tego, czym dysponowałem przed Ragnarokiem, ale rośnie, wciąż rośnie! - zaśmiał się krótko. - Czym bliżej Bezimiennej Doliny, tym czuję się mocniejszy. Tritz odwalił kawał dobrej roboty, przyprowadzając nas w to miejsce, śmiertelniku, ale nie będziemy już go potrzebować.

- Jak to? - Harringtonowi udało się wstać i szedł teraz w kierunku zjawy, chwytając się konarów i wystających korzeni. Jego oczy były rozszerzone i przekrwione. - Jakże to?

- Myślę, że sam trafię do Bezimiennej Doliny. - Nozdrza przybysza rozszerzyły się drapieźnie. - Jej skarby nie są wcale tak odległe... Tak, nie potrzebujemy już Tritza.

- Naprawdę potrafisz nas tam zaprowadzić, Krętaczu? - Harrington zatrzymał się, a w jego oczach błysnęła nieufność.

- Potrafię. - Zjawa odwróciła się nagle, mierząc Anglika nieprzyjaznym spojrzeniem. - Z tą chwilą możesz przestać nazywać mnie Krętaczem, śmiertelniku. Ja mam imię. Dawno zapomniane, ale dumne i piękne.

- Dobrze. Niech ci będzie. Prowadź, Loki.

Mrok ustąpił błyskawicznie, zupełnie jakby niecierpliwy bóg zerwał kurtynę. Wśród szarych chmur powstała szczelina, której krawędzie zabarwił róż świtu. Ten sam różany poblask odbił się od szyby nieruchomej ciężarówki i od świeżego śniegu poplamionego krzepnącą już krwią.

Profesor Michael Tritz stał wyprostowany niczym struna, patrząc na swych ludzi. Dwóch członków SS „Ulvhednar” wlokło poległego towarzysza w kierunku ciężarówki Anglików, a trzeci oblewał samochód benzyną z kanistra. Trupy angielskich żołnierzy zepchnięte na bok drogi straszyły potwornymi ranami. Tritz po raz kolejny otaksował spojrzeniem pocięte żebra, rozszarpane gardła i odrąbane kończyny, lecz w jego oczach, zamiast obrzydzenia, widać było zniecierpliwienie.

- Ani śladu Harringtona - zameldował cicho Ragnar. - Nie ma go wśród trupów. Nie odnalazł go mój kruk, nie widzi go także Thorkill. Jakby się pod ziemię zapadł.

- Może się zapadł. - Na twarzy Tritza nie drgnął żaden mięsień. - Skoro dotarł tak daleko za nami, musi mieć jakiegoś diabła na swoich usługach.

- U jego ludzi znaleźliśmy za to kilka runów. - W szczupłej dłoni Ragnara zachręściła garść naszyjników.

- Oddaj mi je. Czy komuś udało się uciec?

- Nie. Zabiliśmy wszystkich. Ludzie Harringtona nie powinni już sprawiać kłopotów.

- Zapewne tak. - Tritz był zamyślony. - Zapewne tak. Szkoda czasu, Ragnar. - Ocknął się nagle i rozejrzał wokół. - Zbierać się!

Dwóch żołnierzy cisnęło martwego towarzysza na pakę ciężarówki. Trzeci rzucił do środka zapałkę i odskoczył w tył. Brezent błyskawicznie zajął się ogniem, a mroźne powietrze zatruł ohydny smród palonego ciała. Tritz szedł równym krokiem w górę drogi, nie oglądając się na słup płomieni.

Nagle w górze rozległo się ostrzegawcze krakanie. Tritz i Ragnar zatrzymali się, odruchowo chwytając za pistolety maszynowe. Żołnierze SS „Ulvhednar” otoczyli ich w oka mgnieniu, mierząc w kierunku lasu.

- *Guten Morgen, Herr Professor!* - Pośród drzew pojawiła się nagle wysoka postać i ruszyła w stronę Niemców, ignorując wymierzone lufy. - Dość nieoczekiwane spotkanie, przyzna pan.

Po raz pierwszy tego dnia kamienna maska na twarzy Tritza pękła. Profesor uniósł okulary i z niedowierzaniem przyjrzał się samotnemu mężczyźnie, który zatrzymał się pośrodku drogi. Bruzdy zmęczenia oraz brud zmieniły jego twarz niemalże nie do poznania, ale Tritz natychmiast poznał jasne włosy i delikatną, pozornie łagodną twarz.

- Witam, panie poruczniku - powiedział. - Złośliwy los przerwał naszą pogawędkę w podziemiach hotelu, a wciąż mieliśmy sporo tematów do omówienia. Cóż sprawiło, że harda, rogata słowiańska dusza nagle zamarzyła o poddaniu się słusznej sprawie?

- Nie chcę się poddać - zaśmiał się Polak. - Gdybym chciał to zrobić, wolałbym złożyć broń przed Wehrmachtem, a nie SS.

- No to czego pan chce? - zapytał krótko Tritz.

Widział już, że stojący przed nim człowiek nie jest tym samym, którego przesłuchiwał w Narwiku. Polak patrzył mu śmiało w oczy, a jego ton był buńczuczny, wyzywający. Tritz poczuł rosnący gniew.

- Szuka pan drogi do Bezimiennej Doliny, *Herr Tritz*? - Śnieżewski pochylił lekko głowę, zaciskając pięści. - Zaprowadzę tam pana.

- Z całym szacunkiem, ale nie potrzebuję przewodnika. - Tritz zmierzył go pogardliwym spojrzeniem. - Ów dzielny major Skygge, pański przyjaciel, przedstawił mu szczegóły...

- To nie starczy. - Śnieżewski mu przerwał. - Bezimienna Dolina sama wybiera tych, którzy mogą do niej wejść. Nie wpuści tych, którzy mają zło w sercach. Pomyli im drogi i skaże na niekończącą się wędrówkę wśród burzy. Nie trafi pan tam, Tritz.

- To prawda - wyszeptał ledwie słyszalnym głosem Ragnar. - To prawda, ale...

- Milcz. - Przerwało mu chłodne warknięcie Tritza. - Załóżmy, że panu wierzę, Śnieżewski. Wiem, że potrafi nas pan tam doprowadzić, ale jest coś, co budzi mój niepokój. Gdy przesłuchiwałem pana w Narwiku, bynajmniej nie palił się pan do współpracy. Teraz, ledwie kilka dni później, proponuje pan pomoc. Chyba nie wierzę w pańskie intencje.

- Mam powody, by ściagać pewnego człowieka, który również szuka Bezimiennej Doliny - powiedział Śnieżewski. - Czy mówi coś panu nazwisko Harrington?

Nagły błysk zaskoczenia w oczach Tritza starczył za całą odpowiedź.

- Ten człowiek jest winny zatonięcia mego okrętu i śmierci całej załogi - zakończył Polak, zaciskając mocno zęby. - Jego szukam i jego chcę zabić. Przydam się panu, *Herr Tritz*, a jeśli nie ufa mi pan, to... No, zna pan sposoby, by przekonać się o mej prawdomówności.

Zamknął przy tym oczy, jakby w oczekiwaniu na wielki ból.

- Tak, mam - odpowiedział po chwili Tritz. - I z pewnością ich użyję.

Z tymi słowami rozsunał swych ludzi i podszedł wolnym krokiem do Śnieżewskiego. Napięcie na chwilę zelżało - któryś z żołnierzy zerknął na niebo i wydał cichy okrzyk zdumienia. Po szczelinie w chmurach, z której bił ciepły róż świtu, nie było już śladu, a z północy napływały ciemne, niemalże czarne obłoki. Światło uciekało i nim Tritz zatrzymał się z runem prawdy w dłoni, wokół zapanowały niemalże całkowite ciemności.

- Bezimienna Dolina się broni! - szepnął przerażony Ragnar, gdy

wzdłuż drogi zerwał się wiatr. - Król Gór wpadł w gniew!

Płaski kamyk z wygrawerowanym, srebrnym runem dotknął spoconego czoła Polaka. Tritz zacisnął zęby i wdarł się do jego umysłu. Wśród czarnych chmur rozległ się potężny, zwielokrotniony huk pioruna, który przeszył cały świat, od dawno opuszczonego Asgardu, aż po zimny, pusty Niflheim. Urwała się modlitwa bogini Hel. Zamarł śmiech Lokiego, który prowadził oszołomionego Harringtona w stronę oddziałów Kriemana. Zatrzymał się Gunnar, który zbierał swych ostatnich wojowników w *stensógurinn*. Uniosła zapłakaną twarz Kriss, zawył głucho Skygge. W dalekiej, Bezimiennej Dolinie ogromny jesion znów buchał świetlistością.

Tritz oderwał kamyk od czoła Śnieżewskiego.

- Mówił pan prawdę - powiedział krótko.

Ciężka gałąź świerkowa zamachnęła się i niczym pazurzasta łapa uderzyła Harringtona w twarz. Anglik zatoczył i oparł plecami o drzewo. Kropla krwi z rozciętego policzka spływała po soplach brody.

- Chodź! - zawołał głos z półmroku śnieżnej zawiei. - Już blisko! Chodź!

- Idę... - Chciał zawołać, ale wiatr wcisnął mu słowa z powrotem do gardła.

- Jeszcze parę kroków! - Głos rozsypał się w perlisty śmiech.

Oddychający chrapliwie Harrington niemalże widział odrzuconą do tyłu głowę i półprzymknięte, lśniące radością oczy.

- Idę.

Szedł dalej z zamkniętymi oczami, ignorując piekący ból zadrapania na policzku i poranionych, zsiniałych palców. Odpędzał chore, niezrozumiałe już myśli, kurczowo trzymając się tej jednej, jedynej.

Jeszcze parę kroków.

- Tak, śmiertelniku! - Głos wśród zamieci powtarzał jego myśli. - Jeszcze parę kroków!

Kolejna gałąź uderzyła go w twarz, a chichot Lokiego wzrósł o nutę. Harrington szedł z wyciągniętymi dłońmi, odpychając się od pni drzew. Jeszcze parę kroków.

Nie pamiętał już, po co idzie ani co na niego czeka. W ciemnościach osaczały go nieznajome twarze, co rusz doskakując, wykrzykując niezrozumiałe słowa.

- Tu chodzi o pańskie ambicje, Harrington! - krzyczała jedna z nich, zakrwawiona twarz, okolona rozwichrzoną, rudą czupryną. - O pańskie mroczne plany!

Harrington znał skądś tego człowieka, ale nie pamiętał jego imienia. Krótki wyrzut sumienia natychmiast znikł zdmuchnięty przez kolejny atak wichury.

- Cholera, jestem Polakiem! - krzyczała inna, której nie rozpoznawał. - Pracuję nie dla SIS czy Sekcji D, ale dla II Oddziału Sztabu Generalnego!

Nie rozumiał. Zataczał się zagubiony w śnieżycy.

- Po swoją śmierć tu dotarłeś! - krzyczała inna, surowa, z dziwacznymi okularami. - Przeżyłeś Islandię, wyszedłeś cało z Kopenhagi,

ale teraz.

Harrington parsknął śmiechem. Nie znał powodu, ale czuł, że powinien zareagować ironią. Nie lubił tego człowieka, chciał z niego szydzić.

- Chodź, śmiertelniku! - W głosie, który go prowadził, zabrzmiał niepokój. - Już blisko!

Blisko dokąd? Po co?

Anglik potrząsnął głową. Klębiący się tłum myśli i obrazów rozstał się na moment niczym ławica rybek spłoszona przez drapieżnika. Nie dbał o odpowiedzi. Czuł, że jest blisko miejsca, do którego dążył przez całe życie, a to mu starczało.

Był wycieńczony i drżał od gorączki, ale ruszył raz jeszcze naprzód.

„Jeszcze parę kroków”, szeptały nieobecne wargi, a dłonie pożądliwie szukały oparcia.

- *Halt! Keine Bewegung~!* - zakrzyczały naraz wyraźne głosy. W powietrzu poniosł się

suchy trzask serii z pistoletu maszynowego. Myśli umknęły, przerażone, a w ich miejsce powstała czarna pustka.

I świadomość, że zostało potwornie oszukany.

Głos śmiał się pełną pierśią, okrutnym, mrocznym śmiechem kata.

Mrok nagle zafalował przed ciepłym zapachem kawy i suszącego się ubrania. Harrington chciał otworzyć oczy, ale jeszcze nie odnalazł w sobie siły. Trzy twarze milczały w ciemnościach i mierzyły go obojętnym, wzdurliwym spojrzeniem.

- Odejdźcie... - wyszeptał, próbując potrząsnąć głową.

Nagle znał tych ludzi. Załuski, Gubbins, Tritz. Znał ich imiona, przypomniał sobie też chwile, kiedy na nich natrafił.

- Stawia pan wygórowane żądania. - Ciemności przeciął cichy, lecz stanowczy głos.

Harrington poczuł lęk, choć nigdy wcześniej go nie słyszał.

Zdołał w końcu unieść powieki i aż jęknął z bólu, gdy oślepiło go światło lampy, zawieszanej na słupie wojskowego namiotu. Brezentowy sufit unosił się i falował, niczym skrzydło olbrzymiego nietoperza.

- Moje żądanie jest znacznie prostsze. Jestem pułkownik Rolf Krieman i dowodzę oddziałami 138. pułku 3 dywizji strzelców górskich, którzy właśnie pojmali pana w niewolę. Proszę o podanie imienia, nazwiska, jednostki i numeru identyfikacyjnego.

Z każdą chwilą Harrington rejestrował kolejne szczegóły. Szorstką tkaninę pledu. Pokrzykiwania i szczęk broni na zewnątrz. Popiskiwanie radiostacji, stłumione świstem wiatru. Niemiecki akcent angielskiego.

Z trudem przekręcił się na posłaniu. Jego rozmówca był jedynie plamą cienia.

- A zatem jestem w niewoli. - Harrington spróbował nadać swemu głosowi szyderczy ton.

Cień zwiększył się, gdy wciąż niewidoczny rozmówca postąpił o krok.

- Imię i nazwisko, nazwa jednostki i stopień identyfikacyjny - powtórzył ciszej, ale dobitniej.

- Nazywam się pułkownik Andrew Harrington. - Znużenie ogarnęło go z wielką mocą. - Jednostka. Moja jednostka już nie istnieje, tak więc nie

ma o czym mówić...

- Wręcz przeciwnie. Tym większa moja ciekawość.

- Niech pan zatem zaprosi tu swoich przyjaciół z SS. - Anglik opadł na posłanie i zamknął oczy. - Niech przyniosą rozżarzone pogrzebaczę, prądnicę, obcęgi i co tam jeszcze służy do nakłania do zwierzeń w waszej ojczyźnie.

- Nie mam przyjaciół w SS. - Niewidoczny niemiecki oficer postąpił jeszcze o krok. - W przeciwieństwie do pana, pułkowniku. Jak choćby ów Tritz.

Tritz. Anglik poczuł, jak spina go strach przemieszany z wściekłością. Usiadł błyskawicznie i potoczył dookoła dzikim spojrzeniem.

- A zatem się znacie - warknął.

Harrington widział już wyraźnie jego dumną, jakby wyciosaną z kamienia twarz, w której nie drgał najmniejszy nawet mięsień. Przymrużone oczy patrzyły nań bez wyrazu.

- Niewiarygodne. - Niemiec pokręcił głową ze wzgardliwym niedowierzaniem. - O pańskiej znajomości z Herr Tritzem porozmawiam przy innej okazji. Wnioskując z reakcji, musiał wyrzucić na panu niezatarte wrażenie.

- Skąd... - wyszeptał Harrington. - Skąd wiesz, że go znam?

- To ja tu zadaję pytania, pułkowniku! - Niemiec drapieźnie odsłonił zęby. - Ale skoro jest pan ciekaw, to powiem. Wyrzucił je pan z siebie w sennym widzie. Obok paru innych, intrygujących rzeczy.

- Gdzie jest ten gad? - Oczy Harringtona lśniły gorączką. - Gdzie on jest?

- Tritz? Daleko, mam nadzieję. *Standartenfukrer* Tritz nie ma zwyczaju tłumaczyć się oficerom Wehrmachtu ze swoich decyzji. Opuścił mój oddział o świcie. Jest pan bezpieczny.

- Bezpieczny? - parsknął Harrington, nagle przytomniejąc. - Kpisz pan czy co? Ja muszę.

- Nic nie musisz, Angliku! - Krieman wybuchnął złym śmiechem, a w jego dłoniach niespodziewanie zamigotał pistolet maszynowy przesunięty płynnym ruchem z pleców. - Nic, poza odpowiedzią na kilka pytań. Po pierwsze, chcę wiedzieć, co ma wspólnego brytyjski dywersant z oddziałem SS?

Rozgorączkowane oczy Harringtona nagle przysłoniła mgła wściekłości.

- Nie masz pojęcia, o co toczy się ta gra! - wycharczał. Po brudnym czole toczyła się wolno kropla potu. - Nie masz pojęcia, głupcze, na co właśnie pozwoliłeś Tritzowi...

- Po drugie - przerwał mu Niemiec - chcę wiedzieć o wszystkich brytyjskich oddziałach wokół Narwiku! O dywersantach, agentach wywiadu, łodziach patrolowych, o wszystkim!

- Durniu. - W oczach Harringtona płasała drwina.

- Po trzecie! - Lufa MP-40 zadrżała nagle. - Chcę wiedzieć, co dla ciebie oznacza nazwisko Załuski!

Zdumienie na moment przesłoniło gniew. Harrington z niedowierzaniem patrzył na Niemca, smakując martwe nazwisko, potężne niczym zaklęcie z mrocznej przeszłości.

- Załuski? - spytał przeciągle, próbując wyczytać cokolwiek z nieporuszonej, hardej twarzy. - Czyżbym to nazwisko również powtórzył przez sen?

Lekkie zmrużenie oczu starczyło za całą odpowiedź.

W tej samej chwili ktoś uniósł połę namiotu, wpuszczając do środka roztańczony wir śnieżnych drobinek.

- Herr *Oberst*... - odezwał się niepewny głos.

Niemiec odwrócił się gwałtownie, odrzucając pistolet maszynowy na plecy. Na progu stał żołnierz okutany w wiatrówkę górską. Mocno ściągnięty kaptur szczelnie otulał jego poczerwieniałą z zimna twarz, odsłaniając jedynie oszroniałe brwi i załzawione oczy.

- Co się dzieje? - Dowódca z trudem skrywał rozdrażnienie.

- Wróciło dwóch ludzi. - Żołnierz zawahał się. - Od porucznika Kurza. Ze szpicy. - Dodał jakby przepaszającym tonem.

- Co ty pleciesz! - ryknął pułkownik, chwytając za wiatrówkę. - Jak to „wróciło”?

- Pan pułkownik pozwoli za mną...

- Dwóch ludzi do pilnowania Anglika! - rzucił Krieman przez ramię i wyszedł. Śnieżyca oślepiła go w jednej chwili. Kilka naprędce postawionych namiotów, paki

ciężarówek i muły ciągnące haubice były jedynie zamazanymi plamami pośród zamieci. Głos prowadzącego go żołnierza utonął w świcie wichru.

- Gdzie są? - Zawołał, próbując przekrzyknąć wiatr wydymający jego wiatrówkę. - Gdzie ludzie Kurza?

Przygarbiony żołnierz wskazał ręką krąg postaci nachylonych nad czymś na śniegu. Sanitariusze zmagali się z podmuchami, próbując zdjąć nosze z paki ciężarówki.

Krieman ruszył pod wiatr w stronę swych ludzi. Mrużył mocno powieki i nie zauważył w pierwszej chwili, że ich zakryte, czerwone od zimna twarze były pełne strachu. Warknął coś ze złością, bezceremonialnie roztrącając zbiegowisko, lecz wtedy zamarł.

Znał dobrze człowieka, który ze szlochaniem próbował dźwignąć się na kolana. Po zsiniałej twarzy żołnierza płynęły łzy, które wilżyły spękane wargi i ściekały po zamrożonych wąsiskach. Oderwany rękaw kurtki łopotał na wietrze, ukazując straszliwe, ściągnięte zimnem cięcie wzdłuż ramienia.

- Do puł...pułkownika... - Feldwebel Blaskowitz szcząkał zębami, tocząc wokół nieprzytomnym spojrzeniem. - Pułkownika.

- Do ciężkiej cholery, Blaskowitz! - krzyknął Krieman Chwycił go za poły kurtki i szarpnął ku górze. - Gdzie twoja broń? Gdzie porucznik Kurz!

Potrząsał nim niczym bezwolnym, szmacianym manekinem. Na czerwonej twarzy Balskowitza pojawiło się absolutne przerażenie.

- Szpica wy. wycięta! - bełkotał. - Przyszli z za.zamieci! Stary człowiek. i wilk. I wojowie z legend. Nikt nie... Nikt nie przeżył.

- Sanitariusz! - wrzasnął Krieman i rzucił żołnierza prosto w ramiona nadbiegającego felczera. Następnie odwrócił się ku swoim ludziom, przygarbiony, z ciężko pracującą pierśią. - Gotujcie oddział do wymarszu - wycharczał w końcu.

- Czy nadać komunikat do generała Dietla? - ocknął się któryś z młodszych podoficerów.

- I co pan podasz w tym komunikacie, Krammer? - zaśmiał się ponuro Krieman. - Że starzec z wilkiem rozbili nam szpicę? Wymarsz za pół godziny!

Bezgłośny krzyk nadbiegł znowu, niemalże rozsadzając mu głowę. Wojtek zacisnął powieki i chwycił się za skronie.

- Co się dzieje, panie Śnieżewski? - Chłodny, lekko wzgardliwy głos Tritza docierał z oddali.

- Nic, o czym chciałbym panu opowiedzieć. - Wojtek wyprostował się wolno. - Choć z drugiej strony szkoda, Tritz, że pan, esesman i człowiek lubujący się w zadawaniu śmierci, nie ma pojęcia, jak ona smakuje.

- Szkoda? - Zdziwił się szyderczo Tritz. - Gdybym miał pański dar, byłbyś pan martwy!

Głuchy zew śmierci, który jeszcze przed chwilą wbijał się w umysł Wojtka, osłabł nieco i Śnieżewski powoli odzyskiwał zmysły. Po chwili oprzytomniał na tyle, by wyrzeć z groty, w której schronili się przed chwilą. Nigdy w życiu nie widział tak straszliwej burzy - rozszalały, niosący tumany śniegu wiatr targał majestatycznymi koronami i wbijał się w podbrzusza ciężkich, stalowych chmur. Światło umykało na boki, ustępując przed nadchodzącymi ciemnościami, a wąły ogień rozniecony przez ludzi Tritza drżał jakby przestraszony furją żywiołów. Wojtek po raz kolejny przeklął w myślach decyzję dołączenia do esesmanów.

„Ta burza nie jest dziełem żywiołów - przeszło mu przez głowę, gdy szarobure podbrzusze obłoków rozcięła sina błyskawica. - Teraz już wiesz, co miał na myśli ojciec, gdy rozpoczynał opowieść od słów «Tej nocy rozsierzdzili się bogowie...»”.

- Rozsierzdzili się bogowie. - powtórzył półgłosem.

Temu bogu, którego zew wdzierał się w jego umysł, daleko było jednak od gniewu. Od chwili, gdy przyłączył do Niemców, niemalże bez przerwy słyszał narastający krzyk Baldra, pełen smutku i tęsknoty.

„Baldr cierpi - pomyślał z nieoczekiwaną tkliwością, śledząc roztańczone śnieżne wiry. - Cierpi i boi się niczym mały chłopiec, zagubiony w ciemnym, nieznanym sobie domu”.

- Zdrajco! - Ostry wrzask wybuchł wśród jego myśli z taką gwałtownością, że Śnieżewski aż się zatoczył.

Niemcy drgnęli z zaskoczenia, a w dłoniach krępego, niskiego esesmana, który nie odstępował go ani na krok, pojawiła się broń.

- *Langsam, Jungs!* - Od ścian groty odbił się śmiech Tritza. - Nasz drogi przewodnik przeżywa trudy swej misji!

- Zdrajco! - wrzask Kriss wibrował w głowie Wojtka, wzbudzając eksplozję bólu. - Wiedziałam! Tak, byłam tego pewna od chwili, gdy

zataiłeś przede mną swój cel!

- Kriss, przestań! - błagał ją w myślach. - Niczego nie rozumiesz.

- Wręcz przeciwnie, tchórzliwy słabeuszu! Nagle wszystko zrozumiałam! Ty zrobiłbyś wszystko, by pozbyć się daru Hel! Wszystko, łącznie z przyłączeniem się do największego wroga! Człowieka, którego rodacy zniszczyli twój własny kraj!

- Kriss! - zakrzyknął, próbując jej przerwać.

- Milcz! - Niespodziewanie w jego myślach pojawił się głos Gunnara, ochrypli, władczy. - Widziałem w tobie słabość już w chwili, gdy ta nieszczęsna dziewczka przyprowadziła cię do *stenskógurinn*. Twój nędzny zamysł spełźnie jednak na niczym, przybyszu!

- Dajcie mi powiedzieć. - błagał Wojtek i osuwał się bezsilnie wzdłuż skalnej ściany.

- Ukryty Lud wyruszył na wojnę! - grzmiał Gunnar. - Wkrótce staniemy na drodze Czarnemu Złu, a choćby przyszło polec nam wszystkim, ostatni zabije ciebie!

Głos Gunnara urwał się, a zastąpił go potężniejszy, rozhukany niczym przypływ zew Baldra. Grunt zafalował pod stopami Wojtka, a jego głowa przechyliła się do tyłu jakby pchana naporem wiatru. Zew prawie martwego boga, mimo swej furii, pełen był lęku i tęsknoty.

Potem nastąpiła ciemność.

Gdy na nowo uniósł głowę, wciąż klęczał przy wątlym ognisku, trzymany pod

ramiona przez niskiego esesmana i jego kompana, człowieka o szklistych oczach.

Rozhukany wiatr napełniał okolicę potępieńczym wyciem. Tritz przecierał okulary,

a w jego wzroku pojawiła się niepewność.

- Ruszamy w dalszą drogę, Snieżewski. - Ostre słowa zabrzmiały bez przekonania. Wojtek potoczył półprzytomnym spojrzeniem po grupce Niemców. Widział ich harde,

twarde twarze okolone futrzanymi kołnierzami i wełnianymi czapkami, widział połyskujące lufy pistoletów maszynowych dziwnie niepasujących do otoczenia. Ogarnięty burzą świat zatrząsł się w posadach po kolejnym uderzeniu pioruna.

- Ach, rozumiem - powiedział ochrypłym głosem. Wstał i odtrącił trzymających go Niemców. - Boi się pan ruszać w burzę bez przewodnika? No cóż, chodźmy zatem.

Krzyk Baldra nagle umilkł, a w tej samej chwili śnieżycę przeszła oślepiająca, złocista jasność. Wojtek wyszedł prosto w burzę, zostawiając zakrywających oczy Niemców za sobą.

- Kriss! - nawoływał w myślach. - Nie atakujcie Niemców! Zostawcie ich! Zaufaj mi, do licha, ja mam plan... Ja naprawdę mam plan...

Wołał i wołał, ale w jego sercu narastało podejrzenie, że nikt go nie słucha.

Czarnowłosy mężczyzna stał z lekko przekrzywioną głową i wpatrywał się w gorzejący jesion. Jego oczy lśniły niczym rozżarzone węgle.

- A więc to tu. - Rozejrzał się wokół drwiaco. - Tu się zaszyłeś.

- Zaszyłeś! - Odpowiedział mu śmiech od strony prastarego drzewa. Jego rozkołysane gałęzie zakreślały szerokie łuki. - Na cześć mego ojca, Loki! Ongiś w Asgardzie byłeś jedynie błaznem, a teraz stałeś się głupcem!

- Zostaw szyderstwo tym, którzy potrafią się nim posłużyć. - Okruchy lodu na chwilę zgasły, zakryte powiekami. - Ongiś wszyscy bogowie kochali cię i uwielbiali, ale nie ustrzegła cię ich miłość. Zostałeś zamordowany, Baldrze. Jakkolwiek by na to spojrzeć, przez błazna.

Bezimienną Dolinę spowiła cisza. Blask wokół starego drzewa przygasł i zabarwił się ciemną purpurą.

- Czego tu szukasz, Loki? - zapytał znużonym głosem Baldr. - Wedle przedwiecznych przepowiedni miałeś paść od miecza Heimdalla w dniu Ragnaroku. Czyżby stare wróżby kłamały?

- Dobry, naiwny Baldrze! - śmiał się Loki, odrzucając głowę do tyłu. - Przecież przepowiednie są nieomyślne, boski chłopcze! Zginałem podczas Ragnaroku, a jakże! Dałem głowę pod miecz dzielnego Heimdalla i uleciałem w nicość, jak duch Odyna, Thora, Frei i wszystkich innych głupców z Asgardu! To wy, bogowie, byliście głupcami! - wykrzyczał, mrużąc lodowe oczy. - Dumni, wyniośli panowie świata, którzy znają swe przeznaczenie i miast je odmienić, szykują się jeno po to, by umrzeć z honorem! Po to by stanąć w szyku i dać się zdeptać przez hordy olbrzymów! Bo tak wywróżono! Bo tak przepowiedziano! Nawet Odyn, najmądrzejszy z mądrych, nie zmusił swego starczego, ciężkiego od piwa pomysłu, by przyszłość odmienić! By przetrwać!

- A ty, Loki... - przemówił jesion. - Tyś to zrobił.

- Tak! - Na twarzy Lokiego pojawiła się błoga radość. - Tak! Ja to uczyniłem! Choć bogowie przykuli mnie do skały, obmyślałem nowe runy, daleko potężniejsze od tych, które znał twój ojciec, Odyn! Gdy Heimdall zadał w róg, wzywając boskie hufce do bitwy, a moje okowy opadły, wyciąłem runy na swym ciele. Stając na czele armii olbrzymów, wiedziałem już, że choć me ciało zginie i przepowiednia się wypełni, duch przetrwa! Ach, Baldrze! Nie masz pojęcia, z jaką radością prowadziłem me dzikie hordy na szeregi twego ojca! Jak się śmiałem, gdy przeszywał mnie

miecz Heimdalla!

- Przeżyłeś Ragnarok - powiedział po chwili Baldr. - Oszukałeś wszystkich. Bogów, olbrzymów, a nawet przeznaczenie.

- Och tak! - Loki kiwnął z zapalem głową. - A potem przyszło mi jeszcze oszukiwać śmiertelników. I to wielu. Na szczęście śmiertelników łatwo omamić, jakże łatwo.

- Po co ci to wszystko było, Loki? Po to, byś w końcu dotarł do Bezimiennej Doliny i szydził ze mnie?

- Och nie! - Loki znów wybuchnął śmiechem. - Skądże! Przyznam szczerze, że były chwile, gdy wyrzucałem sobie nadmierną chęć przetrwania. Setki lat włóczęgi po

dzikich pustkowiach Midgardu jako niewidzialny, pozbawiony mocy duszek-psotnik to nic zabawnego, doprawdy. Na szczęście przypomniałem sobie o tobie, drogi Baldrze. Przypomniałem sobie inną przepowiednię, równie wiarygodną, a głoszącą, że przecież po Ragnaroku miałeś powrócić do Midgardu, by... Zapomniałem, w jakim celu. Zdaje się, że miałeś ludziom nieść światło. Śmiertelnicy jednakże doskonale sobie poradzili bez ciebie, tak więc postanowiłem cię odnaleźć i poprosić o odstąpienie części twojej mocy. No dobrze, niech będzie. Całej twojej mocy.

W Bezimiennej Dolinie nie było ani śladu wiatru, ale mimo to konary jesionu wychylały się coraz gwałtowniej, jakby próbując przepłoszyć złodzieja. Loki jednak stał niewzruszony, a jego postać, całkiem już wyraźną, otaczały kręgi płomieni.

- I wiesz co? - W oczach Lokiego buchnęły płomienie. - I tak oto błazen pogratulował sobie zazdrości, która ongiś nakazała mu zabić oblubieńca bogów. Jak tu nie wierzyć w przeznaczenie?

I zrobił krok w kierunku roztańczonego, świetlistego drzewa.

Blask przebijający śnieżycę nagle nabrał rdzawego, złowrogiego akcentu. Brnący naprzód Wojtek zatrzymał się i oparł o drzewo. Emanacja śmierci, która wciąż wdzierała się falami do jego umysłu, rzedła z wolna przytłaczana smutkiem i znużeniem.

- *Schneller!* - warknął idący za nim Niemiec, szturchając go lufą w plecy.

Wojtek oderwał się od pnia i przetarł oczy z kłujących śnieżnych drobinek. Przygarbieni żołnierze parli naprzód, sapiąc i rzucając na boki nieufne spojrzenia. Przypominali horde wygłodniałych trolli opuszczających matecznik w poszukiwaniu ludzkiego mięsa. Ich pistolety wyglądały niedorzecznie.

Z każdą chwilą coraz bardziej.

Niespodziewanie do umysłu Wojtka wdarło się nowe wrażenie - strach, przemieszany z rosnącym gniewem.

- *Schn...* - Esesman chciał ponowić szturchnięcie, lecz zamarł, widząc wzrok Polaka.

Nagle czas zaczął płynąć wolniej. Między drzewami huknął prastary, chrapliwy okrzyk wojenny, a esesman ryknął z bólu, chwytając za strzałę drgającą w jego ramieniu. W śnieżnej burzy zamajaczyły rozpedzone, wznoszące broń sylwetki.

Tępy koniec włóczni Gunnara wybił powietrze z płuc pierwszego z Niemców. Nim zgięty wpół żołnierz pochwycił za broń, starzec przemknął za jego plecy i pchnął go pod swoim ramieniem.

- To koniec waszego pochodu, Czarne Zło! - zaśmiał się, wznosząc okrwawioną włócznię ponad rozwiane siwe włosy.

Jego oczy lśniły dzikim, pierwotnym tryumfem.

Któryś z Niemców zerwał pistolet maszynowy i otworzył ogień. Biegący w jego stronę rudobrody wojownik zaśmiał się głucho, a runy na jego tarczy zajaśniały sinym światłem, odrzucając pociski. Sekundę później Niemiec padł z czaszką rozłupaną ciosem miecza.

Pod szare niebiosa uderzył kolejny okrzyk, tym razem tryumfu. Wojownicy Ukrytego Ludu parli naprzód z twarzami wykrzywionymi nienawiścią, wznosząc okrwawione miecze i topory.

- To koniec wszystkiego! - Ochryplý krzyk Gunnara przebijał zgiełk bitewny.

Skądś dobiegało ponure wycie.

„Skygge - przemknęło przez myśl Wojtkowi. - A zatem ona też tu musi być.”.

Wtedy ją dostrzegł. Śmigła niczym iskra, biegła w srebrzystej kolczudze po pniu zwalonego drzewa, uskakując przed ciosami miecza.

Niemcy szybko otrząsnęli się z zaskoczenia. Jeden po drugim odrzucali pistolety maszynowe i naraz ku wojownikom Ukrytego Ludu skoczyły potężniejące w oczach sylwetki o wilczych twarzach dzierżących po jednym mieczu w każdej dłoni.

Wojtek poderwał się z kryjówki i podniósł porzucony pistolet.

- Kriss! - krzyknął, zmagając się z bezpiecznikiem nieznanego mu broni.

Dostrzegła go. Na ułamek sekundy w jej oczach błysnęła radość, natychmiast stłumiona przez nienawiść. Z najwyższym trudem dziewczyna odbiła zmierzający ku niej cios i zeskoczyła po drugiej stronie pnia. Jej przeciwnik, czarnowłosy olbrzym z twarzą zalaną krwią,

przesadził pień w ślad za nią i Kriss znikła Wojtkowi z oczu.

- Kriss! - wrzasnął raz jeszcze i rzucił się na pomoc.

Wokół szalała walka bez pardonu. Kolczuga woja z Ukrytego Ludu naraz rozjarzyła się, rozgrzana do czerwoności, a powietrze wypełnił ohydny swąd palonego ciała. Kątem oka Wojtek dostrzegł karła Valgara, którego przygwałdził strasznym wzrokiem skrecającego się z bólu woja. Na chwilę stracił karła z oczu, instynktownie odskakując przed ciśniętą włócznią, a gdy znów tam spojrzął, Valgar osuwał się na śnieg, cięży toporem przez rudowłosą niewiastę.

„Pamiętam ją - przemknęło mu przez głowę. - Mówiła męskim głosem...”.

- Nie! - krzyczał pełzający w śniegu Ragnar, próbując uciec przed zakrwawioną paszczą Skygge.

Kruk zataczał kręgi nad jego grzbietem, kracząc ochryple. Ryczący grubas Uve, wciąż odziany w strzępy munduru, wymachiwał olbrzymim toporem, za każdym uderzeniem powalając innego wojownika Ukrytego Ludu. Dwóch berserków doskakiwało do rozszalałego olbrzymia o szarej skórze, znacząc jego boki i pierś coraz głębszymi cięciami. Tritz wołał swoich ludzi, zasłaniając się purpurowym płaszczem i naszyjnikiem z runami.

Wojtek skoczył na pień i z trudem utrzymał równowagę. Czarnowłosa wojownik wciąż napierał na Kriss, brocząc krwią z licznych drobnych ran. Dziewczyna zdawała się być w wielu miejscach naraz - uskakiwała, nachylała się przed mknącym mieczem, przetaczała po śniegu - lecz w jej ruchach znać już było pewną ociężałość. Serce Wojtka biło jak szalone, a drżące palce szarpały oporny bezpiecznik.

- Voitek! - krzyknęła Kriss, w ostatniej chwili uchylając się przed zamaszystym cięciem.

Ostrze z młażnięciem wgryzło się w pień drzewa.

Szczęknął uwolniony wreszcie bezpiecznik. Wojtek wycelował broń ku czarnowłosemu. Na próżno - Kriss uskakiwała właśnie przed kolejnym ciosem i szerokie

plecy woja znikły, choć jeszcze ułamek sekundy temu zwrócone były ku niemu.

- Porzuć broń, mój synu... - Nadbiegł skądś znany mu szept. - Na nic ona tutaj, w ostatnim królestwie dawnych bogów. Porzuć ją. Zapomniałeś

już o swej mocy? Zapomniałeś, że to ty jesteś panem śmierci?

Upuszczony pistolet stuknął ze szcęknięciem, a oczy Wojtka nagle stały się czarne i nieprzyjazne. Czas zaczął biec wolniej.

- Jestem synem Hel. - wyszeptał, zrazu niechętnie, z niedowierzaniem, a potem coraz głośniej. - Jestem synem Hel! Jestem panem śmierci.

Czarnowłosa wojownik uderzył raz jeszcze, wolno i niecelnie. Ponowił uderzenie, ale i tym razem zdyszana Kriss nie miała problemów z unikaniem. Dziewczyna przesunęła się teraz w kierunku zwałonego pnia. Napastnik odwrócił się za nią, a wtedy Wojtek ujrzał, jak jego zakrwawiona twarz blednie.

„Dobry Boże - pomyślał ze zgrozą. - To działa... Jestem panem śmierci...”.

Krok przeciwnika Kriss stał się niezgrabny, a na jego twarzy pojawiły się zmarszczki wieku starczego. Jego dłonie, naraz drżące i wychudłe, upuściły miecz. Na Śnieżewskiego patrzyły przerażone oczy młodzieńca pośród twarzy starca.

- *Du hast.* - wychrypiął, ukazując żółte pieńki zębów. - *Du hast mein Jugendzeit*

27

genommen ...

I osunął się w śnieg, gdzie znieruchomiał, drobny i zetlały. Kriss cofała się krok za krokiem. Wokół zapadła cisza.

Cisza? Wojtek odwrócił się na pięcie.

Gunnar płakał. Długie, siwe włosy zasłaniały jego pomarszczoną, gniewną twarz, ale ciałem raz za razem wstrząsał szloch. Jego dłonie drżały wciąż zaciśnięte na drzewcu włóczni, która przeszła ciało Tritza i przybiła je do pnia starego dębu. Na stratowanym, zakrwawionym śniegu zastygły ciała wojowników, wciąż parujące, ale martwe niczym legendy, z których nadeszli. Wiatr troskliwie przysypywał je białym puchem.

Kruk Ragnara usiadł na ciele swego pana i z zaintrygowaniem wodził dziobem od prawego do lewego oka, jakby zastanawiając się, które pożreć najpierw.

- To koniec. - W myślach Wojtka odezwał się szloch Gunnara. - Koniec Czarnego Zła, ale i też Ukrytego Ludu. Koniec wszystkiego.

Wtedy dopadła go znajoma, oswojona już aura gwałtownej śmierci.

Czegoś jednak w niej brakowało. Czegoś istotnego.

- Uważaj! - krzyknął, zdjęty nagłym strachem.

Całkiem zapomniał, że Gunnar nie mówi jego językiem.

Starzec odwrócił zażawioną twarz w kierunku źródła głosu, a wtedy martwa dłoń Tritza wystrzeliła w górę. Rozległo się ohydne młaśnięcie, gdy ostrze esesmańskiego kordu wbiło się w skroń Gunnara. Tritz wyszarpnął broń i strzepnął z niej krew, po czym z niesmakiem odepchnął ciało starca. Bez śladu bólu na twarzy wyrwał włócznie najpierw z drzewa, a potem z własnych trzewi.

- Jedno należy oddać temu głupcowi, Harringtonowi - powiedział, nie patrząc na Wojtka, ale młodzieniec wiedział, że słowa są skierowane do niego. - Stworzył doskonale runy ochrony.

Jego twarz była blada, lecz tryumfująca. Znikł gdzieś purpurowy płaszcz, a znów pojawiła się biała, poszarpana w kilku miejscach peleryna strzelców górskich. Na wysokości mostka, gdzie weszła włócznie, krzepła wielka plama krwi.

- I w tym miejscu musimy się pożegnać, drogi panie Śnieżewski - powiedział Tritz. - Żałuję, że nie doścignął pan wroga, ale nie ma sensu, by dłużej służył mi pan jako przewodnik. Dalszą drogę odnajdę już bez większych kłopotów.

Lewa dłoń Tritza wskazała świetlistość, która przebijała śnieżycę. Potem Niemiec poderwał włócznie i z oszałamiającą prędkością pchnął w Śnieżewskiego. Ten nieporadnie, słabnącymi rękoma pochwycił za drzewce, ale przeciwnik był zbyt silny.

Zalała go ciemność.

Nieziemskie, świetliste promienie nadal przebijały śnieżycę. Harrington skulony na pace ciężarówki miał wrażenie, że światło przebija nawet metalowe ściany szoferki i brezentową plandekę samochodu. Jemu na drwinę.

Nie rozumiał tego, co się wokół niego dzieje. Z niedowierzaniem patrzył na niechętne twarze niemieckich wartowników i wymierzone w siebie lufy MP-38 kołyszące się w rytm podskoków na wybojach. Z niedowierzaniem

raz jeszcze obejrzał więzy na swoich nadgarstkach.

- To niemożliwe... - wyszeptał, kręcąc głową z niedowierzającym uśmiechem. - Jestem zbyt blisko, żeby.

- Zamknij pysk, angielski szpiclu - warknął jeden z żołnierzy, a w jego zmęczonym spojrzeniu błysnęła niechęć.

- Jestem zbyt blisko celu, by ponieść porażkę. - Harrington wyjaśnił mu rzeczowo. - Nie masz pojęcia, o co.

Niemiec uderzył go kolbą pistoletu w szczękę. Głowa Harringtona rąbnęła o stalowy pałak i opadła na pierś. Anglik jęknął głośno i przewrócił się na prawy bok.

„A jednak - zawyło coś w jego duszy. - To się dzieje naprawdę!”. Naprawdę, Harrington! Sekcja D nie istnieje, a Loki oszukał cię i pogrzebał twoje plany! Ty zaś jesteś niemieckim jeńcem, niewartym więcej niż.

Potok myśli urwał się zniemacka. Dłoń Harringtona, wspierająca się o brudną podłogę ciężarówki, natrafiła na znajomy kształt. Opuszka palca potarła symbol wyrzeźbiony na płaskim kamyku. Bez trudu rozpoznał *eihwaz*, run ochrony i uników.

Jego serce zabiło szybciej.

„Pewnie wypadł mi z kieszeni -pomyślał. - Nie zabrali mi go podczas rewizji. Myśleli, że to zwykły wisiołek. Durnie.”.

Nie przestając jęczeć, przesunął się niedostrzegalnie tak, by móc go ująć. Zapomniał nagle o bólu szczęki, nie słuchał toczony nieopodal rozmowy w języku, który na pewno nie był niemieckim. Brudnymi palcami tarł powierzchnię runicznego kamienia, a skupiony umysł zbierał płynącą z niego moc.

- Teraz... - szepnął i zerwał się na równe nogi.

- *Halt!* - krzyknął jeden z Niemców i poderwał się z wąskiej ławeczki przy burcie paki.

W tej samej chwili samochód podskoczył na nierównościach terenu. Harrington z nadludzką siłą odepchnął wartownika na bok. Drugi z żołnierzy złożył pistolet maszynowy do strzału, lecz zgiał się w pół, ugodzony łokciem. Harrington szarpnął zaś za tylną płachtę i wyskoczył na zewnątrz.

- *Halt!* - wrzasnął trzeci z niemieckich wartowników i zasłonił oczy przed światłem, które wtargnęło pod plandekę. - *Halt*, du.

Wydarzenia potoczyły się z mocą i prędkością lawiny. Oślepiiony Harrington zatoczył się, uderzony wiatrem, a wtedy Niemiec zamachnął się kolbą pistoletu maszynowego, chcąc go uderzyć w potylicę. Harrington, choć zamroczony, bez trudu przewidział tor uderzenia - przykucnął i płynnym ruchem przetoczył się po ziemi, unikając ścigającej go serii.

- *Was zum Teufel...* - Strzelec górski, trzymający dymiący MP-40 w dłoniach, patrzył z niedowierzaniem na umykającego Harringtona. - Chybiłem z tak bliska?

A Anglik biegł naprzód, nie zwracając uwagi na zamieszanie za plecami. Równe szeregi skulonych, prących pod wiatr niemieckich żołnierzy załamały się z pierwszym wystrzałem. Tu i ówdzie rozległy się kolejne, przypadkowe strzały, przekleństwa i okrzyki przestachu. Ci, którym udało się dostrzec Harringtona, rzucili się za nim w pościg, ale byli bez szans. Anglik wydawał się zgadywać intencje ścigających - raz i drugi stracił próbujące go pochwycić dłonie, uchylił się przed zamaszystym ciosem kijka narciarskiego i po chwili zniknął wśród śnieżycy przetykanej złocistymi promieniami.

- Co tu się dzieje! - Ryk nadbiegającego pułkownika Kriemana zagłuszał nawet wycie wiatru.

Czerwona od zimna twarz dowódcy ściągnięta była wściekłością.

- Ten Anglik. - Wartownik otrząsnął się z zaskoczenia. Dookoła zgromadziła się grupa zdumionych, ciężko sapiących żołnierzy, patrzących w stronę skrytego za śnieżną zasłoną lasu. - Ten Anglik uciekł, *Herr Oberst!*

- Jak to uciekł? - Krieman powstrzymał się od zaciśnięcia dłoni na szyi żołnierza. - Jak to, Krause? Wy tłumacz mi to!

- Uciekł. - zająknął się wartownik, cofając się o krok.

W śniegu zamajaczyły sylwetki żołnierzy z kolejnych pododdziałów. Jeden po drugim zamierali, widząc słynącego z opanowania dowódcę w stanie najwyższego wzburzenia.

- Przedarł się i.

- Krause, ty nieszczęsny durniu. - cedził przez zęby Krieman, przymykając oczy. - Ten więzień po prostu nie może uciec. Nie wolno mu. Sierzancie! - krzyknął w kierunku dowódcy pododdziału wartowniczego. - Pańska drużyna przechodzi pod moje bezpośrednie dowództwo! Proszę

przekazać podpułkownikowi Steigeemu, by ruszał naprzód i działał wedle wytycznych! Daj mi to!

Z tymi słowami wyrwał z rąk zaskoczonego porucznika pistolet maszynowy i zarzucił go sobie na ramię.

- A pan, pułkowniku? - wyjąkał żołnierz.

- A ja? - Skrzywił się pułkownik. - Kiedyś słyszałem takie mądre przysłowie „Jeśli chcesz mieć coś zrobione dobrze, zrób to sam”. Drużyna, za mną!

Przebijające śnieżycę światło pociemniało nagle, nabierając purpurowej barwy. Białe peleryny kilkunastu postaci zagłębiających się w las po wijących się, pijanych śladach Harringtona wydawały się zbroczone krwią. Każdy z żołnierzy ścisnął w dłoni broń, lecz wyglądała ona dziwnie niedorzecznie, jakby nie na miejscu.

Bezimienna Dolina stanęła w płomieniach. Baldr krzyczał, a Loki przestał się śmiać, gdy wokół jego postaci eksplodował krwistoczerwony ogień.

- Przeklinam twą zawiść! - zakrzyknął wielkim głosem Baldr, wylaniając się z poświaty. Jasne loki unosiły się na wietrze, a cudownie piękną twarz wykrzywił grymas nienawiści. - Przeklinam twą zazdrość!

- Przeklinaj sobie do woli, boski piękniśiu! - śmiał się Loki, odrzucając głowę w tył. Stał skąpany w ogniu tryskającym prosto z wnętrza ziemi. - Słowa przekleństwa umarły wraz z przeznaczeniem! Raz już odebrałem ci życie, a teraz uczynię to po raz drugi!

- Żmijo! - krzyczał Baldr. W jego szczupłych, widmowych dłoniach nagle pojawił się miecz o klindze z blasku księżyca. - Tyle wieków hodowałeś nienawiść, by teraz...

- Nienawiść! - parsknął kpiąco Loki, wychodząc z ognia. Jego twarz była czarna niczym noc, jedynie oczy wciąż wściekle gorzały. - Mylisz pojęcia, bratanku! Tysiące lat bezcielesnej włóczęgi na dobre oduczyło mnie nienawidzić. Przychodzę do ciebie bez wrogości, Baldrze. Ja po prostu chcę mieć twoją moc.

- Odkąd to błazen śmie sięgać po to, co boskie?

Baldr uniósł miecz, aż w klindze przejrzał się snop światła bijący od jesionu. Przeciął nim powietrze, wzbudzając wiatr, od którego drzewa kładły się pokotem.

- Po to, co boskie! - odbiły krzyk niebios.

W dłoniach Lokiego wyrosły ciężki topór i runiczna tarcza, lecz księżycowe ostrze niepowstrzymane parło naprzód. Tarcza Lokiego rozprysła się na drobne kawałki. Baldr zamierzył się po raz drugi. Tym razem jego ostrze rozcięło osmoloną, ciemną skórę boskiego błazna. Bóg światła zaśmiał się i napał. Miecz wgryzał się coraz głębiej, a naokoło tryskała krew, paląca niczym lawa. Jedna z kropel padła na jasne oblicze Baldra, wypalając w nim dziurę, ale ten nie zważał na to, wbijając swój oręż głębiej. Loki wił się i krzyczał straszliwie, a topór, wypuszczony z drgającej konwulsyjnie ręki, zakreślił łuk i wbił się w ziemię.

Naraz grunt zadrżał. Z miejsca, gdzie wbił się topór Lokiego, wystrzeliły strugi lawy. Baldr wrzasnął z bólu, kryjąc się łokciem przed opadającymi rozżarzonymi odłamkami. Roztańczony jesion drżał od ciosów.

35.

Loki podniósł się, czarny niczym sama nienawiść.

- Dość tego, bratanku. - Jego głos przypominał chrzęst ziemi pękającej pod naporem lawy. - Zbyt długo czekałem.

I znów światłość jesionu starła się z blaskiem dzikiego ognia. Dwaj zapomniani bogowie skoczyli ku sobie z uniesionym orężem.

Zimny wiatr targał włosami wysokiej kobiety, litościwie zakrywając jej przegniły policzek. Jej przymrużone, czarne oczy bez źrenic nie zdradzały żadnych emocji, gdy

wpatrywała się w leżące u jej stóp ciało młodego mężczyzny. Jej koścista dłoń nagle drgnęła jednak, jakby matczynym gestem chciała pogłodzić jego włosy.

- To się tak nie może zakończyć - wyszeptała głosem pełnym znużenia. - Nie, mój synu.

Dłoń Wojtka wsparła się o zimną ziemię, po której w czasach legend kroczyły szeregi umarłych.

- Przecież... - wychrypiął, z trudem unosząc głowę. - Przecież on mnie zabił. Przecież jestem w.

- W Niflheimie. Po raz drugi. To dużo jak na śmiertelnika. - W głosie Hel zabrzmiała cieplejsza nuta, przypominająca uśmiech. Idealnie czarny nieboskłon krainy zmarłych rozświetlała odległa burza, w której połyskliwa biel zmagala się z gorzącym ogniem. - To jednak o niczym nie świadczy, mój synu - odezwała się ponownie. - Ty otrzymałeś mój dar. Rozwinałeś go, jak nie uczynił tego nikt przed tobą. Idź dalej, mój synu. Jesteś przecież panem śmierci. Wstań, idź i zakończ to wszystko.

Każdy ruch trwał niewiarygodnie długo i kosztował mnóstwo sił, lecz w końcu Wojtek stanął na nieco rozchwianych jeszcze nogach. Nabrał tchu w piersi i zacisnął pięści. Życie znów krążyło w jego ciele. Wysoka kobieta z gnijącą twarzą stała nieruchomo i patrzyła nań obojętnym wzrokiem, lecz Wojtek znów miał wrażenie, że ciemności skrywają jej ciepły uśmiech.

„Matczyny”, pomyślał, powstrzymując obrzydzenie.

- Co to? - zapytał szybko i wskazał burzę wciąż drżącą ręką.

- Walka bogów - odrzekła Hel, a w jej głosie pojawiła się niepewność. - Szybko wracaj do Midgardu, mój synu. Baldr toczy walkę na śmierć i życie, a jeśli przegra, zostanie uwięziony na wieki. Wracaj do Midgardu i zrób, co do ciebie należy.

Biały blask przygasł, zalany rdzawym płomieniem, i Hel mówiła szybko, z wyraźnym lękiem.

- I pośpiesz się.

- Jak mam wrócić? Ostatnio przecież to ty mnie wysłałaś z powrotem.

- Bo byłeś żywy, a żywi są w Niflheimie nieproszonymi gośćmi. Teraz zaś jesteś martwy. Musisz pomóc sobie sam.

- Jak?

- To proste. Zwyczajnie pomyśl o tym, co ci drogie.

Pierwszą rzeczą, którą ujrzał, były błękitne oczy Kriss rozszerzające się nagle ze zdumienia.

- Voitek... - wyszeptała cicho, z niedowierzaniem, opuszkami palców dotykając jego zarostu. - Czy to. Czy to kolejne złudzenie? Tracę zmysły?

- Nie - odparł, próbując się podnieść. Na twarzy czuł ukąszenia śnieżnych drobinek, a żebra pulsowały bólem. „To tam ugodziła mnie włócznia Tritza”, pomyślał niemalże z ulgą. Cudownie było wrócić do życia. Cudownie było znów ujrzeć... Zawahał się przy tej myśli. Dłoń Kriss nieśmiało gładziła jego klatkę piersiową, gotowa się cofnąć, gdyby napotkała ból. Na usta Wojtka wypłynął uśmiech. - Nie czuję bólu - odezwał się, dotykając czarnej plamy zakrzepłej krwi wokół rozcięcia na płaszczu. - Wróciłem, by... By zakończyć to wszystko. Mój czas jeszcze nie nadszedł, jak się okazuje.

- Voitek, ja. Ja myślałam, że nas zdradziłeś. Że dołączyłeś do Niemców, by.

- By zniszczyć Króla Gór? - Zaśmiał się ochryple. - Przecież to się kupy nie trzyma. Niemcy nie chcą go zniszczyć, ale opanować jego moc!

- To. To po co.

- Po to. - Wojtek wskazał znieruchomiałego na śniegu wojownika, na którego zesłał śmierć. - Dar Hel to straszliwa broń, Kriss. Im zaś jestem bliżej Bezimiennej Doliny, tym staję się silniejszy. Ja ich chciałem wszystkich zabić. - Wypuścił powietrze ze świstem. - Po prostu zabrać im życie. Twoi przyjaciele by żyli.

- Mogłeś mi powiedzieć.

Oczy Kriss zaszkliły się łzami.

- Próbowałem. - Śnieżewski odwrócił wzrok. - Nie pamiętasz? Krzyczałem, prosiłem, byście pozwolili mi to wytłumaczyć. Niestety, wraz z Gunnarem wydaliście na mnie wyrok.

Tama napięcia niespodziewanie puściła i dziewczyna wybuchła płaczem, zarzucając mu ręce na szyję. Jej płacz wyrażał wszystko - rozpacz po poległych przyjaciółach, obawę o Króla Gór, znużenie, ból, a wreszcie lęk przed samotnością. Wojtek przymknął oczy - jego serce na moment zabiło żywiej, a potem zwolniło tempa i pojawiła się w nim lodowata, wzgardliwa wręcz obojętność.

„To chyba nie tak powinno wyglądać. - pomyślał z niechęcią. - Dlaczego ja nic do niej nie czuję?”

- Niestety, Wojtek. Tak to zawsze bywa.

Drgnął, aż zapłakana Kriss oderwała twarz od jego piersi. Szeroko otwartymi oczami patrzył na wysokiego mężczyznę, który wolnym, spokojnym krokiem wychodził spośród drzew. Tak dobrze znał jego krok. Ileż to razy dreptał jego śladem po krakowskim Rynku czy po Plantach.

- Ojczy? - wyszeptał zdławionym głosem.

Tato nie zmienił się nic a nic. Jak dawniej jego siwe oczy patrzyły nań zza okularów w rogowych oprawkach, a dłoń nerwowo myszkowała po kraciastej marynarce, to gładząc brodę, to dotykając pióra zatkniętego w kieszeni. Uśmiechał się przy tym ze smutkiem.

- Tak bywa u tych, u których dar silniej się zaznaczył. - Ojciec westchnął raz jeszcze. - Nie potrafimy odnaleźć w sobie miłości dla kobiet, a jeśli już ją znajdujemy, wygasa po kilku latach, całkiem i bez reszty. Dar skazuje nas na samotność. Nie wspominasz matki, prawda?

- Ja.

- Zostawiłem ją, Wojtek. - Ojciec pokręcił głową z niedowierzaniem i znów pogładził brodę. - Parę lat po twoim urodzeniu, a jakieś dwa, trzy miesiące po tym, jak przepowiedziałeś śmierć dziadka Mikołaja. Dar wchłonął naszą miłość, a twoja matka nagle stała się dla mnie kimś obcym. Podczas pracy w Kopenhadze nie pamiętałem nawet, jak miała na imię.

- Czym jest ten... dar? - wyszeptał Wojtek, nie spuszczać spojrzenia z ojca.

Po prawym brudnym policzku wolno toczyła się łza.

- Czym jest? - Starszy mężczyzna zaśmiał się krótko. - Podejrzewam, że wiesz to już znacznie lepiej niż ja. Dla mnie dar był jedynie przekleństwem, który mnie skazał na samotny żywot pełen rozczarowań i martwej miłości. Dar zsyła zmysł śmierci, a jeśli jest silny, z wolna pogłębia się szaleństwo. Nie dziw się więc, że protestowałem przeciwko twemu wstąpieniu do wojska. Aż za dobrze pamiętałem słowa twego dziadka Mikołaja. Wiedziałem, że jeśli ludzie wokół ciebie zaczną umierać, sam rychło postradasz zmysły. Wystarczała mi świadomość, że najprawdopodobniej przejdiesz przez życie samotnie, milcząc, bez miłości, bez wsparcia ze strony ukochanej kobiety.

- To nie o to chodziło, ojczy. - Mimo niesamowitości tej chwili Wojtek poczuł, jak się rumieni.

- A o co? - Uśmiechnął się smutno ojciec. - Synu, nikt z nas nigdy nie otrzymał szansy wyrzeczenia się przekleństwa. Jesteś pierwszym. Zrób, co zostało ci rozkazane, Wojtku. Inaczej nigdy jej nie pokochasz.

Palec starszego pana, wciąż poplamiony atramentem, wskazał Kriss, ocierającą właśnie łzy. Jego postać rozmazała się przebita świetlistymi promieniami. Nad Bezimienną Doliną na nowo rozgorzał bój między ogniem a światłością.

„Inaczej nigdy jej nie pokochasz”, niósł wiatr między drzewami. Komandor Kornilowicz salutował w milczeniu, za nim komandor Wilczak, podporucznik Staszek Łęk i inni, którzy poszli na dno z okrętem.

- Czas ruszać dalej - wyszeptał Wojtek, pomagając Kriss wstać. - Inaczej nigdy cię nie pokocham.

„Co takiego? - spytała w myślach Kriss. - Nie rozumiem twojego języka.”.

- Mniejsza o to.

ię „Sverre”. Wojtek nie puszczał jej jednak i zawzięcie parł tam, gdzie huczała nawałnica.

Był jednak zbyt daleko, by ujrzeć chwilę, gdy ogień został przygwożdżony do ziemi. Świetlisty miecz przeciął kłębiące się płomienie i ze świstem wbił się w sam ich środek. Pod przerażone niebiosa wystrzelił potworny wrzask bólu.

- Krzycz, ty, który mienisz się sprytniejszym od przeznaczenia! - syczał Baldr, napierając na miecz. Jego piękna twarz tonęła wśród ran i poparzeń, a oczy lśniły nienawiścią. - Krzycz, ty, który zabrałeś mi miejsce w Asgardzie! Krzycz, bożku zawiści!

A Loki krzyczał, głośniej i głośniej. Jego krwiste płomienie paliły twarz i dłonie boga światła, lecz ten nie puszczał broni, wpychając ją coraz głębiej. Po chwili i on nie wytrzymał straszliwego żaru i załkał z bólu, lecz płomienie słabły i słabły, by wkrótce zagasnąć całkiem. Wokół szerniałego miecza Baldra pozostał jedynie krąg spalonej ziemi.

Mroźny wichur uderzył po raz ostatni, wywiewając resztki okrutnego chichotu daleko poza skraj Bezimiennej Doliny. I nagle zapadła cisza.

- Wiem, że przeznaczenie mnie oszukało, Loki - wyszeptał Baldr i opuścił ciemną od płomieni twarz. - Wiem, że powinienem był odejść ze wszystkimi. Mimo to jednak nie pozwoliłbym, byś to ty je wypełnił, zdrajco. Nie pozwoliłbym też, byś mną rządził. Nigdy...

I nagle postać Baldra, blada i znużona, zaczęła się oddalać, aż stała się jednością z pniem starego jesionu. Bezimienna Dolina nabrała tchu, nurzając się w kolejnym śnie.

A wtedy wśród drzew na skraju lasu pojawił się samotny człowiek. Wysoki i dumny, wyszedł na otwartą przestrzeń, podpierając się długą włócznią, po czym złożył drzewu ironiczny ukłon.

- To było imponujące przedstawienie, Królu Gór - powiedział głośno, po niemiecku. - Jak na tysiąclecia uśpienie zachowałeś mnóstwo potęgi. A to cieszy, Królu Gór.

Jesion zaszumiał groźnie gałęziami, a wiatr zerwał się ponownie. Profesor Michael Tritz zaśmiał się szyderczo i wyszarpnął coś spod ubrania. Słaby blask bijący od drzewa odbił się w płytce metalu pokrytej skomplikowanym znakiem.

Wicher ucichł niespodziewanie jakby ze strachem.

- A zatem poznajesz?! - krzyczał Tritz, idąc w kierunku jesionu. - To run twego ojca, Odyna, zaginiony, dwudziesty piąty run wszechwładzy! Run, przed którym nawet ty musisz się ugiąć!

Nagle Tritz ruszył do biegu. Tuż przed drzewem odwrócił się i oparł o jego korę, po czym ujął mocno włócznię i wbił mocno we własne trzewia, pchając, póki ostrze nie wgryzło się w drzewo. Z jego ust wydarł się ochryply skrzek radości, a głowa opadła na pierś.

Las znieruchomiał, jakby zastygł w oczekiwaniu na straszliwy cios, jedynie rozpędzone chmury nad ich głowami ciemniały coraz bardziej. Umknął gdzieś wiatr i zapanowała martwa cisza przerywana jedynie przyśpieszonymi oddechami dwójki wędrowców.

- Słyszysz? - Nagła myśl Kriss była szybka i ostra, dopiero po chwili pojawiło się w niej wahanie. Instynktownie szarpnęła Wojtka za rękę. - To Król Gór!

- Nic nie słyszę!

Wojtek zatrzymał się.

- To brzmiało jak skarga! - szepnęła Kriss, a jej oczy zasnuła mgła. - Jak krótka skarga, ucięta, stłamszona... Ktoś go pokonał, Voitek.

Zwisające nieruchomo gałęzie świerków i modrzewiów drgnęły nagle i odezwały się pierwsze podmuchy. Strach pełzył Wojtkowi po kręgosłupie.

- Został zabity?

- Nie. Okiełznany. Zniewolony.

- Chodź! - Snieżewski zacisnął zęby. - Jesteśmy tak blisko, Kriss. Nie wolno nam się zatrzymywać!

I ruszył naprzód, pociągając za sobą oszołomioną towarzyszkę. Zapadające ciemności skryły dwójkę wędrowców.

Tritz był przytomny. Jego skrwawione dłonie wciąż napierały na drzewce włóczni Gunnara. Wpychał ją głębiej i głębiej, nie krzywiąc się nawet z bólu, choć na białej pelerynie powiększała się plama krwi. Szalone oczy patrzyły półprzytomnie, a spierzchnięte wargi bezgłośnie szeptały jakieś słowa. Jesion szlochał, coraz wolniej machając konarami.

Nagle drzewo zadrżało i wystrzeliła z niego świetlistość, która zalała całą Bezimienną Dolinę. Nie było w niej jednak radości czy spontaniczności - jasne światło pełzło powoli, jakby przymuszone, a stary jesion drżał z przerażenia. Dłonie Tritza raz jeszcze zacisnęły się na kurczowo na drzewcu włóczni, a usta rozwarły się, wypuszczając strużkę krwi.

36.

- Teraz. - szeptał. - Teraz twoja moc należy do mnie, Baldrze.
Światłość jesionu strzeliła przez jego usta i oczy.

- Do mnie! - zaśmiał się chrapliwie. - Do mnie!

A jasne promienie, okiełznane i zniewolone, mknęły pod szarymi chmurami.

Świat zajaśniał na ułamek sekundy, a potem wyroili się Niemcy. Nagle i bez ostrzeżenia. - Do tyłu! - ryknął kapitan Walker, z niedowierzaniem przyglądając się mrowiu

sylwetek w mundurach *feldgrau*. - Jennison, ogień osłonowy! Timothy, bierz...

Nie zdążył wykrzyknąć więcej. W powietrzu zrobiło się gęsto od kul i kapitan padł na ziemię, osłaniając kark ramionami. „Jest ich kilka setek i mają przewagę terenu - myślał gorączkowo. - Czyżby wiedzieli o miejscu naszego lądowania?”.

Ogłuszającą palbę z broni ręcznej i maszynowej przebił nagle narastający gwizd, zakończony ogłuszającym wstrząsem. Na plecy Walkera posypały się kamyki i grudki ziemi.

„Mają moździerz!” - pomyślał oszołomiony, macając swój karabin. - Musimy się wycofać. Muszę powiadomić dowództwo, że ta droga na Narwik odcięta! Potem rozdzielę kompanię! Timothy i jego ludzie będą się przebijać na wybrzeże, a my.”.

Gdy wyrzwał za krawędź skały, zrozumiał jednak, że było za późno na zwiad, rozdzielanie oddziału czy szukanie stanowisk dla erkaemów. Sylwetki niemieckich żołnierzy rosły w oczach. Nacierali nieubłaganie, z ponurą zajadłością, nie zadając sobie nawet trudu, by szukać schronienia przed nielicznymi angielskimi kulami. Mordercze serie z karabinów maszynowych rozłupywały skały, za którymi kryli się ludzie Walkera, pojedyncze kule z bezlitosną precyzją wyłuskiwały ich między szczelinami, a odłamki granatów moździerzowych cięły plecy pierwszych uciekających.

Ostatnią rzeczą, którą Walker usłyszał, nim trafiło go kilkanaście kul z MG-34, był chrapliwy śmiech.

Świat zajaśniał na ułamek sekundy, a potem śnieżna zamieć rozstała się nad wzburzonymi falami. Tknięty nagłym przecuciem admirał Whitworth, dowódca krążownika liniowego „Renown”, skierował w tę stronę lornetkę. Ciemności świtu skutecznie ograniczały widoczność, lecz niepokój w sercu starego admirała narastał.

- Ki diabeł. - mruknął, regulując ostrość. - Dałbym sobie rękę uciąć, że.

Instynkt żeglarza rzadko się myli. Niespodziewanie plamę czerni

rozjaśnił urywany

błysk, który na krótką chwilę obrysował kontur potężnego okrętu wojennego. Oczy Whitwortha rozszerzyły się.

- Niemiecki pancernik!

Na mostku „Renown” wybuchła nerwowa wrzawa rozkazów, a monstrialne podwójne wieże działowe krążownika jęły wolno odwracać się w kierunku przeciwnika.

- Admirale, proszę o pozwolenie na otwarcie ognia!

Whitworth oblizał suche wargi. Oczami wyobraźni widział tnące powietrze, ogromne niemieckie pociski, które lada chwila miały uderzyć w jego ukochany okręt. Przeklęty instynkt marynarski podpowiadał mu, że trafiają. Że przebiją pokład, zniszczą mostek, wywołają pożary. Że zabijają „Renown”.

Whitworth opuścił lornetkę i odetchnął ciężko, zamykając oczy.

- Admirale, musimy otworzyć ogień!

- Drugi niemiecki pancernik! Strzela z namiaru.

Pierwszy z niemieckich pocisków trafił idealnie pod nasadę mostku. Ostatnią rzeczą, którą usłyszał Whitworth, nim ogarnęły go płomienie, był ochrypy śmiech.

o przebycia i w ślad za wznoszącym się samolotem wystrzeliły płomienie.

Obok ginął już wielokrotnie trafiony transportowiec „Empress of Australia” wiozący desant wojsk do Namsos. Tysiące przerażonych mrówek ludzkich biegało po jego pokładzie lub wyskakiwało przez burłę, by tam walczyć z lodowatymi falami i współtowarzyszami o skrawek tratwy ratunkowej. Jeden z niszczycieli eskorty ze straszliwie rozpruta burtą pogrązał się dziobem w falach, ukazując bezsilnie wirujące śruby. HMS „Cairo”, mocno przechylony na burtę, wciąż strzelał, lecz losu bitwy odwrócić już nie mógł.

Zwycięskie samoloty znikwały bowiem w chmurach odprowadzane tłustym dymem z płonących kadłubów. Trzask płomieni niósł ochrypy śmiech.

Tritz śmiał się, upojony swą potęgą. A las wokół Bezimiennej Doliny milczał owładnięty strachem przed okrucieństwem tego, który teraz nią rządził.

- Ja naprawdę w ciebie wierzyłem, Harrington! - szeptał Gubbins i rozkładał dłonie w geście bezradności.

Choć ciemności między drzewami gęstniały z każdą chwilą, Harrington wciąż widział jego twarz zmasakrowaną ciosem miecza, czarną od zakrzepłej krwi.

- Odejdź stąd! - szczekał zębami, niezgrabnie pełznąc po śniegu. - Odejdź... Jesteś martwy, Gubbins. Jesteś martwy!

- Wierzyłem, a ty mnie zdradziłeś! - Szept Gubbinsa znów narastał.

Niespodziewanie pojawił się chłodny, tnący policzki wiatr. Harrington otworzył oczy

w porę, by ujrzeć, jak widmowa postać Gubbinsa rozplywa się. Nagle niewidoczne ręce pochwyciły go za poły ubrania, poderwały i przycisnęły do pnia drzewa.

- Musisz mi pomóc, śmiertelniku! - Zaświstał wiatr głosem Krętacza. - Musisz mi pomóc!

Drobiny śniegu wirowały w powietrzu, opływając niewidzialną powierzchnię, która przypominała mu znajome, znieawidzone oblicze. Harrington przymknął oczy, opierając głowę o pień.

- Zostaw mnie, Loki - wyszeptał bezgłośnie. - Porzuciłeś mnie dla własnych planów. Widmowa dłoń uderzyła Harringtona w policzek.

- Zamilcz! - zawył wściekle wiatr. - Nie zarzucaj mi zdrady, boś sam jej mistrzem! Przecież posłałeś Gubbinsa i resztę na śmierć dla własnych ambicji! A teraz milcz! Potrzebuję cię, twoich rąk i ciała! Musisz mi pomóc!

- Nie będę ci pomagał, Krętaczu. - Harrington walczył z omdleniem. - Baldr przysmażył ci ogon, a więc uciekasz i skamlesz o pomoc?

- Milcz! - zawył wiatr, a ręka znów go uderzyła. - Milcz!

- Nie pomogę ci. Jestem tylko śmiertelnikiem. Nie dam sobie rady z Baldrem.

- To Tritz! - ryczał wiatr. - Tritz okiełznał Baldra! Wykuł Zaginiony Run! Run Odyna!

- Run Odyna? - wyszeptał Harrington, otwierając szerzej oczy. - Ostatni, dwudziesty piąty run, którego moc zaginęła przed wiekami?

- Tritz go ma! - krzyczała wykrzywiona strachem twarz, złożona z

migoczących śnieżynek. - Chcesz to tak zostawić, śmiertelniku? Nie chcesz pokonać swego wroga? Nie chcesz zabić Tritza?

Powieki Harringtona opadły. Potakując.

Tritz spał. Jego dłonie wciąż drgały kurczowo zaciśnięte się na drzewcu włóczni, ale głowa przetaczała się to w prawo, to w lewo, jakby szalały w niej dzikie sny, a jego usta raz za razem wykrzywiały okrutny uśmiech.

Bezimienna Dolina wstrzymała oddech, śledząc niespokojny sen nowego władcy. Choć przybity do ogromnego drzewa Tritz wydawał się jedynie wątlm zewłokiem,

wręcz naciekiem na korze, czaiła się wokół niego paraliżująca groza. Człowiek, który wyszedł z kręgu ciemnych drzew, zdawał się jednak jego nie dostrzegać.

Był to młody, dobrze zbudowany mężczyzna o zaróżowionej nieco cerze i jasnych włosach. Usta nawykłe do nieśmiałego uśmiechu zaciśnięte były mocno, a oczy tliły się blado, znamionując wielkie znużenie. Szedł wolno, beznamietnie wpatrując się w skurczoną wokół włóczni sylwetkę Niemca. W końcu stanął tuż przed nim.

Bezimienna Dolina zamarła. Wojtek bezceremonialnie ujął za włócznię i wyszarpnął ją z drzewa, a potem z ciała Tritza, który bezwładnie osunął się na ziemię.

Niemiec otworzył oczy i próbował powstać.

Wojtek, nie puszczając skrwawionej włóczni, patrzył bez emocji na podnoszącego się wolno Tritza. Niespodziewanie esesmanem targnęła furia i zwrócił ku niemu wykrzywioną, nienawistną twarz. Wycharczał coś po niemiecku i sięgnął na pierś, gdzie tuż plamą zakrzepłej krwi kołysał się metalowy run.

- Kolejny, który próbuje uciec przeznaczeniu? - Wojtek pochwycił jego oszalałe myśli. - Ty jesteś martwy! Przebiłem cię tą samą włócznią, którą trzymasz! Tym razem dar Hel cię nie ochroni, zuchwalcze! Wiesz, co to jest? Wiesz, co trzymam w dłoni?

Run kołyszący się w zakrwawionej dłoni Tritza błysnął świetlistością jesionu.

- Nie wiem. - Wojtek pokręcił głową. Wbił włócznię w ziemię i znużonym gestem wsparł się na jej drzewcu. - To w końcu i tak tylko baśń, Tritz.

- Baśń! - zaśmiał się szeroko Niemiec, błyskając drapieżnie zębami.

Zrobił krok w jego kierunku, lecz nagle zatrzymał się i z zaskoczeniem przyjrzał się dłoni trzymającej run.

Wojtek zamknął oczy.

Słyszał ochryple krzyki Tritza. Wiedział, że esesman patrzy teraz na żółknącą skórę dłoni i nabrzmiewające żyły. Wiedział, że jego włosy nagle skręcają się i siwieją, a policzki zwisają martwo, uginając się pod ciężarem siwej brody. Wiedział, że chce uczynić kolejny krok, lecz przeszkadzają mu w tym zeszywniałe stawy.

Gdy otworzył oczy, ujrzał już tylko skurczony, zeschnięty szkielet

profesora Michaela Tritza, niedoszedłego władcy Bezimiennej Doliny. Run leżał nieopodal, wciąż ściskany przez kości dłoni powleczone resztkami skóry. Polak wolno, ociężale odwrócił się w stronę jesionu. Targane nagłym wiatrem konary płasły uwolnione, a z każdej dziupli, sęku, szczeliny w korze tryskały nowe strumienie jasnego, czystego światła. Wojtek osłonił wzrok, a wtedy ujrzał, jak pośród światłości pnia wyłania się zarys postaci, dumnej i pięknej. Z każdą chwilą dostrzegał nowe szczegóły - złociste włosy opadające na szerokie ramiona, kolczugę pociętą licznymi razami, wreszcie twarz: brudną, pokaleczoną, lecz wciąż piękną.

- Witaj, Baldrze. - Wojtek pochylił głowę.

- Witaj, synu Hel - odezwał się w jego głowie dźwięczny, smutny głos.

- Synu Hel... - Wojtek uśmiechnął się lekko. - Skoro wiesz, kim jestem, zapewne wiesz też, po co tu przychodzę.

- Wiem. - Świetlista postać skinęła lekko głową. - Od tysięcy lat czekam na ten dzień, strzeżony przez magię Bezimiennej Doliny i wierny Ukryty Lud. Od tysięcy lat łkam z tęsknoty za chwilą, gdy wypełni się przeznaczenie. Słuszne były twoje słowa,

synu Hel. Nie należę do tego świata. Jestem tu tylko baśnią. I to baśnią niebezpieczną... Dłoń Baldra wskazała trupa Tritza.

- Jestem prawie umarłym, zapomnianym bogiem, lecz moja moc wciąż jest wielka - mówił. - Teraz, gdy tajemnica Bezimiennej Doliny wyszła na jaw, a Ukryty Lud poległ, stałbym się zabawką w rękach ludzi chciwych. Nie chcę tego, synu Hel. Chcę, by wypełniło się przeznaczenie.

- Co. Co mam robić? - Zawahał się Wojtek, spuszczać wzrok.

- Wiesz, co zrobić - odpowiedział Baldr.

Ruchem szybkim jak myśl Śnieżewski poderwał włócznię nad głowę i zamachnął się.

- Nie! - krzyczała przerażona Kriss, zrywając się do biegu.

- Nie! - ryknął Harrington, wypadając spomiędzy drzew, niesiony w powietrzu przez niewidzialnego posłańca.

Głuchy na wszystko Wojtek nabrał mocniej tchu. Baldr zamknął oczy.

- Szybciej - szepnął. - Pożegnałem się z tym światem już tysiące lat temu.

Harrington padł na śnieg niedaleko trupa Tritza, przetoczył się i wyszarpnął run

z jego dłoni.

- To on! - wyszeptał, a jego blada, rozgorączkowaną twarz rozświetliła nagle dzika radość. - Zaginiony, dwudziesty piąty run! Run Odyna!

- Szybciej! - wył wiatr głosem Krętacza. - Zabij Polaka! Zabij go, nim będzie za późno.

Harrington poderwał się, ściskając run. Świetlistość nieomal zalała już postać Śnieżewskiego, który zrobił jeszcze jeden krok w kierunku jesionu, wciąż trzymając wzniesioną włócznię.

- Stój. - wycharczał, skupiając moc. - Stój, w imię.

- Neeeeee! - zawył wiatr.

Skraj lasu nagle zaroił się od przygarbionych sylwetek w białych pelerynach

i wiatrówkach. Pistolety maszynowe w ich dłoniach nie wyglądały już

niedorzecznie

i nie na miejscu, zwłaszcza gdy pierwsze z nich plunęły ogniem.

Run zakreślił szeroki łuk w powietrzu, wylatując z dłoni przeszytego wieloma kulami

Harringtona. Kriss przypadła do ziemi, półprzytomna z rozpacz. Wiatr wył.

Włócznia, trzymana przez Śnieżewskiego, opadła.

Epilog

W starym schronisku górskim Stordalsstua wreszcie zapadła cisza.

Postawny oficer strzelców górskich przetarł dłonią czoło i odetchnął głęboko powietrzem sali przesyconym ostrym zapachem kordytu. Szczęknął pistolet maszynowy, odkładany na ławę.

- Przeszukajcie zabitych - rzucił krótko. - I sprawdźcie, czy radiostacja jeszcze działa.

- Taaajest, panie rotmistrzu!

Jeden z żołnierzy zarzucił już mauzera na plecy i chwycił za sweter niemieckiego radiotelegrafistę, którym seria z peemu cisnęła o stanowisko radiowe w kącie. Inny wyszarpnął bagnet i zaczął nakłuwać ciała na piętrowych łózkach, zastygłe tak, jak dosięgły ich kule. Oficer przestąpił nad trupem młodziutkiego feldwebla, na twarzy którego zastygło całkowite zaskoczenie, i wyszedł na zewnątrz.

Przez chwilę stał na progu schroniska i potężnymi haustami wciągał rześkie, górskie powietrze. Zwilgotniałymi oczami przyglądał się okolicy - postrzępionemu, ośnieżonemu szczytowi N[^]vartind, leżącemu u jego stóp jezioru Isavatnet

O stalowoszarej toni, a wreszcie bezkresnym, ciemnozielonym borom, niknącym we mgle daleko w dole zbocza.

- To Szwecja - powiedział na poły do siebie, na poły do Śnieżewskiego, który siedział na niezgrabnej ławeczce przed schroniskiem, wciąż przytulając Kriss. Dziewczyna wczepiała się kurczowo w ramię Śnieżewskiego, kryjąc twarz na jego plecach. - O ile coś się nie zmieniło, Szwecja nadal jest neutralna... - powtórzył. - Tam czeka wolność, panie podporuczniku.

- Wiem. - Wojtek pokiwał głową. - Zdałoby się, że wystarczy ten jeden, jedyny mały kroczek, by być wolnym, by zostawić wojnę za plecami. A jednak boję się go zrobić.

- Ja również - powiedział człowiek nazywany rotmistrzem. - Chyba zbyt mocno wrosłem w rolę, którą wyznaczył mi los. Dobry Boże, siedem lat w mundurze oficera Wehrmachtu. Wyobraża pan to sobie?

- Nie. - Wojtek pokręcił głową, zamglonym wzrokiem wpatrując się w szczyt N[^]vartind. - Nie.

- Gdyby nie ci chłopcy - rotmistrz wskazał głową drzwi do schroniska za sobą - przez siedem lat nie odezwałbym się po polsku ani słowem. To dobrzy ludzie, poruczniku. Kilku Ślązaków, dwóch Pomorzan, poznaniak i gdańszczanin, dobre chłopcy. Gdybym nie zaczął ściągać ich do siebie, pewnie kiedyś zapomniałbym, że jestem Polakiem

I nazywam się rotmistrz Puchacz. Stałbym się tym, za kogo się podawałem: pułkownikiem Rolfem Kriemanem.

- Przeszedł pan niezłą szkołę - westchnął Śnieżewski, bezwiednie ujmując drobną dłoń Kriss. - Co pan teraz zamierza?

- Nie wiem, psiamać. - Puchacz wzruszył ramionami. - Polska upadła, Warszawa spalona, a wraz z nią zapewne z dymem poszły akta II Oddziału Sztabu Generalnego. Hrabia Załuski, który zapoczątkował operację „Schweibe”, nie żyje, podobnie jak jego zabójca, ten cały Harrington, który podając się za Załuskiego, prowadził mnie ostatni rok. Co za podstępna szuja... Dostał jednak to, na co sobie zasłużył. Zastrzeliłem go jak psa, ale kto wie, czy sam się tym nie pograżyłem. Nie ma przecież żadnych dowodów na to, że przez ostatnich siedem lat prowadziłem działalność szpiegowską na rzecz Polski. Nasi uznają mnie za zdrajcę, podobnie zresztą jak Niemcy, po tym jak zniszczyliśmy ten posterunek. Nie wiem, do cholery, co dalej. A pan?

- Chciałem wrócić na morze, ale teraz już nie wiem. - Śnieżewski przytknął oczy, opierając się o bale ściany schroniska. - Ja jeden ocalałem z zatonięcia „Gromu”. Ja jeden widziałem, jak tonie od brytyjskiej torpedy. Nie sądzę, bym po tym wszystkim potrafił dalej walczyć u boku Royal Navy.

- A zatem obaj straciliśmy wszystko, w co wierzyliśmy, podporuczniku. - Rotmistrz Puchacz vel Krieman pokiwał ze smutkiem głową.

- Nie obaj - poprawił go Śnieżewski. - Cała nasza trójka.

Rotmistrz zerknął przelotnie na ciemną czuprynę Kriss, wciąż nieruchomo wspartą o ramię Wojtka.

- Nie będę wnikał w to, czego byłem świadkiem. - Zdecydował. - Ta włócznia, świetlistość i drzewo. Nie, to nie moja para kaloszy. Wie pan co, podporuczniku? - Na nieruchomej, poważnej twarzy rotmistrza Puchacza na moment pojawił się krzywy uśmiech. - Chyba wiem, co zrobić,

przynajmniej na razie. Nadam komunikat do Anglików o pozycjach i sytuacji oddziałów Dietla i mam nadzieję, że zrobią z tego użytek. Potem pchnę komunikat do Hitlera, by mnie pocałował w dupę. A następnie ściągnę to gówno.

Wskazał na hitlerowską flagę, wciąż łopoczącą nad dachem schroniska, po czym wszedł z powrotem do wnętrza.

- O czym rozmawialiście? - Nadbiegła senna myśl Kriss.

- O ofierze - odpowiedział krótko. - O bezsensownej, niepotrzebnej ofierze. O utraconych latach, o zabranej wolności i o towarzyszach, którzy zginęli.

Kriss nie odpowiedziała, lecz jej główka zadrżała, jakby dziewczyna tłumiała kolejną falę szlochów.

- Kriss, twój żal musi się kiedyś skończyć. - Wysłał jej uspokajającą, ciepłą myśl. - Nie możesz bez końca.

- Ja utraciłam wszystko! - Czarna rozpacz Kriss wbiła się głęboko w jego umysł. - Wszystko! Nie tylko kilka lat życia czy paru towarzyszy. Wszystko! Wszystko, o co walczyłam, wszystko, co kochałam! Król. Król Gór nie żyje, wraz z nim umarła magia Bezimiennej Doliny. Bez niego jestem tylko ciałem, pustym, bezużytecznym ciałem!

- To nieprawda. - W ich myśli naraz wdarł się inny głos, męski i stanowczy, a jednocześnie przyjazny. - Mylisz się, Kriss. Na szczęście się mylisz.

- Sverre? - Podniosła się nagle dziewczyna, przecierając oczy.

- Tak mnie kiedyś nazywano - roześmiał się widmowy wojownik wspinający się zboczem w ich kierunku. Jego pierś wciąż opinała podziurawiona kulami kolczuga. - Cieszę się, że niepamięć nie zrobiła jeszcze z tym porządku.

- Sverre, ja.

- Nic nie mów. - Wesołość znikła nagle z twarzy Sverre'a. - Mam niewiele czasu, nim wypełni się przeznaczenie, Kriss. Nie wolno ci myśleć, że utraciłaś wszystko, co cenne.

Nie wyrzucaj sobie, że zawiodłaś kogokolwiek.

- Dlaczego? - Wzruszona dziewczyna wpatrywała się w widmowego wojownika. - Sverre, ja nie chcę pocieszenia...

- Ja nie chcę cię pocieszyć, Kriss, ja chcę, byś poznała prawdę. My, Ukryty Lud, mieliśmy bronić Króla Gór, lecz nie przed wypełnieniem się

przeznaczenia, ale przed tymi, którzy chcieliby się targnąć na jego życie i moce. I zadanie spełniłmy! W ostatniej bitwie Czarne Zło zostało pokonane, aby przeznaczenie mogło się wypełnić do końca. To nie koniec, Kriss, ale początek. Początek nowej epoki, której większość z nas nie doczekała, epoki, w której ty, Kriss, musisz odnaleźć własne miejsce.

Dziewczyna drżała jak osika. Zafascynowany widokiem Sverre'a Wojtek objął ją bezwiednie, a wtedy przez twarz widmowego wojownika przebiegł uśmiech.

- Tak, nowa epoka. A wróżę ci, że znajdziesz w niej miejsce szybciej, niż sama sądzisz. - Roześmiał się ciepło. - Ach, jest jeszcze coś. Ucieszysz się.

Nagle chłodny górski wiatr przyniósł strzęp znajomego wycia. Rozpacz w jednej chwili ustąpiła dzikiej radości. Kriss zerwała się z ławki i przebiegła kilka metrów w jego kierunku.

- Słyszałeś, Voitek? - Śmiała się przez łyżę. - To Skygge! Skygge! Sverre, to naprawdę wspaniała wieść! Sverre...

W miejscu, gdzie przed chwilą stał widmowy wojownik, oboje ujrzeli rozplywającą się mgiełkę.

- Żegnajcie. - wyszeptał wiatr. - I niech was opromienia słońce.

Daleko od Midgardu, w świecie lodowatego mroku, przez bramę wikińskiego dworzyszczka wyszła wysoka kobieta w białej powłóczystej sukni, prowadząc milczący szereg wojowników Ukrytego Ludu. Zatrzymała się, a wraz z nią oddział zapatrzony w czerń mostu Gjallarbru. Stała i czekała, a zimny podziemny wiatr rozwiewał jej włosy, litościwie zakrywając na poły przegniły policzek.

Nagle dojrzała go.

Świetlisty bóg przechodził między słupami Bramy Trupów, a jego czyste światło tłumilo ich niebieskawą emanację. Rozejrzał się wokół, niczym wędrowiec, który po wielu latach znów dociera do dobrze znanego mu miejsca. Zrobił jeszcze jeden krok, a wtedy dojrzał kobietę w białej sukni.

Królowa zmarłych uniosła dłoń na powitanie, a jej oczy wezbrały łzami,

czyniąc ją niemalże piękną. Świetlisty bóg uklonił się i zaśpiewał. Żadne nie słyszało, jak most Gjallarbru pęka w posadach i spada w przepaść.

Przeznaczenie się wypełniło.

Komentarz historyczny

Odkąd pamiętam, przebieg bitwy o Narwik wiosną 1940 zawsze pobudzał moją wyobraźnię. Już jako uczeń szkoły podstawowej namiętnie pochłaniałem opracowania Pertka, które choć ich wiarygodności wiele można zarzucić, są przecież wspaniale opowiedzianymi historiami. Nie mogłem się nadziwić męstwu komandora Warburtona- Lee, który wskrzesił ducha Nelsona, zuchwale atakując z zaskoczenia niemiecką eskadrę Bontego. Nie mogłem odżałować nieszczęsnego losu naszego „Gromu”, który zatonął od trafienia bombą lotniczą, i przygryzałem z napięcia wargi, czytając o „wymiatającej” akcji pancernika HMS „Warspite” w Ofotfjordzie. Wiedziałem już wtedy, że z całej pięcioletniej historii zmagania na Atlantyku właśnie ta opowieść zostanie w mojej pamięci na zawsze.

Gdy po wielu latach od pierwszych fascynacji bitwami morskimi zacząłem tworzyć drugą powieść po *Ostatniej sadze*, temat Narwiku w 1940 przyszedł mi do głowy niemalże natychmiast, tym bardziej że miałem okazję odświeżyć go sobie podczas pisania pracy magisterskiej. Studia filologiczne zazwyczaj kończy się obroną pracy z dziedziny literatury, kultury bądź językoznawstwa, ja jednakże zdołałem przeforsować pracę z historii wojskowości - porównywałem w niej bowiem dokonania polskiej i norweskiej marynarki wojennej podczas drugiej wojny światowej. W trakcie zbierania materiałów poznałem wtedy kontrowersje, które narosły wokół zatopienia „Gromu”, dowiedziałem się, kim był generał Dietl oraz major Sverre Spjelnd^s, i dokładnie prześledziłem dzieje zmagania na lądzie i morzu. Ponownie pochłonęła mnie ta historia i postanowiłem, że któregoś dnia połączę ją z opowieścią o mityce Północy.

I tak powstała *Wojna runów*.

Nie byłbym jednak w porządku, gdybym nie wyjaśnił pewnych manewrów fabularnych, na które pozwoliłem sobie podczas konstruowania fabuły. Choć wydarzenia opowiedziane w *Wojnie runów* są

w znacznej mierze fikcyjne, starałem się zachować jak największą wierność wobec historii przelomu roku 1939 i 1940. Zarówno dzieje polskich niszczycieli (przybycie do Anglii w ramach operacji „Peking”, patrol na Morzu Irlandzkim czy udział w działaniach Royal Navy na wybrzeżu Norwegii) oraz początkowy przebieg bitwy o Narwik (udany atak niszczycieli Bontego, zdrada pułkownika Sundlo, ewakuacja i ostatnia walka oddziału Spjelnd^sa przy osadzie BjOrnfell) są oparte na faktach. W wielu miejscach pozwoliłem sobie jednak historię delikatnie nagiąć, co niniejszym pragnę sprostować.

Moim największym grzechem jest przedstawienie własnej wersji losu niemieckich niszczycieli komandora Bontego. Eskadra dziesięciu okrętów typu „Leberecht Maas” 9 kwietnia 1940 roku przywiozła do Narwiku oddziały 139. pułku strzelców górskich generała Dietla, lecz fiordu Ofot nigdy już nie opuściła. Pierwsze okręty: „Anton Schmitt”, „Wilhelm Heidkamp” i „Dieter von Roeder” zostały wyeliminowane podczas brawurowego ataku eskadry komandora Warburtona-Lee następnego dnia o świcie, a reszta zatonała od pocisków pancernika „Warspite” i jego eskorty, który zaatakował fiord 13 kwietnia. W międzyczasie niszczyciele niemieckie nie mogły wypłynąć ze względu na brak ropy - większość swego zapasu zużyły podczas rejsu do Norwegii, kiedy to walczyły z silnym sztormem, a tankowanie ropy z jedyne przybyłego do Narwiku tankowca, „Jan Wellem”, trwało zbyt długo ze względu na brak odpowiednich urządzeń. Operacja „Frosch” - przewiezienie z Oslo posiłków dla Dietla - nie mogłaby zostać wykonana, nawet gdyby w istocie została zaplanowana. Fikcją jest zatem również pojedynek „Gromu” z „Hanssem Ludemannem”, a następnie „Berndem von Arnim”, choć tego akurat żałuję z całego serca. Okrutny los sprawił, że „Grom” nigdy nie otrzymał szansy na zmierzenie się z równorzędnym przeciwnikiem, a głęboko wierzę w to, że nasz okręt nie dałby sobie w kaszę dmuchać.

Operacja „Frosch” jest moim wymysłem. Co prawda niszczyciele niemieckie opuściłyby Ofotfjord, gdyby udało im się odnowić zapas ropy, ale wedle rozkazów miały natychmiast wracać do Niemiec. Seekriegsleitung słusznie spodziewało się szybkiej interwencji Royal Navy, która liczebnie wielokrotnie przewyższała siły Kriegsmarine. W istocie już tydzień po zdobyciu Narwiku przez Niemców flota brytyjska sprawowała całkowitą kontrolę na wodach Vestfjordu leżącego między archipelagiem

Lofotów a wejściem do Ofotfjordu. W *Wojnie runów* ułatwiłem zatem Niemcom zadanie, ograniczając siły aliantów do trzech raptem niszczycieli i znacznie opóźniając interwencję potężnego „Warspite”. Nawiasem mówiąc, ten pancernik jest moim ulubionym okrętem drugiej wojny światowej i nie wyobrażam sobie opowieści o bitwie narwickiej bez jego udziału. Tajemniczy okręt, który niszczy niemieckie niszczyciele w rozdziale 26, to właśnie legendarny HMS „Warspite”.

Co do 138. pułku 3. dywizji strzelców górskich, to rozminąłem się z prawdą historyczną tylko trochę. Część żołnierzy tego oddziału wzięła udział w walkach o Narwik, ale została tam zrzucona na spadochronach jako uzupełnienia dla Dietla. Prawdziwe posiłki dla Niemców wokół Narwiku dotarły dopiero 14 czerwca, a były to oddziały 2. dywizji górskiej, które przybyły lądem z rejonów Trondheim. Natarcie w kierunku Bardu oraz lotniska Bardufoss, które w powieści przydzieliłem oddziałom pułkownika Kriemana, w istocie wykonała jedna z kompanii 139. pułku. Marsz Niemców był jednak utrudniony przez głębokie zasy śnieżne, a po kilkudziesięciu kilometrach został on zatrzymany przez oddziały norweskie. Pisząc powieść, założyłem, że Krieman do pozycji norweskich nie dotarł - wcześniej natknął się bowiem na Harringtona oraz Ukryty Lud.

W naszej rzeczywistości na czele 138. pułku 3. dywizji strzelców górskich nie stał oczywiście oberst Rolf Krieman alias rotmistrz Puchacz, ale też jego postać nie została całkowicie wyssana z palca. Na pomysł szpiega polskiego wywiadu zakamuflowanego jako oficer Wehrmachtu wpadłem nie pod wpływem historii Hansa Klossa, ale postaci autentycznej, rotmistrza Jerzego Sosnowskiego, który przed wojną pracował w Niemczech dla polskiego wywiadu. Nie służył co prawda w Wehrmachcie, ale kamuflował się jako rozrzutny arystokrata uwodziciel, ale o skuteczności jego działań najlepiej świadczy to, że po wpadce wymieniono go na aż siedmiu szpiegów niemieckich.

Pragnę też przy tej okazji zwrócić honor innemu okrętowi wojennemu, niszczycielowi HMS „Zulu”. W rzeczywistości brał on udział w walkach wokół Narwiku - 14 kwietnia bombardował niemieckie lądowisko na zamarznętym jeziorze Hartvig, a 24 kwietnia w zespole krążowników ostrzeliwał pozycje żołnierzy Dietla. Fikcyjna jest natomiast postać jego dowódcy oraz szaleństwo, które nakazało mu wystrzelić torpedę w

kierunku ORP „Grom”. W rzeczywistości nic takiego, rzecz jasna, nie miało miejsca, choć swego czasu pojawiły się w Polsce sensacyjne historyjki o zatopieniu „Gromu” przez

aliantów . Dla porządku przypomnę, że ORP „Grom” zatonął 5 maja 1940 roku w fiordzie Rombaken, jednej z odnóg Ofotfjordu, trafiony bombą lotniczą z wysokiego pułapu. W katastrofie okrętu zginęło 59 marynarzy, a uratowało się 154, wraz z dowódcą komandorem porucznikiem Aleksandrem Hulewiczem. Ofiara ta została upamiętniona przez Norwegów nazwaniem jednego z placów w Narwiku Gromaplass.

Nazwisko komandora Hulewicza zostało jednakże w powieści zastąpione innym, podobnie jak nazwiska innych dowódców, oficerów i marynarzy. Zdecydowałem się na ten manewr, chcąc uniknąć szargania pamięci Polaków, którzy sześćdziesiąt lat temu walczyli z hitleryzmem. Wstawienie postaci historycznych do magiczno-spiegowskiej intrygi, która stanowi treść *Wojny runów*, byłoby krzywdzące wobec ich rzeczywistych

dokonań. Dlatego też na mostku „Gromu” pojawili się w mojej powieści komandorzy

Wilczak oraz Kornilowicz, oficerowie Łęk, Łopuszak, Dzielski, a w końcu i Snieżewski.

Ostatecznie zdecydowałem się jednak przemycić do powieści kilka postaci historycznych. Pierwszą z nich jest sam człowiek legenda, lew spod Narwiku, generał Ernest Dietl, dowódca 3. dywizji strzelców górskich. Jego postać nakreśliłem na podstawie starych fotografii oraz przekazów z czasów wojny. Nie jest moim wymysłem to, że Dietl zarządził ewakuację swych sił z Narwiku po rozpoczęciu ostrzału przez HMS „Warspite”. Generał wpadł w panikę przeświadczony o rychłym desancie Brytyjczyków i w istocie niewiele brakowało, by wydał rozkaz o ucieczce do neutralnej Szwecji.

Kolejna postać istniejąca naprawdę to major Sverre Spjelnd[^]s. Czytając opracowanie pt. *Norges sjøkrig*, natknąłem się na niezwykle opis wyprowadzenia pojedynczej kompanii wojska norweskiego z opanowanego przez Niemców Narwiku. Na widok blokujących drogę Niemców dowódca owej jednostki, major Spjelnd[^]s, wykrzyknął „Nicht schiessen!”, a strzelcy górscy posłusznie przepuścili cały oddział. Naiwność Niemców

wytłumaczyć najprawdopodobniej można tym, iż myśleli, że Norwegowie maszerują, by oddać się do niewoli, ale faktem jest, że major Spjelnd[^]s okazał w tej chwili stalowe nerwy. Nie tylko nie uległ powszechnej panice, ale również wyprowadził swych ludzi z matni i obsadził ważny punkt strategiczny - przejście graniczne Bj0rnfell, bronione przez niego do 16 kwietnia. W mojej wyobraźni postać Spjelnd[^]sa urosła do rangi zapomnianego bohatera, dzięki czemu uznałem, że jak ulał pasuje do roli charyzmatycznego przywódcy Ukrytego Ludu.

Trzecią postacią historyczną jest major Collin Gubbins, na którego natknąłem się podczas lektury opracowania Nigela Westa o MI-6. Rzeczony Gubbins, weteran walk w Irlandii i pracownik wywiadu, pojawia się na łamach owego opracowania dwukrotnie - po raz pierwszy, gdy odwiedza Polskę z misją handlowo-dyplomatyczną, i po raz drugi, gdy na czele dywersantów z Sekcji D osłania wycofanie wojsk alianckich z Narwiku. I tak oto znów historia podała mi na tacy bohatera, którego szlak bojowy idealnie nadawał się do moich zamysłów fabularnych. Podczas wyprawy Gubbinsa do Polski podrzuciłem mu zatem misję przywiezienia hrabiego Załuskiego, zaś ekspedycję do Norwegii cofnąłem nieco w czasie, do okresu przed desantem głównych sił alianckich.

Sekcja D również istniała naprawdę, i to w formie mocno zbliżonej do przedstawionej w powieści. W istocie była to mało popularna gałąź SIS mająca zajmować się sabotażem na ziemiach wroga. Mieściła się właśnie w zarekwirowanej posiadłości The Frythe koło Welwyn, a jednym z jej szefów i instruktorów był major Collin Gubbins. Sposób jej przedstawienia w powieści sugeruje jednakże, że było to prywatne przedsięwzięcie charyzmatycznego szaleńca, sir Harringtona, całkowicie podporządkowane jego ambicjom. W rzeczywistości zaś Sekcja D wcale nie miała mrocznego charakteru łoży masońskiej, a wkrótce po ewakuacji sił alianckich z Norwegii przekształcona została w słynne SOE. Tak na marginesie, sir Harrington jest postacią całkowicie fikcyjną. W przeciwieństwie do Poe, który istniał na pewno, choć dowodów na to brak.

Czy istniał ktoś taki jak profesor Michael Tritz, tego nie wiem, ale jest to wielce prawdopodobne. Zarówno esesmani z Himmlerem na czele, jak i „naukowcy” Ahnenerbe wykazywali przecież ogromne zainteresowanie mitologią nordycką i symboliką runów, czego dowodem są choćby dwa runy „sig” w emblemacie SS. Na pewno jednakże istniał (i istnieje nadal)

opisany w powieści zamek Wewelsburg, który był duchową stolicą SS, a w ambicjach Himmlera stać się miał nowym Watykanem Europy pod panowaniem Niemiec. Z innych opisanych miejsc, które naprawdę istniały, wymienić należy również Archiwum Manuskryptów Arniego Magnussona, obecnie działający w Reykjavíku.

A skoro już mowa o średniowiecznych islandzkich sagach, nigdy nie było wśród nich *Vidarssagi*. Opisując ów dokument, posunąłem się do kolejnej nieścisłości - otóż sagi spisywane były dopiero po wprowadzeniu chrześcijaństwa, a zatem przy użyciu alfabetu łacińskiego. Runami posługiwano się rzadko w dokumentach, wyjątkiem może tu być jedynie *Codex runicus* z XIV wieku. Tymczasem Vidar, choć chrześcijanin, spisał swą sagę runami. Istnieje jednak ku temu wytłumaczenie, które szanowny czytelnik poznał już w drugim tomie cyklu zwanym *Świt po bitwie*.

Co do autora sagi, skalda Vidara Gustavsona, to jest on oczywiście postacią fikcyjną. Choć szkoda, prawda?

Marcin Mortka

Bibliografia

- Blum Ralph H., *The Book of Runes*, St. Martin's Press, New York 1993.
- Borowiak Mariusz, *Mała flota bez mitów*, Gdański Dom Wydawniczy, Gdańsk 1999.
- Goodrick-Clarke Nicholas, *Okultystyczne źródła nazizmu*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2001.
- Kaczmarek Rafał, *Narwik 1940*, Wydawnictwo Militaria, Warszawa 1999.
- Konecki Tadeusz, *Skandynawia w drugiej wojnie światowej*, Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, Warszawa 2003.
- Nowakowski Tadeusz, Skotnicki Mariusz, *Jednostki Górskie Wehrmachtu i Waffen SS*, Barwa i Broń, Warszawa 2003.
- Perepeczko Andrzej, *Burza nad Atlantykiem*, Wydawnictwo Lampart, Warszawa 1999.
- Pertek Jerzy, *Pod obcymi banderami*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1963.
- Pertek, Jerzy: *Wielkie dni małej floty*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1990.
- Pruszyński Ksawery, *Droga wiodła przez Narvik*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1956.
- Ruszczak Jarosław, *Mundury niemieckie 1939-1945*, Oficyna Wydawnicza „Ares”, Warszawa 1992.
- Scheen Rolf, *Norges sjøkrig*, bind II, John Griegs Forlag, 1947.
- Schellenberg Walter, *Wspomnienia*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Wrocław 1987.
- Szrejter Artur, *Mitologia germańska*, Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1997.
- West Nigel, *MI-6*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2000.

- 1** *Du hindrer vejen* (duń.) - **Z drogi.**
- 2** *Hvem er du? Hvad er du lige til?* (duń.) - **Kim jesteś? Co tu robisz?**
Verzeihung! Ihres Mantel (niem.) - **Przepraszam! Pański płaszcz.**
- 4** *Hier entlang, bitte* (niem.) - **Tędy, proszę.**
- 5** *Dort ist ein frezer Stuhl* (niem.) - **Tam jest wolne krzesło.**
- 6** *God kveld! Kunne du vennligst tage denne flasken og* (duń.) - **Dobry wieczór! Czy mógłby pan, proszę, wziąć tę flaszkę i...**
- 7** *Nu! Sta opp! Du kan ikke* (duń.) - **Teraz! Wstawaj! Nie wolno ci.**
- 8** *Er du engelsk?* (duń.) - **Jest pan Anglikiem?**
- 9** *Nei* (norw.) - **Nie.**
- 10** *Dort ist er!* (niem.) - **Tam jest!**
- 11** *Was zum Teufel ist passiert?* (niem.) - **Co się, do licha, dzieje?**
- 1 2**
Gebirgsjager (niem.) - **strzelcy górscy**
- 1 3**
Framover, marsj (norw.) - **Naprzód marsz.**
- 14** *Fyr, karer* (norw.) - **Ognia, chłopaki.**
- 15** *Lieutenant OMallory, can I ask you to report to the squadron commander: Engaged the enemy artillery* (ang.) - **Poruczniku O'Mallory, proszę o przekazanie do dowódcy dywizjonu - atakuję wrogą artylerię.**
- 16** **ENGAGING OVERWHELMING ENEMY FORCE. YOU BLOODY COWARDS** (ang.) - **Atakuję przeważające siły wroga, wy cholerni tchórze.**
- 1 7**
Stenskógurinn (isl.) - **kamienny las**
- 18** *Bless* (isl.) - **Żegnaj.**
- 19** *Halte die verdammte Feuer!* (niem.) - **Wstrzymajcie ogień, do cholery!**
- 20**
Kucken sie mal an diese schlechte Wolfchen (niem.) - **Spójrzcie no tylko na tego złego wilczka!**
- 21**
Dort ist er (niem.) - **Tam jest!**
- 22**
Nichts. Das Madchen ist ganz verschwunden. Wir gehen zuruck. (niem.) - **Nic. Dziewczyna znikła bez śladu. Wracamy.**
- 23**
Unsinn (niem.) - **Bzdura.**
- 24**
Draussen (niem.) - **Na zewnątrz.**
- on /
Aras (isl.) - **naprzód**
- 26** *Halt! Keine Bewegung* (niem.) - **stać! Ani kroku dalej!**
- 27**
Du hast meine Jugendzeit genommen (niem.) - **Zabrałeś mi młodość.**
- 28**

**Mariusz Borowiak, *Mała flota bez mitów*, Gdański Dom Wydawniczy, Gdańsk 1999,
s. 208.**

Redakcja: Jerzy Wachowski
Korekta: Anna Jagiello
Ilustracje i projekt okładki: Piotr Arendzikowski
Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2372-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo